

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



ANNA BOJARSKA

AGITKA

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

WSTĘP

„Agitka” – ten nieco przewrotny, a może nawet z lekką złośliwością zwodniczy tytuł firmuje książkę bynajmniej nie „agitatorską” i w ogóle nie mającą nic wspólnego z deklaracyjną literaturą choćby najbardziej zakamuflowanej propagandy politycznej. Przeciwnie. Za prowokacją tytułową tkwi nie wypowiedziany komentarz uprzedzający jak gdyby oczekiwania czytelnika, który od literatury biorącej się za „opozycyjny” temat polityczny spodziewałby się i jednoznacznego stanowiska „opozycyjnego” względnie „antyopozycyjnego”. A tymczasem dostaje od Anny Bojarskiej (kto jednak czytał np. „Lakier”, ten już wie) znakomicie napisaną wielowątkową powieść intrygi – o przemyślnie (może aż nazbyt przemyślnie) skonstruowanej fabule, obejmującej nieprawdopodobnie wielki obszar współczesnego świata, o potoczyście (może aż nazbyt potoczyście) poprowadzonej narracji, mistrzowsko i z wdziękiem panującej nad zawilóściami toku zdarzeń, a nawet nad ponurym chwilami horrorem przedmiotu opowieści.

Tak, to znakomite „c z y t a ł o”, na jakie nie waży się już od dawna Ambitna Literatura. Rzecz do czytania „jednym tchem”, podczas jednego (długiego) seansu lekturowego. Lecz i zarazem głęboka, mądra, przejmująca. Poważna. I w polskiej prozie współczesnej ważna. Krótko mówiąc powieść Anny Bojarskiej „Agitka” jest zapewne jedną z najciekawiej napisanych i najwybitniejszych powieści politycznych w polskiej literaturze powojennej. To zdanie wymaga zastrzeżeń. Ponieważ, wbrew niektórym ustaleniom krytyki literackiej, powojenna literatura polska nie posiada właściwie powieści politycznej w istotnym znaczeniu tego słowa, tzn. powieści o mechanizmach polityki i uwikłaniu człowieka w te mechanizmy. Anna Bojarska taki gatunek literacki dopiero u nas stwarza. Nie w pustce. Nawiązuje – mniej lub bardziej zamierzenie – do tradycji dawniejszej, mimo woli być może odnawia pewne zapomniane na poły lub zafalszowane i zmistyfikowane filiacje, proponując powieści politycznej pewną drogę i artystyczną (tj. w aspekcie poetyki), i intelektualno-światopoglądową (tj. w aspekcie myślenia o polityce i widzenia jednostek ludzkich wraz z całokształtem ich psychologicznych i ideologicznych problemów w obrębie świata strategu i gier politycznych). Na początku tej drogi stawia swój bardzo piękny i bardzo artystycznie dojrzały utwór.

W Polsce powojennej czystej powieści politycznej nie było i być nie mogło, mimo iż bardzo wielu autorów ulegało złudzeniu, że takie powieści tworzą (Andrzejewski, Dygat, K. Brandys, P. Hertz, Czeszko, Kruczkowski, Hołuj, Putrament itd). I mimo iż wielu wybitnych krytyków (Wyka, Żółkiewski) nadawało tym mistyfikacjom naukową rangę. Powieści tak klasyfikowane albo – po pierwsze – przyjmowały na wstępie, u fundamentów artystycznych, pewien schemat i d e o l o g i c z n y (jak np. „Bołdyn” Putramenta, „Osoba” Hołuja), gdzie intryga polityczna, mechanizmy politycznych (a tym bardziej „prywatnych”) działań i uwikłań bohaterów – w konsekwencji zaś cała konstrukcja artystyczna – były zdominowane przez z góry ustalony polityczno-ideologiczny morał, co zabijało nie tylko ich „życie” (tj. po prostu realistyczne prawdopodobieństwo i wiarygodność), lecz i „politykę” (tj. dramatyczną grę różnych racji i postaw). Z drugiej, przeciwnej niejako strony, duża grupa powieści politycznych, zwłaszcza po 56 roku, stosowała mechanizm ponadhistorycznego kamuflażu, prze-

nosząc akcję o charakterze politycznym w wymiar alegorii, przypowieści, a więc tak czy inaczej abstrakcji historycznej; zamiast artystycznego obrazu świata proponując abstrakcyjny model świata, jak np. „Ciemności kryją ziemię” i „Bramy raj” Andrzejewskiego, jak „Pojedynki” J.J. Szczepańskiego, „Urząd” Brezy, „Boski Juliusz” i „Nazo poeta” J. Bocheńskiego – by wspomnieć tylko o najwybitniejszych. Ma to oczywiście głębokie uzasadnienia właśnie polityczne, bowiem w rzeczywistości totalitarnej zdominowanej przez ideologię wszelkie analityczne myślenie polityczne musi albo ulegać mistyfikacjom, albo chronić się w azyłach symbolicznych uogólnień.

Bojarska przezwycięża te konieczności. Wprowadza powieść polityczną w nurt, który o ile znajdzie równie jak autorka „Agitki” odważnych intelektualnie i utalentowanych kontynuatorów, zapoczątkuje istotną odnowę polskiej prozy współczesnej w ogóle. Nadzieje te zresztą uzasadniają inne jej wydane w wydawnictwach oficjalnych utwory, „Lakier” (WL 79), „Ja” (WL 85). Bojarska w y z w a l a zatem gatunek powieści politycznej z obydwu wspomnianych uwikłań, czy lepiej – zniewoleń. Po pierwsze wyzbywa się u fundamentów pracy artystycznej wszelkich ideologicznych hipostaz i „założeń wstępnych”. Przyjmuje generalnie postawę analityczno-obszerną, dewizę: „widzę i opisuję”, nie pozbawioną bynajmniej emocjonalnego zaangażowania, ale pozbawioną gruntownie sentymentalizmu, zarówno politycznego, jak i prywatnego (czy „intymnego”). Bohaterowie jej (nawet wówczas jeśli podejmują kolaborację ze służbami bezpieczeństwa) potrafią wymóc na czytelniku rozumiejące współczucie, ale nie domaga się dla nich autorka litości i ckliwego „wybaczenia”. Jednym słowem Bojarska zdziera z powieści politycznej zarówno jej ideologiczny (ale nie ideowy) tatuaż, jak i – z drugiej strony – modelową ogólność, „alegoryzm”, „symbolizm”. Reporterska drobiazgowość, konkretność realiów historycznych (tj. tu: współczesnych) idzie w parze z wnikliwym, głębokim widzeniem wielowymiarowego sensu faktów i umiejętnością artystycznej syntezy. Rozmach, a równocześnie precyzja w budowaniu fikcji literackiej, konstruowaniu fikcyjnych postaci zakorzeniona jest we wnikliwym widzeniu realiów oraz utajonych mechanizmów czasu. To sprawia, że w odczuciu czytelnika „Agitka” oscyluje wręcz niekiedy między utworem filozoficznym a powieścią kryminalną.

Do jakiej pozytywnej tradycji artystycznej można powieść Bojarskiej przyłączyć? Nie chodzi mi przy tym o „wstępne zamierzenie autorskie”, „świadome nawiązania” itp. Jeśli odpowiedź na takie pytanie ma mieć sens k u l t u r o w y, należy je rozumieć jako pytanie o o b i e k t y w n e uplasowanie się „Agitki” jako faktu literackiego na mapie współczesnej literatury polskiej. Otóż – jakkolwiek może to zabrzmieć dziwnie, polityczna powieść Bojarskiej przyłącza się z jednej strony do tej tradycji XX-wiecznej powieści politycznej, (jakie) znakami wywoławczymi mogą być np. „Dzieje jednego pocisku” Struga, czy „Generał Barcz” Kadena-Bandrowskiego (gdy chodzi o sztukę ukazywania jednostki ludzkiej w jej psychologicznym, moralnym, światopoglądowym całokształcie w uwikłaniach nadrzędnych mechanizmów strategii i gier politycznych). Z drugiej strony – a zabrzmie to pewnie na pozór jeszcze dziwniej – taką tradycję pozytywną stanowi np. twórczość T. Parnickiego (zwłaszcza z okresu od „Srebrnych Orłów” do „Końca Zgody Narodów” i „Twarzy księżycy”) – gdy chodzi o ukazywanie głębokiej, „podziemnej” zależności zdarzeń, ustaleń politycznych, powiązań i sytuacji, które na pozór – dla przeciętnego oka – nie mają ze sobą nic wspólnego, pozostają rozrzucone w różnych czasach, przestrzeniach, jakie – rzekomo – nie mogą mieć ze sobą żadnego kontaktu. Z nie mniejszym mistrzostwem niż Parnicki. choć w niepomiernie mniejszej skali, pokazuje Bojarska „głęboką strukturę” powiązań politycznych, z której na powierzchnię „oficjalnych faktów” poddających się obserwacji przeciętnego człowieka – przedostają się tylko pozbawione istotnego sensu i oderwane od całości fragmenty. „Agitka” – opowieść o losach paru ludzi, z których jedni żyją na Zachodzie i ledwie ocierają się o kulisy polityki, inni sądzą, że robią politykę, inni faktycznie ją robią jako działacze rozmaitych partii, jeszcze inni siedzą w więzieniach z przyczyn etyczno-ideowych, podczas gdy ich mocodawcy na

wolności uprawiają etyczny cynizm lub ideowy kamuflaż, inni jeszcze za „żelazną kurtyną”, w Polsce lub Czechosłowacji, walczą o prawo do godnego życia osobistego – w istocie swej jest opowieścią o p o d z i e m i a c h polityki, o lochach dziś już bynajmniej nie Watykanu, ale ruchów, które pod pozorem „lewicowości” oplatają świat, wciągane niezależnie od wiedzy i świadomości swoich inicjatorów i działaczy w więzy „wielkiej polityki” mocarstw.

Bojarska przedstawia świat historii najnowszej. „Agitka” obejmuje lata 1971-1984. Akcja jej dzieje się w zachodniej Europie, we Francji, Niemczech Zachodnich, migawkowo Anglii i Szwajcarii, a także w Polsce, Warszawie i Gdańsku, epizodycznie (lecz to epizod bardzo ważny) w Czechosłowacji. Tematem naczelnym książki są środowiska i partie zachodniej „Nowej Lewicy”, potraktowane z niezwykłym znawstwem i dość szeroko – od guerillos, poprzez Czerwone Brygady, trockistów, maoistów do anarchistów. W tę kanwę z wielkim mistrzostwem artystycznym i tyleż przekonywająco co zaskakująco wplecione są sprawy polskie dzięki losom głównego bohatera (a właściwie tylko jednego z głównych bohaterów, gdyż Bojarska znacznie, acz subtelnie, modyfikuje klasyczną strukturę „kontrapunkcyjnej” powieści wielowątkowej), Polaka, młodego intelektualisty, który pozostając w istocie swej natury „uczciwym intelektualistą” niezaangażowanym (typu klerkowskiego, notabene trzeba mocno podkreślić, że sam sposób ujęcia tego bohatera i jego losów dość gruntownie polemicznie modyfikuje tzw. problem klerkizmu, zwłaszcza w jego wersjach literackich z końca lat czterdziestych), intelektualistą, który z pobudek dość naiwnie sentymentalnych włącza się, sam nie wiedząc, w jakim zakresie, w siatkę zachodnioeuropejskich ruchów „nowej lewicy”, sprowadzając na siebie niezamierzenie – ale usiłując to przeżyć z wszystkimi moralnymi konsekwencjami – dramatyczne i w końcu klasycznie tragiczne uwikłania.

Wątek tego bohatera, Krzysztofa, pozwala autorce włączyć konsekwentnie i z wielkim artystycznym taktem w konstrukcję powieści – bez naruszania precyzji jej struktury artystycznej – wydarzenia związane z polskim Sierpniem, przedstawic Stocznię w okresie strajku, a następnie pierwsze dni stanu wojennego, działania aparatu policyjnego, sytuację więźniów i internowanych. Pomijając już fakt jak trudnego artystycznie, tj. konstrukcyjnie, zadania autorka się tu podjęła i fakt, że mu znakomicie sprostała – te partie „Agitki” należą do najpiękniejszych stron literatury polskiej na temat owych ciągle przecież żywych wydarzeń. Jak zwykle u niej – nie ma tu odrobiny sentymentalizmu i hysterii, a jednak epicki dystans łączy się w tych partiach z głębokim, chciałoby się rzec, lirycznym zaangażowaniem we wspólnotę narodowego losu.

Świat u Bojarskiej jest niemal całkowicie zdominowany przez politykę, tj. przez wielorakie powiązania politycznych taktyk i strategii. Ten stan rzeczywistości przedstawionej w utworze nie jest jednak funkcją światopoglądu autorki, jej – by tak rzec – c h c e ń takiego widzenia sprawy, lecz tylko obiektywnym r o z p o z n a n i e m, diagnozą z uwypukleniem konsekwencji, które zarówno dla jednostek ludzkich, jak i ruchów ideologiczno-politycznych – są niezbywalnie tragiczne.

Podobnie człowiek – jako jednostka – jest według Bojarskiej homo politicus. A jeśli me jest nim z wyboru (tj. nie decyduje się na wybór roli politycznego gracza), wówczas kondycja ta, kondycja bycia homo politicus, zostaje mu narzucona lub wybrana przez niego nieświadomie. A w istocie swej tak czy owak okazuje się ona prawie zawsze kondycją tragiczną, o ile nie jest po prostu cyniczna (bo i taka alternatywa zostaje przez autorkę wnikliwie rozpracowana).

Człowiek Bojarskiej jest zatem homo politicus, ale ludzie nie są w jej powieści n i g d y ukazani jako marionetki politycznych moralitetów. Ich życie przedstawione jest wielopłaszczyznowo, nie ogranicza się do sfery działań i przeżyć sensu stricto politycznych. Absorbują ich erotyka, sztuka, przyjaźnie, kontakty życia towarzyskiego, rodzina, ambicje społeczno-zawodowe. Ale – podkreśla autorka na każdym kroku – w zaistniałej obiektywnie strukturze rzeczywistości polityka ma – niezależnie w istocie od ustrojów – charakter, by tak rzec, tota-

litarny, tj. chce zdominować i pożreć całość życia jednostki ludzkiej, łącznie z pozornymi już tylko azylami sfer intymnych, jak seks, czy szerzej pojęta erotyka, jak więzy bezinteresownych, czystych przyjaźni, jak przede wszystkim sfera przeżyć i zaangażowań czysto ideowych.

To dwa wielkie „tematy” tej książki, zmontowane konstrukcyjnie z mistrzostwem już nie tyle literackim, co mistrzostwem muzycznej „sztuki kontrapunktu”. Polityka traktowana bez troski lub naiwnie pożera intelektualną niewinność i etyczną czystość głównego bohatera, Polaka. Pożera naturalną niewinność (i życie) głównej (choć ukazanej tylko migawkowo) bohaterki, Czeszki (która przypomina najlepsze postacie kobiece późnego Kundery). Wtrąca w cynizm, sympatycznie beztroski, córę bohatera rewolucji Estravadosa, a w cynizm ponuro przerażający niemieckiego adwokata, byłego obrońcę ideowych terrorystów. Ale – co najważniejsze – polityka zżera i degeneruje ideową stronę lewicowych ruchów rewolucyjnych, ponieważ odsuwając na plan dalszy, „na kiedyś” etyczne aspekty działań ideologiczno-politycznych (tj. działań w istotnym sensie rewolucyjnych), ruchy te tracą z pola widzenia ideologię ściślej: ideę jako taką, a nawet więcej – ideologię (ideę) zastępują, czy wręcz przekształcają ją w czystą, stanowiącą cel sam w sobie, polityczną strategię. W efekcie, jakoś niezauważalnie dla samych siebie, ruchy te wpadają w sidła strategii i ideologii, przeciwko której powstały. Stąd – z jednej strony czysty, dobry chłopiec, intelektualista i ideowiec, Krzysztof, zostaje konfidentem UB. I to jest w książce nie obrzydliwe, ale tragiczne, podobnie jak zamordowanie czy zmuszenie do samobójstwa jego czeskiej koleżanki, która umiała rozmawiać ze zwierzętami w klatkach londyńskiego ZOO. Ale z drugiej strony cały niemal ruch Nowej Lewicy, który powstał (i usiłował się nawet na gruncie celów walki o nowy świat zjednoczyć; notabene od tego zaczyna się powieść) jako reakcja na degenerację ruchów i ideologii lewicowych, komunistycznych w obrębie komunizmu państwowego, a zatem totalitaryzmu sowieckiego – ten ruch w efekcie zwyrodnień w obrębie działań przebiegających głównie na płaszczyźnie politycznej strategii – przekształca się w swoje zaprzeczenie i dostarcza na zachodzie Europy głównego wsparcia totalitaryzmowi sowieckiemu (co m.in. w powieści szczególnie boleśnie i drastycznie wypada, gdy autorka wzmiankuje o stosunku zachodniej lewicy wobec polskiej bezkrwawej rewolucji Sierpnia).

Bojarska nie stawia w swojej książce jednoznacznych tez, ponieważ jest nie agitatorką, lecz bardzo utalentowaną i doświadczoną powieściopisarką. Ale Bojarska robi znacznie więcej. Przepaja całą swą powieść głębokim niepokojem, stawiając w ten sposób intelektualne i moralne zadanie współczesnemu człowiekowi. Niepokój ten można by na użytek tego wstępu sprowadzić do formuły „etyka a polityka”. Do pytań zatem pochodnych: czy może istnieć jakakolwiek polityka humanistyczna (tj. „W Imię Dobra Ludzkości”), która by odbywała się bez etycznego leitmotiwu, co dzieje się z polityką, która wymieni etykę na strategię i co dzieje się z ideologią, która staje się czystym narzędziem polityki. Polityka w świecie współczesnym – pokazuje Bojarska – pożera etykę i pożera „ideowość”. Ale nie jest w stanie do końca ich strawić. I sama niejako przygotowuje wówczas klęskę własnej strategii. Ale może to już zbyt jednoznaczne, i prostackie przez to, dopowiedzenie sugestii artystycznych Bojarskiej. Tak jak – wydaje mi się – zbyt jednoznacznie brzmią w jej powieści obydwie poprzedzające ją motta, ze Stalina i Robespierre’a.

Jestem przekonany, że „Agitka” Anny Bojarskiej stanowi nie tylko wybitne osiągnięcie, gdy chodzi o gatunek powieści politycznej. Sądzę, że jest ona jednym z wybitniejszych dokonań w zakresie współczesnej prozy polskiej i nie znajduję w krajowej produkcji wydawniczej ostatnich paru lat wielu utworów, które mogłyby z nią konkurować.

Brak tej książki w powszechnym obiegu czytelnicznym jest dużym uszczerbkiem dla kultury polskiej.

Stanisław Balbus

CZEŚĆ PIERWSZA

KONGRES

1

Sala jest okrągła, z czerwonymi, pluszowymi fotelami: amfiteatr. Jaskrawe światło. Dopiero co pociąg wjeżdżał na ciemny, nocny dworzec, wskazówki zegara pokazywały trzecią; albo samolot lądował na lotnisku, chłód, wiatr, w Belfaście podłożono bombę zegarową pod cysternę z benzyną, a w Boliwii partyzant Felix Guardia został trafiony w brzuch, zachwiał się, zatrzepotał rękami i runął w błoto; tu jest czerwień, światło, długi stół prezydialny, a nad nim w trzech językach, na czerwonym płótnie: PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!, „Le Soir” już zdążył zamieścić pierwszy artykuł z serii „Goszyści wszystkich krajów łączcie się”, „La Nation” napisała o „Komunii marksistowsko-leninowskiej”, przy stole prezydialnym kłębi się tłum, to Francuzi, Włosi, może ktoś jeszcze, ale przede wszystkim Francuzi i Włosi, śpiewają, jeszcze nie pozajmowano miejsc, na salę wchodzi David Sinclair w czerwonym swetrze, z wąsami, z rękami w kieszeniach i z papierosem w ustach, patrzy w dół, tamci śpiewają – pour réchauffer la salle?¹

„...*alla riscossa*

bandiera rossa! handiera rossa!”

Ci, którzy powciskali się w puste rzędy, szukając miejsc, podejmują ten śpiew: nie wszyscy, ale jednak. Prawie wszyscy. Ktoś podnosi wysoko zaciśniętą pięść: Szwedzi i Finowie nie rozumieją tego gestu, ale inni go rozumieją, nawet Anglicy, Niemcy oczywiście także, rudy Dieter tłumaczy tłustemu Szwedowi, że to tradycyjne pozdrowienie antyfaszystowskie, wszyscy śpiewają teraz od początku „Avanti, popolo!”, Skandynawowie znów milczą, z to rudy Dieter wyśpiewuje na cały głos, Niemcy widać to znają, lewe poręcze foteli zawierają oprócz słuchawek i urządzenia do odbioru jednego z języków Kongresu, francuskiego, niemieckiego, angielskiego, hiszpańskiego lub włoskiego, jeszcze popielniczki, więc się pali, ruch, hałas, Martha Doherty zbiegła na dół, do śpiewających, nosi krótką niebieską sukienkę i wysokie buty, rude włosy spadają jej na ramiona i na brzydką, piegowatą twarz, za dużo w niej wyrazu, żeby była ładna, i jeszcze te szpary między wiewiórczymi zębami, gdyby była Amerykanką, od dziecka męczono by ją prostującym aparatem, ale nie jest. Część trockistów bojkotuje, część nie. Najważniejsze, że są Hiszpanie! Dla Marthy Doherty najważniejsze. Zresztą tylko jeden przyjechał z Hiszpanii, w końcu państwo faszystowskie, pojeżdżali się głównie z Francji, ale wszyscy przecież walczą o wolną Hiszpanię – nie wszyscy o czerwoną, to cały problem – no i jest Estravados! Jest Estravados! Estravados. legenda rewolucji! Tak, jest: w grupie stojącej przy stole prezydialnym zrywają się okrzyki, piosenka nagle pęka na pół, kogoś podrzucają do góry i cała sala podejmuje: E – STRA – VA – DOS! E – STRA — VA – DOS! A potem już nierówno, bez skandowania, z lewej i prawej strony sali: „Pablo! Pablito!”

¹ pour réchauffer... (fr.) – dla rozgrzania sali?

Martha Doherty stoi o dwa kroki od niego: szczupły, z czarną, krótką brodą, z twarzą Chrystusa, wszyscy, którzy go uwielbiają, mówią, że ma twarz Chrystusa, chcą, żeby coś powiedział, ale on nie chce, unosi tylko rękę w pozdrowieniu, uśmiecha się, jakie ma białe zęby!

I nagle wszystko idzie bardzo szybko: zajmowanie miejsc; i Estravados, i Martha znaleźli się naprzeciw sali, za tym długim stołem: walcząca Ameryka Łacińska! walcząca Irlandia!, ktoś woła: „Niech żyje wolna Irlandia!”, i wszyscy wstają; nie, parę osób nie wstało: Niemcy? Z jakiego ugrupowania? „Bydlęta!” – woła trockista Raymond Krivitzky, ale w końcu każdy ma prawo do swych przekonań, w ten sposób nigdy nie osiągniemy jedności; nie, nigdy nie będzie jedności! I zaraz przejście do *Międzynarodówki*; teraz i Niemcy – z którego ugrupowania? – wstają, wszyscy wznoszą wysoko pięści, śpiewają, każdy w swoim języku; ile są warci? Ale cokolwiek są warci, Estravados wystarczy za nich wszystkich, jakiegokolwiek są ich winy, Estravados je odkupi: jak on wygląda, śpiewając! Co za twarz! Skąd tu naprawdę przyjechał? Z Hawany? Czy może z Boliwii? Może z Hiszpanii! Jedno wiadomo: nikt tak jak on nie ofiarował całego życia, całego życia... Gdzie teraz walczy? W Boliwii, Argentynie, Hiszpanii? Czy rzeczywiście był w Chinach? A w Indonezji? Czy naprawdę reorganizuje indonezyjskich komunistów, ich resztki? Ile legend wokół jednego człowieka! Ale choćby legend było tysiące, on je wszystkie uniesie, i nie ma na świecie słowa, które by go przerosło, nie ma słowa, które by mu dorównało: Estravados, legenda rewolucji, Chrystus rewolucji!

Jak u Błoka – myśli Raymond Krivitzky – w wieńcu z białych róż, to śmieszne, skąd ta legenda? Dlatego, że naprawdę walczy, nie tylko mówi, me tylko pisze, ale przede wszystkim walczy, z bronią w ręku, czy o to chodzi? Martha Doherty też była na barykadach, kiedy strzelające weekendy zaczęły przechodzić w wojnę domową, przemawiała na meetingach pod kulami, dosłownie pod kulami, nawet rzuciła kamieniem w brytyjskiego żołnierza, za co też posiedziała sobie w więzieniu... czy o to chodzi? O bezpośredni udział? Nadmiar wymagań! Romantyzm. My tworzymy teorię.

Ale ledwo po raz ostatni wszystkie te głosy pod bagnetami uniesionych rąk, wszystkie te połączone głosy odśpiewały *Bój to jest nasz ostatni*, Raymond Krivitzky wykonuje nieznaczny ruch: trockiści wstają z miejsc, znów otwierają szeroko usta, słowa jak wystrzały, jeden po drugim, twardo, głośno, tnąc salę na pół, od wklęsłego sufitu jaskrawego od świateł po czerwoną miękkość podłogi, wystrzał po wystrzale: MARKS! – ENGELS! – LENIN! – TROCKI! – ROSA! – MARKS! – ENGELS! – LENIN! – TROCKI! ... jednocześnie zrywają się inni, inne pięści idą w górę, wystrzał po wystrzale: MARKS! – ENGELS! – LENIN! – STALIN! – MAO! – MARKS! – ENGELS! – LENIN! – STALIN! – ...aż nagle z dna tego krzyku, tej bitwy, zaczyna narastać uspokajające, łagodzące, łączące: E-STRA-VA-DOS! E-STRA-VA-DOS!, i stopniowo to jedno nazwisko obejmuje salę, co za bzdura, myśli Raymond Krivitzky, to przecież nie teoretyk, to praktyk, ale nazwisko praktyka przeszło już w co innego: RE-WO-LU-CJA! RE-WO-LU-CJA!, co do tego wszyscy są zgodni, potem trockiści zaczynają coś krzyczeć o czerwonej Europie, tu też nie ma walki, wszyscy są za czerwoną Europą. Potem David Sinclair, złożony w dłonie w trąbkę, ryczy całą siłą płuc: CZERWONA AMERYKA!, prawda, nie można zapominać o Ameryce, więc Czerwona Ameryka, ale trockiści skandują już o Socjalistycznych Stanach Zjednoczonych Europy, tu jedni są za, a drudzy przeciw, zamieszanie, DOWN WITH STALINISM! – woła ktoś, kto chyba nie jest trockistą: ktoś z Mao Spontex? Nie wiadomo; w każdym razie Raymond Krivitzky odpowiada natychmiast: DOWN WITH MAO SPONTEX! – trockiści są przeciw stalinizmowi, tak, ale dla nich stalinizm to nacjonalizm, a dla innych internacjonalizm, każdy ma takiego Stalina, na jakiego zasłużył. Nie taki Stalin straszny, jak go malują, odpowiada natychmiast ktoś z Czerwonej Linii; ale w końcu mamy kongres Zjednoczeniowy, do diabła! VIVE L'INTERNATIONALE! – woła ktoś z Ligi Komunistycznej, czyżby z Ligi Komunistycznej? Nie, to chyba Włoch z Manifesto; ale skąd, Włoch, owszem, ale jeden z tych, którzy redagują „Bolszewika”, z L'Organizzazione Comunista Bolscevica Italiana Marxista-Leninista, o, już mu ktoś odpo-

wiedział: A NARODOWA DROGA DO SOCJALIZMU? Przeciw Międzynarodówce, w imię narodowej drogi... no, tu odpowiedź jest łatwa! A NARODOWY SOCJALIZM? – woła Raymond Krivitzky. – MAMY TU NARODOWYCH SOCJALISTÓW! I zaraz pięści w górę: FASYZM NIE PRZEJDZIE! FASYZM NIE PRZEJ-DZIE! Patrzcie go, Togliatti w miniaturze! Ale w końcu mamy kongres zjednoczeniowy, do diabła, nie czytano jeszcze depesz, a apel o solidarności z uwięzionymi towarzyszami, z czerwonymi więźniami świata? To miało być na początku, zaraz po Międzynarodówce; VIVE L'INTERNATIONALE! – woła teraz ktoś z Lewicy Proletariackiej, i nikt już nie wyskakuje z Narodową Drogą ani z Narodową Specyfiką – VIVE L'INTERNATIONALE! VIVE L'UNITE! LONG LIVE THE REVOLUTION! AVANTI; POPOLO! BAN-DIERA ROSSA! Wreszcie sala cichnie.

2

Jak gdyby wybuch rozsadził wszystko od środka, mit rozprysnął się bezładnie, rozpadła się nierzeczywistość; a co zamiast niej? Irlandia Joyce'a i tak dalej, długie wąskie ręce z kości słoniowej, wieża z kości słoniowej, Najświętsza Panna na wielkich ciemnych obrazach, w tęczy witraży, i płomyki świec, złote i srebrne serduszka, wota, ołtarz świętego Patryka, Dzień Świętego Patryka, u szczytu kościoła, ponad ołtarzem, małe, ciemne okienko otwarte na wieczność, krynico źródłana, fale morskie przy brzegu, kręta, biała droga w nieskończoność – a rzeczywistość? „Londyn, 13 marca” – pisał Karol Marks w 1855 roku. – „Irlandia zemściła się na Anglii, pod względem społecznym, ponieważ każde większe angielskie miasto fabryczne, portowe czy handlowe uszczęśliwiła dzielnicą irlandzką, a pod względem politycznym, ponieważ...” Książki! A jednocześnie – weekendy wystrzałów, weekendy trupów. Pierwsza barykada w Belfaście. Pierwszy podpalony dom w Belfaście. Rok po roku. Narastanie. Płomienie! Wybuchające cysterny z benzyną. Barykady. Kamienie, wyrwane z bruku. Wystrzały. Już nie w sobotę, nie w niedzielę: codziennie. Dziecko, zabite przez policję, i manifestacja, Martha Doherty po raz pierwszy na trybunie. Ale przedtem nierzeczywistość musiała się rozprysnąć. Wszystko, co nieważne. Wszystko, co drugorzędne.

„Irlandia jest sceną walki klasowej, nie – wojny religijnej!” – mówi Martha Doherty pierwszy, drugi, piąty raz, ręce splecione z tyłu, rude włosy wokół piegowatej twarzy. – „Najeżdźcy byli protestantami, podbici i okupowani katolikami: takie są fakty! Kłamstwo burżuazyjnej prasy, kłamstwo, w które nikt z was nie wierzy, usiłuje sprowadzić to, co się dzieje w Irlandii Północnej, do poziomu wojny religijnej, średniowiecznego przeżytku, drugiej wojny o włos z brody Mahometa! Nikt prócz reakcjonistów i głupców nie wierzy w to kłamstwo. Prawda jest taka: w Irlandii Północnej toczy się walka, która ma – następstwo historyczne! – aspekt narodowy, która ma aspekt religijny, to wszystko jest prawdą; ale która, przy tej swojej specyfice, przy tych swoich obciążeniach, jest walką klas. Chcemy Irlandii wolnej, zjednoczonej, socjalistycznej! Long live the socialist Ireland!”

Więzienie, zakonnice przebijające palcami jej włosy w poszukiwaniu wszy. Przez cały czas drżenie z niecierpliwości, gorączka niecierpliwości, bezsenność niecierpliwości: to wszystko, co się dzieje tam, za murami, a od czego ona jest odcięta! Rzeczywistość! A jednocześnie, po raz pierwszy od dawna, czas, cisza, spokój. Skupić się, zastanowić, pomyśleć. Teoria! Co z teorią? Przemyśleć wszystko jeszcze raz. Opracować. Napisać. Jak bardzo brak nam teorii! Studia po dwóch latach rzucone dla wieców, komitetów, manifestów, przemówień, walki. Ekonomia polityczna! Tyle braków. Nareszcie trochę czasu na ich uzupełnienie. Gdyby nie ta niecierpliwość! Za krótko. Za długo.

Wolność.

„Cóż bardziej naturalnego, niż dążenie do połączenia dwóch części wyspy, rozbitej przez obcych najeżdźców?” – kolejny meeting, ludzie, skandujący imię Marthy Doherty, jest już

sławna, jest już legendą. – „W marcu 1971 połączyły się partie komunistyczne obu Irlandii. Wszystkie postępowe siły wyspy powinny...” – Anglia prowadzi przeciw Irlandii Północnej politykę faszystowską! Obecność wojsk angielskich w Ulsterze jest bezpośrednim zagrożeniem Irlandii i Europy przez faszyzm!

Oklaski, burza oklasków. Faszyzm! Irlandkom, spotykającym się z żołnierzami wojsk brytyjskich, goli się głowy, jak dziewczętom, które żyły z hitlerowcami: zdrada! Przywiązuje się je do latarni, oblewa smołą, tarza w pierzu: zdjęcia na pierwszych stronach gazet.

– To nie walka dwóch frakcji religijnych! – powtarza dziesiąty, dwudziesty, setny raz Martha Doherty – to walka z kapitalizmem! Prasa burżuazyjna kłamie! Zdemaskujemy jej kłamstwa! Co robi armia brytyjska w Irlandii Północnej? To samo, co armia amerykańska w Wietnamie! I to, co się dzieje teraz w Irlandii, nie da się oddzielić od światowego ruchu antyimperialistycznego, od światowej walki przeciw imperializmowi! Niech żyje zjednoczona Irlandia! Niech żyje Irlandia socjalistyczna!

Przemówienie za przemówieniem, meeting za meetingiem, w którymś momencie zniknęła trema, pozostało tylko jedno: treść słów, nic poza tym. Powiedzieć to, co trzeba powiedzieć! Nic poza tym. Irlandia zasnuta dymem. Irlandia w płomieniach. Który raz z rzędu?

Ale przedtem musiał nastąpić ten wybuch, wszystko musiało się rozprysnąć, cała nierzeczywistość, tęcze witraży i płomyki świec, ciemne okienka otwarte na wieczność, fale morskie przy brzegu. Najświętsza Panna na wielkich, ciemnych, popękanych obrazach – i miłość także, oczywiście, że miłość także! Tego też trzeba się było nauczyć: kolacja, hotel, i do widzenia na zawsze, masz na imię John, tak? Zresztą to bez znaczenia. Wstąpimy jeszcze gdzieś? Nie mam czasu! Było ci przyjemnie? Nieważne! Trzeba się było nauczyć: nie można tego godzić, miłości i walki, cokolwiek by o tym mówili idioci, nie można, nie można; i żeby wejść w rzeczywistość, żeby w niej utonąć, żeby ją kształtować – cudowne, sznurowate słowa; ciemną, chropowatą, nieforemną, gorzką, żeby nic prócz niej – z tym kłamstwem także trzeba było skończyć, z tą ostatnią słabością, z tą bańką mydłaną: rozbić ją. Jednym uderzeniem. Koniec złudzeń, wolność.

Tylko jeden prawdziwy romans: a potem wybuch, rzeczywistość. I już nigdy więcej!

Przez rok mówili tylko o miłości! Pięknie to brzmi, dopóki człowiek nie uświadomi sobie przyczyn: przez rok mówili tylko o miłości, bo nie mieli innych tematów.

Żabko, króliczku, ślimaczku, sarenko. Wilczku, zajączku, skarbie, kochanie. Naokoło było życie, a my byliśmy poza nim, miłość, tylko miłość, przez rok mówiliśmy tylko o miłości właśnie dlatego, że miłości nie było!

Głóg trzy razy ścinany, trzy razy łączył jeden grób z drugim, w ciągu nocy wyrastał ponad kaplicę, pałac miał być z kryształu, miał pachnieć różami i świecić o poranku, a trzynastoletnia dziewczynka dotykała bicia serca końcem noża – „Tu jest twe miejsce! Zbawczy puginał...” – i padała w dół, w mrok grobowca, Panowie miłośnicy! dobrzy rybałtowie dawnych czasów, Beroul, Thomas i przewielebny Eilhart, i mistrz Gotfryd opowiedzieli tę opowieść dla tych, którzy miłują, nie dla innych – co mamy z tym wszystkim wspólnego? Zmarnowaliśmy taką szansę! Niestety, kochane dziewczę, cóż znaczy ten śpiew, i szalenciec bez pośpiechu oddalił się tańcząc. Niech Bóg ma kochanków w swojej pieczy! Co mieliśmy z tym wszystkim wspólnego?

Na ulicach wyrastały barykady, i wracało się z wiecu, i wracało się z bitwy do tego, co nie było ani rzeczywistością, ani miłością – Dotknij mnie obejmij pocałuj. Moja śliczna, moja ciepła – co to miało wspólnego z życiem, ten romans, ten głos przez telefon, ten samochód i „Why don't my mother love my hair?!!!” z malutkiego magnetofonu, który Martha trzyma na kolanach, i motele, hotele, wynajęte pokoje, restauracje i bary, i butelki, wypijane wieczorem, zanim się poszło do łóżka, i łóżko też, co to miało wspólnego z rzeczywistością, i pocałunki, kotku, wróbelku, kanarku, a potem wstyd, że się to przeżyło. – Ach, panie! Wiemy, czym jesteśmy, ale nie wiemy, co się z nami stanie. Trzecia w nocy, niebo już prawie jasne. Czarne

domy, czarne okna, nie wracać, teraz na koniec świata, iść teraz na dworzec i do któregoś z pociągów, w którymkolwiek kierunku, w jakimkolwiek miejscu... Powiadają, że sowa była córką piekarza. Już schody! Na jak długo? Dzień? Dwa? Wieczność pustki do następnego spotkania. Niech wam Bóg pomaga przy wieczery. „Kochaj mnie!” – „Kocham cię”. – „Ale naprawdę!” – „Naprawdę”.

Z okna, z półmroku schodów: ciemna sylwetka, odchodząca szybko pod jasnym, sinawym niebem, między czarnymi budynkami: mrok zepchnięty z nieba (już jasno!) na ziemię, słońce ukryte, jeszcze przed wschodem... Boże was chroń, panowie, obyście mogli żeglować szczęśliwie! Ku jakiej ziemi płyniecie? – Do Tyntagielu. – Do Tyntagielu? Ach panowie, weźcie mnie ze sobą!

I tak przez rok! Żadnego innego tematu: kiedyś zaczęła mówić mu swój ulubiony wiersz, ale jej przerwał, bo właśnie stali przed domem, w którym mieszkał w dzieciństwie. Kiedy indziej przeczytał tekst jej przemówienia, i powiedział, że to czysty faszyzm: ich jedyna rozmowa na inny temat!

– Wezwanie do użycia siły jest czystym faszyzmem!

– A jak zwyciężyć bez użycia siły?

– Demokratycznie!

– Ach, demokratycznie! Daj spokój, my się nigdy nie zrozumiemy, nawet nie warto rozmawiać.

Faszyzm, Martha, to jest czysty faszyzm: zachwycać się Komuną Paryską! Równie dobrze mogłabyś uwielbiać Hitlera. I uwielbiasz go, prawda? Na pewno go uwielbiasz! Walka zbrojna! Kpiny z parlamentu! Nazywać demokrację spróchniałym szkieletem dawnego bohatera! Faszyzm, mówię ci, Martha, to jest czysty faszyzm, mówię ci, Martha... – Ach, daj spokój, przestań, przestańmy o tym rozmawiać, przestań, wilczku, pocałuj mnie, pogłaszcz mnie, wilczku, proszę, tutaj, dotknij mnie tutaj, ach, skończ z tym tematem, o, tak mnie dotknij, ach, jak mi dobrze, wystarczy, że mnie dotkniesz, a prawie mdleję, o Boże, ja zaraz zemdleję, wilczku, zającu, jeszcze trochę, jeszcze ciągle, zawsze, nie przestawaj, nigdy nie przestawaj...

I tylko jeden powrót do tego tematu: przygotowywała coś o faszyzmie, w jego mieszkaniu, siedząc przy jego stole pisała szybko o Hitlerze i tak dalej, „Ach, o Hitlerze!” – powiedział – „czy dałaś dostateczny wyraz swemu uwielbieniu?” A przecież nie mogła z nim zerwać, nikt inny nie umiałby jej tak dotykać, tego nie mogła się wyrzec, więc tylko: „Tak, dostateczny... chodź tu do mnie, ach, zdejmij to. Boże mój, zdejmij szybciej!”

A jednak, mimo wszystkich kompromisów, mimo wszystkich „Pocałuj mnie”, kiedy aż sztywniała z nienawiści, mimo tego wszystkiego, po roku: „Martha, nie możemy się pobrać, długo nad tym myślałem, wszystko nas dzieli, jesteś za wielką indywidualistką na małżeństwo, no i różnice światopoglądowe, to znaczy, ja nie mam światopoglądu, a poza tym, w gruncie rzeczy, Martha, ty mnie nie kochasz”, może wystarczyłoby parę pocałunków, żeby to naprawić, ale już nie chciała naprawiać, zbyt zmęczona tym wszystkim – przez rok rozmawiać tylko o miłości z braku innych tematów! kto by to wytrzymał? – i powiedziała tylko: „Wynos się!”, a kiedy wyszedł, zaczęła robić wyciąg z najnowszych gazet amerykańskich, wszystko o Irlandii.

I raz na zawsze koniec z poważnymi historiami!

Tylko po nocach, i w ciągu dnia, w którejkolwiek chwili, przypomnienie i udreka: nikt już nie robi tego tak jak on, nigdy, z nikim, małżeństwo to bzdura, ale gdyby można było zawrzeć z nim układ, na dziesięć lat czy do końca życia: zwykłą umowę handlową, będzie do niej przychodził dwa razy na tydzień, nie powie ani słowa, będą się kochali, ona będzie mu płacić... ale trudno zaproponować coś takiego człowiekowi, z którym rozmawiali tylko o małżeństwie, ciągle o małżeństwie, więc trudno: przygody, hotele. A zresztą to drugorzędne, trzeciorzędne, pięciorzędne!

Tak więc doszła do dwudziestu czterech lat pozbywszy się wreszcie nierzeczywistości i złudzeń: teraz tylko prawda! Nic prócz prawdy! Estravados powiedział już ostatnie słowa, zastygł na moment z pięścią uniesioną w górę, wszyscy zerwali się z miejsc, E-STRVA-DOS! E-STRVA-DOS! CUBA SI, YANKEE NO! CZERWONA HISZPANIA! CZERWONA EUROPA! Ale jedni znów wołają swoje:... TROCRI! ROSA!, a inni: ... STALIN! MAO! – i znowu bitwa haseł, w ten sposób nigdy nie wypracujemy wspólnej linii, do diabła, czym obrzucają jedni drugich? Prawdą czy symbolami? Co znaczą te nazwiska? Czy to istota rzeczy, czy tylko słowa? A jeżeli jedność – to według jakiej linii, na jakiej podstawie? Niech żyje wolna Irlandia!

3

– Ktoś musi zacząć.

Wiecznie te same słowa! Wiecznie te same słowa, a taki mamy piękny świat, taki ciekawy świat, można być za rewolucją, więcej: nie można być przeciwko rewolucji, ale taki mamy ciekawy świat, jasne, rewolucja, o to właśnie chodzi: kiedy pomyślisz, że przyjdzie rewolucja i zniszczy to wszystko, Jean-Pierre, dopiero wtedy widać, jakie to piękne, wszystkie te głupstwa, które skończą się zresztą bez rewolucji, samego czasu wystarczy, więc o co chodzi? Zobacz, Jean-Pierre, to zupełnie jak o nas, to jest prawdziwe, spójrz tylko, Jean-Pierre, jaka w tym prawda!

Na rysunku w „Jours de France” para leży na łóżku, nad łóżkiem rewolucyjny plakat, w rękach rewolucyjne gazety, nawet spodnie i koszulki, jakie oboje mają na sobie, są rewolucyjne; dziewczyna ma ładniutką, nadąsaną buzię, podparła podbródek zaciśniętą pięścią i mówi do chłopca: „Boję się jednak tego świata, o który walczymy. Świata, w którym nie będzie przeciw czemu protestować!”

Niczego nie rozumiesz, Sylvie... ależ, Jean-Pierre! Niczego nie rozumiesz, Zjemy coś? Tak. Na rysunku w „Jours de France” siwowłosa staruszka robi na drutach; wchodzi młoda dziewczyna z transparentem i skarży się: „Nie jesteś miła, mamó! Nigdy nie przyjdiesz popatrzeć, jak manifestuję!”

Na ścianie wszystko, co powinno być na ścianie: Che Guevara w czapce z pięcioramienną gwiazdką (dobito go, rannego, we wsi Higuera, po torturach, serią z automatu od pasa w dół, żeby nie umarł od razu: straszliwe męki do chwili, w której któryś z żołnierzy, pijany, strzelił jeszcze raz), plakat Toulouse-Lautreca z May Milton w nocnej koszuli i czarnych pończochach, ten sam plakat, który wisiał w pokoju Picassa podczas jego Błękitnego Okresu, i jeszcze flaga wietnamska: słuchaj, Sylvie, o co ci chodzi z tym starym światem?

Ach, wszystkie te piękne rzeczy, które są naszą epoką, a których potem nie będzie, nigdy nie będzie, i będzie się o nich czytało jak o dyliżansach, albo jak o dorożkach na gumach, mieszkaniach oświetlonych gazem i o spódnicy Klaudyny, krótkiej, bo sięgającej tylko do ziemi... owszem, coś z tego zostało, *le col Claudine*, ale nic więcej! Reklamy w czasopiśmie: codziennie budzisz się z fanfarami, bo na śniadanie są biszkopty Gringoire! albo: Pierwsze perfumy dla kobiety samodzielnej!, a jakiś mężczyzna pisze do Kuriera Serc: „Kiedy wróciłem z wakacji, zobaczyła na moim palcu pasemko nieopalonej skóry i domyśliła się wszystkiego...” – mówisz, Jean-Pierre, że w społeczeństwie przyszłości nie będzie cudzołóstw, kłamstw, podwójnego życia, że ludzie będą wobec siebie bezwzględnie szczerzy, będą się porzucali, ale nie zdradzali, nie upokarzali; ale, Jean-Pierre, czy wtedy nie będzie nudno?

4

– Porażka nie jest argumentem – mówi Estravados, obrysowany ostrym światłem, z uniesioną, zaciśniętą ręką, podkreślającą swym ruchem padające słowa – i tysiąc porażek także nie jest argumentem dla zaprzestania walki... Jakim wspaniałym argumentem przeciw rewolucji była klęska 1905 roku! Lenin nie przyjął tego argumentu, i ponieważ za drugim razem zwyciężył, tchórze i nędznicy, tacy sami, jak ci, którzy dzisiaj – nazywając siebie marksistami! – piętnują jako awanturników i idealistów ludzi, którzy zginęli, dlatego właśnie, że zginęli, tacy właśnie nędznicy i tchórze upadli przed nim na kolana! A gdyby rewolucja zwyciężyła dopiero za trzecim razem? Gdyby interwencja osiemnastu państw odniosła skutek, gdyby rewolucję i tym razem pokonano, czy komuniści powinni byli przestać walczyć? Ci, którzy potępiają nas za to, że nie ograniczamy się do bogobojnej, grzecznej, miłej działalności związkowej, do popierania podwyżek płac i budowy żłobków, ci, którzy potępiają nas za to, że walczymy o przełom społeczny, potępiają jednocześnie Lenina i partię Lenina, która poniosła klęskę w 1905 roku! Potępiają Komunę Paryską! Potępiają rewolucję hiszpańską, za którą zginął mój ojciec, potępiają rewolucję indonezyjską; i potępiają także pierwszą, nieudaną rewolucją chińską, pierwszą, nieudaną rewolucję kubańską... Ale my odpowiadamy im oto z tej sali – mówię w imieniu wszystkich, którzy teraz na tej ziemi walczą czynnie w imię rewolucji socjalistycznej – odpowiadamy im oto, tchórzom i oportunistom, karierowiczom z legitymacjami partyjnymi, obrońcom imperializmu; odpowiadamy im oto: nie zatrzymamy się. Nie przerwiemy walki. Nasze zwycięstwo będzie dla nich najlepszą odpowiedzią. Niech żyje proletariacki internacjonalizm! Niech żyje rewolucja!

5

Przeżyliśmy Maj! Przeżyliśmy Maj, a co po Maju?

Jean-Pierre, nieś sztandar! Czarny sztandar w rękach Jean-Pierre'a. WSZYSCY JESTEŚMY NIEMIECKIMI ŻYDAMI! Kilkadziesiąt tysięcy pod Łukiem Triumfalnym, sztandary są czerwone i czarne, Międzynarodówka. To już rewolucja! Mamy sztandary, mamy wszystko, czego trzeba: to już rewolucja! Sztandary i portrety: gruby Chińczyk, podobny do Wisznu, do tego Wisznu, którego posążki sprzedaje się od lat jako posążki Buddy, Chińczyk, który prowadził Wielki Marsz, mając przy sobie tylko drewnianą miskę na ryż i zeszyt, w którym, na postojach, pisał wiersze: MAO! VIVE! A BAS! LONG LIVE! DOWN! Chudy Trocki w binoklach; rewolucja permanentna, rewolucja światowa, pociągi pancerne, płomienne przemówienia, rozpięty szynel i czapka z gwiazdką, polowanie na tygrysy w Turcji i „La Révolution trashie”: VIVE! A BAS! LONG LIVE! DOWN! Ho Chi Minh: rewolucja wietnamska! Lenin! MARKS! – ENGELS! – LENIN! – TROCKI! – ROSA! Inny portret: mężczyzna z wąsami, w wojskowej bluzie: MARKS – ENGELS – LENIN – STALIN – MAO! Niech żyje anarchia! Bakunin! Czerwony szalik na szyi Augusta Comte'a, pomnik w czerwonym szaliku! Czerwony sztandar wetknięty w dłoń innego pomnika! To już rewolucja! Samochody burżujów na barykady! Podpalić barykady, zanim je opuścimy! ZABRANIA SIĘ ZABRANIAĆ. Komuniści zdradzili! REVOLUTION – COPULATION. Co za idiota to wymyślił!? Ośmieszają nas tylko! W każdej chwili może wkroczyć wojsko! Rezerwa robotników! Strajkują, ale nie przyłączają się! Wina komunistów. Zdradzili. Nie, my tu jesteśmy komunistami. A my nie. Rewolucja! Nowy Październik! Nie: nowy 1905. Klęska.

Przeżyliśmy Maj, a co po Maju?

– O co ci właściwie chodzi, Sylvie?

Tym razem nie mówi już o pięknym starym świecie, o jego najpiękniejszych rzeczach, których byłoby szkoda, a które trudno jej nawet wyliczyć, biszkopty GRINGOIRE, boutiques Sheila, nie:

– Jak długo to będzie trwało?

– Sam siebie pytam!

Siedzą obok siebie na łóżku, pod plakatem z Guewarą, oboje w dzinsach i białych podkoszulkach, Sylvie zgarnia ręką czarną grzywkę, która ciągle rozjeżdża się na dwie strony, zamiast zasłaniać porządnie całe czoło: „Rewolucja, rewolucja, a teraz co?”

Pustka!

– Roland, co teraz będzie?

Roland nie wie, co będzie, ale nie można się załamywać, coś trzeba robić! Wszyscy do Mao Spontex: Roland zamieścił już dwa artykuły w „Vive la révolution”, ten chociaż coś robi... a więc?

– A więc? W każdym razie nie siedzieć beczynnie! Robimy burżujom gorące lato, tak czy nie?

O tym mówią wszyscy: zrobić burżujom gorące lato! W tym roku zamiast wakacji będą mieli wojnę domową!

Partyzantka w środku Paryża, to ma swój urok: Sylvie, podaj pędzel. I czerwoną farbą na białym samochodzie: Precz z V Republiką! Albo: Pokój dla Wietnamu! Albo: Niech żyje Mao!

NIECH ŻYJE REWOLUCJA!

Napisali to na murze, wielkimi, mocnymi literami, trochę krzywo, ale taki pośpiech... I już kask policjanta. Uciekać! Tupot nóg po chodniku. To jednak coś!

Przebijają opony samochodów, tych najdroższych. Albo kamieniem w szybę. Kamieniem w witrynę. Czerwoną farbą na murze.

Czerwoną farbą na karoserii: **GLINY PRECZ!**

NIECH ŻYJE NOWY RUCH OPORU!

Dobrze, ale co więcej? Co dalej? Gorące lato nie wyszło: nuda. Przeżyliśmy Maj, a co po Maju?

Profesor Wiener nie miesza się do polityki, nigdy się do niej nie mieszał; siwa broda rozczesana starannie i jedwabista, siwe brwi rozrastają się krzaczście nad błyskiem okularów, z chusteczki w kieszonce zawsze wyprasowanej marynarki bije zapach wody kolońskiej, drogiej wody; profesor Wiener ma zawsze cudownie wyczyszczone buty, przy niepogodzie nosi parasol, przed wykładem powoli, z denerwującym spokojem zapala cygaro, zakłada nogę na nogę, spodnie z idealnym kantem, i żadnej gołej skóry, żadnej owłosionej łydki nad piękną skarpetką, przed profesorem rozłożony brulion z notatkami, brulion jest elegancko oprawiony, pismo wyraźne, notatki porządne. Profesor Wiener jest poza polityką; ani się nie bratał z rozplamienionymi studentami, nie chwycił za sztandar, nie nosił w kieszeni czerwonej książeczki i nie sprzedawał „Cause du peuple”, kiedy pismo zamknięto, aresztowano dwóch kolejnych redaktorów, i kiedy każdy rewolucjonista za punkt honoru poczytywał sobie kolportaż „Cause du peuple”, każdy postępowy nie-rewolucjonista także, Sartre ostentacyjnie sprzedawał „La Cause” na ulicy, zastąpił nawet aresztowanych redaktorów, żeby bronić w ten sposób pisma: Jego nie ośmiela się aresztować! – nie, profesor nigdy nie zrobił żadnego z tych pięknych gestów, ani też nie wzywał policji, nie donosił, to oczywiście i najbardziej denerwujące: ten człowiek rzeczywiście starał się być poza polityką! Wierzył, że to mu się uda! Z czego składał się jego świat? Chciał być tylko uczonym: w takim świecie! Tylko uczonym, wśród tych wszystkich, którzy padają w błoto tuż po trzasku wystrzału, wśród tych wszystkich, którzy budują barykady i ślepną od gazów łzawiących; chciał być tylko uczonym po zobaczeniu tego

zdjęcia: trzech żołnierzy amerykańskich, odżywionych, roześmianych, fotografujących się na pamiątkę z obciętymi głowami trzech Wietnamczyków, nawet po tym! Powierzchnia ziemi pęka i rozpada się wokół niego, a on zakłada nogę na nogę, wyciąga chusteczkę, roztaczając na parę metrów zapach wody kolońskiej, zapala cygaro i zaczyna mówić o Bergsonie. Bergson!

Z czego składa się jego świat? W głębi, pod korą drobnych percepcji, pod powierzchnią rozszerzającej się i rozplywającej w świecie zewnętrznym kuli, pod warstewką ściętego lodu zewnętrzności trwa, przenikalna intuicją, ciągłość przepływu... Współodczuwanie intelektualne z tym, co najbardziej wewnętrzne w zewnętrzności: bezpośredni kontakt jaźni z samym sobą. Tym żyje: a świat?

Profesor wychodzi po wykładach, wieczorem, pada deszcz: rozłożył swój wielki, nowy parasol, jest ciemno. Przechodzi przez dziedziniec. Nagły ruch, trzy postacie, pojawiające się nie wiadomo skąd: „Le sale bourgeois!”

Ktoś wyrywa mu parasol, czyjaś ręka chwyta go za kołnierz: „Przeklęty burżuj!” Jego parasol, połamany na kawałki, tamci mają ze sobą młotek, mają nożyce, przygotowali się do tej chwili; wyciąga rękę – ratować! jego parasol! jego nowy parasol! – ale rękę mu wykręcono, czuje straszny ból, coś głośno chrupnęło, krzyczy. „Burżuj naucz się moknąć na deszczu” – mówi dziewczyna, i zrywa mu z głowy kapelusz, rzuca go w błoto, przydeptuje, tańczy na nim jakiś zwariowany taniec, triumfuje. „Jakie białe rączki!” – mówi chłopak, przytrzymując rękę profesora, który przestał już powtarzać: „Ależ to pomyłka... panowie... nie rozumiem... to bezprawie!”, oniemiał, nie wyrywa się nawet, zresztą odkąd stłuczono jego okulary, nie wie, jak się bronić, widzi wokół siebie mgłę, bez okularów przestał być sobą, jest słaby, straszliwie słaby, jest bezbronny. „Na litość boską!” mówi tylko, a chłopak powtarza: „Jakie białe rączki! No, zrobimy burżuja czerwonym, Sylvie, dawaj farbę! – i pacnięcia farbą po rękach, po twarzy, resztą zachlapano palto, „Wkrótce wasz koniec, burżuje!” – mówi jeden z chłopców, a potem wszyscy troje rzucają się do ucieczki, ktoś idzie, pospieszne kroki, profesor Wiener stoi nad resztkami swego parasola i kapelusza, nad okruciami szkła ze stłuczonych okularów, czerwony od olejnej farby, w schlapanym farbą palcie, do którego przyczepiono napis:

PRECZ Z UNIWERSYTETEM GLIN!

6

– Czy jedność jest możliwa? – pyta Dieter Wolt, i natychmiast dziesięć głosów jednocześnie: tak!

Obrady komisji do spraw zjednoczenia lewicy rewolucyjnej. „Czy jedność jest możliwa?”

– Tak – mówi Raymond Krivitzky, poprawiając fioletowy krawat w groszki – tak, ale na bazie marksizmu-leninizmu.

– To znaczy trockizm!

– Trocki i Róża Luksemburg byli jedynymi, którzy...

– Ale maoiści?

– Nikt bardziej od nas nie chce zjednoczenia: przypominam, że to trockiści od lat nawoływali...

– I nie zdołali nawet zjednoczyć się sami!

– Dążymy do tego.

W antyimperialistycznej to samo: Estravados na razie milczy, Martha Doherty już mówiła; „Jesteśmy za szerokim frontem, za szerokim frontem lewicy, całej lewicy...”

– Czy wraz z anarchistami?

- Tak.
- Nigdy!
- Rola anarchistów w rewolucji hiszpańskiej...
- Anarchiści nie są lewicą! Sami nie przyznają się do naszego ruchu! Zjednoczenie z anarchistami?
- A z Mao Spontex?
- Ci się uważają za maoistów!
- Zgódźmy się na jedno: chodzi nam o zjednoczenie wszystkich sił rewolucyjnych, w tym także o wyrwanie wartościowych kadr ze skorumpowanych partii komunistycznych...
- Także lewicowi socjaliści.
- Chwileczkę – odzywa się wreszcie Estravados – o czym właściwie mówimy: o zjednoczeniu szerokiego frontu sił postępu, czy – awangardy rewolucyjnej, która będzie kierować tym szerokim frontem?

Niektórzy pozakładali na uszy słuchawki, ale tłumaczki nie nadążają, gubią się: dyskusja po angielsku, trudno, każdy powinien znać angielski!

– Jak długo możemy czekać? – pyta Jean-Pierre. – Aż wygaśnie cały entuzjazm? Trzeba wreszcie zacząć! Ktoś musi zacząć!

Martha Doherty mieszka w tym samym hotelu, co David Sinclair; przerwa obiadowa. Spotykają się przy recepcji: Numer 82! – mówi Martha. Numer 104! – mówi Sinclair; biorą klucze i patrzą na siebie.

– „Nareszcie się spotkaliśmy, to śmieszne, znać siebie nawzajem tylko z gazet!” – „Nigdy nie widziałam zdjęcia, czytałam tylko, czytałam *Rewolucja to sposób bycia* i tak dalej, nie zgadzam się z panem...” – „Mamy okazję podyskutować na Kongresie, napije się pani?” Bar jest obok recepcji; wnęka, lada, za ladą bateria butelek, barman w białym kitlu. „Gin z tonikiem” – mówi Sinclair.

– Dla mnie coca-cola.

Zapalają papierosy. „Umie pani wróżyć z ręki? Ja umiem”. Bierze jej rękę, otwiera, dotyka palcem linii: normalny początek przygody. Martha patrzy już na to tak obojętnie... „No i co mnie czeka?”

– Nie dokonała pani jeszcze żadnego decydującego wyboru: w sprawach serca wszystko w zawieszaniu, wszystko się jeszcze może zdarzyć; linia życia długa, ale też poplątana, niezdecydowana... Spełnienie ambicji na pewno.

– Ach, ambicji!

– Wstąpimy do mnie na drugiego papierosa?

– Nie wiem...

– Wstąpimy! Tylko na chwilę!

– To piętro wyżej, tak?

– Piętro wyżej? Nie, dwa piętra!

– Piętro wyżej od tego, na którym ja mieszkam.

– Ach, tak! Piętro wyżej.

Winda, korytarz, klucz w zamku: pokój, niezupełnie taki sam, łóżko stoi inaczej, kanapa jest brązowa, szafa z lustrem, a u niej jest bez lustra; na szafce nocnej leży otwarta książka. Martha nachyla się nad nią: komiks! Czytasz komiksy?

– Komiksy to cała nasza epoka, streszczenie naszej epoki, coś najbardziej dla niej typowego!

– A mnie nudzą.

– Nie pocałujesz mnie?

– Dlaczego miałabym cię pocałować?

– Pocałuje mnie!

Pocałunek, i przerażenie Marthy: to ją nudzi! To już ją nudzi!

A więc – czy to możliwe, żeby on był podniecony? Żeby czuł cokolwiek innego, niż tę nudę i absolutną obojętność, nic więcej, ani przyjemności, ani przykrości, niczego? Dopiero w takich chwilach widzi się cały sens miłości: gdyby tu byli z tamtym, z jej jedynym romanssem, zaraz po zamknięciu drzwi padliby sobie w ramiona, zaczęliby tańczyć po pokoju. „Jak się cieszę, że jesteś tu ze mną!” – „Jak się cieszę, że jestem tu z tobą!” – „Nareszcie sami!” – „Wilczku” – „Sarenko” – „Zajączku”. Sens miłości! Ale miłość niszczy wszystko, co wartościowe w człowieku, więc? Więc lepiej żyć właśnie tak, jak w tej chwili. „Gorąco tutaj”, mówi David Sinclair i zdejmuje marynarkę, Martha zsuwa z nóg pantofle, „Rozbierzesz się? – „Dlaczego miałabym się rozebrać?”, pyta Martha tak znudzona, że robi jej się niedobrze. „Mówię ci, że się rozbierzesz”, to miało być czułe, całuje ją w ucho i szyję, całuje ją w usta, o Boże, to jest nudne, nudne, nudne! Co się stało z tą dawną radością? Są teraz nadzy, leżą na tej brązowej kanapie: nudno! A potem już pierwsza sekunda zmusza Marthę do krzyku, szamocze się pod nim, drży, szarpie palcami kapę, jęczy, popłakuje, oddycha coraz szybciej, tak szybko, że prawie się dusi: to automatyczne, to normalne, to jedyny sens takich chwil. I już koniec; David Sinclair wyciąga się obok niej i pomrukuje. „Co?”

– Nic... jest mi dobrze.

Znowu jest nudno, nudno, nudno; dzięki Bogu zaraz zacznie się sesja popołudniowa, za chwilę będzie coś, co naprawdę ma sens, no, koniec z tym, wyciąga rękę po swój zegarek, zdjęty przed chwilą: to już przeszłość.

7

Tak, zwyciężyli! W Madrycie i w Genewie, w Sewilli i w Barcelonie, tak, jak zwyciężyli potem w Dżakarcie i w Higueras, zwyciężyli najpierw w Katalonii i w Asturii, w Andaluzji i w Walencji, w Sierra Morena i w Kastylji, potem był Bandung i Sajgon, zwyciężyli! Od dnia, w którym przez radio rozległy się słowa: „Nad całą Hiszpanią bezchmurne niebo”, sygnał rebelii faszystowskiej, po tę straszną śmierć w Higueras, w pustej szkolnej klasie: tyle razy zwyciężyli! Ojciec zginął pod Brunete, na brzegu Guadarramy: w nocy widział pożary od bomb zapalających, płonęły lasy, ogień pełzał po polu, huku samolotów nie słyszało się już wcale, oczy same zamykały się ze zmęczenia; dalej był Madryt. Na ulicach Madrytu pisano jeszcze NO PASARAN!, nad ulicami rozwieszano transparenty: NO PASARAN!

EL FASCISMO QUIERE CONQUISTAR MADRID
MADRID SERA LA TUMBA DEL FASCISMO”²

Tymczasem czołgi faszystowskie doszły pod Brunete, ojciec zginął, zginął w bitwie, która jednak została wygrana, ale i tak przegrano wojnę. Przegrano wojnę, nad całą Hiszpanią bezchmurne niebo, msze dziękczynne i bijące dzwony w kościołach, tego już nie widział, rozdzwoniona, dziękczynna Hiszpania z Franco klęczącym przed ołtarzem i z trupami wyrzucenymi z grobów została za nim. Zdażył jeszcze zobaczyć Brygady Międzynarodowe defilujące po raz ostatni przed przekroczeniem granicy w Perthus, milczącą defiladę, straszliwie smutną: ci też opuszczali Hiszpanię, tak samo, jak on, dziecko z matką; Los Voluntarios de la Libertad!³ Trzydzieści tysięcy cudzoziemców, walczących za republikę hiszpańską; potem największe pragnienie przez całe życie: powtórzyć to! Niech to się stanie regułą, w każdej naszej walce: Los Voluntarios de la Libertad! Odkąd tylko znalazł się, Hiszpan, na drugiej półkuli, na kontynencie mówiącym po hiszpańsku: jego walka w rewolucji kubańskiej! Potem w partyzantce! Głupcy i dranie będą to potępiać, idealisci i dranie będą pleść o idealizmie i donki-

² No pasaran...(hiszp.): Nie przejdą. Faszyzm chce zdobyć Madryt. Madryt będzie grobem faszyzmu.

³ Los voluntarios...(hiszp.): Ochotnicy wolności.

szoterii: tak, świat (być może) można zmienić bez cudzoziemców, ginących za obce kraje, ale człowieka? A czym będzie zmieniony świat z nie zmienionymi ludźmi?

Przeegraliśmy!

Zwyciężyliśmy!

Wkraczamy do Hawany!

Niech żyje rewolucja!

Biurko z dzwoniącymi telefonami.

Wiece. Jeden po drugim. Przemówienia. Jedno po drugim. Pisać. Dyktować. Telefon. Podpisać. Oddać. Przesłać. Telefon, telefon, telefon.

1 Maja w Pekinie, na Placu Niebiańskiego Spokoju! Tłumy, przelewające się przez miasto. Pokaz ogni sztucznych nad Placem Niebiańskiego Spokoju: rozpryskująca się na czarnym niebie tęcza.

Szanghaj.

Wychował się na tej książce: książka, którą czytał na studiach, w Rio de Janeiro, podręcznik rewolucji dla inteligentów (ale przecież miał za sobą Hiszpanię, Hiszpanię dziecka, i ludzi, żegnających Hiszpanię w Perthus), stąd pierwsze, niecierpliwe pragnienie: mieć pokój na najwyższym piętrze hotelu, i żeby już prędzej była noc: wyjrzeć przez okno, spojrzeć w dół, i zobaczyć Szanghaj Malraux. Morze ruchomych świateł. Tysiące, miliony światełek. Światła! Nigdy nie wiadomo, co właściwe oświetlają.

Afryka.

Branie pieniędzy za broń jest zbrodnią! Kto podejmie się zbiórki pieniędzy na broń dla rewolucjonistów Afryki i Ameryki Łacińskiej? Godzą się tylko trockiści.

Rok w Afryce: praca polityczna, przede wszystkim, praca polityczna od podstaw, tyle do zrobienia! Ale jak dać im broń? Jak ściągnąć tu ludzi – z Europy, Azji, Ameryki! – w jaki sposób stworzyć znowu brygady międzynarodowe, brygady międzynarodowe innego świata?

Awanturnik! – piszą postępowe gazety – odeszliśmy od eksportu rewolucji!

Ameryka Łacińska, dżungla, muły, błoto, Ramon tonie podczas przeprawy, w oddziale jest Francuz, jest Niemiec: to już początek! Argentyna, Brazylia, Boliwia, Kuba. Tych parę narodowości – to już początek wielkiego marzenia. W plecaku tom Marksa, tom Lenina, tom Trockiego, w najbliższej kryjówce wymieni się te książki na inne.

– Należy podsumować sytuację. Jest dobra. Mimo popełnionych przez nas błędów jest dobra. Strajk górników. Przetargi w rządzie. Nie zmniejsza to ciężaru popełnionych przez nas błędów. Zastanówmy się...

Jesteśmy za pokojowym współistnieniem – piszą postępowe gazety. – Estravados dostarcza kapitalistom argumentów!

Jedna linia, główna linia życia: od Perthus do śmierci, to jedno jest pewne, skończy się w chwili śmierci.

Eksport rewolucji! – piszą postępowe gazety – mieszanie się w wewnętrzne sprawy innych państw – argument przeciw nam!

Walka musi zawierać ryzyko, do zwycięstwa dochodzi się po stopniach, którymi są kłęski; ale niczego się nie osiągnie bez walki!

Jeżeli zwycięży, będzie to tak, jak gdyby Madryt i Grenada, Sewilla i Barcelona, Dżakarta i Higuera były tylko tymi stopniami: wielkie, straszliwe schody.

8

Na rysunku w „Jours de France” grubas czyta gazetę, za jego fotelem staje rozpromieniona dziewczyna: „Spłaciłeś wreszcie swój dług wobec rewolucji, tatusiu! Rozbiłam twój samochód, jadąc rozklejać plakaty!”

David Sinclair jest w Paryżu: nosi czerwony sweter i czarne wąsy, ręce trzyma w kieszeniach. Spotkali się, pokój pełen dymu, zatłoczony, siedzą na podłodze, na łózkach, rękami obejmują kolana. „A więc” – pyta Sinclair – „co to dla was znaczy – być rewolucjonistami?”

– Robić rewolucję! – woła Roland, ale Sylvie już wpada w jego słowa:

– Żyć rewolucją!

– Zmienić życie, zmienić moralność!

– Zmienić stosunki społeczne!

– Ale słuchajcie, dlaczego właściwie chcemy rewolucji?

– Bo to jest piękne! – woła Jean-Pierre, a David Sinclair mówi:

– Ale przecież... słuchajcie, w teorii, to prowokacyjne pytanie, ale mówię: w teorii – czego nam brak w starym społeczeństwie?

Głośny wybuch śmiechu.

– Wszystkiego!

– Społeczeństwo, w którym się dusimy...

– Ale słuchajcie, to jest prowokacyjne pytanie, ale musimy sobie takie pytania zadawać: społeczeństwo kapitalistyczne przeżywa prosperity. Średni poziom rośnie. Wolność osobista jest większa niż kiedykolwiek...

Znów wybuch śmiechu.

– Wolność? Wolność osobista?

– Widziałeś, co robią z tymi, którzy sprzedają „Cause du peuple”?

– Nie popieramy „Cause du peuple”.

– Przepraszam, ja popieram.

– Wolność osobista! Jeżeli za ubiór nie podobający się policji dostaje się pałką...

– Jeśli masz w kieszeni gazetę lub książkę, niezgodną z głęboką filozofią glin...

– ... z ich epistemologią, ontologią, etyką i estetyką...

– Jeżeli masz „płyty goszystowskie”! Jeżeli masz „pisma goszystowskie”! Wolność! W ciągu całego stulecia tylko podczas okupacji zdarzały się takie rzeczy, jak to, co w 1970... aresztowanie dwóch redaktorów naczelnych! Francja...

– Francja była ostatnim bastionem wolności, ale już nim nie jest.

– Dlaczego nie wolno zażywać narkotyków?

– Tak: dlaczego za moje własne pieniądze nie wolno mi kupić narkotyków? Co to komu szkodzi?

– Huxley miał rację: w społeczeństwie przyszłości, pamiętacie, każdy dostawał za swoją pracę narkotyki.

– Wolność! To kpiny!

– Mamy większą wolność seksualną...

– Śmieszne! Tam, gdzie istnieje przymus społeczny, zmuszający do małżeństwa...

– Ale czym ma być rewolucja? Tym, czym jest dla tych stęchłych, dogmatycznych...

– ... dla oficjalnych partii...

– Wyzysk klasy robotniczej! Czy o to nam chodzi? Wnoszenie świadomości do klasy robotniczej, skoro do niej nie należymy! Czy o to nam chodzi?

– Nie.

– Komuniści z tym ich ple-ple-ple...

– Mów: oficjalni komuniści.

– Oficjalna lewica! Klasyczna lewica! Śmiechu warte!

– Nikt nie chce socjalizmu w stylu oficjalnych, komunistycznych...

– Mów za siebie.

– Ty chcesz?

– Ale nie mów: „nikt”.

– Czego nam brak w społeczeństwie kapitalistycznym?

- Szczęścia – mówi Sylvie, i wszyscy milkną.
- Tak – powtarza David Sinclair – szczęścia.

A więc?

– A więc – mówi David Sinclair – chodzi o sam stan rewolucji, o uczucie rewolucji, o przeżywanie rewolucji, niepotrzebna nam partia, ideologia, program: sami zrobimy rewolucję. Wystarczy postawa rewolucyjna. Jeżeli wszyscy będziemy mieli postawę rewolucyjną, niepotrzebne będzie nic więcej.

– A Estravados?

– Ach, Estravados! To wspaniały człowiek, ale dogmatyk... chce jedności ze skrajną lewicą, bo oficjalna uczepliła się pokojowej drogi i walki parlamentarnej, ale co on ma z tym wspólnego? To klasyczny marksista! Żelazna dyscyplina i tak dalej, co oni zrobili na Kubie? W końcu to jeden z paru ludzi, którzy stworzyli dzisiejszą Kubę – i co z niej zrobili?

– Na Kubie mają uroczyste śluby! – woła z obrzydzeniem Roland.

– Tak samo, jak w Sowietach, w Sowietach po ślubie robią przyjęcia w restauracji „Bocian”! Wiecie czemu? Bo według nich bocian przynosi dzieci. Tak, jak u nas mówi się, że w kapuście...

– Niemożliwe!

– Tak.

– Na Kubie mają bardzo porządne motele dla par odrzucających małżeństwo, anonimowe i tak dalej... ale dlaczego tylko dla par? I to różnej płci? To moralność burżuazyjna! To nie jest rewolucja!

– Komuniści we wszystkim zgadzają się z burżujami. Świętość rodziny...

– To szczyt wszystkiego!

– Jak ktokolwiek uczciwy może popierać mieszczańską rodzinę?

– Przede wszystkim zniszczyć rodzinę! To pierwszy krok do rewolucji!

– Tak: najpierw zniszczyć rodzinę!

Wszyscy się zgadzają: wszyscy za, nikt przeciw. Poniżenie. Więzienie dla dwojga ludzi. Ktoś, kto przestaje kochać, jest sztucznie przykuty przez społeczeństwo do niekochanego, musi go upokarzać, choćby nie chciał; a utrudnienia przy rozwodzie? Na ścianie wisi najmłodniejszy plakat: wielka, zaciśnięta pięść; palą papierosy, sadowią się wygodnie na łóżkach, poprawiają na podłodze.

– A w Ameryce, David? Jak robicie rewolucję w Ameryce?

– Weathermen...

– Meteorolodzy?

– Tak... mają kolektywy w dwunastu największych miastach Stanów, w tyłu, ile jest miesięcy w roku i mieszkają po dwunastu w jednym pokoju. Zamiast KC mają Biuro Meteorologiczne, wydają „Biuletyn Pogody” – wiadomości polityczne; poza tym wszystko na oczach wszystkich, seks i tak dalej, wszystko społeczne, nie prywatnego... Lekcje karate. Gimnastyka. Szkolenie polityczne. Sesje krytyki i samokrytyki. Zajmowanie wyższych uczelni, barykadowanie drzew, bitwy z policją...

– Są sukcesy?

– Średnie.

– Manifestacje?

– Po kilkaset osób.

– Jak się zabraliście w Ameryce do likwidacji rodziny?

– Dajemy przykłady innych rozwiązań: komuny. Małżeństwa grupowe. To samo, co wszędzie. Izolacji od społeczeństwa przeciwstawia się życie w kolektywie.

Tak, życie w kolektywie! A jednak jest w tym coś paskudnego: trudno się tak od razu przyzwyczaić, Jean-Pierre, Sylvie i Roland żyją we trójkę i dobrze im z tym, ale nie wszystkim jest równie dobrze, trudno się przestawić, to nie znaczy od razu, że się chce małżeństwa!

Ale tak trudno znaleźć jednego odpowiedniego partnera, nie do łóżka, tylko do życia razem, a całą grupę?

– To wina stalinizmu – wzdycha Louis, trockista z Ligi – w pierwszym okresie rewolucji zniesiono rodzinę i wszystkie te świństwa, zniesiono małżeństwo, a potem? To największa zbrodnia stalinizmu! Przywrócenie tradycyjnego małżeństwa, utrudnienia przy rozwodach, zakaz przerywania ciąży!

– A odznaczenia dla wielodzietnych matek? Jak we Francji!

– Czy to jest rewolucja?

– To największa zbrodnia Stalina!

– Więc co robić?

– Żyć rewolucją! Być żywym przykładem!

– A konkretnie? Co robić?

David Sinclair nie wie, co robić.

Oczywiście znów przekłuwać opony, rozrzucić ulotki, malować hasła na murach, bić burżujów, zastraszać burżujów, nauczyć się robić bomby plastikowe, powtórzyć Sorbonę 68, zajmować inne uczelnie, tak jak wtedy Sorbonę... co więcej? Lansować życie w komunach, kompromitować jak się da tradycyjne, burżuazyjno-stalinowskie formy moralności. Kłamliwej moralności! Skoro nie ma monogamii – widzieliście wierne małżeństwo? nigdy! nigdy! nigdy! ja, mówi Sylvie, spotykam może jednego żonatego na dziesięciu, który by mnie nie podrywał już przy pierwszym spotkaniu, a nie jestem jedyną dziewczyną na świecie, mogę po prostu nie być w guście dziesiątego! jasne, wszyscy wiemy! a z kobietami jest inaczej? nie ma wiernych małżeństw! może jedno na dziesięć tysięcy, skąd, co ty mówisz, Roland, rzadziej! nigdy! – skoro więc nie ma monogamii, trzeba zwalczać to kłamstwo tak, jak zwalczamy wszystkie burżuazyjne kłamstwa... tak samo mit demokracji, mit parlamentu!

Własnym życiem udowodnić...

– Ale co udowodnić własnym życiem ?

Roland milczy, przygląda się tylko reszcie, wszystkim po kolei, pomyślał o czymś i wzdrygnął się.

9

Kochałam go, kochałam go; więc co nas rozdzieliło? Nie był pierwszy, nie był trzeci, nie był piąty: byłam już wytrenowana, wytresowana, nauczona zabijać siebie w każdej sekundzie, której się nie spędza samotnie, ukrywać smutek, ból, wszystko, nigdy szczerości, kiedyś myślałam: „Nigdy nie powiem «kocham» nie kochając”, a jednak powiedziałam; kiedyś nie chciałam kłamać, potem kłamałam każdym spojrzeniem, każdym oddechem; czego chciano ode mnie? Żebym była miła! Nie chciano niczego, co prawdziwe, niczego: miałam być miła. Nigdy nie robić wyrzutów. Nie żądać. Jeżeli chcę czegoś więcej, niż mi ofiarowują (dodatkowego spotkania, dodatkowych piętnastu minut, rozmowy o moim umierającym ojcu) nie powinnam proponować tego, żądać tego: powinnam błagać.

Nauczyłam się błagać, nauczyłam się kłamać każdą sekundą życia, a potem właśnie te kłamstwa nas rozdzieliły: dlaczego? Ta straszna niesprawiedliwość! Od dziecka słyszałam, że jestem tylko przedmiotem. Od dziecka czytałam, że moim życiem ma być miłość, i tylko miłość. Żeby nadawać się do miłości, żeby być w niej coś warta, musiałam stać się przedmiotem do kwadratu, do szczęścia! Nauczyłam się. Najpierw byłam szczerą, mówiłam: „Jest cudownie – Jest nudno – Boli mnie – Nie chcę – Musisz – Jak pięknie – Jak ohydnie”, potem byłam mądra, milczałam. Kiedy na moje pytanie, na moje pytanie o tydzień spóźnienia, o jego przyczynę, dostałam od José w twarz tyradę o zbrodni, jaką było to pytanie, groźbą, że jeszcze jedno – a odejdzie, bo nie lubi czuć się winny... Skąd miałam wiedzieć, że może być inaczej?

Co możesz wiedzieć o świecie, jeżeli nie wiesz nic nawet o mnie?

Jak możesz – tego nie rozumiem – jak możesz mieć od rana do wieczora usta pełne słów o skrzywdzonych i uciśnionych i głowę pełną myśli o skrzywdzonych i uciśnionych, a to, co zrobiłeś ze mną nie jest dla ciebie nawet myślą, nawet cieniem myśli! Jak możecie wszyscy wyznawać tę waszą ideologię, tę piękną ideologię, i deptać ludzi tak, jak mnie deptano, a potem jeść obiad i rozmawiać o rewolucji, mówić: „Jeżeli będziesz mi wypominać, że coś obiecałem, a nie dotrzymałem, odejdę, nie znoszę poczucia winy!”, a jednocześnie krzyczeć na wiecach: „Rząd nie dotrzymał swoich obietnic! Prezydent na szubienicę!” – i ja nie wierzę w twoją rewolucję, nie wierzę w twoją rewolucję!

Pablo Estravados, Chrystus rewolucji – mówią tak, a nie znają cię, ja cię znałam, dlaczego mnie porzuciłeś? Zostawiłeś mnie samą z dzieckiem w tym mieście z jego wieżowcami i oceanem, zostawiłeś mnie, żeby robić rewolucję, zostawiłeś mnie, bo nie wierzyłam w rewolucję, a jak mogłam w nią wierzyć? Znałam dwóch rewolucjonistów przed tobą, gęba pełna frazesów, w łapie czerwony sztandar, a naprawdę świnie, świnie, świnie: w życiu prywatnym świnie! A ty? Zostawiłeś mnie i dziecko, i pojechałeś walczyć Bóg wie gdzie, Kuba, Boliwia, Chile, Afryka, Azja, sama nie wiem! „Maria, to jest dla mnie ważniejsze od wszystkiego na świecie”. – „I ode mnie też?” – „I od ciebie”. I mogłam wypłakać oczy, i mogłam wyklęzczyć kolana, ważniejszy ode mnie był dla ciebie Stalin i Trocki, który z nich miał rację; ważniejsze ode mnie było to, czy słusznie rozwiązano Międzynarodówkę w 1942, i jak stworzyć nową Międzynarodówkę; rozumiałabym chociaż, gdybyś chciał w ciągu roku zbawić świat, to jest cel, ale ty chciałeś stworzyć nową Międzynarodówkę, która musiałaby walczyć jeszcze Bóg wie ile lat po twojej śmierci; chciałeś stworzyć nowe Brygady Międzynarodowe, chciałeś zjednoczyć prawdziwą lewicę, odciąć od niej wszystko, co skorumpowane, dogmatyczne, oportunistyczne, socjaldemokratyczne i tak dalej, sto razy to słyszałam! Pablito, czy to jest cel życia dla mężczyzny? Zarazić świat internacjonalizmem! Ja cię kochałam, kochałam, kochałam: a jeżeli umrzesz? I ta twoja wściekłość!

No to umrę, Maria, co to znaczy, co znaczy śmierć jednego człowieka, może to nawet miałyby sens, gdyby moja śmierć mogła stać się przykładem, człowiek ginący w imię internacjonalizmu, rozumiesz, Maria? Może to byłoby więcej warte, niż dziesięciolecia mrówczej pracy, zginać i w ten sposób narzucić światu ideę internacjonalizmu, choć na jeden dzień...

– Ależ ja cię kocham!

A ty na to:

– Maria, na litość boską, nie mów jak kwoka!

Co miałam zrobić? Co miałam zrobić? Jestem kobietą, kochałam cię: co mogłam zrobić?

Chciałeś, żebym została rewolucjonistką!

Przecież jestem kobietą.

A ty na to: Róża Luksemburg, Klara Zetkin, La Passionaria! I jednym tchem: jakieś dziewczyny z tej waszej partyzantki, jakieś Bóg wie co, daj mi spokój!

Nawet nie chciałam cię pożegnać, kiedy wyjeżdżałeś.

Człowiek jest przede wszystkim odpowiedzialny za swoją rodzinę! – a ty na to: A za świat? – Odpowiedzialny przed tymi, którym obiecał... – a ty na to: A obowiązek wobec siebie? Człowiek przede wszystkim nie ma prawa być szmatą! Właśnie, mówiłam, nie ma prawa porzucać żony i dziecka!

A ty: Nie ma prawa żyć spokojnie, kiedy świat...

– Daj spokój z tym twoim światem!

– Historia oceni tych wszystkich, którzy żyli w naszej epoce spokojnie, z rodzinami i miłośkami, jako zbrodniarzy!

– Ach, mówisz głupstwa!

A ty na to o tej twojej drugiej półkuli, z której w końcu jesteś, jakieś Niemcy, jakiś Hitler dochodził do władzy, a oni żyli spokojnie, między żoną a kochanką, jeszcze z miłymi boba-

skami na dokładkę; doszedł do władzy, patrzyli na płonące książki, na ginących ludzi, na pogromy, na zbrodnie, i żyli sobie spokojnie, między żoną a kochanką, jeszcze z miłymi boba-skami na dokładkę; a kiedy im kazano, poszli równie spokojnie mordować, palić, niszczyć – czy dopiero wtedy stali się zbrodniarzami? Czy też byli nimi przedtem? A więc i ja byłbym zbrodniarzem, gdybym choć jeden dzień mojego życia przeżył spokojnie... adios, Maria!

I tyle lat, tyle lat, czytałam o tobie, słyszałam o tobie, przez radio, nawet w Głosie Ameryki, Don Kichot – mówili w Głosie Ameryki, Amerykę Łacińską zbawi Sojusz na rzecz Postępu i opieka Stanów Zjednoczonych, nie marksizm-leninizm, marksizm-stalinizm, marksizm-maoizm... Pablo Estravados, człowiek wielkich możliwości i wyjątkowego charakteru, człowiek, którego nawet jego wrogowie muszą szanować, bawi się w rewolucję, jak harcerz w podchody! I: szkoda człowieka. Ach, jak ty błędziłeś! Odszedłeś ode mnie i powróciłeś: legendą.

Nagle zacząłeś pisać do dziecka, do małej: pisałeś do mnie i prosiłeś, żebym oddawała małej listy, jest już w takim wieku, że może zrozumieć wiele, dziewięć lat, dziesięć lat, jedenaście, pisałeś do niej: „Conchita, nie jesteś już małym dzieckiem, tak bardzo chcę, żebyś zrozumiała, dlaczego jestem daleko od ciebie, Conchita, tak strasznie chcę, żebyś zrozumiała rewolucję, musisz być rewolucjonistką, kiedy dorośniesz, prawdziwą rewolucjonistką, inni ludzie nic nie są warcy, wytłumaczę ci, co to znaczy...” I: „Conchita, już mając dziesięć lat możesz służyć rewolucji!” I: „Conchita, gdybyś zdała sobie sprawę, w jakiej wspaniałej epoce żyjemy!” Pisałeś jej o jakimś Chińczyku, którego widziałeś w Szanghaju, o jakiejś bitwie, o jakiejś manifestacji: skąd właściwie przychodziły te listy? Jaką drogą? Nie dawałam ich małej, ani jednego nie oddałam małej, nie pozwolę zatruwać jej duszy; czytałam je i paliłam, płakałam nad nimi i paliłam: kochałam cię, kochałam cię!

A jednak jak bardzo musisz być samotny. Jak bardzo musisz być samotny, jeżeli piszesz te listy do dziecka, którego nie widziałeś od jego niemowlęctwa, jeżeli piszesz te dorosłe listy, te długie listy: czyżbyś nie miał z kim mówić o tym wszystkim, o czym piszesz? „Conchita”, piszesz, „być może trudno ci to będzie zrozumieć, ale chcę, żebyś zrozumiała: nie tylko nie jest żadną winą to, że opuściłem ciebie i mamę, ale byłbym zbrodniarzem, gdybym pozostał z wami... Będą ci mówić o donkiszoterii, każdy ci powie, że twój ojciec to Don Kichot, biedny romantyczny wariat walczący z wiatrakami, chyba czytałaś już tę książkę, maleńka? – ale zrozum, Conchita, na to wszystko jest odpowiedź, jedna odpowiedź, i to są najpiękniejsze słowa świata: KTOŚ MUSI ZACZAĆ. Conchita, ktoś musi zacząć: chcę, żeby te słowa stały się twoją dewizą, twoją także, Conchita, nie słuchaj głupców, nie słuchaj tchórzy, nie słuchaj **większości**, przede wszystkim to, pamiętaj o jednym, pamiętaj, że naszego świata nie byłoby, że niczego me byłoby bez ludzi, którzy – we wszystkich epokach, zawsze – mówili sobie: „Ktoś musi zacząć”. Conchita, zapamiętaj te słowa. Zapamiętaj je na zawsze. Tak bardzo chcę, żebyś zrozumiała to wszystko, za co walczę, żebyś sama o to walczyła; słuchaj mamy, maleńka, ale myśl równocześnie; kiedy myślisz, niech nie będzie w twojej głowie mamy ani nauczyciela, bądź sam na sam z tym, o czym myślisz: Conchita, nie ulegaj autorytetom, nie ulegaj większości! Będiesz samotna, ale będziesz coś warta, Conchita, nie ma nic straszniejszego, niż pytać siebie samego u kresu życia: Po co żyłem? To brzmi jak banał, ale człowiek, który żył dla wielkiej sprawy, nigdy nie jest naprawdę samotny, najlepsi ludzie wszystkich czasów są przy nim, są mu tak bliscy, jak nigdy nie będzie bliski ktoś, z kim przeżywasz dzień po dniu, lata po latach; i nie tylko to: jeżeli będziesz walczyć, spotkasz ludzi, którzy walczą o to samo, a to jest największe szczęście, to, co piszę, brzmi jak banał, ale to jest największa prawda: przeczytaj to jeszcze raz, kiedy będziesz starsza, zachowaj ten list, Conchita. Zresztą tak wiele można zrozumieć już w twoim wieku, prawie wszystko, tylko głupcy nie zdają sobie sprawy, jak wiele może zrozumieć dziecko, a ja wierzę w ciebie, Conchita. Wierzę w ciebie!”

Tego listu nie spaliłam, ale nie oddałam go małej, nigdy go jej nie oddam, wiem, czego chcę dla Conchity: żeby wyszła za mąż lepiej ode mnie, za człowieka, który zrozumie, o ile ważniejsza jest miłość, chcę, żeby była szczęśliwa, nie pozwolę jej walczyć z wiatrakami, wystarczy, że jej ojciec był wariatem, nie zmarnuję życia mojego dziecka! Nigdy nie pisałeś o mnie, nigdy wprost, ale te zdania, te zdania o kobietach starej epoki, o ofiarach mitów, albo to, że nic tak nie unieszczęśliwia ludzi, jak dążenie do szczęścia, jak najwyższy nakaz reakcji – reakcji! – być szczęśliwym. Nigdy się nie dowie. Kochałam cię, co ze mną zrobiłeś? Co zrobiłeś z moim życiem? Nie jestem szczęśliwa! Nie jestem szczęśliwa!

10

– Co się stało z rewolucją?

Roland, nie nudź!

– Zmarnować taki entuzjizm! Taki wielki zryw, jak w 1968, jak w Maju: co z nami będzie? Do jakiej partii? Komuniści mówią tylko o wyborach municypalnych i płatnych urlopach: a rewolucja? A my? Nas wszystkich spisano na straty!

Przestań, Roland, słyszeliśmy to tysiąc razy, dziesięć tysięcy!

– Z każdym dniem coraz większa obojętność, rewolucja wylewa się wszystkimi ranami świata, jak krew...

Roland, co za język, zacznij pisać wiersze!

– A my? A oni? Nikt nic nie robi! Rewolucja ze wszystkich ran, stary świat cały w ranach, a ruch robotniczy w rozbiciu, w takim strasznym rozbiciu! Rewolucji nie będzie, bo nie pozwolą na to rewolucjoniści! W Indonezji wymordowali półtora miliona...

Podobno milion!

Podobno dwa!

– ... i nikt nic nie zrobił, nikt nie pomógł, przetargi między partiami, przetargi między partiami zabijają rewolucję, jeżeli na Kongresie nie osiągną jedności...

Roland, nawet jeśli osiągną, kto się zjednoczy? Grupa Manifesto z grupą Lotta Continua plus trockiści! Albo: trockiści plus maoiści bez Mao Spontex. Albo anarchiści z kimś tam... To będzie tylko część, tylko pierwszy krok...

– Ja nie mogę tak żyć!

Roland, co my możemy zrobić?

– Zabiję się przeciw tym, którzy nie chcą rewolucji!

Jak to zrobisz, Roland, oszalałeś?

– Obleję się benzyną i podpale przed gmachem Kongresu, i zostanie po mnie tylko transparent... ale jaki transparent?

Właśnie, Roland, nie wiesz nawet, co byś chciał napisać na transparencie.

– Na przykład: Koniec z wyborami municypalnymi! Niech żyje rewolucja światowa! Dobre hasło.

– Albo: Dopóki komuniści walczą tylko o budowę żłobków...

To już jest za długie! To żadne hasło, Roland!

Poza tym musisz określić, jacy komuniści: że chodzi ci o oficjalne partie, i które partie, Roland, musiałbyś kupić kilometr kwadratowy płótna, żeby to wszystko napisać!

– No więc: Precz ze zdrajcami rewolucji!

To by wyglądało, że przeciw uczestnikom Kongresu, Roland, takie rzeczy trzeba przemyśleć...

– Więc... więc coś takiego: Opamiętajcie się! Nie zdradzajcie rewolucji!

Za słabe.

– Albo: W tej chwili tysiące giną za rewolucję! Zbudźcie się!

Źle skomponowane.

– Rewolucja mnie przeżyje!

Nikt nie zrozumie, o co ci chodzi.

– Partia zdradziła rewolucję!

Jaka partia, Roland, nie jesteś w żadnej partii...

– Żądamy nowej Międzynarodówki!

Każdy cię zapyta: to po co się zabijasz, zamiast ją tworzyć?

Poza tym jest IV Międzynarodówka, precyzuj, o co ci chodzi.

– Więc po prostu: Niech żyje rewolucja!

Ach, Roland, z tego, że rewolucja ma żyć, nie wynika, że ty masz umrzeć, zbagatelizują to, powiedzą: wygłup, poza tym każdy mówi „Niech żyje rewolucja”, nawet najczarniejsza reakcja, tak bez konkretów to żadne hasło...

– No to już nie wiem.

11

Światło gaśnie, ekran się rozjaśnia: na ekranie oko, straszliwe, mrugające, okrągłe oko, to oko sępa – sęp zrywa się do lotu, bije ogromnymi skrzydłami, niebo nie ma dna, sęp leci nad górami Colorado, widać je w dole, żółte, niewiarygodne, I'm flying so high! – śpiewa ktoś w tle, śpiewa Piosenkę Sępa; stary, siwy Indianin, Pies Prerii, kona, pozostawiając mapę, jedyną prawdziwą mapę, pozwalającą trafić do Złotej Doliny, mapa wpada w ręce pozytywnego bohatera, ale już po chwili schwytali go wrogowie, mapę zdążył spalić, co z tego? Wiedzą, że ją zna. Ma ich zaprowadzić do Złotej Doliny. Nawet krzaki są tam pokryte złotym piaskiem! Dno rzeki wypełnione bryłami złota! Wędrują więc – cała karawana! – dowodzeni przez łajdaka i bandytę, czarną legendę Dzikiego Zachodu – pozytywny bohater jako niewolnik, bez którego nikt nie dotrze do celu; kocha się w nim dzika, płomienna Indianka ze sztyletem, ale dla niego istnieje tylko wymoczkowata blondynka, porwana przez bandę, córka jakiegoś sędziego; Indianka raz po raz usiłuje zabić rywalkę, ale nigdy jej się to nie udaje; zrzuca ubranie i skacze – naga, złocista, cudownie piękna – do jeziora, w którym kąpie się w czasie postoju pozytywny bohater, podpływa do niego pod wodą, przywiera całym swoim ślicznym ciałem i wpija się purpurowymi ustami w jego usta, ale pozytywny bohater odpycha ją ze wstrętem i z całej siły. Tylko małe drgnienie na twarzy zakochanej bez wzajemności: podpływa z kolei do rywalki, do tego bladego wymocзка płci żeńskiej i wciąga ją pod wodę, przydusza, usiłuje utopić; ale pozytywny bohater czuwa! W końcu w szalonym pędzie koni nad przepaścią, podczas ucieczki, w galopie po kamienistej perci, koń Indianki zrównuje się z koniem wymoczka – od zewnętrznej strony! – Indianka unosi rękę ze sztyletem, ale jedno szarpnięcie konia złotowłosej, przypadek, łut szczęścia, i oto indiańska piękność ze swym wierzchowcem stacza się w przepaść, dzikie rżenie i stukot kopyt po ścieżce; koniec. I zaraz bitwa. Ileż okrucieństw! Indianie mordują bezbronnych, błagających o litość pasażerów dyliżansu, indiański wódz zerwał okulary z twarzy siwego mężczyzny, wyglądającego na profesora, i sam je wkłada, tomahawk w górę i już po siwym profesorze; ale mimo tego wszystkiego karawana dociera do Złotej Doliny, Boże miłosierny, skały są ze złota, wszędzie leży złoto, majątek! majątek! Jasnowłosy wymoczek rzuca się do złotego jeziora i kąpie się w nim; pokazuje pozytywnemu ramiona ozłocone pyłem, ale między brwiami pozytywnego zmarszczka: wie, co go czeka. Zbir, czarna legenda Dzikiego Zachodu, wymordował już prawie całą karawanę, przed chwilą dobił wiernego Indianina, zostali tylko oni, pozytywna para kontra wyklęty Colorado, który chce zagarnąć całe złoto, żeby bawić się za nie w Paryżu, to marzenie całego jego życia, Ameryka go znudziła, chce Paryża, jak największy skarb nosi przy sobie strzep „La Vie parisienne” z tancerkami w pantalonach... Dochodzi do walki: pozytywny walczy

dzielnie, to trwa godzinami, napięcie widzów dochodzi do zenitu, wreszcie zwycięstwo, sami, pozytywny i wymoczek, sami w Złotej Dolinie: miliardy należą do nich! O, nie: słyhać jakiś huk, między brwiami pozytywnego zmarszczka; to góry się wała! Uciekajmy! Ach, uciekajmy! Spięte, rozpedzone konie. A tuż za pędzącymi końmi sypią się skały, góry, żółte, cudowne góry Colorado pękają na pół i wała się w dolinę, huk, pył, to zemsta indiańskich bogów, zemsta, przed którą ostrzegwał Pies Prerii... Ale pozytywny i wymoczek ocaleli ze swoją miłością, miłość jest ważniejsza od wszystkiego, cóż, że stracili miliardy; całują się więc namiętnie na tle ruiny, która została z gór Colorado i pod którą utonąła na wieki Złota Dolina; nie wiedzą jeszcze, że w torbie, przytroczonej do siodła jej konia, cudzego konia, na którego wskoczyła w panice, jest wielka bryła złota – bryła, którą na chwilę przed śmiercią podniósł i schował zamordowany w Złotej Dolinie sługa Czarnej Legendy... A czuły głos męski śpiewa w tle Piosenkę Sępa.

Wychodzimy z kina, rozmarzeni i złotem, i miłością; wychodzimy, jedząc ostatnie cukierki, wprost na gmach, w którym jest jakiś kongres lewaków; ach, Boże, kiedy wreszcie skończymy z lewakami? Klęto się na komunistów, a potem się okazuje, że nie są tacy źli, to znaczy oficjalni komuniści, też chcą spokoju, porządku, parlamentu i praworządności, nie podpalają samochodów na parkingu! Jemy więc ostatnie cukierki, kiedy przed wejściem coś się zapala: to człowiek!

Wylał na siebie bańkę benzyny, bańka stoczyła się po tych samych schodach, po których on się teraz toczy, płomienna kula, z resztą krzyku, z tym dzikim wyciem, cały się szarpie, skacze, tańczy wewnątrz żółtego płomienia, w środku ognistej kuli, ktoś ma przy sobie aparat fotograficzny, robi zdjęcie, jeśli wyjdzie, będzie warte majątek, w każdym razie nieźle zapłacą, człowiek już nie krzyczy, upadł, znieruchomiał, dopala się i tyle, to wszystko... O ścianę u szczytu schodów oparto transparent, czerwone tło, białe litery:

KONIEC Z WYBORAMI MUNICYPALNYMI!
NIECH ŻYJE REWOLUCJA ŚWIATOWA!

12

– Czy widziałas corridę?

Nigdy, mówi Martha Doherty, podkulając nogi na łóżku, nigdy, mówi z obrzydzeniem, *corrida*, kwintesencja sadyzmu, mimo wszystko to Hiszpan, a Hiszpanie to nie tylko rewolucja, ale i *corrida*, nie tylko Eskurial, ale i Inkwizycja, przykro o tym pomyśleć, ale trzeba; ma nadzieję, że nigdy nie zobaczy *corridy*!

– Nie masz racji – odpowiada Estravados.

I zrywa się z krzesła, staje na środku pokoju, rozstawienie stóp, uniesienie ręki, spójrz, trzymam muletę, rozpościeram muletę, byk szarżuje, patrz...

– Nic nie rozumiem – mówi Martha – co to jest muleta?

– Czerwona płachta. Patrz. Pokażę ci, jak się robi *natural*. Czy możesz sobie wyobrazić muletę? Jeśli nie, mogę ją zrobić, z tej kapy, prowizorycznie oczywiście, potrzebny mi tylko jakiś drążek... wiesz, chciałbym, żebyś zdała sobie sprawę, jak wygląda *natural*!

– Mogę sobie wyobrazić muletę – mówi Martha.

– Więc patrz.

Stoi na środku pokoju, z prawą nogą wysuniętą do przodu, nieco pochylony; wyciąga lewą rękę nie podnosząc jej.

– Tu trzymam muletę. Wsuwam ją. Patrz. Potrząsam. Lekko. Byk reaguje. Szarża! Byk pędzi w stronę mulety. Widzisz to?

– Tak.

Estravados wyciągnął lewe ramię na całą długość, obraca się jak w tańcu, Martha patrzy teraz na kostki jego nóg, powolny, spokojny obrót, tak się wydaje...

– Poczekaj! – woła Martha – więc masz tylko tę... mulecę, nic więcej? Tylko czerwona płachta, i tak walczysz z bykiem? To nie ma sensu!

Estravados znieruchomiał; ma na twarzy zupełnie dziecinne zmartwienie.

– Ależ nie, w prawej ręce mam szpadę! Przecież to oczywiste, myślałem, że przez cały czas o tym pamiętasz! Mam szpadę, ale szpada jest w ogóle nieważna, chodzi o zmuszenie byka do takiego ruchu, patrz, za ruchem mulety, byk idzie za mulecą, o, tak, widzisz, zwalniam, ćwierć obrotu, a teraz tak! Rozumiesz?

– Co zrobiłeś?

– Strząsnąłem mulecę. Byk stanął. Widzisz? Stoi. Teraz mogę powtórzyć wszystko od początku. Widziałas to?

Patrzy z takim napięciem, jakby naprawdę było dla niego takie ważne, czy widziała to wszystko dokładnie, piasek na arenie, torreadora powiewającego czerwoną płachtą i czarnego byka, prowadzonego prawie niedostrzegalnie samym tylko ruchem tej czerwieni, tuż przy walczącym z nim człowieku, byka zwiedzonego manewrem, a tak niebezpiecznego: Widziałam.

– Chciałbym, żebyś zobaczyła kiedyś *molinete*!

Nikt by nie pomyślał, że jest właśnie taki: Pablo Estravados!

– Corrida jest strasznie średniowieczna – mówi Martha.

– Lubisz Spartakusa?

Co za pytanie!

– Spartakusa?

– Kiedy byłem chłopcem, był moim ulubionym bohaterem. Wyobraź sobie, powstanie gladiatorów! Czy można sobie wyobrazić coś wspanialszego?

– To było powstanie niewolników – mówi Martha – wszystkich niewolników.

– Ale zaczęli je gladiatorzy! I gdybyś wiedziała, jak mnie fascynowały walki gladiatorów! Ich reguły, ich historia, rola, jaką w nich miała zręczność, rola, jaką w nich miała siła! Czy zauważyłaś, że w klasycznej walce – jeden z mieczem, drugi z siatką – rozum zrównano z bronią, determinację z potęgą, zręczność z siłą, ciężarem, grozą? Kazano walczyć ze sobą dwóm ludziom, z których jeden był ogromny i potężny, drugi – mały i słaby, jeden miał świetny miecz, drugi – drewnianą zabawkę; ale dano słabemu jeszcze jedno: sieć. Sieć, w którą może złowić przeciwnika. Jakiego przeciwnika! Co za zadanie! Pomyśl, wyobraź sobie: wielki spektakl, przez arenę defilują gladiatorzy z tym swoim: „Ave, Caesar, morituri te salutant!”; kiedyś były to dla mnie najpiękniejsze słowa... Potem walka. Olbrzym, cały w muskułach, w zbroi, z mieczem – i młodziutki chłopak, nagi, odsłonięty na każdy cios, wobec każdego bezbronny... Jeden wymierza ciosy, drugi przed nimi ucieka. Któregoś nie uniknął, jest ranny. Uskakuje. W pewnej chwili ruch siatką. O mało nie narzucił jej na wroga. Wróg się cofa. Co widzimy? Taniec. Siła umyka przed siatką, chłopiec wyśpiewuje to swoje „Non te peto, piscem peto, czemu zmykasz, Gallu?” Sama brawura, prawda? Płaci za nią: druga rana. Pomyśl, Martha, to walka o życie! I co widzimy? Taniec, uskakiwanie i atak, jak dla zabawy, wymachiwanie siatką, jak przy łowieniu motyli, i głupiutką piosenkę. Potem nagły ruch. Siatka zarzucona! Bezbronny schwytał siłacza! Teraz odrzuca swoją drewnianą zabawkę, ma prawo wziąć jego miecz. Zabija.

– Tak – mówi Martha – ale tu siły są wyrównane, siły psychiczne, walczy człowiek z człowiekiem, nie lubię corridy, bo walczy się tam ze zwierzęciem, siły psychiczne są nierówne, to ohydne, to pastwienie się nad zwierzęciem!

– Brytyjka! Oczywiście, że jest w tym element – tylko jeden, Martha – element nie fair: byk nie zna reguł gry, uczy się ich w trakcie, żaden byk nie bierze dwukrotnie udziału w corridzie, bo przy drugim razie jego zwycięstwo byłoby pewne i gra przestałaby być grą. Ale

jednak dla mnie jest w tym wszystkim coś pięknego... gdybym miał więcej czasu, gdybym miał czas na zajęcie się filozofią... zawsze myślałem o napisaniu książki o etyce walki, wielkiej książki! Od walk gladiatorów po corridę. Pojedynek. Zasada równych szans i to, w jaki sposób była interpretowana w ciągu tysiącleci, co uznawano za równe szansę, to jest fantastyczne! Ale kiedy miałbym to zrobić? Nie sądzę, żebym dożył starości, a na razie...

Martha patrzy na niego.

– Dlaczego tu przyjechałeś?

Jego twarz.

– Dlaczego przyjechałem?

– Dlaczego tak ryzykujesz? Wiesz, ile daliby za twoją śmierć... jak można? Przecież wiesz, że mogą cię zabić! Nawet w tej chwili, nawet w tej chwili wcale bym się nie zdziwiła, gdyby wyważyli drzwi albo strzelili przez okno... Jak mogłeś przyjechać?

Estravados wyjmuje cygaro.

– Bo to jest ważniejsze.

– Od życia? Ale nie od twojego!

– Nie przeceniaj mnie.

– Jak gdyby można było cię przecenić! Gdyby coś ci się stało, kto by kierował tymi wszystkimi... Słuchaj, jak gdyby zjednoczenie paru partii i ugrupowań było ważniejsze...

– Miałem ci pokazać *molinete*.

– Powiedz, chciałbyś dojść do władzy? Ale powiedz szczerze!

– Chciałbym. Jakie to niskie, prawda?

– Dlaczego chciałbyś dojść do władzy?

– Bo to byłoby daniem im w twarz. Oportunistom. Tym, którzy mówią o donkiszoterii! Wiesz, czasem właśnie ten motyw jest najsilniejszy. Idiotyczny motyw, motyw małego chłopca, którego obrazili na podwórku, ale nic bardziej nie dodaje sił. Czasem myślę, że może właśnie mściwość i urażona ambicja pchają świat naprzód... Myślę: oni pożałują! Myślę: przekonają się, zobaczą, dostaną po głębie, ja im udowodnię, ja im pokażę! To aż śmieszne; ten sam motyw w najmniejszych sprawach – i w największych. Miałem ci pokazać *molinete*.

– Ale...

– Chcę, żebyś wiedziała, jak wygląda *molinete*!

Znów staje na środku pokoju, z niewidzialną mulecą w rękę; muleca prawie dotyka rogów byka. Ruch ręki. Obrót. Pełny obrót, patrz. Patrz na ruch mulety. Robię pełny obrót, spójrz na stopy, widzisz? A widzisz byka? Co robi byk? Zastanów się. Spójrz, co się dzieje z mulecą. Widzisz to?

– Muleca...

– Owija się wokół mnie, prawda? A byk?

– Byk... idzie za mulecą...

– Obrót skończony, widzisz? Muleca owinęła się wokół ciała. A byk? Byk dokonał obrotu w miejscu, całkowitego! Przez cały czas szedł za końcem mulety, aż do chwili, kiedy koniec całkowicie się nawinał... byk zakręcił się w kółko w jednym miejscu! Widzisz to? A widzisz ten ruch czerwieni, ten obrót czerwieni?

13

Nie stało się to pierwszego, drugiego ani trzeciego dnia. „Żyjemy w momencie najintensywniejszej konwulsji społecznej stulecia”, mówi trockista Raymond Krivitzky głosem wzmocnionym przez mikrofony, piękne przemówienie, „krwawe kąpiele kontrrewolucji”, mówi Raymond Krivitzky, przeżyliśmy to, widzieliśmy, znamy, nigdy nie zgodzimy się z tymi, którzy żyją chwilą, z tymi, którzy jak Zinowiew malują nacjonalizm na czerwono, byle

usprawiedliwić fakt, że doraźne interesy państwowe stawia się – zawsze, stale, z zasady! – przed interesami rewolucji, byliśmy za słabi, zbyt rozbici, ale nigdy nie zhańbiliśmy się jednym: nigdy nie malowaliśmy nacjonalizmu na czerwono, nigdy nie malowaliśmy egoizmu na czerwono, nigdy nie mieliśmy spokojnego sumienia! My, „skrajna lewica”, prawdziwa lewica, jedyni, którzy usiłowaliśmy poruszyć świat przeciw każdej kontrewolucji, usprawiedliwanej przez nowych Zinowiewów i nowych Stalinów...

Tu, oczywiście, przerywają maoiści:

– MARKS! – ENGELS! – LENIN! – STALIN! – MAO!

Każdy ma takiego Stalina, na jakiego zasłużył! Dobrze, przemyślimy to, przedyskutujemy: w tej chwili najważniejsza jest jedność. Obyśmy nigdy nie mieli spokojnego sumienia! Ani teraz, ani gdy dojdziemy do władzy, ani gdy dokona się wreszcie rewolucja światowa, nigdy! Oto wyróżnik prawdziwej lewicy: nie mieć nigdy spokojnego sumienia! Oklaski. I jeszcze coś, Raymond Krivitzky cytuje coś rosyjskiego, tak oto możemy teraz mówić o sobie: – „W trzech wodach topili, w trzech kruzach kąpali, w trzech ługach warzyli. Czystszy jesteśmy od najczystszych!”

Oklaski, przechodzące nagle w chwili, gdy słabną, w prawdziwą burzę: Estravados! Idzie w stronę mównicy, przez chwilę odwrócony jest plecami do sali, hałas kłębi się od wklęsłego sufitu po miękką czerwień posadzki, okrzyki są tak podobne do wystrzałów, że prawdziwego wystrzału nie usłyszano.

Pełny obrót, zobacz. Patrz na ruch mulety.

Kongres zerwany. Wszystko stracone. Nikt już nie zdoła... Patrz na ruch mulety. Było jedno wielkie nazwisko, i teraz, kiedy go zabrakło... Tylko Estravados mógł tego dokonać, zjednoczenia, zaryzykował życiem, przegrał, koniec. Patrz na ruch mulety. Tłum na ulicach. Kamieniami w szyby. Wysoko uniesione portrety. Chrystus rewolucji. Nowe hasło dla Jean-Pierre’a i Sylvie: NOUS SOMMES TOUS PABLO ESTRAVADOS!

Szczęśliwy Roland, nie doczekał. Biedny Roland, nie doczekał także i tej manifestacji. Nareszcie coś się dzieje! Europa poruszona! Patrz na ruch mulety. Robię pełny obrót, spójrz na stopy, widzisz? Marat na scenie teatralnej, z głową wystającą z wanny, krzyczy:

SIMONA! JA JESTEM REWOLUCJA!

Patrz na ruch mulety. Profesor Wiener znów czyta Bergsona! A byk? Co robi byk? Spójrz na muletę. Widzisz to? Muleta... Owija się wokół mnie, prawda? NOUS SOMMES TOUS PABLO ESTRAVADOS! ON NE NOUS AURA PAS!⁴ Byk... idzie za muletą. Obrót skończony. Kochałam cię. Kochałam cię! Widzisz? Muleta owinęła się wokół ciała. A byk? Byk dokonał obrotu w miejscu, całkowitego obrotu! W Madrycie i w Grenadzie, w Sewilli i w Barcelonie, w Dżakarcie i w Higuereas, Katalonia, Asturia, Andaluzja, Walencja, Sierra Morena, Kastylia. Ktoś musi zacząć. Patrz na ruch mulety. Przez cały czas szedł za końcem mulety, aż do chwili, kiedy koniec całkowicie się nawinał... byk zakręcił się w kółko, w jednym miejscu! Widzisz to? A widzisz ten ruch czerwieni? W drugiej ręce szpada, nikt już o niej nie pamięta. Patrz na ruch mulety.

⁴ Nous sommes tous... (fr.): Wszyscy jesteśmy Pablem Estravadossem. Nas nie dostaną.

CZEŚĆ DRUGA

ŻYCIE INTELEKTUALNE KRZYSZTOFA PALIWODY

1

Aktor teatru Meyerholda zjawiał się na scenie ucharakteryzowany na poczciwego mieszczucha, w meloniku, z laseczką – i zanim jeszcze padło pierwsze słowo, opierał laseczkę na ramieniu jak karabin, przemierzał scenę marszowym, pruskim krokiem, z mocnym wyrzucaniem nóg, z werblem obcasów, aby zaraz po tej krótkiej chwili, po tej małej prawdzie powrócić do poprzedniej postaci: laska była znów laską, melonik melonikiem, mieszczech mieszcuchem. Ale sala wiedziała już, kogo ma przed sobą. Wiedziała o nim więcej od bohaterów sztuki, znała jego poglądy, osobowość, więcej: znała jego duszę. Tę pantomimę, to avant-jeu, tę „przedgrę”, poprzedzającą wkroczenie do akcji, przejął Meyerhold z teatru chińskiego.

Jakie będzie avant-jeu tego mężczyzny w brązowej kurtce, w ciemnych okularach, z papierosem w ustach, czekającego – w dziewięć lat po śmierci Estravadosa – aż głośniki na warszawskim lotnisku obwieszczą odlot samolotu do Paryża?

Zamszowa kurtka, paczka papierosów, zapalniczka. Błysk płomyka, smak dymu. Walizki z kolorowymi nalepkami. Paszport, obojętnie podany w okienku. Przejście przez kabinę, w której fotokomórka sprawdza, czy nie ma przy sobie broni: nie ma. Zapalające się na tablicach informacyjnych napisy, którym się – spacerując – przygląda. Bangkok, Wiedeń, Nowy Jork. Zamglony, tęskny głos przez megafony powtarza te nazwy: Bangkok, Wiedeń, Nowy Jork. Za oszkloną ścianą lądujący samolot zamiata światłami ciemną płytę lotniska. Gładkość świeżo wygolonego policzka pod dłonią. (I drobna, krótkowzroczna dziewczyna w celi więziennej, zakuta w beton, dziewczyna, którą widzi! Aż przygryzł usta. Zatrzymał się na chwilę, patrzy na nią, na dziewczynę zakutą w beton. I znów spaceruje. Pali papierosa. Lewą rękę włożył do kieszeni kurtki).

To było wejście na scenę. A oto avant-jeu.

Przysiada nagle na lśniącym, czerwonym fotelu. Jego ręka wynurza się powoli z kieszeni: trzyma notes. Druga ręka wyjmuje długopis z kieszonki na piersi. Rozejrzył się dokoła: jak lękliwie! Czy nikt go nie podgląda? Czy nikt nie patrzy mu przez ramię? Otwiera notes, zapisuje parę słów. I oto znów wstał, znów spaceruje, paląc papierosa, przyglądając się koniakom w bezelowym sklepieniu, strząsając popiół do rozłożystej, metalowej maszyny. Ale widownia już wie, już nie da się oszukać: to skryba.

Krzysztof Paliwoda żył zawsze wyłącznie życiem intelektualnym.

Może jeden widz na milion nie wolałby, aby to było życie seksualne – li tylko i wyłącznie – a może nie znalazłby się nawet jeden. Ale skoro to hierarchia wartości Krzysztofa Paliwody się liczy, niczyja inna, czy można w ogóle wspominać o podobnej błahostce? Przed trzema laty Krzysztof Paliwoda uświadomił sobie, że z drzeniem bierze do rąk już tylko ulotki odbite na powielaczu, nie pisma pornograficzne, i poczuł radość, jakby uwolnił się spod władzy

szaleńca, on także. Owszem, było inaczej. Owszem, i w ciągu tych ostatnich trzech lat genitalia Krzysztofa Paliwody nie spoczywały w kasie pancерnej, klucz od której złożono w bankowym sejfie, kombinacja literowo-cyfrowa AB197787. Ale dla człowieka, który nie jest gotów przedzierać się przez zasieki z drutu kolczastego, byle pochwycić kolorowy, błyszczący zeszytek pełen zdjęć porno, seks jest już sprawą nieistotną i przebrzmiałą, cokolwiek przydarzałoby się jeszcze jego genitaliom. Krzysztof Paliwoda ziewa, biorąc do rąk kolorowy, prześliczny, najlepszym offsetem odbity fotoreportaż ze zbiorowego gwałtu, popełnionego pod batutą fachowca na jasnowłosej, skrofalicznej skautce przez trzynastu wytatuowanych Murzynów, a opis poczyznań wampira z Dusseldorfu w opasłym, solidnym dziele kryminologicznym wywołuje w nim tylko odrazę – ergo, Krzysztof Paliwoda od spraw seksu odgradzony jest murem grubszym od chińskiego. Nawet wspominać o tym nie warto.

Więc może życie uczuciowe? Jeżeli wierzyć arcydziełom literatury i artykułom w prasie młodzieżowej, sublimacje popędu płciowego, mniej lub bardziej wzniosłe, rządzą światem, a ludzie są stworzeni do życia parami; ale Krzysztof Paliwoda nie jest postacią ani z arcydzieła literatury, ani z artykułu. Ma trzydzieści lat; kto byłby w stanie ulegać w tym wieku uczuciom, podszytym pragnieniem znoszenia w dziobku trawek i patyczków na budowę nikomu niepotrzebnego gniazda? Podobne uczucia mogą zjawić się później, jak żałobna opaska po przegranej, spartaczonym istnieniu, jak symbol klęski, a nie ma rzeczy od klęski wstrętniejszej. Krzysztof Paliwoda mieszka z matką w wygodnym, po stropy zawalonym książkami mieszkaniu, i ani innego mieszkania, ani innej w nim obecności nie może sobie nawet wyobrazić. Wrodzona jakoby skłonność do przeżywania wzniosłej i podszytej gromadzeniem trawek sublimacji, skierowanej nieomylnie do niespokrewnionej osoby innej płci w akceptowanym społecznie wieku, w jego wypadku okazała się nie bardziej wrodzona od równie naturalnej jakoby skłonności do wiary w Boga. Wychowany areligijnie, nigdy tej wiary nie miał.

Więc może życie towarzyskie, może przyjaźń? Ale Krzysztof Paliwoda nie należy do ludzi, których stać na tracenie czasu. Śliski jak piskorz, od wielu lat wymyka się z każdej sieci. Jeżeli wyjątkowo telefon jego nie jest właśnie popsuty, jeżeli ktokolwiek podniesie w ogóle słuchawkę, można pójść o gruby zakład, że Krzysztofa Paliwody nie zastanie się w domu, choć z całą pewnością nie będzie go także gdzie indziej. Jeżeli zaprasza się go gdziekolwiek, rozsądnie będzie założyć z góry, że jego matka-staruszka najpewniej znów złamała nogę i nie ma jej kto podać szklanki wody, bądź że w odrapanym mieszkaniu odbywa się kolejny, comiesięczny remont. (A jednak jak często, od ilu już lat, Krzysztof Paliwoda musi informować zapomnianych niemal, a nadal nie dających za wygraną znajomych o remontach i złamanych nogach, anginach i zamówionych wizytach u dentysty! Albo jest zatem obdarzony niewiarygodnym urokiem – ewentualność, której ani przez chwilę nie brał pod uwagę, albo też przekora stanowi najmocniejszy, niezniszczalny motor ludzkich czynów i wystarczy kogoś odtrącać, by nie móc się go pozbyć – ewentualność, ku której się skłania). Jeżeli dodamy do tego fakt, iż Krzysztof Paliwoda nigdzie nie pracuje – w ciągu paru lat intensywnego chałturzenia zaraz po studiach zdołał zgromadzić oszczędności, sześć procent, od których (najwyższa możliwa akurat do uzyskania stopa dyskontowa) stanowi sumę równą dwóm trzecim średniego wynagrodzenia w sektorze państwowym (kwota, zważywszy dodatkowe, sporadyczne zarobki naszego bohatera, jego bezdzietność i nawyk odżywiania się ryżem na mleku, zupełnie zadowolająca) – trzeba będzie dojść do wniosku, że nie jest on istotą społeczną bądź jest nią w minimalnym stopniu. Nie da się ukryć, Krzysztof Paliwoda prowadzi wyłącznie życie intelektualne.

Zgodnie z powszechnym przekonaniem nie istnieje nic nudniejszego, nic także, o czym trudniej byłoby opowiadać. Jeżeli mówimy o dziecku, co w jego ubożuchnym życiu uznamy za interesujące? Zabawy z rówieśnikami, kłopoty z rodzicami i konflikty szkolne, rzecz jasna; bo przecież nie to, co czuł, dowiedziawszy się, że Ala ma Asa! Czyż warto więc zajmować się tu drobnymi i nieistotnym szczegółem z biografii intelektualnej Krzysztofa Paliwody –

jego atakiem hysterii, gdy przeczytał w elementarzu wesolutki wierszyk o komarze, który z dębu spadł i złamał sobie w krzyżu gnat? Czy warto opowiadać, jak rzucał się z pięściami na trzęsących się ze śmiechu kolegów, w niepojętej furii, wywołanej odkryciem, że są ludzie – autor elementarza, dzieci, nauczycielka – dla których cierpienie istoty ze złamanym kręgosłupem stanowi zabawny temat, których ono rozwesela, dla których jest rozrywką? Tylko dlatego, że to nie człowiek! A przecież prosta droga prowadziła od gniewnej rozpaczki dziecka do cechy, która objawi się potem w życiu intelektualnym Krzysztofa Paliwody: do skupionego, podejrzliwego drażenia każdej teorii pod kątem jednego tylko pytania – kogo jej twórca obdarcza pogardą? Do zrzędnego nadgryzania każdej utopii, każdej koncepcji społecznej, każdej religii, i do smakowania ich treści ze ściągniętymi nieufnie brwiami: a tutaj kto jest wydziedziczonym? Wszyscy są równi wobec prawa; a kogo prawo nie dotyczy, kogo przemilcza? Jeżeli wyciągniemy z biurka Krzysztofa Paliwody dolną szufladę po lewej stronie, znajdziemy tam gruby zeszyt z nakreślonym czarnym flamastrem tytułem: TRAKTAT O PRAWACH OBYWATELSKICH DZIECI, bezpośredni skutek wierszyka z elementarza. Podobnie jak mały szkic ZWIERZĘTA W OCZACH PRAWA. Jak ESEJ O RZEŹNIACH. Jak niedokończony szkic o dwudziestowiecznych instynktach stadnych i sposobach ich neutralizacji. Jak pożółkły plik kratek zapisanych przez piętnastolatka, a noszących dumny tytuł MOJA UTOPIA. I z tego samego powodu, z tych samych przyczyn, które kazały dziecku płakać nad komarem z elementarza, w życie intelektualne dorosłego Krzysztofa wkroczył któregoś dnia Pablo Estravados.

Wkroczył po śmierci. Małą wiadomością z gazety: że został zabity. Większą wiadomością z gazety, następnego dnia: że został zabity na jakimś kongresie, podejrzanym kongresie, w którym z nie wyjaśnionych powodów wziął udział. Czy raczej (jak tłumaczyły w kilka dni później tygodniki), na którym się zjawił, aby (wedle wszelkiego prawdopodobieństwa) rzucić nań anatemę. Ale nie dopuszczono do zabrania przez niego głosu. Autorytet tego człowieka był zbyt wielki, jego potępienie mogłoby przynieść żalostnej maskaradzie antykomunistycznych, faszystujących grupiek młodzieżowych „kontestatorów” nazbyt poważne konsekwencje. Dlatego właśnie nieznana ręka sięgnęła po broń, gdy zmierzał w stronę mikrofonu, aby wyjaśnić podnieconym burżujskim synkom (podjeżdżającym ojcowskimi limuzynami na swe „lewicowe” manifestacje, by dłońmi w drogich rękawiczkach wyrwać kamień z bruku i cisnąć nim w policjanta, a potem udać się do luksusowej restauracji na codzienną miseczkę kawioru), aby im wyjaśnić, aby wyjaśnić... Co, tygodniki nie pisały. To trzeba było jeszcze przemyśleć. To był temat dla miesięczników.

Miesięczniki wytłumaczyły zatem, że to, co tygodniki nazywały jeszcze – mimochodem, półgębkiem, tak, żeby nie przytłoczyć tym pochwał pod adresem zabitego, człowieka wielkiej odwagi i czystych intencji, jednakże, niestety... – błędem Pabla Estravadosa, dużym teoretycznym błędem, w gruncie rzeczy nie może być tak jednostronnie potępione. To prawda, Estravados był zwolennikiem walki zbrojnej, tego się nie da ukryć, prowadził taką walkę, organizował partyzantkę, której starał się nadać charakter globalny, przed którą stawiał (duży błąd taktyczny!) wzór Brygad Międzynarodowych, ale trzeba wziąć pod uwagę realia. Wiara w niemożność pokojowego, reformistycznego (tego słowa prasa nie używała, ale o to chodziło) przejścia do Ustroju Sprawiedliwości Społecznej, w niemożność pokojowej i legalnej walki o ten ustrój w ramach wyznaczonych przez ustrój panujący, byłaby w Europie – trudno użyć słowa słabszego – ZBRODNIĄ. Mamy tego przykłady. Ale realia Trzeciego Świata są inne, a przecież Estravados, syn hiszpańskiego republikanina, większą część życia spędził w Ameryce Łacińskiej, czyli w Trzecim Świecie właśnie, w warunkach zacoferania, nędzy, głodu, ciemnoty i gospodarki postawionej na głowie, możemy więc uznać, że tylko Trzeci Świat miał na myśli, że tylko do niego odnosił swe słynne „Ktoś musi zacząć”. A skoro tak – jest poniekąd usprawiedliwiony. Podjęcie na pewną skalę (na pewną skalę!) działań zbrojnych przeciwko krwawym dyktatorom i juntom wojskowym można – à la rigueur – uznać za wytłu-

maczalne. Nawet wtedy, gdy pretendują one do miana działań „lewicowych”. Słowem, Estravados był jednak bohaterem pozytywnym. Mało tego: w pewnym stopniu był wręcz bohaterem, całkiem po prostu i bez niepotrzebnych przymiotników!

Po wyjaśnieniu tego jedna ze szkół podstawowych w dzielnicy, w której mieszkał Krzysztof Paliwoda, została uroczyście nazwana Szkołą Imienia Estravadosa.

W kilka lat później, zgodnie z cyklem produkcyjnym wydawnictw i drukarni, ukazały się nawet dwie książki o Estravadosie i jego dziennik – nieszczęsne zapiski, które znaleziono przy trupie i w pokoju przez trupa opuszczonym. A kiedy się to stało, Krzysztof Paliwoda zobaczył w autobusie chłopca, stojącego na stopniu, z ręką uczipioną metalowego uchwyty, i w tłoku, w ruchu, w nagłych szarpnięciach i zatrzymaniach, czytającego ten dziennik. Małą książeczkę z brodatą twarzą Estravadosa na okładce. Chłopiec płakał.

Trudno w to było uwierzyć, i nikt prócz Paliwody nie zwrócił na płaczącego chłopca uwagi. On sam nie opowiadał o tym nikomu: nie uwierzono by mu.

Wrócił tego dnia do domu w niewytłumaczalny sposób wstrząśnięty, raz jeszcze powtarzając sobie zdarte jak zbyt często przesłuchiwana płyta zdanie: „Muszę coś zrobić z moim życiem!” Ale co właściwie miałby z nim zrobić?

Oczywiście, wiadomości w krajowych dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach, a także trzy wydane po kilku latach książki nie były jedynymi źródłami wiadomości Krzysztofa Paliwody. Gdy tylko znalazł w gazecie wiadomość o śmierci Estravadosa (pierwsza myśl, już przy tytule: „Dlaczego nie zainteresowałem się tym wcześniej? Dlaczego dopiero teraz, kiedy już jest po wszystkim?”), rzucił się do radia. A z radia, z jakiejś francuskiej rozgłośni, wybuchnęło nagle skandowane: ON NE NOUS AURA PAS! Potem inne rozgłoszenie, inne głosy, inne komentarze.

Jak gdyby coś przegapił. Bezpowrotnie, nieodwołalnie.

Nie mógł spać. On, człowiek żyjący wyłącznie życiem intelektualnym. Nocami leżał bezsennie pod litografią przedstawiającą wymarsz z Oleandrów, rok 1914 wybijał rytm nad jego głową butami szaleńców, romantyków i terrorystów, których kazano mu czcić odkąd wyszedł z pieluch, rozeschnięte meble skrzypiały w ciszy, w zielonym kręgu światła małej lampki kipiała niedopałkami popielniczka, a życie uciekało od niego, uciekało przegapione, zmarnowane, bezużyteczne. Przez dziewięć lat!

Nie chodziło już tylko o Estravadosa. To był początek, punkt wyjścia.

*

Ale tymczasem na tablicy pojawił się nowy świetlny napis, zamglony głos odczytał przez głośniki kolejny komunikat, czekający rzucili się w stronę wyjścia nr 4, ustawili w kolejce, podają do kontroli swoje bilety, wsiadają do małych autobusów, podjeżdżają do samolotu, do którego dostawiono już schodki, wręczają francuskiej stewardessie karty pokładowe, pędzą do środka, żeby zająć najlepsze miejsca... Samolot nie jest pełny, na szczęście, i Krzysztof Paliwoda bez trudu znajduje fotel przy okrągłym okienku, w ogonie, wystarczająco daleko od skrzydeł, żeby nie wdzierały się one w pole widzenia i nie zasłaniały widoku. Dwa miejsca obok niego pozostają wolne, co za radość! Na zewnątrz jest ciemno, zupełnie ciemno. Nieruchome, żółtawe, rażące światła w oddali.

Długa chwila pustki i ciszy przed odlotem. A potem wzbierający, nasilający się warkot, samolot toczy się po płycie lotniska, odrywa od niej, już jest w powietrzu. Krzysztof Paliwoda odpina pasy bezpieczeństwa, zapala papierosa, sięga po książkę – mały, podniszczony tomik w zielonej okładce, „Pour épater la classe ouvrière” Raymonda Wienera – ale nie może jej czytać, nie teraz. Przegląda więc gazetę, pije sok pomarańczowy, ustawia przed sobą tacę z kolacją, wyjmuje plastikowe sztucze z foliowego opakowania, smaruje masłem kawałki białej bułki, kroi plasterki wędliny, zajada sałatę w sosie vinaigrette i oliwki, otwiera małą butelecz-

kę bordeaux: najprzyjemniejsza część podróży, chwała lotnictwu pasażerskiemu! Jeszcze trochę bułki i camembert, jeszcze kawa ze śmietanką i ciastko z plastrem ananasa na przesyconej ponczem powierzchni... Cóż za święto dla człowieka nawykłego do ryżu i umiejącego się nim zadowolić, a przecież w głębi serca smakosza, żarłoka nawet! W dole są Niemcy.

Przykrywa je mrok, nie widać pól o nieskazitelnych kształtach ani dróg o idealnej nawierzchni, ani czystych miasteczek, ani lasów, w których dla wygody zmęczonych poustawiano ławki, nie widać niczego prócz świateł, świateł rozrzuconych, świateł zbierających się w gęste, migotliwe plamy, świateł ruchomych i świateł zastygłych w miejscu – a jednak Krzysztof Paliwoda pochmurnieje nagle, odsuwa nie dokończony ciastko i sięga po swój notes. Na czystej kartce notuje szybko, niewyraźnie (przepisze to potem):

„Moniko, najdroższa moja! Piszę to w samolocie, przelatującym właśnie nad twoim krajem, i myśl o tobie, gdzieś w dole, o tobie w więziennej celi...”

Dokończy później. W Paryżu.

Samolot wylądował. Schody i korytarze, korytarze i schody. Orly. Ruchomy bęben wyrzucą, obraca przed podróżnymi ich bagaże. W momencie, w którym Krzysztof Paliwoda chwycił swoją walizkę, ktoś dotyka jego ramienia:

– Christophe? To ty?

Odwraca się. Stoi przed nim niski, łysiejący, wąsaty mężczyzna w komisarzkiej kurtce z czarnej skóry, w komisarzskich butach, wysokich i lśniących. Kto by go nie znał? Nie uświadamiał sobie tylko, że jest taki niski, ta żywa legenda, człowiek, na którego rękach skonał Estravados, jego wierny uczeń, jego mściciel!

– Michael – mówi.

Ściskają sobie ręce. A dookoła rozlegają się niesłyszalne werble, błyskają niewidzialne fle-sze: Krzysztof Paliwoda wkracza do historii.

– Masz wszystko? – pyta Michael. – Więc chodź ze mną.

*

Hotel „Lenox”, rue de l’Université.

Większą część pokoju zajmuje ogromne, kwadratowe łóżko. Szafa, parę krzeseł, stolik. Malutki przedpokój prowadzi do łazienki, lśniącej od białych kafli, oślepiającej wypolerowanym lustrem.

– Będzie ci tu wygodnie – mówi Michael. – Zapłaciłem na razie za tydzień. A teraz dam ci na bieżące wydatki, poczekaj. Sięga po portfel, wyjmuje z niego duże, kolorowe banknoty.

– Też na razie – uprzedza Michael. – Będę ci dawał po sto franków dziennie, gdybyś potrzebował więcej, wystarczy, że mi powiesz. Tylko bez obiekcji, między towarzyszami...

Krzysztof nie ma obiekcji. Składa banknoty i wsuwa je do kieszeni.

– Znasz kogoś w Paryżu? – pyta Michael.

– Nikogo. – I szybko, żarliwie: – Myślałem, że może ty pomożesz mi poznać... czy tu są ludzie mający coś wspólnego z... no, z nimi? Ze „Stammheim”?

Michael unosi brwi.

– Ależ skąd! Słuchaj, ustalmy na początek jedno. Ja naprawdę nie mam z **tymi** ludźmi nic wspólnego. Uważam ich działanie za prowokację. A ich samych... to są maniacy, obłąkani! Odważni, tak, ale odwagą obłąkanych. Nie mają żadnego prawa powoływać się na idee Pabla. My unikamy takich kontaktów, w to musisz uwierzyć. Działamy legalnie. O mnie wiadomo wszystko, całe moje życie jest jawne, wszystko na wierzchu... nawet policji od trzech lat znudziło się węszenie. Nie wierzysz mi?

Oczywiście, postąpił głupio. Ale nie zamierza postępować inaczej.

– Słuchaj, Michael. Ja wiem, że mnie uważasz za szpicla... albo przynajmniej podejrzewasz, że mogę być szpiclem... wiem, że mi nie ufasz...

– Czy w takim razie bym cię zaprosił? Chris, ja nie prowadzę z tobą żadnej gry. Chciałem cię poznać jako przedstawiciela Nowej Lewicy za żelazną kurtyną, chyba mówię jasno? Pierwszy człowiek, wyznający tam poglądy Nowej Lewicy, o jakim słyszałem... dlatego cię zaprosiłem. Poznam cię z ludźmi z Nowej Lewicy, z ludźmi, z którymi jestem blisko. Ale to nie są terroryści. Z terrorystami nie mam żadnych kontaktów i nie chcę ich mieć, nie wierzysz mi?

– Michael – mówi Krzysztof; oczywiście, że mu nie wierzy! – Słuchaj, Michael, kiedy napisałem do ciebie, od razu w pierwszym liście... napisałem, że koresponduję z Moniką Weber. Nie mogę pisać wszystkiego, listy są cenzurowane...

– Jak to? A tajemnica korespondencji?

Krzysztof śmieje się uprzejmie, z wysiłkiem. Marny żart.

– Słuchaj – mówi, znów nabierając żarliwości, znów pełen nadziei. – Pamiętasz, co Estravados pisał o upodobnieniu się opozycji do władzy, i o tym, że trzeba ten mechanizm przełamać, żeby zwyciężyć? Przecież ty teraz... ty naśladujesz metody władzy, mentalność władzy! Władza nikomu nie ufa... więc i opozycja też nie? Mamy tak mało czasu, czemu nie zaufać sobie od razu, po co to przewlekać? Wiem, że zachowuję się jak dureń... no i może jestem, durniem, ale nie szpiclem! Przecież to widać!

– To samo mogę powiedzieć tobie. Dlaczego tak się uparłeś uważać mnie za kłamcę? Mówię ci całą prawdę. Jestem przeciw terroryzmowi. A to, że burżuazyjna prasa... niemiecka prasa, żadna inna... uparła się przyklejać mi taką etykietkę, to nie moja wina. Jeżeli szukasz kontaktów z nimi, nie będę mógł ci pomóc. W innych sprawach tak, w tej nie. Rozumiesz?

– OK, wierzę ci.

Sięga po papierosy.

– Wiesz co, Chris... – Michael jest nieco zakłopotany. Czy jesteś bardzo zmęczony? Po podróży i w ogóle?

– Nie, niespecjalnie. Dlaczego?

– Bo kiedy cię pytałem, czy znasz tu kogoś... no, słowem, powinienem dziś wpaść na jedno przyjęcie. I myślałem, że może pójdziesz ze mną.

– Ależ oczywiście. Jeżeli myślisz, że mogę...

– Więc weź może prysznic, po podróży... a ja tu na ciebie poczekam.

– Przebrać się? Co trzeba włożyć?

– Ależ skąd! Chodź tak, jak jesteś, dziś nikt nie wkłada na przyjęcie fraka!

Prysznic po podróży! Jak gdyby przyjechał tu koleją transsyberyjską, okryty kurzem i pyłem! Przed snem, to co innego. Ale po to, żeby zaraz włożyć na siebie to samo ubranie... A jednak posłusznie wstaje i rusza do łazienki.

Gdy zamyka za sobą drzwi, Michael woła:

– Kochasz się w niej?

Trudno o coś bardziej nieoczekiwanego.

– W kim?

– W Monice Weber.

Krzysztof nieruchomieje. Potem wzrusza ramionami.

– Czy ja wiem?

– Więc czemu akurat ona? Co cię z nią łączy? To ta, która zastrzeliła sędziego, tak? Schwytana w Londynie? Ale to drugi garnitur terrorystów, żadna Ulrike Meinhof... chociaż to niby prawda, po śmierci wszystkich przywódców nie bardzo można mówić o pierwszym garniturze.

Rzuca mu przenikliwe spojrzenie; okulary zapalają się nagle od światła lampy.

– Czy o to chodzi? Ta dziewczyna gra tam teraz jakąś rolę? Tyle się mówi o tym systemie, o kierowaniu akcjami z więzienia...

– Nic o tym nie wiem. Oczywiście, ona jest z głównej grupy, innych nie zamykają w Stammheim, tam siedzi elita...

– Ile ona dostała? Dożywocie?

– Tak.

– A ile ma lat?

– Teraz dwadzieścia siedem.

– No tak... Ale, słuchaj, dlaczego akurat do niej napisałeś, nie do kogokolwiek innego z tej twojej elity? Masz ich tam na pęczki, w Stammheim, w Moabicie, w Bochum... a Włosi? Włosi z Czerwonych Brygad? Oni cię nie interesują?

Krzysztof Paliwoda ciągle jeszcze stoi w otwartych drzwiach łazienki. Ręczniki przewiesił sobie przez ramię.

– Widzisz – mówi powoli, z namysłem – pomyślałem, że mamy ze sobą dużo wspólnego, ja i ona. Czytałem o niej, dużo o niej czytałem, kiedy ją złapali... i potem, podczas procesu...

– Masz jej zdjęcie? Ja jej nie pamiętam.

– Proszę.

Wyjmuje z portfela fotografię. Patrzy na nią jeszcze przez chwilę, zanim poda ją Michaelowi. Drobna, szczupła twarz, oczy zmrużone – na co dzień nosi okulary, wielkie okulary o przydymionych szklach – i podkrążone; krótkie, ciemne włosy byle jak obcięte, kilka prostych pasemek spada na wysokie czoło. Widać wzorzysty kołnierzyk zapiętej pod szyją sukienki czy bluzki, zaskakująco prywatny, cywilny – lato, wolność, szerokie chodniki, ulice, fontanna, łąki, wiatr – w zestawieniu z tym słowem: dożywocie. I to dożywocie w najnowocześniejszym i najcięższym więzieniu świata, w superwięzieniu dla politycznych: po co tam komu wzorzysty kołnierzyk?

– Taak – mówi Michael. – Miła dziewczyna, nieładna, ale miła. – Odwraca fotografię, czyta napis na odwrocie: „Chrisowi – Monika. Stammheim”, ten napis, z którego jego gość jest tak dumny! – No dobrze, weź teraz prysznic. Poczekam tu na ciebie.

„Weź prysznic!” Terror czyścioszków!

Rozpinając pasek, ściągając spodnie, Krzysztof zastanawia się – z nagłym lękiem – czy jest możliwe, czy w ogóle jest możliwe... Nie, to nie pedzio, wykluczone! A przede wszystkim wykluczone, by sprowadzał go tu w takich celach, to nonsens. Chłopaczka z baletu, ale nie kogoś takiego, jak on. Więc po co?

*

Michael wysiada z samochodu, kiwa na Krzysztofa.

– Chodź, to tutaj.

Obskurna, stara kamienica; ciemna, wilgotna brama. W bramie, po prawej, niskie, nie malowane drzwi, jak do stróżówki. Czy to żart?

Drzwi się otwierają. I bucha z nich muzyka.

Są w dużym mrocznym pokoju. Jak w puszcze sardynek. Ludzie stoją jeden przy drugim, stłoczeni, opierają się o siebie plecami i ramionami, z twarzą przy twarzy. W spranych, poplamionych dzinsach, w dziurawych i połatanych swetrach, w rozciągniętych podkoszulkach, z petami przyklejonymi do warg. A między nimi przepychają się nieliczni dumni i pełni godności wytwornisie w białych smokingach. To kelnerzy!

Krzysztof nie może powstrzymać się od śmiechu. Michael patrzy na niego zdziwiony.

– Co cię bawi?

– Kontrast.

Nie tłumaczy tego bliżej, nie ma nawet czasu. Michael przeciska się przez tłum. Całuje w rękę jakąś brudną, rozczochraną kobietę w luźnym, czarnym golfie, w połatanych spodniach, w okularach zasłaniających pół twarzy.

– Droga hrabino – mówi.

Czy to żart? Ależ nie, nie! Skądże!

– To mój przyjaciel z Polski – recytuje Michael, i Krzysztof pochyla się, również całując rękę hrabiny; może to rzeczywiście hrabina? Chyba tak!

– Lubi pan muzykę południowoamerykańską? – pyta hrabina z twarzą tuż przy jego twarzy, z badawczym, owadźm spojrzeniem tuż przy jego spojrzeniu, ściskając mocno jego łokieć; głos ma donośny, niski, tubalny.

– Ta-ak.

– Tam można posłuchać – hrabina wskazuje na coś w kącie pokoju, nie zauważył tego od razu, to zejście na dół, do piwnicy. – A poważne rozmowy tam.

Ruch ręką w drugą stronę: kręte schody, prowadzące na pięterko.

– Ach, dziękuję.

– A ty, Michael, chodź ze mną. Mam do ciebie parę słów...

Michael i hrabina jak podwójny korkociąg wkręcają się, wśrubowują w żywy mur, znikają. Cóż, czemu nie miałyby posłuchać muzyki południowoamerykańskiej?

Po drodze wykwinął w smokingu, balansując jak cyrkowa foka uniesioną nad głową tacą, oferuje mu drinka: whisky, wódka, gin, wino, czerwone, białe, cocktail? Chwila wahania. Nie, woli być trzeźwy. Bierze szklaneczkę soku pomarańczowego, do którego elegant srebrnymi szczypcami włożył dwie kostki lodu, i ostrożnie prześlizguje się dalej. Z każdym krokiem nabiera wprawy.

To prawdziwa piwnica, o ścianach z gołej, czerwonej cegły; czuć tu stęchliznę i perfumy. Ale betonowe klepisko przykryte skórami niedźwiedzimi, i człowiekowi, wnoszącemu tu trzydzieści lat schłodzonej pustki, trzydzieści lat życia wyłącznie intelektualnego, znów zbiera się na śmiech. Znajduje wolne miejsce i ostrożnie siada na brązowym futrze, podciągając kolana pod brodę. Upija trochę soku i stawia szklanekę obok. Przyćmione światło ma kolor krwi. Muzyka rozbija się o ściany, wiruje, zatacza koła, zalewa go, ogłusza: tango.

Obdartusy przycupnięte lub wyciągnięte obok słuchają tanga nabożnie, jak hymnu.

Po chwili jeden z nich podczołguje się do Krzysztofa, siada obok niego.

– Przyszedeś z Michaelem Bernardem? – pyta.

Tak, przyszedł tu z Michaelem Bernardem. Przez trzydzieści lat nic się w jego życiu nie wydarzyło. Urodzony w mieście, które niedawno było gigantyczną kupą gruzu: gruzy uprzągnięto i wszędzie wzniesiono osiedla z półfabrykatów, blok przy bloku, otępiałe z nudów okna patrzą prosto przed siebie, w inne okna, ani na chwilę nie zmieniają kierunku spojrzenia. Jeździł tramwajami i autobusami, i pociągami tak zatłoczonym, że gdy był dzieckiem, trzeba go było wpychać do wnętrza wagonu przez okno: dwanaście, czternaście godzin turkotania do piaszczystej góry i dwóch zmarniałych sosen. I znowu miasto. Chodził do szkoły – pokrajane nożami ławki, biały orzeł na czerwonym tle nad tablicą – uczył się matematyki i rozbiórów gramatycznych, fizyki i rosyjskiego, chemii i geografii, skoków przez kozioł i chodzenia po równoważni. Studia, praca. Obrzydzenie przy pierwszej kobiecie, zachwyt przy piątej, rutyna przy ósmej, znużenie przy dwunastej. Jakieś kawiarnie, restauracje, okienka kasowe, przeliczanie banknotów; maszyna do pisania i pranie koszuli; przejście przez park, w którym kwitną drzewa, i przymierzanie butów, które kupował, i które przez pięć lat gniotły w palcach; pustka, pustka, pustka. Czytał, pisał. Nie miał czasu na muzykę południowoamerykańską i nigdy w życiu nie widział niedźwiedziej skóry ani smokingu. Kupował cienkie koperty z czerwonymi paskami przy brzegach i z napisem AIR MAIL, wkładał do nich zapisane kartki, naklejał znaczki. Któregoś dnia położył przed sobą dwa tomiki, kupione w księgarni wydawnictw importowanych przy Placu Trzech Krzyży, pięć numerów „Temps Modernes” i plik wycinków. Przejrzał to wszystko solennie, raz jeszcze, i napisał długi list do Michaela Bernarda. Michael Bernard mu odpowiedział. On odpowiedział Michaelowi Bernard. Potem Michael Bernard przysłał mu zaproszenie i pieniądze na drogę. I jest tutaj; czy to nie głupie?

– Tak – mówi.
Ile masz lat?
– Tyle, co Hamlet.
– Chcesz papierosa?
– Czemu nie? Sięga do podsuniętej mu paczki gauloisów, bierze jednego, pochyla się nad płomykiem zapalniczki.
– Mój ojciec jest księciem.
No, no. Krzysztof patrzy z ukosa na twarz obdartusa, oświetloną przez moment rozżarzonego końcem gauloise’a.
– W zasadzie ja też jestem księciem – rozgaduje się obdartus. – Albo postawmy sprawę inaczej: mój ojciec też nim nie jest. Skoro władza sowiecka skasowała tytuły...
– Jesteś Rosjaninem?
– A jakże. Już mój dziadek, biedaczysko, był **byłym** księciem. Znasz exodus arystokracji rosyjskiej? Przez Konstantynopol do paryskiej taksówki?
– Któż tego nie zna.
– O, to, to! Moja rodzina zawsze ulegała stereotypom. Dziadek, biedaczysko, został taksówkarzem. Pomińmy tatusia i przejdźmy od razu do mnie. New Left, my dear! MARKS, ENGELS, LENIN, TROCKI, ROSA! Biały książę, wnuk taksówkarza, syn sklepikarza! bum! bum! a bas! long live! down! Nasz sztandar płynie ponad trony! I co ty na to?
Krzysztof unosi brwi i nie odpowiada, co mógłby odpowiedzieć? Facet nie robi wrażenia pijanego, skądże, ani trochę. – Kuzyn ojca, książę Wiazemski, ożenił się z córką tego lokajczuka klechów, Mauriaca – paple dalej obdartus. – Aż jego córką ożenił się Godard, Jean-Luc Godard, takie mamy teraz drzewo genealogiczne, takie koneksje, lubisz filmy Godarda?
– Bardzo.
– Księżniczka Wiazemska grała w jego „Chince”. To jest film, przyjacielu! Nie film, a bomba! Księżniczka Wiazemska zagrała lewaczkę pierwszej klasy, cała reszta była już tylko naśladownictwem. Księżniczka Wiazemska, moja kuzyneczka, pod światłym kierownictwem małżonka dała nam prototyp terrorystki, kiedy nikomu się nawet o terroryzmie nie śniło!
– No – oponuje Krzysztof – terroryzm jest wieczny.
– Ale ten nowy, ten nasz! Co kogo obchodzi historia? Mój pradziadek kochał się w Wierze Zasulicz, a propos: uwierzyłbyś? Nosił zawsze przy sobie jej fotografię. No, Hamlecie, egzamin: kogo próbowała usunąć z tego świata Wiera Zasulicz?
– Policmajstra Trepowa, w 1878 – odpowiada Krzysztof z uśmiechem: podoba mu się ten człowiek, podoba mu się o wiele bardziej niż Michael, ta żywa legenda, to sztywne pudło. A nikogo prócz nich dwóch przecież nie zna.
– Brawo, Hamlecie! – Obdartus dwukrotnie z namaszczeniem uderza w dłoń. – Serio, nie sądzę, żeby w tych salonach – ruch ręki dokoła i w górę – znalazł się ktoś drugi, kto by słyszał o Wierze Zasulicz. Lewica ma też swoich nuworyszów, i to jakich! Co, przyjacielu, nie warto by o tym napisać? O nuworyszach lewicy? Wskoczyło to wszystko spod ziemi wczoraj lub onegdaj, ani chwili wcześniej! Twój Michael również. Zdradzę ci wielką tajemnicę, Hamlecie: **oni nie mają przodków!** I to ich zgubi. To jest z wódką?
– Co?
– Twój soczek.
– Nie, czysty.
– Coś takiego! Ty też nie pijesz! Przyjacielu!
Książę kwiczy z radości, młóćąc piętami w niedźwiedzią skórę.
– Skąd o mnie wiesz? – pyta nagle Krzysztof. – I co właściwie wiesz?
– Ależ nic. Że jesteś **stamtąd**. Zza żelaznej. Ach, człowieku, serce mi taje na widok każdego stamtąd, i zawsze, zawsze źle na tym wychodzę! Jesteś z Warszawy, Priwisliańskij Kraj, znam, znam, a jakże. Niemal z ojczyzny! Dawno przyjechałeś?

- Dziś wieczorem.
- Coś takiego! I nikogo nie znasz? Poza Michael'em?
- Nikogo.

– No, no. – Księżę pochyla się ku niemu, poważniejąc nagle: młoda, podłużna twarz w czerwonym świetle, szzerwieniały od światła jasny łok, unoszący się zawadiacko nad czołem.

– Dam ci dobrą radę, Hamlecie: nie daj mu się opętać. Wiem, wiem: stary Michael po śmierci Estravadosa, świeć Panie nad jego duszą, rzucił bombę pod samochód szefa policji, i wprawdzie bomba nie wybuchła, ale wszyscy ludzie o czystych sercach będą go za to kochać do końca swoich dni. Czy można było mieć piękniejszy i szlachetniejszy odruch, powiedz sam, Hamlecie? Jeżeli się jest synem barona tekstyliów, a po kądzieli wnukiem angielskiego lorda, nie można było, w żadnym wypadku, Hamlecie, wykluczone. I pełne cztery lata w mamrze, chociaż bomba nie wybuchła, co za okrucieństwo! Takie delikatne stworzenie, takie płomienne serduszko, potomek lordów i tekstyliów – w mamrze! To oczywiste, że od wyjścia stamtąd – a wszyscy interweniowali w obronie naszego lordziątka, wszyscy byli nim wzruszeni – siedzi na złotym tronie w carskiej koronie, i panuje. Feruje wyroki, chwali, rzuca anatemy. Poczciwy, stary Michael! Car Nowej Lewicy, dzięki jednej bombie, która nie wybuchła!

– O, jesteś tu, Chris!

Michael stoi nad nimi, opanowany, spokojny: jego łysina płonie czerwonym światłem. Czy coś słyszał? Choćby nawet, i tak nie zmieniłby wyrazu twarzy.

– Mam jeszcze z kimś do pogadania na górze – mówi. – Wpadnij tam. Potem chyba pójdziemy, co? Musisz być zmęczony po podróży.

– Dobrze.

Michael wspina się już po drabinie, prowadzącej na górę – bo to zwykła drabina, nie schody. Księżę opadł na wznak na niedźwiedzie futro, jedną rękę podłożył pod głowę, drugą sięgnął do kieszeni.

– Domyślałem się, że musisz teraz pędzić za swym przyjacielem, Hamlecie. Weź chociaż moją wizytówkę. Odwiedź mnie, nie będziesz tego żałował. Ale nie mów lepiej swojemu carowi, że ci to dałem.

– W porządku, księżę.

Krzysztof chowa wizytówkę do kieszeni i niepewnym, błazeńskim ruchem schyla głowę przed leżącym, który wyciąga się wygodniej i przymyka oczy. Dopiero teraz ogarnia wzrokiem całą piwnicę, widzi ich wszystkich, niewyraźnych, purpurowych, mężczyzn i kobiety, na jednej z głów zawój w drobną kratkę, jak u Arafata: Arab? Mniejsza o to.

W głównej sali bierze sobie z tacy kanapkę z kawiozem, bierze też kieliszek białego wina i rusza na „górkę”.

Tu też podłogę pokrywają skóry niedźwiedzie, ale białe. Poza tym nie ma niczego. Parę osób leży, parę siedzi w kucki z plecami opartymi o ścianę.

– Ach, jesteś, Chris. Zaraz idziemy.

Michael rozmawia ze szpakowatym mężczyzną w tweedowym garniturze, całkiem już nie pasującym do tej hrabiowskiej bohemy. Przykucnął pod ścianą, jak należy, ale jest mu niewygodnie, wierci się, z trudem utrzymuje równowagę.

– To mój przyjaciel z Polski. A to Raymond Krivitzky.

– Ach!

Raymond Krivitzky – to on przemawiał na chwilę przed śmiercią Estravadosa, jakże by Krzysztof mógł o tym nie wiedzieć? – ożywia się nagle. Z Polski? Rozpieprzyli u was ruch trockistowski, a tak się już ładnie kiedyś zapowiadał! Jak pan myśli, mógłby być odbudowany? Macie dużo dysydentów, prawda? Macie KOR! Wielka, wielka rzecz! Ale jaka jest baza? Jakie nastroje? No, jak tam u was jest? Jak?!

Krzysztof przysiadł na białym futrze, sięga do podsuniętej mu przez Krivitzky'ego papierośnicy.

– Jak u nas jest? – zastanawia się głośno. – Dębowe boazerie i telefony z nefrytu. Wille z basenami i perskie dywany. W sklepie wyrrywają kalece kule i biją go nimi po głowie, bo kupił ostatni ochłap mięsa. Kolejki zabiedzonych staruszków przed aptekami. Szycha z Prokuratury Generalnej po pijanemu strzela do trzyletniego dziecka, zabija i dostaje wyrok z zawieszaniem. Baba handlująca starzyzną na bazarze jeździ najnowszym modelem BMW. Profesor uniwersytetu zatłoczonym tramwajem. Oficjalny regulamin więzienny, dostępny w każdej bibliotece, przewiduje tortury. Także dla ciężarnych do piątego miesiąca. Tortura „twardego łoża”, tortura „pasów”... to grozi paralizem. A to tylko tortury oficjalne, kary dyscyplinarne za drobne przewinienia!

– No, policja wszędzie torturuje – mówi niechętnie Michael Bernard.

Ale Krivitzky już mu przerywa:

– A ideologia? Ideologia? W końcu to inny świat, inny system! Socjalizm! Co wy tam, teraz, uważacie za socjalizm?

– Ba! – wzdycha Krzysztof. – Dam panu przykład. Niedawno w pewnym tygodniku...

– Partyjnym?

– Tak, partyjnym... ukazała się taka definicja socjalizmu: jest to ustrój, który zapewnia godziwe warunki bytowania dla wszystkich, dla bogatych i biednych.

– Być nie może! – woła Krivitzky. – I nie ukazało się nic, żadne sprostowanie, polemika, nic?

– Nic.

– Ale o co tu chodzi! – pyta, niczego nie rozumiejąc, Michael Bernard. – Co w tym jest nie tak?

– Michael, człowieku! – woła Krivitzky, uderzając się otwartymi dłońmi w podciągnięte kolana. – Przecież to jest definicja kapitalizmu, współczesnego kapitalizmu, kapitalizmu z sektorem socjalnym, to niebywałe! A więc – widzisz, Michael, my jedni zawsze to mówiliśmy – a więc tworzymy jeden świat, jedno piekło, żelazna kurtyna między piekłem a rajem to mit, i paryżanin, i moskwianin żyją w piekle, takie to proste, a wy, durnie, nie rozumiecie! Różnice ustrojowe to mit, piekło jest wspólne.

– Tylko że wy żyjecie w jego pierwszym kręgu, a my w szóstym czy siódmym – mówi kwaśno Krzysztof Paliwoda (siedząc na niedźwiedzim futrze, nad cocktailem, wołać, że żyje się w piekle... jakież to, mimo wszystko, niestosowne!). Krivitzky na szczęście nie protestuje, nie bredzi, że bójka z kaleką w pustym sklepie (na wystawie zamiast towaru czerwone chorągiewki, widać znów zbliża się jakieś święto) jest chociaż dowodem posiadania DUSZY, duszy gubionej i traconej bezpowrotnie w tej części piekła, gdzie padaż góruje nad popytem... Krivitzky nie protestuje, więc Krzysztof dorzuca jeszcze:

– I do tego w tym waszym pierwszym kręgu ludzie walczą! Walczą z piekłem! A u nas...

– Idziemy, Chris – mówi Michael, wstając. Krivitzky też wstaje, łapie Krzysztofa za rękaw, nie pozwala mu odejść.

– A u was?

– U nas? Polowanie na foki – mówi Krzysztof, wyrzucając to z siebie wreszcie, dziewięć lat pod tupotem butów z wiszącej nad łóżkiem litografii, dziewięć lat uciekających – polowanie na foki! Myśliwi wchodzą w stado, zabijają pałkami, walą pałkami po łbach, żeby nie uszkodzić futra, a inne foki widzą to, patrzą, i nawet nie drgną... Och, u nas nic się nie ruszy, u nas nie będą walczyć! Proszę pana, czytałem ostatnio raport o stanie naszej gospodarki, nielegalny oczywiście, wstrząsające, wszystko się wali, jeszcze parę miesięcy – i przepaść, palce gryzłem ze złości nad tym raportem, bo jeden jest tylko ratunek, bunt powszechny, powstanie, ale u nas nie powstaną, nie wierzę w to, stłamszeni, zduszeni, polowanie na foki, opozycja to bohaterowie, ale nie działają niczego, bo ludzie się nie ruszą, nigdy! Tylko wy, w waszym pierwszym kręgu, w waszym luksusowym piekielku... Jestem w rozpacz, niech

mi pan wierzy, w rozpaczy. Przyjechałem do was, żeby zobaczyć ludzi, którzy walczą! Albo chociaż popierają tych, którzy walczą! Bo u nas...

– Idziemy, Chris.

– Niech pan do mnie zadzwoni – mówi Raymond Krivitzky, sięgając do kieszeni, mały biały kartonik przechodzi z rąk do rąk. – Mamy tyle wspólnych tematów!

– Chodź, Chris.

Biały kartonik wsuwa się w głąb kieszeni džinsów, ocierając się tam o inny, kremowy, o wizytówkę księcia. I znów schody, niepewne, kręte, drabiniaste schody, i sala główna, która nie przypomina już puszek sardynek, raczej talerz z rozrzuconymi, rozmazanymi na dnie resztkami; drzwi – i brama, i zaparkowane na chodniku samochody, i ten ślizg naprzód, po mrocznych, lśniących ulicach, w smugach kolorowego światła, neony, witryny, „La Coupele”, mówi Michael, i „La Rotonde”, i „Deux Magots”, mijają wszystkie te miejsca, o których czytał, słyszał, wiedział, i które już nie wywołują oszołomienia, nie czuje triumfu, tęsknota umarła, za późno! Dawny Paryż, pachnący fiołkami na wiosnę, z pieczonymi kasztanami jesienią, nowy Paryż, przez cały rok pachnący benzyną, to tylko tło, dekoracja, tektura. Reżyserom znudziła się realistyczna scenografia: toż wszystko można zagrać, posługując się ciemną kotarą, niczego więcej nie potrzeba! Oto twoja ciemna kotara: noc. Po proscenium sunie samochód z Michałem Bernardem, tą Wierą Zasulicz płci męskiej, tym łysym komisarzem z milionami, i z Krzysztofem Paliwodą, skrybą wchodzącym do historii: samochód czy konik wystrugany z patyka, jaka to różnica? Struga rozmazanych świateł, rozmazanych barw dokoła, nic więcej. „To już Saint Germain”, mówi Michael, i kotara wzdyma się na chwilę, opada, i znów jest jak przedtem.

Odbiera klucz w recepcji. „Trafisz na piętro?” – pyta Michael. – „Tam jest winda. Jutro koło południa zadzwonię”. Uścisk ręki. I do windy, i w górę, i przekręcić klucz, i światło. Nareszcie sam.

Wciąż oszołomiony, niewprawnie rozbiera obco, po francusku zasłane łóżko. Myje się. A przed zaśnięciem wyciąga jeszcze raz z portfela zdjęcie Moniki Weber, patrzy na nie. Inaczej niż dotąd. I skurcz współczucia w gardle jest inny niż dotąd; dlaczego?

Zamyka oczy. I wyobraża ją sobie, widzi ją, lepiej niż przedtem, ostro: orkiestra kończy uwerturę, purpurowa kurtyna ze złotym szlakiem rozsuwa się uroczyście, reflektor wyławia z mroku jedną postać, podchodzącą wolniutko do rampy, w przydymionych okularach, we wzorzystej sukience, z ciemnymi kosmykami spadającymi na czoło: Monika!

2

Punkt kontaktowy: bar „Kentucky” na New Oxford Street.

Drobna, szczupła dziewczyna w wielkich, przydymionych okularach, które przysłaniają połowę jej twarzy, w rozpiętym płaszczu, w długim szaliku w biało-czerwone pasy, niesie swoją tacę do stolika w głębi sali, pod samym lustrem. Siada na kanapce obitej czerwoną skórą (lub jej imitacją, co za różnica?), ustawia przed sobą talerz i filiżankę, sięga po widelec. Ma stąd widok na całe „Kentucky”, dobry widok. Jedząc hamburgera z frytkami, popijając go herbatą zabielaną mlekiem, patrzy na inne stoliki, na oszkloną ścianę od ulicy, na ulicę za szkłem. Po New Oxford Street suną samochody, ktoś macha ręką i zatrzymuje wysoką, czarną taksówkę.

Przecucie! To bzdura. Akurat wtedy, kiedy ma się coś stać, nie ma się żadnych przecuć. To zwykły lęk, taki jak zawsze.

Weszła!

Stoi właśnie w drzwiach, w brązowej, skórzanej kurtce, z jasnymi włosami kłębiącymi się wokół pogodnej, okrągłej twarzy. To mądra dziewczyna, ta Susanne, musiała wiedzieć, że nie ma ogona, musiała się upewnić. No i OK. Czego się boisz?

Susanne skinęła jej ręką. Stała w kolejce, wzięła tacę. Nałożono jej na nią kawałek brojlera i frytki. Przesunęła się teraz do kobiety, od której bierze się napoje i której się płaci. Aż do stolika przed lustrem dobiega niezmiennie wesóły, żwawy, rubaszny głos kobiety: „And for you, Ma’am?” Susanne prosi o coca-colę, podaje kilka monet, dostaje dwie inne, wrzuca je do kieszeni...

Idzie już w stronę stolika pod lustrem. Stawia swoją tacę. Siada.

– Wszystko OK?

Susanne kiwa głową.

Łapczywie wypija kilka łyków coli, odstawia szklanekę, nożem i widelcem – jak szablą i bagnietem – atakuje kurczaka.

– Jak to czuć rybą! – mówi, marszcząc nos. – Naprawdę, to koszmar, karmić kurczaki mączką rybną. Smakują jak ryby, pachną jak ryby, koszmar!

– Widziałas...

– Za chwilę.

Jakiś mężczyzna wychodzi z toalety. Mija ich stolik, machając ręką do kogoś przy wejściu. Jednocześnie podnosi się człowiek przy stoliku z lewej.

To staje się zbyt nagle, żeby mogło dotrzeć do świadomości.

Nagle obaj są przy nich, nad nimi, błysk, krzyk, słowo „policja”, ktoś chwyta ręce Susanne, trzymające sztucce... Ale już je upuściła na talerz, wyrwała prawą rękę, zdołała sięgnąć do kieszeni. I wtedy ten huk.

Krzesło przewraca się, stolik też, Susanne pada na ziemię, uderza głową o kant kanapki po drugiej stronie. Ludzie krzyczą. Dopiero teraz – gorąca, płomienna plama na ramieniu. Dopiero teraz to dociera: gorąco, ból. Ciężar na przegubach, ciężar łączący dłonie: kiedy go zatrzaśnięto?

Coś białego rozprysnęło się wokół głowy Susanne. Zgina się wpół, żeby to zobaczyć, i uderzenie natychmiast odrzuca ją do tyłu, prawie przewraca. Zobaczyła jednak.

To mózg! To, co rozprysnęło się po podłodze. Mózg Susanne!

*

Punkt kontaktowy: szalet publiczny przy Soho Square.

A. siedzi na jednej z ławek otaczających skwer, pod szarym, pochmurnym niebem. Je pastries, popija jogurtem z tekturowej szklaneczki. Zwyczajny obrazek, nic w nim nie ma podejrzanego.

W. przed zejściem po schodach, prowadzących do szaletu, rozkłada jak na próbę parasol, składa go ponownie, poprawia zapięcie: dopiero teraz idzie na dół.

Zatem wszystko OK. Ale trzeba poczekać.

Jedząc pastries A. rozgląda się spod na wpół opuszczonych powiek. Na Soho Square nie ma prawie nikogo. Ani w uliczce. Parę osób przeszło i zniknęło. Niczego się nie czuje, niczego podejrzanego.

Zjadł. Wypił. Minęło osiem minut. Może już zejść.

Na dole jest pusto. Przy pisuarach, przy umywalkach nikogo.

Wchodzi do jednej z kabin, odczekuje chwilę.

Gdy wychodzi, W. myje ręce. Myje je płynnym mydłem, a potem uruchamia elektryczną suszarkę. Stojąc obok niego, A. robi to samo.

– No i jak?

W. patrzy na niego z ukosa; jest roztrzęsiony, teraz to widać.

– Zabili Susanne – mówi. – I mają Monikę.
– Niemożliwe! Jak to? Bobbies?
– Jacy bobbies, nasi! Niemcy.
– Pozwolili na taką akcję? Anglicy pozwolili? Na swoim terenie?
– A jakże. Teraz słuchaj. Będzie ekstradycja. Trzeba kablować do Starego...
– Anglicy...
– Tylko nie powtarzaj tych bzdur, nie ma czasu, jasne, że się zgodzą na ekstradycję, już się zgodzili. Ale niech Stary robi kampanię przeciw, z miejsca. Niech wyciąga staruszka Sartre'a i co tam trzeba. Sam będzie wiedział. To i tak nie pomoże, ale...
– Nie można jej z tego wyciągnąć?
– To też do decyzji Starego. Nie sędzę.
Na schodach słychać kroki. W. rusza w górę, parasol przełożył do lewej ręki, prawą trzyma w kieszeni. A. czeka. Czeka na strzały.
Nie padły. Ze schodów gramoli się zgarbiony Chińczyk, nawet na niego nie spojrzął. Wyłączyć suszarkę. Iść.

*

Stammheim.

Wchodzi do najślawniejszego więzienia świata, do Bastylii dwudziestego wieku, oniesmielona jak dziewczynka po raz pierwszy przyprawiona do szkoły, przerażona i dumna, jakby szła na pierwszy bal, jakby szła odbierać medal; idzie milczącym korytarzem pełnym duchów, korytarzem siódmego piętra.

Za plecami ma kabinę z kuloodpornymi szybami, przez które obserwują, rejestrują każdy jej ruch dwie kamery. Przed sobą – biurko, za którym siedzi jakiś człowiek; dalej, w końcu korytarza, jest jeszcze jedno, z taką samą żelazną lampą, przy tamtym nie ma nikogo. Po obu stronach – drzwi. Ostre, martwe światło. Dwaj strażnicy, którzy ją prowadzą, zamieniają parę słów z człowiekiem przy środkowym biurku. Potem zwracają. Otwierają drzwi po prawej stronie. Wchodzi. I drzwi zamykają się za nią, jest sama.

To miejsce, w którym ma spędzić resztę życia: sześćdziesiąt lat? siedemdziesiąt? Nagie ściany, pomalowane na jasnożółto. Wysoko, pod samym sufitem umieszczone okienko. Stół, krzesło, pusta etażerka, umywalka, sedes, parawan. Za parawanem – łóżko, porządnie złożony koc. Nad łóżkiem żelazna, biurowa lampa umocowana w ścianie. Dziewięć metrów kwadratowych. Sztuczne światło, padające z góry, przez kratę, nie można go zgasić. Nie można także dostać się do okienka pod sufitem; może, gdyby dostawić taboret... ale po co wyglądać?

Wiadomo, co jest na zewnątrz! Betonowy plac, otoczony zaporami z drutów kolczastych i wysokim murem. Potężne reflektory oświetlają każde zgięcie drutu, każdą rysę na murze – gdyby tu mogły istnieć jakiegokolwiek rysy! Każdy centymetr muru, drutów, podwórza obserwowany bezustannie przez kamery. W górze, nad dziedzińcem – mocna siatka: wróg nie dotrze tu ani z ziemi, ani z powietrza. Po prawej stronie ulicy budynek sądu, postawiony specjalnie na proces ich organizacji, za 13 milionów marek: ze stalobetonu, bez okien. Po lewej – budynek kontroli odwiedzających. Każdego człowieka, każdy przedmiot bada się tam elektronicznym detektorem. Urzędnicy grzebią w rozporkach adwokatów, oglądają i ostukują zdejmowane buty, rozkręcają długopisy, obmacują każdy papieros, każdą zapalną, odbierają spinki do włosów i spinacze, łączące akta obrony. Kontrollraum łączy się z Intensivstation; dalej, za tym niskim szerokim gmachem, wznosi się drugi, wąski, ośmio-piętrowy. Stalobeton i fotokomórki, kamery telewizyjne i kraty, szyby pancerne i płyty tłumiące dźwięki. Więźniów wypuszcza się na korytarz – na razie, dopóki ich apelacje nie zostały jeszcze rozpatrzone, a wyroki, które zapadły, nie są ostateczne; spacerów po podwórzu tu nie ma. Dawniej kazano im chodzić w kółko po korytarzu ósmego, najwyższego piętra: dach jest tam z pancerne-

go szkła, wpada więc trochę dziennego światła; ostatnio podobno już się tego nie stosuje. Życie więźniów płynie przy świetle elektrycznym, a miejscem, w którym mogą odbywać swe namiastki spacerów, mało tego – w którym wolno im rozmawiać, jest korytarz, którym Monika szła przed chwilą. Na to właśnie czeka – jak na pierwszy taniec na balu, jak na pierwszą lekcję w szkole, przerażona, zachwycona. Za chwilę ich zobaczy – ich, żywe legendy, ich, których zna tylko z fotografii, ich, za których gotowa była umrzeć, nie ona jedna. Dzięki ośmiu strzałom z pistoletu Smith and Wesson, kaliber 9, model 39/2, dzięki tym strzałom weszła do elity żywych upiorów, stała się jedną z największych, przeszła do historii! A także dzięki temu, że w barze „Kentucky” kajdanki zamknęły się na jej przegubach zanim zdążyła się zorientować, o co chodzi: gdyby miała szybszy refleks, zginęłaby jak Susanne, nie zobaczyłaby ich nigdy – ich, siedzących w celach wokół tego samego korytarza, ich, największych!

Zna już regulamin. Włączanie światła i wstawanie o 6.30. O 7.30 śniadanie. Od 10 do 12 wolny czas, spotkania na korytarzu; powrót do cel, obiad. Od 14 do 16 znów na korytarzu. I do cel. O 17 kolacja, o 23 gaszenie światła. Dawniej nie gaszono go nigdy, dodatkowa tortura. Wolno dokupić żywności za 250 marek miesięcznie. Wolno mieć do 250 książek, telewizor, adapter. Najbardziej luksusowe i najbezpieczniejsze więzienie świata!

Jest dziewiąta rano. Za godzinę otworzą cele. Czy i tę także? Czy ich dziś zobaczy?

Niecierpliwość. Powolność tej godziny, pierwszej z setek tysięcy.

Nareszcie. Drzwi się otwierają, strażnik poleca jej gestem opuścić celę.

Co jej powiedzą? Jak ją przyjmą?

Wychodzi na drżących, uginających się nogach. Korytarz jest pełen ludzi. Zielone mundury. Stoją pod ścianami, założyli ręce na piersi: jest ich tak wielu? A wśród mundurowych kilka osób po cywilnemu. Nikt nie zwraca na nią uwagi, są podnieceni, mówią coś, krzyczą.

Wysoki przystojniak w dżinsach i podkoszulku, w okularach z błękitnymi szklami – to Baader! poznaje go! to Baader! – podchodzi do kilku mężczyzn w mundurach.

– Spieprzajcie stąd! – krzyczy. – Co tu robicie?

Nie odpowiadają mu, nie zwracają na niego uwagi. Wszyscy więźniowie są w dżinsach i podkoszulkach. Monika poznaje wysoką, chudą blondynkę – tak, poznaje ją, mimo tych włosów, tych skróconych włosów, ciemniejszych, niż na dawnych zdjęciach: to Gudrun Ensslin. Ten drugi wysoki, to Jan-Carl Raspe, a to Helmut Pohl, a ta wielkooka dziewczyna? Ingrid Schubert, na pewno, a ten to Wolfgang Beer, a ta z grzywką? Irmgard Möller, chyba tak... nikogo z nich nie zna, ona, z drugiej generacji, ona, stojąca teraz na trakcie weteranów, na trakcie bohaterów, ona, której czyn był aktem zemsty – za nich. Za tamtą, powieszoną w celi... Zbliży się do nich, mówi cicho: „Cześć!”, spojrzeli, otoczyli ją nawet, ale zajęci są czym innym, o czym innym myślą, to widać. „Jesteś Monika Weber?” – pyta Raspe. – „Cześć, przyszedł w fatalnej chwili!”

Baader podchodzi do niej – tak, podchodzi do niej! – z kubkiem kawy w ręku; upija jeden łyk i patrząc w inną stronę, mówi półgłosem: „Że też cię tu dzisiaj przysłali! Coś się szykuje, może być gorąco. Nigdy nie siedziałaś?”

– Nigdy – mówi Monika.

– Nawet w areszcie? No, to masz dobre wejście. Słuchaj, na wszelki wypadek. Kładź się pod drzwiami, przez szparę można coś usłyszeć. Płyty nie są całkiem szczelne.

– Teraz? – pyta Monika, nie rozumiejąc niczego, ogłupiała.

– Skąd, w celi. W razie izolacji. I sama krzycz przez szparę, leżąc na ziemi. Nocą nikt nie słyszy, świnia siedzi w cockpicie, widzi cię tylko na ekranie, jego sprawa. Hej, Gudrun!

Gudrun Ensslin robi szybki ruch w jego stronę, niedokończony. Bo nagle cały korytarz wypełnia się mundurami. Ile ich jest? Dziesiątki, dziesiątki. Jeden z tych, którzy stali tu przedtem, krzyczy przenikliwie: „Zamknąć drzwi, nie gadać! Jazda!”

Baader nie patrzy już na Monikę. Patrzy na tamtego.

– Szukasz guza? – pyta, nie podnosząc głosu.

Więźniowie już się przegrupowali, są wszyscy w końcu korytarza, pod otwartymi drzwiami z lewej, kiedy to zrobili? Zwarli się w czworobok, ramię przy ramieniu, Baader zmierza w ich stronę, nie spiesząc się, nonszalancko, ciągle z kubkiem w dłoni. Monika nie wie, co robić, postępuje za nim – i widzi, jak ogromny facet, gigantyczna bryła z mięsa i mięśni, rzuca się na jednego z więźniów; drugi – to Jan, Jan Raspe – czepia się jego ramienia, krzycząc: „Czego właściwie chcecie? Zostaw go! Czego chcecie?” Słysząc trzask pięści, biją kogoś; Baader nagle chlusta na mundurowych swoją kawą, potem ciska sam kubek, który odbija się od ściany – i teraz widać już tylko kłębówisko, wyjące kłębówisko, mundury, dziesiątki mundurów, muskularne ramiona, rozkraczone dla lepszej równowagi nogi; ależ oni ich rozszarpia! Rozszarpia!

Ciągle oszołomiona – to samo, co było w „Kentucky”, zwolniony refleks, nie rozumie jeszcze, co się stało, zresztą, kto by to zrozumiał? Monika widzi Baadera, masakrowanego przez sześciu policjantów, widzi innych, chwytanym za ręce i nogi, widzi, jak uderza się ich głowami o mur, widzi Gudrun leżącą na ziemi, jeden z napastników klęczy na niej, dwóch ciągnie za nogi, ktoś ściska jej twarz rękami, z całej siły, unosi głowę i uderza nią o beton; nie! Monika rzuca się do nich, dopiero teraz, nie rozumie sama, co robi, co się z nią dzieje – i czuje żelazne palce, wbijające się w jej ciało, policjanci chwytają i ją, za ręce i nogi, unoszą, rozkołusują – i ciskają z rozmachem, wszystko wiruje, przez mgnienie, tylko przez mgnienie. Pękł jej kręgosłup. Wie o tym, jest tego pewna; krzyczy. Te twarze nad jej twarzą, olbrzymie, purpurowe. Te unoszące się i opadające buty. Kopia. Raz po razie, w brzuch, między nogi; podrywa się (jednak! miała na to dość siły?), a wtedy coś zasłania światło, ten olbrzymi facet, widziała go przedtem, to ten największy, siada na jej głowie, to koniec, zmiażdżył ją, zmiażdżył, to koniec – nie, uwalnia ją, chwytając za włosy i wali jej głową o podłogę, raz po razie. Słyszy krzyk, ale nie rozumie słów, nieartykułowany ryk policjantów i wycie jakiejś kobiety, kto to jest? Ona sama? Szarpia ją za włosy, wyrrywają całe pasma, ktoś pluje jej w twarz, czuje to, czuje ściekającą po twarzy ślinę – a w chwilę później znów zostaje uniesiona i ciśnięta przez otwarte drzwi, prosto na ścianę, odbija się od ściany, a teraz leży na podłodze, w celi, to ta sama cela; drzwi są zamknięte, cisza. Nigdy nie było takiej ciszy!

Pierwsze, co czuje, to cisza. Zaraz potem mdłości. Nie może się podnieść, odczołgać; wymiotuje na podłogę, to jest czerwone, z krwią. Jest jej zimno. Trzęsie się z zimna. Nagła ciemność przed oczami. I znów widzi. Jeszcze raz ciemność. Ból w każdym nerwie, ból całego ciała. W głowie ma jakiś kruchy, chybotliwy przedmiot, który kołysze się przy każdym poruszeniu i sprawia ból: uchronić go! uchronić przed poruszeniem, przed oderwaniem!

Potem drzwi się otwierają, strażnik wnosi tacę. Milczy. Spojrzał na nią, ciągle leżącą na podłodze, w krwawych wymiotach, zostawił tacę, wyszedł. W jakiś czas później zjawia się, żeby zabrać tacę, nietkniętą. Teraz się odezwał.

– Co? – Pyta – głodóweczka? Ty też? Ładnie zaczynasz.

Dopiero wieczorem podnosi się jakoś. Zaczyna chodzić po celi. Papierem toaletowym sprząta wymioty. Pije trochę wody.

Kiedy gaśnie światło, przypomina sobie to, co mówił Baader. Kładzie się pod drzwiami. Rzeczywiście, jest tu szpara. Monika nasłuchuje. Cisza.

Po jakimś czasie – nieskończoność! – słyszy głos, stłumiony, niewyraźny. Ktoś woła do niej, leżąc pod drzwiami celi naprzeciwko, pod drzwiami uszczelnionymi na noc dźwiękochłonną płytą. „Monika!” – woła głos – „MO-NI-KA!”, a ona odpowiada: „Jestem!”

Ciało ma w krwawych sińcach, zdartą skórę z nogi, pękniętą wargę, naderwane ucho. Prawa ręka, na którą ktoś nadepnął, spuchła, nie można nią poruszyć. Ale odezwał się głos, wołający ją po imieniu. Głos tłumaczy – po wielokroć wykrzykując każde słowo, żeby zrozumiała – co się dziś stało. Prowokacja. Od kilku dni się tego spodziewali. Zarzucają więźniom rzucenie się na strażników, to jasne. Żeby tym uzasadnić wprowadzenie pełnej izolacji. Od-

powiedz: strajk głodowy, od zaraz – aż do przywrócenia dawnych warunków. Żądaj rozmowy z adwokatem. Trzymaj się!

Monika odsuwa się od drzwi, siada na podłodze, lewą ręką ostrożnie obejmuje potłuczone kolana. Jest bardzo ciemno. Dopiero w tej ciemności, dopiero teraz, uświadamia sobie, że potłuczono jej okulary, spadły, kiedy ją pochwycono, a to chrupnięcie, ten dźwięk tłukącego się szkła... Ktoś je przydeptał. Co ona zrobi bez okularów? Siedząc na podłodze, martwi się swoimi okularami i przez chwilę tylko tym, martwi się, tak bardzo się martwi...

Jakiś błysk przesunął się przez okienko: poruszono reflektorem, reflektor łowi cień, złudę, upiora – na murze? na podwórzu? w siatce drutów kolczastych?

Tak mija jej pierwsza noc w Stammheim.

*

Trzeciego dnia głodówki sterylna, martwa cęła zaczyna pachnieć. Wszystkie przedmioty wydzielają zapachy. Ostry zapach farby, którą pomalowano ścianę. Miękki, coraz bardziej żywczy, coraz bardziej leśny zapach stołu i krzesła. Piwniczny – betonu. Głęboki, wilgotny, zimny zapach żelaza. A woń środków dezynfekcyjnych! Kawalka mydła, leżącego na umywalce! Natartych płynem do golenia policzków strażnika!

O zapachu jedzenia, które strażnik wnosi trzy razy dziennie, nie warto nawet wspominać. Trzeba wyłączyć węch, trzeba go zatrzasnąć, nauczyć się tego: jak się zatrzaskuje okno. Piątego dnia zaczyna się tego uczyć. Szóstego umie.

Głód już nie przeszkadza. Głód został unicestwiony, głód już nie jest problemem. Problem – to śnieżyca. Mróz. Mróz dostaje się aż do kości, mięso nie jest dla niego przeszkodą. Dreszcze. Siniejące paznokcie. Ból zębów, jak wtedy, gdy w upalny dzień zbyt łapczywie spróbuje się lodów. To podstęp: to oni specjalnie obniżają temperaturę w celi, chcą ją w ten sposób wykończyć, ich chcą wykończyć; ale te białe płatki? Jakim cudem miałyby tu padać śnieg? Następnego dnia płatki czernieją, w celi jest pełno sadzy, to drapie w gardle, dusi; a po paru godzinach znika. Teraz wzrok obejmuje prowadzenie, wzrok się wyostrza tak samo, jak przedtem węch, widzi rzeczy niedostrzegalne, przenika mury, wślizguje się do wnętrza przedmiotów, obrysowuje i oświetla każdy szczegół. Drobinki piasku w murze, w głębi muru: jak różne mają kształty! Prostopadłościany i graniastosłupy, i kule spłaszczone na jednym końcu, i stożki; między nimi jest mgła. Gęsta, biała. A słoje drewna w stole i w krześle! A struktura żelaza: jak można było kiedykolwiek wyobrazić ją sobie jako pełnię, nie dostrzegać tych przerw, szczelin, przepaści? Później wzrok biegnie jeszcze dalej, od małości przeskakuje w ułamku sekundy do ogromu: gwiazdy, słońca, planety! I: grube, mięsiste liście drzewa rosnącego na bezludnej wysepce gdzieś na Morzu Karaibskim, drzewo trwa najdłużej, rozrasta się, traci jedne liście, wyrastają mu inne; drzewo kwitnie, przekwita, porusza korzeniami w ziemi, wysuwa końce korzeni coraz dalej, maca nimi ciemność, ostrożnie, jak ślepiec...

Ale teraz ożył i słuch. Szybko, w ciągu dwóch godzin, pozostawił za sobą szmery poruszających się w ścianie ziarenek piasku, jęk przyduszonej w nodze od krzesła drzazgi, śpiew nieruchomej szyby; w godzinę uporał się z krokami strażnika na korytarzu, z wizgiem opon samochodów, przejeżdżających ulicą przed budynkiem sądu, z oddechem śpiących w innych celach – nie w sąsiednich, sąsiednie na wszelki wypadek są tu zawsze puste, w tych dalszych, i w tej z przeciwka, w tej, z której ktoś wołał... Słuch nie jest już wyostrzony, słuch oszalał. W celi rozlegają się głosy. Ktoś krzyczy po ciemku, z bliska. Ktoś szepcze. W celi słyhać burzę na innym kontynencie i kroki kogoś, kto skrada się za parawanem, i ocieranie się sznura o wnętrze jego dłoni, i świst przeciętego powietrza, gdy sznur zostaje zarzucony na szyję słuchającej, żeby ją udusić. I własny krzyk, nie wydany, a jednak ucięty. Potem słuch umiera. Wszystkie zmysły umarły po kolei, został tylko dotyk; ale jaki kaleki, jaki niemrawy, nieudolny!

Dotyk śledzi opuchliznę, miękką, rozkiśłą obrzmałość przykrywającą kości. I poruszenia zębów w równie obrzmałych dziąsłach. I gładką krawędź łóżka. I gładką powierzchnię ściany.

Pod tym wszystkim pobrząkująca nudno, nieustanna świadomość: to można przerwać. Przerwać i cofnąć, jak taśmę magnetofonową. Gdyby się potrafiło. Ale kto by to potrafił?

Któregoś dnia Baader dostaje gryps. Podczołguje się do drzwi i woła przez szparę, do celi po drugiej stronie korytarza:

– Od zaraz żremy!

Hasło obiega cele, jedną po drugiej. Do tej nie dociera. Stąd nikt nie odpowiada, tu jest cisza.

*

Nienawiść niedołągi do własnej słabości – to potęga.

To zdanie napisała Monika Weber na pierwszej stronie kalendarza z adresami i telefonami, który znaleziono w jej torebce po aresztowaniu: i adresy i telefony były zakamuflowane, zamiast liczb ich logarytmy – zawsze była dobra w matematyce – i to w zmienionym porządku, zamiast nazw skojarzenia z nazwami, jej własne; rozszyfrowano to, oczywiście, ale po jakimś czasie, nie do końca zresztą, mechanizm prywatnych skojarzeń nie poddaje się specjalistom od szyfrów – a zanim to zrobiono, wszystkie zapiski stały się nieaktualne. Nikt nie wpadł przez nią. Zdanie z pierwszej strony zostało zanotowane, kiedy jej tylko przyszło do głowy, w wagonie metra, miała je potem rozwinąć, w myśli już szykowała czyste, białe kartki; nie zdążyła.

Nienawiść niedołągi do własnej słabości – to potęga.

Tak samo, jak Krzysztof Paliwoda, i ona żyła zawsze wyłącznie życiem intelektualnym.

Zawsze – z półtoraroczną przerwą, podczas której stało się wszystko, co tylko stać się miało, w której skupiły się wszystkie fakty, ma ich starczyć na osiemdziesiąt, na dziewięćdziesiąt lat, na stalobeton, na reflektor szukający upiorów. Prymuska i niedojda. Mieszkająca z matką w ciasnym mieszkanku z oknem na podwórze. Najgorsza na lekcjach gimnastyki. Jedyna z całej klasy, która nie zdołała zrobić prawa jazdy. Była zbyt nerwowa, zbyt pełna dobrych chęci. Na egzaminie (to i tak cud, że dopuszczono ją do egzaminu po czterdziestu pięciu godzinnych lekcjach, po zmianie sześciu instruktorów) w ciągu pierwszych trzech sekund, ruszając z miejsca, zdołała włączyć się na przejeżdżającą cysternę. (Co za triumf potem, kiedy to ona prowadziła samochód na dwóch udanych akcjach! Nikt z nich, z tych silnych, nie zdołałby sobie tego triumfu nawet wyobrazić!).

Nieśmiała, milczek, okularnica. Nie zapraszana na prywatki, nie znająca dyskotek. Wieczorami, kiedy inni tańczyli, czytająca z wypiekami na twarzy Mao i Scotta Fitzgeralda, Es-travadosa i Prousta. Pisząca sztuki teatralne, które odgrywała sama przed sobą, czytając wszystkie role, wykonując wszystkie gesty, zmieniając głos, podczas gdy pokój od podwórza rozrastał się, gubił ściany i sufit, zaczynał pachnieć farbą, lakierem, dyktą i kurzem, gdy ze wszystkich stron napływały fale światła, a w miejscach, których światło nie dotknęło, tłoczyli się wzruszeni i przejęci ludzie o dłoniach dygoczących z pragnienia oklasków. Ale nienawiść niedołągi do własnej słabości... I przyszła ta potęga, nie mogła nie przyjść.

„Jeden palec możecie złamać, pięć palców to pięść”, pisali ludzie z Frakcji Czerwonej Armii w Agitce 883. I: „Unicestwij to, co unicestwia ciebie”. To było hasło!

Co mnie unicestwia? Wystarczy zadać sobie takie pytanie, zamiast wychodzić od dogmatów, od uogólnień, od analiz społecznych! Co mnie unicestwia? Moja własna słabość. Czy słabość jest zjawiskiem psychologicznym czy politycznym? Jeżeli to drugie...

Droga Moniki Weber do unicestwienia własnej słabości była prosta: łatwa, usłana różami droga drugiej generacji. Adres można było znaleźć w gazetach: Komitet Obrony Więźniów Politycznych. Wystarczyło się zgłosić i ofiarować. Reszta ułożyła się sama.

Ludzie, których tam spotkała, byli do niej podobni. Niedołęgi, nienawidzące własnej słabości. Mózgowcy. Inteligenci. Kto inny mógłby się przejmować torturowaniem więźniów? I to było ważne, to było najważniejsze! Ta selekcja, na samym początku, selekcja naturalna. Kto, usłyszawszy, że przeciwnikowi rządu, przeciwnikowi systemu postanowiono usunąć część mózgu, żeby go „uspokoić”, uzna, iż – jeżeli to się stanie – on sam nie ma prawa żyć? Kto postanowi zapobiec temu lub zginąć? Mięczak, mól książkowy, nikt inny. Słabeusz i niedołęga. To było jasne, pewne, oczywiste, potwierdzone przez fakty. Idź do bibliotek, poczytaj książki, gazety, poczytaj historię! Tylko tacy, nikt inny. Trzeba być słabym, żeby walczyć z przemocą, żeby walczyć z nią w pojedynkę, w każdym układzie sił, zawsze i wszędzie. Niedołęga z grubym tomem pod pachą: kto inny byłby gotów oddać życie za ludzi, z którymi się nie zgadza, nawet za ludzi, których potępia – tylko dlatego, że przez ciała tych ludzi przepuszcza się prąd elektryczny? To jest punkt wyjścia, to na pewno jest punkt wyjścia, i gdyby tak mieć trochę czasu, trochę ciszy, można by nawet zrozumieć, do czego; ale już za późno. Świat się otworzył, ściany i sufit uciekły w przestrzeń, już ich nie widać.

Pięć palców to już prawie pięść. Pięciu niedołęgów, nienawidzących własnej słabości, to komando.

Przedtem nie spotykała ludzi podobnych do siebie. A przecież musieli istnieć. Teraz nie spotyka już ludzi od siebie różnych. I wszystko staje się proste. Fakty z archiwów policyjnych. Przyłączenie się do Komitetu. Pierwsza akcja: propagandowa. Wszyscy, którzy wzięli w niej udział, są już obfotografowani, opisani, wszyscy mają swoje miejsca w kartotekach. Więc zejście w podziemie. Pierwsza akcja zbrojna: skok na bank, stary, tradycyjny sposób zdobywania funduszy. Druga akcja zbrojna: zamach na sędziego Sądu Najwyższego, błogosławiącego torturujących, sterującego nagonką. Potem już tylko zacieśniająca się oblawa. Aresztowanie, ekstradycja, Stammheim.

A jednak zrobiła to, zrobiła! Jeżeli się jest na dnie, jeżeli się niczego nie potrafi, niczego nie osiągnęło, można zrehabilitować się tylko tym jednym: niczego nie umiem, ale mogę zabić. Nic mi się nie udaje, ale to tak: zabijam.

Na dnie, na pełnym dnie.

*

Coś przyciska twarz. Coś, co cuchnie gumą, ugniata, dusi: maska. Chcesz ją zerwać. Ale ręka się nie unosi, ręka jest przywiązana. Druga też. Szarpnięcie całym ciałem, bez skutku. Ciało unieruchomione na żelaznym łóżku, przymocowane do niego, obezwładnione. A w ustach knebel. Nie, to nie knebel. Bo nagle z tego, co wciśnięto do ust, do gardła, wydostaje się gorąca ciecz, papka, to parzy. Wlewa się do żołądka, najprostszą drogą, niezawodną. Ale nie tylko do żołądka: nos też jest tego pełny, poraniony od wewnątrz, pokaleczony; a potem jakiś ruch i papka dostaje się do tchawicy, oczy wyskakują z orbit i uderzają o ścianę, skóra pęka, pękają płuca, mózg eksploduje i tryska uszami, dziurkami od nosa; ciemność.

Ciągle przywiązana. Najgorsze, co może spotkać człowieka. Te więzy! Ale tym razem twarz ma wolną, pustą. Nad nią, trochę z lewej, nieforemna, szklana butla, w której porusza się przejrzysty płyn: płyn ścieka przez rurkę do igieł, wbitych w jej opuchniętą rękę, do żył. Zastanawia się, co to jest, jak się nazywa. Ach, kroplówka!

Ktoś wchodzi, pochyla się nad nią.

– Nie poznaje mnie pani?

Poznaje. To adwokat: widziała go tylko raz, przed wejściem do Stammheim, przed bójką na korytarzu, przed izolacją, przed głodówką. Co się stało, że nie odsunięto go jeszcze od

sprawy, że nie łupnięto go Berufsverbotem⁵, jak tyłu przed nim – jak każdego, prawie każdego obrońcę z wyboru?

Kilka osób w białych fartuchach stoi pod ścianą, nie spuszczać z nich oczu. Mogą ich widzieć, ale chyba nie słyszą. Adwokat ścisza głos i mówi szybko, jak gdyby bał się, że zaraz mu przerwą.

– Moniko. Słuchaj. Głodówka skończona. Słuchaj...

Łapie się na tym, że mówi do niej „ty”, robi niepewną, przepraszającą minę, i zaraz zostaje uspokojony ruchem jej powiek: ależ tak, proszę. To dobry adwokat, ich adwokat, zaufany... wszyscy są ze swoimi obrońcami na ty, jak w komunie. Oczywiście, proszę tak mówić.

– Zaraz po skończeniu głodówki przerwano izolację, dlatego tu jestem. Ale w każdej chwili mogą ją wznowić. Nie wiadomo, na jak długo. Więc słuchaj uważnie, bo możemy się więcej nie zobaczyć. Musisz natychmiast zacząć jeść. Nabrać sił. Wstrzykiwali ci już glukozę, jesteś mocniejsza... nie ma sensu bawić się z nimi w sztuczne odżywianie, to tortura. Wiesz dobrze. Oni to specjalnie tak robią, żeby to była tortura. Więc jedz. A jeśli wznowią izolację, nie podejmuj głodówki, nikt tego zresztą nie zrobi. Musicie być silni. Nawet gdyby cię przenieśli gdzie indziej. Czekać z decyzjami do zobaczenia się ze mną. Rozumiesz?

Powieki opadają na oczy i natychmiast się podnoszą: tak.

A potem z trudem wydobyty z pokaleczonego gardła głos:

– A... inni?

– Wszyscy żyją. Gudrun też tu była, w szpitalu, ale już ją odesłali do celi. Powiedzieć im, że będziesz jeść? Odwiążą cię.

Potakujący ruch powiekami.

– Jeżeli wróci izolacja, nie bój się. Informacje jak dotąd. A może... w każdym razie spróbujemy cię zawiadomić, co i jak.

Jakiś ruch pod ścianą. Adwokat porusza dłonią: już idzie.

– Zapamiętaj coś – mówi szybko, prawie szeptem. – Jemen Południowy, Wietnam, Algier. Słyszysz? Trzymaj się.

Co to znaczy?

Ach, zrozumie potem.

*

Ostatnia noc.

Wszystko już było: przed samochód wiozący przestępcę wojennego, ex-esesmana, szefa pracodawców niemieckich, Schleyera, pchnięto nagle wózek dziecinny, samochód zahamował, z jadącej obok furgonetki padły strzały, w wózku była lalka, Schleyer wciągnięty do furgonetki, list z żądaniem wypuszczenia więźniów z RAF, według listy: mają zostać odesłani do kraju, który wybiorą; kiedy to się stanie, zwalniamy zakładnika. Tygodnie wojny nerwów, powołanie Sztabu Kryzysowego, przetarg. Od momentu porwania – w trzy dni po przerwaniu głodówki – pełna izolacja więźniów. Ale zjawia się urzędnik z kwestionariuszami: czy więzień zgadza się na odesłanie go do innego kraju, jakiego. Miejsce na wpisanie tych nazw: Jemen Południowy, Wietnam, Algier, tamci wiedzieli, co mówią. Dowód ostateczny: jesteś na liście. Natychmiast po odebraniu kwestionariuszy minister spraw zagranicznych leci samolotem do krajów które wymieniono: za wszelką cenę wytargować od nich odmowę przyjęcia więźniów, przedłużyć pertraktacje. Sprawa się przeciąga. Na pierwszych stronach gazet zdjęcie zakładnika, w rozpiętej koszuli, pod emblematem: czerwona gwiazda i czarny pistolet, litery RAF. Któregoś dnia porywacze przekazują prasie inne zdjęcie. Obok gwiazdy, pod sta-

⁵ Berufsverbot (niem.) – zakaz wykonywania zawodu.

rym napisem **Commando Siegfried Hausner**, drugi, cieńszy, zrobiony w pośpiechu: **Commando Martyr Halimeh**. Błąd! Co za fatalny błąd!

Poprzedniego dnia czwórka Arabów porwała niemiecki samolot pasażerski. lecący z Palmy na Majorce do Frankfurtu. Żądają uwolnienia kilkunastu więźniów politycznych: w Izraelu, Turcji, Niemczech. Jeśli chodzi o Niemcy, powtarzają po prostu listę podaną przez tych, co porwali Schleyera: solidarność.

To wszystko wiadomo. Wołanie, nocą, z celi po drugiej stronie korytarza, przez szparę pod dźwiękoszczelną płytą. Ale nie tylko to.

Któregoś dnia strażnik przynoszący jedzenie pokazuje Monice maleńki papierowy kwadracik leżący na talerzu, pod kromką chleba. Uniósł na moment kromkę i położył ją z powrotem, nic więcej. Pierwszy gryps, który tu dostała! Dotąd nie mieli dojścia przez strażników: czyżby je załatwili? Prowokacja?

Ale treść grypsu uspokaja; a zresztą, trzeba ryzykować. Kiedy strażnik przychodzi po tacę, pod talerzem, na którym był chleb, leży już odpowiedź.

Wiadomo więc, co się dzieje. Dawno nie było takiego zachłyśnięcia nadzieją. A tuż obok – niewiara. To się udało raz, tylko raz. Pięcioro więźniów odesłano samolotem do Jemenu. Ale zakładnik był szefem opozycji, a działo się to tuż przed wyborami: rząd nie mógł postąpić inaczej. Czy raczej mógł, ale z trudem. Wolno szafować swoimi ludźmi, nie cudzymi. Teraz...

Gryps Moniki Weber do Baadera:

„moim zdaniem to fatalny błąd – dopisać do commando hausner comando halimeh – to wzięcie na siebie odpowiedzialności za tamtą akcję – należało traktować ją jako akcję **solidarnościową** – zakłócenie naszego image’u – nigdy nie uderzaliśmy w ludność cywilną – i teraz też nie – po co się pod tym podpisywać?

to było w naszej obronie, ale nie przez nas zrobione – wdzięczność, ale nie utożsamienie – co o tym myślisz?”

Gryps od Baadera:

„teraz to już nie ma znaczenia.

eskalacja posunęła się zbyt daleko – możemy się bronić tylko w sensie najbardziej fizycznym, żadnym innym – to, że commando martyr halimeh jest autonomiczne, bije w oczy – jeżeli prasa pomija nawet fakt, że należy ono do SAWIO, że to commando arabskie czego możemy się spodziewać? zrozum i zapamiętaj: te formalne drobiazgi nic już nie znaczą – tu nie ma czystej gry.

Na kilka miesięcy przed naszym aresztowaniem popierał nas co piąty Niemiec – co siódmy był gotów udzielić nam schronienia przed policją – w ciągu pół roku ilość tych, którzy uważali nas za działaczy politycznych, nie kryminalistów, skoczyła z 18 do 40% – w krajach związkowych, w których na każdym kroku wisiały nasze listy gończe, 10% ludzi określiło samych siebie jako naszych zwolenników. – Wiesz, ile analiz rządowych temu poświęcono – znasz główny cel od tej pory: odizolować nas, zohydzić, na koniec unicestwić. – Przez sześć lat robili co mogli i mają sukcesy – a ty trzęsiesz się jeszcze nad naszymi błędami taktycznymi? – pod tym względem jesteśmy chwilowo bez szans!

Nikt przy zdrowych zmysłach nie może uważać commando halimeh za odłam lub przybudówkę RAF – jeżeli gest SAWIO nikogo nie poruszył, jeżeli doszło do identyfikacji – dowodzi to tylko ich sukcesów w praniu mózgow.

W tej sytuacji nie ma co liczyć na efekty propagandowe – chodzi o wyrwanie się stąd, obojętne za jaką cenę. – Potem trzeba zacząć od nowa, inaczej.

Nie przejmuj się imagem RAF. – Przetrwaj to.

Trzymaj się

Andreas”

Wiadomo, co się dzieje, wiadomo dlaczego. I drżenie z niepokoju, z podniecenia. Nie można opanować trzęsących się rąk.

W każdej chwili mogą przyjść i zabrać ich stąd. Wpakować do samolotu, wypuścić na wolność. Mogą też...

Nie myśleć o tym!

To, co nad nimi wisiało. Od początku.

Tak przychodzi ta noc.

Nie można spać. Kto mógłby spać, kiedy rozstrzyga się jego los?

W Somali, w Mogadishu. Tam się rozstrzyga. Na afrykańskim lotnisku.

Tej nocy mija termin ultimatum. Kolejny termin. Przesuną go jeszcze raz, jeśli to będzie konieczne.

Chodzi po celi. Kładzie się pod drzwiami, nasłuchuje. Dwukrotnie sama woła. Nikt jej nie odpowiada.

W którejś chwili słychać samochody, zajeżdżające przed gmach. I znów cisza.

Samochody? Tutaj?

Wspina się do okienka. Nie widzi niczego. A potem tak: jakiś odblask. Część maski samochodu, czarny lakier, połyskliwy od reflektorów.

Światła nie łowią dziś upiorów. Zastygły, znieruchomiały.

Nie mogła jeść kolacji, z przejęcia. Zaszło jej w gardle.

Pije trochę wody. Chce teraz podejść do drzwi, znów nasłuchiwać przez szparę pod dzwinkoszczelną płytą. Ale nagle, nieoczekiwanie, nie ma na to siły.

Pada ukosem na łóżko, w ubraniu; w ostatniej chwili ruchami stóp zsuwa pantofle.

Kiedy się budzi, jest dzień.

Strażnik przynosi śniadanie o godzinę spóźniony, nie patrzy na nią, drga mu nerwowo kącik ust: to coś znaczy, ale co? Zapytała nawet: co się stało? Milczenie, trzaśnięcie drzwi.

Kiedy wraca, żeby zabrać nietkniętą tacę, otwiera usta i zaraz je zamyka, patrzy na nią ukradkiem, odwraca wzrok... Wreszcie mówi cicho prawie nieruchomymi wargami:

– Odbiliśmy ten samolot w Mogadishu. Wszyscy pasażerowie żyją.

Dreszcz, w całym ciele, gwałtowny jak przy wstrząsach elektrycznych. Ale to przecież nie wszystko, widać, że nie wszystko.

*

Za drzwiami słychać kroki, niezliczone kroki. Słychać głosy, okrzyki, przenoszenie ciężkich przedmiotów.

W głębi korytarza, w jego końcu, ktoś woła: „Wyciągnijcie go trochę! Jeszcze trochę! Nogi mogą tam zostać, ale głowę dajcie na korytarz!”

Korytarzem niosą aparaty fotograficzne. Na korytarzu robią zdjęcie rentgenowskie czyjejś głowy.

I znów stąpanie, znów głosy, znów przesuwanie się czegoś ciężkiego.

Baader leży na podłodze swej celi – ostatniej po lewej stronie korytarza – w wyschniętej już kałuży krwi. Leży wyciągnięty na plecach, zabity strzałem z pistoletu w potylicę, z twarzą zwróconą do sufitu, spokojną.

O dziewiątej wieczorem zostaje podniesiony. Przez korytarz przechodzą wolno ludzie niosący nosze.

Za nimi ludzie z drugimi noszami: położono na nich Gudrun Ensslin, powieszoną, ze śladami sznura na szyi, z sińcami na kolanach i piersi.

W kostnicy czeka trzeci trup: Raspe, z głową przebitą pociskiem.

Radio już doniosło, popołudniówki doniosły: ZBIOROWE SAMOBÓJSTWO W STAM-MHEIM!

Po tym, co się stało półtora roku temu – kiedy to z siódmego piętra wynoszono powieszoną Ulrike Meinhof – i po tym, co stało się dzisiaj, nie żyje już nikt z kierownictwa RAF. Wszystkich jej przywódców wyniesiono z cel, martwych.

*

Sześć lat temu Jerome Laventure, przyjaciel Estravadosa, jego wyznawca, karzeł ostrzelujący banki zza barykady z worków wypełnionych złotem, człowiek, który finansował Kongres, usłyszał dobiegający z ulicy, narastający hałas. Zobaczył pochód niosący portrety: szczupła, blada twarz, obramowana czarną brodą, wszyscy ją znają. I skandowany krzyk: POMŚCIĆ ESTRAVADOSA! Co się stało?

Cofnął się szybko w głąb pokoju, włączył radio, wahając się przez chwilę, czy nie lepiej wybiec na ulicę – ale radio już się odezwało, pada to samo nazwisko: Estravados nie żyje! Nagły płomień ogarniający gardło, od wewnątrz; i zaraz potem chłód. Estravados nie żyje; widzisz ten obraz: sala wypełniona oklaskami od miękkiej, czerwonej podłogi, od miękkich, czerwonych foteli po upstrzony światłami sufit, ten człowiek, mający salę za sobą, wchodzi na podium, i w chwili, gdy się na nim znalazł (jego uniesiona twarz, czarna broda, blask oczu, plik kartek w dłoni: tym razem wbrew zwyczajom miał notatki do przemówienia, przemówienie było zbyt ważne, jego precyzja zbyt potrzebna) – strzał, zza kulis, strzał z odległości dwóch metrów, bliski strzał, którego najgorszy osioł nie mógłby spartaczyć; Estravados nie żyje!

A potem?

Słowa, huczące w uszach Laventure’a, właśnie te słowa, nie wiadomo czemu, te i żadne inne:

A potem niechaj Bóg króla Edwarda

Do swojej chwały powoła, a mnie

Ten świat zostawi, bym się nim pobawił!

Dziewczyna z celi siódmego piętra tego nie słyszy, skądże! A jednak słowa krążą wokół niej, wirują w powietrzu, odbijają się od żółtych ścian, huczą. Tylko te i żadne inne. Powróciły rykoszetem, przypląły się z mrocznego pokoju Laventure’a – którego pięć i pół roku temu wyłowiono z Sekwany – pomrukują i brzęczą jak pszczoły, wzbijają się w górę nagłym, ostrym krzykiem:

... Ten świat zostawi, bym się nim pobawił!

To zawsze ta sama historia. Dla najczystszych i dla najbrudniejszych. Przed tysiącami lat i przed chwilą. Estravados odszedł i został zapomniany. Tłumy przetoczyły się ulicami ze swoim NOUS SOMMES TOUS..., i poszły do domów, Laventure’a wyłowiono z Sekwany, tłumy – och, mniej liczne! – przetoczyły się ulicami i poszły do domów. Z celi siódmego piętra wyniesiono martwą Ulrikę i tłumy wyległy na ulice z kamieniami, z żelaznymi prętami, cocktailami Mołotowa, nad grobem krzyczano o Stammheim – Oświęcimiu naszych czasów i o największej Niemce w historii, natężano głosy, by przedostały się przez huk krążących nad cmentarzem policyjnych śmigłowców, w tłumie zważyło się drzewo, pochody przeciągnęły ulicami – i poszły do domów. Teraz znów zapłoną niemieckie konsulaty i ambasady, fabryki i przedstawicielstwa handlowe, rozlegną się strzały, we Francji i Włoszech, w Grecji i Hiszpanii, na murach pojawiają się napisy QUI A SUICIDÉ BAADER? i RAF: WIR LEBEN NOCH⁶; potem się to uciszy, potem się uspokoi: na krótko. Bóg króla Edwarda do swej chwały powołał.

A mnie... A mnie...

⁶ Qui a suicide... (fr.) nieprzetłumaczalna gra słów: Kto popełnił samobójstwo Baadera?, RAF: jeszcze żyjemy (niem.).

W dziesięć dni po tej nocy, po tym dniu, do celi Moniki Weber wniosą list od Krzysztofa Paliwody, człowieka żyjącego wyłącznie życiem intelektualnym, niedołęgi nienawidzącego własnej słabości. A po trzech latach samochód przemknie przez rozmazaną w ciemności kolorową strugę, orkiestra skończy uverturę, purpurowa kurtyna ze złotym szlakiem rozsunie się uroczyście raz jeszcze, dokładnie tak samo jak tysiące razy przedtem, ale czyściej, ale wyraźniej, i reflektor zacznie szukać w mroku postaci, podchodzącej wolno do rampy.

3

Nienawiść niedołęgi do własnej słabości – to potęga.

Radość zespolenia z istotą, wymyśloną przez siebie, z marzeniem. Słoneczny poranek w Paryżu. Mężczyzna w brązowej kurtce, siedzący przy kawiarnianym stoliku, nad dużą filiżanką café-creme i dwoma croissantami, patrzący przez wielką szybę na ulicę, przeglądający „Le Matin”, zrywający celofan z błękitnej paczki gauloise’ów... Włóczący się po ulicach. Zagląający do księgarń. Na jakimś skwerze dopisujący kilka zdań do listu – listu do swojej dziewczyny, uwięzionej w Stammheim. Wyrwany ze wszystkiego na ziemi, wolny. Wolny!

Wraca do hotelu o jedenastej, niechętnie. I, leżąc na posłanym łóżku, pałac jednego papierosa po drugim, czeka na telefon. Dzwonek odzywa się za pięć dwunasta.

– Przyszedłem po ciebie, Chris. Czekam na dole.

– Już schodzę.

W hallu hotelowym siedzi, śmiertelnie poważny i dostoyny, jak poprzedniego wieczora, Michael Bernard, potomek lorda i tekstyliów. Nie jest sam. Na poręczu sąsiedniego fotela przycupnęła jakaś dziewczyna, wyższa od niego – o co nietrudno – nonszalancka, czarnowłosa; założyła nogę na nogę (podciągnięte w górę sprane spodnie odsłaniają pasiaste skarpety) i pali, wydmuchując kółka dymu w stronę sufitu.

– To jest Chris, mój przyjaciel z Polski. A to Conchita Estravados. Raz jeszcze rozlegają się werble, ale o wiele donośniejsze, a błysk tysiąca fleszów każe zamknąć na chwilę oczy: wkraczasz do historii, człowieku, teraz już naprawdę wkraczasz do historii!

To ona? Naprawdę ona?

Dziewczyna niedbale ściska mu rękę, przełożywszy papierosa do lewej dłoni.

– Cześć, Michael mówił mi o tobie. Chcesz gumę do żucia?

– Ta-ak.

Ogłupiały, bierze od niej tabletkę gumy do żucia, wkłada do ust...

– Idziemy?

– Dokąd właściwie idziemy?

– Na lunch. W sam raz jest pora.

– Byłem na dziś umówiony na déjeuneur z Conchitą – tłumaczy Michael – a ona uparła się, że chce cię poznać.

– Chodźcie szybciej.

Dziewczyna wychodzi przed nimi, z rękami w kieszeniach spodni, z papierosem w ustach: to poza, jasne, ale dobrze to robi.

– Nigdy me byłeś w Paryżu? – pyta, kiedy idą ulicą do miejsca, w którym stoi samochód Michaela. – To może pójdziemy do Centrum Pompidou, do tej samoobsługi na dachu, co, Mickey? On przy okazji zaliczy zwiedzanie.

Samochód Michaela jest – dopiero teraz, przy świetle dziennym, widać to naprawdę, a zresztą wczoraj, w podnieceniu, i tak nie zwróciłby na to uwagi – poobtłukiwany ze wszystkich stron i zije korozją.

– Kupiłem go za tysiąc pięćset – chwali się nieproszony Michael. – Grat, oczywiście, ogrzewanie też nie działa, i jedna szyba się nie opuszcza... ale czy to istotne? W końcu samo-

chodu nie kupuje się ze snobizmu, żeby robić wrażenie... kiedy patrzę na ludzi, którzy traktują to jako symbol, symbol pozycji społecznej, niemal symbol swojej wartości, młodości mnie biorą... wiesz, że w Maju demonstranci podpalali te luksusowe gabloty? I mieli rację, mówię ci, mieli rację...

– Och, Mickey, nie pieprz – przerywa Conchita. – Przecież masz poza tym Mercedesa. Ale, pomny doświadczeń Maja i dbały o swój **image**, mój nonkonformisto...

Michel usiłuje przerwać jej jakimś mruknięciem. Ale Conchita, ładując się na tylne siedzenie gruchota, kończy beztrąsko:

– ... używasz go tylko poza Paryżem. Wsiadaj, Chris.

Kiedy toczą się już ulicami, z Michaeliem wyłączonym ze wszystkiego za kierownicą, w hałasie zdezelowanego silnika, córka Estravadosa – córka Estravadosa! – zapala kolejnego gitane'a, częstuje i jego: siedzą na tylnym siedzeniu starego Citroena, paląc i żując gumę, podczas gdy asfalt ulic zmienia się w trampolinę, za którymś zakrętem wyrzuci ich prosto w historię, w nieśmiertelność...

– Nie – dziwi się córka Estravadosa – niemożliwe! Nie tylko w Paryżu, w ogóle na Zachodzie jesteś pierwszy raz? A wyglądasz ... nie, zachowujesz się, jakbyś się tutaj urodził! No, może jakieś szczegóły, głupstwo. I po francusku mówisz jak...

To Michael dosłyszał. I rzuca, nie odwracając głowy:

– Właśnie: nie można uwierzyć, że nie był nigdy we Francji, prawda?

– Ach, ty człowieku z duszą szpicla! Słuchaj! Słuchaj – mówi szybko, całym ciałem zwrócona do Krzysztofa – uważaj na niego. Na nich uważaj. Co za szowiniści! Tak naprawdę, to zawsze będą cię traktować jak dzikusa, skoro już jesteś stamtąd. I dziwić się, że nie przyjechałeś w spódniczce z rafii. A jednocześnie podejrzewać, że łziesz jak pies, że KGB i CIA naraz dziesięć lat cię szkoliły... no, bo skąd niby znasz tak dobrze język? I umiesz, dajmy na to, dać sobie radę w ich pieprzonym metrze, albo wiesz, co wisi w Luwrze? Pamiętam, jak mnie traktowali, kiedy tu przyjechałam... na pogrzeb ojca, dziewięć lat temu.

Mruży oczy, patrząc prosto przed siebie, na smużkę dymu unoszącą się pod sufit samochodu.

– Wiesz – dodaje lekko – ten pogrzeb, który się nie odbył, bo zginęły zwłoki. Zginęły i nigdy nie zostały odnalezione, dobre sobie! A potem dzielny Mickey rzucił swoją bombę... Więc słuchaj. Miałam dwanaście lat... nie młodniejemy, nie, czas nie czeka na nikogo – deklamuje to kpiąco i bez przejęcia. – I żebyś wiedział, ile razy mnie pytali, jakim cudem znam francuski, i to tak dobrze, ja, dwunastoletnie latynoskie gównno...

– Daj spokój, Conchita.

– Cicho, Mickey, mówię jak jest. Zwolennicy ojca twierdzili, że to geny, rozumiesz, jego genialny umysł, powielony w jedynym potomku, dał mu, temu potomkowi, nadprzyrodzoną moc odróżniania zaimka nieokreślonego od określonego mimo braku odpowiednich kursów... bo ja w dodatku byłam samouk, dwunastoletni latynoski samouk! A przeciwnicy byli już niemal gotowi robić mi trepanację czaszki i pogrzebać trochę w mózgu, jak Ulrice Meinhof... pamiętasz ten koszmar?

– Conchita, przestań. Masz dość makabryczne żarty, nie zdaje ci się? Pamiętaj, że Chris cię nie zna. Nie przejmuj się, Chris, ona zawsze tak gada.

– Patrz, Chris, to jest Centrum Pompidou. Co za świnię te żabojady, zburzyć Hale, żeby coś takiego postawić na ich miejscu, nie? Stare poczciwe Hale! I dokąd mają teraz chodzić burżuje na zupełną cebulową po Paris-by-night? No no, jest miejsce do parkowania, niesłychane!

Krzysztof stoi na placu, patrząc na budynek, wyzywająco opleciony z zewnątrz siecią pomalowanych na jaskrawe kolory rur – wszystko puścili na ściany zamiast do środka, taki chwyt architektoniczny, podoba ci się? pyta Conchita – na słońce również po zewnętrznej stronie, zygzakiem, ruchome schody, unoszące tłum ludzi: wołałby zobaczyć Hale, ma się rozumieć, że wołałby!

Michael, wprowadzając ich do gmachu niczym władca udzielny na swoje pałace, przyjmuje rolę przewodnika. Puchnie z dumy. Tu można kupić pocztówki i reprodukcje. Tu jest księgarnia. Wyżej galerie malarstwa... żałuj, że nie widziałeś wystawy Salvadora Dali, to była największa sensacja, ten cudak sam przybył na otwarcie, co on właściwie wtedy wymyślił, Conchita? ... czytelnia książek, czytelnia czasopism, restauracja... ale my jedziemy do tej, jak mówi Conchita, samoobsługi na dachu, tędy, Chris.

Jak mrówka, jak karaluch pnący się po frontowej ścianie, wśród czerwonych, zielonych, niebieskich rur kanalizacyjnych, za potomkiem lorda i tekstyliów, obok córki Estravadosa – aż na dach, na taras, pełen kwadratowych stolików, do stosu tac, do kolejki ciągnącej się wzdłuż wystawionych dań, do kasy: potomek tekstyliów płaci. Trzy razy avocado z zielonym sosem, trzy razy faux-filet, trzy razy truskawki ze śmietaną, trzy małe buteleczki bordeaux, camembert, chleb, mineralna, tu siadamy.

I zaczyna się przesłuchanie. Michael trzaska pytaniami jakby obsługiwał karabin maszynowy, zapala i gasi jaskrawą lampę, wycelowaną prosto w oczy Krzysztofa, który, zбитy z tropu, grzebie łyżeczką w swoim avocado, potem rozgrzebuje faux-filet, zostawia połowę, odpowiada karnie i natychmiast, próbuje co jakiś czas kontry, odszczekuje się sam jakimś pytaniem, bezskutecznie: czy w Polsce macie truskawki? sery? prasę nie partyjną? autostrady? Jak żyjesz: z kobietą? solo? w komunie? Jak u was patrzą na homoseksualizm? gruppen-sex? nieślubne dzieci? Jak się zaczęła ta korespondencja z Moniką Weber? Co chcesz zobaczyć w Paryżu? Muzeum Grévin, co ty, oszalałeś? dlaczego? Słyszysz, Conchita, człowiek zza żelaznej kurtyny przyjeżdża tu z pragnieniem zobaczenia Muzeum Grévin, ależ tam chodzą dzieci! A ograniczenie szybkości na autostradach macie w Polsce? Jaki jest czarnorynkowy kurs dolara? Nie znasz nikogo w Paryżu? być nie może, człowiek z taką francuszczyzną! Conchita słucha tego w milczeniu, jedząc; potem nagle przerywa.

– No, dość tego, Mickey. Zamknij się i daj mu chociaż zjeść deser. Nie przejmuj się, stary, on już taki jest, nasz Mickey, nudziarz pierwsza klasa. Ale to nie komisariat, wiesz? To samoobsługa na dachu Centrum Pompidou, gdyby ktoś nie wiedział. Pomyśl, Chris, na tym samym miejscu spoczywały kiedyś ta-a-a-kie góry kalafiorów. Woły ćwiartowano na miejscu, mięso pierwszej świeżości. A co za ryby! Co za owoce! Nieźle trącony był ten chuj, co to zniszczył, nie?

– Chciałem się po prostu dowiedzieć czegoś o Polsce i w ogóle – mówi Michael z obrażoną miną.

– Ale sam nie lubisz, jak cię wypytywać, co? Z miejsca uniki! Spróbuj, Chris, jakie to dobre. Jezu, jak ja lubię truskawki ze śmietaną!

I rzuca się na nie, z zachwytem. A zając truskawki, mówi o filmach, piosenkach, aktorach, lubisz teatr? kino? Chciałbyś się na coś wybrać? Możemy pójść razem. Bez Mickey, oczywiście, staruszek ma obowiązki, żonę, dziecko, nie słyszałeś o tym? doprawdy? Mickey trzyma ich na wsi, w końcu to rzecz wstydliva...

– Przestań, Conchita.

Że też nie wpadł na to od razu. Oczywiście, że to kochankowie. I każde słowo ma tu jakiś podtekst, im tylko znany; a propozycja Conchity („Możemy pójść razem”) – och, to już na pewno. I Krzysztof Paliwoda smutnieje. Conchita odjechała na swoim żelaznym krzeselku na drugą stronę ulicy, miasta, świata. Zmęczenie. Nie ma jeszcze doby, ależ skąd, nawet dzień nie minął od jego przyjazdu, a już ogarnęło go zmęczenie: ta płatanina, ta sieć! Tysiące rąk, wyciągające się w jego stronę ze ścian, ze stolika, z podłogi; narastający szum głosów, klekot słów, z których każde znaczy nie to, co wypisano w słowniku, nazwiska, adresy, dzwonki telefonów! Jak ma się w tym połapać? Od czego zacząć?

– Ale Conchita ma rację, muszę dziś wieczór pojechać na dzień-dwa do... do żony i dziecka. Chyba nie zginiesz, co, Chris? W przyszłym tygodniu pojedziemy tam razem, to koło Aix-

en-Provence, mam tam dom wiejski, odpoczniesz trochę po tym kołowrotku. Bo na razie wołałbyś pewnie poznawać Paryż?

– Nie bój się, nie zginie. Słuchaj, Chris, dzisiaj będzie u mnie trochę ludzi, chcesz wpaść? Boję się tylko, że to cię znudzi...

– Masz dzisiaj Palestyńczyków czy Latynosów, Conchita? – pyta Michael.

– I jednych, i drugich. Słuchaj, wpadnij choć na chwilę, napiszę ci adres, to w piętnastce, tuż koło stacji metra, dwa kroki. Gdybyś nie miał co zrobić z wieczorem, albo nudził się, albo... no, nie wiem. Aż do drugiej możesz wpaść, kiedy ci się spodoba... a jeśli nie, to jutro do ciebie zadzwonię, albo ty zadzwoń, jak wolisz?

Podawała mu kartkę, wyrwaną z notesu: chociaż ta jedna nie ma wizytówek! Adres, i które piętro, i która linia metra, i stacja, i numer telefonu.

– Bo teraz muszę spływać.

– Czekaj, my też już idziemy.

Raz jeszcze zjazd ruchomymi schodami wśród kolorowych rur, pożegnalny gest Conchity, jej odejście z rękami w kieszeniach – i wirująca mgła, zamęt. Kręci mu się w głowie. Nie spamięta wszystkiego, z czym się tu styka, nazwisk, adresów, twarzy, zdań; trzeba było zacząć notować już wczoraj, ale i to nic nie da. Jadą z Michaeliem samochodem, potem idą pieszo, są w jakiejś redakcji, bardzo cichej i prawie pustej, cóż, to redakcja pisma poświęconego sztuce, Michael rzuca nazwę, a on natychmiast ją zapomina; wychodzi do nich wysoki, elegancki mężczyzna o siwych – nie, srebrnych! po raz pierwszy to widzi, naprawdę srebrnych – włosach, to malarz-surrealista, pada nazwisko i zaraz wylatuje z pamięci, współpracuje z tym pismem, a może je redaguje, czort wie. Witają się, wychodzą razem, już są w samochodzie...

– Z jaką kobietą teraz jesteś? – pyta Michael, przekręcając kluczyk w stacyjce.

– Ciągle z Caroline, to miła dziewczyna, miła, dobra dziewczyna, widuję ją ostatnio coraz częściej...

– Tak – potwierdza Michael po solennym namyśle – sympatyczna dziewczyna.

I już jakiś dom, szerokie schody, malowidła na sufitach, ciężkie dębowe drzwi, malarz dzwoni, raz, drugi, trzeci; wreszcie drzwi się otwierają. Młoda kobieta w szlafroczku, o rudych, potarganych włosach, uśmiechnięta – to prawda, ma miłą twarz, nigdy w życiu nie widział tak miłej twarzy!

– Zdrzemnęłam się – tłumaczy Caroline i prowadzi ich w głąb mieszkania, wielkie białe pokoje pełne słońca, obrazy na ścianach, olbrzymi wieloryb, z którego otwartego pyska wychodzi po sznurowej drabince rząd więźniów w pasiakach, błękit, zieleń, brąz, dobrze namalowane – albo ta spękana plaża, nie, to ruchome piaski, z których wylaniają się potwory... Caroline przyniosła wino, siedzą wszyscy w słońcu, Michael i surrealista rozmawiają o partyzantce miejskiej, kłócą się.

– Ale pomyśl o naszych osiągnięciach! – woła Michael. – O demokracji! Nasz pierwszy obowiązek, to bronić demokracji, bronić swobód demokratycznych, największa zdobycz naszego świata, najważniejsze – to jej nie zaprzepaścić, a ci ludzie do tego zmierzają, świadomie czy nie, ale zmierzają...

– Demokracja! – kpi surrealista. – O czym ty mówisz, Michael? Nazywasz demokracją system zdolny mordować bezbronnych więźniów!

– Demokracja musi się bronić! To samoobrona, to konieczność!

– Mówisz jak Strauss. Demokracja musi mieć zęby, musi kąsać? Ale wtedy przestaje być skarbem, który trzeba uchronić za wszelką cenę, dla mnie przynajmniej.

– Nie możemy tolerować kidnappingu! Brania zakładników spośród cywilnej ludności! To jest straszliwe, przeciwko temu trzeba walczyć wszystkimi metodami...

– Masz rację, to straszliwe. Tak uważali nawet ci, którzy to robili. Ale czy mieli inne wyjście? Mój drogi Michael, terroryzm to broń słabych. Pojawia się tam, gdzie ludzie zostali zdławieni do granic możliwości. Tam, gdzie nie ma mowy o innych środkach... cokolwiek

byście głosili ex cathedra, wy, li-be-ra-ło-wie. Gdzie można tylko udowodnić, własnym życiem udowodnić, że się jest przeciw. W nadziei poruszenia tych zastraszonych na śmierć, albo i bez tej nadziei. Nie pamiętasz swojego mistrza? „Ktoś musi zacząć!”

– Ludzie, zdolni podłożyć bombę w domu towarowym, na stacji metra, w kawiarni...

– Mój miły, trzymajmy się tematu. Kto podkłada bomby? Nacjonaliści, nie bojownicy lewicowi. Nie udowodnisz tego lewicowcom!

– Zaraz, zaraz! Był taki jeden wypadek, we Włoszech... nie pamiętam, ale możemy to znaleźć w prasie...

Caroline uśmiecha się do Krzysztofa, a on do niej. Patrzą na siebie przez długą chwilę, w ciszy. Tamte dwa głosy zostały stłumione. Ich dwoje, w słońcu. Potem Caroline dolewa mu wina, on dziękuje. Znow uśmiech.

– Odkąd zamordowaliście Baadera, nie wierzę w demokrację! – woła surrealista. – Nie dam się już wziąć na ten lep, nigdy więcej!

– Wolałbyś dyktaturę proletariatu? No, Chris, jesteś stamtąd, powiedz mu: czy lepsza jest dyktatura proletariatu?

Krzysztof przełyka ślinę. Tamci patrzą na niego jak na arbitra, w milczeniu.

– Ani tu nie ma demokracji, ani tam dyktatury proletariatu – mówi wreszcie. – Tak myślę. Przerzucacie się słowami.

– Tiens! – woła surrealista z zachwytem. – On ma rację, Michael, on ma rację! Dajesz się oszukać słowom, nazwom, szyldom! Och, oni umieją manipulować słowami. Wiesz, że smak cebuli i smak jabłka jest identyczny? O różnicy decyduje zapach. Wystarczy, że cię pozbawią węchu i zmienią nazwę. Och, Michael, gdybyś kupił puszkę groszku, na której naklejono etykietkę z puszki szparagów, byłbyś pewny, że jesz szparagi! Większość byłaby pewna! I tak się nami rządzi. Jesteśmy zdalnie kierowani – przy pomocy słów. Och, Michael!

Caroline znow patrzy na Krzysztofa i uśmiecha się: nigdy w życiu nie widział tak miłego uśmiechu.

A potem most. „To Pont-Neuf”, mówi Michael, i sypie okrągłymi zdaniem z baedekerów, „a to...” I przed Krzysztofem otwiera się najpiękniejsza ulica, jaką widział w życiu, to pierwsze, co naprawdę podoba mu się w Paryżu, to go zachwycało, to jest wspaniałe!

Mijają pasaż, zastawiony klatkami: króliki o białych, puszystych futrach, ptaki, psy, raz na tydzień odbywa się tu targ, sprzedają zwierzęta, tłumaczy Michael i spieszy dalej, podczas gdy Krzysztof najchętniej pozostałby tu na zawsze, na wieki, odczytuje cenę umieszczoną przy klatce z najpiękniejszym, najbielszym, najbardziej puszystym królikiem, mógłby tę cenę zapłacić, nie zastanawia się nawet, po co, po diabła mu królik, co by z nim zrobił, to nie ma znaczenia, nagle, wielką falą, napłynęło dzieciństwo, przykryło go z głową, zatopiło, i to wszystko, czego nie miał, czego nie miał nigdy: dokoła dźwięczą piszczałki i bębenki, wiruje karuzela, psy aportują rzucone patyki, papugi powtarzają wyuczone słowa, oddziały ołowianych żołnierzyków toczą bitwę między szafą a biurkiem, klocki, z których można zbudować dom, wieżę, dźwig, biały królik gryzący liść sałaty, nigdy tego nie miał, nie miał niczego, pustka! Pustka trzydziestu lat, pustka całego życia! I oto wraca to, co było niedostępne, to, co zostało wygnane, wypełnia mu oczy, uszy, nozdrza, zalewa go barwami, zapachem, smakiem, burza porywająca i rzucająca przed niego wielkie, szerokie ulice, wybuchające w niebo fontanny, łąki pełne kwiatów, wzgórze, strumienie, obłoki, lody, lizaki, zwierzęta, rowery i łyżwy... a karuzela! Nigdy w życiu nie jechał na karuzeli, na łyżwach, na nartach, nie miał psa, papugi, królika!

– Idziesz, Chris?

Ależ tak, idzie. Ogluszony i półprzytomny. Świat wiruje wokół niego, nagrany słońcem, soczysty, rozbawiony, do diabła, świat, który jest wart wszystkiego! Nie da sobie wydrzeć tego, co teraz czuje. Nigdy, nikomu. Przemiana się dokonała, złuszczył się sam z siebie, sam siebie obrał z łupiny i w dwóch złożonych dłoniach podsunął słońcu: co za potęga!

W chwilę potem uspokaja się, zapomina. Czy prawie zapomina.

– Co to za ulica? – pyta jeszcze.

– Rue de Rivoli.

W porządku, wróci tu jeszcze.

*

Znów leży na poślanym łóżku, ręce podłożył pod głowę. Nie zdołał uporządkować, nie zdołał zapisać tego, co było potem: znów jakaś redakcja, w której Michael zostawił swój artykuł (i nazwiska, nazwiska ludzi, których tam poznał – nawet ich nie zdołał zapamiętać!), potem czyjeś mieszkanie, mieszkanie komuny, w którym zastali tylko bruneta o odstających uszach, przewijającego niemowlę, Żyda z Polski, a jakże (kawa, wino, co w Polsce, wrócimy tu jeszcze, Chris, przyjdziemy tu w poniedziałek, będą wszyscy), samochód, ulice, hotel... Ma przed sobą dwa, może trzy dni bez Michaela, to dobrze. Co powinien zrobić?

To, co przed Michaelem ukrył. Lepiej zrobić to natychmiast – spróbować w każdym razie. Zmęczenie ustąpiło. Tak, robi to zaraz. Stawia na łóżku telefon i, patrząc w notes, starannie nakręca numer.

4

Za drzwiami słychać szczekanie, nisko, tuż nad podłogą: szczekanie, pisk, tupot krótkich łap. Potem kroki, stuk podwyższonych obcasów. Przesunięcie się klapki od judasza, brzęk łańcucha.

Służąca ma siwe, gładko zaczesane włosy, czarną sukienkę, biały fartuszek. Przynajmniej nie ma wątpliwości, że to służąca, wątpliwości – więc i okazji do strzelania gaf. Jamnik szaleje obok, popiskuje, szczeka, skręca się z podniecenia.

– Pan profesor czeka na pana.

I przejście przez długi przedpokój, miniecie kilkorga wysokich, białych drzwi, wreszcie jedno otwierają się po krótkim stuknięciu knykciami w lakierowane drewno, służąca i jamnik zostają z tyłu. Pomiedzy rzędami książek, zakrywających ściany aż po sufit, w stronę gościa kroczy stary człowiek z orlim nosem, z głową uniesioną wysoko nad wyprostowanymi plecami.

– To pan? Proszę, niech pan siada. Proszę, tutaj. Dwa fotele w białym kręgu światła spod szerokiego abażura, w świetle stojącej lampy.

– Zje pan u mnie kolację? – pyta profesor Wiener. – Nie, żadnego kłopotu, skąd, przyniosą nam tutaj... ale uprzedzam, ja jem bardzo skromnie. Jakiś omlet, sałata... Więc za pół godziny, na razie porozmawiamy. Francine!

Ryknął to nieoczekiwanie, tak głośno, że gość aż podskoczył. Służąca zjawia się natychmiast z tacą, na której stoją butelki z wodą mineralną i sherry; potem znika. Profesor nabija fajkę, wielkodusznym gestem pozwala gościowi wyciągnąć papierosa.

– Taaak – mówi. – Bardzo mnie zainteresował pański list, bardzo, gdyby nie to, że i tak miał pan właśnie przyjechać do Paryża, sam bym pana zaprosił. Ale uprzedził mnie, jak widzę, ten mały Mickey Bernard... ma pan dużo takich korespondencyjnych znajomości?

– Trochę. Dla mnie to jedyna możliwość... poznawania ludzi, których chciałem znać, wie pan, jak trudno jest od nas gdziekolwiek wyjechać, to moja pierwsza podróż na Zachód...

– Taaak – wzdycha profesor – niewesoło. A więc przyjechał pan na zaproszenie Mickey Bernarda. No, i co pan o nim myśli?

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Znam go dopiero od wczoraj.

– To nieciekawy człowiek – mówi profesor Wiener. – Bożyszczę naszych sfer intelektualnych, to prawda... uchodzi tu za jedynego intelektualistę, który połączył teorię z praktyką, myślenie z działaniem... ta jego bomba przed dziewięciu laty, to więzienie... i jeszcze to związanie raz na zawsze z mitem Estravadosa! Ale żeby przez tyle lat obcinać kupony od jednego porwyu młodości...

– No, brał udział w Kongresie – oponuje Krzysztof Paliwoda. – I na jego rękach...

– Na jego rękach! Do Estravadosa rzucił się tłum... a wśród tego tłumu nasz Mickey, który siedział blisko, więc był jednym z pierwszych. Owszem, był świadkiem śmierci swojego bożyszczka, przejął się... szalał przez kilka dni, podczas których mówiono coraz głośniejsze, że zamach jest dziełem policji... aż w końcu rzucił bombę pod samochód komisarza. Ale zapomina pan, że w Kongresie brali udział ludzie różnych orientacji i różnych poziomów. Michael Bernard poza tym rzuceniem bomby nigdy nie dokonał niczego... i nie napisał także, nie powiedział ani jednego zdania, które warto byłoby zapamiętać. Jego mózg to minikserograf! Nic więcej! Ale niech pan sam powie, młody człowieku. Czy zafrapowało pana coś intelektualnie w Mickey Bernardzie?

– To nie.

– Poglądy Mickey Bernarda! – złości się profesor. – Wyszedł z więzienia z mózgiem jak z pralni chemicznej... choć i przedtem nie był to mózdzek nazbyt zbrukany, co to, to nie! No, jakie są jego poglądy? Że „Trzeci Świat” potrzebuje rewolucji, a Pierwszy i Drugi – demokracji, oczyszczonej z naleciałości „społeczeństwa konsumpcyjnego”... dobre sobie! Gdybyśmy tu mieli „społeczeństwo konsumpcyjne”, życie byłoby rajem! Ale nie, zdaniem Mickey już nam się żyje zbyt luksusowo... no, wie pan, to nie są poglądy, to cliches! Wszystko ozdobione kultem Estravadosa. Dajmy spokój!

– To ciekawe – mówi Krzysztof Paliwoda, nalewając sobie trochę wody mineralnej – wszyscy, których spotykam, mówią o Michaelu krytycznie... a jednocześnie przypisuje mu się tak wielką rolę! To sprzeczność!

– Nie, to nie sprzeczność, mój drogi. Ale skończmy z nim, nie wiem po co w ogóle tak się rozgadałem. Po prostu zastanowiło mnie to, że pan, człowiek, któremu Michael Bernard nie dorasta do pięt, mógł wejść w jego orbitę. Że pan też ulega kultowi pseudobohaterstwa! Czego?!

To służąca: zapukała do drzwi i pyta, czy ma już podawać kolację.

– Za dziesięć minut. Coś panu powiem, mój drogi. Tuż przed tym słynnym Kongresem... wie pan, co mnie spotkało od ludzi pokroju pańskiego Mickey, jego koleżków? Napadli na mnie, kiedy wychodziłem z wykładów, potłukli mi okulary, połamali parasol, a twarz i ręce pomalowali czerwoną farbą... ponieważ byłem in-te-lek-tu-a-lis-tą. A zatem wrogiem! To mi dało do myślenia, wie pan...

– Czy z tego... czy można powiedzieć, że z tego wynikło „Pour épater la classe ouvrière”?

– W pewnym sensie. Zastanowiłem się po prostu nad zjawiskiem fałszywej świadomości... antyinteligencją, a zwłaszcza antyinteligencją, której ulegają inteligenci! Ruch „lewicowy” jako potężna, udana akcja rozbrojenia naszej klasy społecznej, mało rozbrojenia – zwrócenia jej przeciw sobie samej, pchnięcia do działań na własną zgubę! Zresztą zna pan moją książkę, zna pan moje poglądy. Mówi się, że wypływają z Marcuse’a – złości się znów – co za bzdura! Marcuse widział w inteligencji i pracownikach nieprodukcyjnych obecną siłę rewolucyjną, to prawda, ale **dla kogo** miała być ta rewolucja? Dla wszystkich? Dla klasy robotniczej? Ach, co za bzdury! Więc moje poglądy pan zna. Pomówmy raczej o tym, jak je pan rozwinął. To mnie zafrapowało, wie pan. Myślałem o moralnym wstrząsie, i indoktrynacji inteligencji, o jej uświadomieniu... liczyłem na moją książkę, na słowo mówione i pisane, klasycznie... no cóż, łudziłem się. Moja książka była wydarzeniem, i na tym koniec. Jednym z wielu wydarzeń. Natomiast pan wysuwa propozycję utworzenia nowej partii politycznej...

pod moim patronatem! To zaskakujące, niezwykle zaskakujące, ale to jest myśl. No, dobrze już, Francine, można podawać.

Francine wnosi tacę. Omlety, sałata, wino, patera z jabłkami. „Uprzedzałem pana, że będzie skromnie” – mówi profesor, chwytając za nóż i widelec. – „A teraz niech pan mówi. No, proszę, niech pan mówi: jak pan sobie wyobraża tę partię, strukturę, program, wszystko? Jaka nazwę pan proponuje? R.P.I.?”

Krzysztof Paliwoda, nieco z początku zmieszany, zaniedbując z konieczności swój omlet, który stygnie na talerzu, a sałatą w ogóle wzgardziwszy, zaczyna referować potakującemu szybkimi ruchami głowy, pomrukującemu coś pełnymi ustami Wienerowi, swój plan.

Rewolucyjna Partia Inteligencji (RPI) ma wyrażać interesy najemnych pracowników nieprodukcyjnych en gros, a inteligentów sensu stricte – intelektualistów, ludzi pracy umysłowej o charakterze twórczym w szczególności. Jeżeli w grę wchodzi w ogóle kwestia potencjalnych sojuszników, Krzysztof Paliwoda szukałby ich – w momentach krytycznych, albowiem nie ma chyba możliwości sojuszu na dłuższą metę – wśród robotników, zwłaszcza sektora poligrafii (ten jest prawie pewny), ale i w różnych branżach przemysłu ciężkiego.

Jakie są zadania RPI? Zorganizować samoobronę pracowników nieprodukcyjnych. Określić metody tej samoobrony i pokierować nią. Tworzyć inteligentką świadomość klasową. Przełamać moralny szantaż, stosowany wobec inteligencji, unicestwić moralne obciążenia, doczepione do jedynych metod samoobrony, które są jej dostępne. („Wie pan, jaka jest reakcja publiczna wobec – na przykład – strajku lekarzy!” – wtrąca Krzysztof Paliwoda, podczas gdy profesor żywo potakuje ruchem głowy. – „Traktuje się go jak zbrodnię: ludzie, odpowiedzialni za cudze zdrowie i życie nie mają prawa bronić się przed wyzyskiem... ale nawet nauczycieli spotyka **niemal** to samo, każda próba strajku w którymś z zawodów inteligentkich spotyka się ze szczególnie silnym odporem, przy czym z reguły rzuca się przeciwko protestującym inny odłam tej samej klasy: dziennikarzy...”).

– Strajki mają być jedną z proponowanych przez pana metod? – pyta profesor, przesuwając kęs omletu w kąt ust.

– Skądże! Strajk jest w wypadku inteligencji metodą niezwykle trudną do zastosowania i mało skuteczną. Doskonale pan to wykazał w „Pour épater...” Po pierwsze nie jest to wystarczająco dotkliwe dla władz. Władze potrafią ocenić jedynie straty materialne i doskonale wymierne, przestój wielkiego pieca na przykład, ale nie...

– No, jasne.

– Poza tym trudność organizowania się inteligentów. Akcje masowe są tu niemal niemożliwe. Sam system zatrudnienia! – gorączkuje się Krzysztof Paliwoda, odliczając na palcach. – Robotnicy bywają zgrupowani w ogromnych zakładach, strajk w jednej fabryce może mieć wymiar akcji wojskowej, a strajk jednego szpitala? Biura? Śmiechu warte. Łatwiej się wylać, trudniej zorganizować. Nie, metody robotnicze odpadają.

– A więc?

– Szeroko rozumiana propaganda i terror indywidualny. Właśnie o to mi chodzi! – Na policzkach Krzysztofa płoną jaskrawe wypieki, gestykuluje widelcem. – Ruch zapoczątkowany przez Estravadosa był nieświadomym ruchem samoobrony inteligencji. Działalność „terrorystyczna” po Estravadosie jest nieświadomym ruchem samoobrony inteligencji. RAF, Czerwone Brygady, Pierwsza Linia... Nieświadomym! Mało tego, obarczonym fałszywą świadomością! Wpływ marksizmu jest zbyt silny. Działalność inteligentów, popierana przez inteligentów – sympatycy terroryzmu należą do tej samej klasy, cały ruch terrorystyczny jest ruchem klasowym! – ten ruch posługuje się papuzimi hasłami, ściągniętymi z Marksa i Lenina, bo nie śmie wysunąć innych. Czy raczej obywa się bez hasła, głosi prymat Praxis... Ten ruch czeka na swoją prawdziwą ideologię i na swoją partię!

– Dobrze, dobrze. Więc indywidualny terror polityczny?

– Terroryzm polityczny jest jedyną skuteczną bronią inteligencji, jak terroryzm ekonomiczny – jedyną skuteczną bronią klasy robotniczej. To moja główna teza, wszystko z niej wypływa...

Profesor skończył omlet, zjadł całą sałatę; popijając wino bierze teraz z patery jedno jabłko.

– Niech pan zje swój omlet, mój przyjacielu. Postaram się streścić to, o co panu chodzi.

Krzysztof Paliwoda zabiera się niechętnie do wystygłego już omletu, podczas gdy profesor, odbijając rytm uniesionym palcem, jak w sali wykładowej, podlicza:

– Chciałby pan zatem, z moją pomocą, kreując mnie, jak widzę, na nowego Marksa, i zostając przy mnie nowym Engelsem...

Uśmiecha się. Krzysztof również, z zażenowaniem.

– ... dokonać rzeczy następujących. Powtórzyć zabieg, dokonany przez tamtych dwóch na heglizm: odwrócić marksizm do góry nogami i rezultat oddać na usługi nowej uciemnionej klasie. Nowość: będzie to nie cudza, lecz nasza klasa. Nie „awangarda proletariatu”, lecz nowy proletariatus, nie mogący istnieć bez swojej własnej awangardy. Dwa: organizacyjnie mamy powtórzyć zabieg z Pierwszą Międzynarodówką. Tworzymy RPI, partię ponadnarodową, której zaczynem, o ile rozumiem, mają być europejskie organizacje lewicowe, posługujące się strategią „partyzantki miejskiej”. A co te organizacje na to, nawiasem mówiąc? Czy zgodzą się na odrzucenie swojej „fałszywej świadomości”, swoich „marksistowsko-leninowskich” haseł, i na stanie się „zaczynem”?

Trzy cudzysłowy w jednym zdaniu, każdy kolejny wyraźniejszy i bardziej ironiczny od poprzedniego.

– Jeśli chodzi o Niemców, mógłbym spróbować – mówi Krzysztof z twarzą płonąca jak świeżo rozkwitła róża – mam...

– Ma pan dojdzie? Ach, Monika Weber! Wiąże pan takie nadzieje z jedną znajomością, założmy nawet że podszytą uczuciem. Bóg wie czym?

– Od czegoż trzeba zacząć – bełkocze Krzysztof: stracił już całą pewność siebie; wstyd i narastająca niechęć do tego obżartucha, tego bufona, tyle tylko mu zostało.

– Podoba mi się pan – oznajmia profesor, krzyżując ręce na piersi i pochylając się do przodu: patrzy na swego gościa z ciekawością entymologa, podziwiającego nie znaną dotąd odmianę pająka. – Co za zuchwałość. Ile pan ma lat? Dopiero trzydzieści? No, no. W tym wieku mieć za sobą tak awanturnicze życie, takie koncepcje, takie pomysły...

– Cóż – mówi Krzysztof, unosząc się z miejsca – przykro mi, że to pana nie interesuje, ale... cóż, trudno. Ja przecież rozumiem...

– Ależ niech pan siada! Niech pan siada! Źle mnie pan zrozumiał. Jestem bardzo zainteresowany. To, co pan proponuje, to czysta utopia, takie przynajmniej robi wrażenie... ale jestem bardzo zainteresowany. Fran-cine!

Gdy zjawia się służąca, wskazuje ruchem głowy na puste – lub prawie puste – talerze.

– Proszę to zabrać i nie przeszkadzać nam teraz. Mamy jeszcze dużo spraw do omówienia.

*

Na stacji Concorde zmienić linię. I teraz, siedząc w wagonie drugiej klasy, odliczać migające za szybą nazwy: Chambre des Deputés – Solférino – rue du Bac – Sévres – Babylone – Rennes – Notre Dame des champs – Falquière. Na następnej wysiadasz.

Ciemne łopotanie korytarzy, skrzydła powietrza, tłukące o bliskie na wyciągnięcie ręki ściany tunelu – i nagle wynurzenie na oświetlone wysepki stacji, na wielkie plakaty: kufel piwa na tle widzianych z góry dachów (lub różnobarwnych kwadracików pól) i napis:

VOILÀ CE QUI DONNE DU RELIEF A NOTRE PLAT PAYS – STELLA ARTOIS, LA BIÈRE BELGE.

Afisze filmowe, gigantyczne ogłoszenia Galeries Lafayette – i znowu:
CE QUI DONNE DU RELIEF

Życie. To jest życie. Słaby zapach perfum. Chrząst rozrywanej tuż obok celofanowej torebki z fistaszkami. Hałas rozsuwających się i zatrzaszkujących drzwi wagonu. I znowu:

STELLA ARTOIS, LA BIÈRE BELGE.

Nic poza tym nie ma znaczenia. Ciemność, światło, powiew, zapach, życie. Jeżeli spojrzysz kiedyś w przeszłość, co będzie się liczyć? Myśli, czyny? Nonsens. Tylko to. Łopotanie ciemności, zwolnione wypłynięcie w światło, zapach, smak, dotyk, dźwięk.

VOILACE QUI DONNE
PASTEUR

*

Bezszelestne wznoszenie się windy. Ciemny korytarzyk, tylko przycisk zapalający światło żarzy się czerwono; naciskasz go. Troje drzwi. Jedne się otwierają.

Za plecami Conchity widać duży pokój i ludzi, siedzących po turecku na beżowym dywanie. Wijące się, unoszące w górę smużki dymu.

– Wejdz.

5

„Droga Moniko,

zacząłem do ciebie pisać w dniu, w którym gazety doniosły o śmierci Carla; zacząłem do ciebie pisać w samolocie przelatującym nad Niemcami; teraz zaczynam pisać po raz trzeci, już w Paryżu: ten list skończę i wyślę. Wybacz mi.

Na razie jestem nieco rozczarowany. Często myślę o tobie. Wszyscy tu dyskutują o „terroryzmie”. Poznałem kilku członków OWP i kilku palestyńskich „ekstremistów”; poznałem paru Latynosów, czcicieli Estravadosa, ma się rozumieć, poza tym – postacie jak z Cortazara. Wczoraj byłem w Nanterre, na dyskusji o presji mass mediów...

Co mnie odpycha: brain-washing, któremu prawie wszyscy są tu poddani. I nie wiedzą o tym.

Uczucie samotności, izolacji. Świadomość, że jest tylko kilkuset ludzi, broniących honoru całego rodzaju ludzkiego. Coraz bardziej jestem tego świadomy. Jeżeli nawet nie zgadzałem się z wami w wielu punktach – wy broniliście tego honoru. Sumienie świata. Przybiło mnie to, co tu widzę.

Michael. Co ty myślisz o Michaelu? Napisz mi, jeżeli uznasz, że możesz, proszę cię.

On nie gra, naprawdę w to wierzy. W demokrację tutaj. A nie rzuca się bomb przeciw demokracji. Ameryka Łacińska, to co innego. Próba Estravadosa, to co innego. Ale tutaj, teraz: czy życie nie jest piękne?

Słuchałem tego, kiedy rozmawiali z pewnym facetem z Vincennes, tylko słuchałem, i miałem ochotę krzyknąć nagle: Mais ils ont été tués, salauds! Mais ils ont été tués!!!⁷ Siedzieli w fotelach, w wielkim, wspaniałym pokoju, pełnym kwiatów (ja też, jasne), i czułem zapach krwi, widziałem krew, rzeczywistość. Albo twoją celę, Moniko.

Tak cierpiałem – cierpię – z powodu bezużyteczności mojego życia. Ale to życie, pozornie użyteczne – czy nie jest gorsze?”

Arkusz papieru, po którym przesuwają się szybko zielony długopis, leży na stoliku w ogrodach Tuileries, obok talerza po naleśniku z konfiturami i butelki z resztką wody mineralnej.

⁷ Mais ils...” (fr.) – Ależ ich zabito, świnie! Ależ ich zabito!

Nagle na papier spada kropla, rozmazując jedną z liter, pozostawiając ślad. Deszcz? Znowu? Nawet nie zauważył, kiedy nadciągnęły chmury, zieleń drzew przygasła i ściemniała, w szum fontanny wdarł się nowy, niski dźwięk. Trzeba złożyć arkusz i schować go. Szybciej.

I nagła myśl, myśl porażająca (długi dreszcz, przechodzący powoli przez znieruchomiłe ciało): ten ślad deszczu na liście, który przyniosą do celi, ten ślad – czym może być dla niej? Ona już nigdy nie wyjdzie na deszcz! Nie poczuje zapachu! Nie ma przecież prawa do spacerów po więziennym podwórzu, jak to bywało dawniej, w staroświeckich, wiktoriańskich mamrach... Zapach, smak deszczu, wiatru, powietrza! Ty szczęściarzu! Pomyśl o tym!

Aż odrętwiały, patrzy na przestrzeń wokół siebie. Tuileries, staw marszczący się od wiatru, przesuujące się po niebie chmury, tam, dalej Concorde ze swoimi obeliskami. Możesz iść, dokąd zechcesz.

Cela Moniki.

To nie powinno istnieć!

Gorzej niż za starego Wilde'a. Brzęczy mu to w myślach, uparty refren Reading. „Szyjemy worki i wiercimy świdrem / I rozbijamy kamienie młotami / Grzmocimy w blachę, obracamy żarna / Wyjemy w niebo psalmami, hymnami!”

Uciekł przed deszczem. Jest w księgarni angielskiej na rue de Rivoli. Wolno, przyglądając dłonią mokre włosy, przechodzi wzdłuż półek.

*

List od Moniki.

„Drogi Chris,

zaczęłam pisać inny list do ciebie, i podałam. Był zbyt sentymentalny, a nie powinno się, nie ma się prawa ulegać sentymentalizmowi w takim miejscu. Wszędzie, tylko nie tutaj. Wiesz, w więzieniu to takie łatwe. Cóż prostszego, niż rozkleić się, rozplakać, poddać? A to byłby koniec.

Tym łatwiej o to, że nie jestem w formie. Zakończyliśmy właśnie dwutygodniową głódówkę: ciągle w tej samej sprawie, przeciw torturze izolacji (Isolationsfortung).

Najcięższe do zniesienia tutaj – to bezustanna obserwacja. Już nie stary, poczciwy judasz, jak kiedyś. Kamery telewizyjne, stale czynne: nie ma nawet sekundy, w której nie **mógłbyś** być oglądany. Myślałam, że się do tego przywyka. To nieprawda. Trochę, tylko, trochę, nigdy bardziej niż trochę.

Myślałam, że się przywyka. Mój dziadek był w Dachau. Opowiadał, jak ich wieźli – cały transport, w tłoku, w bydłowym wagonie, na stojąco. Kiedy wysiedli, byli strzępami, nie mieli już cienia godności. Nigdy nie zapomniał, jak pościągali spodnie i załatwiali się wprost na tory kolejowe, naprzeciwko strażników wystrojonych, eleganckich, godnych, ludzkich. Ci wszyscy niedawni lekarze, adwokaci, szacowni panowie z najlepszego towarzystwa, brudni, spoceni, przykucnięci w opuszczonych spodniach pod spojrzeniem tych, którzy akurat byli górą. Dziadek mówił, że nie czuli już wtedy ani wstydu, ani poniżenia. W końcu oni ich do tego doprowadzili, oni stworzyli taki układ. Myślałam, że podobnie będzie ze mną. Tamci z obozów podobno przestali odczuwać. Albo tak mówili potem. Są chwile, w których zapominam, że ciągle mnie widzą, czasem nawet filmują. Ale potem to wraca. I wpadam w panikę, w histerię. Wszystko, tylko nie to.

Dzisiaj przyszła wiadomość o śmierci Carla. Znałam go, wiesz, że go znałam. Zapewne wiesz także, jak się to stało: zastrzelili go na schodach w Hamburgu, weszli za nim na schody i zastrzelili, bez ostrzeżenia. Nasza prasa jest pełna uciechy. Przerwano program telewizyjny, żeby o tym powiedzieć: że go zlikwidowano. I ludzie w studiu – to był program na żywo, teleturniej, prezenter przeczytał tę wiadomość – zaczęli bić brawo, krzyżeć z radości. Jasne, między nami a nimi jest wojna. Tak powiedziała Gitte, w sądzie: Das Verhältnis zwischen uns

und ihnen ist Krieg! A jednak... My przecież dla nich to robiliśmy, dla nich!!! A Carl – gdybyś go znał! To chłopak, który odmówił służby w wojsku, bo nie chciał zabijać ani nawet uczyć się, **jak** zabijać, to nie było łatwe, wiesz: w tych sprawach o wiele łatwiej zgodzić się niż odmówić. Zniósł to wszystko, areszt, przesłuchania, obserwację psychiatryczną, wilczy bilet. A potem zaczął strzelać, zaczął zabijać; gdyby ktoś zastanowił się, co musiało się stać, żeby nastąpiła taka zmiana! To bolesne, naprawdę. Pamiętam książki, które czytaliśmy z Carlem, nasze dyskusje o nich, nasze rozmowy. Żyliśmy w jednej komunie w Stuttgarcie: on był tam dłużej, ja krócej. Razem braliśmy udział w okupacji siedziby Amnesty International: chcieliśmy ich skłonić, żeby – główna, największa organizacja obrony więźniów politycznych – bronili także torturowanych i mordowanych więźniów **lewicowych**. Nie udało się, oczywiście. I ciągle przychodziły wiadomości o śmierci w celach. „Samobójstwo”, zgon w wyniku głodówki, znów „samobójstwo”. Zniesiono karę śmierci, wiesz o tym – chociaż wiele mówiono o tym, żeby ją przywrócić dla nas, wyłącznie dla nas. Ale ta formalność doprawdy nie jest potrzebna...

A więc Amnesty International nie zgodziła się bronić naszych towarzyszy. Nie uznała ich po prostu za więźniów politycznych, ponieważ walczyli z bronią w ręku. Gdyby robili to poza Europą – a jakże, apelowano by do rządów, zrobiono by kampanię. Partyzanci z państw odległych i niewiele znaczących są OK, i można domagać się dla nich humanitarnych warunków więziennych, wyboru obrońcy, uczciwego procesu, tych rzeczy. Ale partyzanci z państw, które się liczą, z tych, które mają naftę, z tych, które... no, ci są po prostu kryminalistami. Och, nie, nasi światli demokraci nie popierają torturowania nawet kryminalistów. Ale to ich nie obchodzi, a zresztą, to nie problem, to zdarza się tak rzadko... Od początku świata z mordercami obchodzono się lepiej niż z kacerzami, heretykami, dekabrystami, nihilistami – i tak dalej, i tak dalej. Słowem, przegraliśmy. Pozostała tylko jedna droga. Weszliśmy na nią.

(Nie mam pojęcia, czy cenzura więzienna przepuści ten list; ale może... W każdym razie spróbuję).

Carl był podziurawiony kulami, tak piszą. Wielka feeria!

Czuję się czasem bardzo stara. Tylu ich już umarło, moich rówieśników, moich bliskich, tylu ich już nie ma! A na czym innym polega starość?

Carl miał maskotkę, czerwonego konika. Dostał go kiedyś od matki, bardzo kochał matkę. W gazetach piszą, że wypadła mu z kieszeni, kiedy spadał ze schodów, głową w dół, zastrzelony.

Nie mogę pisać więcej, Chris. Napiszę inny list, za parę dni, kiedy ochłone.

Pamiętam o tobie, myślę o tobie, ściskam cię mocno, całuję.

Twoja Monika”.

*

O 16.30, w Café Le Dôme.

Przychodzi o pół godziny za wcześnie.

Stoliki i krzesła, poustawiane na chodniku, pod markizą, z tą kretyńską symetrią, nieznośną. Wchodzi na lewo, siada. Kelner jest przepasany białym fartuchem, dostoyny. Nie ma pojęcia, że martini może być cocktailem – i to jak znanym! – nie wie nawet, że samo wino martini może być czerwone lub białe, wytrawne lub słodkie... Na słowo „martini” przynosi kieliszek czerwonego, bez cytryny: aperitif. Za to obok stawia wiaderko lodu, obwiązane sztywną białą serwetką, ze szczypcami.

Krzysztof Paliwoda popija to, co mu podano.

Narastający ból głowy.

Ulica huczy. Tuż obok, ze schodów podziemnych prowadzących na stację metra, wylewają się tłumy, i na schody też wałą tłumy. Przejeżdża autokar Air France. Samochody, motocykliści w kaskach. Ryk ulicy!

Wkłada do kieliszka jeszcze jedną kostkę lodu.

Naprzeciwno ma kino La Rotonde. Z niebieskiego plakatu krzyczą czerwone litery tytułu, mężczyzna o lalkowatej twarzy pochyła się nad rozanieloną blondynką.

Stara kobieta zatrzymuje się na chwilę przed kawiarnią, zapala papierosa.

Przechodzi ruda dziewczyna – jaka nonszalancka! Wspaniała! – w białej bluzce i niebieskich dzinsach, torebkę na długim pasku przewiesiła przez ramię, włosy ma wysoko związane.

Toczą się wózki z dziećmi.

Krzysztof Paliwoda sięga po swoją ewangelię, po nieodłączny mały tomik w zniszczonej zielonej okładce. Otwiera go na pierwszej stronie, czyta. Znów czyta. Avant-jeu!

Nie zauważył wejścia Conchity. Dopiero jej ręka na ramieniu. „Jestem!”

Siada obok niego, równie nonszalancka jak ta ruda w białej bluzce, spokojna, rozluźniona. Strzela z palców na kelnera – tego dostojnika w nakrochmalonym fartuchu! – zamawia kawę...

Nagle coś przychodzi mu do głowy.

Patrzy na dziewczynę, na jej rozczochrane, czarne włosy, na pasiasty podkoszulek, na nogi w spranych, poplamionych dzinsach, założone jedna na drugą, odsłaniające skarpetki – też w paski, tylko jaskrawsze – i ciężkie saboty, patrzy na dłoń z papierosem...

– Nie boisz się?

– Czego?

– No, wiesz... odpowiedzialność rodzinna... tego, że ktoś, kto wie, wszyscy przecież wiedzą, twój ojciec...

– Że mnie sprzątną?

Śmieje się.

– Człowieku! Wiesz, ilu jest ludzi, którzy mogliby się bać tego samego? Zresztą, komu ja sama szkodzę? Ja się tylko „obracam w kręgach”, patrzę, przymierzam się. A pomyśl o moich kumplach z OWP! Tych to sprzątaj! Miotel niedługo zabraknie!

A potem, marszcząc nos nad swoją kawą, pyta znienacka:

– Co ci jest?

– Dlaczego?

– No, widzę przecież. Coś cię rąbnęło. O co chodzi?

Nie przewleka tego; wyciąga z kieszeni ostatni, adresowany już na Paryż, list od Moniki, podaje. I czeka.

Conchita składa list po przeczytaniu, wsuwa go do koperty – i zadaje nagle to samo pytanie, z którym pierwszego wieczora wystrzelił Michael Bernard:

– Kochasz się w niej?

Ale tym razem nie jest zaskoczony. Tym razem pytanie go nie razi. Tym razem odpowiada bez wahania:

– Tak.

Conchita przygląda mu się w milczeniu, nagle spoważniała. Więc tłumaczy się, już z ironią, już na półuśmiechu:

– Księżniczka na szklanej górze, terrorystka w Stammheim... widocznie to jest właśnie to, czego mi potrzeba, warunek sine qua non: szklana góra, smok, więzienie. Infantyizm: tak myślisz, prawda?

– Czemu miałabym tak myśleć? Jesteś romantyk i tyle.

– To śmieszne.

– Mnie się podoba.

Dopalający się papieros parzy ją w palce; nie gasi go jednak, tylko przypala od żarzącego się końca następnego. Wciąż patrzy na niego, nieoczekiwanie poważnie. Potem się wzdyga, całym ciałem.

– Spieszysz się gdzieś? – pyta. (Czy to możliwe, żeby zbladła? Żeby głos jej się zmienił?)

– Nigdzie.

– Masz wolny cały wieczór? Zostań ze mną!

A kiedy jej to obiecuje – natychmiast, bez wahania – znów się wzdyga, papieros podskakuje w jej trzęsących się palcach.

– Nie biorę narkotyków – tłumaczy, jakby odpowiadając na zarzut, którego nie było. – W ogóle zdarzało się... ale nie teraz, nie dzisiaj. Po prostu jestem historyczka. I wiesz, coś w związku z tym listem... może ci kiedyś powiem, nie teraz.

Kiedy już wychodzą z kawiarni, tłumaczy mu gorliwie, pełna dobrej woli, że to „zostań ze mną” nie oznacza niczego strasznego, skądże. Powłóczą się trochę, pójdą do kina, jest taki film, który naprawdę warto zobaczyć, potem na kolację... no, a potem każde wróci do siebie. Naprawdę.

– To zależy tylko od ciebie – mówi Krzysztof Paliwoda. – Zrobię, co zechcesz.

– Jaki ty masz zgodny charakter!

Wchodzą na dziedziniec Luwru – po to tylko, żeby kupić hot dogi. A teraz ściągają buty, Chris, nie bądź sztywniakiem. I kładą się na rozległym trawniku, twarzami do osuwającego się coraz niżej słońca. Za ich plecami, daleko, w bezpiecznej odległości, przeciągają wycieczki, stare Amerykanki w szortach i kapeluszach z kwiatami, brzuchaci Amerykanie obwieszeni aparatami fotograficznymi, i tylu innych, tylu innych ustawia się w grzecznych kolejkach po bilety – i pędzi do Mony Lizy. Tu jest cisza, spokój, miękka trawa pod palcami, słońce.

– How fine⁸ – mruczy Conchita. – Lubię obrazy, ale nie cierpię zwiedzania. Muzea, Boże drogi! Byłeś tu już?

– Nie.

– Mickey zabiłby cię, gdyby się dowiedział. Facet, który przyjechał do Paryża, wszystko jedno po co, powinien polatać po Luwrze. Nie przyznawaj mu się.

– Już mnie pytał, czy byłem, i skłamałem, że tak. Kazał mi iść po raz drugi.

– Stary, poczciwy Mickey! Wolisz ulice od muzeów, co?

– Wolę.

– Ja też.

O kilka metrów od nich rozłożyła się na trawie grupka hipisów ubranych w kolorowe szmatki, obwieszonych kwiatami, zarośniętych, brudnych, bosych. Równie dobrze mogłyby to być damy w krynolinach i pudrowanych perukach albo rycerze w zbrojach: niewiarygodne. Cóż za anachronizm! Niewiarygodne.

– Och, tak – mówi Conchita, odpowiadając na nie zadane pytanie. – Oni się jeszcze zdarzają. Ruch rozpieprzono, ale jednostki trzymają się twardo. Płakać mi się chce, kiedy ich widzę. Poważnie, Chris. Spójrz, mam łzy w oczach.

Rzeczywiście, ma łzy w oczach.

– Biedacy – mówi. – Ach, gdybym była historykiem z XXII wieku... jeżeli będą wtedy mieć historyków. Jakie ja bym dzieło napisała o dwudziestowiecznych hipisach! Pomysł, ludzie, którzy... już po zamordowaniu mojego ojca i tak dalej... wyszli na ulice, wzywając do wzajemnej miłości! Obwiesili się kwiatami, pozakładali komuny, zaczęli żyć po franciszkańsku, bez własności... miłość, łagodność, doskonałość duchowa, jak cię uderzą w lewy policzek, mało, że nadstaw im prawy, wręcz jeszcze kwiaty! Przecież oni rozjuszili tych drani bardziej niż twoi terroryści. Jak ich pałowano, jak masakrowano! Ile było prowokacji, ile kolumnii! Czytałeś o krucjacie dziecięcej, w średniowieczu? No, więc to była nasza krucjata

⁸ How fine (ang.) – Jak miło.

dziecięca. Przebudować świat miłością i dobrą wolą. Chryste, co za idioci. Płacę, kiedy o nich myślę, serio, nie mogę się powstrzymać. No, a kiedy ich już gliny całego świata – gliny całego świata, łączcie się! – przerobiły na miazgę i wdeptały w ziemię, wtedy pojawili się terroryści. Jasne, co innego miało się pojawić? Głupota ludzka nie jest bezgraniczna, jakie to pocieszające. Zdrzemnę się, obudź mnie za kwadransik.

Rzeczywiście, zamyka oczy i zasypia – chyba zasypia. Krzysztof Paliwoda patrzy na nią ze zdumieniem, potem z czułością, potem znów ze zdumieniem. W co on się wplątał, dokąd zawędrował?

Hipisi też drzemią. Jedna z dziewcząt jest w ciąży, teraz to zauważył, jej brzuch, obciśnięty bajecznie kolorową, postrzępioną spódnicą, sterczy teraz, gdy położyła się na wznak, do góry. A nad nimi – i nad nim z Conchita – wznosi się Luwr. Zimne, szare mury, królowa Margot, fekalia na korytarzach, ukryte przejścia, zatrute sztylety, a teraz Mona Liza i Wenus miłowska, w każdym wypadku symbol, twierdza. Zimno aż bucha od tego. Te lodowate cienie, którymi zamek stara się objąć, zagarnąć zielone trawniki, i jego z Conchita, i tamtych, niedobitków dziecięcej kruczaty. Te lodowate cienie, które wysuwa coraz dalej, jak rozczapierzone palce. Przemijamy. Do diabła, przemijamy!

A także przechodzimy do historii. Ale teraz nie jest to myśl radosna, skądże.

W co on się wplątał? Polityka; co to właściwie jest, polityka? I jakie ma znaczenie, co za idea temu przyświecała, w co kto wierzył, niepojęte, żeby ktokolwiek brał się do tego z innych powodów niż... nie, nie głód, to nie musi być akurat głód... niż poczucie krzywdy lub żądza kariery. Zresztą on właśnie kieruje się oboma tymi motywami naraz, on jest OK. Wcale nie o to chodzi. Ten zamek, te obłoki. Przed setkami lat takie same obłoki! Tego tylko brakuje, żeby i on się rozkleił. Przemijamy. No, i co z tego, i co z tego?

To, co Conchita powiedziała o hipisach. Oni to rozumieją, za pięć lat nikt nie zrozumie. Po co odmierzać czas wiekami?

The buffaloes are gone.

And those who saw buffaloes are gone.

Dwie linijki z wiersza Sandburga – dwie linijki, które Estravados pisał po wielokroć na okładkach swoich notesów i na marginesach przemówień, które kaligrafował, rysował, malował niemal słuchając innych, czekając na coś: tik, mania, każdy ma jakąś... On, Krzysztof, rysuje małe, kubistyczne okręciki. Inni kraty, kółka, kwiaty, ten sam kobiecy profil...

The buffaloes are gone.

And those who saw buffaloes are gone.

– Tak – mówi Conchita, nie otwierając oczu – będzie nam to można napisać na nagrobkach. Odeszli ci, którzy widzieli bizona. To straszny dwuwiersz, nie uważasz? Bo „Nie ma już bizonów”... no tak, to smutne, ale to jeszcze nic nie znaczy. Ale dodaj do tego: „Nie ma już nawet tych, którzy widzieli bizona”, a zimno ci się robi, wszystko się na ciebie wali, czas, w tym jest wszystko: przemijanie, starość, historia. Czas! Biedny ojciec.

Czy powiedział ten wiersz? Powiedział go na głos? Nie, pomrukiwał raczej sam do siebie, bardziej rytm niż słowa. A ona usłyszała.

Usiadła teraz na trawie, podciągnęła kolana.

– Patrz, słońce już zaszło. Czemu mnie nie obudziłeś? Biedaku, zmarnowałam ci popołudnie.

– Nic podobnego.

Na ekranie tory kolejowe, szyny, ciągnące się w nieskończoność, za plecami rozlega się turkot nadjeżdżającego pociągu, THE END.

– Dwa ekspresy.

Jej blada, zmęczona twarz, kiedy piją te swoje dwa ekspresy w jakiejś nędznej kawiarni. To chyba światło. To od światła jest taka blada, prawie niebieska.

– Poczekaj, muszę zatelefonować.

Podchodzi do lady. Brzęk monet w jej dłoni, potem cisza żetonów. Wraca po paru minutach, marszczy nos.

– Jak tam śmierdzi! Co za nora, człowieku!

Szybko dopija ostatni łyk swojej wystygłej kawy. I zrywa się.

– Muszę coś zjeść. Nie jesteś głodny? Tu jest taka mała knajpka, okropnie stara, Comte do niej chodził, albo ktoś taki... no dobrze, dobrze, nie rób takiej miny! Nie jestem z dżungli! Ciągłe tam przesiadywał jakiś ważniak w zamierzchłej epoce, nawet tablicę wmurowali. Ale nigdy nie miałam czasu stanąć i przeczytać, o jakiego ważniaka chodzi.

I już siedzą przy stoliku, nakrytym białym obrusem, menu jest w granatowej okładce ze złotymi literami, musi tu być drogo, Krzysztof z przerażeniem przelicza w myśli swoje pieniądze. Och, na pewno wystarczy na obiad, nawet tutaj, nawet z szykiem, ale ile mu wtedy zostanie?

– Tylko sobie nie wyobrażaj, że musisz płacić – rzuca Conchita. – Zaprosiłam cię.

Protestuje, już z ulgą, ale protestuje.

– Och, przestań pieprzyć! Co jemy? Lubisz sałatkę z krabów? A może ślimaki? A potem? Wolisz pstrąga czy filet mignon? Psiakrew, ale się zrobiłam despotyczna. Weź kartę i sam wybierz. Czemu mi nie dasz w pysk, jak cię tak traktuję? Tylko nie myśl, że na ciebie tak się uwzięłam, ja w ogóle jestem taka. Rozbestwiłam się w Paryżu. Słuchaj, czy ty uważasz, że jestem bardzo ZACHODNIA?

OCCIDENTALE, tak powiedziała. I czeka na jego odpowiedź z błyszczącymi oczami.

– Pewnie tak – mówi Krzysztof. – To znaczy... jesteś odważna, jesteś na luzie. Nonszalancka. U nas takich nie ma.

– Serio, nie ma? A jakie są u was dziewczyny?

– Trés coquettes – odpowiada Krzysztof z wahaniem. – Bardzo zadbane. Bardzo spięte. Wiedzą czego chcą.

– I czego chcą?

– Na ogół... bo ja wiem? Stabilizacji. Małżeństwa. Pieniędzy. Nie wielkich, takich sobie. Średnich pieniędzy.

– O Jezu! Co za nudy! No, ale jakiś konkret. Szczegół. Żebym je zobaczyła.

Krzysztof zastanawia się.

– Nie palą na ulicy – mówi. – Prasują dzinsy, a w knajpie kładą na nich serwetę, żeby nic nie kapnęło.

– Na DŻINSY?!

– No tak. Rzadko mają samochody, rzadko prowadzą. Wszystko przez mężczyznę, rozumiesz. Wyjdzie za mąż, to będzie mieć samochód, nie wyjdzie, to nie. Jeżeli z kimś żyją bez ślubu, to pozują na ofiary, dzień w dzień robią mu awantury przy ludziach, że się nie żeni. Za nic w świecie nie usiadłyby na schodach ani na krawężniku. Nie chodzą same do knajpy, do kawiarni, do kina. Chyba, żeby kogoś poderwać.

– Co za nudziary! Ale one same... co one mają z życia? Jezu! Toż to gynezeum! – I, z ustami pełnymi sałatki z krabów: – Podobają ci się takie?

– Za kogo mnie uważasz? Nie. Jasne, że nie.

– A takie, jak my? Takie, co to w życiu nie były u fryzjera? Wiecznie w tych samych starych ładach? Z papierosem w ustach i pigułkami antykoncepcyjnymi w torebce? Z tuzinami kochanków? Bywa, że z bękartami? I dyplomami, i ambicjami, i paznokciami obciętymi do żywego mięsa? I... i albo ze stosem książek o polityce i kompleksem winy, albo z bombą plastikową? No, zdobądź się raz na szczerłość!

– Tylko takie.

– Ach, tak się mówi! Ale jak długo mógłbyś się zachwycać taką kobietą?

– Całe życie – mówi Krzysztof cicho, kładąc rękę na jej dłoni. – Całe życie i jeszcze dłużej. Przez całą wieczność.

Conchita milczy przez chwilę, a potem znów się wzdryga, całym ciałem, od stóp do głów.
– Jedz – mówi.

A potem, zabierając się do swego filet mignon – cały pokroiła przed jedzeniem na małe kawałki, po amerykańsku, żeby móc posługiwać się samym widelcem – pyta nagle:

– Więc kochasz Monikę, tak? I co zrobiłbyś dla niej?

Krzysztof milczy, zaskoczony. Nie może odpowiedzieć.

– U diabła, porwałbyś samolot, żeby ją uwolnić?

– Wiesz dobrze, że tak się jej nie uwolni. Pamiętasz Baadera.

– Jasne. Ale **gdyby**. Zrobiłbyś coś takiego?

Garbi się ze wstydu. Dobrze, powie jej.

– Zrobiłbym, gdybym umiał. Rozumiesz? Zrobiłbym wszystko, gdybym miał pojęcie... co, jak, kiedy! Gdybym umiał! Ale ja niczego nie umiem, jestem gnida.

– Nie przesadzaj.

Nie drwi z niego. Przeciwnie. Patrzy ze zrozumieniem, ze współczuciem, nawet przestała jeść.

– A ja, myślisz, że nie jestem gnidą? A ktokolwiek? Na tym właśnie polega sens kolektywu... ein Finger kannst Sie brechen, fünf Finger sind eine Faust⁹, jak mówią twoi przyjaciele z RAF. Co można zrobić w pojedynkę? Grupie oddajesz najlepszą część siebie. I to nie musi być oko strzelca wyborowego! Ani tupet. Może być zmysł teoretyczny. Propagandowy. Refleks. Albo dobre prowadzenie wozu. Albo, na przykład, umiesz łączyć jak baron von Münchhausen. Albo po prostu solidność, punktualność, karność, wykonasz każde polecenie. Chwytasz?

– Czy ty – pyta Krzysztof gwałtownie, na jednym oddechu – czy ty masz kontakt... z nimi?

– Ja? Ale gdzie tam!

Pochmurnieje.

– Wiesz co – mówi – najpierw zabiorę cię do filmoteki. Jutro. Chyba że sam to widziałeś, stary film angielski, o wojnie. „Rozkaz zabić”. Może widziałeś?

– Widziałem. Tak się składa, że widziałem. Niedługo przed wyjazdem.

– Ach, więc wiesz...

Conchita znów atakuje widelcem mięso na swoim talerzu, pochłania je żarłocznie.

– No, to przypomnij sobie. Jedz, bo wszystko stygnie. Ja też będę jadła. I przypomnij sobie ten film.

Krzysztof przypomina sobie.

Chodzi o chłopaka, który zgadza się wykonać zadanie specjalne: zlikwidować zdrajcę. Faceta, który sypie w siatce ruchu oporu we Francji. Chłopak jest Kanadyjczykiem, długo mieszkał w Paryżu, francuski zna perfektnie. Przechodzi przeszkolenie. Uczy się walić manekiny w potylicę skarpetką wypełnioną kamieniami, dusić, dźgać nożem, strzelać nie marnując nabojów. Z entuzjazmem, z naiwną uciechą wyzbytą sadyzmu, która zdumiewa jego przełożonych. Zabija drania, w dobrej sprawie, sprawa decyduje. A oczywista słuszność sprawy czymś naukę zabijania drani tylko emocjonującą. Radosną. Wspaniałą.

Dobrze, ale skąd chłopak się tam wziął? W tym miejscu, w zespole szkolonym do zadań specjalnych, w zespole szalejącym z narzędziami mordu wśród manekinów? Nie widział początku, to głupie, ale nie widział początku filmu, spóźnił się. A przecież to najważniejsze!

– Pamiętasz?

– Tak, tak, pamiętam.

Chłopak jedzie do Paryża i odnajduje faceta. Miłego faceta. Mały, szary człowieczek. Uwielbia swoją kotkę, ukrywa ją gdzieś w pustym biurze, dokarmia: żona nie pozwala mu

⁹ ...ein Finger (niem.) – Jeden palec możecie złamać, pięć palców to pięść.

trzymać w takich czasach darmozjada, kazała wyrzucić zwierzę z domu. Koty podaje się w restauracjach jako króliki, z mięsem jest źle, koty to żarcie!

I oto naszemu entuzjaście coś się nie podoba. Jasne, można uwielbiać swojego kota, a być draniem, kto mówi, że nie? Ale to dobry człowiek, zwykły, dobry człowiek, to bije w oczy. Ile zaufania, ile serca okazał jemu, nieznanemu! To nie może być zdrajca. Chłopak wie, czuje, że to nie może być zdrajca. Jakie ma argumenty? Tylko jeden: facet me ma forsy, a miałby ją przecież, **gdyby**. Naprawdę jej nie ma: jak się gimnastykuje, żeby wykarmić swojego kota! Jedyne argumenty, reszta to intuicja, wewnętrzna pewność, kto brałby pod uwagę takie bzdury? Chłopak nie wykorzystuje pierwszej okazji zabójstwa. Pędzi do skrzynki kontaktowej, błaga o porozumienie z władzami: niech jeszcze sprawdzą. On, wykonawca wyroku, jest pewny, że nastąpiła pomyłka. Błaga o sprawdzenie. Zostaje wyśmiany.

Sprawa jest już zapięta na ostatni guzik! Po wielokroć sprawdzona! Każde włączenie radiostacji to ryzyko dla tłumu ludzi! Nie rób z siebie durnia, chcesz, żeby ci zdrajca wyglądał na zdrajcę?

Przekonują go.

I właśnie wtedy, gdy facet – z którym już się prawie zaprzyjaźnił – gada coś do niego pełen ufności, gdy, głaszcząc swojego kota, zaprasza go na obiad, chłopak wyciąga nóż sprężynowy. Ręce mu się trzęsą, nóż się nie otwiera. Łapie więc leżące na stole nożyczki, morduje nożyczkami, bestialsko, ohydnie, w panice. Dla dobra sprawy. I tylko to przeraźliwe miauczenie kota, i oczy zabijanego, osłupiałe, osłupiałe. „Dlaczego?”

Tyle tylko zdołał z siebie wydusić, wychrypieć.

Chłopak nie może przyjść do siebie. Popelnia szaleństwa. Rozpija się, wykoleja. Załamane nerwowo. Chociaż zabił winnego, dla dobra ojczyzny, aliantów, antyfaszystów, postępu, czego kto chce. A potem okazuje się, że to istotnie była pomyłka. Zabity niczemu nie był winien, przypadkowy człowiek, był taki, jakim się wydawał, bez drugiego dna: poczciwina w starym paletku, drżący o swego uwielbianego kota. Często sprawa, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Przełożonych takie wyjaśnienie sprawy ani ziębi, ani grzeje: ileż było podobnych przypadków! Kto by sprawdzał tak dokładnie? Ileż poczciwych niewiniątek zadźgali z najwznieśliwszych pobudek chłopcy tacy jak ten!

Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Ulubione przysłowie polityków.

Podnosi głowę, patrzy na dziewczynę, która zdążyła już zamówić, nie pytając go, lody i kawę.

– Pamiętam ten film. Dobrze pamiętam. Ale co chciałaś przez to powiedzieć?

– Że nigdy dość ostrożności. W obie strony.

– Bierzesz mnie za szpicla?

– Nie. Czuję akurat to, co ten nieszczęśnik wobec swojego poczciwiny z kotem. Ale co to znaczy?

– Więc inni uważają...

– Nikt tak nie uważa! Myślisz, że kim jestem? Szefową grupy terrorystycznej? Paryski łącznik między RAF a Czerwonymi Brygadami, Conchita Estravados, **córka Estravadosa**, któż by inny? Kochany, zastanów się. Wyobrażasz sobie większą bzdurę? Mnie mają na oku. Może w ogóle każdy, kto styka się ze mną, jest spalony. W każdym razie ty... Jedźże te lody, zanim się roztopią! Ach, znów nie zapytałam: może ty w ogóle nie lubisz lodów?

– Niespecjalnie.

– To dawaj, zjem dwie porcje. Ja UWIELBIAM lody. Pij kawę. Więc słuchaj: jesteś tak spalony, że trudno bardziej. Korespondencja z Moniką Weber, przez pięć cenzur co najmniej, z więzieniem! Korespondencja z jej adwokatem. Z różnymi tam. Potem przyjeżdżasz tu, na zaproszenie Michaela: każdy wie, kim jest Michael. Spotykasz mnie, afiszujesz się ze mną. I z moimi Latynosami, z moimi Palestyńczykami. Jakbyś chodził z zapalonym reflektorem! To zbyt jawne, zbyt jaskrawe. Z pięć wywiadów ma cię już w swoich kartotekach. Jeśli to nie są

głupcy – na ogół są – biorą cię za to, czym jesteś. Typowy kompleks inteligencki, fascynacja, Bóg wie co. Co nie znaczy, żeby na ciebie nie uważali, na wszelki wypadek. Bo a nuż jest to drugie dno?

– No tak – mówi Krzysztof.

– Aż tak byś chciał? Ryzykować, robić coś? Może zejść w podziemie? Człowieku, ty byś tego nie wytrzymał. Jest taka Niemka, Kornelia... ma dwadzieścia sześć lat, miała osiemnaście, kiedy zeszła w podziemie, znikła, nie złapali jej. Ale wyobrażasz sobie, co to za życie? Śliczna dziewczyna, mówię ci, sama subtelność... A Gitte? Ma trzydzieści jeden. Pięć lat w najcięższym więzieniu świata. Ponad pół roku w innym mamrze. Poza tym – w podziemiu. Wiecznie w ucieczce, w ukryciu. Dziewczyna ze stali. Co za refleks! Kiedy ją już mieli na granicy, zastrzeliła glinę, wskoczyła do wozu i związała. Jej faceta zgarnęli, tego, z którym jechała. Jej nie. Przemyciała ludzi do Francji, Holandii, Szwajcarii. Prowadziła samochód na akcjach. A w szkole nie zdołała zrobić prawa jazdy. Zawsze miała dwie lewe ręce. Nieśmiała, cicha, łagodna, mól książkowy, mamina córeczka. Inteligentka pierwszej wody. I nagle... Ale ona ma ideę, Gitte, tego się nie zniesie bez idei! Wyobraź to sobie. Dożywocie, pomyśl o dożywociu! Głódówki. Po dwa miesiące! Odmawianie picia. Tortury. Wieczna groźba, że cię po prostu powieszają w celi i upozorują samobójstwo. Czym oni tam mogą żyć, pomyśl! Ideą. Ale ty jej nie masz, stary, nie robisz ci z tego zarzutu, nie masz jej! No, w co ty wierzysz? Kochasz się w tych ludziach. Kochasz się w moim ojcu, w więźniach ze Stammheim, jak się kochano w Napoleonie. Ale co: serio wierzysz, że bez partyzantki miejskiej ani rusz?

– W to tak.

– A po co? Po co? Żeby dojść kiedyś do społecznej własności środków produkcji? Wy ją tam niby macie, i co z tego?

– Conchita.

– No, w co ty wierzysz? W co? Tak, żeby za to umrzeć? **Kochasz** terror, o Jezu! Fanatyk. Mięczak.

– A ty?

– Przecież ja mówię o sobie! Nie widzisz?

Podnosi do ust filiżankę, w której nie ma już kawy, odstawia ją.

– Męczennicy! – mówi ze złością. – Mój ojciec, Laventure, Ulrike, Baader, Ensslin, Raspe, Holger Meins, Małgośka Caghol, i tak dalej, i tak dalej... Ale zrozum: każdy ruch ma swoich męczenników. Każdy! To bez znaczenia.

– A czytałaś Pascala? „Je ne crois que les idées dont les témoins se font égorger”!

– No właśnie, inteligenckie bzdury. Każda idea ma takich, co się dadzą zarznąć za jej prawdziwość. Każda! Co za kretyn ten twój Pascal!

– Conchita.

– Wierzył tylko w idee, których wyznawcy dadzą się za nie zarznąć! A więc we wszystkie, co? Kretyn.

– I ty to mówisz? Słuchaj, Conchita, oni wszyscy nie wiedzieli, za co giną. Ale ja wiem. I właśnie o tym...

– W porządku. Powiesz mi kiedy indziej.

Zamówiła drugą kawę, znów marszczy nos, parząc się pierwszym łykiem, dmucha na czarną, płynną powierzchnię.

– Psiakrew – mówi – i znów nie sprawdziłam, co to za waźniak tu bywał. W tej knajpie. Comte? Nie, człowieku, to niemożliwe.

– Conchita.

Przygląda mu się teraz, poważnie, zmrużonymi oczami. Odgarnęła włosy z czoła.

– OK, ja ci wierzę – mówi. – I dlatego powiem ci tylko jedno, więcej nie mogę. Uważaj na Michaela. To zdrajca.

6

Samochód wpada nagle w cień, w tunel cienia. I zwalnia.

Wiesz, jaką widywał w kinie. Wiesz czy miasteczko? Domy stoją tyłem do wąskich uliczek, mury pożerają światło, pustka, cisza. Można by tu mordować bezkarnie, nikt by się nie poruszył, nikt by nie wyjrzał! Michael postawił samochód na chodniku i zgasił silnik. Cisza aż dzwoni w uszach, cisza ma echo, odbija się od tych murów, powraca pomnożona, wzmocniona.

– Tu mieszkam.

Otwiera furtkę – nie, to nie furtka, to masywne drzwi w murze, mur wznosi się i nad nimi, twierdza! Krzysztof przechodzi na drugą stronę, słyszy za sobą szcęknięcie żelaza, zgrzyt klucza. Stoi w trawie.

Trawa rozpościera się wokół niego. Miętkość, zieleń. Kto by się tego spodziewał po drugiej stronie, wśród zimnych cegieł, przed przegrodą z kamienia? Prywatność. Izolacja. Powinno go to zachwycać, a nie zachwyca. Pierwsze krople deszczu spadają z zachmurzonego nieba na tę miękką zieleń, i zieleń ciemnieje natychmiast, od ziemi zachodzi na nią cień.

To dwa domy, nie jeden: większy wystawia swą tylną, ślepa ścianę na wschód, mniejszy na zachód, od północy i południa wznosi się mur, pośrodku – krzaki, trawa. Mijają otwarte drzwi garażu – Conchita mówiła prawdę, stoi w nim złoty, lśniący Mercedes – i wchodzi na ganek. Michael oprowadza go z dumą, jak po muzeum.

Wielka kuchnia „w stylu wiejskim”, ale z maszyną do zmywania naczyń i potężną lodówką. Łazienka tej samej co kuchnia wielkości. Pokój, drugi pokój, trzeci... Druga łazienka. Kręte schody. Pokój, łazienka. Strych wyłożony dywanami, strych z kolorowym telewizorem. A teraz na dół. Tym razem Michael nie ogranicza się do wrażeń ogólnych, zwraca uwagę gości na obrazy, na podpisy w rogach obrazów: Krzysztofowi nic one nie mówią, ale przybiera minę pełną niedowierzającego zachwytu, w milczeniu kiwa głową. Pora przejść przez ogródek, pod coraz gęstszymi kroplami deszczu, i obejrzeć pawilon – to, co wystawia ślepa ścianę na zachód, to pawilon, warsztat pracy Michaela. Znów dywany, obrazy – wiesz, kto to malował? – drugi telewizor, kanapy, fotele, łazienka, strych, widok z okna strychu: na zarośniętą trawą podwórko i dom wystawiający ślepa ścianę na wschód. Podoba ci się?

– Bardzo.

Nieprawda. On w każdym razie nie mógłby tu żyć. Różnica kultur, jasne, to o niczym nie świadczy. Żabojady! Ciekawe, jak naprawdę czuje się wśród nich Conchita. Dlaczego tu została? Dlaczego tu żyje?

Na dole słychać głosy, śmiech, warkot silnika. Podchodzą obaj do okna.

Jakaś kobieta wprowadza do garażu czarnego Peugota. Trzy inne stoją dokoła, wołają coś do niej, jedna – w wysokich, oficerskich butach i długiej, powiewnej spódnicy – podskakuje, chichocząc i klaszcząc w ręce.

– Żona przyjechała – mówi Michael. – Hej, Eileen!

Kobieta, wychodząca właśnie z garażu, unosi dłoń nad głową, porusza palcami w powietrzu, i odwraca się.

– Przywiozła swoje feministki. Wiesz coś o mojej żonie?

– Czytałem, że to Irlandka.

– Gdzie to czytałeś?

– W „Paris Match”. „Michael Bernard et sa femme irlandaise”.

– Ach, tylko tyle. No, więc Eileen była przyjaciółką Marthy Doherty. Działała w tym samym ruchu. Właściwie do tej pory się przyjaźnią, korespondują ze sobą w każdym razie: cóż, życie ułożyło im się podobnie...

– Właśnie: co teraz robi Martha Doherty?

– Nic. Wyszła za męża i ma dziecko. Mieszka w ładnym domku w Hampstead i nie zajmuje się polityką. Rozumiesz, oni wszyscy się rozczarowali... Martha i Eileen także... kiedy nie można już było wątpić, że to popularna prasa ma rację, nie marksizm. W Irlandii toczyły się – i toczą – kretyńskie walki religijne, które wcale nie są kamuflażem żadnych treści klasowych, a jeśli nawet tak, to wyjątkowo dobry jest ten kamuflaż. Nowa wojna o włos z brody Mahomet, grubo podszyta nacjonalizmem. Martha doczepiła do tego ładną teoryjkę, ale życie jej zaprzeczyło. Obie opuściły Irlandię: Martha przeniosła się do Londynu, Eileen aż do Francji. Ze mną.

– Jak ona się wtedy nazywała? Twoja żona?

– O'Toole. Eileen O'Toole. Nie słyszałeś, co? No, bo ona nie była nikim nadzwyczajnym. Tyle że była w tej grupie otaczającej Marthę. Tutaj przestała się interesować swoją Irlandią, przerzuciła się na feminizm. I na każdy weekend przywozi tutaj swoje koleżanki z ruchu. Chodź, idziemy do nich.

Kobiety siedzą na ganku. Chichoczą, kiedy Krzysztof po polsku pochyliła się nad ich dłońmi i dotyka ich ustami, jedna z nich odskakuje, zaszokowana, inna mówi coś o Chopinie, o kawalerzystach, o polskiej galanterii, „Ils sont tellement chic, les Polonais!” – „Mais c'est du sexisme pur!”¹⁰

Ta, która to zawołała – „najczystszy seksizm” – jest drobna, ostrzyżona po męsku, w niebieskich szarawarach i podkoszulku z Estravadosem, Syryjka, studiuje w szkole filmowej, nazywa się Aisha. Ta druga – niemłoda, gruba, ale z warkoczami – pochodzi z Chile i jest służącą. Trzecia – to ta w butach oficerskich i przejrzystej, muślinowej spódnicy z falbanami, ufarbowana na rudo, umalowana, ładniutka – przyjechała z Hamburga, zbiera w Paryżu materiały do książki o prostytutce. Michael też jej nie zna.

– A wiesz, jak mam na imię? – pyta ruda zalotnie. – Jak Francuzka! Fleur!

– Niemożliwe. Nazywasz się Fleur?

– Tak. Czy nie poetycznie?

– A jak jest Fleur po niemiecku?

Dziewczyzna jest speszona. Nie rozumie. Ale Michael powtarza pytanie, poważny, dociekliwy.

– Blum.

– To znaczy, że nazywasz się Blum?

– Ależ nie, nazywam się Fleur!

– Jak możesz nazywać się Fleur, jeżeli po niemiecku „kwiat” to Blum?

– Ale rodzice dali mi na imię Fleur – bąka ruda. – Dali mi francuskie imię, zrozum!

– Tak można?

– Dlaczego nie?

Krzysztof przygląda się Michaelowi uważnie. Nie, nie żartuje, po prostu jest idiotą. Cenne odkrycie.

Żona Michaela ma twarz o ostrych rysach, z dwiema bruzdami biegnącymi od nosa do opadających w dół kącików ust; jeżeli była kiedykolwiek ładna, szybko jej to minęło. Popielate włosy szeszała gładko do tyłu, wysoki kołnierz swetra podchodzi pod samą brodę.

– Chodźcie do domu – mówi – trzeba coś zjeść.

Wieczór. Na stoliku w pokoju, który oddano Krzysztofowi, leży plik feministycznych czasopism. Stek bzdur! Łapie się natychmiast na tej myśli i niemal zgina się w przepaszających ukłonach. Czy nie zachowuje się aby jak ciemniak? Jak ci, którzy w przededniu każdej rewolucji słowami „stek bzdur” odtrącali, zagłuszali głos ciemionych? To potężny ruch, a skoro tak – musi w nim coś być. I Krzysztof ze skrupulatnością, wynikłą z wyrzutów sumie-

¹⁰ Ils sont... (fr.): – Tacy szykowni są ci Polacy! – Ależ to czysty seksizm!

nia, odczytuje pochwałę orgazmu lechtaczkowego, oskarżenie gwałtu, opis gwałtu, wypowiedzi kilkunastoletnich dziewcząt na temat znaczenia słowa „seksizm”, i tak dalej, i tak dalej... Kiedy sięga po kolejne pismo, spomiędzy kartek wypada pocztówka z widokiem Tottenham Court Road, zapisana drobnym maczkiem i podpisana „Martha”. Martha Doherty?

„Moja droga Eileen! Jak żyjesz? Jak Mickey? U mnie zanosi się na zmianę, ale nic ci o tym nie napiszę, żeby nie zauroczyć. Albo dobrze: chyba będę mieć drugiego potomka, co ty na to? Kupiliśmy cudownego spaniela, rozkoszny szczeniak. Eileen, na litość boską, czemu nie masz psa? Czy aż tak się liczysz z Mickey? Co na to twój feminizm? (Ja mam wszystkich izmów dość na całe życie, wiesz o tym). Kiedy będziesz w Londynie? Daj znać. Pozdrowienia, Martha”.

Ta słynna Martha? Do diabła!

Krzysztof czuje smutek, jak gdyby ktoś go zdradził, oszukał, porzucił. Ruda dziewczyna, z uniesioną pięścią stojąca pod sztandarem obok Estravadosa, dziewczyna z twarzą mokrą od deszczu, z rękami w kieszeniach kurtki, krzycząca coś do tłumu na wiecu w Derry: pamięta te zdjęcia. Co się z nią stało? Pularda!

Powtarza to półgłosem, po polsku: pularda!

Przez cały weekend pada deszcz. Siedzą w kuchni, snują się po pokojach, po ganku; kiedy na chwilę się przejaśnia, Krzysztof wyciąga leżak na trawę, układa się na nim, przymyka oczy. Albo usiłuje czytać ostatnią książkę Michaela, bez skutku: nie rozumie ani słowa! O co tu chodzi?

Chilijka z warkoczami – nazywa się Ramona – przejęła prowadzenie domu, sprząta, gotuje, robi zakupy. Jak to, czym jest: jak służąca. A przecież przywieźli ją tu nie jako służącą, jako towarzyszkę; równość, braterstwo (siosterstwo, jak mówią feministki) – co za pić! Krzysztof wścieka się o to, jak gdyby sam był Ramoną: jest tu w końcu gościem, u diabła, jest tu gościem! Nawet z głupia frant o to zapyta: czy Ramona jest tu służącą, czy gościem? Oczywiście, że jest gościem. Ale jaką różnicę jej to sprawi, jeżeli podczas weekendu będzie robiła to, co robi zawsze? W końcu to jej zawód! I to dobra dziewczyna: tak łatwo dała się namówić, wystarczyły dwa słowa, że Eileen jest zmęczona, że nie lubi gotować a służąca, ich służąca, wzięła wolne... Krzysztof patrzy na Eileen i Michaela prawie z nienawiścią, na Fleur i Aishę – to bogata dziewczyna, ta Aisha, z wielkiej arabskiej burżuazji – z niechęcią. Oferuje się Ramonie z pomocą, dumny i wściekły, że tylko on jeden. Tylko wściekły, gdy przychodzi mu do głowy, co tamci mogą o tym myśleć. Że się do niej zaleca, dobre sobie!

Krąży więc z Ramoną po ogrodzie, zrywają liście szczawiu – „Oni w ogóle nie mają pojęcia, ile jedzenia się tu wszędzie marnuje, ci bogaci! Prawie każdy listek nadaje się na świetną potrawę, ale trzeba być biednym, żeby to wiedzieć” – potem pomaga go przebierać i siekać, siedząc w kuchni na ciężkiej dębowej ławie. Ramona robi ze szczawiu sałatkę z pokrajanym boczkiem, z jajkami na twardo, z oliwą. „Mój poprzedni pan” – mówi „też miał ogródek, i nie mógł przecież pilnować każdej trawki. Więc kiedy wychodził, zbierałam różne zioła – szczaw, le pissenlit, to zna każdy, ale tyle tam było różnych innych rzeczy – i codziennie miałam z tego świetne, zdrowe jedzenie. Pan nie wzięłyby tego do ust, skądże!”

Albo idzie z Ramoną do mleczarni, niesie za nią bańkę – nie, ja to zaniosę, to przecież ciężkie. I do rzeźnika, gdzie Ramona wybiera starannie piękne kawałki rostbeafu. „Tak mi przykro” – mówi do niego, kiedy wracają – „Ta biedna kobieta, która to prowadzi... sama jedna, wiesz? to wdowa, i to jest przecież ciężka praca dla kobiety... Ma małe obroty, tyle pięknego mięsa się marnuje, strasznie mi jej żal... Widziałeś, jak się cieszyła, że przyszliśmy coś kupić?”

– Wiesz – mówi Krzysztof – dla mnie to taka egzotyka, że nawet nie mogę współczuć, po prostu nie wierzę własnym oczom. Mięso, które czeka na klienta, i to jakie mięso! Gdyby przenieść ten sklepik do Polski, w pięć minut by go rozniesiono, ludzie by szyby wytłukli...

– Bo chyba wam się lepiej żyje. Prosty człowiek lepiej zarabia, może sobie częściej pozwolić na mięso.

– Nie, skąd, to nie to. Zawalili gospodarke, jest chaos, wszystkiego brakuje. U nas w ogóle nie ma kwestii, czy prosty człowiek może sobie pozwolić na rostbeaf. Ani biedny, ani bogaty, nikt nie kupi rostbeafu, bo go nie ma.

Ramona aż przystaje.

– Chris – mówi. – Ale przecież... to w wielkim celu! Wam się żyje gorzej, niż by mogło, gdybyście byli egoistami. Pewnie to może czasem irytować. Ale jak się pomyśli, ile wy za to robicie dla innych! Związek Radziecki strasznie pomaga biednym narodom na świecie. Pomyśl o Angoli! Gdybyś wiedział, jak tam na was czekają, jak w was wierzą... Przecież są kraje, w których ludzie naprawdę mrą z głodu, dosłownie. I nie tylko z głodu. Mojego brata zamordowali na stadionie w Santiago. Wy tam jesteście naszą jedyną nadzieją. Was tam kochają. Także za to mięso, którego wam brakuje z naszego powodu...

Krzysztof patrzy na nią zaskoczony, na tę postać z czytanki: ktoś z innego świata, ze świata, z którym się nigdy nie zetknął. I aż wilgotnieją mu oczy. Co za naiwność! Co za wiara!

– Ach, Ramona – mówi. I nie wie, co jej odpowiedzieć. Nawet nie warto próbować.

– Ramona – pyta, gdy idą ścieżką między polami – co myślisz o terroryzmie?

– O terroryzmie? – Marszczy brwi, nie rozumiejąc w pierwszej chwili, o czym mówi, ale zaraz się rozpogadza. – Ach, Baader! Jestem za.

– Dlaczego? Wiesz, większość ludzi jest przeciw.

– Burzuje. Ty się tu spotykasz z burżujami, Chris. Prości ludzie są za. – I tłumaczy, z powagą na okrągłej, księżycowej twarzy. – Jak można coś osiągnąć bez walki? Jak można w ogóle nie walczyć, nawet gdyby się nic nie miało przez to osiągnąć, jeżeli jest tak źle, że już nie można wytrzymać? Wiesz, jak jest u nas. No to powiem ci, że jeśli się da uwolnić choćby jednego więźnia od takiego piekła, jeśli się zrobi akcję zbrojną albo porwie jakiegoś łajdaka, który jest za to wszystko odpowiedzialny... albo jeśli się zabije łajdaka, żeby przestraszyć innych... to trzeba być faszystowskim burżujem, żeby to potępiać. Bo prosty człowiek to poprze.

– Ale terroryzm tu, w Europie? Co o tym myślisz? Bo oni zwłaszcza to potępiają. Twierdzą, że u nas to niepotrzebne, że można walczyć o swoje inaczej. Że są normalne drogi, bezkrwawe.

– Widać ich nie ma, skoro jest terroryzm! I skoro ci ludzie są gotowi na wszystko, znoszą tortury i dożywocie, i zabija się ich, a oni walczą i mają poparcie... to przecież znaczy, że wszystko, co mówią twój przyjaciele burzuje, to wstrętne kłamstwa! Oni muszą tak mówić. Przecież chodzi o ich interes.

A potem zaczyna mu po dziecinnemu, solennie tłumaczyć sytuację w Niemczech. Cofa się do Hitlera. „Przecież o tych, co walczyli z Hitlerem – a jak mogli walczyć, tylko tak, jak Baader? – burzuje mówili to samo, nie?” Klaruje mu, co to Berufsverbot. Opowiada, jakby nigdy o tym nie słyszał, o wymordowaniu przywództwa RAF. Informuje o dominacji niemieckiej we Francji i o zagrożeniu Europy neofaszyzmem. Krzysztof kiwa głową, nie mogąc powstrzymać lekkiego uśmiechu: ach, Ramona.

Siedzą wieczorem w kuchni, w tej rustykalnej kuchni z maszyną do zmywania naczyń, siedzą nad zupą cebulową, którą ugotowała Ramona – wspaniała zupa, gęsta, przyrumieniona z wierzchu, z nasączonymi płynem, ułożonymi na dnie grzankami – i rozmawiają o feminizmie. Ramona opowiada, co odsunęło ją od najbardziej radykalnego skrzydła.

– Jedyna rada, jaką potrafiły mi dać na wszystkie moje problemy, to żebym się onanizowała przed lustrem. Bo jeśli będę to robić, przekonam się, że mam inny otwór do robienia

siusiu, a inny do miłości. A ja im mówię: dziękuję pięknie, to wiem od dawna. Wtedy zdziwiły się okropnie. No bo jak to, skoro to wiem, jakie jeszcze mogę mieć problemy?

Śmiech. I dlatego odeszłaś od radykalnych?

– Nie tylko... były inne powody.

Aisha nie śmieje się. Patrzy na nią surowo.

– Nie zrozumiałaś radykalnych. One miały swoją rację: jeżeli uświadomisz sobie naturalną, biologiczną wyższość kobiety i wyciągniesz z tego wnioski, twoje kobiece problemy zostaną rozwiązane.

– Wyższość, dobre sobie! Nie potrzebuję wyższości. To faszyzm, nie? Ciągłe segregować: ci są lepsi, ci gorsi. Radykalne feministki to dokładny odpowiednik najgorszych mężczyzn.

– Ona ma swoją rację. Gadanie o własnej wyższości wynika z kompleksu niższości, z niczego innego. Mizoginiści i feministki: oni są idealnie symetryczni! Odbicie w lustrze!

To Eileen. Aisha patrzy na nią, nie wierząc własnym uszom.

– Zapominasz o jednym drobiazgu. Że mizoginiści, że seksiści mają za sobą tysiąclecia dominacji, tysiąclecia władzy! I ty próbujesz odpowiadać im obiektywizmem? Wyważeniem? To uważasz za sprawiedliwość? Sprawiedliwość musi być siłą dokładnie tak wielką, jak niesprawiedliwość, żeby ją pokonać!

– Albo większą.

– Chcesz powiedzieć – wtrąca Krzysztof – że musi być dokładnie tak wielką, odwrotną niesprawiedliwością?

– Jeśli chcesz. Pomyślcie o Murzynach! – zapala się Aisha. – W końcu ruch murzyński jest równoległy do naszego, jest jego odpowiednikiem. Jak traktowano Murzynów liberalnych, obiektywnych, oświeconych, proponujących braterstwo? Zabijano ich. Jak pastora Kinga. I gardzono nimi. A potem przyszła Czarna Siła. Czarni zaczęli się szcycić tym, że są czarni. Zaczęli zabijać przypadkowych białych, dla zabawy, tylko za to, że są biali. Nie „złych” białych, nie tych obiektywnie winnych! Jakichkolwiek. Według tego samego kryterium. Dla białych liczy się kolor skóry? Dla nich też. I zaraz skończyła się pogarda, zaczął się strach! Nad czarnymi nie można się już dobrotliwie litować. Teraz...

– Chcecie tego samego?

– Tak. W dniu, w którym żaden mężczyzna nie będzie pewny, czy uda mu się spokojnie i bezpiecznie przejść ulicą, na której są kobiety, będziemy o krok od zwycięstwa. Dopiero potem będzie można wychodzić z liberalizmem. Teraz to zbrodnia!

Dobrze, dobrze.

Dziewczyna ma swoją rację, ale nie do końca – myśli Krzysztof.

– Nie trzeba od razu zabijać ani maltretować przypadkowych ludzi, nie trzeba nikim gardzić! Wystarczy zmienić prawo i przez dwadzieścia lat egzekwować jego wykonanie, a wszystko...

I sam, urywając w pół myśli, załamuje ręce nad własną głupotą. Zmienić prawo? A kto je zmieni? Bez presji? Nonsens. Ona ma rację, ta apostołka feministycznego terroryzmu. Jak każdy apostoł terroryzmu. Najpierw trzeba ludzi przerazić, wstrząsnąć nimi. Trzeba przeforsować zmianę prawa. Drogą otwartej wojny, jeśli to konieczne. A nawet i wtedy... Kto będzie pilnował tego „egzekwowania”? Prawo sankcjonuje fakty dokonane, uświęca przyjęte pojęcia. Zatem...

Zatem rację miał, jak zawsze, Estravados. Ktoś musi zacząć. A jak sprawy potoczą się potem, zobaczymy. Praxis. Praxis w służbie sprawiedliwości, na programy przyjdzie czas potem.

I znów deszcz, leżak, pierwsze krople deszczu, brudne fałdy chmur, tapczan pod wielkim portretem Michaela – Michael na tle planu Paryża – jedzenie, rozmowy, przyjeżdżają goście, wyjeżdżają, Ramona kradnie na polu główkę sałaty, Aisha, Fleur i Eileen zamykają się na

piętrze i gadają o czymś całymi godzinami, nuda, nuda. Żałuje, że przyjechał, i nie wie, jak się stąd wyrwać przed wybiciem godziny – przed poniedziałkiem.

Ludzie, których poznaje. Wyłaniają się na chwilę z mroku i zapadają z powrotem, nie próbuje ich zatrzymać. Twarz, parę zdań – i zniknięcie. Parę godzin – i zniknięcie. Nie poszedł do Raymonda Krivitzky'ego, nie poszedł do księcia. Brak w tym nici przewodniej, brak sensu. Gdyby mógł pochwycić, zrozumieć, co to wszystko wiąże!

Kina w Dzielnicy Łacińskiej.

Włóczęgi po mieście, papieros zapalony na moście Aleksandra, pod wielkimi orłami.

Perfumy, które kupuje dla matki w Galeries Lafayette.

Huk pociągu, wpadające na niego, ze światłem, z krzykami plakatów, stacje metra.

Deszcz nad polami koło Aix-en-Provence. Deszcz nad zarośniętym trawą podwórkiem.

Ramona ma na szyi grubą, białą bliznę. Któregoś dnia, siedząc po turecku na trawie, opowiada mu historię blizny. Zobaczyła kiedyś swojego ojca z kobietą. I powiesiła się w lesie.

– Ile miałaś lat?

Och, jedenaste czy dwanaście. Wyżyła, jak widzi. Tylko – dotyka palcami blizny – to zostało.

Co go to obchodzi? Z trudem powstrzymuje obojętny, zdawkowy uśmiech zainteresowania, nie chce jej obrazić, ale co go to obchodzi?

Ramona ze swojej pensji paryskiej służącej utrzymuje – kursy walut! – sześcioro swojego rodzeństwa w Chile. Jak Michael kpi z niej z tego powodu! Jaką idiotkę w niej widzi! Ośmieszca to, ośmieszca na każdym kroku. Łajdak.

Może sprawiły to dwa słowa Conchity, ale nienawidzi teraz Michaela. I bierze jego pieniądze, korzysta z jego gościny. Tym bardziej nienawidząc. Łajdak.

A poza tym wszystkim jest cela, w której zamknięto Monikę. Do śmierci. Na dożywocie. I tamto jest poważne, tamto jest wielkie!

Leżąc na tapczanie Michaela Bernarda, pod obrazem, przy zasuniętych żaluzjach, myśli o tym. O betonowej celi Moniki. Nie ma okna, czy raczej jest świetlik tuż pod sufitem, kawałek kraty, tyle co nic. Monika. Głódówki. Lekarze i strażnicy, maltretujący ją, żeby zmusić do jedzenia, Monika szarpiąca się w ich rękach, rurka wepchnięta do jej gardła tak, że je rani... Monika zamknięta tam, skazana na to do końca życia. Chyba że...

A przy tym „chyba że” pogarda dla siebie, wściekłość. Nie zasługuje na życie. Nie zasługuje. Można odkupić je, ocalić własną duszę tylko w jeden sposób, i ten sposób jest dla niego niedostępny.

W końcu zasypia. I we śnie jest w celi Moniki, zamknięty razem z nią, wtłoczony w beton. Kocha się z Moniką. Od jak dawna nie miała mężczyzny! To go zachwyca, to go unosi ponad dachy domów, ponad chmury, ponad stratosferę: nie miałyby już nikogo, gdyby nie on! Jej wygłodniałe ciało. Nie, nie wygłodniałe: w tym jest coś większego, zachwyty, przejęty zachwyty Moniki, cała staje się modlitwą dziękczynną, ponieważ on dostał się do jej celi, wdarł się, żeby to zrobić: żeby się z nią kochać. Wdzięczność Moniki, ta wdzięczność bez granic, nie ma czegoś takiego na tej ziemi, nie ma nigdzie poza tą celą siódmego piętra, poza traktem dożywcotnych nie znajdziesz niczego tak podniecającego jak ta wdzięczność, a to przecież nie wszystko, jest jeszcze telepatia, jest przezroczystość murów – dla niego, tylko dla niego – jest... Krzysztof jęczy głośno przez sen, a potem, w momencie orgazmu, budzi się z krzykiem.

Stało się. Minęło. Leży w ciemności, żaluzje nie przepuszczają nawet tej drobiny światła, które mogłyby dać gwiazdy; nie wie, gdzie jest. Przypomina sobie. Pamięta jeszcze uniesienie sprzed chwili, nagły błysk światła, oślepiający. I już nakładają się na tę pamięć myśli, kłębowisko myśli, tych samych, co zawsze, jak zawsze dręczących: bezużyteczność, bezużyteczność, co zrobić z tą bezużytecznością; i Monika, teraz już spokojnie, bez pożądania, bez uniesienia, ale czule, teraz on jest wdzięczny, czule i z bólem, tym samym, co zawsze: gdyby można było wyrwać ją stamtąd! Spotkać ją gdzie indziej, wolną. Spotkać ją w ogóle. Bo prze-

cież, jak długo zostanie w Stammheim, tak długo on jej nie zobaczy: dowiadywał się, pytał. Nie ma prawa do widzeń. Chyba że... Tak, to jest myśl, o tym musi jej napisać, musi jej to zaproponować: dlaczego nie wpadł na to wcześniej? Cudowna myśl. Oczywiście, że po prostu ożeni się z nią.

Nie zdążył jeszcze zachłysnąć się tą nową możliwością, zastanowić się, czy ktokolwiek się na to zgodzi, czy mu pozwolą: coś usłyszał. Czyjś oddech. Nie jest sam w pokoju.

Najpierw: wstyd, złość, upokorzenie. Ten, kto tu jest, słyszał jego krzyk. Może coś więcej. Może mówił przez sen? Potem: niepokój. Nie strach, tylko niepokój. Zmusza się do głębokiego, równego oddechu. I patrzy sponad brzegu nasuniętego prześcieradła, patrzy w ciemność.

Bardzo długo nie widzi niczego. Potem jakieś poruszenie, trzaśnięcie deski pod stopą. Ktoś zapala latarkę. Odrobina światła, krążąca po stole, po krzesła, na którym Krzysztof rozwiesił swoje ubranie. O to mu chodzi. Z mroku wysuwa się ręka, obmacuje wiszącą na poręczy marynarkę, sięga do kieszeni, wyjmuje notes, kalendarzyk, papierosy, wszystko po kolei. I przenosi na stół.

Krzysztof patrzy. Patrzy na swoje papierosy, na dokumenty wyciągane z portfela, na zdjęcie Moniki, list od Moniki, czytany pospiesznie lecz dokładnie, od początku do końca – na rękę, która przy świetle latarki przepisuje adresy z jego kalendarzyka, na krążek światła poruszający się i znowu nieruchomiejący na wybranym miejscu... Poznaje te ręce, rękaw, zarys sylwetki, oddech. Nie ma wątpliwości: to Michael.

Trwa to – tak się wydaje – bardzo długo, niemal bez końca. Dość długo, aby po wielokroć zadać sobie pytanie: po co? Tak, jak mówiła Conchita: szpicel? Czyj, dlaczego, od kiedy? Jak z tym pogodzić jego artykuły, broszury, książki? Píše, co mu każą? Píše dla zamydlenia oczu? Píše, co myśli, a ta działalność jest obok? Ale w takim razie – raz jeszcze, po co? Nikt nie mógł go do tego zmusić. Jest bogaty, bogaty z domu. I zużywa tylko częśćkę swego bogactwa. Cóż to jest, ten kamienny dom z osobnym pawilonem, dwa mieszkania w Paryżu – dla niego i dla Eileen – Mercedes, Peugeot i odrapany Citroen, kolorowe telewizory, maszyna do zmywania, podróże na drugą półkulę? Nic, drobiazg. Więc o co chodzi? Zmusili go w więzieniu? Pod tym warunkiem wypuścili? Czort wie, porozmawia o tym z Conchita.

Nadal nie czuje lęku. Przygląda się przymkniętymi oczami, jak Michael rozkłada wreszcie jego papiery po kieszeniach, jak zwraca się w stronę drzwi, idzie ku nim ostrożnie, oświetla sobie kłamkę, naciska ją... Gdyby teraz krzyknąć? Może to by go przestraszyło. Ale nie jest tego pewien; nie krzyczy.

Michael cicho zamknął drzwi za sobą.

Za żaluzjami słychać szelest: to pierwsze krople deszczu.

7

Nareszcie! Biegnie ulicą, przy której mieszka Conchita, nie może normalnie iść, nie wytrzymałby tego ani chwili dłużej: musi ją zobaczyć. Michael. Wyrwał się nareszcie od Michaela, wydebił jeszcze od niego pieniądze na tydzień – choć od rana po tamtej nocnej wizycie stary Michael zaczął rzucać aluzje do powrotu, wypytywać, czy na niego nie czekają, czy nie powinien być w Polsce, dobre sobie! – a teraz próbuje go unikać, trudno. Trzy dni na wsi, trzy dni w zamknięciu, w deszczu, między kamiennym domem a kamiennym pawilonem: jak mógł to wytrzymać? Teraz zobaczy Conchitę. Musi zobaczyć Conchitę.

– Właśnie szłam po zakupy.

Wpadł na nią przed bramą: jest w luźnych spodniach, w pasiastych skarpetkach i sandałach, w kurtce. Pcha przed sobą wielką torbę na kółkach.

– Możesz iść ze mną, jeśli cię to nie zanudzi na śmierć. Ulica jest zastawiona straganami. W przegródkach leżą obłożone lodem krewetki, homary, kraby, ślimaki, żaby.

- Zjadłbyś żabich udek?
- Czemu nie?
- To usmażę po powrocie.

Kupuje żabie udka; potem przepycha się ze swoim wózkiem między półkami u Felixa Potin, ładuje torby ryżu, masło, cukier, konserwy, kawę, paczkę sucharów, oliwę, butelkę beaujolais.

- Jeszcze bagietka i koniec. Ale to już koło domu.
- Siedzi na niskim tapczanie, kiedy Conchita zabiera się do podgrzewania oliwy.

- Może ci w czymś pomóc?
- Otwórz wino. I wyjmij kieliszki, talerze, wiesz, te rzeczy. Są w szafce.

Robiąc to wszystko, przechodząc z małej kuchenki do pokoju i z powrotem, ma oczy pełne Conchity, przesuwającej żabie udka na patelni, żeby smażyły się równomiernie, Conchity odrzucającej co chwila spadające na twarz włosy, Conchity prostującej się nagle, tak, że jej piersi prężą się pod obcisłym podkoszulkiem; nie może oderwać od nich wzroku, rozdziawił nawet usta, jak idiota, jak dwunastolatek. I jak dwunastolatek czerwieni się – czuje to – kiedy jego spojrzenie zostaje przyłapano na gorącym uczynku, przytrzymane jej spojrzeniem. Przez chwilę stoi nieruchomo z butelką wina w rękach; potem, gdy dziewczyna znów pochyła się nad patelnię, przytomnieje.

- Dlaczego powiedziałaś, że Michael jest zdrajcą?

Conchita wydyma usta. Głupie pytanie, jasne.

- Dobrze znasz Michaela?
- Miałam z nim stosunki seksualne.

Ton, jakim to powiedziała. Brzmi jak kpina; Krzysztof roześmiał się krótko, tak, jak wypada, gdy ktoś zażartuje. Ale Conchita patrzy na niego, unosząc brwi.

- O co chodzi? Mówię, jak było. Między innymi miałam z nim stosunki seksualne.
- I mówił ci...
- Ach, dla ciebie wszystko jest takie proste! Chodź do pokoju. I daj talerz.

Siedzą przy stole, nad talerzami pełnymi rumianych żabich udek – nigdy ich dotąd nie jadł, wspaniałe – odłamują kawałki bagietki, popijają beaujolais... Z okna Conchity widać wieżę Eiffla, ściany są obwieszane powiększeniami zdjęć, które sama zrobiła: dziennikarka z „Libération”, pisująca od czasu do czasu i do innych gazet, jeśli ją o to poproszą, ale przede wszystkim fotoreporterka, tym jest z zamiłowania, tym chce być, w tym chce dojść tak daleko, jak się tylko uda, wie o tym przecież.

Za pierwszym razem – siedząc w tłumie Arabów i Latynosów, których ściągnęła na swój dywan, przy stłumionym świetle, w kłębach dymu – prawie tych zdjęć nie zauważył. Teraz chce je zobaczyć, musi je zobaczyć. I zabiera się do tego zaraz po opróżnieniu talerza.

Oto Michael Bernard: gdzież ona uchwyciła tę jego minę, tak przelotną i tak pełną pychy – podbródek lekko uniesiony, spojrzenie zwycięzcy, łokieć wysunięty do przodu, a na łokciu, w rękawie kaszmirowego swetra, wielka dziura o równych, gładkich brzegach?

– Widzisz to? – pyta Conchita, dotykając czubkiem palca łokcia Michaela Bernarda. – Sweter z najlepszej firmy, gdybyś zobaczył metkę... A na łokciu dziura wycięta skrzętnie nożyczkami jako dowód lewicowych poglądów... dobre, nie?

- Wiesz na pewno, że wyciął ją specjalnie?

Wzruszenie ramionami.

- W każdym razie to do niego pasuje.

Twarze, twarze, portrety. Ludzie, którzy pozowali, i ludzie fotografowani z ukrycia, z zaskoczenia, na ulicy. Dwie podstarzałe bliźniaczki, chore na elephantiasis, z jasnymi warkoczami sięgającymi aż do bioder, wysiadają z autobusu. Michael Bernard przy jedzeniu: jakże on się obżera, policzki ma wypchane, kawałek mięsa wystaje mu z ust, sos kapie po brodzie, zmniejszone oczy, w których odbija się światło, złowrogie oczy; to zdjęcie było zrobione z

nienawiścią, z nienawiścią poddane obróbce, kadrowane, powiększane... Podobnie jak tamto, z dziurą na łokciu. Jak zdjęcie słoniowatych, debilnych bliźniaczek. I kaleki, skaczącego ponad ulicą na swoich szczudłach. I nordyckiego blondyna, spadającego z barowego stołka – technicznie to jest znakomite, bezkonkurencyjne, uchwycić ten moment – spadającego ze stołka ze strugą wymiotów lejących się jednocześnie z ust. I...

– Robisz okrutne zdjęcia – mówi Krzysztof. – Nigdy bym nie uwierzył... jaka ty jesteś okrutna.

– To nieprawda.

– Czyhasz na moment najohydniejszy, najstraszniejszy, najbardziej żaloszny, żeby akurat ten uwiecznić, żaden inny.

– Inne nie są ciekawe. Naprawdę cię to szokuje? A ja nie mogę uwierzyć, że nie wszyscy są tacy, jak ja. Ze robią rzeczy takie grzeczne, uładzone. Tym bardziej, że tylko szokując można zdobyć popularność! A zresztą, popatrz na to. To nie jest okrutne, prawda? O Boże, jaka ona śliczna!

Obok siebie, w rządku, widzi pięć jednakowej wielkości zdjęć ładniutkiej brunetki, którą poznaje, choć jej nazwiska nie może sobie przypomnieć: to piosenkarka, Pauline Jakaśtam, nawet dość zdolna, robi właśnie karierę...

– Prawda, jaka śliczna?

– Bo ja wiem? Gdyby jej odkleić sztuczne rzęsy, zmyć szminkę i zdjąć te wszystkie łaszki, nie wiem, co by zostało.

– A cóż ci szkodzi jej szminka? Spójrz. Te duże, fioletowe usta, ta czerń wokół oczu, te włosy strzyżone brzytwą, ta sukienka z błyszczącej skóry... Te zdjęcia też są okrutne?

Nie, nie są. Chyba nie są. A właściwie... Ta zadbana, wypielęgnowana ślicznotka z na wpół wywróconymi oczami albo ujęta z profilu – który nie jest najlepszy, nos ma trochę kaczy, albo z nakremowanymi grubo policzkami, podczas zmywania makijażu, albo... Głowa na poduszce, zamknięte oczy: śpi. Naprawdę śpi, to się czuje, to nie poza.

– Wejdz do łazienki.

W łazience jeszcze jedno zdjęcie ślicznotki, wielkie, pod szkłem – „żeby mi się nie rozlało od pary. Ale co tam, jak się rozlezie, dam tu inną odbitkę”. Akt. Małe, ładne piersi, gładki brzusek, podkulone nogi, i ta czarna czupryna z grzywką, i wyzywające spojrzenie tych podmalowanych oczu...

– Mam mnóstwo jej aktów – mówi Conchita. – Widzisz, sam powiedziałaś: ona jest taka śliczna, tak wymalowana, tak wystrojona, że z miejsca ma się ochotę ją rozebrać, umyć i wtedy zobaczyć. A jak się już zobaczy, przespać się z nią. Ja to zrobiłam.

– Przespałaś się z nią?

– Parę razy, tak. Szalałam za nią. Gdybyś wiedział, co to za skóra! Gładziutka! A to uniesienie górnej wargi, popatrz! Górna warga jest jakby obrzmiała, i tu tak mocno wycięta... cudowne. Och, Chris, ładna kobieta to najlepsza rzecz na świecie.

– To znaczy, że ty...

Patrzy na niego, i albo dziwi się jego zgorszeniu, albo udaje.

– Człowieku! Ależ ktoś, kto ogranicza seks tylko do jednej płci, nie lubi naprawdę seksu. Zresztą ja z kobietami robię to bardzo rzadko. Ale jeśli coś jest naprawdę śliczne, chce się tego dotknąć, prawda? Po prostu nie można się oprzeć! Poza tym...

Wraca do pokoju i zaczyna zbierać talerze.

– Poza tym, wiesz, miłość lesbijska... U pederastów to jest brutalne, określone, to jest naprawdę stosunek seksualny, ale u kobiet? Jeśli się widzi pięknego, puszystego kota, ma się ochotę go pogłaskać, nawet pocałować, i co, czy to jest seks? Podobnie jest z kobietą. Pojąć nie mogę, czemu zrobili z tego tabu!

– I dużo kobiet to robi?

– Ależ skąd? Tabu, rozumiesz. Mają piekielne opory. Chociaż, z drugiej strony, przejdź się wieczorem po Dzielnicy Łacińskiej. Dziewczyny zaczepiają inne dziewczyny, i to jest ładne. Wystarczy przejść się wolniutko, a kogoś się znajdzie.

– Ach, Conchita.

– Czemu tak na mnie patrzysz?

Nie odpowiada. Po prostu patrzy na nią. Patrzy.

– Masz ochotę?

Nie może odpowiedzieć, gardło ma zbyt zaschnięte.

– Jeśli tak, nic prostszego. W końcu to bez znaczenia.

To go zmroziło. A Conchita sięgnęła już do klamry paska, ściągającego jej spodnie, odpięła ją. I zatrzymała się, widząc jego minę.

– Co się dzieje?

Podchodzi do niego, opiera ręce na jego ramionach.

– Tym cię speszyłam? Że to „bez znaczenia”? No już dobrze, dobrze, głuptasie, to najważniejsza rzecz na świecie, jeśli wolisz. No, moja kapustko. Rozchmurz się.

Mówi to drwiąco, ale łagodnie, czule; i miękko przesuwa palcami obu rąk po jego policzkach. Uśmiechnął się. I zaraz poważnieje. Przyciągają do siebie. Całuje, rozsuwając jednocześnie dwa końce tak ochoczo rozpiętego przedtem paska, wsuwa ręce do jej spodni, gładzi pośladki. A potem, ściskając te pośladki dłońmi, a uda własnymi udami, z twarzą wciąż przy jej twarzy, popycha ją sobą, przesuwa w stronę tapczanu.

Te słowa, huczące mu w głowie, z echem, z pogłosem – w jego purytańskiej głowie! „Pieprzyć córkę Estravadosa!” Ze zdumieniem, z zachłyśnięciem się własnym zdumieniem. I zaraz po angielsku, bo to krócej: „To fuck His daughter! To fuck her. To fuck her”. Myśli to przez cały czas, w kilku językach i zawsze w bezokoliczniku – on, językowy czyścioszek, eremita, mnich! „Jebat jowo docz! **Jowo** docz! To fuck her. Jesus! To fuck her”.

Potem – dużo potem – dziwi się sam sobie, bez przesady i bez przejęcia. Bo w końcu lubi ją... Teraz – po chwili drzemki, podczas której rozpadał się deszcz, słyhać, jak uderza w szyby – znów ją lubi, po prostu, bardzo ją lubi, szalenie! Zmusza się do powtarzania tego. Że ją lubi, a jakże. Żeby odpędzić od siebie wspomnienie tego, co czuł, kiedy ją pieprzył. Co widział wywróconymi, półślepyimi oczami. Trupa Estravadosa, ranę Estravadosa. I nie tylko to.

Nie chce tego. Nigdy tego nie chciał. Zawsze się kontrolował, nigdy nic z tego nie wydostało się poza jego mózg – ale jakie to ma znaczenie? Miał rację chcąc z tym skończyć. Naprawdę skończyć, na wieki! Jak ci, którzy zamykają się w klasztorach.

Conchita nie wie. Na szczęście. Nie wie.

Czystość **tamtego** marzenia, tamtego snu – w obecności Michaela, penetrującego jego pokój, w obecności szpiega – tamta czystość, również skończona orgazmem, ale jak innym! Marzy o niej. Leżąc obok nagiej Conchity, marzy o czystości. Spać z Moniką: to byłaby czystość. Albo z nikiem. Z Moniką, albo z nikiem.

A przecież lubi Conchitę, przepada za Conchitą, dość tego!

Całuje ją, żeby ukryć to, co czuje. Głaszcze ją, szepcze jakieś czułości, żeby ukryć to, co czuje.

Ona przeżyła to inaczej, odczuła co innego, ona nic nie wie. Zrzuciła maskę – on nie! – a pod maską kryło się zupełnie co innego, nie plugastwo, skądże. Nawet wyładniała. Oczy ma większe, czystsze, usta mają miękniejszy rysunek, głos się pogłębił i coś w nim drży, na dnie, coś nowego. Dotyka palcami jego ramienia.

– Teraz ci powiem – mówi półgłosem, tak, jakby ofiarowywała jakiś dar: z wdzięcznością, co za paradoks, z wdzięcznością!

– To on zabił mojego ojca.

– Kto?

– Michael Bernard.

*

Kiedy to było? Popołudnie, zmierzch, deszcz nad wieżą Eiffla? Jest środek nocy. Pali się żelazna, biurowa lampa – nie znosi tej lampy, jak z przesłuchania na Gestapo! – pochylona w dół, tak, że ostre jaskrawe światło pada na zarzucony papierami stół. Siedzą naprzeciwko siebie w dwóch fotelach: Conchita w długim, ciepłym, wiśniowym szlafroku, on w spodniach, ale bez koszuli, z gołym torsem. Conchita dawno zachrypla, odkasłuje, popija wodą ze szklanki – i znów sięga po papierosa. Musi to powiedzieć. Musi powiedzieć, wszystko. Dlaczego akurat jemu? Ach, jakie to ma znaczenie. Jakie to ma znaczenie?

Wszystko, i to od początku. Poczekasz na swój finał, na Ujawnienie Zbrodni Michaela Bernarda, mój ty miłośniku kryminałów. Na końcu każdego z nich genialny detektyw gędzi, prawda? Więc i ona pogędzi. Tylko, że to nie będzie koniec. Żaden koniec, skąd! Poczekasz na to. Nic się nie kończy.

Cofnijmy się trochę, Chris. Retrospekcja. Cofka, jak mówią faceci z filmów. Jest dziewięć lat wcześniej, OK? Właśnie rozległ się wystrzał.

CZEŚĆ TRZECIA

ZEMSTA

1

Pokój jest ciemny, tylko z wąską szparką zielonego światła w oku magicznym radia, tylko z odbłaskiem latarń ulicznych na ścianie; odbłask pada na małą, ciemną płaskorzeźbę, przedstawiającą brodatego człowieka w mnisim habicie, stojącego ze złożonymi rękami pod krzyżem, do płaskorzeźby przyczepiono maleńką świeczkę, to armeński kompozytor, Komitas (oszałał po straszliwej rzezi Ormian przez Turków w 1916 roku, rzezi której był świadkiem; ku czci miliona wymordowanych posadzono na erewańskim wzgórzu milion drzew, spod płyty ze zniczem słycać wieczną muzykę, odbija się od pochyłych kolumn); niski ciepły głos śpiewa:

*Avec ma, gueule de métèque
de juif errant de pâtre grec
et mes cheveux aux quatre vents
Je viendrai ma douce captive
mon âme soeur ma source vive
je viendrai boire tes vingt ans*

Okna zaparowały, na dworze jest zimno, tej nocy chyba spadnie śnieg i chciałoby się nadać swemu życiu sens, ale w jaki sposób?

Śpiew, wypływający z dwóch rozstawionych głośników; wspomnienie jakiegoś dawnego wieczoru, kiedy się miało cztery lata i, trzymając matkę za rękę, wracało do domu od cudownych ludzi, którzy mieli wielkiego czarnego kota, jakież to był cudowny, niezapomniany kot, jakież cudowny, niezapomniany wieczór; mgła wokół latarń; zazdrość wobec wszystkich, którzy są w tej chwili gdzie indziej, wobec tych szczęściarzy, żyjących prawdziwym życiem; wszystko to sprawia, że trzeba nadać życiu sens, ale w jaki sposób?

Rzeczy, które zmuszają do pragnienia sensu i celu: piosenka paryskiego meteka, ciemność, światło, obłąkany kompozytor marzący przy świeczce, rozdierająco czysty profil Madonny nad radiem, połyskujące okładki rozrzuconych płyt, jak starożytny tors Apollina u Rilkego, tors, od którego odłupano głowę, ręce, nogi, a jednak pozostało aż zbyt wiele, to rozdiera serce, pozostało wszystko –

... bowiem każde miejsce tego głazu

Widzi cię. Musisz swoje życie zmienić.

Więc szybciej, zmienić życie, zmienić życie: jak tego dokonać?

Przede wszystkim zapal światło. Przestań marzyć. Zabierz się do pracy.

Zapala światło – i w tej samej chwili pragnienie sensu ginie, niknie. Co masz zrobić?

Stoi w pokoju teraz oświetlonym, cherlawe ciało z krzywą łopatką – jak u Leopardiego, wieczne pragnienie buntowników: szukanie podobnych sobie i żądanie, żeby byli wielcy – cherlawe ciało ubrane nie wiadomo po co w garnitur szyty u najlepszego krawca: nieszczęsny szekspirowski pokurcz. Będąc takim nie można zadowolić się niczym mniejszym niż władza nad światem!

Tego cherlaka widzą wszyscy. I tylko jego.

Mając takie ciało trzeba wierzyć w duszę, nie można w nią nie wierzyć!

Weź się do pracy.

Na biurku leży stos kopert z jego nazwiskiem, pisany na maszynie i ręcznie: Jerome Laventure, wydawca. ÉDITIONS LAVENTURE. Jerome Laventure, Verleger, Jerome Laventure, Publisher. Jerome Laventure, w miejscu. W podróży. Nigdzie.

Jeszcze jedno znajduje się w pokoju, w kącie: wiszący luźno worek do treningów bokserkich. Jerome Laventure, cherlak od pięciu lat trenujący boks, karate, strzelectwo. Pistolet w szufladzie, rewolwer pod poduszką, karabin w łazience, granat w kuchni. Jerome Laventure, dysydent komunizmu, anarchista, lewak, milioner, postać, z której tak łatwo śmiać się wszystkim, z prawa i z lewa, tysiące karykatur w gazetach komunistycznych, socjalistycznych, chadeckich, faszystowskich: pokraczny garbus, siedzący na workach ze złotem, ostrzeliwuje bank. To samo we wszystkich możliwych wersjach. Najwspanialszy przykład dla tych, którzy chcą atakować nową lewicę, którzy chcą powtarzać bzdury o majowych rewolucjonistach, przyjeżdżających wspaniałymi samochodami po to, żeby – dłońmi w rękawiczkach – wyrwać kamień z bruku. A przecież Engels też był bogaty, Engels też był bogaty!

To przychodzi z ulicy.

Dziwny hałas na ulicy, słyszy go, ten hałas wzbiera, słyhać śpiew, wygląda przez okno, śpiewają *Międzynarodówkę*, widzi ich, grupa z niezgrabnie, pospiesznie namalowanym transparentem, z dwoma portretami: szczupła, blada twarz, obramowana czarną brodą, wszyscy znają tę twarz; i krzyk. Skandują. Już słyhać słowa. NOUS SOMMES TOUS PABLO ESTRAVADOS! Co jeszcze? POMŚCIĆ ESTRAVADOSA!

Co się stało?

Cofa się pospiesznie w głąb pokoju, włącza radio, wahając się przez chwilę, czy nie lepiej wybiec na ulicę, wbrew własnej nieśmiałości, wbrew własnemu charakterowi; ale radio już się odezwało, pada to samo nazwisko: Estravados nie żyje! Nagły płomień ogarniający gardło, od wewnątrz; i zaraz potem chłód. Estravados nie żyje; widzisz ten obraz: sala wypełniona oklaskami od miękkiej, czerwonej podłogi, od miękkich, czerwonych foteli po upstrzony światłami sufit, ten człowiek, mający salę za sobą, wchodzący na podium, i w chwili, gdy się na nim znalazł (jego wzniesiona twarz, czarna broda, blask oczu, plik kartek w dłoni; tym razem wbrew zwyczajom miał ze sobą notatki do przemówienia, przemówienie było zbyt ważne, jego precyzja zbyt potrzebna) – strzał, zza kulis, strzał z odległości dwóch metrów, prosty strzał, którego najgorszy osioł nie mógłby spartolić; Estravados nie żyje!

2

*A potem niechaj Bóg króla Edwarda
Do swojej chwały powoła, a mnie
Ten świat zostawi, bym się nim pobawił!*

Huczą mu te słowa w uszach, nie wiadomo czemu; od tej chwili sam już nie wie, sam nie umie przewidzieć, co za chwilę zrobi: równie dobrze mógłby chwycić pistolet i strzelić sobie w usta, jak zbiec na ulicę, do tłumu, tego tłumu, którego – on, gotów w każdej chwili umrzeć za innych, pod warunkiem, że nigdy się z tymi innymi nie zetknie osobiście – tak nienawidzi;

i sam jest zaskoczony widząc, jak jego drżące ze zdenerwowania palce podnoszą słuchawkę telefonu, jak wykręcają numer... A więc to było w nim najgłębiej, to właśnie, w chwili największego wstrząsu, jaki przeżył?

– Estravados nie żyje – mówi do białej słuchawki. – Czy zabezpieczono jego pokój w hotelu? Obojętne, to trzeba sprawdzić! Weź ze sobą Alberta. Macie wolną rękę. W razie potrzeby włamać się. Przeszukajcie wszystko. Każdy skrawek papieru jest ważny. Wszystko, na czym jest choćby jedno słowo napisane jego ręką! Zdjęcia. Książki, jeśli są tam jakieś. W razie trudności nie targujcie się, dawajcie, ile żądają. Błyskawicznie!

I następny numer.

– Nie wiesz, co zrobiono z ciałem? Czy jest możliwe, że zatrzymano jakieś papiery przed zabranie zwłok? To trzeba sprawdzić, zajmij się tym. Zabezpieczyć nasze prawa do każdego świstka papieru, znalezione przy Estravadosie. Jego ostatnia mowa, ta, której nie wygłosił: co się z nią stało? Beznadziejne? Nic nie jest beznadziejne, do diabła! Szukaj.

Trzeci telefon.

– Muszę mieć natychmiast adres wdowy po Estravadosie. Jeżeli to możliwe, telefon. Wiem, że ją rzucił! Była jakaś córka, prawda? To bardzo pilne. Aha, jeszcze jedno: to dość głupio brzmi, ale musimy się zorientować, co będzie z pogrzebem; trzeba go w końcu gdzieś pochować, prawda? A przecież był tu nielegalnie... Oczywiście, oczywiście, ale z czysto formalnego punktu widzenia... Jak najprędzej.

Wymawiając ostatnie słowa, dostrzega w drzwiach Minou, która cofa się natychmiast; zdążył się jednak skurczyć, schylić pod jej spojrzeniem, garb przygniótł go nagle, jakby ważył tonę. Tak było zawsze!

Estravados nie żyje.

Przytomnieje.

– Czy możesz mnie umówić z tą Irlandką, Martha Doherty? Ona mnie zna; wszystko jedno, o której, byle dzisiaj. Najlepiej dzisiaj. Postaraj się.

Co jeszcze?

Później. Później, kiedy się dowie, jak sprawy stoją.

Papiery Estravadosa! Czy uda się zdobyć jego papiery? Na samą myśl o tym czuje rozpaczliwą miękkość w nogach, z całej siły opiera się o stół, oddychając głęboko, jak w ekstazie. Gdyby te papiery trafiły do niego – wszystkie, wszystkie! – znaczyłoby to niemal, że Estravadosa zabito dla niego. Na jego benefis. Po to, aby mu go złożyć w ręce – pośmiertnie, bezbronno... Całą jego duszę! A jeżeli jest za późno...

Jeżeli jest za późno, jeżeli ktoś wydarł mu już te papiery, odbierze je. Wydostanie jakoś. Choćby niektóre: pod resztę będzie mógł podstawić falsyfikaty. To by skomplikowało sprawę, tak, skomplikowało, ale niemożliwym nazywamy przecież po prostu to, czego nie możemy osiągnąć natychmiast, to, co zajmie trochę więcej czasu...

A jeżeli po Estravadosie nie zostały żadne papiery?

Dlaczego miał to mieć przy sobie, co za nonsens: wierzyć każdej plotce! Wszyscy wiedzieli, że prowadzi dziennik: i co z tego? Kim są ci „wszyscy”? Dziennik Estravadosa! Nie istnieje albo już go porwano, już ktoś położył na nim łapę, nigdy go nie odnajdziesz; tak, tak właśnie trzeba myśleć. Nie szalej. Wkrótce się dowiesz. Nie można się tak przejmować. Za godzinę się to wyjaśni, za godzinę, może dwie; uspokój się. Uspokój się natychmiast.

Za późno zauważa, że jego ręka naciska już klamkę pokoju żony. Drzwi się nie otwierają, to normalne, to zrozumiałe, jak mógł tu w ogóle podejść, nie zdając sobie z tego sprawy? Drży całym ciałem. Słyszy kroki Minou pod drzwiami, stukanie jej obcasów. Tym razem nie myśli o niej, nie z jej powodu tak mu się tłucze serce, tym razem prawie o niej zapomniał; przytomnieje dopiero w chwili, kiedy ten głos z drugiej strony, przytłumiony drewnianą płytą, która ich dzieli, ten głos, wystraszony i arogancki jednocześnie, pyta:

– Czego chcesz?

– Na chwilę – odpowiada, opierając się ciężko o framugę i ze zdumieniem w każdym ze słów dostrzegając – dopiero teraz! – drzenie. – Otwórz, chcę z tobą porozmawiać.

– Zaraz.

Obrót klucza w zamku. Na moment zapomina o Estravadosie. Zapomina o wszystkim, fizycznie, najzewnętrzniej przygięty – on, i bez tego garbaty! – pod tym nowym ciężarem. Wiecznym. Patrzy na nią, stojącą w progu, jak zwykle czujnie napiętą, drobną, jasnowłosą, z dziecinną, jeszcze zbyt okrągłą twarzyczką szesnastolatki. Znowu ta mieszanina wyzwania i popłochu w jej spojrzeniu, w nerwowym ruchu, którym pozwala mu wreszcie wejść do pokoju. I zarys jej pośladków, obciśniętych błękitnymi džinsami, kiedy, wyprzedzając go, idzie w stronę tapczanu; i ściągnięcie łopatek, prostujące plecy pod trykotową bluzką; i potrząśnięcie krótkimi, jasnymi, puszystymi włosami, kiedy siada; i natychmiast sięgnięcie po papierosa, suchy trzask zapalniczki, nerwowe wydmuchnięcie dymu – pali od niedawna i nie nauczyła się jeszcze zaciągać... Przygląda się jej ze ściśniętym gardłem, z tym dławieniem w gardle, którego nie może opanować. Ale ona z papierosem poczuła się od razu pewniejsza.

– Czego chcesz?

Zanim zdążył się opanować... Nie pomyślał nawet o tym, co robi, nie wie, jak się to stało: nagle czuje pod policzkiem, pod dłońmi jej uda, opięte niebieskim, nagrzanym od ciała materiałem; zdaje sobie sprawę, że klęczy przed nią, ale jak do tego doszło, kiedy? – i dopiero jej opór, zeszywnienie, próba podniesienia się, odepchnięcie jego głowy przywraca mu przytomność.

– Oszalałeś? Co ci się stało? Przestań!

Jest śmieszny. W jej oczach jest tylko śmieszny – i obrzydliwy, nie zapominajmy o tym, nie wiadomo zresztą, co gorsze. Obrzydliwy. Budzący odrazę. Odpychający. Jak w szmirowatym filmie. Gorzej: jak w komiksie. Czterdziestoletni garbus, który na piątą z kolei żonę wziął sobie szesnastoletnią uczennicę; chociaż tyle może mieć za swoje pieniądze! Jak gdyby nie wiedział, jak się to skończy. Wiedział, od pierwszej chwili. Minou.

Podnosi się zatem, ciężko, niezgrabnie. Nie patrzy na nią. Przysuwa fotel, siada. O czym właściwie chciał z nią porozmawiać?

– Słyszałaś o Estravadosie?

– Że go zabili? Tak.

Oczywiście; dlaczego miałoby ją to obchodzić? Dziecko Marksa i coca-coli! Nie: w jej wypadku coca-cola zdobyła się na samozapłodnienie: dziecko coca-coli, Marks nie miał w jej poczęciu żadnego udziału. Idiotyczny slogan. Jak to było w tym wierszu, w wierszu chłopaka, który popełnił samobójstwo, w tym wierszu, wokół którego narobiono tyle hałasu jak wokół manifestu pokolenia? Sznurówka bzdura!

*Rock'n rollem się modłę, nad gazetą szlocham,
Ślub Marksa z coca-colą sprawił, że istnieję.
Podobny do milionów, straciłem nadzieję,
że kiedykolwiek będę czymś więcej niż prochem.*

O czym chciał z nią rozmawiać?

Stukanie do drzwi przesądza sprawę. Telefon. Natychmiast sprężony i pełen napięcia zrywa się z miejsca, żeby odejść; i dopiero wtedy zauważa, że Minou płacze. I jeszcze coś dostrzega, coś, co leżało na stoliku, wstydliwie odsunięte, ukryte za lampą: numer „Paris Match”, otwarty na wielkim zdjęciu Estravadosa. Nie ma jednak czasu zastanowić się nad tym, telefon jest ważniejszy: i garbus, nie zwlekając ani chwili dłużej, prawie wybiega z pokoju. Zdążył jeszcze usłyszeć pospieszne, jakby goniące go kroki – i zgrzyt klucza, obracającego się w zamku.

3

Kilka kieszonkowych notatników, zapisanych drobnym, pochyłym pismem. Kilka pokreślonych maszynopisów, pisanych na cienkiej przebitce, ze wstawkami i uzupełnieniami na marginesach. Kilka książek: „Dziecięca choroba lewicowości” Lenina, „Książę” Machiavellego, tomik wierszy Aragona, kryminał Agathy Christie. Brulion w miękkiej okładce, pełen wyciągów z książek, z uwagami na marginesach. To znaleziono w pokoju, tylko to. Jest w jego rękach. Należy do niego. To wszystko jest jego własnością!

Nie zdąży tego przejrzeć, nie teraz, najważniejsze, że już to ma, pospiesznie przerzuca tylko notesy: tak, to jest dziennik Estravadosa albo przynajmniej coś w rodzaju dziennika, o to właśnie chodzi...

„Nie czuję wstrętu do własnego ciała” – czyta. – „Raczej zmęczenie nim. Zmęczenie tą jego słabością, tą podatnością na ból...”

„Przynajmniej niektórzy ludzie powinni być z jednej bryły, przynajmniej niektórzy powinni być zawsze wierni jednemu powołaniu; udaję takiego człowieka, ale nim nie jestem”.

Więc tak czuł? Więc był właśnie taki?

To wzruszenie. Wzruszenie. Nagłe łzy stają mu w oczach. Nie żyje. Ten, który to pisał, nie żyje. Najwspanialszy człowiek epoki nie żyje.

Ach, co to ma do rzeczy, epoka! Ważne jest tylko to, co czuje w tej chwili on, Jerome Laventure: ten ból, ból nie pozwalający się opanować, rozłupujący głowę, szarpiący ciało...

„Jeżeli przeżyję ten dzień – myśli Jerome Laventure – jeżeli zdołam go przeżyć do końca, będę bohaterem!”

Kochał tego człowieka.

Kołysze się lekko nad stołem, zarzuconym rękopisami i książkami, ściskając czoło dłońmi, przez tę jedną chwilę nie próbując hamować ani tłumić cierpienia, koncentrując je raczej, uciśnięciem na skronie zbijając je w jednym miejscu, zogniewając tak, żeby nie było nic więcej, nic prócz tej udręki... Kochał tego człowieka, jego jednego na świecie, tego człowieka, ucieleśniającego wszystko, czym on pragnąłby być, a nie jest; wszystko, czym powinna być ludzkość, a nie jest; tego człowieka, każącego nam wstydzić się, że jesteśmy sobą, tylko sobą... Cierpienie jest tak wielkie, że zabiłoby chyba, gdyby miało trwać dłużej, gdyby trwało choć sekundę poza ten moment, w którym drżący, ze zmarszczoną, postarzałą twarzą, Jerome Laventure opuszcza rękę i cofa się o krok, żeby następnie zgarnąć to, co leży na stole – trofeum! – i, przycisnąwszy do piersi, unieść powoli do kasy pancernejszej.

Dopiero chowając do kieszeni klucz przekreślony w jej drzwiach uświadamia sobie – z dreszczem, od którego krótkie włoski na karku unoszą się zdrętwiałe – że Estravados nie zginął sam z siebie, że miał mordercę.

4

– Nie potrafię na to odpowiedzieć – tłumaczy Martha Doherty, zaciskając i otwierając dłonie, zapłakana, blada, brzydka, półprzytomna. – Nie potrafię, nie potrafię...

– Nie chcesz, żeby został pomszczony?

– Ależ...

Po raz piętnasty co najmniej od początku rozmowy ociera oczy wierzchem dłoni, próbując się uspokoić.

– Ależ ja nawet nie wiem, skąd padł strzał!

– Nie mógł paść z sali, prawda? Został trafiony z przodu, później będą protokoły sekcji, ale tyle przynajmniej wiadomo. To była estrada, tak? Rodzaj estrady. I strzelano zza kulis.

Wchodziło się z prawej strony, a strzał padł z lewej. – Jerome Laventure w ostatniej chwili powstrzymuje się od uderzenia pięścią w stół. – Banda idiotów! Że też wam nie przyszło do głowy, żeby natychmiast ścigać, żeby zamknąć wyjścia, żeby nie wypuścić!

– Przecież budynek był strzeżony. Sala była strzeżona. Ja myślę, że to musiał być ktoś z obstawy. Ja...

– Co takiego?

– Sądzę, że oni i tak się ujawnią, ci jego mordercy. Że sami się ujawnią. To mord polityczny, prawda? No, więc jedno z dwojga... albo to będzie druga sprawa Ben Barki, albo druga sprawa Guevary. A w tym drugim wypadku...

– To beznadziejne.

Tak, to beznadziejne. Tak właśnie czuje w tej chwili. Daj spokój zemście. Najlepszą zemstą byłoby... byłoby, gdyby Kongres odbył się do końca. Gdyby stało się to, czego Estravados pragnął bardziej niż życia, tysiącrotnie bardziej niż życia... Ale czegoż on pragnął? Uczynić z siły moralnej siłę polityczną! Absurd!

A zatem, żeby kontynuować jego dzieło, należałoby mieć warunek podstawowy: siłę moralną. My jej nie mamy. On jeden... Ale taki człowiek zdarza się raz na stulecie. Do XXI wieku mamy spokój z przebudową świata i z przebudową człowieka!

Jedyny człowiek, którego wyższość nad sobą... jeżeli nawet ja uznałem jego wyższość nad sobą, jeżeli nawet ja przyznałem, że jestem przy nim zerem, ja, ten kłębek megalomanii...

– Martha.

– Tak?

Sam nie wie, czego od niej chce, może chodzi tylko o to, że ją zna, wydawał jej książkę, tylko ich czworo znał, Estravadosa, małego Mickey, ją, i tego trockistę, Krivitzkyego, tylko ich z całego Kongresu... Do kogo miałby się zwrócić?

– Co chcesz teraz zrobić? – pyta najgłupiej w świecie. Ale jej to pytanie nie dziwi.

– Nie damy rady – odpowiada. Trzęsącymi się palcami sięga po papierosa, pierwszego papierosa, odkąd się to stało. – Nie – powtarza, potrząsając niepotrzebnie głową – my nie damy rady, nikt z nas...

– O czym myślisz?

– Nowa Międzynarodówka, superkadrowa na początek... i już tu się gubimy, nawet nie doszliśmy do tego, jak to widział Pablo, czy miała być kadrowa, czy masowa, nie doszliśmy do tego... nowa Międzynarodówka... Miała wchłonąć Czwartą, tak? **On** może by tego dokonał, nikt inny. To wszystko było tak... wyjątkowe. Musiało mieć wyjątkowego wodza! To była jedyna możliwość. Nikt inny nie ma tego autorytetu... nawet jeśli pominiemy zdolności, samego autorytetu! Bo on jeden na to zasługiwał, to sprawiedliwe. My...

– Tak?

– Czym my jesteśmy? Banda skrybów i krzykaczy wiecowych! Umiemy rzucić cocktailem Mołotowa w gmach związków zawodowych, zrobić powielacz z wyżymaczki do bielizny, podpalić czołg, napisać książkę o nowych siłach rewolucyjnych... Ani myśleć, ani działać. Jesteśmy niczym. Poglądy polityczne, oparte na tym, że się nienawidzi Stalina albo monogamii... A jednak on w nas wierzył!

Krzyknęła to prawie i przycisnęła ręce do twarzy, ukrywając ją przed nim, też niezrozumiale, niepojęcie wstrząśniętym...

– On w nas wierzył – powtarza Martha po chwili. – Właśnie w nas. W tym coś jest, to musi coś znaczyć. Szukał nas. Wybrał. Na nas chciał się oprzeć. Wierzył we mnie, rozumiesz to? Kiedy napisał do mnie po raz pierwszy, przed rokiem... kiedy doszedł do wniosku, że mogę być jedną z tych, którzy zorganizują Kongres, którzy poprowadzą to wszystko... Zastanawiam się nad tym. Nie mogę zrozumieć. Nie jestem Różą Luksemburg, na litość boską! Do tej pory ciągle szłam po omacku. A inni? Ci ludzie, którzy też otrzymali wtedy listy, z którymi nawiązał kontakt, razem z którymi organizował kongres? Pamiętasz: pytaliśmy, kto za nim stoi,

prawie wszyscy zadają sobie to pytanie, ciągle. Jakie państwo. Jaka siła. Czyim był człowiekiem: Moskwy, Pekinu, Hawany? Mnie samej trudno w to uwierzyć. Bo jeżeli to prawda, że był tylko sobą, nie agentem jakiegoś państwa, jeżeli naprawdę... ale przecież w to nikt nie wierzy, w to nie można uwierzyć!

– A jeśli tak było?

– Jeśli tak było? To znaczy, że miał rację. Że siła moralna może stać się siłą polityczną. Ale jeżeli nawet my nie możemy do końca w to uwierzyć...

5

Zapiski Estravadosa w jego zielonym notesie, niedokończone, urwane; zapiski na luźnych kartkach, wsuniętych między inne, pozbawione daty, ale niewątpliwie odnoszące się do czwartku, tak, do ostatniego czwartku jego życia: niemal jak zapis ze stenogramu! Laventure znajdzie je wieczorem, wyjmie z kasy pancernej, a ponieważ te właśnie, luźne kartki wypadną na podłogę, podniesie je i przeczyta... ale co mu to da? W gruncie rzeczy te stroniczki nie dadzą mu niczego.

„– Na czym polega problem? – pyta ta Irlandka, Martha Doherty; widzę ją, siedzącą prawie naprzeciwko mnie przy stole, pokrytym zielonym sukniem... tym nieśmiertelnym zielonym sukniem! – My wszyscy jesteśmy... jesteśmy ludźmi luźnymi, ludźmi z marginesu. Nie reprezentujemy niczego poza sobą! Polityka ma w naszych czasach żelazną strukturę, prawda?... rządy, partie rządzące, partie uznane, biurokracja od dna aż do szczytu, forma tego wszystkiego, znamy treść, a nie znamy formy.

– To trochę niejasne.

– Mam na myśli – upiera się Martha Doherty – że jesteśmy jednostkami, tak na to trzeba patrzeć; jednostkami bez żadnej organizacji.

– Toteż właśnie dlatego usiłujemy się zjednoczyć!

– Oczywiście – na policzkach Marthy pojawiły się czerwone plamy – ale przecież nie o to mi chodzi! Towarzysz Estravados jest tu jedynym człowiekiem z doświadczeniem politycznym, jedynym, który znajdował się w aparacie władzy, w aparacie państwowym i partyjnym, był... jest dowódcą partyzantki. A my? Najbardziej doświadczeni umiemy posługiwać się krótkofalówką i powielaczem. Spójrzcie na partie, z którymi konkurujemy! Co my potrafimy? Zwołać wiec studencki. Namalować plakat, wygłosić przemówienie, napisać artykuł, przygotować cały numer gazety, napisać książkę, zrobić program polityczny, przygotować parę butelek cocktailu Mołotowa, zasmarować mury hasłami, to wszystko! Założmy, że całe miasto jest obojętne politycznie, że panuje w nim kompletna stagnacja, i że jeden jedyny człowiek zacznie obchodzić mieszkania i wsuwać pod drzwi ulotki przepisane na maszynie, rzuci gdzieś butelkę z cocktailem Mołotowa i wyśle do zagranicznej agencji prasowej oświadczenie w imieniu organizacji, która jakoby tego dokonała... to już jest coś, to już rusza wszystko, prawda?

– To bardzo słuszne, ale nie rozumiemy...

– Chodzi mi o to, kto w gruncie rzeczy finansuje nasz kongres – kończy Martha z determinacją.

– Ja też – odzywa się jakiś Francuz (dlaczego go nie znam? dlaczego nie wiem, kim jest?) – ja też chciałbym się tego dowiedzieć.

– Towarzyszka Doherty sama zbierała przecież pieniądze na kongres zjednoczeniowy! Tak czy nie? Odbyło się szereg wieców, szereg zebrań, podczas których towarzyszka Doherty... i większość z nas prowadziła takie zbiórki, prawda?

– Nie było tego dużo.

– Nie było dużo? Sam Laventure dał milion starych...

– Skończcie z tymi starymi frankami!

– A przecież jakie są nasze koszty? Wynajęcie tej sali, prawda? Trochę reklamy. Delegaci przybyli na własny koszt. Okazuje się, że wszystko jest proste.

– Chwileczkę. W gruncie rzeczy kongres zorganizował jeden człowiek. Pablo Estravados. Apel Estravadosa do przywódców skrajnej lewicy, listy Estravadosa do tych przywódców, memorandum Estravadosa, przesłane na konferencję w Algierze, list Estravadosa do kierownictwa IV Międzynarodówki, i tak dalej, i tak dalej. Estravados wydawał polecenia zza kulisy, a my, wybrani przez niego, utworzyliśmy – zgodnie z jego radą – komitet przygotowawczy...

– Wybraliśmy miejsce, załatwiliśmy salę...

– Rozesłaliśmy zaproszenia, według listy...

– Według listy roboczej Estravadosa, przez nas przedyskutowanej i uzupełnionej...

– Zbieraliśmy fundusz drogą składek, założyliśmy specjalne konto bankowe... Numer podaliśmy w płatnych ogłoszeniach w gazetach paru krajów...

– Zjawili się tu różni ludzie, ale o to właśnie chodzi... najłatwiej oczywiście było takim, jak przedstawiciele IV Międzynarodówki... zorganizowanym, z zapleczem... najtrudniej jednostkom, które z tych czy innych powodów zdobyły sobie prestiż polityczny poza...

– Wielu nie zdołało przyjechać.

– Ale każdy, w kim można widzieć potencjalnego przywódcę...

– To przecież brzmi jak powieść kryminalna! „Dziesięciu Murzynków”! Ci ludzie, którzy przybywają na wyspę, nie wiadomo przez kogo wezwani...

– My wiemy.

– Ale kto stoi za towarzyszem Estravadosem? Moskwa? Pekin? Hawana? Takich rzeczy nie robi się w próżni! Na luzie! Kto chciał tego kongresu? Komu na nim zależy? Kto finansuje...

– Na Boga, wiecie, kto finansuje!

– Więc nie wierzycie, że można zrobić coś, za czym nie stoi żadna potęga? Że siła moralna może zmienić się w siłę polityczną? Kto stał za ludźmi, którzy zrobili Wielką Rewolucję Francuską? Kto?

– Wtedy ruszył się lud.

– To, co zrobił lud 14 lipca, to były zamieszki, zwykłe zamieszki, co roku są dziesiątki podobnych wydarzeń. Problem polegał na tym, że przedtem utworzyło się Zgromadzenie Narodowe.

– Nie można w naszych czasach cofać się do przykładu rewolucji francuskiej... czy październikowej! To, co się dzieje, dzieje się w innym kontekście, wymaga innych metod, innych teorii... Wy, z tymi waszymi przykładami! Za chwilę cofniecie się do Chrystusa!

Dopiero wtedy się wmieszałem; dopiero wtedy zabrałem głos. Sądziłem, że to najodpowiedniejszy moment; myliłem się, być może.

– Uważacie cofnięcie się do Chrystusa za aż taki absurd?

Ten zgiełk, niemal ryk, który mi odpowiedział! A przecież nie działało się to na posiedzeniu plenarnym. W tym drugim wypadku może nie zdołałbym się wybronić.

Zrozumieli moją myśl fałszywie, zanim ją wypowiedziałem; zrozumieli ją zgodnie ze schematem.

Oczekiwałem współdziałania. Apodyktycznie, jak zawsze. A kiedy go nie spotkałem, zakrzyczałem ich, zagłuszyłem, przytłoczyłem serią zdań zbyt skrótowych (widzę to teraz) i nie mogących do wszystkich przemówić: o rozumowaniu per analogiam jako podstawowej właściwości umysłu ludzkiego, i podstawowej nie bez powodu; o Nowym Testamencie jako jedynym z podręczników rewolucji; jeżeli mamy się porządnie uczyć demagogii i kierowania masami, prawideł rządzących odczuciami mas, cofajmy się do Chrystusa; jeżeli chcemy poznać problem władzy, nie wolno nam pominąć Machiavella; niczego nie dowiemy się o frakcjach i sojuszach, nie studiując dogłębnie i rewolucji francuskiej, i październikowej; z kolei, aby po-

znać błędy rozumowania per analogiam, straszliwe ryzyko, które się z nim łączy, trzeba porządnie się zagłębić w historię i teorię Trzeciej Rzeszy... i tak dalej, i tak dalej. Władza tradycyjnie sprawowana jest przez amatorów; opór przeciw władzy także jest z reguły dziełem amatorów. Wielkość marksizmu polegała na zniesieniu tej amatorszczyzny, wielkość leninizmu także; ale – czy nie pamiętacie Clausewitza? nie wolno o tym zapominać! – każda broń wywołuje antybroń, rodzi ją samym swym istnieniem... Czym jest rewolucja? Przypomnijcie sobie Lewisa Carrolla i jego „Through the looking-glass”! Może gdzie indziej stać, to pozostawać w tym samym miejscu. Tutaj, żeby utrzymać się w tym samym miejscu – żeby utrzymać kruchą równowagę władzy i opozycji – trzeba biec tak szybko, jak tylko się potrafi. Żeby ruszyć naprzód, trzeba biec dwukrotnie szybciej.

Parę osób obruszyło się na przykład Lewisa Carrolla; zdaje się, że w głowach tych szczeniaków wystarczająco mocno zakorzeniło się przekonanie, iż hańbą jest czytanie czegoś, co uchodzi za książkę dla dzieci; przekonanie niedouczków! Parę okrzyków protestu zerwało się także po moim przykładzie. „Demagogia!” Czułem się jak belfer, usiłujący opanować klasę. Ohydne, poniżające uczucie. I poczucie bezsilności, narastające. Ten kretyński idealizm, przedtem. Pablo Estravados trenuje elitę rewolucji!

Krzyknąłem coś, uciszając ich. Cytowałem Kamilka Desmoulins i jego zdanie – tak trafne – o tym, że władcy nie mają czasu na czytanie, kształcenie się, chwywanie analogii, na to wszystko, bez czego nie można porządnie rządzić; „Vieux Cordelier” gazeta Kamilka, jako skrótowy kurs historii i polityki dla aktualnej władzy! Ale czy opozycja nie znajduje się w identycznej sytuacji? Legalna, mocna, a więc zbiurokratyzowana do szpiku kości, symetryczne odbicie tego, z czym walczy! Przypomnijcie sobie konflikt przed zakładami Renault w 1968, podczas waszego Maja! FPK, krytykującą lewaków za brak sekretarek, telefonów służbowych, lokali partyjnych i aparatczyków: jak można brać się do polityki bez tego wszystkiego? A przecież upierałem się przy moim żądaniu od działacza lewicy – od **przywódcy** – maximum: poświęcenia każdej chwili swego czasu i życia, samodzielnego zdobycia wykształcenia, jakiego nie daje ukończenie pięciu wydziałów uniwersytetu, kontynuacji tego kształcenia codziennie, do śmierci, rezygnacji z rodziny, z życia osobistego w mieszczańskim rozumieniu tego słowa... kto może być do tego zdolny? Niektórzy, tak. Ludzie, dla których to wszystko nie jest poświęceniem, lecz pokusą. Działalność, o której mówię, wymaga odpowiednich cech charakteru, nie wyrzeczeń; ludzi, dla których wiec jest po prostu stokroć większą atrakcją niż dancng, celibat – niż rodzina lub burzliwe życie erotyczne, nauka niż rozrywka, bohaterska śmierć niż kilkadziesiąt lat nijakiego życia... ludzie tacy istnieją, choć oczywiście w mniejszości: chodzi o to, by im umożliwić życie, do którego są powołani, wspólną działalność zamiast rozpaczliwej wegetacji wyklętych przez otoczenie dziwaków. Kryterium charakterologiczne? Tak, także i to. Nie rywalizować z biurokracją! Polityka klasztorem? Tak. Kościołem walczącym? Tak. Przestańcie bać się słów! Wyjdźcie ze ślepego zaułka, do którego wpędzili was przeciwnicy! Jeżeli chcecie wiedzieć, czym przyciągać kadry przywódcze ruchu, przypomnijcie sobie ogłoszenie Shackletona, mające ściągnąć ochotników do wyprawy na Biegun Południowy! Zdanie Shawa o cechach propagandysty! Zrozumcie jedno: musimy być **inni**, żeby zwyciężyć. Anachroniczni, sentymentalni, odcinający się od panującego trendu, osobście – nieskazitelni; to właśnie jedna z podstaw naszego zwycięstwa, zrozumcie to wreszcie!

Czy ich przekonałem? Za szybko mówiłem, zbyt skrótowo. Wcale mnie nie zrozumieli. Zarzuty, że żądam nadmiernych, nonsensownych wyrzeczeń, zamiast postarać się o skuteczność walki: ten wieczny kult pragmatyzmu! Czy ja żądałem wyrzeczeń? Polityka jest powołaniem, nie – zawodem jak każdy inny, jeżeli tu tego nie rozumieją, kto zrozumie?

Potem się uspokoiłem: gratulacje tych, którym to trafiło do przekonania, w pełni, ich podziękowania. Ale to wszystko wymaga wysiłku, straszego wysiłku. Nieustannej czujności. Każdy ruch, opierający się na podobnych podstawach, upadał – jak dotąd. Rozumując per analogiam, możemy chyba jednak dojść w końcu do eliminacji przyczyn klęski?”

Niżej dopisek:

„Ogłoszenie Shackletona w londyńskiej gazecie, w 1900, uznane za jedną ze stu najsukcesowniejszych reklam świata. Przyciągnęło tłumy. Treść: «Poszukiwani ochotnicy do niebezpiecznej podróży. Niskie wynagrodzenie, ostry mróz, długie miesiące całkowitej ciemności, stałe niebezpieczeństwo, wątpliwy pomyślny powrót. Sława i chwała w wypadku sukcesu – Ernest Shackleton».

Fakt, że zgłosiły się tłumy! O tym trzeba pamiętać”.

6

Trzaśnięcie drzwiczek samochodu. Czarny Mercedes zostaje na parkingu, a garbus wzdryga się najpierw pod czymś obojętnym spojrzeniem, aby po chwili wbiec prawie do poczekalni lotniska. Przyjechał w samą porę, przez głośniki zapowiadają właśnie lądowanie tego samolotu. Czy nikt go nie rozpoznał? Musi tu czekać do końca kontroli celnej; co będzie, jeżeli ktoś go rozpozna, jeżeli się domyśli? To nie jest aż tak ważne, jak rękopisy Estravadosa (zamknięte teraz bezpiecznie w kasie pancernej), ale jednak ważne. Czy przyleciały? Upewniał się przecież, telefonował trzykrotnie; nie mogli nie przylecieć!

Nikt nie załatwiłby tego tak szybko, jak on.

Stoi tuż przy wejściu. To chyba one: kobieta z dziewczynką, obie w czerni; to na pewno one! Zadaje jednak pytanie: „Senora Estravados?”, a po skinięciu głową – potwierdzającym – odbiera czym prędzej ich bagaże, raptem jedną walizkę, prowadzi w stronę parkingu, mówiąc coś pospiesznie, żeby zatuszować wrażenie, które (czuje to!) musi wywierać; szofer otwiera przed nimi drzwiczki samochodu, wsiadają; dopiero teraz może się im przyjrzeć.

Więc to ona! Nie wiedział właściwie, jak może wyglądać, nie umiał jej sobie wyobrazić; jak zresztą **mogła** wyglądać, ta żona, którą opuścił? Nie spodziewał się, że jest blondynką. I ta twarz, okrągła, uparta, trochę chłopska, te jasne oczy, bardzo jasne... nie potrafi jej określić. W dalszym ciągu nie potrafi. Jest pospolita. A czego właściwie oczekiwał? Pospolita, wiejska. Silna, zdrowa, dobra, na pewno. I na pewno płakała. Dużo płakała. Powieki ma opuchnięte i nawisie, pod oczami sińce. To czarne palto musi być bardzo stare, zapewne wyciągnęła je z jakiegoś kufra, nie mogła przecież nie włożyć żałoby! To mu się nie podoba. Jak gdyby sprofanowano jego bożyszcze. O co chodzi, Estravados po prostu wdał się w romans z ładną, miłą, dobrą blondynką, a gdy zaszła w ciążę, ożenił się z nią; cóż w tym nadzwyczajnego? Odszedł od niej w końcu, kiedy nie mogła i nie chciała go zrozumieć; czego ma się po niej spodziewać, po tej porzuconej żonie? Porzucona żona znów zaczyna płakać, przy pierwszym pytaniu, słabo zresztą zna francuski, gorzej od Conchity, ty odpowiedz, Conchita. Dopiero wtedy Laventure patrzy na małą.

Ta nie ma nic z matki. Aż unosi brwi ze zdumienia. Że też nie zwrócił na to wcześniej uwagi! Dwunastoletnia trawka, cienka, długa, smągła. Ciemne włosy, odgarnięte z czoła i spięte surowo dwiema spinkami. Gniewne usta, niechętnie spojrzenie spod długich rzęs i gestych, wysoko zarysowanych brwi. I co za oczy! Oczy Estravadosa; ten sam kolor, orzechowozielony, ten sam kształt, blask, spojrzenie: jaka podobna!

Odpowiada na jakieś jego pytanie, niechętnie. Dobrze, poczeka. Później. Wolałby zresztą zobaczyć ją samą, bez matki. Porozmawiać z nią, samą.

Udaje mu się to po południu, kiedy ta kobieta – Maria – położyła się spać w przeznaczonym dla niej pokoju. Minou ją zgorszyła, zauważył to, dziewczyna niewiele w końcu starsza od Conchity – żoną garbusa, starszego od jej ojca! Samo to zgorszenie jest miarą jej drobno-mieszcząństwa. Jak mógł, jak mógł Pablo ożenić się z podobną kobietą?

Ciekaw jest tylko tej małej. Udało mu się zatrzymać ją na chwilę, gdy matka poszła spać.

– Conchita – mówi wprost – co wiesz o swoim ojcu?

Patrzy na niego wzrokiem, który mógłby uznać za dowód tępoty; nie odpowiada.

– Wiesz, dlaczego zginął?

Włączył swój mały magnetofon: wspomnienia córki Estravadosa o ojcu, wspomnienia żony Estravadosa o mężu, to wszystko jest tematem, na pewno. Ale mała nadal nie odpowiada; usiłuje nawet wymknąć się z pokoju, a gdy chwyta ją za rękę, wybucha płaczem. I wtedy nagle – któż by się tego spodziewał? – z cichym skrzyknięciem otwierają się uchylone drzwi, wchodzi Minou, taka, jakiej nie widział nigdy. Obejmuje małą, i wyprowadza ją, bez słowa. Ta szesnastolatka stała się nagle do śmieszności, do obrzydliwości macierzyńska!

Nie porusza się. Nie idzie za nimi.

7

Siedzą ciągle w barze. Niektórzy nie ruszali się stąd od wielu godzin. Ktoś usnął w kącie, z głową opartą na rękach. Ktoś, pochylony nad szklanką, patrzy tępo na ścianę.

Raymond Krivitzky, który zajrzał tu przypadkowo, w pierwszym odruchu cofa się o krok: ten pijany motłoch! A jednak nie jest to tylko pijany motłoch; i po chwili wahania noga troc-kisty przestępuje próg.

Barman – z czerwonymi obwódkami zmęczenia wokół oczu (pracuje dzisiaj przez 24 godziny, jak co drugi dzień zresztą, nie ma w tym nic nadzwyczajnego) – pospiesznie demonstruje przed nim zestaw butelek na półkach. Raymond Krivitzky zamawia gin z tonikiem i siada na wolnym stołku, rozglądając się dokoła – jeszcze nieufnie, jeszcze napięty i pełen silniejszego od niego wstrętu do tej klasycznej stypy, jaką widzi oto przed sobą.

Nie warto już mówić im, że powinni być na sali obrad. Raczej – że powinni wdrzeć się na salę obrad, zamkniętą chytrze i natychmiast przez policję (jak kiedyś Sala Gry w Piłkę), że powinni podjąć Kongres w tym właśnie miejscu, w którym został on przerwany. To się już nie uda. Przekłeta banda!

Każdy, kto próbowałby teraz objąć po Estravadosie przewodnictwo Kongresu, zostałby ośmieszony tak właśnie, jak został ośmieszony Raymond Krivitzky. Tak samo, jak najbar-dziej szmatława prasa, tak i ci oto dzielni działacze lewicy zobaczą w tym tylko dowód choro-bliwej i żalostnej ambicji, nie – pragnienia, aby utrzymać, ocalić coś ważniejszego i od Es-travadosa, i od nich wszystkich. Nie warto strzepić sobie języka.

Jego próba poprowadzenia obrad spotkała się z kpinami! Z kpinami większości, w każdym razie. Niektórzy już wyjechali!

Wyjechali!

– No i jak, wodzu? – pyta czyjś kpiący głos, i młody brodacz w czarnej, komisarskiej kurt-ce opiera się połową ciężaru na jego ramieniu (druga połowa znalazła oparcie w ramieniu sąsiada), wysyłając huragan przesyconego spirytusem oddechu prosto w jego twarz. Wystarczy go odepchnąć, żeby się przewrócił. I Raymond Krivitzky robi to: jednym silnym pchnięciem odtrąca pochylony nad nim ciężar prosto na podłogę baru. Rozlega się głośny stuk, niewyraźne, psie warknięcie – a tuż potem koledzy brodacza zrywają się ze swoich miejsc, na niepewnych nogach zdążają w kierunku, z którego padł cios... Tego tylko brakowało, tylko tego jednego! Wiadomości w jutrzejszej prasie, iż Kongres po śmierci swego przywódcy ujawnił prawdziwe oblicze: ot, choćby ta wczorajsza chuligańska, pijacka bijatyka w barze hotelowym, spowodowana rywalizacją o zwolnione przez zabitego miejsce... Już błysnęły flesze; fotoreporterzy pochylają się nad powalonym brodaczem, fotografują też jego, ściskającego szklankę ginu z tonikiem tak mocno, że szklanka pęka, szkło rani palce, a płyn chlusta na kolana... Miał rację, nie trzeba było tu przychodzić.

Nie trzeba było w ogóle przychodzić na świat.

8

Minou objęła tę małą. Posadziła ją na tapczanie.

– Napijesz się coli?

– A co to jest?

Po raz pierwszy się odezwała, to sukces. Ale żeby nie znać coca-coli! Co za dzikuska! Nie, ona sobie kpi; ale dlaczego?

Minou przygląda jej się z rosnącym zdumieniem. Jak ubrana! Och, może to kwestia żałoby, ale nawet jeśli... jak można było włożyć na dziewczynkę spódnicej tej długości! A ten stary sweterek, zapięty z przodu aż po szyję, źle ufarbowany na czarno; a te brązowe półbuty? Żadna, żadna dwunastolatka, którą Minou znała kiedykolwiek, nie włożyłaby takich butów.

– Gdzie wy właściwie mieszkacie z matką?

– Nie wiem. W mieszkaniu.

– W jakim mieszkaniu? Własnym? Wynajętym?

Dziewczynka patrzy na nią, jakby nigdy nie słyszała tych słów. W końcu przypomina sobie zapewne coś, co słyszała od matki.

– Wynajętym.

– Ładne jest? Jakie macie meble?

– Teraz już nie mamy mebli. Zabrali.

– Kto zabrał?

– Komornik.

Opuszcza głowę. Zdaje się, że znów z trudem powstrzymuje się od płaczu. O Jezu, dlaczego tak ją dręczę?

I podaje jej wyciągniętą z szafkowej lodówki colę.

– Skąd tak dobrze znasz francuski?

– Dobrze?

– Bardzo dobrze! Skąd? Gdzie się uczyłaś?

– Sama.

Usta Minou otwierają się szeroko. Co za debilka z tej małej!

– No, ale na jakim kursie? U kogo?

– Sama, w domu.

– Z jakiego podręcznika? Znałaś dużo Francuzów? Kto był twoim nauczycielem?

– Nikt. I bez podręcznika. Słuchałam francuskiego radia, co wieczór. Czytałam gazety. Uczyłam się piosenek. Mama miała trochę francuskich książek, więc je czytałam. I...

– No, ale jak mogłaś czytać książki, jeśli nie znałaś języka? I jak mogłaś cokolwiek zrozumieć, jeśli nie byłaś na żadnym kursie, i nie miałaś nauczycieli, i nawet podręczników...

– Tak po prostu.

Minou nie może tego pojąć. Musi powiedzieć o tym mężowi, to jakieś hochsztaplerstwo. Dał się nabrać. Dwunastolatka! „Tak po prostu”, bez planu, bez pomocy, chaotycznie, na chybił trafił, nauczyła się obcego języka tak, żeby móc nim swobodnie mówić? Co za bzdura, to niemożliwe. Ma akcent, jasne, ale słaby. To oszustwo, podstawili mu kogoś. Córka Estravadosa, wychowana w biedzie gdzieś w Ameryce Łacińskiej... niemożliwe!

– Żal ci ojca?

Paskudne pytanie. Ale musi ją wybadać, tę małą. A mała zdecydowanie potrząsa głową.

– Nie.

– Dlaczego?

– To świnią... on skrzywdził mamę.

– Ale wiesz, co on zrobił? Słuchaj, tu wszyscy... wszyscy szaleją za Estravadosem, ludzie go uwielbiali, wszyscy!

– Widać nie wszyscy, jeśli ktoś go zabił.

Ta ironia, po raz pierwszy. Zbyt dorosła. I ta nienawiść w oczach małej... musi być naprawdę jego córką, inaczej nie mogłaby go aż tak nienawidzić! Minou jest zdumiona, zgorzozona; aż się cofnęła.

– Nienawidzisz go?

– Pewnie.

– Ale, słuchaj – jąka się Minou, naprawdę zgorzozona i niedowierzająca jednocześnie – on nie żyje! Zabili go!

– No i bardzo dobrze.

Minou patrzy na nią w milczeniu. Żałuje, że wyrwała ją z rąk garbusa, żałuje, że czuła dla niej litość, żałuje, że sama – niby tak współczująca – zadawała jej jednak przygotowane przez garbusa pytania. Tyle że on chciał nagrywać odpowiedzi; miał rację, przynajmniej czemuś by to służyło!

Co za potwór. Chudy, dwunastoletni potwór o złych oczach, o zaciętej twarzy. Oczywiście, każdy by to zrozumiał, gdyby nie chodziło o Estravadosa. Porzucił jej matkę i ją samą: dzieci nienawidzą w takich sytuacjach własnych ojców, trudno się nawet dziwić. Ale kto to zrobił! I dlaczego to zrobił! Przecież nie dla innej kobiety tylko dla świata, dla... jak się to nazywa?... o! dla sprawiedliwości społecznej. Żył jak święty, wszyscy chłopcy z odrobiną charakteru starali się go naśladować, tłumy go oplakują, uciśnieni całego świata, a jakże, oplakują go, Minou jest tego pewna; i tylko jego dziecko cieszy się, że go zabito, uważa to za słuszną karę, ohyda!

– Gdybym wiedziała, kto to zrobił – mówi jeszcze Conchita, prowokacyjnie, triumfalnie, w pełni świadoma, że ją zaszokowała – posłałabym mordercy kwiaty.

9

– Przyszedł Michael Bernard.

– Ach, on!

I garbus wstaje na powitanie Michaela Bernarda.

Mały, szczupły blondynek, chuchro. Czarna, komisarska kurtka, w którą się ubrał, pasowałyby może do kogoś barczystego, na nim wygląda śmiesznie.

– W sprawie twojej książki? Pomyślałem już o tym. Teraz może być na nią popyt. Na jutro zrobią opaski: „Uczestnik Kongresu mówi o Estravadosie i jego walce”, co o tym myślisz?

– Ach, książka! Jakże to ma teraz znaczenie?

Michael Bernard – to imię było pomysłem jego matki, Angielki (córki lorda, jakże inaczej?) – jest roztrzęsiony, to widać: ręce mu drżą, mięśnie nabrzmiewają na policzkach.

– Domyślasz się, kto to mógł zrobić?

Jasne, o czym myśli: nikt dzisiaj nie myśli o niczym innym.

Laventure milczy.

– Moim zdaniem, mordercy sami się ujawnią. W ciągu najbliższych dni.

– Ujawnią? Ktoś zwoła konferencję prasową i oznajmi: „Ja go zabiłem”?

– Jeżeli to zrobiła jakaś organizacja – upiera się Michael – przyzna się do tego najdalej jutro. Wyśle list, zatelefonuje do agencji prasowej...

– To może być bluff. Przechwałki.

– Może. Ale jeśli nikt tego nie robi – sprawa będzie jasna. Aparat władzy.

– I co wtedy?

– Wtedy? – Ta skóra, drgająca na uwydatnionych nagle szczękach Michaela; garbus przygląda się jej, zafascynowany. – Wtedy trzeba będzie wystąpić przeciw aparatowi władzy.

– Terror?

– A widzisz inną możliwość? Inną możliwość bycia w porządku?

Garbus bębni palcami o biurko. Szczęki Michaela, tego paniczka, uwypukliły się jeszcze bardziej, skóra na nich aż zsiniała.

– I co teraz zrobisz? – Pyta Michael głosem rozhisteryzowanego dziecka; zaraz wybuchnie płaczem. – Wydasz mnie, co?

– Skądże, ja ci pomogę.

10

Na pierwszej stronie notesu Estravadosa dwuwiersz, powtórzony po wielokroć, napisany prosto i ukośnie, i z boku; jest także na okładce i na wewnętrznej stronie okładki, i w środku. Fragment wiersza Carla Sandburga: jakże by on pasował na motto tych zapisków, gdyby wydano je po latach, kiedy pojawia się już, rozpycha się łokciami, kopniakami odtrąca wszystko, co nią nie jest, nostalgia! Ale nie jest „po latach”, to ciągle terażniejszość, puls jeszcze bije, a lusterko przytknięte do warg świata pokrywa się parą, ten świat żyje, wszystko żyje, dyszy, to nie jest historia, nie dla nas. Lusterko, zbliżone do ust Estravadosa, zamgli się i dzisiaj, i za rok, i – może! – za dwa lata, dopiero potem, to przyjdzie dopiero potem... Więc skąd się to wzięło, co to ma znaczyć?

The buffaloes are gone.

And those who saw buffaloes are gone.

Jak requiem! Jak napis na grobie!

Nie ma już bizonów. Nie ma nawet tych, co widzieli bizony.

Ależ to nadejdzie kiedyś! Kiedyś! Lusterko jest wciąż zaparowane, lusterko jest wciąż wilgotne!

The buffaloes are gone...

To – może. Zabili go. Mógł to przewidzieć. Mógł się tego spodziewać. Ale pamięć, pamięć, nasza pamięć... Nigdy nie zapomnimy!

And those who saw buffaloes are gone.

Tego nikt się nie spodziewa. W to nikt nie wierzy.

Jerome Laventure siedzi przy swoim miniaturowym xeroxie i kopiuje, po pięć razy, każdą stronę zapisków: trzeba je zabezpieczyć. Im prędzej, tym lepiej. Pięć kopii, u pięciu zaufanych ludzi. Nie: cztery u ludzi, a jedna w sejfie bankowym. Nigdy dość ostrożności.

The buffaloes are gone...

Zaraz z tym skończy. Zaraz przejdzie do tekstu. Przycisnąć guzik. Cichy trzask. Odłożyć kartki na stos, posegreguje później.

Podrywa się wściekle przy pukaniu do zamkniętych na klucz drzwi: czy nie uprzedzał, żeby mu nie przeszkadzano? Ale głos Minou uspokaja go natychmiast.

– Słuchaj, ona chce zobaczyć męża.

– Kto?

Otwiera drzwi, widzi Minou przed sobą, Minou wyprostowaną jak rekrut, niezdarną, wspaniałą: jak zawsze, wyciąga do niej ręce – jakikolwiek gest, byle jej dotknąć, położyć jej dłonie na ramionach, na plecach, przesiać włosy między palcami, cokolwiek – i jak zwykle ona odsuwa się, zniecierpliwiona.

– No, przecież wdowa! Maria! Brała proszki, spała. Ale teraz się obudziła... i chce zobaczyć zwłoki.

– Ach, tak. Oczywiście. Czy Legrand przyniósł papiery? Pełnomocnictwo dla mnie i tak dalej?

– Przyniósł.

– Dam jej to zaraz do podpisu. I jedziemy.

– Do kostnicy?
– A gdzie? Niech się ubierze. Muszę zatelefonować... i schować to wszystko. Zaraz przyjdę.

Ręka znów wyciągnięta w jej stronę opada; i rytmiczny ruch pośladków obciśniętych błękitem, oddalające się kroki; i płyta drzwi pociągnięta gniewnie ku sobie, zgrzyt klucza. Niech to diabli.

Papiery zostały schowane. Magnetofon przygotowany. Tarcza telefonu obróciła się tyle razy, ile powinna.

Głos komisarza brzmi dziwnie. Jest niepewny, powolny, dziurawy: między słowem a słowem otwiera się zapadnia, między słowem a słowem ten strzep milczenia. Co mu się stało? Już wie, co się stało. Ale nie może uwierzyć.

– Jak to zginęły?! – krzyczy w słuchawkę. – Jak to zginęły? Proszę zrozumieć, ja mam pełnomocnictwo wdowy, występuję legalnie, mam prawo wiedzieć, musimy...

– Nic-na-to-nie-poradzę. Niech-pan-pakuje-z-terrorystami.

– Jakimi terrorystami, na litość boską?!

– Tymi, którzy wdarli się do kostnicy. I wykradli zwłoki.

To komisarz powiedział twardo, równo, bez dziur. I szcęknął odkładaną słuchawkę.

– Co to wszystko znaczy?

W gruncie rzeczy spodziewał się czegoś podobnego. Jak wybrnęłyby władze z całej sprawy, gdyby to się nie stało? Co zrobiłyby z tym człowiekiem, bezpieczeństwa, o ile wiadomo, z tym człowiekiem, obecnym tu z fałszywymi papierami, z człowiekiem, którego formalnie nie było – i którego otaczało aż takie ubóstwienie? Kto zabrałby jego ciało, kto by je pochował, gdzie? Ile kłopotów! To krótkie zdanko: „Wykradziono zwłoki” rozwiązuje wszystkie problemy. Oczywiście, zwłoki nigdy nie zostaną odnalezione; oczywiście, nigdy nie odnajdzie się tropu owych „terrorystów”, którzy mieli tego dokonać: bo też oni nie istnieją! A zatem Michael miał rację? Niekoniecznie: to, że władze chcą się pozbyć kłopotu, nie znaczy wcale, że właśnie one ten kłopot sobie przedtem sprawiły... ależ skąd, tak, właśnie że znaczy! Co mogło się stać, gdyby Kongres trwał, w co mógł się przerodzić, jak wielkie mógł stanowić zagrożenie? Ale władze nie zapobiegły w porę zwołaniu Kongresu, a przecież mogły to zrobić! Nie przewidziały, co będzie? Nie przywiązywały do tego specjalnej wagi? A potem było już za późno, potem można było tylko uciąć całą aferę, usunąć główną osobę, usunąć nawet jej zwłoki? Zapewne. Ale mniejsza o to, teraz trzeba załatwić co innego, trzeba załatwić co innego.

11

Przycisnąć wieko walizki. Lewy zatrząsk się psuje, nie zaskoczył od razu. Więc jeszcze raz. W porządku.

A teraz podejść do drzwi. Otworzyć je.

To Niemcy. Ci sami, którzy po haśle o Irlandii... ach, mniejsza o to. Skąd Estravados ich wytrzasnął?

Nie wszyscy. Było ich czworo; tu, pod drzwiami Krivitzky’ego stoi tylko dwoje. Chłopak i dziewczyna.

– O, też wyjeżdżasz? – pyta chłopak, widząc za plecami Krivitzky’ego stojącą na podłodze walizkę. I zaraz tłumaczy:

– My tylko na chwilę... parę słów, dobrze?

Niech wejdą. Ale mogliby się przedstawić. To śmieszne, że nie zdołali się nawet wszyscy poznać, a już się zawaliło, już się skończyło... Jak się nazywają? Kim są?

– Helmut – mówi chłopak, nie czekając, aż zapyta. – A to Ingrid. – I po chwili: – Frakcja Czerwonej Armii.

Ach, banda Baader-Meinhof! Raymond Krivitzky cofa się o pół kroku z wrażenia. Nigdy by nie przypuszczał...

– W takim razie – zaczyna niezręcznie – musi was tu szukać Interpol, bo przecież...

– A jakże, BKA dogadał się z Interpolem. Ale w końcu nie my jedni reprezentujemy tu guerillę.

– Jednego z tych, którzy reprezentowali guerillę, już nie ma – dorzuca Ingrid.

– Tak, Pabla... Czekaj, Ingrid, powiem mu krótko, nie mamy czasu. Przyszliśmy do ciebie, ponieważ... ponieważ starałeś się zapobiec rozbiciu Kongresu po śmierci Pabla... i dlatego, że wy, trockiści, byliście jedynymi, ogłaszającymi publiczne składki na rzecz guerilli, rozumiesz. Więc...

– Nie rozumiem, o co wam chodzi.

– O poparcie. Czy jesteście skłonni, zgodnie z linią Kongresu, udzielić nam poparcia?

– To nie jest żadna „linia Kongresu”! – woła Krivitzky, czerwieniejąc. Linia Kongresu miała dopiero zostać ustalona, w wyniku dyskusji i... i...

– Ale wstępny cel, z którym się wszyscy zgadzali, od którego uzależnili przybycie tutaj... ten wstępny cel, to była jedność. Tak?

Raymond Krivitzky cofa się jeszcze o krok. O czym oni mówią?

I po raz pierwszy ogarnia myślą całość Kongresu, sens Kongresu. Jak mógł do tej pory nie widzieć jego absurdalności? Pablo Estravados był szaleńcem! Szaleńcem! Nie było jeszcze na świecie takiego szaleńca!

Pomyśleć tylko o tych wszystkich grupach, o tych odłamach, odcieniach, o tych... Jak można było to zjednoczyć? Jak można było znaleźć dla tego wszystkiego „wspólną linię”? Dla Mao Spontex i Irlandzkiej Armii Republikańskiej, dla Manifesto i Czerwonych Brygad, dla Meteorologów i trockistów, i anarchistów, i ML-owców, dla niedobitków Maja i dla tych nowych, tych, którzy nie rzucają już sloganów, tylko bomby... Niemożliwe! Niemożliwe!

A przecież wszyscy się tu rzucili. Chyba wszyscy. Z entuzjazmem. Tacy byli gotowi – do kompromisu, do zjednoczenia. I to by się chyba udało. Gdyby nie śmierć Pabla. Gdyby to zrobił Pablo. Jak długo by trwało, to inna sprawa. Ale...

Patrzy na tych dwoje. Po dwadzieścia kilka lat, dzinsy, podkoszulki, on z wąsami i w ciemnych okularach – po raz pierwszy myśli o tym jak o charakteryzacji, banalne, głupie, wąsy i ciemne okulary, ależ to zwraca uwagę!, ona z rudymi lokami – czy to peruka? też by mu to nie przyszło do głowy tak samo z siebie, ale czy to peruka? Nie zna ich. Czy są na listach gończych? Ale on zna tylko trzy twarze z niemieckich listów gończych: Ulriki Meinhof, Andreasa Baadera, Gudrun Ensslin. Przywódców bandy. To nie oni, tego jest pewny. Więc może i te włosy nie są peruką, może okulary nie zostały włożone dla zakrycia oczu. Czort wie.

– Co on w was widział? – pyta nagle, nieoczekiwanie dla siebie; dopiero po wypowiedzeniu tych słów sam je słyszy, rozumie, co powiedział. To wyszło z podświadomości. Najwiśdziej.

– Kto? – pyta Helmut; ale od razu zrozumiał, o co chodzi; to jasne.

– Estravados.

Helmut uśmiecha się – pogardliwie, chyba pogardliwie – i siada na poręczu fotela, na którym chwilę wcześniej, nieproszona, przycupnęła Ingrid.

– Możemy odwrócić to pytanie, nie sądzisz? Ale po co?

– Popierał wasze metody?

– **Jakie** metody?

– Zamachy, napady na banki...

– ... dla zdobycia funduszy na prowadzenie walki. Tak, popierał. Oczywiście! Tyle chyba wiadomo: popierał guerillę. Był głównym bojownikiem guerilli. Nie słyszałeś o tym?

– Ale nie w Europie! Nie w krajach, w których są możliwości innej walki...

– Tak sądzisz? Że są możliwości innej walki? I że Pablo uważał lewicową guerillę za zabawkę dobrą jedynie dla Murzynów w spółniczkach? Albo dla Indian? Tak sądzisz, Krivitzky? Dobry jesteś. Jaki był w takim razie, **twoim** zdaniem, cel Kongresu? Zwołanego w Europie, nie wśród chat z liści?

– I prowadzonego przez najślawniejszego guerillero świata, nie przez czarownika z tamtym? – dorzuca Ingrid, jeszcze bardziej drwiąco, jeżeli to możliwe.

– W Europie można walczyć inaczej – upiera się Raymond Krivitzky, czerwieniejąc.

– No, no? No, no, no?! Zdradź ten sekret! Jak można walczyć w Europie? Jak wy? Wydawać gazety, zwoływać wiece i rozrzucać ulotki? Ale, widzisz, skarbie nasz jedyny, u nas w Niemczech działalność trockistowska jest zakazana. Czy w ogóle działalność lewicowa. Nieźle byś za nią, mój idolu, oberwał. Gorzej; nie mógłbyś niczego zdziałać. Związałyby ci ręce!

– Nie dyskutuj z nim – mówi Ingrid. – Tak można godzinami. Jeżeli ktoś tego nie chwytą... i to nie mieszczuch, działacz!

– Ja z nim nie dyskutuję. Pytałem go, czy udzieli nam poparcia... i już widzę, że nie. Można to było przewidzieć. Idziemy, Ingrid.

– Poczekajcie. – Raymond Krivitzky zatrzymuje ich, zmieszany, prawie bełkocząc. – Jesteście naszymi towarzyszami... jeżeli nawet nie zgadzamy się co do metod, jesteście naszymi towarzyszami, walczyliśmy o to samo.

– Więc?

– Będziemy was bronić przed prześladowaniami – kończy Krivitzky z determinacją. Helmut macha ręką i szczerzy zęby.

– Ach, to! Humanitarnie i w imię najwyższych ideałów ludzkości? Piękne dzięki i za to. Chodź, Ingrid.

Nie zatrzymuje ich już. Nie wie, co jeszcze powiedzieć.

Ktokolwiek by tu przyszedł – z Mao Spontex czy z Pierwszej Linii, obojętne skąd, obojętne skąd – Raymond Krivitzky zachowałby się tak samo. Tyle wie. Nie ma jedności. Nie może być jedności. Wieża Babel. A przecież chodzi o to samo! Wszystkim nam chodzi o to samo!

Czy Pablo rzeczywiście próbowałby pchnąć ich wszystkich na drogę, którą idą ci dwoje? Na drogę guerilli? Bandy Baader-Meinhof? Czerwonych Brygad? Czy oni byli prawdziwymi, milczącymi bohaterami Kongresu? Ale to by mu się nie udało, **to** – nigdy! Wykluczone. Nie warto nawet o tym myśleć.

Więc czemu tu byli? Czemu tu są?

Siadając na swojej walizce, obejmując rękami kolana, Raymond Krivitzky zastanawia się. Nad własną naiwnością i nad rzeczywistym celem Kongresu. Ujmij to w paru zdaniach, człowieku! W paru zdaniach! Synteza.

Co ich wszystkich łączy? Że są „na lewicy”. Co to właściwie, u diabła, znaczy – „na lewicy”? Wszyscy wychodzą od marksizmu, tak czy inaczej. Chcą przebudowy społeczeństw. Zmiany sposobu własności środków produkcji, jasne, ale i mnóstwa rzeczy poza tym. Różnych rzeczy. Zmiany prawa. Zmiany kształtu państwa. Zmiany obyczajów. Zmiany wszystkiego, w czym się żyje! Dobrze.

Jaka jest sytuacja? Mamy za sobą parę lat kontestacji, która zaczyna przygasać. Goszyści są zmęczeni. W Stanach już następuje odwrót niedawnych lewaków od polityki. Pozwolili się zawrócić na drogę łagodną i akceptowaną. Małe kroki. Ochrona środowiska, obrona konsumenta, reformy. Tu także jest to bliskie. To – albo obojętność. W ruchu lewicy następuje polaryzacja. Czy nie tak widział to Pablo? Coraz bardziej obojętna większość. Coraz gwałtowniejsza mniejszość. Terrorysty. Ci, co dokonują zamachów bombowych, strzelają, porywają, **biorą sobie pieniądze** z banków – bo tak chyba należałoby to określić, **biorą sobie**, prawo

zakazujące tego jest dla nich bezprawiem. I co miało nastąpić? Gdyby doszło do zjednoczenia. Czy nie chodziło o to, żeby drogę guerilli uznać za słuszną? Za właściwą? Za jedyną? O to, żeby wszyscy poszli drogą tych tutaj, tych, którzy dopiero co wyszli z hotelowego pokoju, albo przynajmniej – żeby tę drogę i tych ludzi poparli? Żeby stali się dla nich bazą?

Ależ tak! Jak mogłeś być tak ślepy? Oczywiście, że o to!

W ostatnim możliwym momencie. Zjednoczenie było tylko środkiem, radykalizacja ruchu – celem. Ty ślepy durniu! Ty idioto!

Wiesz, kim był Pablo. Wiesz, co robił. To samo, co tych dwoje. To samo, co ci z listów gończych – Baader, Meinhof, Ensslin, Raspe, Meins! Bronił swojej linii. Szukał sojuszników. Zjednoczyć lewicę? Przede wszystkim – pchnąć lewicę w tamtym kierunku! Kazać jej walczyć, nie gadać! Nie zamierzał szukać linii kompromisowej, jak sobie naiwnie wyobrażali: kto za nic nie chciałby się przyłączyć, mógłby odejść. Ale reszta...

I oczekiwał, że oni to zrobią? Trockiści?

Czort wie, może by i zrobili. Może by i zrobili.

Za późno.

Teraz już nie ma sprawy.

12

– Mamo, uspokój się. Mamo, proszę cię. Przestań płakać!

Conchita przysiadła w wyrosniętej nocnej koszuli z wyblakłej flaneli na brzegu łóżka matki, ścisła jej drgającą rękę, pełna współczucia i odrazy, ale odrazę ukrywa, odrazę tłumi: mamó, proszę cię! Błagam!

Maria płacze, z twarzą w zgniecionej, mokrej, słonej poduszce. Co ona wie? Co może wiedzieć? Dziecko!

– Mamo – mówi Conchita. – Przecież go nienawidziłaś. Zawsze mówiłaś, że go nienawidzisz. Więc jak możesz teraz... Za grosz logiki!

Maria unosi głowę, patrzy na córkę, splakana, prawie gniewna.

– Co ty o tym wiesz! Niczego nie rozumiesz. Kochałam go! Nie rozumiesz? Kochałam go!

– Ale przecież on... przecież on postąpił...

– Co z tego? I ta straszna rzecz, która się stała, ta potworność...

– Że nie będzie pogrzebu?

Wydawało się, że matka ją uderzy. Aż się cofnęła, osłaniając twarz ręką, uchyliła. Ale Maria znów słabnie, znów płacze.

– Co oni mogli zrobić z jego biednym ciałem? – pyta. – Ci bandyci... ci... ci zbrodniecy! O Boże, co oni mogli z nim zrobić?

Conchita wolałaby się już nie odzywać. W tym, co mówi teraz matka, jest jakiś ból, który **prawie** rozumie, który **prawie** może sobie wyobrazić. Gorszący ból. Wstydzi się tego słuchać. Ciało. Sposób, w jaki matka wymawia to słowo: ciało. Jakby je czuła. Jakby go dotykała. Jakby w tej samej chwili, wszystko, czym było to ciało, wszystkie jego poruszenia... Nagie. Conchita widzi je przez chwilę: nagie ciało tego człowieka, żywe. Połączone z ciałem matki, jak na kolorowych fotografiach w tych szwedzkich pisemkach, które pokazywała jej Gloria. To okropne. Ohydne. Nie można o tym myśleć, nie można na to patrzeć. Conchita aż zamyka oczy, zaciska powieki, z całej siły.

A wtedy słyszy jęk matki, inny.

Jak strasznie pobladła. Jest aż popielata. I przyciska rękę do serca, i coś się z nią dzieje, no, dograła się! Ma skutki swojej hysterii. Hysterii z **takiego** powodu, co za głupota: sentymentalna geś! Conchita zrywa się jednak, przerażona, i w koszuli, boso, wybiega z pokoju. Woła coś po hiszpańsku, z przyzwyczajenia, byle co – żeby tylko usłyszeli.

Wpada na Laventure'a. Garbus przytrzymuje ją, biegnie z nią do pokoju, spojrzawszy na Marię uspokaja – to nic – każe komuś do kogoś zadzwonić, każe służącej przynieść szklanek wody i jakieś krople, w ciągu paru minut przybiega zaspany lekarz, Maria dostaje zastrzyk, śpi. Śpi jak zabita. Tak mocno, że aż pochrapuje.

Conchita patrzy na nią przez uchylone drzwi i nie chce wchodzić do pokoju, nie chce wracać do swojego łóżka. Chciałaby... To bzdura, nie powie tego pierwsza. Stoi boso, w tej okropnej nocnej koszuli, której matka nie zdążyła ufarbować na czarno. Obok Laventure'a. Tej jego Minou nie ma, to dobrze. Pierwsze wzruszenie jej nagłym uściskiem, obroną, życzliwością szybko minęło. Nie lubi jej. Niczego się od niej nie dowie. Nie chce jej widzieć. Ale on...

– Nie chcesz jeszcze spać? – pyta półgłosem Laventure.

Dobrze, że zapytał. Potrząsa głową.

– To chodź, posiedzimy jeszcze trochę. Nie masz nocnych pantofli? Szlafroka?

Nie ma. Ma tylko te okropne półbuty, trudno je wkładać na bose nogi. A szlafrok? Szlafrok, w jej wieku? Co za niedopuszczalny luksus, co za zbytek!

– Dobrze, znajdę ci coś. Chodź.

Siedzi w głębokim fotelu w gabinecie Laventure'a w żółtym płaszczu kąpielowym Minou, w granatowych klapkach Minou na podszewkach z korka; Laventure postawił przed nią szklankę soku pomarańczowego. Patrzy na nią teraz wyczekująco zza swojego biurka. Chciałabyś mi coś powiedzieć? Ale nie pyta, nie odzywa się wcale. Czeka.

– Masz jakieś jego zdjęcia? – pyta wreszcie Conchita. – Estravadosa?

Nie mówi „ojca”. To głupie, sama czuje, że głupie. Idiotycznie jest wymawiać to nazwisko – jej własne nazwisko – w ten sposób. Głos jej się załamał, kiedy to robiła, zaczerwieniła się.

– Ależ tak – Laventure zrywa się ochoczo. – Tak, oczywiście. Chcesz zobaczyć jego ostatnie zdjęcia? Z Kongresu? Mam je tutaj. Patrz.

Podsunał jej wielką, brązową kopertę. Wysypuje te zdjęcia, lśniące, czarno-białe, ostre. Duże, prostokątne odbitki. Na papierze glace.

– Nie widziałaś nigdy jego zdjęć? – pyta z niedowierzaniem.

– Jedno. To, które było na plakatach. U nas też były te plakaty, rozlepiali je na ulicach. Te z czerwoną gwiazdą.

– Ach, tak. Więc zobacz.

Patrzy. Szczupły mężczyzna z ciemnym zarostem, blady, o bardzo błyszczących oczach. W kurtce, w kraciastej koszuli, w czarnym swetrze. Siedzi przy zarzuconym dokumentami stole, podparty na rękę; przemawia; unosi zaciśniętą pięść; przegląda jakąś książkę; zapala papierosa. A tu – jaki nieoczekiwanie normalny! Je kanapkę. Trzyma kartonową szklaneczkę z jakimś napojem i je kanapkę, pogodny, odprężony, żywy. Jaki nieoczekiwanie żywy! Obok parę osób, gorzej widocznych: dwie odwrócone głowy, czyjeś plecy, czyjś profil. Nieważne.

– Kiedy to było zrobione? – pyta Conchita.

– To? Cztery dni temu.

A teraz go nie ma. Nigdy go nie będzie. Conchita patrzy długo na zdjęcie i czuje coś drażniącego, coś kolczastego jak nieobłupiony kasztan, czuje to w gardle: chciałaby z nim porozmawiać, z tym tutaj, z wesołym, podnieconym człowiekiem, jedzącym kanapkę. Jeszcze cztery dni temu mogłaby to zrobić. Mogłaby podejść, wejść w sam środek tej sceny i powiedzieć: „Cześć, jestem Conchita”. A potem... Teraz to niemożliwe. Już nigdy. Nie ma go. Nie ma nawet ciała. Ten straszny krzyk mamy: „Co oni zrobili z jego biednym ciałem!?” Rozumie go teraz. Ostrożnie odkłada zdjęcie na bok. Spróbuje je ukraść, jeżeli Laventure się odwróci. Ale jak? Wsunąć je pod koszulę? Co za bzdura, wypadnie. Więc jak? Zakraść się tu potem, kiedy go nie będzie?

– Chciałabyś mieć to zdjęcie? – pyta Laventure.

Prawie nie śmie przytaknąć. Patrzy na niego błagalnie.

– Weź je. Dam ci zresztą wszystkie, potem. Mam inne odbitki.
 Powinna podziękować, ale nie może. Garbus zresztą wcale na to nie czeka.

– Co ty właściwie o nim wiesz, Conchita?
 Teraz to pytanie pada w porę. Teraz jej nie przeraża.
 Rozkłada ręce.

– Nic.

– Zupełnie nic? Od kiedy wiesz, że jest twoim ojcem?
 – Och, od niedawna. Od kilku miesięcy. Przedtem...
 – Co ci mówiła mama?
 – Że ojciec nas nie kochał. Że nas oszukał, zostawił. Że jest w Europie. Myśmy się przenosiły, nie mieszkaliśmy długo na jednym miejscu. Ja słyszałam o nim... czasem. Pojawiały się te plakaty. Albo w gazetach, przez radio. Kiedyś zapytałam mamę, czy to on... ale mama powiedziała, że wielu ludzi ma te same nazwiska, że nazwiska się powtarzają. Że to nic nie znaczy, nazwisko. Więc nie wiedziałam.

– Nie dawała ci listów?
 – Jakich listów?
 – Od niego. Pisał przecież do ciebie.
 – Pisał do mnie?
 Laventure grzebie już w swoich szufladach.

– Masz. To są papiery, które dała mi twoja matka. Na przechowanie. Nie pozwoliłaby mi chyba... ale wszystko jedno. Nie mów jej, że ci to dałem. Tu jest list do ciebie, tylko jeden. Sprzed roku. Chcesz go wziąć?

Już wyciągnęła rękę. Bierze kopertę, ze znaczkami, stemplami, poplamioną, pomiętą, prawdziwą. I to rozstrzelone pismo, **jego** pismo. Przeczyta to potem.

– Więc co o nim wiesz? – pyta Laventure niecierpliwie. – Kim on właściwie był, co robił, o co mu chodziło? Wiesz coś o tym?

– No...
 To głupie. Głupio się do tego przyznać.

– Wiem, że to... że to był...
 – Powiedz wreszcie!
 – Morderca. Tak mówili przez radio, pisali. Bandyta.
 – O, Chryste!
 Jest zniecierpliwiony, tylko tyle.

– I nie zdziwiło cię to, co tu zastałaś? To, że tylu ludzi czi... czi bandytę?
 – Zdziwiło. Ale... ale to bywa.
 – Co ty wiesz o polityce, Conchita?
 Nieoczekiwanie się obruszyła.

– Dużo! Wiem... wiem...
 – No, co?
 – Kapitalizm, socjalizm, monarchia, republika, demokracja parlamentarna, opozycja parlamentarna, pozaparlamentarna, faszyci, socjaldemokraci, socjaliści, komuniści, anarchiści, wszystko to wiem! Wojna zaborcza, obronna, rewolucyjna, rewolucja, kontrrewolucja, reformy, coup d'état, junta, areszt rewolucyjny, cenzura, propaganda, agitacja, czystki, egzekucje, manifestacje, zamieszki, rozruchy...

Uniósł ręce z udanym przerażeniem.

– Na Boga, ile ty znasz słów! Jesteś bystrą dziewczynką.
 – Nie jestem dzieckiem.
 – Wiesz – Laventure odchylił się w swoim fotelu, przymknął oczy, mówi teraz do siebie, nie do niej. – Przecież to nic nie znaczy. Żeby wiedzieć, co się za tym kryje... Znajomość polityki! To jak uświadomienie seksualne. Nie można przekazać tego, co najważniejsze. Nie

sposób. Sama wiedza jest zawsze kaleka. Kaleka... jak ja. Dam ci przykład. Z uświadomieniem seksualnym właśnie.

Conchita patrzy na niego, czeka.

– Mam przyjaciół – mówi Laventure, ciągle nie otwierając oczu. – A ci przyjaciele mają piętnastoletnią córkę, dorodną dziewczynę, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, nogi po szyję, tupet, wesołość, wiesz. I wychowują ją w sposób bardzo... liberalny. Mówią z nią o wszystkim, zwłaszcza matka. Ojciec miewa różne awanturki, matka o wszystkim tym gada z córką, wścieka się przed nią, opowiada, żadnych tabu słownych, rozumiesz... ta dziewczyna zna kochanki ojca, wie o dawnych kochankach matki, sam uważałem, że to może przesada... bo tam nie ma naprawdę żadnych tabu. I pewnego dnia...

Przesunął ręką po łysiejącej głowie. Zdaje się, że gubi wątek.

– Rozmawialiśmy. Jej matka opowiadała o pewnym dość... dość frywolnym przyjęciu, na którym niedawno była. Opowiadała, że jakaś jej przyjaciółka zrobiła strip-tease i tańczyła na stole, że wszyscy się rozochocili, że nagle jeden z mężczyzn postanowił skoczyć do siebie do domu... mieszkał niedaleko... i przynieść jakieś „boskie porno”, żeby zabawa była jeszcze lepsza. „A jak zastukam do drzwi” – powiedział – „nie pytajcie, kto stuka, tylko **czym** stuka”.

– Co to znaczy? – pyta Conchita.

– Właśnie. W tym samym miejscu tamta dziewczyna powiedziała to samo. „Co to znaczy, mamo?” A matka odpowiedziała: „Kiedyś zrozumiesz”, i opowiadała dalej. I wtedy pomyślałem...

Nadal nie patrzy na Conchitę; tym lepiej.

– Pomyślałem... nie, uświadomiłem sobie... istnienie tej granicy. Między wiedzą pozorną, choćby największą, a rzeczywistością. To zdanko, oczywiście dla każdego, kto ma doświadczenie seksualne, dla każdej dziewczyny, która... a niepojęte dla niewinności, choćby najlepiej „uświadomionej”. Tam, gdzie między doświadczonymi wystarczy aluzja, ruch, znak, spojrzenie... Coś metafizycznego, w gruncie rzeczy. Granica. Po drugiej stronie granicy nie ma już luk, nie ma pustych punktów. Pełnia. To samo dotyczy polityki. Co oni o niej wiedzą, czytelnicy gazet? Ci, co głosują w wyborach? Czy nawet... Wiedzą tyle, ile ta piętnastoletnia dziewczyna o seksie. Nic. Widzisz, w polityce także... są dzieci i dorośli, prawiczki i dorośli. Tylko proporcje są inne. Większość to dzieci, większość to prawiczki. Wystarczy przekroczyć granicę... Gdybyś słyszała rozmowę dorosłych o polityce, gdybyś słyszała! Przeczytaj zapiski swojego ojca. Widzisz... większość ludzi, która je przeczyta... nawet inteligentnych, oblatanych, „upolitycznionych” ludzi... też nieraz zapyta:”... czym stuka? Jak to? A co to właściwie znaczy?”

Teraz dopiero otworzył oczy, spojrzał na nią, niczego nie rozumiejącą.

– Dobrze – mówi. – Chcesz coś wiedzieć o swoim ojcu? Przeczytaj ten list, przeczytaj...

Wstaje, podchodzi do wiszącego na ścianie obrazu, zdejmuje go, otwiera sejf, wyciąga jedną z kartonowych teczek.

– Przeczytaj to, nikt tego jeszcze nie zna, to notatki, które miał przy sobie, kiedy zginął. Obejrzyj zdjęcia. Przejrzyj sobie... Bierze z biurka parę książek. Kładzie je przed nią.

– Przejrzyj to sobie. A potem porozmawiamy. Wszystko ci wyjaśnię... co tylko będę mógł. Dobrze?

Conchita kiwa głową i wstaje.

– Wezmę to do pokoju. Mama śpi... zaraz to wszystko obejrzę.

– A ty sama nie jesteś śpiąca? W porządku. Jutro pogadamy. Jutro... jutro jeszcze będę miał czas. I spróbuję ci pomóc. Żebyś sobie z tym jakoś poradziła. Wiesz. Ja...

Zająknął się, trudno mu to powiedzieć.

– Ja... kochałem twojego ojca. Chyba byłem jego przyjacielem... może to za wielkie słowo, przyjaźń to rzecz dwustronna, a ja nie wiem przecież, nie wiem, co on naprawdę myślał o mnie... ale... cóż, idź do siebie. Nie upuść tego. Skąd, możesz zachować ten szlafrok. Weź go

sobie. I nie zdejmuj butów, dziecko, nie bądź idiotką! To twoje. Minou w ogóle tego nie używała. Wiesz, ja mam pieniądze. Mniej, niż jeszcze trzy miesiące temu, dużo mniej... ale odkuję się. Mam pieniądze. A ty jesteś jego córką. Bierz, co chcesz. Na cokolwiek będziesz miała ochotę. I jeśli czegokolwiek potrzebujesz, powiedz mi tylko. Dobranoc.

13

Z DZIENNIKA ESTRAVADOSA

Jeleń ocierał o drzewo swoje obolałe poroże i wtedy właśnie zobaczyła go puma. Jej oczy. Jej zwrot w stronę ofiary. I coś nieuchwytnego, co kazało jeleniowi – staremu przewodnikowi stada – wyczuć niebezpieczeństwo. Jego spokój. Nie spojrzął za siebie. Można by przysiąc, że nie zauważył niczego! Nie odwracając łba odszedł spokojnie o parę kroków, tam, gdzie skały tworzyły ślepy zaułek; tu mógł się odwrócić. Nie zagrożony od tyłu i z boków zwraca się w stronę pumy, która dobiegła do niego, przysiadła na ziemi, bijąc ogonem, jej uniesiona warga dygoce; to jest piękne, ale jeleń walczy jeszcze piękniej, ma klasę. Najwyższą klasę! Jego spokój. Absolutny spokój, pod którym czuje się napięcie nie mające w sobie nic histerycznego, cienka stalowa struna, jest przewodnikiem stada, jest odpowiedzialny, i więcej jeszcze: walczy na śmierć i życie, i więcej jeszcze: ma klasę. Broni się, prawie nieruchomy, straszliwie czujny broni się przed przysiadającym do skoku, ryczącym z odsłoniętymi wściekle zębami, sprężonym napastnikiem. Tylko te ruchy wielkiego szermierza, tylko wyważone co do milimetra i co do ułamka sekundy pochylenia i uniesienia łba z nadstawionymi groźnie do parowania ciosów rogami... Nie można się bronić lepiej, nie można się bronić z większą godnością; atak jest niemożliwy, żadnego słabego miejsca, nie ma szans; tego przeciwnika nie można wyprowadzić z równowagi, nie można przestraszyć. Cudowna obrona; i nagle, w chwili, w której nikt by się tego nie spodziewał, kontratak. Nagły skok jelenia w stronę drapieznika, uderzenie nastawionymi, pochylonymi nisko rogami, i dziki ryk pumy, odrzuconej, zepchniętej w zarośla, powalonej, podrywającej się nagle, by uciec. Jeszcze przez chwilę jeleń trwa z pochylonymi rogami, w pozycji obronnej; potem prostuje się i wolno, bez zdenerwowania powraca – zwycięzca! – do swego stada. To było piękne.

Rzadko widuje się taką walkę. Nigdy.

*

Przez okrągłe okienko widzę – w dole – pustynię lodową z chmur; do tej pory, jak dziecko, siadam w samolocie, w pociągu, w autobusie przy oknie; i patrzę. Warkot. (Pierwsze skojarzenia: samolot to dla mnie pomysł Leonarda da Vinci – obsesja Prousta – symbol falliczny służący do przenoszenia się z Paryża do Londynu, według słownika surrealistów). Szklanka soku pomarańczowego. Nie pracuję: w podróży – w jakiegokolwiek podróży – męczy mnie nawet czytanie, to zresztą dobre; relaks. Poprawiam krawat; męczy mnie ten węzeł tuż pod brodą, jak pętla na kimś, kto urwał się z szubienicy, męczy mnie marynarka, męczą kanty u spodni, męczy nawet brak onuc; wyższa konieczność kazała maskować się takimi głupstwami, i tak źle, że nie zgoliłem brody, moje zdjęcia tak często, zbyt często ukazywały się w prasie, ale teraz, po raz pierwszy bez czapki z pięcioramienną gwiazdką, bez bluzy, bez... zresztą to ostatni odcinek podróży, ten jest bezpieczny, w innych miejscach samolotu siedzą Russ i Giacomo, strzelcy wyborowi, to śmieszne: zaczęli przywiązywać wielką wagę do mojej osoby, i to mnie wzrusza, ale czy ja sam me przywiązuję do mej zbyt wielkiej wagi? Kon-

gres; straszliwa waga tego kongresu; czy boję się jej? Raczej niepewność. Zawieszony w powietrzu.

Czterdziestka; to zmusza do decyzji. Już nie dość młody, żeby kierować oddziałem. Nie dość młody, żeby z febrą, dyzenterią, czerwonką wędrować przez dżunglę, tonąć w błocie, umierać z gorączki, moknąć, ociekać potem, wymykać się z okrażenia... Tak oto linia, przecinająca na pół moje życie, zbiegła się z inną linią: odnaleźć wreszcie użyteczność w czym innym, w czymś więcej. Zjednoczenie lewicy: nie może istnieć nic większego.

Pewien aktor, imitator piosenkarza, Franka Sinatry, opowiadał, że kiedy się topił, całe życie Sinatry stało mu przed oczami. A mnie, czy w takiej chwili stanęłoby przed oczami **moje własne** życie?

Nie określała go tylko polityka! To ładnie brzmi w apologetycznych biografjach: człowiek z jednej bryły, człowiek od urodzenia do śmierci wierny swemu powołaniu, już jako mały szczeniak rozgrywał bitwy swych ołowianych żołnierzyków według reguł Clausewitza, jako piętnastolatek odtrącał – ze zmarszczonymi surowo brwiami – propozycję jakiegokolwiek zajęcia nie związanego z polityką, nawet w wierszach Rimbauda widział tylko reakcję na politykę, i taki pozostał do śmierci... Sam lubię takich ludzi, lubię o nich czytać, a drażnią mnie ci, którzy nie są z jednej bryły, ci, w których życiu istniały jakieś przypadki, zbiegi okoliczności, namiętności rozbijające wszystko... a jednak sam należę do tych drugich. Chciałem zostać malarzem, i to będąc wyznawcą zasady l'art pour l'art; chciałem zostać aktorem, reżyserem teatralnym, moimi bóstwami byli to Juliusz Cezar, to Piscator, to Einstein, to znów Chopin; od kultu siły przechodziłem do kultu słabości, nieraz stawiałem piękno ponad sprawiedliwością; czy o tym można mówić? Czy taki właśnie obraz samego siebie mam prawo przedstawić komukolwiek? Przynajmniej niektórzy ludzie powinni być z jednej bryły, przynajmniej niektórzy powinni być zawsze wierni jednemu powołaniu; udaję takiego człowieka, ale nim nie jestem.

Paryż 1952. Kim byłem wtedy, za kulisami teatryku, który dał tylko jedno przedstawienie, kim byłem w kostiumie Wierchowieńskiego z „Biesów”?

Plaža di Mayo. Wielki wiec na Plaza di Mayo.

I wizyta u astrologa, który mi wróżył.

I seans w burdelu, z popisową dawką zboczeń i perwersji; plulem potem z obrzydzenia, ale musiałem to przeżyć.

I nagła wiara w Boga.

Mniejsza o to!

Jesteśmy na miejscu.

Zdaje się, że już ktoś mnie rozpoznał. Garnitur, krawat, ciemne okulary nie wystarczają przy braku charakteryzacji; ale to bez znaczenia, i tak musiałbym się ujawnić, jesteśmy na miejscu. Czekają na nas przed lotniskiem. Ramon, tamtych nie znam. Jedziemy do hotelu.

Nie wolno mi zginąć przed rozpoczęciem Kongresu. Nie wolno mi zginąć wcześniej.

Pokój hotelowy. Łazienka z lustrem, z włochatym płaszczem kąpielowym, wiszącym na drzwiach, z prysznicem. Odkręcam kran i podsuwam ręce pod strumień ciepłej wody, z rozkoszą. Nie mogę się tym nacieszyć. Ciągle jeszcze nie mogę się tym nacieszyć. Czystość! Woda! O niczym tak nie marzyłem, z tym nieszczęsnym ciałem wciąż na nowo pokrywającym się egzema, z tym ciałem, skręcającym się w płomieniach, jak o zanurzeniu się w wodzie – marzyłem o tym tam, gdzie często brakowało wody do picia, gdzie zdarzało się wysysać krople wilgoci z błota, pić własny, parujący mocz!

Wanna jest już pełna; zanurzam się w wodzie, odprężony, prawie szczęśliwy. To samo, co w samolocie, ale pełniejsze. Relaks.

W pewnej chwili wybucham śmiechem, który natychmiast, zawstydzony, tłumię; bo też istotnie, brakuje tu tylko jakiejś Corday! Tylko tego, dla dopełnienia obrazu!

Przed chwilą – rozbierając się – nie byłem w stanie poczekać na ulgę, jaką przyniesie woda (wiedziałem przecież, że przyniesie mi ulgę!), i rozdrapałem do krwi rozległe, swędzące strupy na powierzchni stóp. Zaczęło się to, kiedy miałem pół roku, tak mi potem powiedziano. Normalna rzecz, zwykła dziecięca pokrzywka! A potem – życie ograniczone do chwili ulgi między nawrotami płomieni, skóra wciąż na nowo okrywająca się purpurowymi, piekącymi bąblami, powoli zbierającymi się w strupy, rozdrapywanie tego, bandaże moczone w occie, nacieranie denaturatem, wieczna udreka. A z jakąż premedytacją powracała i rozkwitała ta moja hańba przed każdym spotkaniem z kobietą, na której mi zależało, jak wielką rolę odegrała w tym moim – och, względnym! – celibacie, otaczanym to szacunkiem, to kpinami... Aż wreszcie lekarze, nie umiejąc postawić diagnozy, podsumowali sprawę krótko: to nerwy. A zatem sam jestem winien, sam jestem odpowiedzialny. Dodajmy do tego newralgiczne bóle zębów, newralgiczne bóle głowy. Niemal nie było w moim życiu choroby, za którą – zdaniem lekarzy – sam nie byłem odpowiedzialny!

Dość tego.

Wkładam płaszcz kąpielowy, zapalam papierosa, wracam do pokoju... Już dobrze. Wszystko w porządku.

Nie czuję wstrętu do własnego ciała. Raczej zmęczenie nim. Zmęczenie tą jego słabością, tą podatnością na ból...

Teraz powinienem popracować. Przygotować się do pierwszego dnia kongresu. To już jutro. Tak niewiele zostało godzin. Wyjąłem nawet z walizki ten plik papierów, te notatki, rękopisy, maszynopisy; ale nie mogę jeszcze pracować. Nie teraz. To ta ulga fizyczna po gorącej kąpeli, po ustąpieniu płomieni – bo nie mogę już nazywać tego bólem, po prostu bólem, to za słabe słowo! Może zresztą za bardzo już odwykłem od takiej pracy. Czyny, fakty. Wszystko pędziło tak szybko. Czyny, fakty. Głód, rana, ból. Konieczność decyzji, bezustannych, najpraktyczniejszych, najbardziej dosłownych: teraz czy za piętnaście minut? W którym miejscu nastąpi połączenie oddziałów? Cofnąć się. Ruszyć naprzód. Podsumować. Skrytykować. Rozstrzelać. Pragnąłem takiego życia, nieustannego, wciąż odnawianego zwycięstwa nad własną słabością, potrzebowałem go. Gdybym był zdrowy i silny, być może pozwoliłbym się wtłoczyć w futerałik pokoju o ścianach wyłożonych książkami, w życie, do którego – z pozoru – byłem stworzony. To choroba ukształtowała mnie ostatecznie. Motor postępu!

Jeszcze trochę. Jeszcze trochę spokoju i ciszy. Niewiele tego miałem w życiu. Pokój hotelowy, lampa, ciemność zapadająca za oknami, miękki płaszcz kąpielowy na moim suchym już, wciąż jeszcze prawie nie odczuwającym bólu ciele, przyniesiona z łazienki szklanka, do której nalałem trochę koniaku, dym z kolejnego papierosa, cisza. Także i we mnie – cisza. Wytrwać tak przez chwilę. Jeszcze przez chwilę. Tak.

*

Sala jest jeszcze pusta; oglądamy ją, przechodzimy między rzędami czerwonych foteli...

Tel. 28-78-05.

The buffaloes are gone.

And those who saw buffaloes are gone.

14

Conchita odkłada kartki, dołącza je do zdjęć, zawiązuje starannie tasiemki, zamykające plastikową teczkę.

Co to znaczy? Te dwie linijki po angielsku?

Czyj to był telefon? W jakim kraju, w jakim mieście?

Matka śpi; ciągle jeszcze śpi, bardzo mocno. Ale jest już rano. Trzeba zgasić lampę.

A zaraz potem, kiedy tylko zacznie się ruch w domu, kiedy zaczną wstawać... zaraz potem poprosić Laventure'a o gazety. Co pisano o tym kongresie? O co tu naprawdę chodziło? Nie, niech lepiej Laventure powie, o co chodziło: on to wie lepiej niż gazety. I ci ludzie, którzy brali w tym udział... czy są tu jeszcze? Czy można ich zobaczyć? Ci ludzie ze zdjęć. Ci ludzie z zapisków na pomieszanych, poplątanych, bez żadnej chronologii ułożonych kartkach.

Należałoby znać angielski! To hańba, nie znać angielskiego.

Co to takiego, „buffalo”? Jak w „Buffalo Bili”?! Ale o co chodzi?

15

– Widzisz? – pyta Michael Bernard. – Widzisz? Masz jeszcze wątpliwości?

Mały Mickey Bernard, jego młodość, czystość tej młodości! Laventure patrzy na niego niemal z zawiścią. Sądzi, że wyobraża sobie całą wzniosłość tego pragnienia zemsty, które odczuwa Mickey, ale czy to można sobie wyobrazić? Jeżeli się już od dawna, od tak dawna nie jest dwudziestolatkiem?

– Widzę – odpowiada. – I przemyślałem to. Chyba masz rację.

– Chyba!

– A więc masz rację. Zamach jest dziełem władz.

– Podtrzymujesz to, co mi obiecałeś?

– Tak, podtrzymuję.

– Posłuchaj – Michael przysuwa się bliżej i ścisza głos, zupełnie niepotrzebnie, ale to pasuje do sytuacji. – Musimy omówić szczegóły techniczne. I w związku z tym... Ty się orientujesz, kto był na Kongresie, prawda? Mówię o tych anonimowych. O ekstremistach. Wiesz, o tych, co to ponakładano ceny na ich głowy...

– Ale o co ci chodzi, mały?

– Celem Kongresu była radykalizacja Nowej Lewicy, prawda? Jej zjednoczenie jako środek, radykalizacja jako cel. Chociaż na początku mówiło się tylko o zjednoczeniu. I na tym, przez śmierć Pabla, się skończyło. Tak?

Laventure patrzy na niego. I potakuje w milczeniu.

– Czy nie należałoby z nimi porozmawiać? I to jak najprędzej?

– Z „ekstremistami”? Chcesz ich do tego wciągnąć?

– Chcę zrobić wszystko, co można, żeby ocalić ideę Pabla. Wszystko! A gdybym nie mógł tego zrobić... zabiję się. Tak! Zrobię z siebie żywą torpedę. To tylko zwiększy skuteczność zamachu. Bo do czego mógłbym się jeszcze potem przydać?

– Ty dzieciaku!

– Jerome, skontaktuj mnie z nimi!

– Ale z kim? Z tymi, których przywiózł Pablo? Tych znasz.

– Wiesz, o czym mówię. Z europejskimi. Z Niemcami, Włochami.

– Chodzi ci o pomoc techniczną? Czy o...

– Sam jeszcze nie wiem. Ale jeśli tu jeszcze są...

Laventure sięga po telefon. Nakręca jeden numer, potem drugi, zadaje jakieś enigmatyczne pytania.

– To prawda – mówi Michael, niemal sam do siebie. – To, co mówili. Chociaż to brzmi tak idiotycznie, jak kpina! Że jest w tym wszystkim coś z „Dziesięciu Murzynków”. Ten sekret, nawet dla tych, którzy brali udział. Kto, kogo i dlaczego... ściągnął tutaj. Kto jest kim. Nie uważasz?

– Cicho, Mickey.

Laventure odkłada słuchawkę.

– Niemcy jeszcze nie wyjechali. Są... są pod tym adresem. – Szybko zapisuje go na kartce, podaje. – Możesz ich tam zastać, ale pospiesz się. A Włosi będą u mnie jutro o dziesiątej.

– Z Czerwonych Brygad?

– Tak.

– Ktoś ważny?

– Owszem. Nie Curcio. Ale... ale będzie Rocco, wiesz, kto to Rocco, prawda? I Francisco, i Silvana.

– A Niemcy? Ktoś z „twardego rdzenia”?

– Są tu anonimowo, to wiesz. Używają tylko pseudonimów.

– **Mnie** chyba powiesz.

– Poznasz ich. Znasz ich przecież... choćby z listów gończych. Tylko, Mickey, ostrożnie. Mimo wszystko ostrożnie.

– Jasne. Sytuacja się zmieniła, czy ja tego nie wiem?

Michael Bernard już się podniósł, już zaciąga zamek błyskawiczny swojej komisarskiej kurtki, szczupły, jasny, drobny, z oczami pełnymi blasku, z tą twarzą bez cieni, entuzjastyczną, młodzieńczą; ach, czystość młodości, bezwzględność młodości, niewinność jej promiennego okrucieństwa!

– Chcę to zrobić przed niedzielą, Jerome. I jeśli mnie zgarną... Jerome!

– Nie powinni. Mam nadzieję...

– Słuchaj... zostawię ci teksty do opublikowania. Na wypadek mojej śmierci. Weźmiesz je?

– Oczywiście. Oczywiście, Mickey. Ale przecież zobaczymy się jutro... i pojutrze... I razem...

– Ależ tak! Po prostu zaczynam to wszystko organizować, rozumiesz.

Ściskają sobie ręce. I Michael – mały Mickey, pamiętasz go jako dziecko! – szybko wybiega. Znów ożywiony. Znów – nareszcie – po raz pierwszy od chwili, w której rozległ się wystrzał, prawie pogodny. Wsunął ręce w kieszenie, uśmiecha się.

16

Umieją to robić. Do diabła, oni to umieją!

Jednym ciosem. Jednym pchnięciem. Drzwi wyskakują z futryny, i nie zdążyły jeszcze dotknąć podłogi, a pokój już wypełnił gaz, oczy przestają widzieć, gardło wypycha gwałtownie wchłonięte w ostatnim oddechu powietrze, tamci stoją w progu, w maskach przeciwgazowych, z pistoletami gotowymi do strzału, krzyczą. Helmut sięgnął jednak do kieszeni, ale nie zdążył już wyjąć ręki. Mają ich.

Michael Bernard, idący spieszonym, sprężystym krokiem od stacji metra, staje nagle jak wryty na widok mundurów otaczających hotel, budy policyjnej, kilku czarnych samochodów z uchylonymi czujnie drzwiczkami, a potem, w następnej chwili, na widok ruchu w drzwiach hotelu, zakłębiło się, błyska jakiś flesz – i wyciągają ich, prawie wynoszą, czworo ludzi, dwóch mężczyzn, dwie kobiety, widać czyjeś nogi w dżinsach i butach na gumowych podszwach, nogi uniesione szybko, rozciągnięte przez policjantów niemal do granic możliwości; słychać czyjś krzyk, przenikliwy, ostry, przeszywający krzyk; potem czyjaś zakrwawiona twarz, z daleka, już znikła, „z bandy Baadera”, mówi ktoś wszechwiedzący, „z grupy Baadera”, poprawia go jakiś długowłosy chłopak, samochody ruszają, Michael Bernard patrzy na to uważnie, szeroko otwartymi oczami, a potem rzuca się biegiem do najbliższej kafejki, biegnąc wyciąga z kieszeni monety, rzuca je na kontuar, chwyta zeton – i szybko, jak najprędzej nakręca na tarczy telefonu numer Laventure’a.

17

Raymond Krivtzky oddaje walizkę na bagaż i wchodzi do poczekalni. Patrzy na zegarek. Za godzinę będzie już w Brukseli.

Nie czuje ulgi.

Sylvie je obiad u rodziców. Grzebie łyżką w talerzu zupy.

– Wiecie co? – mówi. – Już zaczęły się aresztowania. Złapali Niemców, którzy brali udział w Kongresie, wywlekli ich z hotelu. I z miejsca – ekstradycja. Co wy na to?

– I bardzo dobrze! – woła matka. – Bandyci! Niemcy zawsze mieli skłonność do bandytyzmu, naród zwyrodnialców. Dziecko, jedz tę zupę, wszyscy na ciebie czekają.

David Sinclair siedzi w samolocie. Ssie miętowe drażetki i przegląda ostatniego „Newsweeka”: piszą tu o Kongresie. Dali jego zdjęcie, marne.

Martha Doherty jeszcze raz nakręca numer Laventure’a. Znowu zajęty. Otwiera drzwi szafy, patrzy przez chwilę. Potem zdejmuje z wieszaka pierwszą sukienkę i zaczyna ją powoli, starannie składać.

Pociąg rusza z dworca.

Samolot zaczyna się toczyć po polu startowym.

Lewa stopa unosi się powoli, puszczając sprzęgło. Prawa naciska gaz. Ręka już czeka na dźwigni biegów, zaraz wrzuci dwójkę.

Profesor Wiener, bez marynarki, podniecony, z rozczochranymi włosami, słucha radia. Ostrożnie, o milimetry, przesuwając gałkę. Łapie kolejne stacje, kolejne głosy.

Rocco, Francisco i Silvana zbliżają się do wjazdu na autostradę. Teraz wszystko pójdzie szybciej. Jeszcze parę godzin...

– A ja jednak uważam, że trzeba zadzwonić do Laventure’a – powtarza Silvana. – Mieliśmy być dzisiaj u niego.

– Po tym, co stało się wczoraj? Po aresztowaniu tych z RAF?

– Ja mówię tylko, że trzeba zadzwonić.

– Zadzwonimy. Ale z takiego miejsca, żeby nie mogli się zorientować, którą drogą jedziemy.

Klucze od pokoi hotelowych padają na kontuary, taksówkarze otwierają bagażniki, trzask zamków od walizek, trzask zamykanych drzwi, trzask drzwiczek samochodowych, trzask zamków błyskawicznych, trzask odpadającego w pośpiechu guzika: gotowi? Czy wszyscy gotowi?

Odjeżdżają. Odchodzą.

Michael Bernard rozwija z papieru przyniesioną paczkę. W paczce jest bomba. Amatorska; ale wybuchnąć powinna.

Musi wybuchnąć!

18

– To niemożliwe – mówi Laventure głośno, sam do siebie, ściskając ze wszystkich sił kierownicę. – Ona musiała wybuchnąć. Musiała wybuchnąć!

Ludzie przebiegają obok, krzyczą. Tłum opanował jezdnię. Tam, pośrodku, był Michael. Z tą jasną, naiwną twarzą. Z tym spojrzeniem. Nie może zapomnieć jego ostatniego spojrzenia.

Już go tam nie ma.

Nie dotarł do samochodu, w którym czekał na niego Laventure, przechylony w prawo, z ręką na klamce, tak, żeby w porę otworzyć, żeby zdążyć, żeby ruszyć z miejsca natychmiast, gdy tylko Michael wsunie się do środka. Laventure ubezpieczający samotnego terrorystę,

Laventure, który przekroczył barierę, przeszedł na drugą stronę, nieodwołalnie. Nie udało się. Tym razem się nie udało. Mają małego Mickey. A bomba nie wybuchła. Nie miała prawa nie wybuchnąć – Laventure powtarza to jeszcze raz, na głos, naiwnie – to była dobra bomba! Zna się na tym przecież. Ludzie, którzy mu pomogli, znają się jeszcze lepiej. O wiele lepiej. I nie oszukali go. Tego jest pewny. Nie oszukali. Więc co się stało?

Tym razem klęska. Ale tylko tym razem! Bo będzie następny. On tego tak nie zostawi. Nie wybaczy. Nie daruje. Będzie następny raz!

Wszedł na tę drogę. I nic go już z niej nie ściągnie.

Zemsta.

19

DZIENNIK ESTRAVADOSA

copyright by Éditions Laventure

Jerome Laventure

Przedmowa

Notatki, które przygotowałem do druku, opatrując je nie całkiem adekwatnym tytułem „Dziennika”, znalazły się w moich rękach w parę godzin po śmierci Pabla Estravadosa. Jak to się stało? Nikt chyba nie sądzi, że mordercy – lub policja – przynieśli mi je na srebrnej tacy! O sposobach, których użyłem, wstydę się mówić, nie z racji ich nikczemności – skądże znowu! – lecz dlatego, że były aż nazbyt banalne: włamanie i przekupstwo. Zwykle sposoby wchodzenia w posiadanie dóbr świata. A to, co zwykle, jest dla mnie żenujące.

Były to: trzy kieszonkowe notatniki (jeden z nich znajdował się przy ciele Pabla, i ten najtrudniej było mi zdobyć – aczkolwiek stopień trudności w tego typu sprawach jest odwrotnie proporcjonalny do wysokości konta w banku, na szczęście), brulion w miękkiej okładce oraz kilka pokreślonych maszynopisów, pisanych na cienkiej przebitce, z wstawkami i uzupełnieniami na marginesach. Moje edytorskie poczynania ograniczyły się do uszeregowania tego wszystkiego. Nie zmieniłem ani jednego słowa.

Pora na pryncypia. Kim był Pablo dla mnie, i kim jest dla innych?

Pierwsze jest proste. Kochałem go.

Znów słowo żenujące prostaczków! Bardziej na miejscu byłoby wspomnieć o długotrwałej przyjaźni, jakże niezwyklej (wydawca i jego autor: to się już nie zdarza!) i jakże szczytnej; o tym, jak – nadając Éditions Laventure charakter jedyne w świecie prawdziwego, potężnego i opartego na zasadzie zysku wydawnictwa, otwartego dla wszystkich odłamów lewicy, więcej: dla wszelkiego protestu (nędzne oficynki, próbujące mnie naśladować, działają jak sekty, nie przedsiębiorstwa, a rzekoma bezinteresowność nie sprzyja propagandzie idei) – jak zatem kształtując profil mojej firmy wydałem i rozreklamowałem tom przemówień Pabla oraz jego „Taktkę rewolucji”; jak zaczęły się wówczas i jaki kształt przybrały potem nasze kontakty; jak umożliwiłem zorganizowanie Kongresu (naiwni tylko mogą przypuszczać, że bez moich pieniędzy, bez moich możliwości, jedynie dzięki wzniosłym intencjom, coś podobnego dałoby się w ogóle zrealizować)... Nie mam zamiaru tego robić. Kochałem go. Poniżyłem się przed nim, upokorzyłem, uznałem jego wyższość. Tylko jego jednego. Nie kochałem nikogo poza nim – i nie podporządkowałem się nikomu poza nim.

Kim jest Pablo dla innych? Gadgetem.

Znów wywołam zgorzienie. A jednak!

Przechodząc przed paroma dniami jedną z ulic szesnastej dzielnicy Paryża, zobaczyłem wystawione na sprzedaż – po dwadzieścia franków od sztuki – krwistoczerwone plakaty z twarzą Pabla i słowami: KTOŚ MUSI ZACZAĆ. Na moich oczach plakat kupiła kobieta w norkach i z troską złożyła rulon na tylnym siedzeniu swojego Porsche'a.

Już przedstawienie tego obrazka wywoła śmiech, ale będzie to – wiem o tym! – śmiech ze mnie. Dobrze pamiętam karykaturę (przedrukowały ją dziesiątki czasopism, tak była zabawna), przedstawiającą pokracznego garbusa, który, siedząc na workach ze złotem, ostrzeliwuje bank. Jestem – wszyscy o tym wiedzą – nieco ułomny. Mówiąc krótko: jestem garbusem. Pokracznym? Och, zapewne! A Pablo, piękny Pablo, w którym kochały się do szaleństwa wszystkie kontestatorki, Pablo cierpiał przez całe życie na ohydny egzemplarz – szczególnie nieznanym, ujawniony w tych oto zapiskach. Czy zatem bunt jest sprawą chorych, kalekich, niesprawnych? Czy zgodnie z ludowym odczuciem, dusza – uduchowanie – to atrybut fizycznych wybierków, a zewnętrzna uroda i doskonale zdrowie same przez się stanowią dowód głupoty i bezduszności?

Wracam do tego, czym stał się dla świata Pablo Estravados, dodawszy do bohaterstwa męczeństwo. Stał się rzeczą.

Oczywiście, jego sława przekroczyła granice, które on sam, w momencie najlepszego samopoczucia, mógłby przed sobą zakreślić. Rock-opera „Pablito” przyciąga tłumy do teatrów Nowego Jorku, Londynu, Paryża, Rzymu czy Sztokholmu; opera jest dostępna na płytach czy kasetach, a dochody ze sprzedaży mogą przyprowadzić o zawrót głowy. Pablo sceniczny śpiewa „What do I feel?” i „I love you, people”¹¹ tańczy w czarnej skórzanej kurtce i z pistoletem, otoczony dwudziestoma girlsami w partyzanckich strojach, by uwieńczyć całość duetem z Chrystusem – na dwóch trapezach, zawieszonych pod samym sufitem. To wersja dla mas, bo w awangardowej sztuce, grywanej tu i ówdzie, sztuce niejakiego Charlesa X.Y.Z.(?), „Somebody has to begin”,¹² aktor grający Pabla rozbiera się do naga, onanizuje, i na stole prosektorijnym – pod akompaniament tam-tamów – gwałci po kolei czterech najbardziej akurat znanych mężów stanu (ich odtwórcy noszą maski, pozwalające na szybką i niezawodną identyfikację). Fotografia Pabla drukowana jest na podkoszulkach, które sprzedają się ponoć znakomicie. Czy to naiwny i głupawy kult? Skądże. Urzeczowienie przeciwnika jest metodą dobrze znaną i niezmiennie skuteczną. Pablo Estravados został urzeczowiony w stopniu, który odebrał mu wszelkie realne znaczenie. Pablo Estravados – polityk, działacz, ideolog – nie istnieje. Pozostał twórca słów „Ktoś musi zacząć” (którym zresztą można nadać najbardziej dowolne znaczenie), bohater (o którym nie wiadomo dokładnie, co właściwie bohaterskiego zrobił), właściciel twarzy, umieszczanej na podkoszulkach. Rzecz, gadżet, trup.

Pragnę go wskrzesić.

Parę słów o chwili, w której to piszę.

Ruch lewicowy, którego Kongres nie zdołał zjednoczyć, w ciągu niewielu miesięcy przeżył zniemną degrengoladę. Wszystko, co w nim było czystą kontestacją, przestało istnieć. Znikły z powierzchni ziemi grupki o cudacznych nazwach. Zabawa w politykę skończyła się. Jedynym istniejącym obecnie sposobem uprawiania polityki przez amatorów (nazwa „działalność opozycyjna” nie byłaby ścisła, jako że opozycja tolerowana – to działalność fachowców, instytucja troskliwie pielęgnowana i kontrolowana przez władze, instytucja, której zadaniem jest utrzymywanie gry pozorów), jedynym takim sposobem jest terroryzm. A więc – aktywność pozapartyjna, poddana prymatowi Praxis, aktywność ugrupowań polityczno-militarnych, wywodzących się z nurtu Nowej Lewicy i idei Pabla, wprowadzająca w życie jego słowa „Ktoś musi zacząć”. Odpowiednik początków działalności socjaldemokracji rosyjskiej. Zaledwie kilka organizacji (nie licząc pojawiających się i gasnących efemeryd): Rotę Armee

¹¹ What do I... (ang.): Co czuję? i Kocham cię ludu.

¹² Somebody... (ang.): Ktoś musi zacząć.

Fraktion (RAF) w Niemczech Zachodnich, Brigade Rosse i Primea Linea we Włoszech, Czerwona Armia w Japonii, montaneros w Argentynie. (Świadomie wyłączam z tego – oczywiście! – ruchy nacjonalistyczne, a więc przede wszystkim burzliwe i skomplikowane działania Palestyńczyków oraz Irlandzką Armię Republikańską).

Wściekłość, którą budzi tych kilka organizacji w sferach rządzących, jest dobrym miernikiem ich znaczenia. Kiedy to piszę, w Niemczech Zachodnich trwa obława, nazywana „największym w historii polowaniem na człowieka”: na wszystkich murach rozlepiono listy gończe, na głowy poszukiwanych nałożone zostały – jak w średniowieczu – wysokie ceny, nad krajem krążą helikoptery, niezauważenie znaku zatrzymania, danego przez policjanta, jest dla kierowcy samochodu wyrokiem śmierci; nie tylko policję i wojsko, lecz całe społeczeństwo postawiono w stan alarmu. Helikoptery, radiowozy, oddziały motocyklistów, psy policyjne, reflektory rozświetlające noc – w poszukiwaniu wroga publicznego nr 1, Ulriki Meinhof. Tuzdzień wrogów publicznych nr 1, punkty a, b, c, d: Andreasa Baadera, Gudrun Ensslin, Jana-Carla Raspe, Holgera Meinsa. Piątki dziennikarzy i pisarzy, którzy wystąpili przeciw państwu: kadry przywódczej RAF.

I nie jest to problem „wewnętrzny”. W obławę zaangażowały się różne kraje i różne policje: symbioza policji narodowych staje się na naszych oczach faktem, policja staje się ciałem uniwersalnym. Internacjonalizm policyjny: czym wywołany? Popłoch: na skutek czego? Pojawienia się grupy, jak głosi się nam ex cathedra, najwyżej trzydziestoosobowej, z kilkusetosobowym zapleczem organizacyjnym, z paroma tysiącami sympatyków. Organizacji zarzuca się sześć napadów na banki i kasy oszczędności, dwa włamania do urzędów, połączone z rabunkiem paszportów in blanco, pieczęci itp. cztery zamachy bombowe (dwa w kwaterach amerykańskich sił zbrojnych na terenie Niemiec, jeden – inicjatywa oddolna, nie skoordynowana i potępiona przez kierownictwo – w wydawnictwie Springera, jeden – przeciwko osobie sędziego z Karlsruhe). Gdyby chodziło o gang kryminalny, sprawa byłaby lokalna i nie zajmowałaby miesiącami pierwszych stron gazet. Ale to nie jest gang kryminalny – choć członków organizacji przedstawia się jako pospolitych bandytów. Więc o co chodzi? O jaką ideę? Czy może nie o ideę, lecz o to, co się czci pod przyjętą przez grupę zasadą Praxis? O coś, co jednoczy rządy, policje i armie?

... Ja, przyjaciel Pabla, współorganizator Kongresu, widzę ostrą i wyraźną linię, łączącą idee i czyny mojego przyjaciela z ideami i czynami „terrorystów” w ciągu tego niedługiego czasu, który od przerwania Kongresu upłynął. Łączę neo-Chrystusa postępowych burżujów, gadget, rzecz, bohatera opery, z ludźmi budzącymi trwogę i odrazę, atakowanymi przez wszystkich, z prawa i z lewa, otoczonymi rozdmuchiwaną za wszelką cenę wrogością, izolowanymi. Pablo, ulubieniec tłumów, od momentu swej śmierci (nie wcześniej!) był także izolowany. Został zabity w porę. Zanim wybuchła pierwsza bomba, zanim padły pierwsze strzały tutaj. Nie w jakimś egzotycznym kraju, wśród biednych dzikusów, nie mogących wykrzyknąć się na skrzynce po coca-coli w Hyde Parku lub (na jedno wychodzi) w parlamencie, by w ten sposób rozładować swe stresy i frustracje. Nie wśród Latynosów, tych podludzi, którym wybaczymy koncepcję partyzantki miejskiej, dopóki wcielają ją w życie u siebie. Gdyby Pablo nie zginął, może to jego szukano by dziś tu, w spokojnej, demokratycznej i eleganckiej Europie, przy pomocy helikopterów i psów policyjnych, zamiast sprzedawać jego portrety zachwyconym damom w norkach. On także głosił prymat Praxis. Głosił znaczenie **przykładu**. Danego przez poświęcenie własnego życia, jeśli trzeba. Zginął za wcześnie. Wszyscy zżymaliśmy się na nieludzkie reżimy, panujące gdzieś hen, pod palmami, wśród buszu, w Andach, obojętne. Czynniki Pablo walczył z tamtymi reżimami: to zacnie. Tu, w naszym świecie, obok nas, nie zdążył zacząć. Nie zdążył powiedzieć tego, co miał do powiedzenia. Wokół Kongresu unosiła się fala perfum kontestacji. O obecności kilku członków RAF zdecydowana większość dowiedziała się dopiero wtedy, gdy ich, po rozbiciu Kongresu – na skutek czyjej zdrady? – aresztowano. Oni także nie zdołali zabrać głosu.

Naturalne pytanie: czy ja popieram „terroryzm”. Ależ tak! Być może, niedługo się o tym przekonacie. Słowa są niczym wobec czynów.

Kilka faktów, na które pragnę zwrócić uwagę.

Pablo znajdował się przez krótki czas we władzach nowego państwa, które dokonało lewicowego przewrotu. Opuścił je. Z niepowodzenia jednego eksperymentu (czy wręcz wszystkich eksperymentów!) nie wyciągnął jednak wniosku o fałszywości idei, która eksperymentowi przyświecała.

Był zwolennikiem rewolucji permanentnej, nie będąc trockistą.

Z marksizmu brał przede wszystkim teorię wartości dodatkowej, uważając ją za najistotniejszą, i – w dalszym ciągu – za podstawę rozumienia świata. (Wyjaśnienie dla niedouczonek: teoria wartości dodatkowej to źródło definicji pracownika „produkcyjnego”, baza wyodrębnienia klasy robotniczej).

Analiza klasowa naszego świata zostanie przeprowadzona w akcji: ten prymat Praxis, pojawiający się w wypowiedziach Pabla, został podjęty przez „terrorystów”, to samo hasło przewija się przez (wydane przeze mnie) zapiski Ulriki Meinhof.

Chciał poruszyć opinię. Poruszenie opinii uważał za pierwszy krok do rozchwiania fundamentów państwa.

Wierzył w moralność polityki. Pod tym względem był straszliwie anachroniczny; pod tym względem cofał się aż do tradycji Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Kryterium przydatności rewolucjonisty, mało – kryterium jego rewolucyjności była dlań inteligencja. Dlatego właśnie.

*

Jerome Laventure nie skończył swojej przedmowy do „Dziennika”. W trakcie pisania jej zniknął. Po kilku dniach jego zwłoki wyłowiono z Sekwany. Komunikat medyczny, podany przez policję, głosi, że przed utopieniem został zastrzelony. Jawnie głoszone przez tego najwybitniejszego bodaj wydawcę naszej epoki poparcie dla terroryzmu oraz jego niewątpliwe kontakty z terrorystami pozwalały znaleźć łatwe „wytłumaczenie” tego, co się stało: kto mieczem wojuje... Czy jednak nie jest to zbyt proste?

Nigdy nie odnaleziono zabójcy Laventure’a, tak samo, jak nie odnaleziono zabójcy Estravadosa. To łączy te dwie śmierci.

Michael Bernard
Prison de la Santé

20

Lusterko przestało zachodzić parą. Wszystko minęło, i wszystko zostało zapomniane.

Któregoś dnia Jean-Paul zerwał ze ściany wyblakły, postrzępiony portret Estravadosa.

Któregoś dnia zniszczono portret Estravadosa przy zmianie tapet w pokoju Sylvie, a Sylvie nie zaprotestowała.

Któregoś dnia chłopak, który czytał kiedyś książkę Estravadosa jadąc na stopniu zatłoczonego autobusu, i rozplakał się nagle, czytając, sprzedał tę książkę w antykwariacie.

Któregoś dnia lewacy, przemawiający w Hyde Parku, nie umieścili portretu Estravadosa obok zatkniętego nad skrzynkami po coca-coli sztandaru.

Przestał należeć do epoki.

- Wielkie nieba! Jak ty wyrosłaś!
- Przecież posłałam ci zdjęcie do więzienia. Przecież wiedziałeś jak teraz wyglądam.
- Wszystko jedno. Pamiętam, jak poznałem cię u Laventure’a ... dziecko! Byłaś wtedy dzieckiem. A teraz...

I Michael Bernard ogląda Conchitę od stóp do głów, cofa się nieco, żeby ją lepiej obejrzyć: kobieta! Z dorosłymi piersiami pod białym podkoszulkiem, z dorosłymi biodrami w niebieskich dżinsach, z tuszem na rzęsach i szminką na ustach. – Dopiero teraz widzę, jak długo naprawdę byłem w więzieniu. A mówi się o mnie jak o wielkim szczęściarzu. Że skrócono mi to do czterech lat. Że cóż to w ogóle jest, cztery lata!

- Przecież już osiem miesięcy temu wyszedłeś z więzienia.
- Tak dokładnie liczyłaś? No tak, ale wyjechałem, wiesz. Nie mogłem cię od razu zobaczyć. Teraz żałuję... bardzo żałuję. Wiesz, twoje listy, kiedy siedziałem... Byłem zaskoczony, że w ogóle do mnie napisałaś.

Czy mogła nie napisać? Do człowieka, który zrobił coś takiego?

Posłuchaj – myśli, mówi w milczeniu na tarasach kawiarni, przy restauracyjnych stolikach, podczas spaceru przez park, w zatłoczonej sali, w której Michael przemawia, i z której wyjdzie potem z nią razem – posłuchaj. (Nie powie mu tego, nie ośmieli się. Więc tylko myśli, tylko udaje przed sobą, że mówi). Zaczniemy od tego, co najważniejsze. Nie kochałam go. Nienawidziłam.

Któregoś dnia powie to jednak. Zna już Michaela dość dobrze. Oswoiła się z nim. A zresztą on pyta, ciągle pyta, umie to robić – a ona nie umie odmawiać odpowiedzi.

– Powiedziałaś kiedyś tej pindzie Laventure’a, tej jego legalnej szesnastolatce: „Gdybym wiedziała, kto to zrobił, posłałabym mordercy kwiaty”. A ona się zgorszyła, Jezu, jak ona się zgorszyła!

- Czemu go nienawidziłaś?
- A wyobrażasz sobie dziecko, kochające ojca, który je porzucił? Chyba obłąkane! Porzucił mnie i mamę, złamał mamie życie, i tego nie mógł niczym odkupić, nie ma dwóch miar, jest tylko jedna, tylko jedna! Uważasz, że to, co zrobił dla „ludzkości” – dobre sobie, dla ludzkości! – może zrównoważyć te wszystkie przeplakane lata mojej mamy? To było wcześniejsze zobowiązanie, jak mówiono dawniej w wyższych sferach...
- Ciągłe się tak mówi.
- Tak? Cóż, ty znasz „wyższe sfery”. Muszę cię irytować, co? Taka prostaczka!
- Ależ, Conchita.
- No więc, to było „wcześniejsze zobowiązanie”: kto ma jedno, nie może brać na siebie następnego.

– Serio tak myślisz?

Wzruszenie ramion. Michael pochylił się, patrzy na nią czujnie, starannie wyszczotkowane wąsy opadają miękko przy kącikach jego ust, starannie wyszczotkowane włosy dotykają z tyłu kołnierza tweedowej marynarki, nad czołem zaczynają się już przeredzać: wcześnie. Czy tak myśli? Może i nie. W każdym innym przypadku myślałaby inaczej. Ale to nie był „inny przypadek”, tu chodziło o nią i o mamę! Więc, krótko mówiąc, nienawidziła go. Potem zaczęła czytać: to, co on sam napisał, i to, co napisano o nim. Uznała, że miał rację. Przyjęła jego poglądy za swoje, z modyfikacjami. Zaczęła go podziwiać. A jednocześnie – nie, nie wybaczyła mu, nigdy mu nie wybaczyła! Mamę to wszystko wykończyło. Szybko umarła. Tu, w Paryżu.

- Z czego tu żyła?
- Och, Michael, pisałam ci przecież! Z pieniędzy Laventure’a. Ja też żyję z jego pieniędzy.
- A prawa autorskie? Prawa po Estravadosie?

– To wszystko idzie na konto, ja tego nie ruszam. Zdaje się, że nie mam prawa ruszyć przed dwudziestką. A nawet wtedy... myślę, że on chciałby, żeby te pieniądze szły na jakiś cel. Na... No, nie wiem. Na guerillę. Więc chyba też będę je dawać na guerillę... tylko muszę to wszystko przemyśleć, komu, kiedy, jak.

– Więc żyjesz z pieniędzy Laventure'a?

– No, tak. Laventure przed pójściem na tę akcję, z której nie wrócił – bo to była akcja, nie? – zapisał mamie małą rentę, wiesz, przechodzącą na córkę, o ile, i tak dalej, no wiesz, te wszystkie prawnicze dyrdymałki. Małą dlatego, że mu się nie spodobałyśmy, mama i ja. Nie wydawałyśmy mu się godne, i tak dalej. Non sum digna!

– Ależ on cię lubił!

– Zaczynał. Nie zdążył polubić. Zresztą, to wcale nie tak mało, jestem świnią! Mało przez porównanie z tym, co miał. Ale starcza mi na świetną kawalerkę... och, na masę rzeczy! I przecież będę zarabiać. Już mnie drukowali w „Libération”, wiesz.

– Wiem. To chcesz robić? Dziennikarstwo?

– To też. Ale zwłaszcza fotografia. A może film? Dokumenty, rozumiesz. Spróbuję iść do szkoły filmowej...

– Ja ci to sfinansuję.

– Ależ, Michael!

– Nie ma o czym mówić.

– Michael, nie trzeba. Ja w ogóle czuję się jak pasożyt. Tylu ludzi mi pomaga... bez żadnego powodu, bez żadnych moich zasług, tylko dlatego, że jestem jego córką! Zwłaszcza odkąd umarła mama. To aż wpędza w kompleksy.

– Wszystko jedno. Zrobię to, co powiedziałem.

– Och, Michael, dziękuję!

Patrzy na niego z zachwytem. Jego skromność, jego schludność, jego powaga, jego mina dobrego ucznia, prymusa, pieszczoszka tuzina starych ciotek, jego... tak, jego czystość. To, co się wydaje czystością. Nie niewinnością, nie brakiem doświadczenia; czystością. Co może bardziej pociągać kobietę? Nic. Nie ma rzeczy tak zachwycającej, tak podniecającej, tak doprowadzającej do rozpacz, jak czystość mężczyzny. Och, Michael.

22

Policjanci zagroździłi ulicę. A teraz nagle ruszają, rozpościerając pelerynki, te swoje słynne pelerynki, podbite ołowiem, atak nietoperzy! Ruszają na nich, i pierwsze rzędy uginają się odruchowo, cofają, odchylają do tyłu – ale z tyłu też są gliny, i z boków, rzucili się na nich, przeszli do ataku! Nie, nie cofaj się. Właśnie się nie cofaj. Jedyna szansa. Do diabła, rzuć się na niego. Nie, nie tak. Bardziej w prawo. Ktoś szarpie, szarpie paznokciami bruk, och, dureń. To trzeba było przygotować wcześniej: kamienie. Jak on teraz wyrwie tę kostkę? O: już go powalili. Przebiegli po nim. Tratują.

– Mordercy! – krzyczy Conchita (psiakrew, ona też ma puste ręce, psiakrew, szczeniara, zupełna szczeniara, starsi nauczyli się czegoś w tym swoim słynnym Maju, a oni? Durnie, co za durnie, och, biedak, już po nim). – Mordercy!

Tłum też to woła. Weterani – dobre sobie, osiem lat potrafi zrobić z człowieka weterana – zdołali nawet zachować rytm, melodię wiecowego sloganu,

ta ra ra, pam pam, pa ra ra ra ram,

melodię epoki, motyw przewodni symfonii, symfonii z krzyku, wrzasku, tupotu butów, gwizdków policyjnych, wycia klaksonów, pisku hamulców, jęku tratowanych: gdybyż ją ktoś zapisał, gdyby ją skomponował, tę symfonię! O tym, co najważniejsze. Głupia myśl, w takiej

chwili. O tym, co najważniejsze: bo nie ma nic ważniejszego od tego buntu! Od tego: nie! To nas łączy. Gruba krecha, przez całą historię: NIE. NIE. NIE. Od tego trzeba...

Co za ból!

Kiedy to się stało? Kto to zrobił? Zdawało się, że ją minął, że nawet jej nie dotknął... Przekłęty glina. Właśnie dotknął: ogniem. Dotknął: nic więcej.

– Ul-ri-ke! Ul-ri-ke! Mordercy!

Zgubili swoją melodię. Zgubili ją. Jak sztandar, kiedyś, w dawnych bitwach.

TA RA RA – PAM

Tylko tyle. Wyrwało się z tym kilka głosów, jeden takt, jeden wyskandowany takt, i nic więcej. Już ich przywalili, już zatopili: musi być źle.

Mają rację. Dzielne chłopaki. Właśnie teraz, kiedy gliny z przodu musiały się poruszyć, wziąć się do roboty (pelerynki, pałki, buty), właśnie teraz można dopaść do ambasady. Ktoś rzucił butelkę. Pali się! Pali!

– Ca brû-û-û-le!

Długi, przeciągły wrzask, wrzask triumfu. I melodia wróciła. Znów ją skandują, tam w środku.

Teraz. Może i ona się przemknie. Tam, pod ambasadę. Z pustymi rękami, idiotka, gówniara, z pustymi rękami!

Już ją mają.

Właśnie, że nie. Wyrwała się. Z ich płomiennym śladem na ramieniu, na boku. Z rozerwanym, oderwanym rękawem bluzki. Przygięła się w kolanach, przemknęła pod łokciem gliny, teraz.

– Uciekaj!

Przystąpili do ataku. Psiakrew, to gaz. Nie oddychać. Tyle wie. Przez chwilę można przecież nie oddychać. Oczy łzawią, to głupstwo. Byle nie oddychać. Przed siebie. Tam było puisto. Za chwilę odzyskasz wzrok.

Już.

Rzucili się za nią. Z przodu nie ma nikogo. Więc biec jak można najszybciej. Nie dogonią jej, wykluczone. W tym ciężkim rynsztunku, w tych buciorach, z całym tym ołowiem. I nie są już najmłodszy. Siedemnastolatkę w tenisówkach, w dzinsach, w strzępach bluzki, bez niczego więcej? Siedemnastolatkę, biegnącą ze wszystkich sił? Nie dogonią.

Dogonili. Bez trudu.

Niosą ją do karetki. Biją. Ten, który jej nie niesie, wali kilka razy pałką, po nogach, po rękach. Że też mu się chce, że też nie ma nic innego do roboty. W takim rozgardiaszu!

Ich twarze, twarze glin.

Podniecone. To zapamiętaj. Co za blask w oczach! Większy niż u nas. Te twarze, mokre od potu, błyszczące, napięte, wściekłe. Te odsłonięte zęby. Wściekłość, tak: ale przede wszystkim podniecenie. Człowieku, oni się spuszczaają, kiedy to robią! Kto by pomyślał. Ach, nie, każdy o tym wie. Ale i każdy dowiaduje się kiedyś po raz pierwszy. Na tym polega ich sekret. Sekret glin. Aspekt seksualny tłumienia demonstracji, no, ujmij to trochę bardziej naukowo, i pisz dysertację. Seks w godzinach pracy na przykładzie policji. Seks jako część wynagrodzenia za pracę na przykładzie policji. Cholera, co za twarze.

Chłopcy twierdzą, że przed taką robotą daje się im narkotyki. W wojsku też, komandosom. Ale może nie mają racji. Niekoniecznie. Psiakrew, jak to boli.

Jest ich już pełna buda, więcej nie upchną. Zaraz ruszą. Przez każdą szparę, przez każdy otwór, jeszcze skandują, ściśnięci w karetkce, ale już tylko imię:

– Ul-ri-ke! Ul-ri-ke!

Psiakrew, jak boli. Teraz, dopiero teraz. Kiedy ruszają, zamknięci, sześcioma ścianami odgroźdzeni od tego żywego morza, które jeszcze szaleje na zewnątrz. Można od tego zdechnąć. Psiakrew.

– Ty idiotko!

Michael nawet na nią nie patrzy, lusterko wsteczne, lusterko boczne, przednia szyba, nic więcej dla niego nie istnieje. Jego ręka – czysta, wypięłgnowana, o starannie wyszorowanych, polerowanych irchą paznokciach – przesuwają dźwignię biegów. Tuż obok jej ręki. Czarnej. Lepkiej. Obok jej nogi, ze zwojem bandażu wystającym spod nogawki pochłapanych krwią dżinsów. Okrył ją swoją marynarką, to piękne. Och, to wzrusza prawie do łez! Te strzępy, te krwawe sińce. Ale nic złamanego, to grunt. Potłuczona, nie połamana. I rentgen niczego nie wykazał. Ma szczęście.

Na lewe ramię, od łokcia do nadgarstka, założyli jej longetę, tak się to nazywa: nawet nie przeszkadza. Niespecjalnie. Mimo że przytrzymujący ją bandaż zachodzi aż między kciuk a palec wskazujący. Do diabła, ileż ona ma krwi pod paznokciami!

– Po co tam poszłaś? – pyta jeszcze raz Michael. – Po co się w to pchałaś? Cud, że cię wyciągnąłem. Przecież ty nie masz naturalizacji, swoją drogą to trzeba jakoś załatwić, naturalizację...

– A jak mnie wyciągnąłeś?

Jak bosko. Wstyd o tym myśleć – ten trup, ten trup w celi więziennej, ten trup w kostnicy, to się nie zmieniło, nic się od wczoraj nie zmieniło! – a jednak. W samochodzie, obok Mickey. Z jego marynarką na ramionach. W ten mglisty, szary, dotykający właśnie ziemi pierwszymi mackami mżawki, następnego dnia.

– Jak? Normalnie. Nieletnia, sierota, i to nazwisko... mógłby być krzyk przy ekstradycji... i... Ale to nieważne. Pytam cię, jak mogłaś zrobić takie głupstwo. Po co tam poszłaś? Po co ty się, na litość boską, pchałaś pod tę ambasadę?

– No, jak to? Mickey, jak to? Przecież ją zamordowano!

– A co to ciebie obchodzi?

Aż się wzdrygnęła. Ale to z troski, z troski o nią, to piękne.

– Mickey, **zamordowali** ją! W celi. W więzieniu. Po czterech latach tortur. Grozili tym. Od dawna grozili. A teraz, podczas tej parodii procesu... żeby nie mogła zeznawać! Żeby nie mogła powiedzieć. Zrobili z nich wariatów, zboczeńców, pospolitych bandytów... i teraz, kiedy główna osoba w tym wszystkim mogła wreszcie przemówić...

– Dziecinada. To było samobójstwo. Skąd wy wszyscy macie tę pewność, że to nie samobójstwo? Znalezione ją powieszoną w celi, prawda? A wy od razu pędzicie pod niemieckie ambasadę, od razu macie pewność: zamordowana, morderstwo!

– Pod **ambasady**? Mickey, gdzie indziej też się ruszyli, prawda? W całej Europie?

– Och, jasne. Wszędzie.

Conchita odpręża się i opiera mocniej plecami o brązowy skaj z uśmiechem.

– To wspaniale. Zobacz, Mickey, ludzie jednak są wspaniali. Nie?

Michael prychnął tylko, pochylając się nad kierownicą. Już dojeżdżają.

– A prawnicy? Niemieccy adwokaci? Czy już...

– Och, tak, zażądali powołania międzynarodowej komisji śledczej dla zbadania okoliczności śmierci... i tak dalej. Oni też krzyczą wielkim głosem o morderstwie, jasne.

– Widzisz, Mickey, widzisz.

– I czego to dowodzi?! No, jesteście. Pójdiesz teraz do mnie. Chcę ci powiedzieć... Stało się coś o wiele ważniejszego od tych waszych wygłupów z Ulrike Memhof! Wczoraj dzwoniłem do ciebie, chciałem ci o tym powiedzieć, ale już pewnie wyszłaś... na tę idiotyczną manifestację. Od razu się domyśliłem.

– Ważniejszego?! Co?

Michael wyciąga z kieszeni w drzwiczkach samochodu książkę, pokazuje ją.

– Widzisz? Dostałem to wczoraj w wydawnictwie, pierwszy egzemplarz. Ten kretyn Wiener... kto by się tego po nim spodziewał? Słyszałaś, co z nim zrobili studenci sześć lat temu? Zerwali mu okulary, połamali parasol i pomalowali go czerwoną farbą. Aha, i przyczepili mu jakieś hasło do marynarki. Więc po nikim bym się mniej nie spodziewał...

– „Pour épater la classe ouvrière”¹³? – Conchita odczytuje to z okładki i chichocze. – Świetny tytuł.

– Daj spokój, stek bzdur. Będę miał teraz mnóstwo roboty... a zupełnie mi to nie na rękę, i tak mam jej za dużo. Ale muszę na to odpowiedzieć. Nie w prasie: książką. Przygwoździć mu każdy argument. Fakty, liczby. Upewnię się tylko, czy z tobą wszystko w porządku, i jadę na wieś. Muszę to szybko napisać... wydadzą mi w extra-tempie, już się porozumiałem... w końcu moje nazwisko coś znaczy! Wszystko, co wydam, jest rozchwytywane!

O Boże, co on plecie? W takiej chwili?

24

Zmęczenie. Teraz dopiero je czuje. I odprężenie. Dreszcze, w każdej cząsteczce ciała, miliony dreszczy. Szczękanie zębów. Oczy zmienione w dwie klepsydry: jak się w nich przesypuje piasek! Ziarnko po ziarnku. Bezustannie. – Napij się – mówi Michael. Sobie też nalewa. O tak, tego jej było trzeba. I jemu. A good drinking-day, pamiętasz tę piosenkę? Jeszcze trochę.

Teraz chciałaby mówić. Teraz może mówić. Ciągle o tym samym. Tak się dziwisz naszej pewności, że to morderstwo? A pewność władz, że samobójstwo wcale cię nie dziwi? Mało, że przed sekcją, jeszcze przed oględzinami zwłok najwyższe władze ogłosiły, że to samobójstwo. Nawet z miejsca miały motyw: że przekonawszy się o krachu swojej idei... że to dowód jej krachu... że przyznanie się do klęski. Dobre, co? Świństwo. Ach, Michael! Pomyśl, co z nią zrobiono. Pamiętasz ten film, w telewizji? Te zdjęcia z jej aresztowania? Pamiętasz, jak gliny pokazywały jej twarz fotografom? O mało nie wyłamały jej szczęki... A potem narkoza. Znęcanie się. Osiem miesięcy na totentrakcie... jak to, Mickey, nie wiesz, co to jest totentrakt? Kompletna izolacja. Wykluczenie wszystkich dźwięków. Wieczne światło. Pamiętasz, jak Sartre tam pojechał, do Stammheim? Zobaczyc Baadera? Bo z Baaderem zrobili to samo. I jak dopiero po protestach Sartre’a...

– Ach, Sartre! – mówi Michael z pogardą. – Sartre dawno się skończył.

– Nic podobnego, to ciągle jest autorytet! On coś znaczy. Wiesz, co widziałam niedawno na stacji metra Rodin, koło muzeum? Napis: „Sartre żyje”, dobre, co?

– Daj spokój, po co o tym tyle mówić.

– A decyzja zrobienia jej lobotomii? A...

– Daj spokój, Conchita.

– A jak podczas głodówki pozbawili Baadera wody? Ze niby jak ktoś nie chce jeść, to niech i nie pije, niech zdycha! A jak Holgera Meinsa podczas głodówki odżywiano sztucznie, a jakże, ale dawali mu tylko po czterysta kalorii dziennie, tak, żeby jednak umarł z głodu – i umarł! – ale żeby oni byli kryci? Wtedy jeszcze byłam idiotką, nie poszłam na demonstrację... ale teraz już wiem, co trzeba robić. Teraz wiem. Nigdy, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła...

– Najpierw załatw naturalizację – mówi Michael. – Ale i potem... co to da? No, co komukolwiek da demonstracja? Ciągle się to robi. I jeszcze nigdy...

¹³ Pour épater... (fr.): Dla zaszokowania klasy robotniczej.

– Uważasz? – Conchita patrzy na niego, poruszona. – Więc ty też uważasz, że żadne drogi legalne ani półlegalne, ani nawet nielegalne, ale względnie bezpieczne... że to pić, że one nie dają? Że to tamci mają rację? Ulrike i tamci? Że tylko guerilla?

– Nic podobnego! Nic podobnego! Och, Conchita, pomówimy o tym potem. Przejrzyj tę książkę, proszę cię. Przeczytaj chociaż wstęp.

– Ale o co chodzi?

– Wiener daje teorię. Rozumiesz? Daje terroryzmowi teorię. Oczywiście, oni jej nie zaakceptują... teraz nie... ale potem? Kto wie? Widzisz, oni wszyscy wychodzą od marksizmu... a Wiener odwraca marksizm do góry nogami, pyszałek. Bierze teorię wartości dodatkowej i marksistowską analizę klasową społeczeństwa... sposób własności środków produkcji, kryterium pracy najemnej, kryterium pracy produktywnej... i robi podmiot historii z tych nieproduktywnych, bez środków produkcji. Z inteligencji. Z nas.

– Och, to już chyba było?

– Nie tak. To jest atak i na współczesny kształt społeczeństwa – obojętne, w jakim ustroju – i na całą lewicę. Program samoobrony inteligencji. Objęcia władzy, realnej władzy społecznej. Program dla nowych ciemnych. I pochwała terroru, jako jedynej metody tych, którzy nie mają możliwości nacisku ekonomicznego. Cała druga część jest o fałszywej świadomości – to termin filozoficzny, mam nadzieję, że wiesz, klasyczny, la fausse conscience – współczesnej lewicy. Zresztą, czego tu nie ma! Zbieranina. Oczywiście, Wiener odcina leninizm od marksizmu. To, co nazywamy obecnie socjalizmem, to tylko demokracja ludowa: ustrój, różniący się od kapitalizmu, nawet państwowego, ale ani socjalizm, ani nawet jego pierwsza faza. Socjalizm jest ciągle przed nami. Mamy tu całą teorię konwergencji... – Michael szybko kartkuje książkę. – O, masz. Półśrodki rujną gospodarkę, a na półśrodki skazała **KS-y** już teoria najsłabszego ogniwa... Każdy wierzy zwycięzcy, stąd całe zamieszanie i utrata samoświadomości lewicy... Baza decyduje, pod tym względem marksizm Marksa nie zestarzał się ani na jotę, nadbudowa z niej wynika, a w każdym razie nie może bez niej być trwała... Dyktatura proletariatu, zgadza się, ale proletariatem naszych czasów jest inteligencja...

– Zaraz – mówi Conchita – toż od tego mamy jeden krok do dyktatury biurokracji.

– Otóż to! Chwytasz? No właśnie! Wielka mi nowość! Oczywiście, Wiener niby to się przed tym zabezpiecza. O! „Demokracja na pewno nie polega na wolności”, co ty na coś takiego?

– Nie wiem.

– A dalej już czysty anarchizm. Cała struktura przyszłego społeczeństwa, podział pracy: to wszystko wzięte od anarchistów. Dyżury w pracach „brudnych”, rozumiesz. Tak niby ma być zrealizowany postulat wszechstronności przyszłego człowieka, wolności pracy. Przez ten ograniczony przymus. Ach, bzdury. Stek bzdur.

– Więc czemu się tym zajmujesz? Jeśli to bzdury?

– Ależ to jest świetnie napisane! Demagogia pierwszej klasy, to może wywołać wrażenie. „Głównym wrogiem inteligencji jest narzucona jej fałszywa świadomość”, o. I cała ta rehabilitacja oddolnego terroru! Tu są jeszcze konkrety o wtórnym podziale dochodu narodowego, o problemie wartości dodatkowej w związku ze statusem inteligenta... no, mniejsza. A jeśli chcesz wiedzieć, jak ten demagog to pisze, przeczytaj sobie wstęp. Przeczytaj i powiedz mi: jak myślisz, czy to może kogoś przekonać?

Więc Conchita bierze książkę, otwartą na pierwszej stronie, podsunęta jej przez małego Mickey – czym on się tak denerwuje? – bierze ją i zaczyna czytać. Podczas gdy Mickey nalewa sobie wódki, i jeszcze raz, i znowu. Jak można lubić wódkę? Jeden kieliszek, dobrze; ale tyle?

„Mieszczaństwo zostało już ośmieszona ostatecznie, powalone na kolana; nie zniszczono mieszczaństwa, ale odebrano mu duszę. Odkąd słowa „pour épater le bourgeois” stały się idiomem, burżuja przestało epatować cokolwiek. Od ilu to już lat wstydz się przyznać do swego zgorzenia! Zagładę klasową mieszczaństwa poprzedziło tchórzliwe wyrzeczenie się przezeń wszystkich głoszonych wartości, poddanie się osądom wrogów, zaakceptowanie w całej rozciągłości wniosków, płynących z naszego idiomu. Jeżeli mieszcuch to człowiek, który się gorszy, człowiek nie gorszący się niczym nie jest mieszcuchem. Co za triumf inteligencji, może jeden z największych: narzucić tę definicję à rebours, zapędzić w myślą dziurę ludzi o systemie wartości tak niegdyś niewzruszonym, sprawić, by wylekziony burżuj, z lęku, że zostanie uznany za to, czym jest w istocie, z pogodnym uśmiechem znawcy sztuki pozwał wylewać na siebie wiadra pomyj w byle happeningu! I tak to słowa „epatować burżuj” właśnie dzięki swej celności stały się absurdem: burżuj zepatować dziś nie sposób. Nie wstrząśnie nim atak na Świętą Ideę Macierzyństwa. Nie wstrząśnie pochwała nekrofilii, palenia papierosów i samobójstwa. Nie wstrząśnie żadna intelektualna prowokacja. Zgorzenie przeniosło się w inne rejony, maskę Tartuffe’a podjęły inne warstwy społeczne. Prawdziwą radość czerpać można z epatowania tych, którym nie narzucono jeszcze przekonania, że nietolerancja jest pojęciem wstydlivym, największą winą i największą śmiesznością człowieka, tych, którzy w błogiej naiwności przyznają się do swoich przesądów, którzy wierzą prasie, telewizji i plotce; określenie „la classe ouvrière” nie jest tu bynajmniej ściśle ani wyczerpujące, ale ma jedną zaletę: epatuje. A skoro epatuje, spełnia należycie swoją rolę.

Czym można cię zaszokować, klaso robotnicza? Na szczęście długo jeszcze nie przestaniesz stanowić wdzięcznego pola do eksperymentów: szokuje cię prawie wszystko. Burżuj niemiej ze zdumienia, widząc, jak w swej niewinnej świeżości wykrzywiasz się szpetnie na widok wystawy aktów, a w księdze pamiątkowej wypisujesz z uciechą lub oburzeniem najwstydlivsze słowa istniejące w twoim języku. Raport Kinseya poinformował nas, że miłość uprawiasz krótko, zgrzebnie, nieciekawie i nierzadko w ubraniu; wraz ze wzrostem wykształcenia nabierasz wiedzy o kilku perwersjach i każdą nową znajomość zaczynasz od pełnego, dumnego ich pokazu. A zarazem wiesz przecież, klaso robotnicza – burżuj zatracił już po części tę wiedzę – że to, co fizyczne, jest świństwem; twoje uduchowanie powinno burżuj zawstydzić. Jakże pogardzasz tymi zabawami w łóżku! Jakże pogardzasz zwierzętami, tą kwintesencją cielesności! Jakże potępiasz burżujską manię hodowania piesków i kotków, i z jakim przekonaniem bronisz synka, oskarżonego o oślepienie i pokrajanie na kawałki zwierzątka sąsiadki! Jesteś bowiem nieświadomie kartezyjańska, klaso robotnicza; ale nie tylko zwierzęta są dla ciebie bêtes-machines. Także i ludzie, do ciebie niepodobni. Cóż lepiej cię odróżnia od burżujów i intelektualistów, jeśli nie twoja nietolerancja?

A jednocześnie jesteś solą ziemi i przyszłością świata, klasą przodującą i zwycięską; nic nie może epatować cię bardziej, niż zaprzeczenie temu. Uświęcona przez Marksa, wyniesiona na wyżyny w krajach „socjalistycznych”, świadoma – gdy mówił ci to Marat, nie zrozumiałaś go, ale z czasem pojęłaś – że, aby dorównać najbardziej uprzywilejowanym, musisz zrobić tylko jedno: stanąć z założonymi rękami; świadoma, i słusznie, bezpośredniej przewagi pracowników produkcyjnych nad nieprodukcyjnymi, uwierzyłaś, że nie jest to tylko przewaga bezpośrednia i doraźna ale absolutna. Jeśli uczeni przestaną pracować, „nic” się nie stanie, jeśli ty przestaniesz pracować, nastąpi krach gospodarczy: ta wiedza jest twoją siłą, źródłem twej nietolerancji i źródłem twej pychy. Nauczyl cię tego socjaliści i komuniści, ci, którzy pierwsi zdali sobie sprawę z tego, jaką siłą stanowią: to właśnie „pracownicy nieproduktywni”, Marks, Lenin i wielu innych wpoili ci przekonanie o twej własnej wszechpotędze.

Jak odpowiadałaś na pochlebstwa tych korzących się przed tobą inteligentów? Tak, jak potrafisz: lekceważeniem. Dali ci teorie walki społecznej i sprawiedliwości społecznej, utwo-

rzyli partie, walczące o twoje wyzwolenie, z naiwnym zapałem zaczęły tworzyć dla ciebie nową sztukę: a ty wysnułaś z tego tylko pewność, że są wobec ciebie niczym. Jeżeli ty założysz ręce, nastąpi krach gospodarczy; a jaka katastrofa nastąpi, jeśli oni zrobią to samo? Ale tego nie potrafisz pojąć, i w tym kryje się twoja siła. Burzuje i inteligenci docenili ciebie; ale ty nie doceniłaś ich. We własnym mniemaniu jesteś już nie tylko solą ziemi, jesteś całą ziemią. To twój gust, nie gust dawnych uprzywilejowanych, decyduje o życiu duchowym ludzkości. Sztuka dla ludu, domy dla ludu, opium dla ludu; a więc dla ciebie, tylko dla ciebie. Nikt już nie posiada takiego, jak ty, autorytetu. Jeżeli coś powiesz, najbardziej nawet bezmyślnie, nie ma od tego odwołania. *Populus locuta, causa finita*.

Dlaczego tak święcie wierzysz, że zniszczyć fabryki – to zniszczyć świat, a zniszczyć kulturę – to głupstwo? Dlaczego z takim oburzeniem odmawiasz poprzez twoje urzędy, poprzez twoich przedstawicieli w parlamentach tego, o co naiwnie błagają filozofowie i pisarze, matematycy i kompozytorzy: przywoitych warunków bytowania dla tych, którzy wywalczyli takie warunki dla ciebie? Czy stworzysz im choćby rezerwy, klaso robotnicza? Może – jak to w zgrozie wyobraził sobie Huxley, człowiek, którego nazwisko nic ci nie powie – ześlesz ich chociaż na wyspę, na której będą mogli kisić się we własnym towarzystwie w cichych domkach o wielkich bibliotekach i jasnych, nie za jaskrawych lampach, bez ryku muzyki i tupotu tańca z twoich imienin, bez twoich pijackich wrzasków z ulicy, bez twej nie dającej się pojąć, miażdżącej co sekunda pogardy? Burzuje i inteligenci stworzyli takie rezerwy dla Indian; czy stworzysz podobne dla nich? Ale przecież ty nie rozumiesz sensu ich istnienia! Ty, która w każdym przewrocie społecznym z rykiem uciechy zabijałaś „białorękich”, bo jest dla ciebie dogmatem, że ten, kto nie pracuje przy łopacie, przy maszynie ani przy igle, nie pracuje w ogóle; ty, która podczas każdego wybuchu swej furii paliłaś biblioteki i nożami krajałaś obrazy, dlaczego miałabyś zachować przy życiu Kanta, Bacha, Sokratesa, Platona, Goyę i Prousta, gdyby przyszło im istnieć w czasach twej władzy? Nauczono cię, że myślenie nie jest pracą, nauczyli cię tego myśliciele, albo przynajmniej tak ich pojęłaś w swoim ograniczeniu, tak ich pojęłaś, bo to się zgadzało z twoim zdaniem. Wiesz, że należą ci się fabryki czyste i przestronne, z kwiatami w doniczkach, ze stołówką i palarnią; ale dopuścić myśl, że uczonemu należy się – w myśl tej samej, egalitarnej sprawiedliwości, którą ideologia uchodząca za twoją bezustannie lansuje – mieszkanie większe i lepsze od twojego mieszkania? Że, być może, należy mu się ono za darmo, podczas gdy ty za swoje płacisz? Ależ dlaczego? Bo to jego warsztat pracy, moje klasiątko. Ależ myślenie nie jest pracą! Pisanie nie jest pracą. Nie jest pracą czytanie książek. Nie jest nią malowanie „obrazków”, nie przypadających ci do prymitywnego gustu, ani komponowanie „mozartów” i „schönbergów”, muzyki, której nie-nawidzisz. Bo ty lubisz tylko operetkę i piosenki, klaso robotnicza, tylko portrety pięknych dziewczątek w naszyjnikach z pereł albo łabędzi całujących się dziobami. A więc dla kogo pracują tamci, pogardzani? Dla siebie samych, dla własnej warstwy. Jesteś gotowa za to ręczyć, moja droga. Nie dają ci rzeczy na miarę twojej głupoty, więc niech giną! Zniszczysz nas, prawda? Zniszczysz bez wahania całą kulturę świata, jak to robili już w historii twoi przodkowie i poprzednicy. Niczego nie wiesz o Wandalach, klaso robotnicza – chociaż uczyłaś się o nich w obowiązkowych szkołach, które ci narzuciliśmy! – ale bez trudu mogłabyś zobaczyć w nich siebie. Może wiesz coś o tych prymitywnych plemionach, które niszczyły najświetlejsze i najwyżej wzniesione imperia, właśnie dlatego, że były tak prymitywne, a tamte tak światłe. Ileż to już razy wtratomywałaś w ziemię kulturę, naukę, sztukę, wieczny Hunie! Ileż to razy ludzkość zaczynała wszystko od nowa; ileż to razy po twoim beztróskim przemarszu podnosiła się z ziemi z ciężkim sieknięciem, ale nie mogła stanąć na połamanych nogach; ileż razy zaczynała czołgać się, jęcząc, aż wreszcie dochodziła do poprzedniego stanu i stawała się dla ciebie zagrożeniem, ofiarą, zdobyczą! Czy nie zastanowiłaś się, co jest w nas takiego, że się tak odradzamy? Czy zobaczyłaś cokolwiek poza naszą bezgraniczną głupotą w tej miękkości, z jaką pozwalamy ci rosnąć w siłę, za każdym razem, po tylu doświadcze-

niach? Ale czy można mówić ślepemu o kolorach? Tego jednego nie znasz i nigdy nie poznasz: tolerancji. Ci z twoich członków, którzy to poznali, opuścili ciebie: opuścili sami lub zostali wypędzeni. Jesteś czysta, klaso robotnicza, czysta i nieskałana wyrozumiałością, mądrością, dobrocią. Jesteś ciągle kadrowa. Niszczysz piątą kolumnę. A zatem czeka nas to samo, co spotkało Rzym?

A zatem jeszcze raz wszystko zacznie się od początku. A zatem za dwa tysiące lat ludzkość odkryje znów teorię względności i rozbije atom. Za dwa tysiące lat nowy Gracchus, nowy Marat, nowy Marks zapłacze z rozpaczą nad twym losem, uciemieżona, oszukana, zmuszona do niewolniczej pracy. Znów pomogą ci rozbić kajdany, starając się tylko – dla bezpieczeństwa, masz rację, dla bezpieczeństwa takich jak my – wykształcić cię, podnieść do naszego poziomu, nauczyć tolerancji, sprawiedliwości, dobroci. I zobaczą, co uwolnili. Zwalisz się na nich i na nowy Rzym z tą samą lawinową siłą, z jaką walisz się na nasz Rzym – dzisiaj. Znów zostawisz świat na okrwawionej drodze, stratowany, z połamanymi kośćmi. A świat po paru stuleciach omdlenia jęknie cicho i wolniutko, z tą samą co zawsze głupią nadzieją, z tym samym co zawsze absurdalnym, straszliwym współczuciem dla katów, ostrożnie poczołga się naprzód”.

26

No, dobrze. I co z tego?

Conchita odkłada tomik i ziewa. Książki! Czym się tu przejmować? Pomyśl o życiu, dniu. O tym, co było wczoraj przed ambasadą. O tym, co dzieje się dzisiaj, co będzie się dziać jutro. A ty przejmujesz się nowymi elementami jakiejś teorii, która nikogo nie obchodzi, która nikomu nie jest potrzebna. Guerilleros mają rację. Najpierw zwyciężyć – na co się nie zanosi – a potem się zobaczyć.

Michael jest już zupełnie pijany. Szybko się urznął.

Nie widziała go jeszcze pijanego.

Patrzy na niego z urazą. Zamiast mówić o niej, o Ulrike, o demonstracji, o glinach – plecie o nowościach wydawniczych, a potem wyłącza się ze wszystkiego, co za szkliste oczy, to ohydne. Nawet nie pomyślał o tym, że może być głodna. A ból? Jej potłuczone, posiniaczone ciało? Pewnie, można nie mieć ochoty na kochanie się z dziewczyną, która ma obandażowaną nogę, longetę na rękę, i ogromny, krwawy siniec na biodrze – o sińcu zresztą nie wie – ale trochę współczucia należałoby okazać, nie? I sama sięga po butelkę.

Ile czasu mija? I co się dzieje w tym czasie?

Najdłuższa noc życia!

Bo już jest noc. Nie zapalili światła, i nagle okazuje się, że jest ciemno, nie widzi twarzy człowieka, który jest obok niej, w tym samym pokoju. Tylko jego sylwetkę, czasem, na tle okna. Kiedy się porusza. Zarys głowy, zarys ramion.

Ten człowiek coś mówi. Bełkotliwie.

– Ja jestem idealistą! – mówi. – Ja mam ideały! Uwierz w to. Myślisz, że mi łatwo? Trudniej niż wam wszystkim. Ale ktoś musi to robić! Rozumiesz to? Zawsze pogardza się kimś, kto czyści wychodki. Ale spróbujcie bez niego! No, spróbujcie żyć bez niego! Zdechniecie. Czyścioszki. Szybko będziecie zdechli.

O czym on mówi?

– Wcale nie kłamię! – woła nagle, rozlewając coś, rozchlapując na rękę Conchity. – Myślisz, że kłamię? W tym, co piszę? Co mówię? W „Temps Modernes”, w „Le Matin”, w tej pieprzonej „Libération”? Kłamię? Wcale nie. Ja wy-wy-wypośrodkowuję. Między prawdą a kłamstwem. Żeby oddziaływać. Żeby przekonać. Ty rozumiesz, że ja dla idei? Nie? Conchita? Rozumiesz, że ja to wszystko dla idei? Dla wolności! Dla demokracji!

Teraz płacze. O Jezu, o co mu chodzi?

Złapał ją za rękę. Ścisnął mocno, za chwilę zmiął jej palce. Jakby mało było tego, co zrobiły gliny. Już i tak ledwo żyje. Połamie jej kości! Próbuje się uwolnić; ale natychmiast o tym zapomina.

– Wyszedłem z sali na chwilę przedtem – szepcze Michael głośno, przysuwając się do niej. – Tak sobie to wymyśliłem. Nikt wtedy nie patrzył na salę, nie patrzył na nic... nikt nie zauważył, że mnie nie było! Tak wymyśliłem, i to było dobre. Pięć sekund, tyle to zajęło. Sprawdziłem przedtem. Pięć sekund. I już byłem przy lewej kulisie, z drugiej strony. A on właśnie wchodził w górę. I światło. Na niego. Miałem go blisko. On niczego nie widział, ciemność. Bo to światło, punktowiec, rozumiesz. Spokojniutko wytarłem pistolet i rzuciłem na ziemię, i nogą, pod płótno... tam było takie... jak się to nazywa? Obciągnięte płótnem, czerwonym. To była chwila. I wybiegłem, pierwsi akurat wpadali na estradę. A ja zza kulis, do nich. Nikt nie zauważył. Dobrze to wymyśliłem. Nikt nie zauważył. Patrzyli tylko na niego, wszyscy! Złapałem go, jeden z pierwszych. Już leżał, podniosłem go, rękę pod plecy. Właśnie konał.

Nie, nie odezwie się. Za nic. Ten pierwszy odruch – powiedzieć coś! – mógł ją zgubić. Nie odezwie się.

Strach. I cieniutka warstewka zimna na skórze. Cienka skorupka lodu.

Michael puścił jej rękę, oparł się ciężko łokciami o stół, znów coś bełkocze.

Podziwiał go. Czy ona mu uwierzy? Najpierw zwariował na jego punkcie, jak tylu innych. Powiesił jego zdjęcie nad łóżkiem. Ten jego urok. Ta odwaga. To wyzwanie śmierci. I bezinteresowność. I czystość. Całe życie, temu nikt nie zaprzeczy, on był jak kryształ. Ten człowiek. Ale to niczego nie zmienia! Hitler też był ideowcem, też był osobiście nieskazitelny. Nawet nie pił, nie palił, nie jadł mięsa. I co z tego?

– Czuję się, jak mógł się czuć ktoś, kto z najczystszych pobudek... do SS. Byli tacy. Dużo. Z uwielbienia dla tego zbira... bo on też miał urok, i to jaki! Ludzie za nim szaleli. I ci chłopcy, co się pchali do SS, prawie ze łzami w oczach... a potem? W co się wpakowali? Kiedy zaczęli rozumieć, w co się wpakowali... Rozumiesz mnie?

Nagle się roztkliwił. Jakies wspomnienia, jedno po drugim. Studenckie czasy. Tarasy kawiarni. Te dyskusje. Z kolegami. Wszyscy lewicowali. Jasne! Te włóczęgi po ulicach, te rozmowy. Metro już było zamknięte, odeszły ostatnie pociągi. Świecił księżyc. Pachniały drzewa. Ach, a Maj! Tamten Maj! Tamten Maj! Ci sami, z którymi przedtem do kin, do music-halli. Tamta piosenka, znasz ją? Stara piosenka. Ale dla nas... „Je m’voyais déjà...”, nie, nie pamiętam. Taka piękna piosenka o ambicji; Aznavour ją śpiewał. To było wielkie, wszystko to było wielkie! I ten człowiek, który tam walczył, jednocześnie, gdzieś na drugiej półkuli, ten samotny bohater, ten Don Kichot! Ginęli tam, ginęli. To straszny świat, Conchita, okrutny. Ale nie nasz, na tym polega błąd! Nie nasz! Ci krzykacze. Że wszystko jedno, czy to Urugwaj czy Francja, Chile czy Niemcy. Bzdura. Wredne, podłe kłamstwo. Więc... o czym ja mówiłem?

Strach. Ciagle – strach.

Michael znów bełkocze. Stać go było na wyjazd, tam. Wyjechał. A już przedtem pisał, drukował. Ten esej o rewolucji. Tam go znali, czytali. Wiedzieli, kim jest Michael Bernard! Jak bardzo oddany. Całe życie. Całe życie. Więc kiedy wyjechał, złapał kontakt. Jeśli się szuka, zawsze się złapie kontakt, wiesz? Jeśli się szuka.

Czy on zamierza jej opowiadać cały swój życiorys? Och, bzdura, bzdura.

– A potem poszedłem na policję – mówi Michael, głośno, tak głośno, że aż podskoczyła. – I ofiarowałem siebie, tak samo jak przedtem jemu. Bo ja już wiedziałem, do czego on dąży. I przeraziłem się.

Szatow! Psiakrew, Szatow.

– Wtedy się już zaczęło – mówi Michael – tu, w Europie. Ta kurwa Meinhof, ten chuj Bader. Ci wszyscy... A tutaj Kongres. Ta jego próba, żeby pchnąć to wszystko... żeby w tym kierunku. Tego chciał! Zabrać wolność, bezpieczeństwo, demokrację, sprawiedliwość. Uderzyć w ludzi. W ich prawo... w ich prawo do spokoju. Do własnej decyzji. Te pyszałki, występujące w cudzym imieniu, zastępujące innych! Ci szaleńcy. Ci zbrodniarze. A on ich popierał. I ja wtedy, na policji... I odtąd. I przez cały czas. Wcale się nie czułem winny, wcale! Oszukiwałem ich? Ale w jakiej sprawie? Tak, zabiłem go. Zabiłem. I wydałem tych Szkopów, i... i Laventure'a. I jestem z tego dumny, wiesz? Szaleńcy. Szaleńcy. A ci pod ambasadą? Szaleńcy. Gdyby oni wiedzieli, do czego dążą. Ale nie wiedzą, nie mogą wiedzieć. Ja ocalałem świat!!! Rozumiesz to? JA! Ocalałem ŚWIAT!

Tamtym strzałem. Jasne. Jasne.

Mówi jeszcze, przez chwilę. Coraz mniej wyraźnie. Potem kładzie głowę na stole. Zasypia. Teraz wstać. Cicho. Zebrać wszystkie swoje rzeczy. Czy o niczym nie zapomniałaś?

Ach, tak. Kieliszek. Drugi kieliszek. Wynieść go do kuchni, umyć, odstawić. Może mu to wszystko wypadnie z głowy. Może uwierzy, że pił sam. Że był tu sam.

Ach, i niedopałki z popielniczki. On nie pali. Żeby nie było śladu.

Już nie ma.

Zatrzaśnij za sobą drzwi. Bez hałasu.

Dobrze.

Ulice są jeszcze puste. Ale już się rozjaśnia, już widać blask nad dachami.

Środkiem jezdni przejeżdża wolno czerwony samochód.

Kroki po płytach chodnika. W ciszy.

Między gałęziami drzew trzepoczą się i śpiewają ptaki.

Pod murem leży rozbita butelka perfum, wzbija się od niej zapach, uderza w nozdrza.

Zza rogu ulicy wychodzi wolno policjant. Zatrzymuje się. Patrzy.

W tej samej chwili spomiędzy grobów na berlińskim cmentarzu zaczynają się podnosić ci, którzy spędzili tu noc. Przecierają oczy, rozprostowują ścierpnięte ręce, zeszywniałe nogi. Budzą innych. Wydostają się ze swych kryjówek, pozdrawiają w milczeniu: ruchem ręki, spojrzeniem. Cisza. Tu także trwa cisza. Jeszcze nie pęknięta, jeszcze nie naruszona.

Blask nad miastem, dalej, poza rzędami grobów. Mrok odsuwa się od dachów, wzbija wyżej, i jeszcze wyżej. Jakiś czarny kształt – ptak? nietoperz? – przeciął bezszelestnie powietrze i zniknął.

Schodzą się powoli. Otaczają świeży dół, wykopany poprzedniego dnia. Gromadzą się wokół niego.

Teraz nikt ich stąd nie przepędzi.

Kilku policjantów przesuwa się w oddali, pod drzewami. Nie podchodzą bliżej. Zderzenie spojrzeń, nic więcej, w milczeniu. Przez chwilę. Tamtych kilku – i tego żywego muru nad czekającym grobem. Potem tamci odchodzą. Szybko. Prawie biegną. Pisk opon pod bramą, odjeżdżające samochody. I znowu cisza. Teraz czekać.

Policjant odwrócił wzrok, odszedł.

Tutaj.

Ławka, na której można doczekać otwarcia pierwszej kawiarni. Gorąca kawa. Podwójna. Dwie podwójne kawy. To już niedługo.

Z wyciągniętymi przed siebie nogami, z rękami wsuniętymi między kolana.

Zimno.

Dobrze, że dał jej ten sweter. Że go włożyła od razu, w jego mieszkaniu. Na strzępy bluzki, na przybrudzone bandaże. Chyba nie zwraca uwagi. Tylko o to chodzi, o nic innego. Bo i cóż to jest, zimno?

Tamten wystrzał.

Więc to tak było. Do tej pory widziałaś to z perspektywy epoki: z perspektywy sali. Małą sylwetkę, idącą w stronę estrady. Dalekie ujęcie. Z góry.

Teraz masz to na zbliżeniu: twarz. Miejsce po prawej stronie, to, w które należy strzelić. Pistolet podtrzymywany drugą ręką, dla pewności. I ta twarz, coraz większa. Ten cel, wynurzący się nad poziomem estrady, już do pasa, teraz. Szybko. I oklaski, tak podobne do wystrzałów, że prawdziwego wystrzału...

Otwórz oczy.

Otwórz je. Nie zaciskaj tak powiek. To nie ma sensu. Dlaczego właśnie teraz. Co się zmieniło. Przestań się trząść. Otwórz oczy. Do diabła, otwórz oczy!

Potrafisz to zrobić. Na pewno potrafisz.

Szybciej.

Hałas. Chcą to zadusić hałasem.

Jasność, dzień.

Przez megafony ryczy muzyka. Ogłuszająco. Nad cmentarzem krąży policyjny helikopter. Głos mówcy nie może się przez to przebić, drży strzępami na wietrze, na wyciu głośników, NIE ZAPOMNIJCIE NIGDY TEGO DNIA, i pochylające się nagle sztandary, tłum rozstępuje się, tworzy szpaler, twarze osłonięte maskami, szalikami, chustami z lęku przed identyfikacją, przed policją, i twarze nagie, wszystkie zwrócone w jedną stronę, i hymn guerilli, *Venceremos*, jeszcze jedna warstwa, jeszcze jedna, na tym krzyk, tłum się rozstąpił, niosą trumnę.

Trzęsące się, starcze ręce trzymające kartkę, rozedrgany strzęp głosu, jeszcze raz, ostatni: NIE ZAPOMNIJCIE NIGDY TEGO DNIA, i data, data znów umknęła pod powierzchnię, wplątała się w sieć, zginęła, wypłynęła echem: PIĘTNASTY MAJA! PIĘTNASTY MAJA! A potem cięcie, przez wszystkie warstwy, aż do dna. Cisza. Cisza.

Idą, z trumną. Adwokaci. Niosą ją na ramionach. Cisza. Echo. Echo ciszy. Trumna opada w dół. W głąb. W ziemię. I teraz słyszysz, jak pęka cisza. Wybuch. Wielki krzyk. Flesze, błyski światła, jeden po drugim, dziesiątki. Reporterzy rzucają się do grobu, pochylają się nad nim, fotografują, odpędzam, odpychani, bici. Z trzaskiem łamie się i wali drzewo. Ktoś woła: „Towarzysze! To prowokacja! Nie pozwólcie! Towarzysze!” Policja poruszyła się, zafalowała do przodu i pozostała na miejscach. Dziennikarze uciekają, gubiąc aparaty, gubiąc flesze. I znów huk helikoptera, krążącego nad cmentarzem. Jak znak, że czekają. Tutaj; i tam, za bramą. W samochodach pancernych. W hełmach, osłonięci tarczami. Gotowi.

Niedługo jedenasta.

Dawno już otwarto kawiarnie. Dawno już wypila swoje trzy ekspresy, wypaliła paczkę papierosów, wszędzie są ludzie, od wielu godzin jest wśród ludzi, na ulicach, w metrze: to nic nie pomaga. Dreszcze. Jak przy grypie. Tak czują się chorzy na grypę, pierwszego dnia. Nic więcej, nic mniej. Dreszcze.

Tego wszystkiego jest za wiele. Za wiele.

Nagły, głupi, ponizający odruch: litość dla siebie. Współczucie. Roztkliwienie: prawie do łez. Tego jest za wiele! Dzieciństwo; i tamta śmierć, i śmierć matki, i to, co się teraz okazało, morderca jej ojca, właśnie ten, nikt inny, co za melodramat. Płakać nad sobą. Wziąć samą siebie w ramiona. Utulić, kołysać. Pocieszać. Zbyt ciężkie. Siedemnaście lat! Biedactwo. Biedactwo.

Do diabła, przestań! Uspokój się!

Siedzi na ławce w ogrodach Tuileries, z rękami w kieszeniach spodni, z wyciągniętymi przed siebie – jak przedtem – obolałymi nogami. Drzewa, fontanny, niebo. Nie ma dokąd iść. Nie ma do kogo. Dotąd był Michael. Nie ma już Michaela. Więc co zrobić? Co z tym można zrobić?

Obok, na tej samej ławce, usiadł jakiś chłopak. Przyłożył do ucha małe tranzystorowe radio. Słucha. To pogrzeb: tamten pogrzeb. Ryk helikopterów, i krzyk, i śpiew: *Venceremos*, i skandowane, donośne: „*Presse raus!*”, i nagła cisza, już po raz drugi, i czyjś głos, wdzierający się w tę ciszę, zniekształcony, nagłośniony, potrojony echem...

God bless Ulrike.¹⁴

Dwunastu mówców nad tym grobem, jeden po drugim. MORDERSTWO, i WOLNOŚĆ, i NAJWIĘKSZA OBOK RÓŻY, i OŚWIĘCIM-MAJDANEK-STAMMHEIM, i WALKA TRWA, i MORDERSTWO, MORDERSTWO, MORDERCY. I unoszące się pięści. STANEŁA PRZED OBLICZEM BOGA, mówi pastor, STANEŁA PRZED OBLICZEM BOGA. I krzyk protestu, krzyk oburzenia. I odczytywanie depesz ze świata. Od niedobitków tamtych, z Kongresu. I pochód. Formuje się pochód. Wyrusza z cmentarza. Między grobami. Przez bramę. Między rzędami policjantów. Ulicą. Przez Tuileries, falą z małego radia, uniesionego do ucha długowłosego chłopca. **Obok** Tuileries. Obok wszystkiego. Nieważny, nieważny. Przez chwilę całkiem nieważny. Jesteś poza tym. Poza rzeczywistością. Poza życiem. Cokolwiek to jest.

Cokolwiek to jest, jesteś poza tym.

No, nareszcie. Nareszcie płaczesz.

¹⁴ God bless... (ang.): Boże, błogosław Ulrike.

CZEŚĆ CZWARTA

WANDEA

1

Krzysztof Paliwoda wychodzi z „Lenoxu” z walizką w rękę, z zawrotem głowy: piekącymi od niewyspania oczami patrzy na niebo, znów gęste i szare, zwisające nisko nad ulicą, ciężkie.

Wrzucić walizkę do bagażnika. I usiąść na tylnym siedzeniu taksówki, obok Conchity. Wziąć ją za rękę: na to czeka.

Ulice usuwają się. Uciekają. Pędzą do tyłu. Przyjrzyj się ich ucieczce. Ostatni raz.

Ludzie. Ludzie, wypełniający ulice, uciekający w przeszłość wraz z nimi, wieczni. Kobieta, obmacująca rzucone na stragan kalafiora, żeby wybrać ten najbielszy, ten najtwardszy. Staruszek rozkładający gazetę. Dwie dziewczyny w czarnych skórzanych spodniach, w długich czerwonych butach, jedna utleniona na biało, druga ruda: rozglądają się dokoła, szukają. Radośnie szukają. Stateczna para małżeńska, trzymająca się pod rękę. Amerykanin, wsiadający do olbrzymiego forda lincolna. Matka z dwojgiem dzieci: jedzą lody.

Sens życia ich wszystkich. Niepodważalny. Ale nie będący sensem **jego** życia, nie mogący nim być.

– Zostawiłeś kartkę dla Michaela? – pyta Conchita.

– Tak, na portierni.

– W porządku. Ja nadal uważam, że mogłeś się z nim pożegnać... ale taka kartka też załatwia sprawę. Matka ci zachorowała, musisz nagle wyjechać... no i dobrze. Nie zapłacze się.

Sklepy. Kawiarnie. Kioski z gazetami. Stragany. Ludzie, których życie ma sens. Zakręt. Skwer. Pomnik. Krzysztof Paliwoda ziewa nagle, bardziej z nerwów, niż ze zmęczenia. I mówi jeszcze raz, niepotrzebnie:

– W dalszym ciągu nie mogę zrozumieć tych twoich stosunków z Michaeliem. Gdybyś powiedziała mi wszystko...

– Wiesz już **prawie** wszystko. Bez szczegółów.

– Ale czy on wie... czy podejrzewa... czy przypomina sobie...

– Och, Chris, przez dwa dni i dwie noce nie mówiliśmy o niczym innym! Nie mam pojęcia. Był pijany. Nigdy do tego nie wracaliśmy. Chyba nie wie, co mi powiedział. Jestem **prawie** pewna. Bo na sto procent... kto może być pewny na sto procent?

Sadowi się wygodniej i opiera głowę na ramieniu Kszysztofa.

– Mickey był mi potrzebny. I jest. Tyle wiesz. Po tym, z czym się wygadał... kto mógłby zerwać taki kontakt? Po zastanowieniu, oczywiście. Och, ja wtedy w ciągu jednego dnia dorosłam o dziesięć lat. Wszystko się zmieniło.

– I spałaś z nim – mówi Krzysztof, głosem nieoczekiwanie drżącym z purytańskiego, infantylnego oburzenia. – Spałaś z nim, **po tym**.

– Od czasu do czasu... czemu nie? Najlepszy sposób na to, żeby nie miał podejrzeń. Ale już nie stale. Zresztą się ożenił. I ma różne dziewczyny... wiele dziewczyn. Dwie cechy wspólne: same lewaczki i tylko brunetki. No, szatynki. Ustępstwo na rzecz jego gustów. Bo pierwsza cecha...

Teraz i ona ziewa. Przyciąga jego rękę na swoją szyję.

– Daj temu spokój, Chris. Powiedz lepiej coś miłego.

– Co ci mam powiedzieć?

– Że będzie ci smutno. Że będziesz za mną tęsknił. Że na pewno się jeszcze zobaczymy. I to nie raz. Że to tylko początek. Tak mi kiedyś powiedział jeden facet. Zapytałam oczywiście, czego początek. A on z miejsca: „D'une amitié... d'un amour peut-être”¹⁵ Och, ten miał gadane. Właśnie takim akcentem. To był Portugalczyk.

– Conchita.

Chciał ją odsunąć, ale już po chwili przyciska tym mocniej. Śmieje się.

– Musisz tak kpić ze wszystkiego? Jak mam ci to teraz powiedzieć? A chciałem. Wiesz, kiedy sobie wyobrażam to, w czym mogę tkwić już za dwie, trzy godziny... moje prawdziwe życie...

Conchita czeka z uniesioną ku niemu twarzą.

– Będę szaleć z bezsilności. To sto razy więcej, niż „tęsknić”. To jest piekło.

Conchita ciągle czeka. Całuje ją. O to chodziło. Zarzuca mu ręce na szyję, zamyka oczy, przywiera do niego tak mocno, jak tylko to jest możliwe. Jak tylko to jest możliwe w taksówce.

ORLY.

Zaczynają już przyjmować bagaże na lot do Warszawy. Przed wagą, przed dziewczyną w uniformie Air France, ustawiła się kolejka.

Po oddaniu bagażu – na drugą stronę. Tam nie wpuszczają odprowadzających. Więc tutaj. Tu trzeba się pożegnać.

Policzek Conchity przytulony do jego policzka. Ręce Conchity obejmujące jego szyję. Szept Conchity przy samym uchu, nieoczekiwanie rzeczowy:

– Gdyby ktoś z ludzi z guerilli potrzebował schronienia... czy mogę podać twój adres?

Werble i flesze, raz jeszcze: więc jednak!

– Tylko na wszelki wypadek – szepcze Conchita, gładząc jego włosy. – Pewnie to nie będzie potrzebne... ale gdyby! Żeby nie w hotelu, nie na widoku. Żebyś ich ukrył. Chronił.

– Tak, rozumiem. Oczywiście!

– Idź już, Chris.

Znów miejsce przy oknie. Znów fotel obok pozostaje pusty. Znów warkot, i powolne, hałaśliwe toczenie się po płycie lotniska, i uniesienie w powietrze, ziemia ucieka w dół: już po wszystkim.

Zadowolenie, że wraca. Wbrew temu, co mówił Conchicie. W normalne, ciche życie, w ciepło, w spokój! I nie tak przecież martwy jak przedtem. Zaproponuje Monice małżeństwo, jeszcze dziś napisze list, jutro go wyśle. I może któryś z guerilleros Conchity (więc ma z nimi kontakt, oczywiście, był tego pewien!) zadzwoni pewnego dnia do jego drzwi (emocja! niemal bohaterstwo!). I korespondencja z Wienerem: dalsze szczegóły na temat RPI. I wejście do historii w najbezpieczniejszy, najbardziej upragniony sposób: tylnymi drzwiami. Dziewięćdziesiąt pięć procent życia, czasu życia, spędzi tak jak lubi: wśród swoich książek, w fotelu, na tapczanie. Śniadanie w łóżku, wieczór przed telewizorem. Za to pozostałe pięć procent... Ach, to byłoby coś!

Jakie z niego ścierwo. Sprytne, wyrachowane ścierwo. Pasożyt. Kleszcz, skorek.

Są już chyba nad Niemcami.

¹⁵ D'une amitié... (fr.): Przyjaźni... może miłości.

Znów plastikowa taca z jedzeniem. Ale dziś leci w dzień, jest więc coś gorącego: kawałek kurczaka, jakieś jarzyny, i buteleczka bordeaux, oczywiście. Niezłe.

A teraz oddać tacę. Zamknąć oczy.

Zmarnowałeś ten wyjazd, skorku. Czy raczej: nie całkiem go wykorzystałeś. Chociaż, czy życie kończy się dzisiaj? Wiedza, którą zdobył, już to jedno wystarczy! Choćby wiedza o Michaelu Bernard. Jesteś znawcą przedmiotu, kleszczu. Tyle już wiesz o najbarwniejszym, najjaskrawszym problemie własnych czasów! Pora zabrać się do pisania pamiętników.

I Krzysztof Paliwoda zasypia.

2

– Krzys!

Matka obejmuje go lekko: przez dwie sekundy trwają tak, głowa przy głowie, potem odsuwają się od siebie. Krzysztof promienieje. Wyjeżdżać, tak; ale zawsze wracać do tego, tylko do tego. Być z kobietami, z wieloma kobietami; ale od każdej wracać do tej jednej. Jego krąg światła i ciszy, jego spokojna wyspa, jego prawda.

Nagle krąg zostaje przerwany. Jak matka mogła zrobić mu coś takiego!

– Cześć, stary. Miałeś szczęście: wykorzystałeś ostatnią okazję, żeby wyjechać! Dziś albo jutro mogą zamknąć granice.

Kolega ze studiów. Jeden z tych, co to się zawsze dobijali, zawsze próbowali wydzwaniać: jakby nie potrafił zrozumieć, że każdy okres życia się kończy, a jeśli już – niech się kończy definitywnie! Jak on się nazywa? – Tadeusz, chyba Tadeusz...

– Miałam szczęście – wyjaśnia matka – pan właśnie zadzwonił, a kiedy się dowiedział, że dzisiaj wracasz zaproponował nam swój samochód.

– To bardzo miło – mówi Krzysztof z wymuszoną grzecznością – ale po co właściwie, moglibyśmy przecież wziąć taksówkę...

Kolega ze studiów wcale nie jest urażony; przeciwnie, zaśmiewa się.

– Człowieku, przecież taksówki strajkują! I autobusy też! Chciałeś iść pieszo z lotniska? Z tymi bagażami?

– Taksówki strajkują?

– Ty powinieneś wiedzieć o tym więcej od nas: w końcu wracasz z Zachodu! Tutaj się o tym nie pisze, domyślasz się chyba. Nie, niech pani nie rusza tej walizki, ja zaniosę! A ty, Krzysztof, bierz tę drugą i torbę.

– Kupiłeś nową walizkę, Krzysiu? – pyta matka; jest tak zły, że nie odpowiada. Owszem, kupił: musiał mieć nową walizkę, żeby pomieścić prezenty. Zepsuto mu przyjemność. Całą radość powrotu...

Przed budynkiem lotniska stoi mały fiacik, czerwony z czarną tapicerką: ciekawe, jak się tu pomieszczą we troje z tymi wszystkimi bagażami. Matka upiera się, że usiądzie z tyłu, torbę mając pod nogami, a walizkę obok. Druga walizka, ta nowa, nie dała się wtłoczyć do bagażnika, kolega ze studiów próbuje ją przytroczyć na dachu: no, udało się. Ruszają.

– Zaraz ci powiem, po co do ciebie dzwoniłem – oznajmia kolega ze studiów, wyprowadzając samochodzik na prostą. – Możesz się nie zgodzić, oczywiście, w końcu to ryzykowne, zrozumiem... ale słuchaj, najpierw mi powiedz: co w Paryżu mówią o Polsce? O strajkach?

– Co mówią?

Krzysztof Paliwoda unosi wysoko brwi: jest zdziwiony.

– No, wiesz... nic specjalnego. Te głupki dziwią się po prostu, że u nas w ogóle mogą być strajki. Niektórzy powtarzają niemieckie argumenty: że polnische Wirtschaft, że nie chce nam się pracować, a jak już tym nieróbstwem zrujnowaliśmy gospodarkę, to nie chce nam się pra-

cować tym bardziej. No, ale temat dnia to nie jest. Niektórzy mnie pytali, o co ludziom chodzi, a kiedy wyjaśniałem, że o golonkę i boczek, byli ubawieni.

– O golonkę? O boczek?

Kolega ze studiów o mało nie władował się do rowu. No, o mały włos.

– Gadałeś żabojadom, że w całej tej... w całej tej fali... chodzi o golonkę i boczek? Krzysztof, co ty pleciesz?

Krzysztof zaczyna być zły.

– A o co chodzi? Ci kretyni, co nami rządzą, uznali golonkę, boczek i kurczaki za super-luksusy i skierowali toto do sklepów komercyjnych, po odpowiednich cenach. Bo na normalną podwyżkę się nie odważyli. No, i zaczęły się strajki. Sam się cieszyłem, kiedy podali tę informację o boczkach i golonce, bo wiadomo było, że takiego bezczelnego kręactwa ludzie nie strawią, każdy to wiedział, a oni nie wiedzieli, co oni mają za doradców? Ale jeśli chcesz, żebym się entuzjazmował rozruchami o podłożu ekonomicznym...

– Jak to ekonomicznym? Żartujesz, czy naprawdę nie wiesz?

– O czym mam nie wiedzieć?

– Że cała Polska stoi, i że chodzi o sprawy polityczne? Co ty, Krzyś, nie wiesz tego? Od wczoraj chodzi o sprawy polityczne!

To go zaciekawiło, owszem. Aż podskoczył.

Nie miał czasu słuchać radia, nie miał ochoty na czytanie gazet, nudziła go telewizja. Gdyby się zdarzyło coś ważnego, powiedziano by mu o tym. Ale co ważnego mogło zdarzyć się w Polsce?

Tymczasem Tadeusz opowiada z przejęciem, dumny, jakby sam tego dokonał. Stocznia podjęła strajk solidarnościowy, rozumiesz, głupku? Dotąd każdy strajkował we własnym interesie. Ci w imieniu innych. Żądają niezależnych, samorządnych związków zawodowych...

– Oszaleli?

– Uważasz, że to nie przejdzie?

– Nigdy! Oczywiście, że nie!

– ... zwolnienia więźniów politycznych...

– O, to ładnie!

– ... nowej ustawy o cenzurze: ograniczenie, jawność i możliwość odwoływania się od decyzji...

– Poważnie?

– W sumie dwadzieścia jeden postulatów! Ekonomiczne i polityczne. I słuchaj, Krzyś, to jest fenomen, fenomen, nigdy jeszcze nie było czegoś podobnego! Nigdy nie mogliśmy się zgrać, produkcyjni z nieprodukcyjnymi, robotnicy z inteligencją. W sześćdziesiątym ósmym, kiedy inteligenci żądali wolności, robotnicy ich prali. Najdosłowniej! A te hasła pamiętasz? „Pisarze do pióra, studenci do nauki, Żydzi do Izraela!” Pamiętasz? Na każdym wiecu fabrycznym mieli to na transparentach.

– Jasne.

– A w dwa lata później, kiedy robotnicy żądali forsy i wieprzowiny, inteligenci założyli ręce i chichotali. „A my was bić nie będziemy!” I pełna pogarda. Rewanż. Tak było?

– Tak było – przyznaje Krzysztof, wpatrzony w kolegę ze studiów jak w tęczę.

– No, a teraz mamy pełne zgranie! Czy ty sobie wyobrażasz, człowieku, że robotnicy strajkują o podwyżkę płac dla lekarzy? Między innymi?

– Nie pleć. To niemożliwe.

– Przysięgam. Z ręką na sercu. Wiesz, czym był do tej pory lekarz. Służba zdrowia, najgorzej opłacana grupa zawodowa! Bo co mieli zrobić? Strajkować? Wyjść na ulice? W ogóle inteligenci nic takiego nie mogą zrobić, nie mają szans skutecznej samoobrony, więc się w nich bije jak w bęben. A już w takich szczególnie. Bo jak to, strajkować kosztem zdrowia i życia niewinnego społeczeństwa? Tym ich trzymali w szachu! No i co teraz mamy? To, że w

imieniu takiego ofermy w białym fartuchu wygasi się wielki piec czy zablokuje dziesięciotyśnięćnik. Człowieku, czy ty rozumiesz, co się dzieje? Co za sensacja?

– To niemożliwe – powtarza Krzysztof, i w pierwszej chwili czuje przygnębienie. Wstyd i przygnębienie. Bo jeśli kolega ze studiów mówi prawdę, jego teoria, jego chluba, zmienia się w balonik, do którego przytknięto zapalonego papierosa. Jeśli mówi prawdę, co z RPI? Z Wienerem? Z „Pour épater...”? Z RAF i Czerwonymi Brygadami? Z nową walką klas? Ale przecież...

– Wiesz – mówi Krzysztof ze wzgardliwym półśmiechem – jedno szczęśliwe małżeństwo nie przeczy walce płci.

Tymczasem zajechali już na Wilczą, przed dom Krzysztofa Paliwody: czerwony fiacik z trudem wciska się na jedyny skrawek wolnego miejsca, pod samą latarnią, pod kątem prostym do krawężnika. Ale to nie znaczy, że mają od razu wyskakiwać w popłochu!

– Dobrze – mówi Krzysztof. – Ale czego ty w związku z tym ode mnie chcesz? Bo mówiłeś...

– No... widzisz, jesteś prawnikiem, i ja jestem prawnikiem... ale ciebie zawsze tak interesowały kwestie polityczne... słowem, ja teraz jadę do Gdańska. Do Stoczni.

– Tam jest ten strajk?

– Tam. Główny ośrodek. Centrum. Chodzi o stronę prawną, rozumiesz. Mam coś robić przy Komitecie Ekspertów... bo tworzy się komitet ekspertów, specjalny, strajkowy, właściwie dwa czy trzy różne komitety, ale o to mniejsza... i proponowałem ciebie także, i czemu nie, mogę cię zabrać. Jeśli chcesz, oczywiście. Bo to może być niebezpieczne. Nawet cholernie...

– Daj spokój. Czego ja się mogę bać? W mojej sytuacji? Tylko... W tej samej chwili przypominają sobie, obaj jednocześnie, o matce Krzysztofa, ciągle zablokowanej na tylnym siedzeniu i zapomnianej. Odwracają się do niej, przepraszając. Wysiadają, wyładowują bagaże.

– Ale, widzisz – mówi Krzysztof, kiedy są już w mieszkaniu i matka robi kawę – jest jeden szkopuł. Moje poglądy.

– Jakie ty masz poglądy?

– Lewicowe. Może cię to ubawi, może ci się to wyda dziwaczne...

– Chcesz powiedzieć, że jesteś partyjny?

– Nie, nie jestem i wcale nie o to chodzi. Mówię ci, że chodzi o poglądy.

I nagle ręce mu opadają. Poglądy! Powiedz, o co chodzi, a ośmieszysz się na całego. No, jakie ty masz „poglądy”, człowieku? Jesteś zwolennikiem Nowej Lewicy, odłam anarchizujący. Wyznawcą Starego Młodego Marksa. Sympatykiem „terroryzmu” (koniecznie w cudzysłowie!) w wersji niemieckiej lat siedemdziesiątych, wobec wersji włoskiej lat siedemdziesiątych zachowującym pewien dystans, wobec pozostałych wersji – zdecydowanie wrogim. Wierzysz w misję dziejową inteligencji: ponad granicami, ponad sloganami, ponad sztandarami. Stek bzdur! To wszystko literatura. Stos papieru. Teoria. Jest idiotą. Durniem.

– Chwileczkę, Krzysiu – jęczy kolega ze studiów. – Chwileczkę! Błagam cię, zostaw teorie na boku. Zgoda? Pomówmy o konkretach. Zgoda? Słuchaj, ale tutaj i teraz. Tu, w Polsce. Jako zwykły człowiek. Abstrahując od. No, słuchaj, z czym się nie zgadzasz, powiedz mi tylko tyle, z czym? Ale tak, żebyś się o to bił pięściami, gdyby tylko istniała jakakolwiek szansa, gdyby sytuacja choć trochę sprzyjała... No, są takie rzeczy? Powiedz mi, a zaraz dam ci spokój.

Czy są takie rzeczy? Pytanie! Facet wie o tym dobrze, toć siedział przez ładne kilka lat w piśmie prawniczym, które Krzysztof Paliwoda bombardował płomiennymi elaboratami, odrzucanymi niezmiennie i w stu procentach... Czy są takie rzeczy? Regulamin więzienny! Ograniczenie korespondencji! System kar, ten oficjalny, ten z regulaminu, nie wspominając już o nieoficjalnym! Stosowanie zasady lex retro agit, wsparte usunięciem prawa rzymskiego z programu studiów prawniczych, więc zmiana podstaw prawa, samych jego podstaw, zmiana świadoma i przemyślana... Nadużywanie aresztu śledczego, brak wyraźnie określonych wa-

runków stosowania aresztu tymczasowego. Degradacja roli adwokata. Likwidacja równości stron. Eliminacja obrońcy ze śledztwa. Naciski stosowane w śledztwie i ich bezkarność. Możliwość orzekania grzywny obok całkowitej konfiskaty mienia. A to tylko cząstka, cząstka jego własnej dziedziny, jego branży... Czy nie dlatego się z niej wycofał? Czy nie dlatego uciekł do tego starego biurka o pojemnych szufladach, do listów w cienkich kopertach z nadrukiem AIR MAIL, do...

– No więc?

A to tylko cząstka. Bo przecież poza prawem sensu stricte (choć to właśnie prawo określa kształt społeczeństwa)...

– No więc?

– A jak myślisz? Nie wiesz? Masa rzeczy doprowadza mnie do szału. Może nawet gotów byłbym za nie zginąć, jeśli już mamy tak patetycznie... Zginąć za gwarancje rzeczywistej równości stron w procesie, chociażby. Ale, Tadeusz, tak nie można, nie można abstrahować od teorii, w imię której się to robi, to byłby reformizm! Człowiek, który bije się o poprawę czegoś tam, pomijając kontekst... który działa nie w imieniu ideologii, całościowej, totalnej ideologii...

– Gdzie ty to wyczytałeś, Krzysiu? Chyba w gazecie! Ależ ty dajesz sobą manipulować. Słowo daję!

Krzysztof baranieje. Kolega ze studiów rośnie nagle pod sam sufit, a wokół jego głowy rozszerza się świetlista aureola. Facet jest mądry! Do diabła, jest mądry! On sam natomiast jest tylko obiektem manipulacji. Mrówką. Termitem. Mózg ma wyprany w palce automatycznej. Zaindoktrynowany od małego. Bo, pewnie, zawsze to słyszał. Ilekroć ktokolwiek próbował walczyć ze złem, tylekroć go przygważdżano pytaniem o program pozytywny. Jeśli go nie miał, był przegrany. Łatwo krytykować! Weszło mu to w krew, durniowi. Być przeciw świństwu? Owszem, można, ale pod warunkiem, że ma się dokładny plan tego, co na jego miejsce. Mówić: usuńmy to świństwo, a co potem, zobaczymy, mógł tylko człowiek o nienaukowym światopoglądzie, a jest chyba oczywiste, że naukowy światopogląd jest lepszy od nienaukowego... i tra ra ra, i rym cym cym. Zaindoktrynowany! Zaprogramowany! Och, człowieku.

Od tej chwili będzie czystą kartą. Oto program na dziś i na jutro. Być czystą kartą. Bez aksjomatów.

– Dobrze już, dobrze – oznajmia burkliwie. – Kiedy chcesz wyjechać? I czym? Samochodem?

3

Pakując torbę – koszula, skarpetki, przybory do szycia i golenia, ręcznik, parę kompendiów prawniczych, które uważa za najlepsze – coś sobie nagle przypomina. Niewyraźnie. Francja 1789, zwołano Stany Generalne, trzydziestoletni prowincjonalny adwokat pakuje swój kuferek, żeby wyruszyć do Paryża. W historię, w śmierć, pod nóż gilotyny. Dylizanssem. Kuferek pożyczył od sąsiadki. Starannie spisuje na kartce zabrane przedmioty. Trzy pary czarnych spodni do kolan (culottes), czarny frak, krótki czarny płaszczyk, sześć koszul, trzy pary jedwabnych pończoch (jedna prawie nowa), chustki do nosa, przybory do szycia i czerwania, plik odbitek własnych, najlepszych mów obrończych, dla reklamy. Zaczyna świtać, niedługo zaturkocą koła dylizansu...

– Megaloman! Kretyn!

Zaczyna świtać. Niedługo pisną opony małego czerwonego fiacika. Równie śmiesznie.

Na drogach jest jeszcze dość pusto. Rzadkie chłopskie furki, ponurzy rowerzyści. Ale lada moment wyjadą ciężarówki dostawcze i zaczną się koszmar. Trzeba odwalić jak najwięcej kilometrów zanim do tego dojdzie.

Tadeusz prowadzi, Krzysztof – z mapą rozłożoną na kolanach – pilotuje i gada jak najęty: psi obowiązek pasażera, nie wolno pozwolić kierowcy usnąć.

Tadeusz jest zresztą tak zaciekawiony, że senność nie ma szans. Coś podobnego! Nie sły-
szał o tym, nie wiedział, nie przypuściłby nigdy... Kontakty z terrorystami, ta dziewczyna ze
Stammheim, Michael Bernard – słyszałem, oczywiście, wiesz, że o nim jest w ostatniej książ-
ce Cortazara? – córka Estravadosa... Krzysztof, ty cicha wodo! Nie miałeś kłopotów z mili-
cją?

– Miałem, oczywiście.

– Ale paszport ci dali?

– Tak, ale kazali zgłosić się zaraz po powrocie.

– Z informacjami? Tak, rozumiem. I zgłosisz się?

– Ani mi się śni.

– Może ci to nawet ujdzie na sucho. Teraz, w tej chwili... nie będą mieli do tego głowy.
Psiakrew, radar.

Mercedes nadjeżdżający z przeciwnej strony zamrugał do nich długimi światłami. Tadeusz
też mrugnął w odpowiedzi: widziałem, dziękuję pięknie. I gwałtownie zwalnia.

– Teraz trzeba powolutku. Póki nie minie tego cholernego radaru. O, do diabła!

Zatrzymują ich jednak. Dwóch mundurowych. Czyżby?

– Dokumenty do kontroli. Pańskie też. Tak, pańskie. Dowodzik proszę.

Na widok paszportu Krzysztofa wymieniają spojrzenia. Starszy podnosi znacząco brwi.

– Wczoraj wróciłem z zagranicy – tłumaczy Krzysztof czym prędzej.

– I nie zdał obywatel paszportu?

Teraz „obywatel”. Citoyen! Przed chwilą był „panem”.

– Jest dwutygodniowy termin – wyjaśnia Krzysztof. Niepotrzebnie.

– Ładna pogoda – wpada mu w słowo Tadeusz. – Namówiłem go, żeby od razu wyskoczyć
na dwa-trzy dni nad jezioro. Do Ostródy. Mamy tam znajome dziewczyny...

Też głupio. Jeden z mundurowych sprawdza coś w swoich papierach.

Drugi pyta:

– Nad jeziora? Nie nad morze? Przy takiej pogodzie...

– W Ostródzie mamy dziewczyny – powtarza Tadeusz, i teraz to brzmi lepiej.

– Ach, więc cały czas E81! Jak na Gdańsk?

– Tak najprościej.

Drugi milicjant sprawdził, co trzeba, i pokręcił przecząco głową.

– Proszę otworzyć bagażnik.

Tadeusz otwiera. Lustrują go pobieżnie.

– Mogą obywatela jechać.

Kiedy ruszają, na ich miejscu stoi kolejny samochód. Kierowca wyskakuje, wyciąga do-
kumenty...

Krzysztof nie pamięta, kiedy po raz ostatni zdarzyło mu się coś podobnego. Może nigdy.
Tak się spocić ze strachu! Koszula oblepia grzbiet, nawet dżinsy zwilgotniały na kolanach i
udach: jak gdyby go obłożono gorącym kompresem! Idiotyczne. No, co mu mogli zrobić?
Aresztować? Na czterdzieści osiem godzin? Najwyżej.

Wygląda na to, że z Tadeuszem stało się to samo. Z tym mądrą! Żeby opanować drżenie
rąk, ścisną kierownicę tak mocno, że, zdaje się, za chwilę sok z niej wypłynie. A zaraz za
zakrętem zjeżdża na pobocze.

– Muszę ochłonać. Poczekaj.

Wyciąga papierosy. Ale co za cyrk, zanim udało im się wreszcie zapalić!

– Jeszcze nam się to nieraz zdarzy, zanim dojedziemy na miejsce – przekonuje Tadeusz bardziej sam siebie niż Krzysztofa. – I nie ma się czym przejmować, nie mają nas przecież na liście. Nawet ciebie... dziwne.

Uśmiechnął się przy tych słowach. Udało mu się uśmiechnąć.

– Co w tym dziwnego?

– Terrorysta świeżo po powrocie ze szkolenia... nawet paszportu nie zdążył oddać. Tego tylko potrzeba w Gdańsku. Tak, kiepska robota, zła organizacja... Masz prawo jazdy?

Zaskoczył go.

– Mam... ale ja nigdy po kursie nie jeździłem!

– Masz przy sobie?

– Tak.

– No, to poprowadź kawałek. Nie wygłupiaj się, stary, przecież nie po mieście, nie po górskiej serpentynie... prościutką drogą! Ja przez ten czas trochę ochłonę i sprawdzę co trzeba w atlasie. Jaki punkt docelowy mamy podawać za Ostródą i w ogóle. Spróbuj.

– Rozwałę ci wóz.

– Nie przesadzaj. Dziecku bym tu oddał kierownicę, a co dopiero facetowi z prawem jazdy.

Dość szybko mija mu to zaufanie. Krzysztof zgrzyta biegami tak, że samochodzik podskakuje na pół metra w górę a hałas rozrywa bębunki, za mocno skręca kierownicę, za mocno naciska pedały – uczył się na innym wozie, o wiele cięższym – a w dodatku dwa razy na tej prostej drodze gaśnie mu silnik. Tłumaczy się gęsto długą przerwą i tak dalej, ale co Tadeusz myśli na ten temat, to myśli. Na szczęście opanował się już i wynotował sobie na ostatniej stronie atlasu, co trzeba. Mogą się znów zamienić.

Jeszcze cztery razy zatrzymują ich patrole: im bliżej morza, tym tego więcej. Nadal nie mają ich na liście, ale rewizja bagażnika staje się coraz dokładniejsza, sprawdzanie dokumentów – coraz dłuższe. Najwyższy czas na zmianę planów.

Z jakiejś małomiasteczkowej poczty Tadeusz próbuje dodzwonić się do Gdańska, pod różne numery: żaden nie odpowiada. Zdaje się, że odcięto telefony. Niewesoło to wygląda. Jeżeli będziemy dalej trzymać się E81, jak paniska, źle na tym wyjdziemy. Szkoda, jesteśmy już tak blisko. Ale lepiej pokołować, spróbować bocznymi drogami. Pilotuj, człowieku.

Więc Krzysztof pilotuje. Trzeba skręcić w lewo. Dojedziemy do czegoś, co się nazywa Wiślina. Stamtąd drogą nr 10 do E16. Tam cofnąć się do Pruszcza, a od Pruszcza jakoś bocznym na Kościerzynę albo Kartuzy. W porządku, skręcamy w lewo.

Drzewa nie poruszają się w słońcu. Gęsta, sierpniowa cisza.

Krzysztof ściąga nagle brwi i pochyla się do przodu. Ta cisza. Zakurzone liście drzew w nieruchomym powietrzu. Pochylona, szara trawa przy samej drodze. Czy to jest ważne? Nigdy się nad tym nie zastanawiał. Nigdy nie myślał... Kraj, kawałek świata, do którego jest przypisany. Jedyny układ ziemi i nieba, drzew i chmur, nigdzie poza tym nie istniejąca linia horyzontu. Czy to jest ważne? Skąd się jest, gdzie się jest?

Był z tego niemal dumny. Z tego dystansu. Z patrzenia na własny kraj jak na inne, z niewyróżniania go. Mieć na jego temat pewną ogólną wiedzę, pozwalającą na wyciąganie wniosków. Na rysowanie schematów. Na widzenie tego państwa w kontekście, na tle innych, w porównaniu z innymi. Jak wycinka z gazety. Jeżeli ktoś go zapyta, co to jest, jakie to jest, Polska, odepnie spinacz, wyjmie z pliku wycinków jeden, i poda zwięzłą syntezę. Kraj z kompleksem suwerenności: przez półtora stulecia (no, prawie) nie było go na mapach, nie istniał. Kraj, na który po dwudziestu latach świeżutkiej, burzliwej niepodległości spadła straszna wojna. Potem – zmiana ustroju bez rewolucji, bardzo istotne, że bez rewolucji, że nie od wewnątrz, to go zresztą łączy z szeregiem innych państw, do wyliczenia na żądanie. Kraj z upaństwowionym przemysłem, a indywidualnym i rozdrobnionym rolnictwem, wciągający to indywidualne rolnictwo w powszechny system planowania, stąd problemy gospodarcze, i to

jakie. Wreszcie kraj o silnych a tłumionych tradycjach demokratycznych. Z nią przewodnią anarchii, odgórnie piętnowanej bezustannie jako zbrodnia i więcej jeszcze, jako błąd, ale czy słusznie? Diabli wiedzą: czy słusznie?

– A gdyby tak puścić świat na luz? – pyta nagle Krzysztof, pełnym głosem, wpatrując się zamglonymi oczami w rękę Tadeusza na dźwigni biegów.

– Co ty mówisz?

– A gdyby tak puścić świat na luz? – powtarza Krzysztof, wciąż niezupełnie przytomnie. – Może to by się wcale nie skończyło dachowaniem w rowie?

– Świat czy Polskę?

– Dajmy na to, że Polskę.

– To twój program polityczny? To cię przyciągnęło do terrorystów?

Zastanawia się.

– Może i tak. Do diabła, Tadeusz, gdyby tak wszystko puścić na luz? I niech się samo przetasuje, samo ułoży. Pełna anarchia, i zobaczymy, co z tego wyniknie. Do diabła, Tadeusz, czemu wszyscy tak się boją?

Tadeusz wzrusza ramionami.

– Kto się boi? Ci, którzy przy tym „puszczeniu na luz” potraciliby władzę, nikt inny. Pewnie, że każdy chce wolności. Każdy z wyjątkiem tych, którzy mają władzę. Obojętne, na jakim szczeblu. Każdy prócz nich. Daj mi papierosa. No, i właśnie zobaczymy, co się da zrobić.

– W sprawie wolności?

– No. Co to za ulica? Popatrz, zaraz będzie tabliczka. I sprawdź w atlasie, kiedy mamy skręcać.

– Już. Pierwszą w prawo.

– OK.

A zatem, ta jego ascetyczna, syntetyczna wiedza o własnym kraju, wiedza człowieka żyjącego wyłącznie życiem intelektualnym...

– O, widać flagi!

... a nie uczuciowym albo...

– Rzeczywiście.

Biało-czerwone, powiewające na wietrze od morza. Poprzymocowane do latarni. Szum morza, coraz głośniejszy. Morze jest przed nimi, na wprost. Z każdą chwilą bliżej. Dwaj milicjanci podchodzą do krawężnika, patrzą na ich samochód: zatrzymają? Nie, nie zatrzymali! Naprzód. Szybko. Coraz więcej flag. W lewo! Hamuj!

Ulicę wypełnia tłum. Stoją na jezdni, wszędzie. Nie można przejechać.

To już stocznia. Te budynki z prawej. Tam brama, przed bramą tłum. Przed bramą i dalej. Flagi, flagi. I chrypienie głośników. Ci ludzie słuchają, słuchają czegoś, co jest nadawane przez głośniki, ale Krzysztof na razie nie słucha, nie odróżnia dźwięków. Tadeusz cofa swojego fiacika, skręca, lawiruje. „Byle gdzieś zaparkować” – mówi. – „Potem zobaczymy”.

– Czekaj tutaj.

Tadeusz zostawia go we wciśniętym w jakiś kąt fiaciku: spróbuje coś załatwić. Przepustki. Zaraz się dowie i wróci po niego.

Ale kto mógłby czekać tak długo?

O polakierowaną na czerwono puszkę od sardynek, w której tkwi Krzysztof Paliwoda, rozbijają się fale. Fale hałasu: morze, tłum. Jakiś śpiew. Jakies skandowane hasło. Jakiś łopot. Krzysztof przez chwilę tylko nasłuchuje; potem wysiada, zamyka drzwiczki i, z kluczami zawieszonymi na wskazującym palcu, rusza przed siebie.

PROLETARIUSZE WSZYSTKICH ZAKŁADÓW ŁĄCZCIE SIĘ!

Krzysztof Paliwoda odrywa wzrok od tego transparentu i rusza pod bramę. Slalodem przez tłum.

Kakofonia. Zza ogrodzenia chóralny śpiew, niewyraźny, trudno od razu rozpoznać, z lewej dobiega i splata się z tamtym piosenka Beatlesów, *It's been a hard day's night*, z trzymanego przez kogoś w rękę tranzystora słycać przemówienie jakiegoś oficjała, przerywane oklaskami, przez głośnik umieszczony przy bramie rozlega się nagle huczący komunikat: „Pani Zaremba proszona do bramy, mąż czeka”, wszystko to splata się w popłatny warkoczyk z buczeniem, bzykaniem tłumu, ze wszystkimi tymi głosami, komentującymi, pytającymi, wołającymi... Aha, to chyba *Boże coś Polskę*, ten śpiew zza bramy. A Beatlesi umilkli na moment i znów się odezwali, w innej piosence, Krzysztof postukuje odruchowo czubkiem prawego buta, lubi to:

Will you still need me

Will you still feed me

When I'm sixty-four?

Przed sobą ma portret papieża, polskiego papieża, pięknie się to zbiegło, naokoło pozatykano bukiety kwiatów, palą się lampki i świeczki, jest i krzyż obwieszony kwiatami, i biało-czerwona flaga, bukiety też prawie wszystkie z kwiatów białych i czerwonych, ktoś stojący obok wyciąga z kieszeni paczkę marlboro, zza bramy dobiega nagle nasilone, potężne

Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie!

– i ktoś przykleka, „Na Andrzeja Krawczyka czeka przy bramie ojciec”, widać wartowników w biało-czerwonych opaskach, cztery chłopięce głosy z Liverpoolu jeszcze raz powtarzają *When I'm sixty-four*, Tadeusz mógł się już zjawić, pora wracać.

– Gdzie ty się podziałeś?

Tadeusz istotnie czeka przy samochodzie, wyciągając szyję i rozglądając się na wszystkie strony. W rękę trzyma dwa białe kartoniki; jeden z nich od razu, nie czekając na wyjaśnienia, wtyka Krzysztofowi w rękę.

– Przepustka. Trzymaj.

Na białym kartoniku nadruk: Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. I pieczętka! „Szybko to zorganizowali” – mówi, a Tadeusz, nie słuchając, kiwa głową i rusza przodem, prowadząc. Jeszcze tylko rzut oka na własne imię i nazwisko, wpisane ręcznie, coś trwałego, to jest coś trwałego, dowód...

– Krzyś, idziesz?

Są już po drugiej stronie.

Oddycha głęboko. Za jego plecami, za ogrodzeniem, za bramą została ulica, miasto, kraj, świat. Kobiety z paczkami, koszykami, siatkami, węzełkami z jedzeniem, cisnące się do tego ogrodzenia, do swoich, czekające na komunikat, na wezwanie. Kioski, przed którymi po kilka godzin milczące kolejki czekają na gazety. Ludzie, o trzeciej w nocy ustawiający się przed sklepem mięsnym. O piątej rano – przez wiele dni, przez całe tygodnie – przed sklepem z pralkami i zamrażarkami. Ach, i ten rząd kalek, czekający wzdłuż całej ulicy, i za jej rogiem, w kilometrowym sznurze, w mokre, mgliste wieczory, w krzyku, nawoływaniu przez walkietalkie, obwieszzeniach przez megafony, wyciu klaksonów – na kilka sekund pod rękami amerykańskiego cudotwórcy! I więźniowie w żółtych kubrakach, w myckach wsuniętych na wystrzyżone głowy, przy wtórze strażniczych gwizdków reperujący szyny pośrodku ruchliwej ulicy. I ten żywy wąż przed apteką w dniu dostawy, długi na dwie ulice, z ogonem zawiniętym w jakiejś bramie, otaczającym koliście podwórze... a z drugiej strony, twarzami do tamtych, drugi żywy wąż, krótszy: uprzywilejowanych. Tych, co to mają prawo bez kolejki. Kalek i honorowych krwiodawców. Ludzie, w dzień stojący w kolejkach, a nocą śniący o tym,

że stoją w kolejkach. Śniący o staniu w kolejkach! Ludzie czekający, kraj ludzi czekających. Przez dziesiątki lat. Na próżno. To jest za bramą. Po tamtej stronie bramy.

Dość tego!

Po drugiej stronie bramy – kres czekania. Tylko tyle. Wszystko, czym jest polityka dla maluczkich. Niezgoda na to, by dalej czekać. Zna to już. Wczoraj wrócił od ludzi, odmawiających dalszego czekania. A teraz... Ale tu jest inaczej, oczywiście. Oczywiście!

– Macie gazety?

Słyszą to od pierwszej chwili, ze wszystkich stron. Naokoło jest tłum. Tłum, który już tu zamieszkał, który się tu osiedlił. Pobudował sobie schronienia, szalasy, chatki z jakichś płyt, chyba bardzo lekkich, ale chroniących od wiatru i deszczu: jak w dziecińczych zabawach, Krzysztof przypomina to sobie nagle, czas wigwamów sporządzanych z krzesel i koców, a także, podczas wakacji, ten najwspanialszy z domów, drzewo... Przez sekundę widzi to drzewo, zwieszające gałęzie aż do ziemi, wystarczyło przepleść te gałęzie tu i ówdzie innymi, podeprzeć od środka, i już należało się do plemienia Osagów, ulubionego plemienia: ach, bzdura. Niepodobna uwierzyć, że to się zdarzyło. Pozostało w pamięci, ale uwierzyć nie można. Chłopak w waciaku, bardzo jeszcze młody, wysunął głowę ze swojej chatki, podparł się łokciami, spojrzął na nich.

– Macie gazety? Macie coś do czytania?

Rozkładają ręce. Niestety.

Już są poza tym tłumem – tym także. Poza tym czekaniem. Przeszli dalej. Wkraczają na wielką salę. Ludzie w niej giną; jest ich tak niewiele! Kilka osób tłoczy się przy końcu jednego z długich stołów, ktoś sprawdza mikrofony na podwyższeniu, powtarza: „Jeden, dwa, trzy, cztery!”, nad podwyższeniem flagi, biały orzeł na czerwonym tle, w głębi ogromna, biała rzeźba: to Lenin. Prezydium jak prezydium. Krzysztof po raz pierwszy czuje się niepewnie, rozgląda, liczy stoły: cztery. Jakby to miało znaczenie! Tu jest cicho, w tej chwili jest cicho. I pusto. To obezwładnia. Zniechęca.

Tadeusz o coś pytał, do kogoś podbiegł – i wraca z niskim, szpakowatym człowiekiem, do którego mówi „profesorze”: a więc to szef. Czy coś w rodzaju szefa.

Szef ściska im ręce. I od razu przydziela robotę.

– Czy któryś z panów zna perfekt francuski? Ale perfekt? Pan? To dobrze; bo ja nie za bardzo... Dam panu materiały, trzeba z nich wyciągnąć wszystko o podmiocie organizacji związkowych, rozumiemy się? I zestawić przepisy międzynarodowe z polskimi. Potem pan przejdzie do statutów większych central związkowych w świecie, ale to potem. Idzie o wykluczenia. Kto nie ma prawa do przynależności związkowej, w ogóle i u nas. To najważniejsze. Wyłączenia! A dla pana, panie Tadeuszu...

W tej samej chwili przy drzwiach coś się zaczyna dziać, na salę wkracza wąsaty mężczyzna z papierosem, za nim, obok niego, inni, dziesiątki ludzi, tłum. Wąsaty podchodzi do profesora, który coś do niego mówi, nie słysząc co, potem podaje rękę Krzysztofowi i Tadeuszowi, oczy mu błyszczą, cały jest jak naelektryzowany, jak w transie.

– Z Warszawy jesteście? Fajnie, żeście przyjechali. Przydadcie się, jest masa roboty. Zaczyna się dużo dziać, dobrze dziać, zobaczycie, jak to teraz pójdzie! Uda się, musi się udać!

I już odchodzi, ktoś mu wtyka w rękę plik kartek, wchodzi z nimi na podium, czyta z trydem, ale mówi jak się patrzy, dobry przywódca, tak myśli Krzysztof patrząc na niego, dobry przywódca musi być taki, podszyty elektrycznością, i ta wiara w siebie... Na kartkach ma informacje, rzuca je teraz przez mikrofon, a co tylko można podać triumfująco, podaje triumfująco, ręce same składają się do oklasków: kolejne zakłady przyłączają się do nas, delegaci już są na miejscu, jest nas coraz więcej! Więc hura. Mniejsza o to, jakie to zakłady, duże, małe, mniejsza o to, co to znaczy praktycznie: człowiek jest porwany. Z miejsca.

Teraz o wprowadzeniu prohibicji na czas strajku. Wojewoda spełnił nasze żądanie, wydał zakaz sprzedaży i wyszynku alkoholu. Niech także każdy z nas...

– Przejęliśmy władzę w mieście!

Krzysztof trochę się w tym gubi. Oswoi się, jeśli tylko strajk potrwa odpowiednio długo. Jeżeli pozwolą mu trwać. Dziesięć lat temu nie pozwolono. Ktoś o tym mówi. Tu obok, zaraz, tuż przed bramą, leżeli zabici. Miasto było tego pełne, to samo miasto. Zastrzelonych, podziurawionych kulami. Tutaj bunt znaczy co innego, niż gdzie indziej. Wiemy, że możemy zginąć. Dziś, jutro. Za godzinę. Albo za dwa dni. Ty też możesz zginąć, człowieku.

No, dobrze. Akurat tego nigdy się nie bał. Drobnostka!

Teraz do roboty.

Grzebie się w książkach. Jak zawsze. Jak w domu. Notuje. Tłumaczy. Zakłada potrzebne strony strzępkami papieru. Tak miałyby zginąć? Co za nonsens. Co za nonsens.

Nagły warkot, gdzieś w górze. I Krzysztof wybiega z budynku razem z innymi, tłoczą się w drzwiach, szybciej. Szybciej. „Co wy robicie”, krzyczy jakaś kobieta, „właśnie tu się schowajcie; jeśli będą bombardować...” – „To nas tu zasypie”! – woła kto inny; ale Krzysztof nawet nie myśli o bombach, i większość też chyba nie, biegną z ciekawości. Nad stocznia krąży samolot.

Zadzierają głowy, otwierają usta. Patrzą na niego jak idioci. Tylko ciekawość, nic więcej. I przez chwilę tylko ten warkot. Nic więcej. I szybkie pochylenie głów, gdy coś się stamtąd sypie, coś wypada – a zaraz potem wybuch śmiechu. Ulotki! To tylko ulotki!

Chwytają je, wciąż się śmiejąc. Wydierają sobie nawzajem. Niektórzy czytają na głos, otoczeni ciekawymi. Straszą! Każą wracać do pracy! Oficjalna bibuła, nic więcej. Znów śmiech: ulgi. Aż histeryczny. Zbyt ostry, zbyt wysoki. Zadrukowane kartki wypadają z rąk, sfruwają na ziemię, nietknięte, zgniecione, jak wypadnie. Tylko tyle! Tylko tyle!

Potem śmiech cichnie.

– Może być gorąco – mówi do Krzysztofa człowiek w kufajce, stojący najbliżej; mówiąc, składa starannie ulotkę, na czworo, w ośmioro, i chowa ją do kieszeni, na pamiątkę.

– Dzisiaj? – pyta Krzysztof niepewnie.

– Może już dzisiaj. Domy, widzi pan, ewakuowali.

– Jakie domy?

– A te! Koło stoczni. Patrz pan.

I prowadzi go w stronę bramy. Tej bramy, za którą wciąż trwa tłum. Obdarzony teraz ulotkami, poruszony, przemieszczający się z miejsca na miejsce, tasujący – och, uspokoi się, zaraz się uspokoi...

– Na okna, na okna niech pan patrzy. Widzi pan kogo? Gdziekolwiek?

Krzysztof patrzy solennie, uważnie. Lustruje okiem wieżowce, te najbliższe stoczni. Nie ruchome, zastygłe okna. Wypełnione pustką szyby. Wymarłe balkony.

– A przedtem? – pyta. – Jak tu było?

– No, jak to? Normalnie. Ludzie mieszkali. Zabrali ich, widzi pan. Wywieźli. Więc pewnie chcą wejść. A może chcą z góry, jak pan myśli?

I podnosi wzrok wyżej, na niebo. Krzysztof idzie za jego przykładem.

– Z góry? Myśli pan, że będą bombardować? Człowiek w kufajce zastanawia się.

– Myślę, że im będzie szkoda maszyn. No, i dźwigi, zabudowania, ale co tam, panie, statków im będzie szkoda! Tyle dobra, przecież to grube dewizy! Nie, ja myślę, że będą chyba strzelać. Jak w siedemdziesiątym.

Mówi o tym spokojnie, kiwając głową. I zaraz odchodzi do kogoś, kto go zawołał. Tłum zbiera się znów przy ogrodzeniu, zwierza, zaciska wokół tego miejsca na ziemi jak wielkie obcęgi. Przez chwilę jest prawie cicho. Tylko szum morza narasta, przybiera na sile.

– Pod drugą bramą – rzuca ktoś, przechodząc obok Krzysztofa.

– Co?

– Ostatnie namaszczenie.

Roześmiał się krótko, bez przesady: na tyle ten żart zasługiwał, nie na więcej. Przechodzący zatrzymał się niczym kadr filmowy: z uniesioną prawą nogą, z ręką zawieszoną dziwacznie w powietrzu, w pół ruchu.

– Coś ty, nie wierzysz? Msza będzie pod drugą bramą, z ostatnim namaszczeniem. „Ze względu na powagę sytuacji”, rozumiesz? Bo przecież mogą nas jeszcze dzisiaj...

Kantem dłoni przeciąga po szyi i zaraz łapie się na tym, że gest nie jest najlepiej dobrany, urywa go więc w połowie i rusza przed siebie. Krzysztof patrzy przez chwilę na jego oddalającą się rudą głowę i piegowaty kark. Potem biegnie szukać Tadeusza.

Zastaje go podnieconego, przepychającego się pod prąd przy wejściu do sali konferencyjnej.

– W dzienniku będzie mówił Gierek! – woła.

Któryś z robotników obejrzał się za nim i uśmiechnął drwiąco. Krzysztof pochwycił to jednocześnie, słowa i reakcję na nie.

– W dzienniku?

– Telewizyjnym. O wpół do ósmej. Trzeba zobaczyć, posłuchać... Znów ktoś przy nich przystanął. Znów jest w zatrzymanym kadrze. Na sekundę.

– A po cholere? – pyta.

Krzysztof nie odzywa się, patrzy, słucha. Za to Tadeusz się obruszył.

– Jak to po co? Przecież będzie mówił w związku z... z nami. Przecież to ważne.

– I myślisz, że co ci powie? – pyta tamten. Nieoczekiwanie wyciąga rękę i poklepuje Tadeusza po ramieniu. Serdecznie, ciepło. Ze współczuciem. – Dobrze ci radzę, idź lepiej pod drugą bramę. Po ostatnie namaszczenie.

Zostali sami. Teraz już sami, w pustce, w ciszy. Tadeusz wydaje się zbity z tropu. Pierwszy punkt na jego niekorzyść i pierwszy na korzyść Krzysztofa. Bo on to rozumie.

Tylko na chwilę. Przyszedł tu tylko na chwilę, wieczny widz: tylko popatrzeć. Z samego obrzeża tłumu, tak, żeby łatwo było się wycofać. Sprawdza na zegarku, ile jeszcze do dzienika. I, uspokojony, patrzy przed siebie: ponad tymi niezliczonymi głowami widać podwyższenie, stół biało nakryty, krzyż, dwie świece, księdza. Ksiądz poddaje kolejne zdania, tłum je powtarza. Nie spodziewałby się tego. Wzruszenie, które teraz czuje. Ten ogromny, zbiorowy głos! Ta zaciekle pokora! W obliczu śmierci i w oczekiwaniu śmierci. Na chwilę przed nią, na godzinę, na dzień przed nią. Ten ogromny, zbiorowy głos! – *Panie, w ręce Twoje oddajemy dusze nasze. Tobie poruczymy zbawienie nasze.*

Boskie oczy Jezusowe, które śmierć zamknęła, wejrzyjcie na nas.

Przenajdroższa krwi Jezusa, obmyj nas.

Jezu, pałącz cierpienie nasze z Twoim.

Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami.

Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej, amen.

Tak, to wzrusza, to wzrusza. Przez chwilę Krzysztof czuje nawet ciepłe zwilgotnienie oczu. Bezwiednie poruszył ustami, powtarzając w milczeniu słowa. *Zmiłuj się nad nami! Zmiłuj się nad nami!* Potem otrzepuje spodnie i wycofuje się chyłkiem.

Na ekranie telewizora wysoki, masywny, opalony mężczyzna w jasnym garniturze, w śnieżnej koszuli, pod krawatem, z włosami ostrzyżonymi na jeża, czyta swoją mówkę do kłębówiska mikrofonów. Co jakiś czas unosząc głowę i błyskając oczami przez szkła wsuniętych niedbale na nos, tylko do czytania, okularów. Twardo. Żadnych ustępstw. Stare, jedyne związki zawodowe są dobre i popieramy je na sto procent. Warcholstwo i anarchia nie przejdą. Odrzuca, słowem, wszystkie ich żądania, od pierwszego do dwudziestego pierwszego, nie licząc aneksów. Ale przecież wcale nie było takie pewne, że je odrzuci! Skąd oni mogli o tym wiedzieć? Tyle czynników mogło wchodzić w grę, tyle przetargów, tyle rachunków zysków i

strat, tyle spraw nieprzewidzianych! On, Krzysztof, świadomy tej mnogości czynników, usiadł przed telewizorem jak grzeczny uczeń, i Tadeusz także, i cała tutejsza inteligencja. Zaciekawieni, przejęci. Robotnikom ani się śniło choćby rzucić okiem. Jakby nie wiedzieli z góry! Po co mają psuć sobie nerwy?

Wódz – on jeden – przysiadł z nimi i już po chwili złości się na tych, którzy nie chcą pa-trzeć, wybiega, ściąga ich, zagania. Tłoczą się więc, kpiący i gniewni, podczas gdy z ekranu padają obietnice poprawy i złagodzenia, podwyżek i wyrównań, dodatkowego importu żywności, pic na drażku, oczywiście, ale tyle razy dawano się na to nabrać, wszyscy dawali się nabrać, o Wiekuista Naiwności! Tym ani się śni. Mowa skończona, sala w telewizorze wstaje, *Międzynarodówka*. Zwartym, potężnym chórem, jak zawsze. Człowiek nr 1 też śpiewa, widać to na zbliżeniu, twarz, usta, słycać jego głos, dobry głos, prezydium stoi frontem do sali, zaczyna śpiewać. Dwa pierwsze słowa.

Wyklęty, powstań...

I nic więcej. Bo po tej stronie ekranu też wszyscy wstają – nie, nie wstają, zrywają się z miejsc. I jak na komendę, chórem, jednym głosem:

Jeszcze Polska nie zginęła...

Hymn narodowy przeciw międzynarodowemu, myśli Krzysztof, też stojąc, ale nie śpiewając, łatwy symbol, ale nie o to chodzi, oczywiście, nie o to chodzi. Dwie pieśni ruszyły sobie naprzeciw, zderzyły się, skłóciły. Dwie pieśni, jak na ringu boksterskim. A kiedy milkną, odzywa się nagle głośnik, i cztery głosy z Liverpoolu wybuchają swoim

We all live in a yellow submarine

yellow submarine

yellow submarine...

Cudem zdążył wybiec za drzwi. Tam dopiero, oparty o ścianę, zgięty w pół, wybucha śmiechem. Tak go zastaje Tadeusz.

– O co chodzi? Co ci się stało?

– Przypomniało mi się coś. Ta sama sytuacja. Och, człowieku...

– Opamiętaj się! Co ci się przypomniało?

– Cortazar – chrypi Krzysztof, podczas gdy Beatlesi śpiewają:

As we live a life of ease, everyone of us has

all we need,

sky of blue and sea of green, in our yellow submarine.

– Cortazar – powtarza Krzysztof. – Twój ulubiony Cortazar. Nie pamiętasz? Opisał coś takiego... jak zgarnięto ludzi z wieców komunistycznego i chadeckiego, i wrzucono do jednej celi, a razem z nimi kilku przypadkowych. I celi z miejsca się podzieliła...

– Poczekaj, nie śmieć się tak.

... in a yellow submarine

yellow submarine

yellow submarine...

– Już. Komuniści skupili się z jednej strony, chadecy z drugiej, a przypadkowi zostali po-środku. Komuniści zaintonowali *Międzynarodówkę*. Chadecy *Pod Twą Obronę*. I tu pada pytanie: „a wy? co wyście robili?”

– No?

„My? Myśmy, bracie, uderzyli w *Tango Milonga*”.

– I co chcesz przez to powiedzieć?

Tadeusz nawet się nie uśmiechnął. Patrzy na niego chłodno – nieszczęsny neofita! Jak gdyby sama myśl o tym, że mogliby obaj być spod znaku *Żółtej Łodzi Podwodnej* przynosiła hańbę. W lustrujących Krzysztofa z pogardą żrenicach powiewają dwie malutkie białoczerwone chorągwie.

Oczy człowieka, który nigdy już nie uderzy w *Tango Milonga*. Szkoda.

Noc. Jak dotąd nic się nie stało.

Patrzenie, słuchanie. Postrzępione obrazy, pojedyncze dźwięki.

Dwaj chłopcy w waciakach, niosący tablicę z napisem WOLNOŚĆ DLA POLITYCZNYCH.

Dźwigi na tle zmierzchającego nieba.

Ciemność. Światła w ciemności.

Zrozumiesz potem. Jeśli będzie potem.

Wyklęty, powstań ludu ziemi.

Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy.

We all live in a yellow submarine.

A zatem nie ma się czego bać.

Bo i co może się tu zdarzyć? Wielkiego, ostatecznego? W tej grotesce?

– Spać możecie tu, na sali. Wygodnie wam nie będzie, ale... Przywieźliście sobie coś?

– Co?

– No, śpiwory, kocy! Coś do okrycia, czy żeby podłożyć...

Tadeusz ma dwa kocy w samochodzie. Pójdzie po nie.

– Włóż pod stół.

Dali im trochę gazet. Do zwrotu, jeśli się uda. Rozkładają je na podłodze, pod stołem, cienką warstwą. Na to koc, tak, żeby go można było zawinąć, no, jakoś starczy. Pod głowę zwinięty sweter. Jako tako?

– Ujdzie.

Leżąc pod stołem Krzysztof widzi jeszcze, długo, przechodzące obok ludzkie nogi. Potem światło gaśnie. Ale gra wciąż jakieś radio, muzyka przerywana wiadomościami. Niektórzy rozmawiają, bez końca. Leżąc jak oni pod stołami, między stołami, na zestawionych krzesłach. Eksperci, pomagierzy. Jakaś dziewczyna wchodzi na salę, stukając butami, nie przejmując się porą: śpiewa półgłosem *Wsiąść do pociągu byle jakiego*, i z rumorem przesuwa krzesła, montując sobie posłanie. Dużo się tu śpiewa.

... nie dbać o bagaż, nie dbać o bilet...

Tak, dużo się tu śpiewa. Krzysztof wysuwa głowę, chce ją zobaczyć. Tadeusz zauważył jego ruch; informuje cicho:

– Korek.

– Co?

– Z KOR-u, korek.

... zostawić łóżko, ciebie, szafę!

Niczego mi nie będzie szkoda!

Feministka do tego. „Ciebie” między łóżkiem a szafą, mężczyzna jako sprzęt; jak ona zgmiotła w zębach to „ciebie”! No, mniejsza o to, jak wygląda. Krzysztof układa się na boku, rozwała przy okazji podściółkę z gazet, musi ją poprawić... Nie zmruży tu dziś oka, ale nie ma sprawy. Jutro będzie dość zmęczony, żeby zasnąć nawet na kamieniach.

Chwilami jednak zasypia. Samolot oderwał się od ziemi, on siedzi przy oknie, ssąc lاندrynkę wpatruje się w kwadraciki pól na dole, a potem już tylko w grzbiety chmur, niczego nie zauważa do chwili, w której trąca go lufa pistoletu. „Założyć ręce na kark” – mówi jakiś ochryply głos. „Jesteście porwani”. Gwałtownie uniósł głowę – i zobaczył przed sobą rudowłosego brodacza w skórzanej kurtce, wikinga w skórzanej kurtce rozpiętej na piersi, odsłaniającej wydrukowany na podkoszulku portret Estravadosa. A w głębi samolotu, też w skórzanej kurtce, też z pistoletem w dłoni... Ależ to Monika!

– Monika! – woła Krzysztof. I słyszy rumor przesuwanego krzesła. A z głośnika odzywa się głos, śpiewający

*Wszystko, czego dziś chcę,
pamiętaj o tym,
polecieć chcę
tam i z powrotem
z ramion twych wprost do nieba!
do nieba!*

– Cóż, mój synu? – pyta papież. – A zatem zostaliśmy porwani? No, jasne, jak mógł na to nie wpaść. To dlatego, że tym samolotem leci papież. Dlatego został porwany. Moniki już nie widać, poszła do cockpitu. Papież jest ubrany na biało, uśmiecha się łagodnie, wcale nie wytrącony z równowagi. Przysiadł na wolnym miejscu obok Krzysztofa. Pyta:

– A jak tam nasza Polska ukochana? Czyli jest wolna, czy jeszcze zabrana?

– Och, Wasza Świątobliwość... – zaczyna Krzysztof; a jednocześnie kolba pistoletu gniewnie trąca go w ramię.

– Jak ty mówisz do papieża? – pyta rudy wiking. – I papieżowi nie podaje się ręki, tylko całuje pierścień! A przedtem powiedziałeś „do widzenia” zamiast „pochwalony”!

– Kiedy powiedziałeś „do widzenia”? – zdumiewa się Krzysztof. Kiedy podałem rękę?!

... dolecieć rrrraz

tam i z powrotem,

*więcej mi nic nie trzeba,
nie trzeba!*

– Jesteś poganinem, mój synu? – pyta papież dobrotliwie. I nie ma mu tego za złe. Wręcz przeciwnie. – To nic nie szkodzi. To bardzo dobrze. Wysłuchaj mnie, mały poganinie... chcę cię zapytać o Polskę...

– Herbata.

Monika podsuwa im tacę z dymiącymi filiżankami i dzbanuszkami. Przy kostkach cukru leżą srebrne szczypcy.

– Czy jesteśmy zakładnikami?

– Tak.

– Monika! Zostań! Nie odchodź!

... do nieba!

do nieba!

– A zatem, mój synu – mówi papież, wciąż łagodnie uśmiechnięty – udzielam ci mojego szczególnego i wyjątkowego błogosławieństwa.

I zdjętym z nogi pantoflem lekko uderza Krzysztofa Paliwodę po głowie.

5

Stale słyhać szum morza. Jest tuż obok; wieczorami to przechodzi w huk. Ciemność huczająca w ciemności; ciemność ruchoma poruszająca się w nieruchomej.

Roboty jest niewiele. Właściwie prawie jej już nie ma: odwalona. Robota będzie, jeśli władze zgodzą się na rozmowy ze strajkującymi. Jeżeli ktokolwiek tu przyjedzie. Samochodem, nie czołgiem.

Ale brama się nie otwiera. Nie dla czarnej wołgi oficjała, nie dla pieszego oficjała w granatowym garniturze, białej koszuli i krawacie. Pod bramą szaleją dziennikarze, wymachują legitymacjami, żądają przepustek. Jeżeli są tubylcami, witają ich gwizdy. Kpiny. Śmiech. Sprzedawczyki, wodoleje, szmaty. Jednych się wpuszcza, innych nie. Przez tę bramę, trzykrotnie usztywnioną kwiatami, przez ten ołtarzyk kwietno-sztandarowy, pod wielkim PROLETARIUSZE WSZYSTKICH ZAKŁADÓW ŁĄCZCIE SIĘ.

Ten ruch, przed bramą i za nią. Ten tłum ściskający stoczną od zewnątrz. Ten tłum, rozsadzający ją od wewnątrz. I szum morza w tle. Huk morza – kiedy zrywa się wiatr i cichną głośniki. Bo radiowęzeł przejęto, a jakże, ale nie będą przecież płynęły z niego nieustanne agitki, absurd. Więc piosenki, ciągle piosenki. I agitka. A po niej – cztery głosy z Manchesteru łączą się w krzyku, cieniejącym piskliwie aż pod niebo, szpicami w chmury.

Help!

I need somebody!

Help!

Not just anybody,

help!

You know I need somebody,

heeeelp!

I już masz morze przed sobą. Za sobą, nad sobą ten krzyk. Przed sobą wodę, szarozieloną, wzdymającą się, i wilgotny wiatr prosto w twarz, i drobne krople na policzkach, na włosach, a ponton pod stopami, i gdzieś w oddali, na kadłubie statku, tęskny, szydery napis RIO DE JANEIRO otulony wodną mgiełką – a za sobą czterogłosowe, wzmocnione głośnikami błaganie:

Help me if you can, I'm feeling down,

And I do appreciate you being around,

Help me get my feet back on the ground.

Won't you – please please!!! – help me?

Krzysztof Paliwoda włóczy się więc z rękami w kieszeniach kurtki, z podniesionym kołnierzem – a nazajutrz w dzinsach i koszuli z podwinętymi rękawami: od krzyża do RIO DE JANEIRO, od sali obrad do drugiej bramy, na mszę, od drugiej bramy pod pierwszą, w kwietno-chorągwiany ceremoniał, i znów na ponton, moknąć w deszczu, opalać się, jak wypadnie. Czekać. W kakofonii głosów, w której co chwila powtarza się kontrapunkt: „Wejda? Jak myślisz, wejda? Koniec? Jak myślisz, koniec? Strzelać? Jak myślisz, będą strzelać?” Niewiele ma do roboty, pomagier przy ekspertach. Tyle że może tu zginąć razem ze wszystkimi, myśl, która go podkreca, mobilizuje, trzyma przy życiu, myśl – marihuana. Jeżeli tak, wszystko w porządku.

Czekać! Tu także! I po to się opuściło ten archipelag czekających, archipelag klęski – zza bramy? Żeby tu także czekać? No, ale na coś lepszego, niż kilo solonych śledzi; na śmierć. Czy może na zwycięstwo. Na wielkość, jak by nie było.

Oczywiście, najpewniej samo się to wszystko załamie. Ale na razie tylko narasta. Idzie w górę. Gazuje. Jeśli tak dalej... Jeśli tak dalej, to cóż, będą musieli coś przysłać: czołgi lub czarną wołgę z facetem w granatowym garniturze. Orzeł czy reszka?

Serio się tym bawi, podrzucając monetę na pontonie, w tym swoim ulubionym miejscu: obstawia reszkę. Reszka to wołga z garniturem. Wychodzi. Trzy razy pod rząd.

– To jest Wandea!

Tak mówi do Tadeusza, przed budynkiem z przekreślonym na krzyż napisem RADA ZAKŁADOWA STOCZNI GDAŃSKIEJ IM. LENINA, przesuając zwiniętą dłoń wzdłuż prętu dźwigającego zakaz wjazdu, białe kółko w czerwonej otoczce, w górę i w dół – i zaraz powtarza:

– Mówię ci, to jest Wandea!

Tadeusz patrzy na niego ze zdumieniem.

– Wandea? Ach, kontrrewolucja francuska! Tak to widzisz? Niemożliwe! Jako kontrrewolucję? No, nie, Krzysztof...

– Ależ skąd! – protestuje Krzysztof. – Sam widzisz. Robisz to, co mnie zarzucałeś. Masz w głowie jakiś stereotyp z podręcznika historii. Mnie chodzi o coś duchowego. Wiesz, Wandea... Białe sztandary, kwiaty lilii haftowane przez siostrę królewską w więzieniu Tempie, msze polowe...

Tadeusz znów się najeżył, znów ma w źrenicach dwie patriotyczne chorągiewki. Co za człowiek!

– Patrzysz na to wszystko jak na spektakl teatralny – mówi surowo. – Czepiasz się spraw drugorzędnych. Błahostek, bzdur. Ta twoja uciecha, kiedy po hymnie odezwali się nagle Be-
atlesi! Nikt prócz ciebie nie zwrócił w ogóle uwagi... – Rzuca Krzysztofowi nagle spojrzenie
spode łba. – Słuchaj, czy ty uważasz, że to się nie uda?

Krzysztof zsuwa dłoń z pręta. Otwiera ją, otrzepuje.

– Cóż, nie powinno się udać! Zgodnie z elementarną logiką – nie powinno.

– Co masz na myśli?

– Gdybym ja był u władzy, nigdy w życiu nie zgodziłbym się na niezależne związki zawo-
dowe. Nigdy i pod żadnym pozorem. Ale to nie jest miarodajne. Gdybym był u władzy, nie
dopuszczyłbym w ogóle do tego, co się stało.

Tadeusz zachichotał. Nareszcie! Bo i ten sposób mówienia: „gdybym był rządem”! Idio-
tyczne. Krzysztof też się z tego śmieje. Ale czy można mówić inaczej?

– W jaki to niby sposób?

– Nie dopuściłbym do spełnienia jakichkolwiek lokalnych postulatów strajkowych. A gdy-
bym był kimkolwiek, tam, na górze, to zaraz na początku tego ulegania żądaniom podałbym
się do dymisji. Bo to był koniec. Zachęta dla wszystkich. Dla całego kraju. Strajkujcie, moi
drodzy! Strajkujcie, kochani! Kto strajkuje, dostaje podwyżkę! Kto nie strajkuje, nie dostaje!
Ach, durnie! – I Krzysztof, wściekły, spluwa na ziemię. Po czym zastyga w zdumieniu nad
plebejskością tego, co zrobił. Nigdy dotąd...

– Tak się tym przejmujesz, jakbyś był po ich stronie.

– Po prostu nie mogę znieść tej amatorszczyzny. Tego braku pojęcia o rządzeniu. No, i
sami się wrobili. Za późno. Jeżeli teraz przyślą tu wojsko, może być z tego wojna domowa.
Za daleko to zaszło. Trzeba było działać wcześniej. Boże, co za głupcy! Co za głupcy!

Tadeusz znów patrzy na niego poruszając chorągiewkami w źrenicach. Chce coś powie-
dzieć, odkasłuje, znów chce powiedzieć...

– Człowieku – wybucha wreszcie – czyś ty się kiedykolwiek naprawdę za kims opowie-
dział? Poza tymi twoimi terrorystami?

Myślałby kto. Za nimi przecież też nie. Do pewnego stopnia. W konkretnych warunkach.
W konkretnych okolicznościach. W zasadzie. Raczej podziw. Raczej szacunek. Natomiast... –
Ależ tak, kolego szuanie – mówi Tadeuszowi. – Za tym, co tutaj. Słowo daję! Moja pierwsza
odnowa! Raz przecież trzeba coś takiego przeżyć!

Nieszczęsny neofita nie zdążył uśmiercić go wzrokiem. Dokoła robi się ruch. Wszyscy pę-
dzą, do bramy, do bramy. „Wojewoda przyjechał!”

Ach, więc jednak. Reszka. Trzy razy reszka.

Wojewoda idzie pieszo. Od bramy. Szpalerem. Zrobili szpaler, stłoczyli się po obu stro-
nach ścieżynki, która dla niego pozostała. Krzysztof stanął za czyimiś plecami, facet jest ni-
ski, więc widzi dobrze: idzie. Jak przez drogę krzyżową. Głowę ma opuszczoną, wzrok wbity
w ziemię, policzki mu płoną. Ciężka chwila. Krzysztof mu współczuje, inni nie, skądże, w
gruncie rzeczy mają rację, ale jednak... Jak do Canossy, przyszedł jak do Canossy! Ugięli się,
złamali, przysłali go tu, do jaskini lwa, na rozmowy z buntownikami. Powieki drgają mu ner-
wowo. Ten niski przed Krzysztofem poderwał się nagle, prawie podskoczył. I wrzasnął dziw-
nym, zdławionym głosem, cudzym głosem, nie zna człowieka, a przecież wie, jest pewny, że
to nie jego głos:

– W oczy patrz, ty! Boi się spojrzeć nam w oczy!

Odpowiedział mu pomruk. Jak echo. Szpaler zafalował. Dygnitarz zatrzymał się, uniósł
roztrzępotaną rękę na wysokość serca. Twarz ma purpurową. Ależ jemu się tu coś stanie, my-
śli Krzysztof, zaraz mu się coś stanie... Nie, nic. Odwrócił się tylko, podszedł. Do tego małe-

go czy do niego, Krzysztofa? Sam przecież nie wie, kto to krzyknął. Wydaje mu się pewnie, że on, Krzysztof. I jemu wychrypiał, najgłośniej jak mógł, patrząc na niego spod przemocą uniesionych powiek: – Patrzę w oczy! Nie mam powodu, żeby tego nie robić! Ja nie mam powodu!

Ktoś niemrawo zaklaskał, reszta milczy. Wojewoda szarpnął krawat i ruszył dalej, teraz już patrząc po otaczających go twarzach, po tej mgle, zmuszając się, żeby patrzeć.

Aż do drzwi. Zniknął za drzwiami. PIĘĆ, CZTERY, TRZY, DWA, JEDEN, zgrzytają głośniki. Każde słowo, które dygnitarz odtąd powie, każde słowo, które powiedzą jemu, będzie transmitowane. Tłum zafalował, postąpił do przodu, uniósł głowy. Słucha. Czekają.

Papierosy dawno się skończyły. Ale ludzie przynoszą nowe, wciskają je między pręty ogrodzenia, wystarczy wyciągnąć rękę. Niemal wystarczy.

– Warunek wstępny rozmów: odblokować telefony! Przywrócić łączność z krajem! Ze światem!

Powinni się zgodzić. Jakoś im ta blokada nie pomaga. Trzysta osiemdziesiąt pięć zakładów! Tak czy owak, reprezentujemy już trzysta osiemdziesiąt pięć zakładów!

List do Moniki został przepisany w trzech egzemplarzach, wsunięty do trzech kopert. Wystarczyłoby poprosić trzech zagranicznych dziennikarzy... Ale czy można zrobić coś takiego? Jeżeli stąd, STĄD wyjdzie list do Stammheim... Wiadomo, co mogą z tego zrobić. Jak zinterpretować. Nie, nie może. Nie ma prawa.

W końcu złapał kogoś, kto wraca zaraz do Warszawy. Włożył swój list do drugiej, większej koperty. Zaadresował tę większą. Wsunął do środka kartkę do matki. Matka to wyśle. Jeżeli dostanie.

Nierealne. To wszystko jest nierealne. Monika, to widmo. Odległa, niepojęta.

Bądź co bądź napisał to, co postanowił napisać. Oświadczył się, Boże drogi, czy można sobie wyobrazić coś bardziej absurdałnego? Frak i lakierki. I stocznia, i Stammheim. Idiota. Ale właściwie dlaczego idiota, po co siebie szkalować?

RIO DE JANEIRO

Opera nas popiera! Filharmonia popiera! Och, Moniko. Kazali robotnikom odciąć się od inteligencji, a oni się nie odcięli. Była katastrofa kolejowa, daleko stąd, pod Toruniem, dużo trupów, dużo rannych, oddawano tu krew dla nich, dla rannych, mojej nie wzięli. Och, Moniko. Tu jest twierdza, w twierdzy jest bezpiecznie. Tam na zewnątrz aresztowania. Cała opozycja siedzi. Normalka, czterdzieści osiem godzin, a kiedy wyjdą, po przejściu paru kroków kolejne aresztowanie, znowu czterdzieści osiem, tak można się bawić do końca świata. Ale czy ja mogłem się do nich przyłączyć, no, powiedz, czy mogłem, skoro nie popieram ich na sto procent? Potępiali was, uważali was za kryminalistów, więc czy mogłem, skoro was podziwiałem? (Ale z wami też nie byłem na więcej niż dwadzieścia procent, niestety, nędzny rozdzielacz włosów). Rzucić całe życie na szale w imię czegoś, co się popiera tylko częściowo? W sytuacji krytycznej, tak; ale jeszcze jej nie było, tej krytycznej sytuacji. Może teraz. Więc się opowiedziałem. Ale, Moniko, wysłuchaj mnie (nie wiem, przez kogo wyślę ten list), wysłuchaj mnie, jestem tu szósty dzień i jak dotąd...

Sam o tym nie wiedząc, szedł za muzyką. Za czymś głośnie, śpiewającym – jak się zdawało – na tle fali. Ależ tak. Głośniki już wyłączono, niech sobie wypoczną do przyjazdu delegacji rządowej – o ile przyjedzie, o ile przyjedzie! Bo wojewoda wyszedł, łapiąc głośno oddech z ulgi przy samej bramie: przygotował grunt i wyszedł, czekamy na wicepremiera. Zwycięstwo! Zwycięstwo! Wielkie V ułożone z dwóch uniesionych wysoko palców. A przecież to nic nie znaczy. Może nie przyjedzie. Może przerwie rozmowy. Może nic z tego nie wyjdzie...

Ależ oczywiście, to ma znaczenie, nie takie wielkie, jak się to może wydawać naiwnym, a przecież... To chyba radio. Ładna piosenka. Właśnie ten rytm, ten timbre... No tak, wiedział,

że ją zna. Dlatego przyciągnęła go aż tutaj, tym niewyraźnym trwaniem pod hukiem fal. Czymś znajomym, co podświadomie rozszyfrował. Szczur przyszedł do szczurołapa. Oto szczurołap: siedzi skulony pod pomostem, długie nogi w spranych dzinsach podciągnął pod brodę, na kolanach oparł mały magnetofon. Miłośnik samotności. A zatem trzeba... Ale gdy tylko Krzysztof robi krok wstecz, facet z magnetofonem przyzywa go ruchem ręki. Chodź, nie ma sprawy. Siadaj. Więc siada. Przez chwilę słuchają razem. Potem tamten naciska klawisz. Stop.

– To było Wysockiego, tak? – pyta Krzysztof.

– Według Wysockiego. *Oblawa*. Nagranie z koncertu. Och, mam tu dużo takich...

Jest chyba w wieku Krzysztofa. Rudawy, brodaty. Chudy. Widywał go już. Nietutejszy, przyjezdny. Delegat? Pomagier? Ach, kto by zdołał w sześć dni...

– Puść to jeszcze raz – prosi Krzysztof.

– Już.

Chudy cofa taśmę. Bezbłędnie wyłapuje początek. Słuchaj.

Tylko gitara. Szybki, zadyszany męski głos i gitara. I drugi męski głos, wchodzący w refrenie. Refren razem, szybko, szybko, u kresu oddechu.

Skulony w jakiejś ciemnej jamie smacznie sobie spał

I spały małe wilczki dwa zupełnie ślepe jeszcze

Wtem stary wilk przewodnik co życie dobrze znał...

A jakże, pamięta. Kiedy to po raz pierwszy usłyszał, napisał do Moniki triumfalnie: widzisz, są ludzie, myślący tak jak my. Są tendencje w kulturze, które idą po naszej linii, które tworzą naszą bazę duchową... ach, to dumne, szczeniackie „naszą”! Tłumaczył to na jej użytek, przepisywał, wysyłał. Jakies zdania, jakies akapity z artykułów. Protest czytelnika przeciw atakowi na RAF. „List do Ulriki Meinhof” Stabry. Teksty piosenek, tych nielegalnych, tych półlegalnych. Studenckich, podziemnych. To także dla niej przetłumaczył, wysyłał... jak gdyby mogła odżywiać się takimi okruciami, w swojej celi! On mógł; ale on był wolny... Odruchowo wybija rytm palcami, dotykającymi wilgotnej ziemi. Tak, ten rozkaz z daleka i gończe z czterech stron...

Oblawa! Oblawa? Na młode wilki oblawa!

Te dzikie, zapalczywe, w gęstym lesie wychowane!

Krąg śniegu wydeptany! W tym kręgu plama krwawa!

Ciała wilcze kłami gończych psów szarpane!

Dlaczego, u diabła, był tak pewien, że to ich piosenka? Dlaczego tak ochoczo, bez żadnych wątpliwości, rzucił ją Monice do stóp? Wishful thinking? Ale sama nielegalność, półlegalność, na którą piosenkę, wbrew jej popularności, skazano – sama ona przecież o czymś świadczy. Dwa małe wilczki rozdarło już na strzępy...

Zginęły ślepe, ufne tak, puszyste kłębki dwa

Bezradne na tym świecie złym, nie wiedząc, kto je zdławił!

I zginie także stary wilk, choć życie dobrze zna

Bo z trzema naraz walczy psami i z ran trzech naraz krwawi!

A ten, który śpiewa? Och, ten wyrwał się z oblawy, co za szczęście, każdy przyzna, została na pamiątkę tego szczęścia krwawa blizna... No, jasne. Sentymentalny durniu. Znów go coś piecze pod powiekami. Durniu. Brodaty chudzielec śpiewa cicho do wtóru magnetofonu; też by się przyłączył, gdyby go tak nie dławiło w gardle. Nie może. Nie wydobyłby z siebie głosu.

Lecz nie skończyła się oblawa i nie śpią gończe psy

I giną ciągle wilki młode w całym wielkim świecie

Nie dajcie z siebie zedrzeć skór! Brońcie się i wy!

O bracia wilcy, brońcie się, nim wszyscy wyginiecie!

Oblawa! Oblawa! Na całym świecie oblawa!...

Krzysztof gwałtownie pochyła głowę. No tak, miał przecież rację. Miał rację, że jej to wysłał.

– Co robiłeś w sześćdziesiątym ósmym? – pyta nagle brodacz, przyciszając dźwięk.

– Studiowałem – odpowiada Krzysztof, tylko trochę zdziwiony. – Na prawie.

– Warszawa?

– Tak.

– Ja też. Na socjologii, pierwszy rok. I co robiłeś?

Krzysztof wzrusza ramionami.

– Byłem za rządem.

– Po-waż-nie? A w siedemdziesiątym?

– Byłem za rządem.

– Coś takiego! I kiedy przestałeś być?

– Po kilku dniach. Kiedy był zamach stanu. Za nowym rządem już nie byłem, ani przez chwilę.

– Ależ z ciebie oryginał! – Brodacz przygląda mu się ze zdumieniem. – Wszystko na odwrót!

Zapewne. Krzysztof bierze od niego papierosa, pochyła się nad osłoniętą otoczką dłoni od wiatru zapalką.

– To znaczy jak? – pyta tamten. – W sześćdziesiątym ósmym byłeś za cenzurą? I za wypędzeniem Żydów? I przeciw mieszaniu się inteligencji do polityki? Pisarze do pióra, studenci do nauki? Tak było?

Krzysztof wzrusza ramionami.

– Wzorcowy obiekt manipulacji. Wystarczyło mi powiedzieć, że przecież wszędzie jest cenzura i że który kraj pozwalałby zdradzać tajemnice wojskowe, i że skoro środki przekazu są finansowane przez państwo, to jak można się spodziewać, że państwo będzie finansować ataki na siebie, rozumiesz. A ja potakiwałem, no bo jakże. To było logiczne. Co do Żydów, to przecież nie na nich wpadli, tylko na syjonistów, to przecież niejednoznaczne, syjonizm to ideologia...

– Człowieku! – woła chudy. – Byłeś aż takim durniem?

Krzysztof przygląda mu się. Trochę za wiele tej pogardy. Przesada.

– Wiesz – mówi wolno – jeden były dureń jest bardziej przydatny niż stu mądrych od urodzenia. Bo on wie, co trafi do ludzi. Na co się dadzą wziąć. Teraz też.

Ale nie wierzy w to, co mówi. Obraza minęła. Znow wrócił stary lęk, ciemne drgnienie: przecież ty nie masz światopoglądu! Kretynie! Wszyscy to mają, akurat tak samo, jak mózg i serce, wszyscy, tylko nie ty. Wierzą w Boga, w pieniądze, w klasę robotniczą, w cokolwiek: a ty? Być może, wieczne być może! Z jednej strony tak, a z drugiej wręcz przeciwnie. To ci się podoba, a to odrzucasz. Jezu, opowiedzieć się wreszcie za czymś i poświęcić to śmiercią; niech ten moment wiary – w cokolwiek! – będzie ostatnim momentem życia. Gdybyż tak nadleciały samoloty i zrzuciły bomby, i utrwaliły go tak na wieki, utrwaliły chwilę, zmieniając ją w wybór...

– A w to, że Marzec zrobili Żydzi i stalinowcy, Żydzi **dla** stalinowców, w to też wierzyłeś?

– Oszalałeś? Och, nie. Przecież ja tam byłem. Jak mógłbym w taką bzdurę...

– No, chociaż tyle. Więc jak przyjmowałeś to, co wypisywali w prasie?

Krzysztof stuka palcami po kolanie. Do diabła, nie ma powodu spowiadać się przed tym facetem! A z drugiej strony, czemu miałby kłamać?

„Gdzie nie ma przegieć?” – tak myślałem.

I szuka w oczach brodacza pogardy; nie znajduje. Raczej ubawioną sympatię.

– Nie myślałem, że spotkam kogoś takiego jak ty! Słuchaj, a czy mógłbyś bić?

– O co ci chodzi?

– Wszystko się do tego sprowadza. Wtedy, w Marcu... ile ty miałeś lat? osiemnaście? I takie poglądy, jak mówisz. Ludzie z takimi poglądami bili. A ty?

– **Kto** bił? Studenci studentów?
 – Niektórzy tak.
 – Daj spokój. Nie widziałem. Nie wierzę.
 Brodaty przymyka oczy.
 – Pamiętam to jak dziś – mówi. – Wiec się skończył, gadaliśmy jeszcze przed biblioteką, niedaleko tych autokarów, co to, pamiętasz, przywieźli nimi robotników, żeby nam wyper-swadowali...
 – Byłeś tam? Ja też!
 – Tacy jeszcze godni, psiakrew! Elita narodu! Na swoim eksterytorialnym... I nagle otwarły się te dwie bramy, z dwóch stron, i wpadli, wpadli przez obie bramy, pałki trzymali w górze, pałki aż błyszczały...
 – Gołędzinów z prawej, ORMO z lewej – wspomina Krzysztof równie tęsknie.
 – I w dwa ognie! Jak oni pędzili, człowieku! W jakiej furii! Kiedy mnie złapali...
 – Poczekaj, to nie tak było – prostuje nagle Krzysztof. – Najpierw wpadli mundurowi. Wtedy wszyscy rzucili się do drugiej bramy, tej południowej. A brama się otwarła, i wyskoczyli z niej cywile z pałkami, i już ich mieli. To ważne, że była chwila spóźnienia. Dobre taktycznie, z ich punktu widzenia. Nie pamiętasz?
 – Ciebie kto dopadł? – pyta brodacz serdecznie; położył mu nawet rękę na ramieniu, jak bratu. – Mundurowi czy cywile?
 – Mnie? Nikt.
 – Jak to?
 – Ja nie poleciałem do drugiej bramy, tylko do trzeciej. Do tej na Kościół Wizytek. Nikt o niej nie pamiętał...
 – Przecież jeszcze nie wiedziałeś, że z drugiej bramy też wylecą! Bo tak było, masz rację, była chwila spóźnienia. Więc czemu...
 – Bo nie lubię tłoku. Wszyscy polecili do drugiej bramy, więc ja do trzeciej. Instyngt. To brzmi podejrzanie. Więc dodaje czym prędzej:
 – W końcu nie ja jeden poleciałem do trzeciej bramy. I jeszcze czwarte wyjście było, na Oboźną. Tamtędy pewnie też choć parę osób uciekło...
 Brodacz macha ręką. Mniejsza o to.
 Przez chwilę milczą. Przypominają sobie: błysk uniesionych pałek, hełmy z paskami pod brodą, rozjarzone, narkotyczne oczy tych, co bili. Jak oni bili, Boże święty! Jak bili! Bezbronnych. Nie podczas manifestacji, nie: po niej. Na zamkniętym terenie, ich terenie. Zmusili ich do wyjścia stamtąd. Wygonili na ulicę, pałkami. I teraz to już były zamieszki uliczne, tak jak chcieli. O tak, pamiętam. Jak stali, lekko pochyleni, zebrani w sobie, gotowi, rzucając spojrzenia spod hełmów – na ulicy, już na ulicy – a tamci, studenci, otaczali ich kręgiem, skandując: GE-STA-PO! GE-STA-PO! Potem sięgnęli do portmonetek, sypnęli bilonem, obrzucili ich tym – monetami, drobnymi monetami, zapłata... I nagle sprężenie, nagła eksplozja tej zbrojnej, mundurowej grupy, uniesione pałki, ucieczka, krzyki... I „suki” milicyjne, do których włączano krzyczących. I gaz łzawiący – nazajutrz? na drugi dzień? Na trzeci? Rozpryskujące się pociski z gazem, oczy wypływające łzami z oczodołów, z mózgu, płomień w gardle, w nosie, w uszach, i wojna podjazdowa na ulicach, w zaułkach, atak, ucieczka, atak, ucieczka... „Atak”, mój Boże! Inteligenckie mięczaki! Atak polegał tylko na ruszeniu naprzód, z hasłem, z krzykiem. Choćby z tym wiecznym GE-STA-PO. GE-STA-PO! Nigdzie, nigdzie nie było schronienia. Uniwersytet już nim nie był, mogli tam wejść w każdej chwili. Więc kościoły? Ale tamci wchodzili i do kościołów, wrzucali przez otwarte drzwi swoje bomby łzawiące, swoje pociski. Więc nigdzie, nigdzie. Na trzeci – czy czwarty? – dzień ulicą, w pochodzie. Pamiętasz. Ujadanie psa. Staruszek w piżamie, gapiący się z balkonu. Źle przygotowane, fatalnie przygotowane, straż, ich własna straż nie zdała egzaminu, dołączyły się

męty, obcy. Ale czy można tego uniknąć na otwartej przestrzeni? Atak, ucieczka. Krzyk, haśło. Gaz. I grad kamieni. O tak; pamiętam.

– Więc byłeś w tym jednak? – pyta brodaty.

– Ach, nie. W tym, ale nie z tym. W środku, ale... Co ze mnie był za kretyn!

Hańba, myśli, hańba. To było hańbą. Szedł w pochodzie. Biegł do przodu, ale milcząc: niczego nie wołał, nie skandował GE-STA-PO, łzawił, kaszłał, do przodu, do tyłu, na schody, pod kościół, słuchał, patrzył, ryzykował, ale nie wiedział, głupi osiemnastolatek, idiota, nie wiedział, co ma o tym myśleć. Jak ocenić. Dopiero po latach... Co za hańba!

– W końcu doszedłem do wniosku – mówi – że nigdy nie poprę niczego na sto procent... chyba że sam to wymyślę. I wymyśliłem. Ale to z tamtego wynikło, z Marca. Walka inteligencji o **własne** prawa, nie o cudze. O siebie. Rewolucyjną Partię Inteligencji, to wymyśliłem!

– Po-waż-nie? Ilu członków?

– Jeden.

Brodacz chichocze. A teraz? Teraz wszystko się zmieniło. Liberté, égalité, fraternité! Tego trzeciego hasła nikt nigdy nie tknął. Z pierwszego wynikła rewolucja francuska. Z drugiego październikowa. A trzecie? Z trzeciego to, co tutaj. Po raz pierwszy w historii. Jeżeli to jest możliwe: fraternité! Och, gdyby to się utrzymało, RPI nie byłaby potrzebna. Mogliby być razem. Solidarnie. Jeden za drugiego, jedni za drugich, wielki piec za offermę w białym fartuchu, offerma w białym fartuchu wszystko co się da za tych od wielkiego pieca, fraternité! Ale to niemożliwe, to przecież jest niemożliwe!

– OD MORZA! SŁYSZYCIE? OD MORZA!

I tupot nóg, nad głowami, obok. Nadbiegają, tłumem. Brodacz szybko wyłącza magnetofon, wiesz go na ramieniu, już się poderwał, Krzysztof też: o co chodzi? Pędzą na brzeg, pół stoczni. Oslaniają oczy rękami, wypatrują.

– Gierek w siedemdziesiątym też morzem przyplynał.

– Bramą nie wejdą. Bramą będą się bali.

– No i gdzie są? Gdzie ich widzicie, durnie?

– Nie przyplyną. Mówiłem, że nie przyplyną.

– Kto to powiedział? Kto wymyślił, że podplływają?

– OD BRAMY! LUDZIE! BRAMA! BRAMA!

– Lecimy – rzuca brodacz, i już się wysforował o trzy metry do przodu. Tłum gna z powrotem, od morza pod pierwszą bramę, tłum dał się zmylić, ale już zawraca: przyjechała delegacja rządowa. Reszka. Reszka.

*

E tam, jeszcze nie przyjechała. Porządkowi w biało-czerwonych opaskach rozciągają dwie liny od bramy do tego budynku, w którym się sypia pod stołem, wytyczają drózkę. Tędy będą szli. Wicepremier i reszta. Złamali się! Będą rozmawiać! Ależ nie, to przecież niemożliwe.

A jeśli nawet możliwe, to nic z tego i tak nie wyniknie.

A jeśli nawet wyniknie, to długo nie potrwa. Nie może być inaczej! Nie może być inaczej!

6

– Sankcje! Sankcje! Wszyscy mają sankcje!

No, widzisz, władza zstąpiła do gniazda os, między buntowszczyków. Władza przyjeżdża na rozmowy z buntowszczykami: raz, drugi, trzeci. Siada z nimi przy jednym stole. Dwie ręce ze spinkami przy mankietach: jedna rzuca ustępstwa, druga sankcje prokuratorskie. Co teraz?

– Trzeba coś zrobić! – krzyczy dziewczyna o gładkich, czarnych włosach, chwytając Krzysztofa za ramiona: nie zna go, on jej też nie, może to ta, która śpiewała pierwszego wieczoru, postukując w podłogę butami na koturnach, może kto inny, wszystko jedno. Prawie płacze. Trzęsie się. – Trzeba wymusić zwolnienie! Cofnięcie sankcji! Tak czy nie? No, powiedz: przecież stocznia może to wymusić?

– Chyba tak. Ale czy zechce?

A więc tym razem nie skończyło się na czterdziestu ośmiu godzinach razy nieskończoność. Tym razem spróbowano rozprawić się z opozycją na dobre. Koniec z nami.

– Trzeba z tego zrobić warunek kontynuowania rozmów.

– Mnie to mówisz?

Biegną gdzieś. Dziewczyna trzyma kurczowo jego rękę. Biegną, mówią co się stało, biegną z innymi, jest ich coraz więcej, naprzeciw nich biegną inni, oni też wiedzą, dorzucają szczegóły, tak, trzeba iść, powiedzieć, trzeba coś zrobić, szybciej, szybciej, zaraz...

Hałas przy bramie, tłok przy bramie, liny już rozciągnięte, wchodzą. Wicepremier, reszta. Ktoś zaklaskał, och, bydlę. „Jeszcze się w życiu nie naklaskałeś?” Cisza, cisza. Teraz cisza. „Dzień dobry” – mówi wicepremier. Cisza. „Zobaczymy, czy będzie dobry!” Dziewczyna o czarnych włosach znów zjawia się obok, znów ciągnie Krzysztofa za sobą, czyżby go z kimś pomyliła? Ach, nie. On to rozumie. Oczywiście, rozumie. Wpadają na kogoś w piżamie i kapciach, to chory z miejscowego szpitala, wyrwał się z łóżka i płacze po dziadku, żeby widzieć. Przepraszają. „Musimy zdążyć. Zanim zaczną rozmowy. Musimy przedtem. Bo jeszcze podpiszą. Bo jeszcze się dogadają, ich kosztem!” Nagle ktoś ich rozdziela, Krzysztofa i czarnowłosa, taranuje, wbija się między nich, piorunuje spojrzeniem: „Krzysztof! Co ty tu robisz? W co ty się mieszasz?”

Tadeusz. Ależ, jak on śmie, tym tonem... Oszalał.

– W sprawie więźniów jest jasna linia – mówi. („Jasna linia”, Tadeusz na Boga, masz już wszelkie dane, żeby wejść do rządu). – Nie trzeba tego ruszać. Nie wolno stawiać władzom ultimatum. Tu należy elastycznie. Za kulisami. Nie przyciskać do muru. Dać im wyjść z tego z honorem.

– Komu? – krzyczy histerycznie czarnowłosa. – Więźniom?! Oni wyjdą z honorem, niech się pan nie boi!

– Władzom. Władzom. W końcu się to załatwi. Ale nie teraz, nie tutaj. To przecież sprawa drugorzędna.

– Drugorzędna?! Pan mówi „drugorzędna”?

W tym samym momencie pojawia się chudy brodac, ten kolekcjoner nielegalnych piosek, Krzysztof widzi go po raz pierwszy od tamtych chwil nad morzem. Pociąga czarnowłosa za sobą. „Poruszą to” – mówi już w biegu. – „Zażądają zwolnienia. Wałęsa obiecał. Gwiazda...”

– W co ty się mieszasz, Krzysztof? – Pyta raz jeszcze Członek Rządu In Spe – Z kim ty się zadajesz?

– O co ci chodzi?

– Ty masz jakąś manię na punkcie więźniów, słowo daję. Manię! Wszystko poprzecz, byle tylko wyciągnąć politycznych, w Polsce, w Paragwaju, w Górnej Wolcie, obojętne. Wszystko poprzecz! Porwanie samolotu, szantaż, ultimatum... Obsesja! Ale twoje obsesje nie powinny psuć sprawy, która... wielkiej sprawy, która...

Odwraca się plecami i odchodzi, pozostawiając za sobą jękanie się Tadeusza. Do diabła, wszędzie to samo! Wszędzie jest to samo!

Przysiada gdzieś w kącie, na ziemi. Podciąga wysoko kolana, obejmuje je rękami, unosi twarz do słońca. Zamyka oczy. Widzi teraz Centrum Pompidou, rozkrojone avocado na talerzyku, łyżeczkę, zagłębiającą się w miększu... Smugę neonów za szybą samochodu. Zakratowane okno celi więziennej. Ściany pomalowane na żółto. Siatkę nad głową, siatkę zagrada-

jąca niebo. Cień posuwający się po trawniku. Nagłe, gwałtowne drganie pod żebrami: to samo, które poczuł na rue de Rivoli, sekunda, nie więcej. Jednosekundowy pożar. Życie, cudowne życie! Życie, nie odtrącaj mnie! Och, kretyn, kretyn. Jak śmiał tak pomyśleć. Wstyd, hańba, szmira. Tak nawet myśleć nie wypada, nawet myśleć...

Uniósł powieki. Przez głośniki, na całą stocznię, rozbrzmiewają głosy z sali obrad. Ach, zapytano o więźniów! Więc jednak? Wicepremier się dziwi. Zresztą, tak czy owak, nic tu nie może pomóc. To nie leży w jego kompetencjach. Czyich w takim razie? – Może międzynarodowego sądu w Hadze – mówi wicepremier kpiąco, i ku zdumieniu Krzysztofa ludzie wybuchają oklaskami: tam, na sali, z której jest transmisja, i tu, pod głośnikiem. „Tak! Tak! Właśnie! Sąd międzynarodowy!” Nie zrozumieli, że z nich zadrwiono? Krzysztof poczerwieniał z przykrości. Sięga po papierosa, zapala. I zastyga z papierosem w ustach, z ciepłą zapalką między palcami. Mowa o braku statusu politycznych. **Jego** problem, jego obsesja! Nie ma już więźniów politycznych, nikt nie chce tego pojęcia dopuścić, obojętne, w jakim ustroju, obojętne gdzie: Monika też nie jest „polityczną”, skądże! Człowiek, którego się sadza za politykę, ex definitione jest kryminalistą: bo siedzi. Bo innych się nie sadza. Och, Moniko.

– A jaką mamy gwarancie – pyta czyjś głos przez głośniki – Jaką mamy gwarancję, że i nas potem nie nazwą kryminalistami?

– Jestem wstrząśnięty – odpowiada wicepremier głosem tak przejętym, że aż lekko zdławionym. – Jak można mnie posądzać! To nie do pomyslenia!

No, tak.

Póki co, zwekslowano na tych po wyrokach. A ci po sankcjach?

Jak by nie było, ludzie twojej klasy.

Łapie się na tej myśli, wstydlivej i głupiej, nie własnej – gdzie to wyczytał? – ale jednak. Więźniowie polityczni. Kimże są – w większości w każdym razie – jeśli nie ludźmi z twojej klasy, z twojej warstwy? Z twojej RPI? Czy nie stąd ta mania? Mania! O Boże, Tadeusz.

Mimo wszystko nie tylko twoja mania. Nie tylko twoja!

Podłożył sobie plik gazet pod głowę. Plik gazet, pod które podwinął brzeg kurtki. Leży tak w ciemności. Ktoś chrapie. Ciemność. Zamyka oczy.

Ocean. Śmietnisko. Pobojowisko. Brudne, wzdymające się fale unoszą przegniłe deski, papiery, szmaty. Kołysze się to wszystko na grzbietach fal, fale wzbijają się do nieba, rozpruwają chmury. Monika utonęła. Monika jest pod tym wszystkim, pod wodą. Nie chciała czekać, musiała wracać do Europy. Wszystko jedno jak. I utonęła, zaraz przy brzegu, utonęła. Inni dopłynęli dalej, ale nikt do końca. Poszli na dno pośrodku oceanu. Albo tuż przy drugim brzegu. Wessał ich mokry piach na mieliznach, wciągnęła ich ta brudna woda. Nikogo już nie ma. Po tej stronie – nikogo. Tylko on, Krzysztof. Patrzy na fale, na to ruchome śmietnisko, w deszczu, w szumie, w huku, w trzasku zdartej taśmy filmowej – bo to jest także film, zdarty, czarno-biały dokument, tak zdarty, że już prawie niewidoczny; a on jest w środku tego dokumentu, nie może się z niego wydostać. On dopłynie na drugi brzeg, wie o tym, jest pewny; jeśli zechce, dopłynie. Ale nie rusza się z miejsca.

Kobieta w czerwonej, błyszczącej sukni śpiewa na podwyższeniu. Sopran, słowiczy sopran. Filharmonia nas popiera! Och, Moniko.

– Uwaga, uwaga. Nadajemy komunikat. Zginął złoty medalik na zerwanym łańcuszku...

Teatr też nas popiera. Oczywiście! Teatr przyjechał. Aktor staje przed mikrofonem, unosi rękę, otwiera usta...

Niebo nad nami rozpal w łunę,

Uderz nam w serca złotym dzwonem,

Otwórz nam Polskę, jak piorunem

Otwierasz niebo zachmurzone...

Och, tak. Tak. Trudno o coś lepszego.

– Módlmy się o siłę do wytrwania.

– Zdrowaś Mario, łaski pełna, błogosławionaś Ty między niewiastami.
– Módlmy się za tych, którzy w podziemnych drukarniach drukują teraz komunikaty MKS-u.

- Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi.
- Módlmy się za rządzących, aby zawsze kierowali się jedynie dobrem narodu.
- Teraz i w godzinę śmierci naszej, amen.
- Módlmy się za więźniów politycznych.
- Teraz i w godzinę śmierci naszej, amen.

Litania przy bramie. Całowanie sztandaru. Hymn. Arcydzielo! Umieć utrzymać euforię, przez cały ten czas. Patetycznym słowem, sztandarem, pieśnią, wicem, wezwaniem do czujności, mszą, koncertem. To wielkość, prawda?

– Nie nadajesz się, Krzysztof. Przykro mi, sam cię tu ściągnąłem. Ale nie nadajesz się na eksperta. Na naszego eksperta się nie nadajesz! Idź do KOR-u.

– O co ci chodzi?

– Masz uprzedzenia. Och, mówiłem ci! Masz manię na punkcie tego jednego, więźniów. Nie mówię, że w ogóle się nie nadajesz. Ale nie do prac nad tą sprawą. Ona cię za bardzo obchodzi. Tu trzeba chłodno, bezstronnie.

– Chcesz powiedzieć, że mam stąd wyjechać?

– Oszalałeś? Jutro chyba podpisujemy. Wiesz przecież. Porozumienie! Zwycięstwo! Zrobiłeś kawał dobrej roboty w sprawach związkowych. Tu chodzi tylko o kwestię więźniów. Czy raczej tych aresztowanych, tych z sankcjami. Tych z KOR-u. Do diabła, jeśli tak popierasz KOR, czemu nie jesteś z nimi? Od początku?

– Jakbyś nie wiedział.

– Przecież to bzdura. Nie znalazłeś organizacji, którą byś popierał na sto procent, więc nie należysz do żadnej. Dzielenie włosa na czworo, ale to mogę zrozumieć. Natomiast czemu zawsze jesteś gotów pomagać ludziom, których nie popierasz, stawać po ich stronie, i to tak histerycznie... tego nie rozumiem. To nonsensowne!

– Moim zdaniem zupełnie oczywiste.

Och, przestań się odszczekiwać, durniu. To było do przewidzenia. Jakim cudem mógłbyś być razem z kimkolwiek? Jakim cudem mógłbyś kogokolwiek zadowolić? Zwłaszcza tego tutaj, to było jasne, od początku. Dwie biało-czerwone chorągiewki w żrenicach. Precz z *Tan-giem Milonga*. Sam widzisz.

Siedzi przy stole w pustawej jeszcze sali konferencyjnej, przy samym brzeżku, z boku. Dostał kanapkę z kielbasą i wodę mineralną. Pogryza, popija. I pisze – pod pozorem uczciwej pracy w imię FRATERNITÉ – pisze kolejny list. Prywatny, jak najbardziej. Dzielenie włosa na czworo, jeszcze raz. Po diabła?

„Droga Moniko,

To chyba ostatni dzień, ostatni mój dzień tutaj, wielkie święto, porozumienie ma zostać podpisane, euforia, dziennikarze z całego świata szaleją, ja oczywiście obnoszę zgnębiającą minę i spodziewam się najgorszego. Jeśli nie zaraz, to jutro, jeśli nie jutro, to za tydzień. Posłuchaj. Robotniczy przywódca zapytał mnie, dlaczego my, inteligenci, jesteśmy tak potwornie głupi. On nas ceni, szanuje, dokonaliśmy rzeczy wielkich, bez nas wszystko spaliłoby na panewce, ale dlaczego, żeby dojść do wniosków, do których on dochodzi w minutę, potrzebujemy tygodnia rozmyślań i lektur? Dlaczego jesteśmy tak tchórzliwi? Dlaczego tak się boimy ryzyka? Mamy przecież dowody tego, jak się wygrywa, ryzykując! (Gdyby znał maj 68, powiedziałby – żądając tego, co niemożliwe. Jedyne realizm!) Pomyślałem od razu (nie powiedziałem tego): bo wiemy, że NIC, nigdy, od początku świata, nie skończyło się dobrze! NIC, NIGDY! I jednocześnie: ale jeżeli tak, to czego się bać? Czemu się wahać? Czemu nie iść na całość, zawsze, wszędzie? I kolejna myśl: przecież wy to robicie, więc nieprawda, że kretyńska ostrożność jest cechą immanentną inteligencji. I (znów jednocześnie): ale jak na

tym wychodzicie? Na tym pójściu na całość? Wy i sprawa, o którą chodzi? Mais c'est en fourgeonnant qu'on devient fourgeon¹⁶. Sto sprzecznych myśli, żadnego słowa: dawno odszedł, kiedy ja wciąż zastanawiałem się, co mu odpowiedzieć.

Moniko, mówi się o esprit d'escalier. Ale my, inteligenci, mamy esprit de la rue, esprit d'autre ville, esprit d'outré mer, esprit d'outré-tombe!¹⁷

Gdyby tak iść za podświadomością.

Ostatniej nocy miałem sen...”

Chowa długopis, przymyka oczy i przypomina sobie ten sen.

Udręka. Ciemna, ciężka udręka, jaka bywa tylko we śnie.

Ulice. Unoszące się kłęby kurzu. Obolałe, opuchnięte nogi. Pozamykane drzwi. Wszystkie drzwi. Za wszystkimi – strajki.

Robotnik w waciaku leży na szerokim łożu, na białej skórze niedźwiedziej, przedmuchując sobie nos platynowym aparacikiem. „Platyna” – chlubi się – „Prawdziwa platyna!” Krzysztof stoi przy nim ponuro skrzywiony i zachwycony jednocześnie: bo jakież on jest przy tym czarujący! Jaki niewyobrażalnie czarujący!

Ale nie można stać przy nim wiecznie. Niestety. Trzeba biec, trzeba działać! Trzeba wynająć samolot. Znaleźć mapę. Ach, ludzie, spieszcie się! Spieszcie!

Na ulicach niekończące się kolejki. To zapisy do wolnych związków zawodowych. Ludzie stoją godzinami, jak po chleb, jak po mleko. Ach, ale w kolejkach nie zapisują jeszcze do związku, wydają tylko numerki do kolejki do zapisu! Krzysztof z oburzeniem ogląda swój numerek: kawałek wybrudzonej od bezustannego obiegu tekturki. 64. Nie ma przecież czasu stać w następnej kolejce, musi biec, działać!

Lecą samolotem. Nie takim, w jakim porwano papieża. Mniejszym. Nie dolecą. To już wiadać. Nie dolecą. Trzeba natychmiast lądować, gdziekolwiek! W polu, tak, tutaj: w polu! Człowieku, szybciej!

Wylądowali. Ilu ich jest? Pięciu, sześciu? Stoją na skraju drogi, naprzeciwko jest las. Patrzą na ten las. Obok Krzysztofa stoi chudy brodacz z magnetofonem. Schyla się, nabiera pełne ręce kamieni. Płacze. — Widzisz? – krzyczy do Krzysztofa. – Widzisz mój los? Mój przeklęty los? Kamieniami w niego! Kamieniami w nasz los! Niech zdechnie!

Zaczyna rzucać. Raz po razie, z ugięciem kolan, z rozmachem. W las po drugiej stronie drogi. W swój los. Krzysztof drętwieje, ale nie może wydobyć z siebie ani jednego słowa. Bo przecież ten dureń rzuca kamieniami w swój zły los, a trafia w psa! Albo może w każdej chwili trafić... W lesie jest jakiś człowiek z trzema psami, spokojny, miły mieszczuch: widzi, co się dzieje, ale nie śmie zaprotestować, macha tylko rękami, wreszcie gwizdże na psy i ucieka. Psy biegną za nim, piszcząc. Kogo ty chciałeś kamienować, durniu? Co chciałeś kamienować? Zły los? Jego tam przecież nie ma, są tylko drzewa, mech, rozbawione psy...

Nie, nie powie mu tego. Niczego nie powie. Zbyt jest zmęczony, zbyt bezsilny. Stoi tak, garbiąc się, ze zwisającymi wzdłuż tułowia rękami. Wszystko stracone. Nic już nie ma sensu. Klęska. Klęska.

Wtedy właśnie nadjechał cicho wóz, zaprzężony w jednego konia. Nikt nim nie kierował: koń – wypasiony, wyszcotkowany, lśniący – szedł na pamięć, najdosłowniej uśmiechnięty. Na wozie, przy luźno przywiązanych lejcach, siedział airedale-terier, i też się uśmiechał. Obok spał gruby chłopiec z rękami pod głową: on też uśmiechał się przez sen. Stojący przy drodze zamarli. Jak na komendę odwrócili głowy, żeby zobaczyć, co stanie się na zakręcie: niemożliwe przecież, żeby i tam wszystko poszło równie gładko, żeby koń się nie zbiesił, a

¹⁶ Mais c'est un fourgeonnant... (fr. przysłowie): Ale furmanem zostaje się furmaniac (inaczej; uczymy się w działaniu).

¹⁷ Esprit d'escalier (fr.): spóźniony refleks, riposta przychodząca do głowy dopiero na schodach. Tu w żartobliwym stopniowaniu: dopiero na ulicy, w innym mieście, za morzem, za grobem.

chłopiec nie obudził! Ale nie, nic podobnego. Koń wziął miękko zakręt, jeszcze wyraźniej uśmiechnięty, i ruszył dalej tą nieznaną trasą, którą czuł każdym kopytem – w piękny, słoneczny dzień, pod intensywnie błękitnym niebem.

– Zaraz przyjdą.

Krzysztof podnosi się z trudem, czując ból w każdej kości, w całym, jakby połamanym ciele: ostatni dzień, zmęczenie nie musi się już czaić ani ukrywać, wolno mu wreszcie ruszyć do ataku. Sam nie wie, dlaczego, ale łapie Tadeusza za ramię i pospiesznie opowiada mu ten sen, którego nie zdążył opisać Monice, zresztą co jest głupszego od opisywania w listach snów, podrze to wszystko. Tadeusz słucha, ubawiony.

– Prorocze! – mówi drwiąco. Po prostu prorocze! Wóz to oczywiście Polska? Ależ z ciebie mistyk! Nie wiedziałem!

Po czym pochmurnieje nagle.

– Zamiast zajmować się wymyślaniem głupich snów lepiej byś się wziął do roboty! – wrzeszczy.

Oszalał. Obaj oszaleli. On, Krzysztof – skoro odezwał się do niego w ogóle. Ale tamten! Ma głos szefa, ton szefa: kierownika, dyrektora, prezesa... Już? Do tego się szykuje? To z niego wylazło?

W jakiś czas później wpatruje się z ciekawością w jego twarz. Tylko w tę twarz. Kiedy wicepremier podsuwa gotowe, złaknione podpisów porozumienie – a buntowszczyki raptem mówią o aresztowanych. O tych na zewnątrz, wspomagających strajk. A co z nimi? Twarz Tadeusza. Wściekła. Przestraszona i wściekła. Wbrew najlepszym radom! Twarz Tadeusza. Och, warto na nią patrzeć!

Kiedy buntowszczyki grożą przedłużeniem strajku, jeśli polityczni jutro nie będą wolni. (A więc jednak! Widzisz. Solidarność. Robotnicy z inteligencją, rok 68 z 70, fraternité, widzisz, widzisz!) Skrzywienie Tadeusza. (Fraternité albo zwykły instynkt samozachowawczy, może raczej to drugie, ale kto dzisiaj ma instynkt samozachowawczy, ten fenomen? Tadeusz na przykład nie; więc czemu oni?).

Wicepremier łagodzi. Ależ oczywiście, że wszystko będzie załatwione, i to najlepiej jak można! A teraz... Mamy przygotowany projekt komunikatu końcowego. Proponuję podpisać: tu jest projekt komunikatu.

Chwila ciszy. I szef strajku, decydując się nagle, rzuca:

– Proponuję zrobić dziesięć minut przerwy.

– Dobrze – mówi wicepremier; i zaraz sam sobie zaprzecza, zalewa ich słowami: – Ja bym jednak proponował... komunikat już uzgodniony, komunikat możemy podpisać.

Znów chwila ciszy.

– Proponuję w takim razie dwadzieścia minut przerwy. Geniusz!

Krzysztof aż się zachłysnął z zachwyty. Geniusz! Był oto świadkiem czegoś, o czym się potem pisze w historycznych tomiskach. Od tej chwili nie można wątpić. Oni to załatwią. Zwolnienie więźniów także. Wszystko. I aż przesłania oczy dłonią: jakby i w jego źrenicach zaczęły powiewać dwie radosne chorągiewki. W jego grzesznych, sceptycznych źrenicach!

Zwycięstwo. Czasem i to się zdarza. Może raz w ludzkim życiu, może dwa razy, może nigdy. Jeżeli dane ci jest uczestniczyć w czymś takim, spróbuj się nasycić na całe dziesięciolecie. Nie spodziewaj się niczego więcej. Nic już temu nie dorówna i nie sprosta. Miałeś szczęście, człowieku: raz na coś postawiłeś i wygrałeś. Ciesz się teraz. Przed stoczną szaleją reporterzy, ktoś wspina się po cudzych zgiętych plecach, po cudzych ramionach, żeby zajrzeć za ogrodzenie. Brama wygląda jak ołtarz, osłabły pod ciężarem kwiatów, kwiaty przywalily ją, przytłoczyły, parkan po obu stronach także najeżył się mnóstwem zatkniętych między sztachety biało-czerwonych bukietów. Wśród kwiatów, pośrodku ołtarza. Matka Boska Cze-

stochowska, jakże à propos, i papież, a nad tym flagi, i napis IMIENIA LENINA, i tablica z listą 21 postulatów, z lewej krzyż, z prawej wykopki, środkiem biegnie ekipa amerykańskiej telewizji z kamerami na ramionach, już ją wpuszczono, już jest, już filmuje, wszyscy do tego przywykli, nic normalniejszego... Przejeżdża żółty wózek towarowy z zatkniętą białoczerwoną flagą. Napis: STRAJK. Dźwigi na tle nieba. Matka Boska. SOLIDARNOŚĆ. Kwiaty. Ktoś kogoś fotografuje. Na furgonetce Wytwórni Filmów Dokumentalnych – są tu od jakiegoś czasu, jasne, że nie od początku, ale są, trudno uwierzyć, że dostali taśmę, kamerę, ale jednak – widnieje adres: Chełmska 21. Ktoś dopisał przy tym 21: x TAK. *Bogurodzico Dziewico, Bogiem sławiona Maryjo! Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki. Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród. Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy. Zwycięstwo! Palce środkowy i wskazujący ułożone w literę V. Zwycięstwo! Władza się ugięła, władza podpisała, teraz tylko dopilnować, a wszystko się zmieni. Wolność, demokracja, sprawiedliwość! (Oczywiście. Oczywiście). Widzisz tę ziemię szczęśliwości, widzisz ją. Entuzjazm jak po zakończeniu wojny, jak przy odgruzowywaniu. Budownictwo mieszkaniowe jak na początku lat pięćdziesiątych. I dużo książek jak wtedy, i tanich jak wtedy, ale innych, różnych. I pełno gazet w kioskach, a gazety **prawie** nie cenzurowane. I likwidacja nędzy. I likwidacja korupcji. Koniec z pałacami dygnitarzy, koniec z klitkami nędzarzy. I redukcje biurokratów raz na dekadę. I reorganizacja transportu. Na głowie stanąć, a załatwić rytmiczność produkcji i ciągłość dostaw! Skończyć z prowizorką. Niezbywalnym prawem istoty ludzkiej, konstytucyjnym jeśli trzeba, uczynić prawo do nabycia każdego dnia i o dowolnej porze właśnie tych papierosów, które się pali, właśnie tego gatunku herbaty, który się pije, cytryn, masła, kawy, zapalek, żarówek, nożyczek! I żeby nie torturowali w śledztwie. I żeby nie bili w aresztach. I żeby wypuścili płytę z *Pierwsza brygada*, i wydali Hłaskę i Gombrowicza, Trockiego i Orwella, a w telewizji pokazywali wszystko, nawet zdjęcia ze strajków. I jeszcze... Kto tego nie wie, kto tak nie myśli? Wszyscy. Wszyscy. A gdyby... Ale tymczasem nadciąga pochód; tłum niesie na rękach wąsatęgo mężczyznę, który powitał Krzysztofa w sali z białym orłem, krucyfiksem i posągami Lenina – nie, krucyfiks doszedł później, ktoś go podarował... niesie go do bramy, krzycząc, a tam, na jego widok, odzywa się krzykiem drugi tłum, ten czekający, ten na zewnątrz, ten żywy pierścień wokół twierdzy. Z krzyku wyłania się nagle potężne, skandowane: *Dzię-ku-je-my! Dzię-ku-je-my!* Święto osiągnęło apogeum.*

– Ależ opamiętaj się! Kto nie ma nerwów? Byłem roztrzęsiony, człowieku, przecież nie będziesz się o to dąsał? Odwiozę cię do Warszawy tak samo, jak przywiozłem. Co masz się pętać z obcymi? Zbieraj swoje rzeczy i jedziemy.

Właściwie czemu nie? No, czemu nie?

Krzysztof wrusza ramionami i idzie po „swoje rzeczy”. A potem, w czerwonym fiaciku kolegi ze studiów, opuszcza rozszalałe miasto.

Milicja notuje numery wyjeżdżających ze stoczni samochodów. Milicja podnosi do oczu lornetki. Szybkie dotknięcie kieszeni, w której spoczywa glejt, list żelazny – OSOBA WSPOMAGAJĄCA STRAJK – i natychmiastowe zganienie się za ten gest przesądneho głuptasa. Już są za miastem. Las, drzewa. Deszcz. Świetlne strugi na szybach. Plecy mocno wparte w czarny skaj. Zmrużone oczy. Milczenie. Zmęczenie.

Poprowadzi potem. Tak się umówili. Noc, spokój. Puste drogi. Tak, poprowadzi potem. Teraz mógłby się zdrzemnąć, powinien się zdrzemnąć, a nie potrafi. Całe zmęczenie ustąpiło. Siedzi obok Tadeusza podniecony i roztrzęsiony jak na chwilę przed bitwą. On, emisariusz Wandei.

Radio pobrzękuje cicho. Muzyka. Jakby się nic nie stało. Może właśnie dlatego Krzysztof zaczyna drzeć. Trzeba zacisnąć zęby, żeby nie szczękały. Przytrzymać się siedzenia, obiema rękami. Rozświetlone krople deszczu tuż przy twarzy. W radio sygnał czasu. I czyjś głos. Wiadomości dnia. Euforia! Wiktoria! Gdyby można było zebrać myśli. Żeby to słyszeć. Żeby

zrozumieć. Nie może. Zbyt rozedrgany. Podnosi palec do ust i nadgryza go nieposłusznymi zębami. No, już. Uspokój się.

Przegapił początek tej wiadomości, ostatniej i najmniej ważnej, przeczytanej tuż przed informacją o meczu ligowym. Na znak poparcia dla strajku głodowego, prowadzonego od trzech tygodni w stuttgarckim więzieniu Stammheim. Ale co na znak poparcia? I gdzie?

– Zamieszki – odpowiada Tadeusz. – Nie słyszałem, gdzie.

Ach, więc znowu. Biedna Monika. Pewnie i ona. Od trzech tygodni! Który to już raz? Podczas gdy on tutaj... Podczas gdy on...

Niedługo zapewne i to się skończy. I ta głodówka. A wtedy przeczyta list od niego. I następny list, ten, który wyśle jutro, koniecznie jutro, jak najprędzej... Ciekawe, co o tym pomyśli, o Polsce. O tym, co w Polsce. Pewnie nie zrozumie roli religii w tym wszystkim, tych krzyży, krucyfiksów, litanii: Irlandczycy by zrozumieli, IRA by rozumiała. Może złapać kontakt z kimś z IRA? Z kimś z więzienia Maze? Co za deszcz. I te gałęzie drzew, jak niedźwiedzie łapy nad drogą. I nagłe, oślepiające światła samochodu, nadjeżdżającego z przeciwka. I ogłuszające wycie klaksonu.

CZEŚĆ PIĄTA

AKCJA

1

McCloud szaleje pod bramą przywaloną kwiatami, unosi wysoko aparat, wspina się po czyichś ramionach, zeskakuje... Pochód niesie na rękach wąsatego przywódcę, zdjęć to z góry, na styku spotkania z drugim pochodem, z tłumem skandującym Dzie-ku-je-my, Dzie-ku-je-my!, na styku spotkania wyzwolicieli i wyzwolonych; właśnie tak. To powinno być dobre. Zmienić obiektyw.

Polska rewolucja! Ach, to jest temat, to jest temat na całe miesiące, jeśli dobrze pójdzie: polska rewolucja. Bezkrwawa. Z Matką Boską, z krucyfiksem przy pomniku Lenina, z kwiatami: kwiatowa rewolucja! McCloud przypomina sobie nagle: Portugalia, to samo było w Portugalii.

Robił to.

Wielki fotoreportaż.

Kilka nawet.

Portugalska rewolucja goździków, od samej nazwy zbiera się na śmiech, to się nie mogło dobrze skończyć, goździki zatknięte w lufy karabinów, w lufy czołgów... Kwiatki! Niech ich diabli! Wieczna ludzka naiwność. To, co bezkrwawe, ma zawsze zły koniec. To, co krwawe, ma taki koniec **przeważnie**. On, McCloud, zna się na tym. Nie tak, jak na swoim Nikonie, ale dosyć już w życiu widział, żeby wiedzieć, jak to się skończy. Nie ma złudzeń.

Jeśli Bóg da, zrobi tu i ten drugi reportaż, nieunikniony: ten o sowieckiej interwencji. Warto pamiętać, żeby czołgi pod tą bramą zdjęć – o ile się uda – z tego samego miejsca. Z tej samej perspektywy.

2

Rolf Sperling spojrział na zegarek. Musi jeszcze poczekać. Zaciąga ręczny hamulec i rozkłada gruby, śliski jak łuska dorsza numer tygodnika z fotoreportażem McClouda. Polska. Oczywiście, Polska! Tym tylko żyje teraz świat, tym się zachłystuje: polską rewolucją. Mają czelność tak to nazywać! Supershow dla burżujów. Przegląda zdjęcia. Wąsaty wódz z obrazkiem Matki Boskiej w klapie, msza na dziedzińcu, krucyfiks obok posągu Lenina. Sperling aż się krzywi z odrazy. Kонтrewolucyjna szopka pod batutą klechów. Z tym najwyższym, tym rzymskim, tym, którego portret (chadecki nacjonalizm!) umieszczono nad bramą, z tym papieżem-Polakiem na czele. Sperling ma ochotę splunąć. Przerzuca jednak kartki. Oto polska nędza. Niekończące się kolejki przed sklepami. Fotomontaż, oczywiście. Zgarbione grzbiety, umęczone twarze. Triumfator, dźwigający na szyi girlandę z papieru toaletowego. Triumfatorka, chowająca z uśmiechem do siatki niedbale zawinięte w papier kości i ochłapy, podczas

gdy za jej plecami tłum krzyczy i wygraża, widząc opustoszałą ladę. Znow fotomontaż. Głód w Polsce! Głód w socjalizmie! Znane łgarstwo reakcji. Co tu piszą? Jasne! Zachwyty. Jakże się rozplywają, dranie, nad przecudownym faktem, że polscy buntownicy nie przelali ani jednej kropli krwi! Wiadomo, przeciw komu to skierowane. Przeciwko „terrorystom”, „nihilistom”, „anarchistom”; przeciwko lewicy. Masowy, pokojowy bunt reakcji został oto przeciwstawiony elitarnemu, zbrojnemu buntowi ludzi postępu. Przez chwilę Sperling nienawidzi Polski jak niczego na świecie. Opuszcza szybę samochodu, wychyla głowę i jednak spluwa. No. Oszalałby, gdyby tego nie zrobił.

Odrzuca piśmidło z fotoreportażem i zapala papierosa. Rozgląda się.

Te trawniki, które po trzystu latach porządnego strzyżenia nie przysparzają już kłopotów; ta żelazna koronka, która je oddziela od cichej, sennej uliczki; ten domek w głębi, żółtawy z fioletowym odbłaskiem, z gankiem otoczonym kolumienkami, piętrowy, sielski; ten jedwabisty cocker-spaniel, który podbiega do furtki, szczeka na samochód Sperlinga i znika. I to błękitne niebo, wypełniające szczelnie każde załamanie dachu, każdą przerwę między gałęziami drzew, każdą wyrwę w linii horyzontu. Czy stąd może wyjść jakakolwiek pomoc?

Nie ma, nie może być więzi między tym ciepłym, leniwym, pachnącym świeżym mlekiem spokojem – a piekłem. Cella w dzień i w nocy oświetlona jarzeniówkami, oczy łzawiące i ślepnące od nieustannego blasku, opuchnięte powieki. Ciała o dwadzieścia, o dwadzieścia parę kilogramów lżejsze, niż wtedy, gdy je zamknięto – bo to jedyny środek, jaki im pozostał, jedyny sposób protestowania, głódówka! Ale któż by się tym przejmował, kto zgodziłby się ulec takiemu szantażowi? Pozwalają im umierać z głodu, w więzieniu! Nie ulegną wyzwaniu, nie pozwolą im... na co właściwie? Na wizytę adwokata. Na wybór adwokata. Na sen w ciemności, na łyk świeżego powietrza, na spacer nie wśród betonu. I tak do śmierci, rozumiesz, do śmierci! Bo przecież jesteśmy humanitarni, przestaliśmy wieszać. Skazujemy tylko na dożywocie. Oto ich dożywocie! Dożywocie politycznych!

Powtarza to sobie, stara się wywołać w sobie raz jeszcze furję, która nie pozwoliła mu tej nocy zmrużyć oka. Musi przejść przez ten aksamitny trawnik z zaciśniętymi pięściami, na krawędzi hysterii. Żeby poruszyć, żeby wstrząsnąć. I wątpi, by mu się to udało.

Wśród tych trawników, wśród tych krzaków, na których przekwitają róże. W zapachu przekwitających róż. Pod tym niebem, przypominającym wieko staroświeckiego pudełka landrynek. W wygodnej kryjówce dezertera.

Gasi papierosa. Wysiada, zatrząskuje drzwiczki samochodu. W tej samej chwili ktoś się pojawia między kolumienkami, ktoś schodzi z ganku. Najpierw dziecko: kilkuletnia dziewczynka w spodniach z różowego welwetu i w kanarkowe żółtym sweterku. Za nią idzie kobieta z rudymi, ułożonymi przez fryzjera włosami, z sekatorem w ręku. Z figurą zmienioną przez następną ciążę. Widząc stojącego przed furtką Sperlinga, nie może ukryć niechęci. Ale wpuszcza go, oczywiście. Do ogrodu, na ganek. Przez jedno drzwi, przez drugie, przez trzecie.

Dziecko zostało na zewnątrz, na tym przez trzysta lat należycie pielęgnowanym trawniku. Coś woła; niewyraźnie. Ale kobieta rozumie. Wyrzuca przez otwarte okno piłkę i uśmiecha się z rozczuleniem tak jawnym, tak obojętnym na wszystko poza tą dziewczynką, przyciskając piłkę do piersi, że Sperling musi przełknąć głośno ślinę: z obrzydzenia. To samicze upojenie, ta kulminacja fizjologii! Zna to aż zbyt dobrze. Tu się nic nie wskóra.

Usiadła wreszcie. Z rękami założonymi – och, mimochodem, spontanicznie, z przyzwyczajenia – na znow pęczniącym brzuchu. Nie oszczędziwszy mu przedtem szczegółowych pytań o herbatę, o drinka, o skład drinka, nie omieszkawszy postawić na dzielącym ich stoliku dwóch szklanek, wiaderka z lodem i miseczki z solonymi migdałami.

Martha Jones, z domu Doherty. Przebrzmiała – ale nie zapomniana – legenda Irlandii. Ruda dziewczyna z brukowcem w rękach; dziewczyna z barykady; dziewczyna z Kongresu. Stojąca obok Estravadosa pod czerwonym transparentem, z uniesioną pięścią, z rozpaloną

twarzą. Potem coraz stateczniejsza posłanka do Izby Gmin. Żona pana Jonesa. Mieszczka, samica, matka. Bunt był przygodą młodości: przeminał. Jakie to ludzkie. Wsunęte do kieszeni dłonie Sperlinga zaciskają się mocno.

– A więc? – pyta Martha, patrząc na tego osławionego fanatyka, wysokiego, chudego, szpakowatego, z orlim nosem: wygląda tak, jak powinien wyglądać fanatyk, to mu trzeba przyznać. – Co ma mi pan do powiedzenia?

Rolf Sperling zaczyna mówić. Niepotrzebnie w siebie zwątpił. Jest poruszony jeszcze bardziej niż w nocy. Miły, zaciszny pokój pachnący różami znika; jest tylko totentrakt w Stammheim, oświetlony jarzeniówkami, wyciskającymi łzy z opuchniętych oczu. Trzeba ratować więźniów z RAF, więźniów ze Stammheim! Zaprotestować przeciwko torturze izolacji, której – po krótkiej przerwie, to jeszcze boleśniesz – znów zostali poddani, przeciwko gwałceniu prawa, przeciwko obaleniu zasady *lex retro non agit*, byle tym pewniej powalić niewygodnych... Oni, adwokaci więźniów, robią, co mogą, ale nie mogą niczego. Pozbawia się ich prawa obrony, prawa wykonywania zawodu, szkaluje, wykańcza. Sperling ma wstęp do Stammheim już tylko jako prawny opiekun Moniki Weber. Oni teraz prowadzą głodówkę. Głodówkę do końca, do śmierci. Zna ich. Wątpi, żeby się cofnęli. Zatem umrą, w najbliższych tygodniach umrą. Dlatego też on, Sperling, jest tu dzisiaj. Chce poruszyć świat! Chce świat rzucić do ich obrony! Gotów jest paść teraz przed nią, przed panią Jones, na kolana i błagać: niech zrobi, co tylko może. Wszystko, co może. I to natychmiast, natychmiast!

Jej uprzejmie uśmiechnięta twarz sztywnieje powoli. Zaczyna się w jawnym, ostentacyjnym sprzeciwie. Apel? Miałyby podpisać apel, wystąpić z apelem? Z czym jeszcze?

– To niemożliwe! – mówi, nie czekając na koniec Sperlingowego bredzenia. – Czy pan nie rozumie? Nikt nie stanie teraz w obronie bandytów! Właśnie teraz, kiedy Polska... Widzi pan, jak się walczy w Polsce? Tam wystąpiły masy, **masy**, nie garstka dziwaków, których buntu nikt nie rozumie. I wystąpiły bezkrwawo. W tej chwili świat żyje tylko tym. Więc jak tu bronić morderców? Dla świata to mordercy! Wyobraża pan sobie, że świat poprze nawoływania o swobodę kontaktów i o spacery po świeżym powietrzu dla... dla ludzi, którzy rzucają bomby, dokonują porwań, biorą zakładników? Może jeszcze o śmietankę do porannej kawy?

Ma ochotę wyjść stąd, wyjść natychmiast. Nie słuchać tego dłużej. Przecież jej nie przekonana. Rzuca jednak, bez przekonania, ten główny argument:

– A wy? IRA? A pani sama?

Martha patrzy na niego z obrzydzeniem. Jakby nie wierzyła własnym uszom.

– Jak można w ogóle porównywać? Nam chodzi o ojczyznę!

– A im o sprawiedliwość. Uważa pani, że...

– Poza tym ja się nie solidaryzuję z radykalnym skrzydłem IRA! Chociaż, oczywiście, rozumiem tych ludzi...

– Rzucają bomby na stacjach metra, w pubach, w domach towarowych. Przeciw przypadkowym przechodniom, przeciw cywilom. Żeby ich zastraszyć. Ale to co innego, to jest wielkie i święte, tak? Podczas gdy zamach na dysponenta władzy...

– Powiedziałam tylko, że to rozumiem. Nie, że popieram. To przeciw Anglikom! Albo...

– Albo przeciw ludziom innego wyznania. Oczywiście. Z tego punktu widzenia terror hitlerowski też był wielki i święty. Przeciw ludziom innych narodowości...

– Idiocyzm. Chce mnie pan przekonać tą demagogią? Ruch oporu przeciw okupantom i ciemnościom zawsze był usprawiedliwiony przez... przez każdego przyzwoitego człowieka, nawet jeśli ten człowiek osobiście odżegnywał się od walki zbrojnej. Ale co robią pańscy Niemcy? Włosi? Porywają albo zabijają polityków, sędziów, wielkich bankierów...

– Którzy nie są ciemnościelami. Ach, oczywiście!

– To jest nieskuteczne – mówi Martha, trochę zbita z tropu.

– Ach, już tylko nieskuteczne? Nieskuteczne, **więc** niemoralne i godne potępienia? Swoich ukochanych Polaków też pani potępi w razie interwencji sowieckiej? Bo ich bunt był nieskuteczny? To pani jedyne kryterium moralności, skuteczność?

Martha porusza ustami, chce coś powiedzieć; rezygnuje z tego.

– Swoją drogą, dlaczego nieskuteczne?

– No... nie tak przebudowuje się społeczeństwo.

– A któż pani powiedział, że oni zamierzali w ten sposób z miejsca przebudować społeczeństwo? Droga pani Jones, to, co pani w ślad za swoją gazetą – „Evening Standard”? „Ladies Home Journal”? – nazywa terroryzmem, to tylko pierwszy krok w bardzo długim marszu, oni sami tak mówią...

– Więc tym bardziej, tym bardziej! Jakie mają prawo tak szafować ludzkim życiem?

– **Czym** życiem? Własnym przede wszystkim. To głównie oni giną, droga pani Jones. Niech pani porówna liczbę ofiar po obu stronach. Ale, owszem, ma pani rację. Szafowali życiem obcych wojskowych, z terenu ich kraju szykujących akcję zbrojną przeciw małemu, słabemu państwu. Życiem przestępcy wojennego, nie tylko chronionego, ale obdarzonego potężną władzą. Najbardziej skorumpowanych, stronnicych i cynicznych przedstawicieli prawa... tych, którzy arbitralnie zmieniali właśnie prawo, a więc i kształt społeczeństwa! To nie jest dla pani samoobrona społeczna, prawda?

– Nie wiem, co to da. Nie widzę sensu...

– Co to da? A **co** by coś dało?

Sperling drży z wściekłości. I nagle słabnie: nie przekona jej przecież, nie przekona, nie warto próbować.

– Wierzy pani, że można zmienić społeczeństwo w obrębie praw, które mają utrwalić jego niezmiennność? – pyta jednak, przyciszonym, przygasłym głosem. – Że można zmienić **prawo**, nie wchodząc w konflikt z **prawem**? Wierzy pani w ten absurd? Proszę się zastanowić!

Zastanawia się więc.

– Dlaczego akurat prawo? – pyta.

– Kształt społeczeństwa określa jego prawo.

– Ach, pan jest adwokatem! Skrzywienie zawodowe.

– Droga pani Jones, nie można tego dokonać! Każde działanie, nie prowadzące do konfliktu z prawem, jest nieskuteczne! Gorzej: to jest działanie pozorne, działanie-zdrada. Oczywiście, możemy spierać się o punkt wyjścia. Czy w ogóle należy zmieniać kształt społeczeństwa. Ale jeżeli się powie „tak” – nie może już być sporu o metody! To nie mogą być drogi legalne, moja miła pani Jones! A więc? Co do punktu wyjścia? Tak czy nie?

– Pewne reformy są możliwe – upiera się Martha, obracając w dłoniach szklankę. – Pewne zmiany na lepsze. I jeśli się pomyśli o cenie, którą ludzie mogliby za to zapłacić... ludzie postronni... za wielką zmianę...

– Wierzy pani w „postronność”? W tym wypadku?

– Oczywiście, że tak! Pan gada formułkami z „Prawdy”! Formułkami, które nic nie znaczą! Może jeszcze coś o walce klas? No? Sowiecki szpieg! Jest pan już sowieckim szpiegiem, czy jeszcze nie?

– Uważa pani, że to byłaby hańba?

Martha ma wypieki, ręce jej się trzęsą. Kurczowo, jak w obronie przed niebezpieczeństwem obejmuje swój brzuch, swoje ukryte pod skórą dziecko, swój sens życia.

– Coś panu powiem – oznajmia rwącym się ze zdenerwowania głosem. Albo jest pan ślepy, podczas gdy inni przejrzeni, albo jest pan szpiclem. Jak wszyscy. Dlaczego ja się wycofałam, jak pan myśli? Bo cała wasza lewica składa się z zakutych łbów wypełnionych formułkami... i ze szpicłów. Sama byłam zakutym łbem! To moje gadanie, że w Irlandii toczy się walka klasowa, nie religijna... Że też mogłam uwierzyć w tę kretyńską formułkę! Ale szpiclem być nie chciałam. I kiedy zaczęli mnie osaczać z ofertami, z propozycjami... wycofałam

się, na zawsze. Nigdy więcej nie wrócę w to błoto! Że też ja wierzyłam w Estravadosa! Nie był zakutym łbem, więc musiał być szpiegiem, wtyczką, agentem.

– Czyim?

– Wszystko jedno, czyim! A nam się wydawało, że jest czysty. Wszystko nam się wtedy wydawało czyste. Opozycja! Taniec marionetek, którymi porusza z dziesięć wywiadów!

– Aż takie wnioski z tego, że ktoś panią próbował... kupić?

– Nie mnie jedną! Więc jakie inne wnioski...

– A więc filozofia szarego człowieka, tak? „Polityka to brudy”?

– „Szary człowiek” ma rację.

Dobrze. Sperling powoli wstaje. Rozgląda się jeszcze, sprawdza, czy czegoś nie zostawił. Martha też wstała.

– Pewnie, że nie ma sprawiedliwości – mówi jeszcze, jakby chciała go przeprosić. – Pewnie, że ludziom żyje się źle. Wszędzie. Że są bydlęm roboczym, mięsem armatnim, gnojem. Że nie ma wolności. Że są uprzywilejowani i ciemieni, bardziej, mniej, ale są. Wszędzie. Pewnie, że rak. Ale trzeba być dzieckiem, żeby chcieć zmiany... próby zmiany... za cenę...

– Za cenę strzelaniny. Jasne. Jasne. Pójdę już, pani Jones. Człowieka, który strzela nie z rozkazu władz, należy uwięzić, torturować, zamordować, a jego ciało spalić w piecu do palenia śmieci, razem ze szmatami, wytłuszczonymi papierami, resztkami jedzenia. Żeby nie pozostał żaden siad. Tego żądali pani bracia w 1977, pamięta pani? Nie dać mu miejsca wśród innych ani za życia, ani po śmierci. Natomiast za strzelanie na rozkaz dawać ordery i wznosić pomniki. Do widzenia, pani Jones. Cieszę się, że panią widziałem. To cenne doświadczenie. Do widzenia.

Wychodzi. Zostawiając za sobą niepewne, lecz pełne ulgi milczenie. Przecina aksamitny trawnik, ten trawnik, który wystarczyło tylko strzyc porządnie przez trzysta lat, ten trawnik który nie przysparza już kłopotów, przecina go, żegnany poszczekiwaniami spaniela, dociera do furki...

Kłęska. Jeszcze jedna kłęska.

Wsiada do samochodu. Przekręca kluczyk w stacyjce. W ostatniej chwili podnosi jeszcze i wyrzuca na czysty chodnik przed domem Marthy Doherty to przeklęte piśmidło. A teraz do hotelu.

Dwóch nieznajomych czeka na niego w hallu. Wstają na jego widok.

Zmieniają mu życie.

3

ZOO. Trzeba je było w końcu zobaczyć, to słynne londyńskie ZOO! Jeżeli już znalazł się tak blisko...

Oni je chyba kąpią w każdą sobotę. Ależ tak. Zwierzę, które wydało mu się białym niedźwiedziem, jest niedźwiedziem brunatnym, kto by w to uwierzył? Futro ma ciemnokremowe. A niedźwiedź biały jest tak biały, że nigdy w życiu nie zdołałbyś sobie podobnej bieli wyobrazić. A lwy...

Lwy też są prawie białe. Leciutko kremowe. Złociste. Dostały właśnie obiad: ogromne kawały najpiękniejszej wołowiny, soczystej, purpurowej, świeżej. Ludzie zebrali się przed klatką, żeby to zobaczyć. Lwy nie są głodne, dotykają mięsa, ale nie jedzą go jeszcze.

Dalej.

Więzienie. Wszystko tu jest dla Rolfa Sperlinga więzieniem: nie potrafi JUŻ patrzeć na świat inaczej, mierzy wzrokiem klatki, ocenia grubość prętów, stara się pochwycić spojrzenia zwierząt – bezskutecznie. Skrzywienie zawodowe, tak powiedziała Martha Jones, z domu Doherty. Adwokat terrorystów!

Wybiegi są małe, klatki ciasne. A tu – zamknięte pomieszczenie, Rolf Sperling wzdyga się na ten widok, bez światła dziennego, bez powietrza, bez wiatru. Zwierzęta stoją w bok-sach, oddzielone od zwiedzających żelaznymi sztabami. Isolationsfortung!¹⁸ Jego skrzywienie zawodowe reaguje natychmiast. Isolationsfortung! Masz swoich humanitarnych Anglików, największych w świecie przyjaciół zwierząt! Ale zaraz przestaje o tym myśleć, przestaje myśleć o czymkolwiek.

Dziewczyna w zniszczonym, szarym płaszczku stoi przy wniecie, w której zamknięto jelenia. Wyciągnęła rękę, dała mu znak – a jeleni spokojnie, cicho nachylił łeb i wysunął rogi między sztabami. Dziewczyna drapie te rogi, drapie je paznokciami, miejsce przy miejscu, a jeleni poddaje się pokornie, z wdzięcznością.

Ach, czytał o tym! Czytał w książkach dzieciństwa! Te rogi swędzą w jakichś tam porach roku – a może zawsze? Zwierzęta czochrają się o drzewa, żeby znaleźć nieco ulgi. Ale tu nie mają o co się czochrać. I tak by zresztą nie zdołały dotknąć czegokolwiek tymi miejscami tuż przy czole, tymi, które drapie dziewczyna.

Jakiś mały chłopczyk oniemiał na ten widok. Po chwili otworzył szeroko usta i wrzasnął:

– Mama! I want to touch the corn too! I want to touch the corn!¹⁹

Matka wyprowadza go w popłochu, przerażona. Dziewczyna obejrzała się, uśmiechnęła do dziecka. Zza drzwi dobiega jeszcze jego rozpaczliwe: „I want! I want!”

Dziewczyna szepcze coś do jelenia, a zwierzę robi takie wrażenie, jakby słuchało. Ależ tak, ono słucha! Co to jest?

Przechodząc obok Sperling słyszy. Cichy, monotony głos, prawie szept. „My baby, my poor thing... it's better, isn't it? oh my poor thing, yeah, you suffered so much, but it's better, better, better... it doesn't hurt more, poor little thing, it doesn't hurt more...”²⁰

Angielki! Anglicy!

Widzi ją potem, już poza budynkiem. Widzi ją, spacerującą samotnie wśród zwierząt. Patrzącą na nie poważnie, bez uśmiechu. Zwierzęta też na nią patrzą.

Co za szok!

W tym Stammheim. W jednym z wielu Stammheim.

Na innych nie patrzą. Na niego nie patrzą!

Widzą poszarpaną plamę, nie ludzi. A w tej plamie – dziewczynę w szarym płaszczku.

Upuściła rękawiczki!

Nie zauważyła tego; upadły, kiedy wyjmowała coś z torebki. Sperling podbiega do niej.

– Oh, thank you.

To, co wyjmowała, to paczka papierosów. Trzyma ją jeszcze w ręku. Jest okazja, żeby wy-rwać z kieszeni zapalniczkę i podać jej ogień.

– Thank you very much.

I odwraca się natychmiast – żeby odebrać mu szansę nawiązania rozmowy, szansę zaczepki, to jasne. Podziękowała za grzeczność i natychmiast odchodzi. Czemu właściwie chce ją zatrzymać?

– Proszę pani, chwileczkę!

Przystanęła niepewnie, ale nie patrzy na niego; przystanęła, bo jest uprzejma, a nie patrzy – bo jest (jakże by inaczej?) przyzwoitą dziewczyną i nie zawiera znajomości na ulicy. Ani w ZOO.

– Czy chciałaby pani podpisać apel o humanitarne warunki dla niemieckich więźniów politycznych?

– Podpisać apel o co?

¹⁸ Isolationsfortung (niem): tortura izolacji.

¹⁹ Mama! I want... (ang.): Mamo! Ja też chcę dotknąć rogów! Chcę dotknąć rogów!

²⁰ My baby... (ang.): Moje maleństwo, moje biedactwo... już lepiej, prawda? o, moje biedactwo, tak, tak się nacierpiałeś, ale już lepiej, lepiej, lepiej... to już nie boli, biedaczku, to już nie boli...

Idiota. Apel jest już nieaktualny, od rozmowy z tamtymi dwoma wszystko jest nieaktualne, trzeba działać inaczej. Teraz już zawsze będzie inaczej. Miotający się nieprzytomnie samotnik przestał istnieć, kropla wody stała się cząstką oceanu. A jednak to dobry pretekst. Sperling, dumny z własnej przytomności umysłu, wyciąga z kieszeni zgniecione kartki, które przedwczoraj podsuwał Marcie Doherty.

– O humanitarne warunki dla więźniów. – I bełkocze szybko, żeby ją zainteresować: – Monika Weber, Karl-Heinz Moltke, Gabi Grönwald, wie pani... RAF. Baader-Meinhof. RAF.

– Ach, dla terrorystów!

– To nie są terroryści! – woła z przyzwyczajenia. – To slogan burżuazyjnej prasy. Prawdziwym terrorystą jest państwo. Zresztą, cokolwiek się o nich myśli, to choćby z humanitarnych powodów... przeciw torturze izolacji, przeciw...

– Ale ja nie jestem Angielką.

Co to ma do rzeczy? A jednak odpowiada jej, najgłupiej w świecie:

– A ja byłem pewny... ja też nie, jestem Niemcem. – I podaje jej pokrytą pokruszonym tytoniem wizytówkę, otrzepując ją w ostatniej chwili, wprost na jej płaszcz. – Coś takiego, byłem pewny, że pani jest Angielką! Słyszałem, jak pani mówiła do jelenia. Po angielsku.

– A jak miałam mówić? Przecież to angielski jeleni!

Roześmiał się. I zaraz przeprasza.

– Widzi pani, to oczywiste, że do ludzi w Anglii mówi się po angielsku. Ale zdawało mi się, że do zwierząt każdy się zwraca we własnym języku.

– Nie. Zwierzęta łapią rytm kraju, w którym są... uwięzione. A rytm to język.

– Skąd pani jest?

– Z Pragi. Czeszka.

– Turystka?

– Ależ skąd! Jestem tu na stypendium. I ja... mój podpis nic nie znaczy, ja jestem nikim.

– Ale podpisała pani?

– W sprawie więźniów? – Dziewczyna rozgląda się, patrzy na klatki, wiatr rozwiewa jej krótkie, jasne włosy. – Och, to tak! Na pewno!

Sperling oburza się nagle. Więc byłoby jej wszystko jedno, co to za więźniowie? Gdyby chodziło o faszystów, też by podpisała? Dziewczyna kiwa głową. No, oczywiście! I w sprawie kryminalistów by podpisała? Jasne! Sperling posmutniał. Oto część tego niepojętego świata poza polityką, tego świata bez gorączki. Podpisała! Z tego samego powodu, dla którego patrzają na nią zwierzęta, rozumie to, tyle rozumie. Tacy jak ona też są po tamtej stronie. Powinien ją pouczyć, że mówi herezje. Zaindoktrynować ją, zaagitować, wychować. Wbić jej w tę jasnowłosą główkę, że kto broni łajdaków, sam jest łajdakiem, że ludzie innych poglądów nie są ludźmi, że widząc kata z ofiarą nie wolno się oburzać, zanim się nie sprawdzi dokładnie, o co chodzi; krótko mówiąc – że tylko ludzi należących do ugrupowania, które popiera on, Sperling, należy bronić, tylko im współczuć, tylko nimi się wzruszać; że tylko ich bolą uderzenia, tylko oni ślepną podczas głodówki, tylko oni szaleją w odizolowanych celach, tylko oni mają prawo zabijać, a ich nikt nie ma prawa zabić, ot, małe ABC polityki... ale rezygnuje z tego. Nie teraz, nie teraz. Za bardzo mu się podoba. Za bardzo go zachwyca. Tego właśnie było mu trzeba w tym rozpaczliwym napięciu: dziewczyny takiej jak ona. Zgniółł papier z apelem i wetknął go do kieszeni. W końcu to tylko pretekst. W końcu nie jest już potrzebny. W końcu... ależ tak, będzie miał tę dziewczynę! Musi ją mieć!

Wie już, jak ma na imię; Hana.

4

Kiedy McCloud, obwieszony swoim warszatem pracy – kamerami, obiektywami, aparatami – wpada na lotnisko Heathrow, odprawa lotu do Monachium dobiega już końca. W kolejce do wagi bagażowej, przed dziewczyną w mundurku Lufthansy, stoi tylko jakaś para z niemowlęciem dokładnie okutany w kocyki – przesada, dzień jest ciepły – i staruszek z kraciastą torbą, z parasolem pod pachą. McCloud ustawia się za nimi i rozgląda dokoła. Lubi lotniska.

Zdążyłby jeszcze pstryknąć parę zdjęć, zanim przyjdzie jego kolej. Szybko, uważnie przygląda się twarzom, sylwetkom, pozom, gestom. I zaraz trafia na twarz znajomą; ale skąd ją zna? Wysoki, chudy, szpakowaty mężczyzna z orlim nosem wpatruje się – z jakim napięciem – w to, co dzieje się przed McCloudem. W tabliczkę z napisem MUNCHEN, w dziewczynę, ważącą bagaże... Ależ tak, oczywiście. Jasne, że go zna. Sam zrobił parę jego zdjęć w Stuttgarcie. Adwokat terrorystów, Rolf Sperling. Czy zdąży jeszcze do niego podejść? Tak, na chwilę. Podchodzi zatem.

– Mister Sperling?

Sperling aż podskoczył. Patrzy na niego gniewnie. McCloud szybko się przedstawia. Leci właśnie do Monachium, fotografować jutrzejszą manifestację, tę w sprawie więźniów. A on, Sperling? Też do Monachium?

– Skądże – burczy niechętnie Sperling, – Czekam na kogoś.

– Nie wraca pan teraz do kraju?

– „Kraj”! – mówi Sperling drwiąco. – Rozkoszny kraj! Nie, chyba już zostanę w Londynie. Spędzam tu od dawna mniej więcej po pół roku... a teraz chyba się tu osiedlę. W „kraju”, jak pan mówi, na nic już nie jestem potrzebny.

McCloud chce zasypać go pytaniami – ale widzi, że staruszek z parasolem już zniknął, że umundurowana dziewczuszka wyciąga rękę po tabliczkę z napisem MUNCHEN, żeby ją usunąć. Żegna się więc niewyraźnie i pędzi w tamtą stronę.

5

Najpierw dadzą coś do picia, potem zaczną roznosić jedzenie.

O, już.

Dreszcz podniecenia, jak gdyby samolot wypełniało stado ginących z głodu i pragnienia żarłoków. To piwo lub sok owocowy w plastikowej szklance, ten posiłek sterylny i banalny, szczelnie owinięty folią, cóż za atrakcja! Blondyneczka w mundurku Lufthansy obchodzi wszystkich z tacą, częstuje. Jest milutka. Wobec kogoś, kto nie chce pić, rozplywa się wprost w przymilnych uśmiechach. Więc może co innego? To pomaga lepiej znieść podróż, wie pan. Ależ żaden kłopot, jesteśmy tu do państwa usług... O nie, nie takich, w każdym razie nie na służbie! I śmieje się, przechylając wdzięcznie głowę. Sok pomarańczowy? Grapefruitowy? No właśnie, grapefruitowy będzie najlepszy, zaraz przyniosę! Kogoś, kto się zdrzemnął, budzi przez dobrą chwilę: cóż, to jej zawód. Na szczęście facet się nie gniewa, jasne, napiłby się, zaschło mu w gardle. Blondyneczka biega jak fryga między podróżnymi. Sama; jej koleżanka zajmuje się szykowaniem żarcia, wiadomo. Mleko dla dziecka? Zaraz poszuka, może znajdzie się jakaś puszka. Blondyneczka zabiera puste szklanki, przynosi nowe; zatrzymuje się przy niektórych pasażerach, wysłuchuje ich prośb – że też mają sumienie tak dręczyć dziewczynę, na tak krótkiej trasie każdą minutę mają biedaczki wyliczoną. No, wszyscy już chyba wypili swoje. Stewardessa podchodzi do pary z niemowlęciem, przynosi im coś na tacy przykrytej ręcznikiem, sąsiedzi patrzą ciekawie, ale para ani myśli ulegać cudzemu wścibstwu, dziękuje pięknie i nawet ręcznika nie podnosi, siedzi jakby zawstydzona, o co chodzi?

Schneider – inżynier budownictwa, lat 42 – nie może się powstrzymać, zatrzymuje blondyneczkę.

– Co pani podała tym państwu?

– Och, jacy wszyscy ciekawi! – mówi blondyneczka ciągle z grzecznym uśmiechem, ale trochę zniecierpliwiona. I wyjaśnia, niby ścisząc głos, ale tak, że w promieniu paru metrów wszyscy dobrze słyszą;

– Pieluszki! Dzieciak im przeciekl aż na kolana, a zapas pieluszek włożyli do walizki!

Niektórym robi się głupio; ale Schneider jest dociekliwy.

– I pani miała pieluszki? Tam, w kabinie? A to na jaką niby ewentalność?

– Och, proszę pana... Coś, czym można zastąpić pieluszki! – mówi blondyneczka już gniewnie, czerwieniąc się nawet. I, nachylając się nad Schneiderem, dodaje: – I coś do przebrania dla tej pani. Pan nie ma dzieci?

Schneider przyznaje, że nie ma, i przeprasza. Naprawdę jest mu głupio.

– Gdyby pan miał, wiedziałby pan, jak to bywa! – dodaje ta mała, znów z uśmiechem, i zabiera pustą szklankę. Wszyscy wypili. A więc za dziesięć minut będzie żarcie.

Para z dzieciakiem szykuje się zatem do zmieniania szczeniakowi pieluszek: Helga, Brigitte i Trudi – trzy modelki wracające ze zdjęć w Londynie, siedzące najbliżej, po drugiej stronie przejścia – szepczą do siebie, że to ohyda. Dzieci, małe dzieci: czy to nie wstrętne? To roślina, nie człowiek. Żyjątko. A co do tych koszmarnych funkcji pielęgnacyjnych... ktoś powinien zabronić robienia tego publicznie.

– Gdyby dorosły pokazał całemu światu goły tyłek, poszedłby do więzienia – szepcze Brigitte. – A tym bardziej cudzy goły tyłek. Ale jeśli to dziecko, wszystko mu uchodzi.

Helga spojrzała odruchowo w stronę tej pary potworów.

– A widzisz? – mówi triumfalnie. – Wcale nie. Wcale go tu nie przewijają. Wzięli pieluchy i niosą go do toalety. No, w gruncie rzeczy uważam, że to przesada.

– Daj spokój, trzymaj się jednego. Dopiero co uważałaś, że to ohyda, robić coś takiego publicznie.

– Ale chować się z tym do toalety, to przesada. W końcu to niemowlę.

– Daj spokój! – perswaduje leniwie Trudi. – Przecież ono zmoczyło spodnie tej pani. Musi się przebrać. – I ziewa głośno.

– Czy my naprawdę nie mamy już o czym mówić? – pyta Brigitte, i także ziewa.

– Spać wam się chce? Wiecie, to zaraźliwe. Mnie też.

Wiercą się teraz, próbując wygodniej ustawić nogi, śliczne, opalone nogi, wydłużone obcasami o wiele za wysokimi na podróż. Jak tu ciasno!

– Nie warto spać – mruczy Trudi, już z zamkniętymi oczami. — Zaraz będziemy w Monachium.

– Jeszcze nie zaraz.

Jean-Pierre i Sylvie też się umęczyli z dzieciakiem: ci z niemowlęciem nie mogą sobie nawet wyobrazić, co ich czeka potem. Dać sobie radę z pięcioletnim chłopaczyskiem, żywym jak koszyk pełen krabów, to dopiero coś! Może odpoczną w Monachium; podrzucą małego ciotce i odpoczną. Bo Londyn był straszny! Po co właściwie latali do Londynu? Sylvie nie żałuje. Obsprawiła się trochę. W Londynie mają porządną konfekcję, i tańszą niż we Francji. Tyle że oczywiście – idiotka – wszystko kupiła o numer za małe. Podczas szarpania się ze smarkaczem – który teraz, na szczęście, usnął jak zabity, to częste u dzieci – pękł jej zamek błyskawiczny w spódnicy: nie może przywyknąć do tego, że tak tyje! Nie przyjmuje tego do wiadomości, i oto skutki. Czym to teraz spać? No, nareszcie. W kosmetyczce była agrafka, nie odebrano jej na kontroli, chwalić Boga. Tak to wszystko Sylvie wymęczyło, że ziewa głośno, trąc palcami powieki.

– Spać ci się chce? – dziwi się Jean-Pierre. I wraca do poprzedniej myśli. – Po diabła był potrzebny ten cały Londyn?

– Och, nie zrzedź. Ile za to zapłaciłeś? Nie zrzedź. Za to w Monachium poszalejemy! Christine przepada za małym. Nie zrzedź.

Ciężarna, siedząca obok Schneidera, ma mdłości: na sam widok i jego zaczyna mdlić. Że też musiała wybrać sobie właśnie to miejsce! Jest dużo wolnych; ale nie warto się już przesiadać. Co za koszmar na podróż: przeciekające niemowlęta, rzygające ciężarne! Jak ponure memento. Do diabła, jeśli z Eli nie wszystko w porządku, uwierzy w znaki. No, ten wór na bachory chyba skończył. Ale jak obrzydliwie przelyka teraz ślinę! Schneider odsuwa się od niej na ile może, siada bokiem, odwraca głowę, zamyka oczy. Najlepiej będzie, jeśli się teraz zdrzemnie. I tak go obudzą jedzeniem, mniejsza o to. Zachować pełną świadomość w tym panopticum, to za wiele. I za coś takiego płaci się taką forszę!

Blondyneczka w mundurku Lufthansy zjawia się właśnie, coś niesie. Nie, jeszcze nie jedzenie. Podchodzi do Jean-Pierre'a i Sylvie, nachyla się nad nimi, trwa tak przez chwilę. Potem odchodzi – z pustymi rękami.

Dwaj belgijscy ekonomiści rozmawiają o hotelu, w którym miano dla nich zarezerwować pokój. Jeden zna ten hotel, drugi nie; więc opowiedz. Słuchający przymyka oczy, jakoś nie może zrozumieć, o czym tamten mówi, potem okazuje się, że wcale nie mówi, tylko chrapie, nic dziwnego, że nie mógł zrozumieć. Chciałby go obudzić, ale nie ma siły. Powieki są jak z ołowiu, głos nie wydobywa się z gardła. U diabła, jak to się człowiek umęczy!

Mały tłuszczoszek z oliwkową twarzą – przedstawiciel agencji turystycznej z Palermo – i rudowłosa piękność z redakcji „Monde'u” czują się do siebie. Ona całuje po kolei jego palce, wtula usta w środek dłoni, patrzy na niego nieprzytomnymi oczami: zakochała się po uszy. Mały tłuszczoszek jest trzeźwy, nikt i nic nie zagrozi jego żonie i dzieciakom, wykluczone. Zresztą jest pobożny. Nigdy nie opuścił mszy niedzielnej. Na szyi nosi medalik z Najświętszą Panienką, ręka rudej zaczepia o niego, wsuwając się pod jego koszulę. „Kocham cię” – mówi ruda – „strasznie cię kocham!” Mówi to po raz pierwszy w życiu, upaja się własnymi słowami. Mały tłuszczoszek uśmiecha się z wyższością.

– Yvonne – perswaduje – trzeba być rozsądną.

Dziewczyna oparła głowę na jego ramieniu, trochę go to krępuje. Rozgląda się: czy ktoś zauważył? Staruszek, siedzący obok, postawił sobie na kolanach swoją kraciastą torbę, grzebie w niej, czegoś szuka. Zdaje się, że odpakuje butelkę z alkoholem. Spojrzał na nich tylko i odwrócił się plecami. No, dobrze.

– Czy to muszą być dwa dni? – pyta Yvonne. – Dlaczego nie możemy zostać tam i przez weekend?

– Obiecałem rodzinie, że wrócę na weekend do domu.

– Ale możesz zadzwonić, że coś ci wypadło. Jakies rozmowy, które musisz przeprowadzić podczas weekendu. Nie możesz?

– Mogę, oczywiście. Ale jak sobie to wyobrażasz? Mam powiedzieć moim dzieciom że nie pójdę z nimi w niedzielę do kościoła? Nie – mówi twardo, patrząc na tę zakochaną idiotkę oczami o nagle pomniejszonych źrenicach, suchymi, okrutnymi – tego nie zrobię.

Zakochana idiotka zdejmuje głowę z jego ramienia i odsuwa się. Słowem, pozwolił jej być ze sobą do jutra, do osiemnastej pięć: nawet nie dwa dni, dzień i kilka godzin! Czekać w hotelu, aż wróci ze swoich rozmów służbowych? Jak mogła się na to zgodzić? Wpakować się w taką sytuację? Należałoby wysiąść z tego samolotu. Zaraz. Na wysokości dziesięciu czy jedenastu kilometrów.

W co ten staruszek poowijał swoje butelki? I ile ich ma? Pełna torba! Pod nogami urósł mu cały stos firmowych pudełek z napisem STOCK, wpycha je pod siedzenie, ale co się tam zmieści poza kamizelką ratunkową? Stos pudełek i kula z papieru, co za niechluj. Przetawił teraz torbę na drugą stronę blokując ją przejście. Wstał i, miażdżąc butami swoje pudełka, ściąga z półki parasol. Teraz parasol będzie rozkręcać! Oszalał. Naprawdę oszalał. Yvonne odsuwa nogę, żeby nie oberwać tym cholernym szpikulcem: gotów jej podrzeć rajstopy. Już

otwiera usta, żeby mu coś powiedzieć, kiedy jakiś dźwięk po drugiej stronie każe jej o tym zapomnieć. Chrapanie. Ten łajdak chrapie!

Zasnął zaraz po tym, co jej powiedział o swoich uświęconych dzieciakach, zaraz po tym: ona go nic nie obchodzi. W co się, na litość boską, wpakowała? W co się wpakowała?

Toaleta jest zajęta. McCloud, obwieszony całą aparaturą fotoreportera – woli nie zostawiać tego ani na chwilę, złodziej tu na złodzieju siedzi i złodziejem pogania – czeka pod drzwiami, patrząc na zegarek. Jedenasta. Bez piętnastu sekund. Odpiął najwyższy guzik sztruksowej koszuli. Ziewa. Fosforyzująca wskazówka zbliża się do dwunastej. No, nareszcie. Drzwi się otwierają.

Coś twardego szturcha McClouda w żołądek. Dziewczyna, która wychodzi pierwsza – coś takiego, byli tam we dwoje, z facetem! – mówi parę słów po niemiecku; McCloud nie rozumie. Nie widział sceny z pieluszkami, siedział gdzie indziej. Przesuwa się w prawo, żeby wyminąć faceta i wejść do toalety: mieć to wreszcie za sobą, ledwo się już na nogach trzyma, co za senność! Dziewczyna zagradza mu drogę. Niezdara. McCloud jest tak śpiący, że prawie ich nie widzi. Spieszy się. Raptem oczy niemal wychodzą mu z orbit.

Na podłodze, koło sedesu, leży głowa niemowlęcia. Obok – porzucony becik.

6

Stammheim, sześć miesięcy wcześniej.

Czy słusznie? Jasne, że słusznie; jasne, że sprawiedliwie. Chyba że odrzucimy obowiązujące pojęcie sprawiedliwości, ale kto się na to odważy? Mniejszość. Znikoma mniejszość. I doskonale.

Co zrobiła? Nielegalne posiadanie broni, posługiwanie się fałszywymi papierami, czekanie z lewą stopą wciskającą sprzęgło, prawą dotykającą pedału gazu, i z rękami na kierownicy przed bankiem, w którym właśnie... a potem ruszenie z miejsca, zanim jeszcze drzwiczki zostały zatrzaśnięte – innymi słowy, udział w napadzie; a potem: zbieranie materiałów w bibliotekach, rysowanie planów, liczenie czasu od przecznicy do przecznicy, dyskusje (jak najskuteczniej zabić), redagowanie projektu komunikatu (dlaczego zabilimy), wreszcie (nagroda za dobre wyniki w nauce strzelania, zaniżona nieco z powodu okularów: nigdy nie wiadomo, co się z nimi może stać w krytycznej chwili) miejsce w furgonetce, która z lewego pasa skręciła nagle na środkowy, tak, żeby zatarasować oba, i strzelanie **w zasadzie** do obstawy z lewej, Siegfried miał walić do obstawy z prawej, Karl do CELU GŁÓWNEGO, niezbędne modyfikacje w trakcie. Oczywiście, że były modyfikacje! Obstawa znalazła się w całości z prawej strony wozu (widok z furgonetki), ale i tak załatwili wszystkich (z pomocą Hansa: motocykl zatrzymany przy krawężniku) w 53 sekundy. Kto kogo trafił, nie wiadomo, to bez znaczenia, odpowiedzialność jest ta sama. Czy nie oburzyła się kiedyś – piętnastoletnia – na wyrok sądu, wymierzający śmiesznie niskie kary ludziom, którzy kogoś ukamienowali, bo nie sposób było ustalić, czyj kamień spowodował zgon? W sprawach politycznych nie ma takich wyroków, tu się postępuje odwrotnie, tu się karze za intencje: Gudrun dostała dożywocie za „próbę zabicia policjanta”, co znaczyło tyle, że w chwili aresztowania jej przez tegoż policjanta miała w torebce pistolet, więc „na pewno” nie omieszkałaby go użyć, gdyby mogła. Co do Moniki, sprawa jasna. Czy trafiła Panu Bogu w okno, czy Wielkiemu Sędziemu w serce, na jedno wychodzi. Chciała zabić. Wina była bezsporna. Skazano ją sprawiedliwie. Tak.

Więc czego od siebie oczekuje, u diabła? Czego od siebie oczekuje, w tej celi o ścianach pomalowanych na żółto, leżąc na pryczy z rękami założonymi pod głowę i ze wzrokiem utkwionym w zakratowanym okienku? No, czego? Wyrzutów sumienia? Czy powinna zerwać się, paść na kolana – i odzywają się organy, i celę wypełnia światłość niebiańska, toż łotr ukrzyżowany z Chrystusem tego samego dnia miał znaleźć się w raj, toż wiara, że wielkość

zbrodni może przewyższać wielkość miłosierdzia bożego, jest grzechem przeciwko Duchowi Świętemu! No? Czemu się nie zrywasz?

Wyznanie winy. Nawrócenie. Ekspiacja. W dodatku, bądźmy szczerzy, ponad wyraz korzystna ekspiacja. Nie wypuszczono by jej z miejsca, oczywiście, że nie! Ale zmalowały groźba, że ją zadźgają w celi. A po iluś tam latach... czemu nie, mogliby ją wypuścić! Gdyby stosowała skrucę kolektywną, nie indywidualną, ma się rozumieć. Gdyby nieźle sypała. Właściwie sypnąć już nikogo nie może, nonsens, po trzech latach w mamrze, co ona teraz wie? Mogłaby najwyżej mieszać z błotem. Ujawniać kulisy. Skądże znowu, właśnie, że mogłaby sypać! Być świadkiem oskarżenia przeciw adwokatom, władze o niczym tak nie marzą, jak o wykończeniu obrońców politycznych. Może ujawnić tyle szczegółów, tyle nazwisk! Sprzedać swoje pamiętniki do „Stema” lub „Ouicka”, a forszę zużyć na dobre papierosy i pomarańcze. Miliony poznałyby jej zdjęcia z dzieciństwa i tajniki duszy. I obyczaje seksualne „terrorystów”: mieszczaństwo całego świata o tym marzy! I przyczyny zapadania na „tę chorobę epoki, przemoc”, jak mawiają ćwierć-mózgowcy. Ludzie lubią nawróconych grzeszników. Kto wie, może za rok czy dwa udałoby się osiągnąć rewizję procesu i zmienić wyrok? Gdyby się bardzo zeszmaciła, do końca, mogłoby jej to kupić wolność. Za rok, za dwa, kiedyś. Pojechałaby nad morze. Nad żadne ciepłe! Nad Bałtyk. Skromnie. Najlepiej jesienią, żeby nie było ludzi. Łazić po brzegu. Ślady stóp w mokrym piasku, bure fale, deszcz, wiatr. Chryste Panie, deszcz i wiatr!

Więc czemu nie?

Bo nikt tego nie robi, to wystarcza. Nikt.

Mahler wyraził skrucę, ale nie sypał. Volker niby to sypał, ale przecież wiesz, co mógł powiedzieć: udając, że lży i że się kaja, dał trochę drugorzędnych szczegółów, jedną dziesiątą tego, co wiedział. I nie chodzi przecież o strach. Są w rozsypce; ale i za czasów swej, pożał się Boże, siły, nie byli zbyt surowi dla odszczepieńców. Może raz był wyrok. A pomyśl o tej małej Gräfer! Z zimną krwią posyłała ludzi na śmierć. I co? Wiadro smoły na łeb i karton z napisem na piersi, tyle.

Zresztą, nie warto o tym nawet myśleć. Akademickie rozważania.

Monika ziewa i wyciąga wreszcie ścierpnięte ręce spod głowy.

Papieros.

W porządku.

Według ostatnich badań ludzie w mamrze wolniej się starzeją.

7

Dziewczyna kopniakiem przymyka drzwi, zasłaniając przed oczami McClouda niemowlęcą główkę odciętą, oderwaną od ciała, i jeszcze mocniej, teraz aż do bólu, uciska jego żołądek. Jednocześnie towarzyszący jej facet mierzy McClouda spojrzeniem, od butów po czubek głowy, i decyduje się na angielski.

– Jazda – mówi. – Na swoje miejsce.

On też trzyma pistolet. I macie swoje kontrole na lotniskach! Zaostrzyli je do granic możliwości, poniewierają nieszczęśników, którzy zgrzeszyli kupnem biletu, prześwietlają ich samych oraz ich bagaż, wybranych ciągną do rewizji osobistej, rozbierają do naga, obmacują, doprowadzają do płaczu z poniżenia... a przecież kto zechce przemycić broń, ten ją przemyci; kto zechce porwać samolot, ten go porwie. Ciągłe się to zdarza. Gdyby nie był tak zamroczony, spróbowałby mu wytrącić tę pukawkę. Kopnąć nagle w rękę. Ale jest jeszcze ta dziewczyna... a zresztą to nie ma sensu. Na pewno nie ma sensu. McCloud odwraca się pokornie. Poszturchiwany w plecy, teraz w plecy, wędruje na swoje miejsce.

– Gdzie są linki? – pyta facet.

- Już daję.
- Daj. Zaczniemy od niego. Nie śpi.

Zimny dreszcz przebiega mu szybko po grzbiecie. A jednocześnie jest zbyt oszołomiony, żeby odczuwać to wszystko naprawdę. Padając na fotel widzi jeszcze przed sobą, w pewnej odległości, komiczną sylwetkę, którą skądś pamięta: staruszek z siwą bródką, stojący w przejściu w zastygłej pozie, z oblepioną paskami papieru, brudną butelką w uniesionej ręce. Przy nogach postawił sobie staromodną, kraciastą torbę.

Dziewczyna już wróciła. Facet złapał go za ramiona, przechylił, wykręcił mu ręce. Teraz kawałek mocnej linki, z góry przygotowany, przycięty na odpowiednią długość. Wiąza go. Przymocowują do siedzenia pasami bezpieczeństwa.

– Nie ma się czego bać – mówi dziewczyna, spokojnie, bez uśmiechu. – Zaraz dostaniesz prosek... prześpisz to. Kiedy się obudzisz, może już być po wszystkim.

I odchodzą. Teraz powinien krzyknąć. Ale czy to ma sens? Krzyczeć, wzywać pomocy?

Na sąsiednim miejscu nie ma nikogo. Po drugiej stronie, za przejściem, jacyś ludzie. Nie są związani. Śpią.

Przez cały czas matowy, monotony huk lecącego samolotu.

I wysokie oparcia foteli: nie widzisz tego, co jest za tobą, przed tobą.

Niczego.

Stewardessa! Więc nic jej się nie stało? Jest tu, jest wolna? Mogła podejść?

Uśmiecha się do niego. Podsuwa mu jakiś prosek, zbliża do jego ust szklanekę z wodą.

– Co to jest? – pyta McCloud. – Co się tu dzieje? Porwali nas? Niech mi pani odpowie!

– Proszę to połknąć. Szybko.

Nie chce. Zaciska wargi.

– Szybko! – szepcze stewardessa, pochylając się nad nim jak sojuszniczka, jak opiekunka, więcej: oglądając się z lękiem za siebie, to jedno spojrzenie wzbudziło w nim ufność, już jej posłucha. – To dla pana dobra!

Połknął.

Silke nie, Silke tego nie robi. Żadnego proszka. Mogą ją zabić. No, zabijcie! Tego chcecie, co? Zabijcie!

Silke, druga stewardessa. Niosła właśnie tace z jedzeniem. I wtedy zatrzymała ją Heidi. Coś się stało, odłóż to. A kiedy odłożyła...

Oczywiście, zna regulamin. Oczywiście wie, jakie są zalecenia w razie próby sterroryzowania załogi, próby porwania samolotu. Nie oponować, nie bronić się. Zgoda na wszystko. Bezpieczeństwo pasażerów, bezpieczeństwo własne, bezpieczeństwo maszyny. To najważniejsze.

Ale tego nie mogła przewidzieć. O tym nie uprzedzono na szkoleniu antyterrorystycznym! Że to może być ktoś, kogo znasz. Druga stewardessa. Koleżanka. Że to ona wyceluje w ciebie pistolet. Co za bzdura, kto by w to uwierzył? Heidi, która dziesięć minut temu opowiadała jej dowcipy! Normalny odruch: śmiech. To nie jest pistolet, jasne: dziecinna zabawka. Heidi robi jej nowy kawał. Więc śmiech. Próba wyrwania jej tego; daj mi to, pokaż, co za idiotka. W tym samym momencie huk. Gorąca śruba, wkręcająca się w rękę, tuż nad łokciem. Heidi nie wygląda już tak, jak przedtem; jak mogła tego nie zauważyć? Ta blondyneczka z dołeczkami w policzkach! Ma zimne oczy, oczy, które nagle opustoszały, oczy, z których uciekły źrenice.

– Uważaj – mówi Heidi. – Jeszcze jeden ruch, a wszyscy możemy wykitować. Lepiej tu nie strzelać, wiesz? Idź.

Idzie więc, z przestrzeloną ręką zwisającą ciężko, z ręką ważącą tony. Otwiera drzwi. I prawie wpada na staruszkę z kraciastą torbą, tego śmiesznego poczwiwę; nie wygląda już poczwiwie. „Pomóż mi”, mówi do niego Heidi, i oboje popychają ją na najbliższy fotel. Jakiś mężczyzna mija ich w pośpiechu.

- Czysto? – pyta.
- Czysto. Możecie iść.

Mężczyzna rusza do kabiny pilotów; ach, tak. Wszystko jest jasne, wszystko. Ale o co chodzi?

Heidi ogląda jej rękę. „Nic strasznego” – mówi – „za pięć minut ci to opatrzę”. I wyciągniętą skądś linką przywiązuje jej drugą rękę do oparcia fotela. Teraz zaciąga pasy bezpieczeństwa.

– Jak tylko zrobimy tu porządek – zapewnia Heidi – opatrzę ci rękę i dam coś na sen. Nie denerwuj się. Nic ci nie będzie.

- Heidi, na litość boską... co ty robisz? Co wy robicie? O co tu chodzi?
- Uspokój się. To nie twoja sprawa.

Yvonne siedzi nieruchomo, zaciskając ręce tak mocno, że paznokcie zostawiają w skórze czerwone zagłębienia: gdyby nie to, tak by się trzęsła ze złości, że mogłoby to rozerwać samolot na kawałki.

Do tej pory nie powiedział niczego, co by ją aż tak upokorzyło. Nigdy.

Czy próbowała go zabrać żonie i bachorom? Nonsens. Tego jej tylko brakuje. Chciała mieć ładny romans, nic więcej. Ładny! Kwestia dobrego wychowania, niczego innego. Cham. Cham. Cóż to za cham!

Mógł uznać pozostanie w Monachium przez weekend za wykluczone. Podać jakikolwiek pretekst. Ważne sprawy w Palermo. Mniejsza o to, jakie. Nie dające się odłożyć. I sprawa byłaby załatwiona. Ale to! Zabije go. Zabije. I niech jej potem szukają, niech zachodzą w głowę, kto siedział obok niego. Nie ma żadnych śladów, które by prowadziły...

– „Mogę, ale nie chcę”.

I:

– „Mam powiedzieć moim dzieciom, że nie pójdę z nimi do kościoła?” W dodatku świętoszek. Łatwo to godzi. Zabije go. Musi go zabić. Zepchnął ją na dno; jedyny sposób, żeby się wydostać na powierzchnię...

Yvonne potrąca nogą jedno z pustych pudełek, zostawionych na podłodze przez tego starszaka – gdzie on się podział, razem ze swoją torbą? Jednocześnie między rzędami foteli przechodzi dwoje ludzi z pistoletami, mężczyzna i kobieta. Yvonne patrzy na nich obojętnie. Dopiero po chwili zaczyna jej się wydawać, że to było dziwne.

– A z tą co zrobić?

Ciężarna, siedząca obok Schneidera, znów ma torsje. Stoją nad nią, Olaf z pistoletem, Linda z przygotowanym sznurem, nic ją to nie obchodzi. Choćby dokoła niej tańczyły słonie z trąbami zmienionymi w miotacze ognia, też by na to nie zwróciła uwagi. Nerw błędny to potęga!

– Środek nasenny zrzuciła, to jasne – mówi Linda. – Następny też zrzuci. I w ogóle... może nagle zacząć rodzić. Nie, tej trzeba się pozbyć przy pierwszej okazji! Jeśli tylko pozwolą nam lądować w Rzymie..

– Daj spokój. Żadnych zmian w planie. Jak się jej pozbyć? No, jak? Jeżeli pozwolimy komukolwiek zbliżyć się do samolotu... wiesz, czym się to może skończyć.

– Zawołam Heidi.

Heidi tylko wysłuchiwała tego, co Linda ma jej do powiedzenia. „Idioci” – rzuca. I już po chwili wraca z zaplecza z napelnioną strzykawką.

– Tego nie zwymiotuje.

– Ale to jej może zaszkodzić! – protestuje Linda. – To znaczy... dziecku.

– Takie rzeczy bardziej szkodzą w pierwszym okresie ciąży. To przecież chyba ósmy miesiąc, dzieciak już jest całkiem ukształtowany. Nic mu się nie stanie. Ściśnij jej tym ramieniem nad łokciem. Nie, niech się pani nie wyrywa. Nie zrobię pani krzywdy.

Zastrzyk dożylny. A teraz związać ręce z tyłu, jak wszystkim. I zapiąć pasy, trochę to trudne przy tym brzuchu, ale da się zrobić.

– Co wy robicie? – pyta ciężarna. Już jej nie mdli. Patrzy na nich z przerażeniem, od którego robi się przykro. – Proszę, dajcie mi spokój, proszę, zostawcie mnie... błagam! Ja mam bóle! – I skręca się rzeczywiście w długim skurczu, tak przekonującym...

– Bzdura – oznajmia Heidi. – Jeśli nawet, to zastrzyk je powstrzyma. Chodźcie stąd.

Na samolot aż miło spojrzeć: cisza i spokój, żadnego płaczu, krzyku, żadnej konieczności trzymania gromady rozhysterizowanych ludzi w szachu wycelowaną bronią, cocktailem Mołotowa, granatem. Aż dziw, że nikt z tych, którzy dotąd porywali samoloty, o tym nie pomyślał.

Wystarczy – ładne „wystarczy”! – mieć w grupie stewardessę. Podać wszystkim środek nasenny. Potem związać. I odpada zarówno cholerna przeszkoda techniczna – pilnuj ich, człowieku, przez cały czas! – jak i psychologiczna: nie sprawdzili tego na własnej skórze, ale specjaliści od porwań dość papieru zasmarowali rozważaniami nad więzią, rodzącą się jakoby nieuchronnie między dwiema stronami, czynną i bierną, nad presją tego stałego kontaktu, ich próśb, błagań, płaczu dzieci... Tu wszystko odpada. Ci na ziemi mają swój efekt: porwano tyłu a tyłu ludzi, ach, biedacy, co oni teraz przeżywają, jak cierpią, jak się boją... Tymczasem nic podobnego. Nieruchome, śpiące kukły.

Chociaż Linda wyraźnie przejęła się tą ciężarną. Idiotka.

– Nie wygłupiaj się – mówi Heidi. – Po pierwsze, nie ma żadnych bólów, łże, znam się na tym. Przecież musiałam przejść specjalny kurs położnictwa, nie wiesz? Więc gdyby nawet mówiła prawdę, umiałabym odebrać dzieciaka. Ale nie mówiła. Poza tym czego jak czego, ale akcji porodowej środek nasenny nie pobudzi. Poza tym... poza tym my wszyscy za parę godzin możemy kipnąć. Zapomniałaś?

Skądże. Nie zapomniała.

– Wstrzyknę jeszcze trochę podskórną tej rudej Francuzce, proszek na nią nie podziałał. Ta ma nerwy! I pasażerów mamy z głowy. Aha, Linda. Gdzie jest torba tej w ciąży? Weź jej dokumenty. Trzeba będzie podać na ziemię, że rodzi.

– Jak to?

– Świetny pomysł! – woła Olaf. – Bardziej się przejmą.

– To będzie dobre przy naciskaniu, żeby dotrzymali terminu ultimatum. Że przy naszej najlepszej woli nie możemy zwlekać, poród przedwczesny, patologiczny, te rzeczy. A wypuścić jej też nie możemy: bo jak? Przez wzgląd na nasze własne bezpieczeństwo. Wszystkich w zamian za więźniów, albo nikogo. No, do roboty.

Już. Na kogo pierwszy środek nie podziałał – albo kto go nie wypił, ostatecznie trudno wszystkich dopilnować – ten dostał drugą dawkę i lulu. Z wyjątkiem... Ach, mniejsza o to.

Nieustanny huk silników.

Siwy staruszek zabezpieczył swoją torbę z cocktailami Mołotowa. Chwilowo nie są potrzebne.

– Pocę się od tej brody – mówi do Olafa. – Może ją odkleję?

– Odklej, jeśli masz ochotę. W końcu teraz to już bez znaczenia.

Nareszcie. Nadali to przez radio. Samolot Lufthansy, porwany podczas kursu Londyn-Monachium, po zatankowaniu paliwa w Rzymie odleciał, jak wiadomo, do Algieru. Stoi tam na zablokowanym pasie startowym. Trwają pertraktacje z porywaczami. Odmówili oni zwolnienia choćby części pasażerów, nie zgodzili się też na dopuszczenie lekarzy do kobiety, u której zaczął się przedwczesny poród. Poprosili jedynie o telefoniczną konsultację z lekarzem. Stan rodzącej, jak wynika z komunikatu, jest bardzo ciężki. Porywacze spodziewają się próby odbicia zakładników i zawiadomili wieżę kontrolną lotniska w Algierze, za pośrednictwem której toczą się pertraktacje, o umieszczeniu przy wszystkich wejściach do samolotu detonatorów. Każda próba dostania się do wnętrza spowoduje wybuch i wysadzenie samolotu w powietrze. Specjalnie powołany Sztab Kryzysowy w RFN oznajmił, że oświadczenie porywaczy może być bluffem. Z drugiej strony przedstawiciel Sztabu przyznał, że opis tego „zabezpieczenia”, podany z cockpitu, specjaliści uznali za prawdopodobny i możliwy do wykonania w warunkach, które... Przepraszam państwa.

Chwila ciszy, szelest jakiejś kartki.

A oto wiadomość z ostatniej chwili. Dziś wieczorem uprowadzony został do Damaszku kolejny samolot Lufthansy. Porywacze wydali komunikat, zgodnie z którym należą do tego samego ugrupowania i działają zgodnie ze wspólnie przygotowanym planem. Ich czyn ma przeciwdziałać próbom odwlekania przez władze terminu, podanego w pierwszym ultimatum. Lista więźniów, których zwolnienia w zamian za pasażerów samolotu żądają porywacze, jest ta sama. Komunikat terrorystów ostrzega, że zaplanowano akcję łańcuchową i że należy się spodziewać dalszych aktów przemocy, mających poprzeć ich żądania. Brak na razie oficjalnego komentarza, wiadomo jednak, że niemieckie i włoskie linie lotnicze odwołały już wszystkie loty przewidziane na najbliższe dwa dni.

A zatem wszystko idzie na razie według planu. Drugie porwanie odbyło się w terminie. Z trzecim może być trudniej; zobaczymy.

To było tak.

Całe lata! Lata!

Przez całe lata nie zrobili niczego. Łaska boska odwróciła się od nich, łaska boska była po stronie policji. A potem faszystów. Policja strzelała do nich na ulicach, w knajpach, na schodach. Jak na jarmarku: pik! i tekturowy zajęczek leci w dół, wygrałeś piłeczkę pingpongową. Faszyści podkładali bomby na dworcach kolejowych, na zatłoczonych placach, w synagogach: pik! i tłum leci w górę, tu ręka, a tam noga, głowy toczą się po bruku, z okien sypią się szyby, samochody stają w płomieniach, mają swój efekt, dranie, a skutek? Sprawców głaszczę się czule po główkach, po godzinie wypuszcza z aresztu, a potem podnosi wrzask, żeby zaostrzyć represje wobec lewicy, jasne. Ułatwia to analizę sytuacji; ułatwia nawet propagandę, czemu nie. Wiadomo, po czyjej stronie jest władza. Ale czy to najważniejsze?

Więc było tak.

Melina jak się patrzy, która to już z rzędu, trzy się spaliły! W przedpokoju skrzynia z bronią, w lodówce butelki z plazmą i solą fizjologiczną, zapasik krwi grupy O, Rh+ i Rh-, w bibliotece mapy, plany, podręczne archiwum wycinków, skoroszyty, książki pomocne w guerilli; na pawlaczu torba z narzędziami, w łazience peruki, okulary, środki do makijażu od sympatyków z teatru, sztuczne wąsy, guma arabska, różne cudeńka. A więc: melina. Wieczór. Dyskusja, jedna z wielu. Co robić, wiadomo: uwolnić więźniów. Pytanie jak.

Zakładnicy? To się udało raz, facet z opozycji tuż przed wyborami, a lista więźniów skromna i wszyscy z drugiego rzędu. Potem już nigdy. Włosi porwali główną szychę w państwie, ale wszyscy szychę z radością poświęcili, dobra nauczka. I w dodatku trzeba było mieć pecha: sycha była ciężko chora, nikt o tym nie wiedział. Chcieli sychę wypuścić. Facet

przeżył szok. Zobaczył, z jaką uciechą współpracownicy, przyjaciele, współwładcy skazali go na śmierć. Chcieli go wypuścić: żywy, po tym szoku, przydałby im się bardziej niż martwy, ale było za późno. Okupacja ambasady? Oblegani są zawsze w gorszej sytuacji niż oblegający, zwłaszcza gdy ci pierwsi – to amatorzy. A oblega państwo! Atak z powietrza na więzienie? Karkołomna historia, ale myśleli i o tym. Jest szczątkowy plan: do kosza. Tamci połapali się w ich zamiarach. Szczątkowy plan: rysunki, zdjęcia z lotu ptaka, dojdzie do dwóch strażników, ale sprawa beznadziejna. Porwanie samolotu? Śmiechu warte. Podkop? Dajcie spokój!

– Trzeba czegoś większego – mówi Olaf. – Zagrozić zagładą miasta.

– Jakiego miasta?

– Bo ja wiem? Paryża, Monachium...

– Tego byśmy nie zrobili!

– Oczywiście, że nie. Chodzi o bluff. Ale przekonujący.

– I jak byś to zrobił? Ciekawe!

– Czytałem trochę o zatruciu wodociągów...

– Dureń. Przecież nie zatrujesz ich naprawdę. A grozić, że zatrujesz... co za bzdura! Opanować filtry czy wieże ciśnień, czy jak się to nazywa... i grozić, że co?

– Czytałem o dżumie. Zarazki dżumy. To wykonalne.

– Jeżeli to ogłosisz, wszyscy po prostu przestaną korzystać z wodociągów, dopóki policja nas nie załatwi. W dodatku wyobrazasz sobie, co za odium...

– Przecież okazałoby się, że to był tylko bluff. Oczywiście, trzeba by było ukraść te zarazki z jakiegoś laboratorium, żeby laboratorium to potwierdziło, ale nawet nie brać ich na akcję.

– Daj spokój. Nowa furia przeciwko nam. Już nas nienawidzą. Masy nas nienawidzą. Czy o to chodzi?

– Można by też opanować kanały, pozakładać ładunki wybuchowe w kanałach i grozić wysadzeniem miasta. To chyba dość proste.

– Dureń.

– A może powtórzyć coś, co już robiliśmy? Tylko inaczej?

Od słowa do słowa powstaje plan. To samo, ale w serii. Porwanie samolotu, na przykład. Tamci usiłują przeciągnąć termin ultimatum i puścić w nocy komando specjalne – a tu porwanie drugiego samolotu. I zaraz trzeciego. I dużo gróźb, dużo bluffu.

Czy to się uda? A kto to może wiedzieć? Najwyżej zginiemy (można zginąć w każdej chwili), ale mamy chociaż szansę. Poza tym, uda się czy nie, przypomnimy światu, że istniejemy. Bo już nas spisali na straty.

Gdyby zrobić z tego wielką akcję międzynarodową, w stylu Pabla? Z Czerwonymi Brygadami? Z Japończykami z Czerwonej Armii? Z montaneros? Z radykalnymi z IRA? (– Za chwilę powiesz, że z ETA i z Palestyńczykami. – Nie, tego nie powiem, ty głąbie kapuściany). Zaraz: czy to nie byłoby technicznie zbyt skomplikowane?

– Zorganizowanie wspólnej akcji?

– Nawet nie to. Wyegzekwowanie tak rozproszonych żądań. Bo zakładam, że wtedy mamy na liście Latynosów... a oni nie są w EWG, dajmy na to, że Europa się zgodzi, Ameryka Południowa stanie okoniem, co wtedy, zmniejszać żądania? Brać, co dają? Przewlekać?

– Europą trzęsą Niemcy. Europa robi to, czego zechcą Niemcy. A państwa latynoskie też są proniemieckie. To pójdzie łatwiej, niż myślisz.

– Wiesz, jak ty to powiedziałeś? Szowinizm z ciebie aż tryskał!

– Nieprawda. Ja nienawidzę tego kraju! Ale stwierdzam fakty.

Więc jak?

Rozpracowują to. Każdy swój odcinek.

Kontrole na lotniskach. Nie wszędzie są równie ostre. Ale, niezależnie od tego – załoga ma kolosalne możliwości przeniesienia środków wybuchowych i broni, byłoby wspaniale mieć

kogoś w załodze! Zaagitować? Wkręcić najładniejsze i nie spalone dziewczyny na stewardesy? Jedno i drugie?

Jakie są możliwości zamaskowania broni parasolem, na przykład? Daj spokój, naiwność. Butelka z cocktailem Mołotowa to niezła broń, a na lotnisku może przejść, człowiek wiezie opakowane firmowe alkohole i tyle. Na niemieckim lotnisku i z tym mogą być kłopoty. Na innych raczej nie. W Anglii na przykład.

Jak się zabezpieczyć przed atakiem komandosów?

Co myślą, co wiedzą o porwaniach władze? To trzeba poczytać. Opracowania specjalistów. Specjaliści radzą przedłużać rozmowy cockpit – wieża kontrolna; a więc **my** już wiemy, że trzeba je maksymalnie skracać. Specjaliści każą rozmawiać z porywaczami ciepło, z leciuteńkim podkładem heteroseksualnym lub homoseksualnym, jak wypadnie. Poznawać w ten sposób przeciwnika, oswajać go. A więc **my** już wiemy, że rozmowę można prowadzić tylko tak: przekazywanie postulatów, odbiór meldunku – i stop. Oschle.

Czy ma się w grupie pilota, czy nie – trzeba się znać na pilotażu, nawigacji i całym tym kramie. Każdy z grupy powinien znać się na tym chociaż na tyle, żeby skutecznie kontrolować. Chociaż jeden – tak, żeby w razie ostateczności móc wręcz zastąpić pilota. Zdarzyło się, że porwany samolot pilot kierował spokojniutko zupełnie gdzie indziej, niż mu kazano: oto skutki braku kwalifikacji porywaczy.

Mieć swoich wśród pasażerów: to nowy pomysł, niezły pomysł, tego jeszcze nie było. To znaczy: nie wszyscy się ujawniają. Rozumiecie? Wśród tych obezwładnionych, wśród tych porwanych są nasi. I w razie czego...

– Jasne. W razie czego mogą się diabelnie przydać.

Część jest nadal sceptyczna. Porwanie samolotu z przyczyn politycznych? To się nie udaje! Takich żądań nikt nie spełni. Nonsens. Zajmijmy się akcjami bezpośrednimi. Uwolnienie więźniów – a nie wzięcie zakładników, żeby inni uwolnili więźniów. Nawet z moralnego punktu widzenia to zupełnie co innego. Napad na więzienie, nawet jeśli przy tym giną strażnicy, to rzecz czysta. I gdybyśmy byli moralni – tak, wcale się nie wygłupiam, uważasz, że Pablo się wygłupiał, mówiąc na Kongresie o moralności w polityce? – więc gdybyśmy tacy byli, nawet skuteczność naszego działania mogłaby być większa.

– A to czemu? – pyta. Heidi, siedząca w fotelu z nogami władowanymi na blat stołu: zgrywa się na Amerykankę.

– Choćby dlatego, że nie bylibyśmy społecznie izolowani jako łajdaki, rozumiesz?

– Co niby zrobiliśmy łajdackiego?

– Wzięcie zakładnika, szantaż, to metody łajdackie. Wiesz czemu? Bo dostępne dla słabych.

– Mniejszościowa opozycja polityczna jest ex definitione słaba.

– Daj spokój. Dotąd postępowaliśmy czysto. **Nasi** zakładnicy – nasi czy włoscy – to ludzie odpowiedzialni, to winowajcy. **My** nie porywaliśmy samolotów!

– Właśnie chcecie zacząć.

– Wcale nie! Jeszcze się nie zgodziliśmy! Nic podobnego!

– Więc co proponujesz?

– Odbicie więźniów. Spektakularną akcję w Stammheim! W centralnym, symbolicznym, najlepiej strzeżonym punkcie, w Bastylii XX wieku! Osiągniemy dwa cele jednocześnie. Uwolnienie więźniów i zwrócenie uwagi na naszą sprawę... a wszystko to bez smrodu, bez moralnego obciążenia.

– Jak to zrobisz?

– Proszę, rozważmy to. Podkop? Atak z powietrza? Przekupienie strażników? Wtyczki wśród strażników? Sfałszowany rozkaz przewiezienia więźniów gdzie indziej?

– To byłaby piękna akcja – mówi Rita marząco.

– Piękna, ale niewykonalna.

– Jeżeli możemy wkręcać dziewczyny na stewardessy, możemy wkręcać je na strażniczki! To też robota na parę lat. Też długie przygotowania. Ryzyko przy samolocie nawet większe. I okryjemy się błotem, tyle.

Ale w głosowaniu wygrywa łatwizna. Zrobić akcję typowo terrorystyczną, nie militarną. Uderzyć nie w punkt centralny, lecz daleko od niego, gdzie się nikt ciosu nie spodziewa: stara prawidłowość terroru. Jak w akupunkturze: wkłucie igły w podeszwę prawej stopy wpływa na zablokowane naczynie w lewej półkuli mózgu. Tak czy nie?

Dwie osoby się z tym nie zgadzają. Dwie osoby odchodzą. Krzyż na drodze.

Chodzi o więźniów, nie o własną nieskazitelną. Pamiętacie 18 października 1977. Kto woli mieć czyste ręce, kto czystość swoich rąk ceni wyżej od wszystkiego w świecie, także od zycia tych w celach ze stalobetonu – ten może się wynosić. Dziury w niebie nie będzie.

W samolocie jest teraz cicho. Prawie jak w celi więziennej. Prawie jak na totentracie! Przez okienka widać ciemną płaszczyznę lotniska. I nieruchome światła w oddali. Trzeba czekać. Jak w celi, jak na totentracie. Czekać.

9

Stammheim, cztery i pół miesiąca wcześniej.

Rolf Sperling schyla się, żeby włożyć przeszukane, sprawdzone buty. Koniec kontroli. Jedziemy na siódme.

Strażnicy to służbiści, a on jest podejrzany. Adwokat. Wróg. Mimo że przychodzi z zewnątrz i legalnie. A jednak ludzie są ludźmi: znają się od tak dawna, on i ci strażnicy... Półuśmiech. Lekkie westchnienie, pełne ubolewania: że też trzeba znów odgrywać całą tę komedię! Cóż. Jedziemy.

Te wszystkie drzwi, otwierane i zamykane starannie, gdy się tylko przez nie przejdzie. Te obroty kluczy. Ta pilnie strzeżona winda, wioząca ich w górę. Drzwi. Drzwi. I znowu drzwi. Aż wreszcie otwierają się te ostatnie. Rolf Sperling wchodzi do rozmównicy. Ostatnie drzwi zatraskują się za nim. Jest sam. Jak w celi.

Znów malowali ściany: zapach aż dusi. Czy trzeba było zakładać nowy podsłuch? Stary źle działał? Bo innej przyczyny remontu znaleźć niepodobna. Sperling podchodzi do okienka: jego środkowy kwadracik, ten z podwójną kratką, daje się otwierać. No. Mogli sami o tym pomyśleć.

A teraz siada na krawędzi stołu i czeka.

Przed sobą ma szybę. Za nią – drugi, identyczny pokój, maleńki, świeżo pomalowany, ze stołem i dwoma krzesłami: każdy prócz niego, bywalca, byłby przekonany, że to lustro i odbicie w lustrze, każdy prócz niego! Nowicjusz. Ale on...

„W lustrze” nagły ruch: musiano tam otworzyć drzwi. I w polu widzenia Sperlinga pojawia się postać powoli, chwiejnie zbliżająca się do stołu, sięgająca po jedno z krzesel, stawiająca je tuż przy szybie. Siada. On też. Jak gdyby ta idealna symetria zmuszała do naśladownictwa, jak gdyby naprawdę widzieli siebie w lustrze... Prawie stykają się kolanami. Monika na moment przykładła do szkła skuloną rękę, on również: więzienny shake-hand. Jak ona wygląda!

Ma obandażowaną głowę, obandażowaną szyję: dotyka tego i uśmiecha się przeprasząco. Co się stało?

– Co się stało? – krzyczy Sperling; jeżeli się mówi głośno, słyhać to po drugiej stronie szyby, w końcu jesteśmy w rozmównicy. Tyle że zgodnej z prawem z 14 kwietnia 1978. (Bez słuchawek: powinny być słuchawki!). Nie otrzymuje odpowiedzi. Monika bezgłośnie otwiera i zamyka usta, raz jeszcze wskazuje na swoją szyję i znów się przeprasząco uśmiecha. Do wszystkich diabłów!

Sperling wstaje i szybko, gniewnie uderza pięścią w drzwi.

– Co tu się stało? – pyta. – Przecież ona nie może mówić! W każdym razie nie porozumiemy się przez tę szybę, muszę otrzymać bezpośrednią rozmowę, dlaczego nie ma słuchawek, mikrofonu, chcę zaraz to zgłosić do...

– Nie ma potrzeby – oznajmia strażnik obojętnie. – Jest wyraźny zakaz.

– Ale w zmienionej sytuacji...

– Zakaz dotyczy właśnie tej sytuacji. Sama się do tego doprowadziła. To nie będzie widzenie telefoniczne. Musi pan z nią rozmawiać przez szybę.

– Ciekawe jak!

Strażnik wzrusza ramionami.

– Na migi, na piśmie...

I zamyka drzwi.

Zatem Rolf Sperling znów wraca do szyby, za którą czeka Monika. Jak w menażerii!

– Możesz pisać odpowiedzi? – woła. Monika kiwa głową i pokazuje notes, który ze sobą przyniosła. – Co ci się stało?

Monika przykłada do szyby kartkę, zapisaną wersalikami. Ładny dialog!

– DEPRESJA. POKALECZYŁAM SIĘ I ZDARŁAM GARDŁO.

– Jak?

– KRZYCZAŁAM.

– Już ci to minęło? Ta depresja?

Monika uśmiecha się i kiwa głową.

– Nic ci nie zrobili?

Przeczący ruch głową. Nie.

– Nie rób tego więcej – przestrzega Sperling. I tłumaczy, powtarzając po kilka razy słowa niedosłyszane: chyba jest szansa, że przywrócą kontakty siódmego piętra, zebrał trochę podpisów, ale to nie wszystko: miał informację, z pewnych źródeł, że Amnesty International nieoficjalnie interweniowała; że kryzys rządowy; że przed międzynarodową konferencją, żeby odeprzeć ewentualne zarzuty; że „chorobą izolacji” zajęła się Światowa Organizacja Zdrowia... Ile razy mówił podobne rzeczy, wieczny optymista! Monika słucha go uważnie, bez entuzjazmu.

– W dodatku wszystkie wasze wyroki zostały poddane rewizji! – krzyczy Sperling, a kaci ki ust dziewczyny za szybą drgają: jakby nie wiedziała, czy ma się uśmiechać, czy rozplakać. W końcu znów przykłada kartkę do szkła.

– CO NA WOLNOŚCI?

Przykre pytanie. Dwa trupy, kilka aresztowań, żadnej akcji, żadnych sukcesów. Ale przecież... Sperling nie chce nic mówić, ze względu na podsłuch. Więc sam wyciąga notes i pisze na czystej stroniczce:

– COŚ SIĘ SZYKUJE.

Po czym wrywa kartkę i wkłada ją do ust, naiwny konspirator. Monika przygląda się jego pracującym szczękom i wzrusza ramionami. Aż drgnął, kiedy to zobaczył. Gdyby mógł, upadłby teraz przed nią na kolana.

Wiecznie to samo. Ta ich pogarda. Ten przechwycony gryps, który z uciechą przekazała prasie policja. Sentymalna dupa wołowa, tak go nazwał jeden z wielkich buntowników. Nieświadomy pedał, biedne męskie kurwiszczki, zżerane przez kult siły. Mimo to użyteczne. Trzeba go wykorzystać, ale nie można mu ufać. Tak o nim napisał – działacz, bóstwo, męczennik! Może wszyscy tak o nim mówili, tak o nim pisali. Oczywiście, krzyczał na całe gardło o fałszerstwie i prowokacji; ale to nie była prowokacja.

Zwykły sobie adwokat, poruszający niebo i ziemię, byle im pomóc. Urzeczony nimi: chorooba adwokatów tego miejsca i czasu. Gotów dla nich na wszystko – z wyjątkiem strzelania i

rzucania bomb. Czyż mogli nim nie gardzić – oni, ludzie czynu? Rozumie to, rozumie i nie ma za złe, i korzy się przed ich wyrokiem.

Tamci „odłożyli swego Prousta”, on nie.

Dziewczyna za szybą czeka. Bądźże aktywny, człowieku, bądź rzeczowy. Sperling wyciąga z aktówki dokumenty – odpowiedź z sądu kasacyjnego, odbitkę kserograficzną protestu przeciw warunkom więzienia politycznych, projekt skargi, projekt zażalenia – i kolejno przykładają je do szkła, żeby mogła przeczytać. Normalna adwokacka harówka.

Kiedy ma odejść, Monika zatrzymuje go. Nie, nie chce nic powiedzieć. Niech jeszcze chwilę posiedzi, nic więcej.

Szyba. Monika opiera ręce o tę szybę, przyjemnie chłodną, czystą. Rolf Sperling patrzy na nią z podziwem, złości ją ten jego podziw. Wieczne inteligenckie płaszczenie się przed kimś, kto zdobył się na CZYN. Tak jakby każdy nie był do niego zdolny! Mój Boże, rzucić granat, o który kto inny się postara, który kto inny włoży ci w ręce – cóż to jest? Każdy głupiec siłą wpakowany do wojska jest człowiekiem czynu. Bez znaczenia.

Są tacy sami, tyle że dzieli ich szyba. Gdyby to zrozumiał, byłoby im łatwiej.

Jedyny człowiek, którego tu widuje. Odkąd umarła matka, nie ma już prywatnych widzeń. Samotność. Tylko dlatego zatrzymuje go za tą szybą. Żeby jej nie zdusiła samotność. Ach, dosyć tego.

Monika wstaje i odstawia krzesło na miejsce. Sperling stoi na baczność, pokorny i pełen zachwytu. Zostawia go tak. Drzwi otwierają się, zanim jeszcze zdążyła ich dotknąć.

10

Heidi jest z nich wszystkich najtwardsza. To nie ulega wątpliwości.

Ta mała blondyneczka w mundurku Lufthansy. Blondyneczka z puszystymi, nieposłusznymi włosami, kłębiącymi się wokół głowy, z dołeczkami w policzkach. Weteranka. Sam środek twardego rdzenia trzeciej generacji. Zna życie od dna, może to jest powodem. Biedę, upokorzenia. Nie dała się niczemu. Dziesięć lat w guerilli, bez wpadki! Miała szesnaście, kiedy zaczynała. Bękart służącej! To dobre wejście w życie, być bękartem służącej. Społeczeństwo nie weźmie cię już na żaden lep. Za późno się do tego zabiera. Przepędza cię przez ścieżkę zdrowia – dwuszereg glin, walących pałami – a potem uśmiecha się słodko i wyciąga rękę z przynętą: o, nie! Slogany z gazet; wolność, demokracja, sprawiedliwość, dobrobyt, wszystko dla człowieka, walczymy o szczęście ludzkości, wszystkie te slogany to właśnie przynęta, wszędzie mają tego pełne gęby, i wszędzie wystarczy być bękartem służącej, czarnuchem, parchem, metekiem, biedakiem, cherlakiem, łamagą, choćby zezowatym rudzielcem, żeby wiedzieć, że to pić na drażku. **Wiedzieć**, nie rozumieć, jak ci kretyni, co to wstępują do nielegalnej partii albo zostają SYMPATYKAMI, cześć im i chwała, ale za bardzo ufać im nie należy. Bunt jest sprawą instynktu, ale co w przeciętniaku zostało z instynktu po przepierce w cywilizacyjnej superpralce? Żalodne szczątki.

Nie tylko najtwardsza. Także, po trosze, policmajster grupy. Nikomu nie dowierza. W całej tej cholernej lewicy za dużo jest ludzi, którzy nigdy nie głodowali. Nawet z własnej woli, w akcji protestacyjnej, a co dopiero z musu? I potem taki pieszczoszek losu wychwala ci piękno kolejek przed chińskimi sklepami: jakie to czyste, jakie wzniosłe, tego nam trzeba! Albo marzy o systemie kartkowym, o skibce czarnego chleba na głowę. I w ogóle toczy pianę z pyska przeciwko Kultowi Rzeczy, Pułapce Konsumpcji, Zniewoleniu Przez Dobrobyt: kogoż to dobrobyt zdążył aż tak zniewolić? Heidi pogardza nimi bardziej niż wrogami. Taki Rolf Sperling chociażby, o, ten jest typowy: co za gnida!

Tylko siebie jest pewna. Innych trzeba pilnować. Bez przerwy.

Przysiadła obok związanej, oddychającej chrapliwie Silke. Przyłożyła do ucha tranzystrowe radio. Wszędzie gadają o nich w dziesiątkach języków. Z tego, co mówią, wynika, że drugi punkt programu przeszedł bez problemów. Ale trzeci? O tym ani wzmianki – a powinni już to byli załatwić! Psiakrew.

Linda wychodzi z cockpitu i macha ręką.

– Mają tam w wieży kontrolnej lekarza. Mówi po niemiecku. Chce wiadomości o tej rodzącej. Co mu powiedzieć?

Heidi wyciąga swój notes. Porobiła w nim już, czekając (miliony lat czekania), odpowiednie zapiski. Prawdopodobny przebieg patologicznego porodu w podziale na odcinki czasowe. Nie musi być superścista, w końcu nie jest profesorem położnictwa. Ma tego co najmniej na osiemnaście godzin. Tętno dziecka będzie słabło, ma się rozumieć. Raz nawet zaniknie. Potem wróci. Najlepszy efekt zachowuje Heidi na deser, wyskoczy z nim w miarę potrzeby: obkurczenie się szyjki macicy na główce dziecka, zetknęła się z takim przypadkiem, potrafi go opisać, koszmar, a trwa godzinami; wtedy, w szpitalu, wojowano z tym przez parę godzin, a więc co może zrobić ona, pólamatorka, w samolocie? Bez środków rozkurczowych i tak dalej? Oczywiście, żaden rząd na świecie nie wyrzeknie się swojej najświętszej, najlegalniejszej, zagwarantowanej zemsty nad więźniami politycznymi, nad przeciwnikami, po to, żeby uratować jakąś kobietę i jej dziecko – ale to tylko jeden ze środków nacisku, wszystkie razem może podziałają, może. Bo jeżeli nie – do piachu. Wszyscy pójdziemy do piachu. Trudno. Heidi wstaje i rusza do cockpitu.

Linda zajmuje jej miejsce. Zapala papierosa. Jak tak dalej pójdzie, skończą się im papierosy, nie można myśleć o wszystkim i oto rzecz, o której nie pomyśleli: nie wzięli dosyć papierosów. Trzeba będzie obszukać te śpiące kukły. O czym jeszcze nie pomyśleli? Cholera, nie ma mocnych, coś musieli przegapić, nie może być tak, żeby wszystko szło jak w zegarku, zresztą nie idzie. **Co przegapili?**

Linda – to pseudonim, oczywiście, przywiązała się do niego – należy do tych, którym Heidi nie ufa, niesłusznie. Przeciętne środowisko, przeciętny dom. Studia. Chłopcy. Co tu kryć, wlaża w politykę, żeby zrobić wrażenie na chłopcu, który jej nie dostrzegał: on politykował. Ale chłopiec minął, a to zostało. Wciągnęło ją z głową. Wydostać się nie można. Choćby się chciało – a ona nie chce. Serio. Skądże. Mogą na nią liczyć. Na każdego mogą liczyć! Kto zaczął, ten nigdy z tym nie skończy. To jak śmierć. Zadać się z polityką, to umrzeć. Nie żałuje.

Skądże.

Po tym, co już zrobiła, jest skazana na ukrywanie się. Po wiek wieków. Gdyby się ujawniła, mogłaby uniknąć mamra albo zainkasować mały wyrok tylko w jednym wypadku: gdyby sypała. Ale wtedy wiadomo, kto by ją wykończył: swoi. Nawet mieliby rację. Trzeba się bronić przed zdradą, wszyscy postępują tak samo: mafiosi, masoni, guerilleros. Słowem, nie ma wyjścia. A skoro go nie ma, mogą na nią liczyć. Choćby rzygała z nienawiści do nich, i tak wypełni każde polecenie. Nie sypnie nawet na torturach. Tak jej się przynajmniej wydaje. Psiakrew, trzeba poszukać papierosów. Jeśli się już ma wolną chwilę...

Wstaje. Podciąga dzinsy, wygładza podkoszulek. Rusza przejściem między rzędami foteli. Mężczyźni trzymają zwykle swoje pety po kieszeniach, nie ma ochoty w nich grzebać. Rozgląda się za damskimi torebkami. O, w tej pewnie coś będzie.

Ruda ślicznotka, śpiąca z odchyloną głową, postawiła swój czarny, lakierowany sączelek przy nogach, tylko sięgnąć. To przy niej siedział Karl. Torebka poniewiera się wśród rozdeptanych opakowań po Stocku. Dalej, przy oknie, chrapie jakiś oliwkowy tłuszcioch, byli razem, to Linda pamięta, co za chamidło. Wiadomo, kim jest mężczyzna, zajmujący w samolocie czy pociągu miejsce przy oknie, uświęcone miejsce kobiety! Ruda paliła, Linda jest tego pewna. Wsuwa się między fotele, przykuca z trudem (co za ciasnota) i otwiera torebkę rudej. A jakże. Są. I to camele, najlepsza marka. Jedna paczka napoczęta, druga, pod spodem, cała. Linda

wyciąga obie. Celofan zaszeleścił, rozgniecione pudełko po Stocku zatrzeszczało pod nogą Lindy. Nie, skądże, nie stanęła na nim przecież, nie dotknęła go! To kto inny. Ktoś, kto zaszedł ją od tyłu, że też nie słyszała kroków, kto to może być, Heidi? Albo... Linda podnosi się szybko, z paczkami cameli w obu dłoniach. Ale nie zdążyła unieść się nawet o dziesięć centymetrów. Coś spada na nią nagle, czuje to, ruch powietrza, cios przecinający powietrze, czuje go, zanim jej dosięgnął. Potem już niczego. Potem już niczego.

11

Stammheim, trzy miesiące wcześniej.

Tego nie można przewidzieć. Szczęście: któż by się go spodziewał? A jednak czasem przychodzi.

Godzina 9.35.

Monika leży na łóżku z rękami założonymi pod głowę. Z adapteru dochodzi, wypełniając celę, czysty i kruchy głos, któremu Monika towarzyszy cichym, rytmicznym mamrotaniem:

*Liberté, liberté
qu'as-tu fait, liberté
pour ceux-là qui voulaient te défendre?
Les voilà, tes amis,
ils étaient trop petits,
et demain le bourreau va les pendre...*

Słucha tego po raz dziesiąty dzisiaj, w ogóle – może tysięczny; to ją wzrusza, dlaczego nie? Do diabła, przed kim ma się jeszcze wstydzić wzruszenia? I sama ta myśl wystarcza. Zaczyna płakać.

*... mais quelque chose manquait
qu'ils ne pouvaient t'expliquer,
et c'était toi, liberté des beaux jours!*

Nic głupszego. Rozczulać się w mamrze piosenką o wolności! Nic głupszego.

*... Ils ne t'ont jamais vue,
ils ne te verront plus,
liberté! toi – le rêve des hommes!*

Nie nastawi tego ponownie. Przyrzeka to sobie. A jednak, gdy tylko piosenka się kończy, Monika wstaje i cofa ramię adapteru.

... et toujours toi, liberté, leur soleil!

I jeszcze raz.

Jest godzina 9.55.

Najpiękniejsza zwrotka, ostatnia. Ten czysty głos na tle głuchego wybijania rytmu, na tle werbli:

*Ils ont crié: „Vive le roi!
Vive la reine et la loi!
Mais surtout vive, vive la liberté!”²¹*

Jeszcze trzy razy powtórzone to słowo, liberté, narastający dźwięk werbli. Monika przyciska skrzyżowane dłonie do ust, wzruszając się, wzruszając – do woli. Do upojenia.

Teraz wstać i wyłączyć adapter, jednak wyłączyć. W tym samym momencie otwierają się drzwi.

²¹ Liberte...” (fr.): „Wolności, wolności, co zrobiłaś wolności, dla tych, którzy chcieli cię bronić? Oto twoi przyjaciele. Byli za słabi i jutro powiesi ich kał”. „... ale brakowało czegoś, czego nie umieli ci wytłumaczyć, a to byłaś ty, wolności pięknych dni”. „... Nigdy ciebie nie widzieli i już nie zobaczą, wolności, ty marzenie ludzi”. „... i ciągle ty, wolności, ich słońce”. „... Wołali: Niech żyje król! Niech żyje królowa i prawo! Ale przede wszystkim niech żyje, niech żyje wolność”.

– Na korytarz.

Chwileczkę, chamie, nie pali się. Ciekawe, co będą teraz robić: pruć ściany w poszukiwaniu ukrytej armaty? Czy po prostu sprzątać? Najpewniej to drugie, wiadomo. I Monika, umyślnie zwolnionymi ruchami zdejmując płytę, chowając ją do koperty, odkładając, nie ma jednak ochoty na odszczekiwanie się strażnikowi, na dalsze przeciąganie tej zabawy, na nic. Zbyt wielka apatia.

Baader to umiał! Baader umiał utrzymywać we krwi tych owczarków właściwy poziom adrenaliny. Ale Baadera nie ma. Od trzech lat go nie ma.

Na myśl o tym znów głupio, sentymentalnie wzdycha, przekraczając próg celi. I zaraz czuje się dziwnie. Zatrzymuje się w pół kroku.

Strażnik nie czekał, żeby ją eskortować, odszedł. Korytarz jest pełen ludzi, drzwi od cel pootwierane na oścież. Tak nie było nigdy. Poza tym pierwszym dniem, poza tym jedynym kwadransiem. Nigdy.

– Dwie godziny wolne – obwieszcza jakiś głos.

Strażnicy przyglądają się tylko, uważnie, nie nazbyt natrętnie, spod ścian. A na korytarzu...

– Hans! – woła nagle Monika, poznając. Ależ tak, to Hans. Wysoki, rudy, brodaty: byli razem w Komitecie Obrony, razem w pochodzie, razem w Amnesty International, razem w zamachu! Motocykl zatrzymany przy krawężniku, wyszarpięta z kieszeni broń, błysk: to Hans. Schwytany na granicy szwajcarskiej, skazany na dożywocie, tak jak ona: najpierw trzymali go w Kolonii, potem skierowali tutaj, wiedziała, ale nie widziała go nigdy, nie udało jej się nawet przesłać grypsu, od niego też nie dostała, a odkąd poprawiono izolację dźwiękową, żaden krzyk nie dobiegnie do przeciwległej celi przez szparę pod drzwiami. To Hans!

– Monika!

Rzucili się ku sobie z wyciągniętymi rękami – i zaraz wpadają na zaporę, na wsunięte między nich pospiesznie ciało strażnika.

– Nie dotykać się.

W porządku, mogą się nie dotykać. Widzą się, to już coś. Ale o czym mówić? O czym można mówić w takiej chwili? Po trzech latach, pomyśl tylko! Ja siedzę dwa i pół, najpierw w Kolonii... Czy zmienili regulamin? Kto ich wie, kto ich może wiedzieć! Chyba tak, ale na jak długo? Tak było za Baadera, pod koniec, widywali się. Ach, za Baadera! Ja go widziałam, wiesz? Mój pierwszy dzień tutaj był ostatnim przed pełną izolacją i przed ich... śmiercią. Potem trzy lata walki o zniesienie izolacji, trzy lata głodówek, trzy lata akcji na zewnątrz, i nikt się nie ugiął, a teraz tak, nagle, bez powodu, dlaczego? Czemu się dziwisz, państwo nie lubi ustępować pod przymusem.

– A widziałeś kiedyś, żeby ustąpiło bez przymusu?

Słychać stukanie drewnianej kuli o podłogę, zbliżające się kroki. Ach, tak: to Veronika.

Patrzą na nią, odrętwiali. Schwytano ją postrzeloną, poranioną, i z miejsca amputowano jej nogę: może i było trzeba, kto to sprawdzi? Taka ładna dziewczyna! Nadal jest ładna: Tristana Galdosa, Tristana Bunuela. Gładkie, ciemne włosy spięte z tyłu klamerką, czysta biała twarz. Spod brązowej sukienki wystaje tylko jedna noga, drugiej nie ma. Podskakuje na jednej nodze, wsparta ciężko na kuli, jak okaleczony ptak.

– Cześć – mówią, jak gdyby nic się nie stało.

– Cześć – odpowiada. – Myślicie, że to długo potrwa?

Wiadomo, o czym myśli; wszyscy tu myślą o tym samym.

Dwaj faceci – tych Monika nie zna, ale zaraz sobie wszystko kojarzy, pamięta przecież zdjęcia, to Rolf i Klaus, siedzieli jeszcze przed śmiercią Baadera, weterani – pieklą się o coś ze strażnikiem. Ach, chodzi o krzesło dla Veroniki! No, jasne. Już niosą krzesło, już pomagają jej usiąść.

Wolno w ogóle wziąć krzesła z cel. Wolno im usiąść razem na korytarzu, wokół Veroniki. Wolno palić, wolno rozmawiać. Kto by pomyślał! Jeszcze wczoraj...

Nie wiedzą, o czym mówić! Co się stało z ich niekończącymi się monologami w celach? Nie pamiętają z nich ani zdania, ani słowa. Patrzą na siebie, nic więcej. Patrzą też na zegarki: jak czas ucieka! Czas rozplywający się, czas marnowany. Oduczyli się mówić. Odwykli.

Ośmioro ze Stammheim. Bastylia XX wieku. Bastylia ich epoki, Bastylia, która nie została zdobyta! A w środku, na korytarzu siódmego piętra – oni. Żalony, nędzny środek pewnego świata. Tylko oni!

Monika Weber: małe, chude ciało, ciemne włosy zwisające po obu stronach twarzy, spadające kosmykami na czoło, duże okulary, paznokcie drapiące napięty na kolanie materiał dzinsów. W momencie zejścia w podziemie: córka owdowiałej urzędniczki, studentka, początkująca działaczka Komitetu Obrony Więźniów Politycznych. W momencie aresztowania: uczestniczka napadu na bank i zamachu na sędziego Sądu Najwyższego. Teraz? Właśnie: czym jest teraz?

Veronika: sekretarka czy księgowa. Meżatka. Też weszła do Komitetu Obrony. Udział w porwaniu i zabójstwie bonzy wielkiego businessu, byłego esesmana, przestępcy wojennego. Z jedyną nogą dotykającą podłogi. Kaleka.

Hans: rudowłosy, rudobrody. Wiking! Biografia: jak u Moniki. Syn dentysty. Studiował socjologię. Oprócz tego, co robili wspólnie, próba napadu na komisariat policji. Nieudana.

Rolf: wysoki, łysiejący nad czołem, w okularach. Dziennikarz. Weteran. Brał udział w tej akcji-wybryku, w akcji nie uzgodnionej i potępionej przez kierownictwo: w podpaleniu gmachu koncernu Springera w Berlinie Zachodnim. A także w zamachu na prokuratora generalnego.

Klaus: szczupły blondyn, też łysiejący nad czołem. Skończył medycynę, nie praktykował. Był w Jordanii z grupą szkoleniową. Antysemita. On to nazywa poparciem dla Sprawy Palestyńskiej, ale nie da się ukryć, to nie to, to zwykły antysemityzm. Strzelec wyborowy. Zamach na prokuratora generalnego, ibidem.

Gabi: jasnowłosa, mocno zbudowana, krępa. Córka wozaka i sprzątaczkki. Brała udział w zdobyciu i okupacji ambasady niemieckiej w Sztokholmie. Raniono ją, schwytano, Stammheim.

Kristina: szczupła, piegowata. Córka fabrykanta. Milionerka. Była w Sozialistisches Patientenkollektiv. Potem – trzy zamachy. Na prokuratora generalnego, na wielkiego bankiera, na bonzę businessu.

Siegfried: jeszcze jeden weteran! Syn redaktora naczelnego prowincjonalnej gazetki – ale i tak wychował się bez ojca, to bez znaczenia. Brał udział w porwaniu ministrów krajów OPEC. Uciekł. Potem porwanie wielkiego bankiera, dla okupu, mętna, niewyraźna sprawa.

Siedzą wszyscy na korytarzu siódmego piętra i nie mają sobie nic do powiedzenia.

Nic poza głupstwami: jedzenie, widzenia, adwokaci. Długie przerwy, długie chwile milczenia. To żalotne. Wydaje się, że strażnicy patrzą na nich z pogardą. Ach, na pewno!

Dopiero w chwili, gdy mają rozejść się do cel, wpadają w panikę. Mówią wszyscy naraz, podnoszą głosy, krzyczą. Gdyby się to teraz zaczynało, gdyby dano im szansę... Czy będzie druga okazja? Jeżeli nie... Tyle pytań nie zadanych, tyle informacji nie przekazanych, co za szaleństwo! Poczekajcie, jeszcze nie wiadomo, jak będzie. Do następnego razu!

Kiedy strażnik zamyka drzwi celi, Monika nie może się powstrzymać – daje mu w ten sposób władzę nad sobą, daje mu przewagę, trudno – i pyta:

– Jak będzie jutro po południu? Dadzą czas wolny?

Mógłby nie odpowiedzieć. Ale odpowiada:

– Chyba tak.

Szczęście.

– Panie doktorze, nie jesteśmy barbarzyńcami. Chcemy pomóc tej kobiecie. Ale to zależy od was. Im prędzej znajdą się tu więźniowie...

Heidi, w słuchawkach na uszach, rozmawia z wieżą kontrolną. Tym miękkim, gładkim głosem. Grzeczna, mała stewardessa. Twarda przy tym jak diabli. Nie próbujcie przeciągać terminu ultimatum, tyle tylko mogę wam powiedzieć. Jeśli chcecie uratować kogokolwiek. Tym razem nic wam nie przyjdzie z gry na zwłokę, rozumiano? Więc niech im pan powtórzy, doktorze. Daliśmy wam półtorej doby, sporo. Ale radzę się pospieszyć. My znamy historię z Mogadishu i inne, podobne. Wiemy, co znaczy przeciąganie terminu. Nauczyliśmy się czegoś. I niech nikt nie próbuje w ostatniej chwili głądzić, że więźniowie są już w drodze. Na razie macie dość czasu, żeby ich przywieźć, ale za dwie godziny będzie za późno. Nie przedłużymy terminu ultimatum, jasne? Ciao.

No, gotowe.

Olaf siedzi przy pilotach. Nie dopuszcza się ich do rozmów z wieżą, czegoś się w końcu nauczyliśmy, mają swoje szyfry, sposoby przekazywania informacji, tym razem ich nie przekażą. Nie są uśpieni, ale ręce się im związało. Co zrobił ten łajdak w Mogadishu? Wyrzucił cztery pety, i już tamci wiedzieli, że porywaczy jest czterech. Potem w niby czysto technicznej rozmowie z wieżą powiedział ni stąd ni zowąd: „pół na pół”, i już wiedzieli, ilu mężczyzn, a ile kobiet. Teraz nic z tego. Jakby co, i Olaf, i Karl umieją pilotować. Nie samolot pasażerski, jasne, ale w krytycznej sytuacji, po tych wszystkich lekturach, mogą dać sobie radę. Zresztą raz się żyje. Do pilnowania fachowców ich wiedza o pilotażu wystarczy.

Olaf jest chłopakiem Heidi. Dobry układ. To pomaga. Jedyna słabość Heidi, jedyna słabość Olafa, tak myślą ci z zewnątrz. Nonsens. Olaf, ten burżujski synek, ex-student filozofii, czytelnik metafizyków, zakochany w córce kobiety, która szorowała u nich schody i myła okna, co za melodramat! Zakochany w niej już wtedy, gdy oboje mieli po czternaście czy piętnaście lat, wzięty przez nią na smycz i obrożę, wodzony za nos: no, bo jak to się mogło stać? To, że bękart służącej przystaje do lewaków rzucających bomby, porywających VIP-ów i marzących o REWOLUCJI, to zrozumiałe, to się mieści w schemacie. Ale burżujski intelektualista? A może na odwrót: to jego przypadek mieści się w schemacie, pasuje do tych niezliczonych artykułów o młodych bogaczach, którzy Rolls-Royce’ami, obżarci kawiozem, udają się na czerwone manifestacje... no, wiadomo. Lud nie da się nabrać na tę hucpę, też wiadomo. Tyle, że Heidi jest właśnie „z ludu”. Tak, dobry układ. Zbijający z nóg.

Olaf, młody małżonek, który u boku Lindy zasiadł w samolocie z niemowlęciem (z lalką) na kolanach: młody małżonek, któremu Heidi ze służbowym uśmiechem podsuwała na tacy broń przykrytą ręcznikiem... Nie zmienił się od tamtej chwili tak, jak ona. Ciągłe jest dobroduszny, ciągle poczciwy. Pozory mylą. Albo i nie mylą. Inteligencję Olaf ma, sprytu nie. Heidi prowadzi go na smyczy, to fakt. Jego pierwsza kobieta, jego jedyna kobieta. To psie spojrzenie, teraz. Ale nie należy zbyt silnie wierzyć w naiwność Olafa, w poczciwość Olafa. Już nieraz się sprawdził.

Heidi skończyła rozmowę. Następna za kwadrans.

Odwraca się. Ze złością patrzy na Karla, obżerającego się właśnie lunchem rozwiniętym z folii, lunchem zaoszczędzonym na pasażerach.

– Co ty tu robisz? Zostawiłeś Lindę samą?

– Wcale nie samą. Zresztą tamci palcem nawet nie ruszą...

– Niedługo zaczną się budzić. To potrwa. Nie starczy nam dla nich prochów aż do końca. Zresztą wiesz, o co chodzi, głupku! Wiesz, o co chodzi!

Pewnie, że wie. I, żując ciągle, zawraca na „salę ogólną”, tak to nazywa.

Tamci lubią atakować, gdy porywacze zgrupują się w jednym miejscu. Lepiej ich nie kuścić.

Gdzie u diabła jest Linda?

No, jasne: w toalecie. Gdzie mogłaby być?

Karl przysiadł z przodu, na pierwszym siedzeniu, obok uśpionej Silke. Plastikową taczkę stawia sobie na kolanach, zostało mu już tylko ciastko, zjada je, ręce wyciera pachnącą chusteczką, wsuwa śmieci pod fotel – taki już jest ten Karl, brudas i niechluj, wystarczy spojrzeć, jaki śmietnik zostawił po sobie obok rudej z „Monde’u” i oliwkowego tłuściocha z Palermo – upycha je obcasem, po czym wyciąga z kieszeni lusterko (brudas i niechluj, ale i kokiet przy tym) i wybucha śmiechem (reaguje jak dzieciak, ten Karl, ale przy swoich wadach ma i zalety), widząc, że nie odkleił sobie krzaczastych brwi: o tym zapomniał. Zabiera się do nich teraz. I właśnie w lusterku, właśnie dzięki niemu...

Ma zajęte obie ręce, to nie pozwala mu zrobić pełnego użytku z własnych zalet. Z drugiej strony – to lusterko, szczęście w nieszczęściu...

Kiedy tamta ręka unosi się nad nim, żeby zadać cios, daje nura w dół i w bok jednocześnie: zdążył. Ale z rozpędu się przewraca. I już ma to na sobie. Przywalony, krzyczy. Tego nie było w planie: jego krzyku. Czy dotrze do cockpitu? Do Lindy? (Gdzie jest Linda? Nie ma co na nią liczyć, durniu, ach, jasne!). Wycie. Usłyszeli? Usłyszają? Jeżeli nie, to po nich, po nich i po akcji, po nich i po wszystkim, koniec! Wycie urywa się nagle. Już po Karlu.

13

Stammheim, dwa i pół – półtora miesiąca wcześniej.

– Nie zapominajcie o powtarzalności wszystkiego. O powtarzalności błędów.

No, rozgadali się. Mało tego: wrócili do tradycji Stammheim. Dyskusje polityczne – do protokołu. Protokołuje Kristina. Może uda się przekazać to adwokatom. Próba dodania sobie ważności. Próba rzucenia słów w wieczność. Bo przecież dany im czas szczęścia nie jest długi – ale i nie wolno myśleć, że się skończy. Siedzą tu, na więziennym korytarzu, jak gdyby mieli przed sobą lata, wiele lat. Całe to swoje dożywocie. Dożywocie rozmów, kłótni, dyskusji. Dożywocie spisywania samokrytyki, największej samokrytyki w historii! Znaleźli nawet nazwę, przypadkiem.

– Bóg śpi – zacytował drwiąco Klaus. – My to jego koszmary.

– Nic podobnego – oponuje Monika. – Bóg cierpi na bezsenność. Dlatego imają się go wredne figle.

– Powinien sobie grać Wariacje Goldbergowskie.

To znów Klaus, ten meloman. Patrzą na niego pytająco, nie rozumiejąc.

– Wariacje Goldbergowskie – wyjaśnia Klaus – skomponował Bach dla niejakiego Goldberga, znudzonego bogacza cierpiącego na bezsenność. Są tak trudne, że można lata nad nimi strawić i nie móc ich rozszyfrować. Gdyby Bóg zajął się Wariacjami Goldbergowskimi, mielibyśmy wreszcie trochę spokoju.

Śmieją się. Ale nazwa pozostaje. Tym właśnie są odtąd codzienne rozmowy na korytarzu, między dziesiątą a dwunastą i między drugą a czwartą. Wariacjami Goldbergowskimi.

A zatem:

– Nie zapominajcie o powtarzalności wszystkiego. O powtarzalności błędów.

– Chodzi ci o nas? Że nasze błędy zostały już popełnione przez innych, dawno temu, i gdybyśmy o tym wiedzieli, moglibyśmy ich uniknąć?

– Mniej więcej.

– Mole książkowe! – kpi Gabi, córka wozaka i sprzątaczk. – Jajogłowi! Pewnie, dzielcie włos na czworo, i tak nie mamy teraz nic lepszego do roboty. Ale jeżeli ktoś chce powiedzieć, że gdybyśmy się dobrze obkuli z historii, nie siedzielibyśmy tutaj, to jest durniem. Nie robi się rewolucji, patrząc w przeszłość.

– Tak się robi politykę.

– Może politykę, ale nie rewolucję.

– Ba! – mówi Rolf. I twierdzi, że da im listę książek do przeczytania. Ale każdy z nich ma dla innych taką listę: przez kilka lat swej luksusowej izolacji tyle przeczytali!

Rolf i Siegfried są specjalistami od Rewolucji Październikowej. Klaus od Wielkiej Francuskiej. Hans i Kristina od anarchistów dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Monika od Komuny Paryskiej. To już coś.

Veronika czytała kiedyś opowiadanie warte całej ich wiedzy o nihi-listach lub jakobinach. Opowiadanie o potopie.

Tym razem ocalał ktoś, kto był zamknięty w latarni morskiej. Wytrzymała napór wody. Woda podniosła się do okien – jeżeli można to nazwać oknami – a potem sięgnęła wyżej, o wiele wyżej, może o całe kilometry wyżej. Ludzie z wieży – latarnik i jego gość – znaleźli się na dnie oceanu. Żywi.

– Wokół nich była woda, i nad nimi była woda – tłumaczy Veronika, oparta na swej kuli, z jedyną nogą wysuniętą do przodu, z jedyną stopą przyciśniętą do podłogi. – Wiedzieli już, co się stało, ale nie wiedzieli, co z tego wyniknie. Mogli mieć nadzieję, że gdzieś tam, pod wodą czy nawet nad wodą, są inni ludzie, ale żadnej pewności. Siedzieli tak w ciszy, a ryby podpływały do szyb; zdaje się, że przyciągało je światło. Patrzyły na nich: chyba cały ocean na nich patrzy! Klaus aż się wzdrygnął, i zaraz zachichotał.

– Coś takiego, jak Stammheim, co, Veronika? Jak Stammheim! Przez chwilę wszyscy milczą. Monika ma gęsią skórę. Jak Stammheim, tak. To czuła. Przyszedł potop, i zalał ich, i zostali sami w swojej wieży, otoczeni wodą. Na zewnątrz nic się nie dzieje, a jeśli nawet, oni nic o tym nie wiedzą: czy ktokolwiek tam został, tam, na zewnątrz? Czy też są ostatnimi istotami swojego gatunku? Od tak dawna panuje cisza! A świat – ryby, rekiny, koniki morskie – przygląda im się przez szybę. Z coraz mniejszą, przygasającą ciekawością. – Tak – rzuca Kristina, jak gdyby nigdy nic – tak, diabelnie wszystko przycichło. Od lat. Wygląda na to, że ponieśliśmy klęskę. No jak, ponieśliśmy klęskę?

– Przestańcie bredzić!

To Siegfried. Chciałby gadać o rzeczach radykalnych. O konkretach. Zatopiona wieża, ludzie grający w zatopionej wieży Wariacje Goldbergowskie! Dajcie spokój tym przenośniom. Na zewnątrz jest okres stagnacji, normalka. Zbyt wielkie trudności. Po co mistyfikować? Zresztą całego ruchu nie rozpieprzono. Włosi działają. Centrum przesunęło się z Niemiec do Włoch, no i co? Co to ma wspólnego z potopem? Uspokójcie się!

Wszyscy się zmieszali. Oprócz Moniki.

– Nie masz racji. Jeżeli ponieśliśmy klęskę...

– Jaką klęskę? – wrzeszczy Gabi. – Siegfried ci powiedział: okres stagnacji to nie klęska.

– Ona ma rację – powtarza Klaus. – Przerwa w działaniu nie jest klęską. Thermidor, to była klęska!

– ...jeśli ponieśliśmy klęskę – kontynuuje Monika – trzeba dokładnie rozważyć, dlaczego. I zacząć od nowa.

– Could we start again, please – śpiewa fałszywie rudowłosa Hans. To duet Marii Magdaleny i Piotra Apostoła z musicalu „Jesus Christ Superstar”, duet śpiewany po aresztowaniu Chrystusa. Hans chciał ich rozśmieszyć, ale nie udało się. Gabi prychnęła gniewnie. Monika jest wzruszona. Rolf też. Widzi to ukrzyżowane ciało w ciemnej koronie, a pod krzyżem, obok krzyża, garstkę tych, którzy chcą zacząć wszystko od nowa, zacząć jeszcze raz: czym byłaby śmierć Chrystusa bez nich? Musiało w nich być ciut z terrorystów... w tych, którzy napisali ten musical, o nich mówię!

Z „terrorystów”! No, proszę, wystarczyło posiedzieć odpowiednio długo w tej wieży podczas potopu, żeby przejąć słownictwo wrogów.

Tyle było protestów przeciwko nazywaniu każdej mniejszości podejmującej zbrojną walkę terrorystami: to państwo stosuje terror, ono przede wszystkim, ale chytrym nazewnictwem

przesuwa całe odium na innych... chociaż, czy to nie wszystko jedno? Czymże jest imię? Kwiat nazwany różą... i tak dalej. Niepostrzeżenie przejęli od przeciwników więcej niż słownictwo: metodę. Metodę kierowania reflektora na drobiazgi. Nazwy, sformułowania, bzdury!

– Za bardzo wleźliśmy w drobiazgi – mówi nieprzytomnie Monika. Reszta patrzy na nią wyczekująco, ale nic po tym nie następuje. No dobrze, dość tego.

– Od jutra robimy szkolenie polityczne – oznajmia pryncypialnie Klaus. – Jak za czasów Baadera.

Szkolenie polityczne? Czemu nie, można to i tak nazwać.

*

„Drogi Chris,

dziękuję ci za list. To jedyne, co mnie od dawna trzyma przy życiu. A jednocześnie nikt mi chyba nie wyrządził takiej krzywdy, jak ty.

Rozwaliłeś mi obraz świata. Taki był prosty, taki czarno-biały! Człowiek potrzebuje wiary w raj tu, na ziemi. Zналиśmy nasz świat: był zły. Ale kto by udźwignął wiedzę, że wszystko jest złe, że wszędzie jest zło? Więc rozłożyliśmy światła i cienie. Forma ustroju, którą znamy, jest ciemna – zatem ta, której nie znamy, jest świetlista. Jeżeli nam ktoś mówił, że tam też jest ciemność, skreślaliśmy go. Wróg, dywersant, agent. Cóż, jeżeli się dopuści do pogmatwania własnego obrazu świata, nie można działać. Jeżeli się wie za dużo, nie można działać. Wiedza jest strasznym hamulcem; więc odrzuciliśmy wiedzę. Was odrzuciliśmy, was jako problem.

Ale teraz już nie działam, od dawna. Teraz tkwię „we własnej celi grobie numerowanym”, jak u Wilde’a. I wierzę, wierzę, że nie ma żadnej idealnej wyspy, żadnej Arkadii. Że dobry może być tylko cel nie osiągnięty, cel-marzenie; że „cel jest niczym, ruch wszystkim” – bo tylko „ruch”, tylko walka ze złem zawiera w sobie piękno, godność i tak dalej, a cel walki, jeżeli zostanie osiągnięty, okaże się złem i ciemnością, jak wszystko, co zwycięskie, jak wszystko, co nieruchome.

Chris, czemu ja właściwie poświęciłam życie?

I ty też, na twój sposób: bo przecież dla ciebie to też jest najważniejsze. Polityka. Ale, na litość boską, co to jest?

Niektórzy twierdzą, że forma miłości. Nie lubię tego określenia, zbyt sentymentalne. Aż mdli.

Zresztą to jest pasja, nie miłość.

Ani przez chwilę nie żałuję! Tylko staram się zrozumieć. Bo, Chris: czy to słuszność poglądów, w imię których (etc), ma decydować o ocenie? Słuszność, którą się stwierdzi dopiero po latach? A więc ktoś, kto w osiemnastym wieku walczył w imieniu handlarzy, nie arystokratów, był bohaterem? Jego przeciwnik natomiast – szmata? To bzdura.

Gdzieś przeczytałam, że nie ma znaczenia, jaka to jest pasja. Byle była. Ale przecież działa się w jej imieniu, zabija się w jej imieniu!

Masz rację, usiłuję się bronić.

Czy w gruncie rzeczy, „podświadomie”, jak twierdzisz, chodziło nam o wyzwolenie inteligencji? A jeśli nawet tak, to co z tego?

Wszystko w naszym działaniu nadaje się do obrony lub do potępienia. Ale też wszystko jest tylko cieniem. Jeżeli nie zna się tego, co było za działaniem. Tej pasji. Tego uniesienia. To tak, jak oceniać słuszność postępowania pustelnika, abstrahując zupełnie od Boga. Co za ślepotą! Czy się w Boga wierzy, czy nie. Wystarczy znać pojęcie.

Chris, przeciwnicy polityczni nie są prawdziwymi przeciwnikami. Tylko ci apolityczni. Którzy nie rozumieją, o co chodzi. I teraz, kiedy się tak szarpię, czy chodzi mi o przeciwników? Dla nich znalazłabym dość argumentów! Ale ta większość, ta spokojna większość, któ-

rej nie rozumiemy, tak samo, jak ona nas nie rozumie. To inny gatunek ludzki. Są dwa rodzaje ludzi: jednych utrwala sztuka, drugich historia. And never the twain shall meet!²²

Muszę kończyć, Chris. Wkrótce napiszę. Całuję.

Monika”

*

Szkolenie? A czy to nie jest szkoleniem?

– Mam coś dla was – mówi Monika na korytarzu siódmego piętra. – Protokół z przesłuchania zakładnika. To był arcybiskup, wzięty na wymianę za więźnia politycznego. Posłuchajcie.

– Kiedy to było?

Nie, najpierw niech przeczyta. Jeżeli to krótkie.

Więc czyta.

– Wasz zawód?

– Sługa Boży.

– Gdzie mieszka wasz pan?

– Wszędzie.

– Zapiszcie: obywatel Darboy, podający się za sługę włóczęgi o nazwisku Bóg.

– Dzieci moje!

– Tu nie ma żadnych dzieci. Są tylko obywatele i urzędnicy Komuny.

– Ach! – wtrąca się Gabi. – Komuna Paryska!

– No i co?

– Myślę – mówi Monika – że to jest niezły temat. Ten okres i dwie sprawy: koncentracja władzy i skuteczność indywidualnego terroru. Ja to widzę jako sztukę teatralną, naprawdę! Dwa akty, dwóch głównych bohaterów: z prawicy i z lewicy. Nie moglibyśmy tego napisać? Jak myślicie? W ramach szkolenia?

– Ależ to prehistoria!

– Wcale nie. To mogłoby być chytre: zrobić sztukę z kluczem. Historyczną, ale o nas. Nasze niektóre rozmowy mogłyby tam wejść żywcem, choćby to, pamiętacie: „Tak się robi politykę. – Może politykę, ale nie rewolucję”. Widzę to!

– Poczekaj, kotku.

To Klaus.

– „Politykę, ale nie rewolucję”! To ważne. Mamy temat do dyskusji. Moralność a polityka! Mało tego: uczucia a polityka! Czy wiecie, że Robespierre...

– No, nie – oburza się piegowata Kristina. – Każdy mógłby tu godzinami pieprzyć o swoim kawałku historii; ale co nam to da? Przelewanie z pustego w próżne.

– Wysłuchaj mnie! – woła Klaus. – Michelet napisał coś takiego: gdyby Robespierre był tylko politykiem, terror byłby mniejszy. Ale był moralistą.

– Michelet! Michelet nie znał Stalina! Stalin był pragmatykiem, nie moralistą. A wobec **jego** terroru to, co zrobił Robespierre, było dziecinną zabawką. W dodatku jawną, ostentacyjną, sprawdzalną, poddawaną wiedzy i osądowi społeczeństwa. Tam nie było tajnych, nocnych wywózek milionów ludzi...

– Zostawmy Micheleta. Mathiez, organizując w dwudziestym wieku stowarzyszenia „robepierrystów”, motywował to koniecznością walki o moralność polityczną. I przyciągał sporo ludzi. Tych, którzy nie mogli już znieść korupcji, cynizmu, bezduszości...

²² And never the twain... (ang.): I nigdy się nie spotkają. Cytat z wiersza R. Kiplinga „The Ballad of Kast and West”.

– Czym miał być terror według twojego Robespierre’a? – Pyta Veronika, ostrożnie przesuwając swą jedyną nogę i sadowiac się wygodniej na krześle.

– Szybkim, surowym i niezłomnym wymiarem sprawiedliwości.

– No, to dla nas tym nie był.

– My nie mieliśmy władzy. Ale trochę jednak...

– Emanacją cnoty – kontynuuje Klaus, nie słuchając. – To było ważne słowo w osiemnastym wieku, cnota, virtus, rzymskie słowo, rzymskie pojęcie. „Cnota, bez której terror jest zgubny; terror, bez którego cnota jest bezsilna”.

– To dobre. Ale co nam to daje praktycznie?

– Może o tym napisać sztukę? – pyta Rolf.

– O tym były stopy sztuk! I tam nie ma naszego problemu. Nasz problem, to terror uciesmiężonych, terror słabych, terror tych, którzy nie mają nawet chwilowej władzy...

– Komuna Paryska była chwilowo u władzy. Zaraz, Monika, po co oni porwali tego arcybiskupa?

– Ich szef, ich ideolog siedział w mamrze. Po tamtej stronie. Jak Baader. Chcieli wymiany.

– Kto to był?

– Blancqui.

– Nic nie wiem o Blancqui.

– Nikt nie wie. Niemodna postać.

– Zaraz, to ciekawe. Dziewiętnastowieczna sprawa Schleyera! To ciekawe...

– Zostawcie to – mówi Klaus. – Wieczne dygresje! Mieliśmy dziś omawiać Machiavellego. Więc omawiajmy. Czy wszyscy czytali?

Jak w szkole!

– Mam do dyskusji jedno zdanie z Machiavellego. – (To ciągle Hans). – Dobre zdanie. „Jeżeli rządzący są znienawidzeni, ich przeciwnicy rychło będą uwielbiani”. Zgadza się z tym?

– Nonsens!

– Bzdura!

– Skądże, to prawda. Ale **tu** rządzący nie są znienawidzeni, na tym polega problem. A my, zamiast zacząć od dobrej propagandy...

– Jak? Jak doły mają robić propagandę?

– ... zaczęliśmy od czynów. Za wcześniej.

– To twoje zdanie.

– Jaka by to miała być propaganda?

– Mam tu pewien przykład. – Siegfried czyha jak sęp z otwartym zeszytem; wreszcie trafiła mu się okazja. – Z techniki działania opozycji, z techniki skalowania przeciwników. Dobry sposób, a bardzo rzadko... stosowany, aż śmieszne, że tak rzadko... Wiecie, jak wykończono Grakchusa w rzymskim Senacie?

– No?

– Niejaki Drusus podchwytywał każdą jego propozycję, doprowadzając ją do absurdu i ośmieszając. Na przykład Grakchus proponował obniżenie ceny chleba na osiemnaście czegoś tam, a Drusus natychmiast to przebijał: na osiem! I wszyscy wybuchali śmiechem. To był koniec.

Rozumiecie? Tego trzeba się uczyć! Metod!

– Gdzie widzisz ten Senat? Tę jawność? Te możliwości?

– Ja tylko uważam, że powinniśmy poświęcić szkolenie dyskusjom o metodach, nie o pryncypiach, o moralności, o tych tam bzdurach. W końcu któregoś dnia możemy stąd wyjść! Nie zapominajcie! Uwolnią nas, odbiją, wybuchnie wojna, różnie bywało... i możemy wyjść. Co wtedy?

Nikt go już nie słucha. Każdy mówi swoje, wykrzykuje swoje, powiewając kartką, notesem, zeszytem. Polifoniczny chór, Wariacje Goldbergowskie. Strażnicy zbliżają się wolno, stają za ich plecami. No, na dziś dość tego dobrego. Jazda do cel.

We własnej celi grób numerowany! – myśli Monika, kiedy drzwi zamykają się za nią. – We własnej celi grób numerowany! Ale nie jest przygnębiona, przeciwnie. Drży z podniecenia. Och, ona jeszcze do tego wróci! Ona ich przekona!

Albo, w ostateczności, sama to napisze.

*

Grób numerowany Moniki Weber.

Zapisywanie kartki po kartce. Bo właściwie czemu nie?

Wziąć jakąkolwiek sytuację pasującą i do nich.

W ramach szkolenia, oczywiście.

Spisać rzetelnie racje intelektualisty, czczącego Wielkich Męczenników. Lewaka, gardzącego przeszłością. Rzecznika zdrowego rozsądku. Pragmatyka władzy. (Przydałyby się także racje tej niepojętej, ogromnej masy, która jest przedmiotem, nie podmiotem polityki, tych od miłości, jedzenia, małżeństw, dzieci, spadków, ubrań, podatków, testamentów – ale tego od niej nie wymagajcie, to ponad jej siły, tego nie potrafi). I już mamy Wariacje Goldbergowskie. A teraz przełożyć je na coś prostszego. Na melodyjkę, dającą się wygrać jedną ręką.

– Równie dobrze można by chcieć sprowadzić świat do jednego hasła! – kpi Gabi.

– A czy się tego nie robi? Wszyscy to robią!

– Transkrypcja Wariacji Goldbergowskich, mówisz? – pyta zaciekawiony Klaus. – Poczekaj, co by ci tu podać, jaki temat muzyczny... Chwileczkę...

Czekają, pełni napięcia. I jak zwykle kończy się żartem.

– Och, mniejsza o to – oznajmia Klaus. – To w końcu równie dobrze może być zwykły walc.. Te czasy, o których mówisz, Monika... zdaje się, że to była epoka walca? No, więc walc.

Zaczyna go nucić. A im oczy wylazą na wierzch.

– Ach, **taki** walc!

– Czemu nie?

– To świetny pomysł, Klaus!

– Dlaczego świetny? – protestuje Gabi, wiecznie trzeźwa. – Czym my jesteśmy, komuną artystów, szykujących happening? W ogóle skończmy z tymi wygłupami!

Ale Monika już prosi Klause o zapisanie tego walca. Tej transkrypcji. A Klaus liniuje kartkę papieru i rysuje nuty. Pierwszy wkład w kolektywne dzieło sztuki, jak by nie było.

Stopniowo zaczynają się łamać i inni. Piszą po scenie, po fragmencie dialogu. Zdanie, dwa zdania. Oderwane takty ich własnych Wariacji Goldbergowskich. Monika składa to sobie potem w swoim grobie numerowanym. Skleja, przycina, szlifuje. Może kiedyś coś z tego będzie, mają czas.

Mają czas aż do śmierci. Oni, dożywotni.

To, że nie mają czasu, okazuje się nagle. Jak zwykle.

Czas zostaje ucięty. Gong, przyspieszenie, koniec.

*

Czekają pod drzwiami swoich cel. Z plikami papierów, z pierwszym zdaniem już drżącym na ustach. Licząc sekundy. Ale tym razem drzwi się nie otwierają.

Skasowano kontakty.

Powrót do ścisłej izolacji.

Jak można to znieść, jeśli się spróbowało czego innego, szczęścia?

Jakby wypompowano z celi powietrze. Zaraz się udusisz. Świadomość, że tak już do śmierci. To dusi. Tym razem nie ma wyboru.

Umrzeć? Czemu nie.

*

Na początku pomaga rutyna. Tyle razy się to robiło. Wiadomo, że kurcze żołądka miną. Że po kilkunastu dniach przyjdzie ośpienie. Że trzeba chodzić, gdy się czuje zawroty głowy. Nie słuchać strażników, nie dopuszczać do świadomości tego, co powiedzą. Nie wierzyć, że inni głodówkę przerwali. Przygotować się na prowokacyjne grypsy. Potem przyjdzie zimno, pamiętaj o tym. Okrywać się, rozgrzewać. W końcu rany i odleżyny, ślepotą, głuchota. Łatwiej to znieść, niż by się wydawało. Łatwiej niż na początku. Niż w tych pierwszych dniach, kiedy pozbawiają cię wody, żeby zmusić do picia osłodzonej herbaty, kiedy podsuwają pod nos tacę z jedzeniem, kiedy węch szaleje... im dalej, tym łatwiej. Dobrze jest znać dużo wierszy, potwarzać je sobie. Aż do końca. Pamięć trwa dłużej, niż by się wydawało. Dusza trwa dłużej, niż by się wydawało. Prawie tak długo, jak ciało.

Przez pewien czas można nawet pracować. Zanim zaczniesz się ślepnąć.

Trzeba pracować.

Ma to w swojej celi: kartki, karteluszek, strzępy papieru. Trzeba je ułożyć, podzielić na dwa akty, uporządkować. Napisać parę słów wstępu. Ich nazwiska jako autorów. Tytuł. I parę uzupełnień. Ile się da. Tak, żeby nawet nie patrzeć na jedzenie. Zająć się czym innym do tego stopnia, żeby tego wnoszenia jedzenia prawie nie zauważać.

14

Gdyby Heidi była o krok dalej. Gdyby nie ruszyła właśnie w stronę kabiny pasażerów. Albo gdyby zareagowała inaczej. Gdyby rzuciła się w stronę, z której dobiegło krótkie, urywane wycie Karla. Zgodnie z instynktem, zgodnie z pierwszym odruchem. Nic z tego. Cofnęła się natychmiast.

Jeden ruch w stronę Olafa. Już zareagował. Szybko sprawdza więzy obu pilotów – jedynych nie uspiionych (mogą być potrzebni). Odbezpiecza broń. Ostrożnie, bokiem, przesuwają się oboje ku kabynie pasażerów. Już tylko kotara, zasłaniająca przejście. Kto czai się za nią? Skradają się, bezszelestnie. Przynajmniej sądzą, że bezszelestnie. Heidi dwoma palcami lewej ręki delikatnie ujmuje fałdę, przesuwa ją o parę milimetrów... Nie widzi nikogo. To jeszcze nic nie znaczy. Ktoś może być z lewej, z prawej i naprzeciwko. Wszędzie. Jednak raczej z lewej lub z prawej, logicznie. Ktoś czai się przy przejściu, „za węglem”, by użyć przenośni, na pewno. Olaf i Heidi porozumiewają się wzrokiem. W tym samym momencie pociągają zasłonę ku środkowi. I strzelają na oślep: ona w prawo, on w lewo. On odrobinę później, miał gorsze dojsie. Na szczęście wróg był ze strony Heidi. Trafiała go. Słysząc krzyk (czy raczej zachłyśnięcie się, głośne zachłyśnięcie) i głuche osunięcie się czegoś ciężkiego: co za ryzyko, co za idiotyczne ryzyko podjęli, mniejsza o to. Wyskakują oboje – tym razem Heidi odrobinę później, zaplątała się w tę zasłonę.

Człowiek, który miał być ich rezerwowym atutem, ich zapasem na czarną godzinę, ich wtyczką wśród zakładników, dostał w brzuch.

– Jean-Pierre? – pyta Olaf. Głos mu się łamie: nie może uwierzyć. Jean-Pierre. Chłopaczek z francuskiego Maja. „Paskudny jesteś, tatusiu, nigdy nie przyjdiesz popatrzeć, Jak. manifestuję”. Cóż, wszyscy tak zaczęli – tak albo podobnie. Nawet Gitte, żelazna Gitte. Jak zaczynała? Pod plakatem

MAO
R
T

Tak, pod tym plakatem, z oczami kapiącymi tuszem i włosami w strąkach. A Jean-Pierre w trójkącie z Sylvie i Rolandem, w tym trio, które z czasem przeszło w duet. Zaraz, zaraz, a Sylvie? Heidi zostawia Jean-Pierre'a wijącego się na podłodze, i rzuca się tam, gdzie siedziała Sylvie z bachorem. W porządku, jest, siedzi, tuląc śpiącego bachora do siebie; patrzy na Heidi wielkimi, przerażonymi oczami.

– Ty też? – pyta Heidi, trzymając to ściervo na muszce. Sylvie trzęsie się cała.

– Ja nic nie zrobiłam – jęczy. – Ja nic. To on. Ja się stąd nie ruszyłam. To on.

– Oddaj broń.

Biedne żywe truchło. Nawet nie spróbowała jej użyć. A może nawet chciała, ale ręce odmówiły jej posłuszeństwa. Pistolet leży przy jej stopach, zsunął się z kolan. Dobrze chociaż, że nie był odbezpieczony.

Olaf jest już przy nich.

– Tamten nic nie robi – odpowiada na pytające spojrzenie Heidi. – Zdycha.

– Wyciągnij ją stąd.

Olaf chwytą Sylvie pod pachami i wywleka spomiędzy foteli. Nie była związana. Oczywiście, że nie! Ta linka założona luźno i dla picu... Popycha ją kolanem do przodu, ku miejscu, w którym zdycha tamten. Zdrajca. Bydlak. Jej mąż.

Sylvie sinieje na jego widok. Potem wybucha płaczem. Chciałaby rzucić się ku niemu. Nie pozwolą jej na to. Heidi mocno, złośliwie mocno wiąże jej ręce na plecach. Potem sadza ją obok Silke, tak, żeby widziała swego konającego mężusia. I niech gada.

– Kiedy zdradziliście?

Jest tak wściekła, że gotowa byłaby torturować. Rozumie teraz tych, którzy torturowali. Byle uzyskać wiadomości, byle je szybko uzyskać. Od kiedy jesteście glinami? I jakim cudem, jeżeli nimi jesteście, jakim cudem to się nam w ogóle udało? Porwanie? Czemu nie sypnęliście wcześniej?

– To nie tak – łka Sylvie. – Nikt nie zdradził. To tylko tak, w ostatniej chwili. On nagle zmienił zdanie. Chciał... chciał... Puśćcie mnie do niego!

– Gadaj.

– On umiera!

– Z taką raną długo się umiera. Gadaj.

Ta kretynka nie gada. Szok. Zaczyna wyć. Dać jej w twarz, szybko. Trochę przycichła. Coś na uspokojenie? Nie, wręcz przeciwnie. Mów, to mu pomożemy. Inaczej nie. Im dłużej będziesz zwlekać, tym mniej on ma szans. Słyszysz?

No, dotarło.

– On nie zdradził – bełkocze Sylvie. – On... on... on grał na dwa fronty. Doszli do niego. Więc się zgodził. Współ... współpra... O Boże!

– Mów.

– Ale podawał im tylko drobiazgi. Nic ważnego. Bo on sam nie wiedział, nie wiedział, po czyjej stronie... I ja też nie!

– O tej akcji uprzedzał?

– Przecież myśmy sami nie wiedzieli!

To prawda. Heidi zaczyna głupieć. Sami nie wiedzieli, fakt. Poproszono ich o przyjazd do Londynu, a potem do Monachium. Taki był plan: Londyn, potem Monachium. Mogli sądzić, że znów chodzi o gadanie, o badanie realiów, o to luksusowe „praktyczne szkolenie”. Ileż się już nalatali za darmo międzynarodowymi samolotami w ramach tego praktycznego szkolenia! Fakt, nie wiedzieli. Czyż inaczej braliby ze sobą tego bachora? Żeby go podrzucić jakiejś ciotce w Monachium? Och, idiotko, idiotko. To o bachora wszystko się rozbiło. Złękli się o

niego. Ta parka się złąkla. Ludzkie, a jakże. Skutek uboczny tego, że nic im się nie mówiło z góry: dobra zasada, ale w tym wypadku... Wszystko odbyło się już po starcie: broń, instrukcja, to już tym razem, teraz. Ślepi z podniecenia, nie wyciągnęli żadnych wniosków z tego, że para zabojadów wzięła ze sobą dzieciaka, głupki niczego nieświadome, tańczące swój balecik na wulkanie... Błąd! Co za błąd!

Przez sekundę – krócej – Heidi czuje nawet coś w rodzaju współczucia. Bo i czemu ten szczeniak miałby ryzykować, ginąć z powodu więźniów, którzy w końcu świdomie...

Opanuj się.

A jednak trzeba było zrobić akcję bezpośrednią. Na więzienie. Branie zakładników to świństwo. Samemu sobie się tego nie wybaczy, jakże więc liczyć na wybaczenie, na zrozumienie innych... Chociaż, oczywiście, wierzy się w zwycięstwo, nikt nie robi takich rzeczy bez wiary w zwycięstwo, w to, że wszyscy ocaleją, porywacze, zakładnicy, więźniowie. Gdyby się myślało inaczej... Nikt im nie życzył śmierci! Skądże!

– Oboje żyją – mówi Olaf. – I Linda, i Karl.

Heidi podnosi głowę. Ach, tak.

– Ogłuszeni i tyle. Karl ma brzydką ranę, ale powierzchowną. On nie próbował zabijać. Tylko wyeliminować nas wszystkich, po kolei, i poddać samolot. Linde związał, kretyn.

Olaf patrzy w dół, tam, gdzie wije się w bólach ten zdrajca, ten biedak, ten gracz na dwa fronty. On jest w najgorszym stanie. Ach, co tam, trudno.

– To nasza sprawa wewnętrzna – mówi.

Zazdrosny podziw Heidi.

Tym razem on jest chłodny i opanowany, nie ona.

Sylvie szlocha. Ale nie można jej odwiązać, nie można nic zrobić. Akcja jeszcze nie skończona.

Tam, na zewnątrz, nie wiedzą o niczym. To atut.

– Idę do cockpitu – mówi Heidi. – Pogadam z wieżą.

Olaf patrzy na zegarek.

– Mają już tylko godzinę i dwanaście minut. Do puszczenia samolotu z więźniami. Pamiętaj.

Heidi sprawdza.

– Już tylko godzinę i jedenaście.

I na uginających się nogach (ale z każdą chwilą pewniejsza, z każdym krokiem mniej błada) rusza do cockpitu.

15

Otwarcie drzwi celi. Nagle, nie w porę.

Kto może wyjść, wychodzi. Kto nie może, zostaje wyniesiony.

Szybko. Jak najszybciej.

Nic nie rozumieją. Dopiero przed budynkiem na więziennym podwórzu, następuje pierwsza reakcja: świeże powietrze, wiatr! To jest jak uderzenie. Ból w napełniających się tym nagle płucach, ból noworodka, jest tak silny, że Monika Weber mdleje, a inni opadają bezwładnie na ręce strażników. Po latach zamknięcia, po tylu dniach głodówki! Potem wnętrze pancernego samochodu, jazda, szarpnięcia, pęd. I znów powietrze, znów wiatr. Lotnisko. Kajdany. Jakiś pokój o ścianach pomalowanych na stalowy kolor, pokój bez okien. Krzesła. Tu mają czekać. Na co?

Raptem zjawiają się promieniejący adwokaci: Rolf Sperling, dwóch innych. Wiją się za drżącą szybą powietrza, krzyczą, gestykują, tłumaczą. Władze się ugięły. Godzinę temu, kiedy porwano trzeci samolot. Nieważne, szczegóły opowie się potem. Ugięły się władze

niemieckie i włoskie. Zaraz lećcie do Rzymu. Tam weźmie się drugą grupę więźniów z listy przedstawionej przez porywaczy, Włochów, i odlot do Algieru. Stamtąd... Zwycięstwo! Zwycięstwo! Niedługo będziecie wolni!

– Mówiłem – wykrzykuje Sperling. – Zawsze wam to mówiłem!

Do pokoju wpada facet z mikrofonem, wjeżdżają kamery telewizyjne, zapalają się reflektory. Między więźniami biegają pielęgniarki, zawijają im rękawy, robią zastrzyki dożylnie: glukoza, mało czasu, a trzeba was, kochani, postawić na nogi; przytykają im do ust kartonowe kubeczki z mlekiem, po głodówce nie ma jak mleko; szybciej, szybciej. Telewizja filmuje. Reporterzy proszą o parę słów. Przedstawcie się po kolei i powiedzcie, że was puszczono. Powiedzcie, że jesteście na lotnisku. To pójdzie przez radio, przez telewizję, wszystkimi kanałami. Dotrze do porywaczy. Rolf Sperling zapewnia, że tyle mogą zrobić. Tamci nie będą tak głupi, żeby utożsamić komunikat, że są na lotnisku, z wieścią o ich uwolnieniu. Ale tylko dwóch ma siłę mówić. Dobrze, Sperling wypowie się w imieniu reszty. No, gotowe. Teraz trzeba czekać.

Czekają. Nad ich głowami przetacza się cała ta burza, polityka. Szefowie państw rozmawiają przez gorące linie. Nijacy panowie w wymiętych garniturach wymieniają nic nie znaczące zdania. Komuś podają hasło. Ktoś naciska dzwonek, ktoś zwalnia blokadę, ktoś zjeżdża windą w dół, pod ziemię. Oni czekają. Czekają. Czekają.

Wreszcie prowadzi się ich, niesie do samolotu.

Ktoś już tam jest. Komedial! Teatr!

Biskup w szatach pontyfikalnych. Pastor. I jakiś mikrus w okularach, podobno minister. Gwaranci. Dobrowolni zakładnicy. Jeżeli polecą z nami, to znaczy...

Trudno w to wierzyć! Nie ciesz się jeszcze. Nie cieszcie się, durnie. Do końca niczego nie wiadomo, do końca.

16

Heidi i Olaf już wiedzą. Stało się. Z opóźnieniem, ale się stało.

Porwano trzeci samolot. Niemiecki, wewnętrzna linia. Najpewniejsza część akcji. Porywaczami byli pilot i drugi pilot, na liniach zagranicznych nie udało się upchnąć ludzi tak wysoko, ale na krajowych... Rzecz prawie bez ryzyka. Na pewniaka. Pilot zmienia kurs. Opuszcza granice kraju. Podaje komunikat. Jednocześnie miała ruszyć ostatecznie akcja propagandowa. Telefony do redakcji i agencji prasowych, listy do redakcji i agencji prasowych zostawiane na ladach pocztowych, porzucane na ulicy, część na pewno dotrze do miejsc przeznaczenia. To tylko początek. O północy mija termin ultimatum. Jeżeli nie zostanie dotrzymany – wybuchną detonatory pod torami kolejowymi i w gmachach publicznych, w koszarach i w fabrykach. Wielka eskalacja. Jeżeli natomiast żądania zostaną spełnione – pokój społeczny. Macie wszystkie szansę. Możecie łapać wypuszczonych na nowo. Możecie rzucić przeciw nim cały aparat ścigania. Jesteśmy na czysto, gra zaczyna się od początku.

Wszystko według planu. Może uwierzą.

Wielka eskalacja! Pić, oczywiście. Mają wszystkiego dwa podkopy i dwa detonatory, w punktach bez specjalnego znaczenia. Ale jeżeli uwierzą, jeżeli się ugną...

Muszą uwierzyć!

Porwani zaczynają się budzić. I nie uda się już uspić ich na nowo.

Patrzą przerażonymi oczami. Pytają, krzyczą. Ktoś wymiotuje.

Tak mogło być od początku. To chytry pomysł, z tym środkiem usypiającym. Na tak długo zapewnił im spokój!

Heidi chodzi między związanymi, uspokaja. Są zakładnikami. Za więźniów politycznych. Wymiana niedługo. Najgorszy okres przespali. Siedźcie cicho, czekajcie. Godzina – dwie i będziecie wolni.

Olaf gada z wieżą kontrolną. Więźniowie są w drodze, tak, termin ultimatum minął, ale więźniowie wylecieli już z Rzymu, słyszał taśmę z ich głosami, zna nazwiska gwarantów, i naprawdę w ciągu godziny... – Znamy te sztuczki! – W ciągu godziny, przysięgamy! Potrwało, zanim udało się wszystkich przekonać, zorganizować przerzut. Przecież macie chyba o tym jakieś pojęcie! Ale...

Jest noc. Na ciemnej płycie lotniska pojawiają się ludzie. Pojazdy. Reflektory. To groźne. Ale może też znaczyć tylko tyle, że przygotowują się do lądowania tamtego samolotu. Tamtego, z więźniami. I oby to właśnie znaczyło. Oby to właśnie, bo jeżeli nie – klęska. Klęska. Oby się to wreszcie stało. Bo długo już nie wytrzymają. Padają z nóg. Z trudem utrzymują powieki nad zaognionymi oczami. Ile to już trwa?

Ile to trwa, ta bezsenność?

Heidi przysiadła przy tym bachorze, dziecku pary zdrajców, przy tym biednym bachorze. Jego ojciec dogorywa. Matka patrzy na to, związana. Nasza sprawa wewnętrzna, myśli gniewnie Heidi, nasza sprawa wewnętrzna! Biedny bachor. Głaszcze go po głowie. Maman, papa? Będą tu niedługo. Psiakrew, niedługo. Teraz już naprawdę wszyscy gonią resztkami sił. Jak to udźwignąć?

Gdyby nie byli sami. Ona i Olaf, tylko ona i Olaf, jedno tu, drugie w cockpicie, na zmianę. Tych dwoje, Linda i Karl, nie zda się teraz na nic. Sami, sami. Co oni tam robią, u diabła? Ci na płycie lotniska?

Uginające się, osłabłe nogi. Zostawia bachora tej pary zdrajców, płaczącego głośno, może należałoby go zakneblować, ale co tam, to już niedługo. Sprawdza więzy siedzących w pobliżu. I do cockpitu, do cockpitu. Co przekazano Olafowi?

Olaf zdejmuje właśnie słuchawki. Odwraca się do niej. Usta ma szeroko otwarte, łapie nimi powietrze jak ryba. Czy i ona tak oddycha? Duszno tu. Gorąco. Nie do wytrzymania. Och, mniejsza o to, mniejsza o to.

– I jak? – pyta.

Olaf patrzy na zegarek.

– Przekonamy się w ciągu godziny. Można coś zjeść?

– Chce ci się jeść? – pyta Heidi, zdumiona. Ale idzie, idzie czym prędzej, na szczęście zostało jeszcze dużo tacek z zarciem. Podczas tego lotu nie karmiono pasażerów.

Kiedy sięga do szafki, zapala się nagle oślepiające światło. Huk, ostry, dławiący zapach, koniec. Więc jednak. Zdrada, jeszcze raz zdrada. I klęska. W tej jednej chwili, w ostatniej chwili, czuje się prawie ulgę.

17

Rzym został w dole, Rzym został za nimi. Niedługo znajdą się u celu. Władza ustąpiła! Władza się ugięła! Władza otwarła zaciśniętą pięść i wypuściła buntowników. Dziewiętnaście osób, samą górę! Zwycięstwo. Czasem i to się zdarza. Jak by na to nie patrzeć, zwycięstwo.

Zaczynają przychodzić do siebie. Widzą biskupa, pastora, dwóch ministrów – niemieckiego i włoskiego, widzą działacza włoskiej chadecji – bardzo dostojnych i trochę bladych. Gwarranta. Żywa garranta. Gdyby coś się stało, zginą.

Monika siedzi obok Klausa, tego melomana. Nie odzywa się do niego, ani on do niej: są zbyt słabi i zbyt oszołomieni. Jeszcze trochę. Dajcie nam trochę czasu! Wolności nie czuje się od razu. Tak jak z kulą, która przebiła płuca. Nie czujesz tego, dopóki nie zaczerpniesz powietrza. Dopóki nie odetchniesz.

Teraz patrzą na siebie. Nic jeszcze nie mówią, ale patrzą, już patrzą. I uśmiechają się.

Przez tyle trudności trzeba jeszcze przejść. Przez tyle niebezpieczeństw. Ale potem...

Ach, potem oczywiście trzeba będzie zacząć wszystko od nowa. To samo, co ich wpełnęło do więzienia, to samo, za co dostali dożywocie. Jakże by inaczej? Nie myśl o tym, nie teraz. Najpierw wolność. Spróbować jej chociażby, przez jeden dzień spróbować wolności!

Samolot jest ciasny jak cela. Więc myśli się o celi. Cela trwa, długo jeszcze będzie trwać – jak druga rzeczywistość, coraz bledsza, coraz niklejsza. Monika widzi siebie w celi. Słyszy tę swoją płytę, której nie zabrała. Żałuje, że nie zabrała. Kto wie, czy łatwo będzie zdobyć ją ponownie, tę starą płytę. Głupia myśl. Trudno o głupszą. A jednak nie ma innej myśli, jest tylko ta jedna. Żółte ściany celi. Łóżko, ręce splecione pod głową. *Ils ne t'ont jamais vue – Ils ne te verront plus – Liberté! toi, le rêve des hommes!* I werble. Ten czysty głos. I werble. I znowu...

Samolot jest pełen otępiąłych, półprzytomnych kukieł. Tym nie trzeba było dawać narkotyków! Wygłodzeni i wolni. Bezsilni i wolni. Och, przyjdą do siebie. Ofiarujcie im tylko trochę czasu. Tylko trochę czasu.

W ognie samolotu tyka cicho bomba zegarowa. Jeszcze trzy minuty.

18

Książę – wnuk taksówkarza, syn sklepikarza, MARKS, ENGELS, LENIN, TROCKI, ROSA, bum bum! à bas! long live! down! – ten sam Książę, który rozmawiał z Krzysztofem Paliwodą w czerwono oświetlonej piwnicy, wypełnionej muzyką południowoamerykańską, siedzi w mieszkaniu Conchity Estravados.

– Biedni kretyni! – mówi Książę do Conchity. – Biedni, nieszczęśni kretyni! Tak się dać nabrać! Na taką prowokację! Na plan, przygotowywany latami przez kilka kontrwywiadów! Jak pozbyć się za jednym zamachem europejskiej elity wywrotowców? A tamci też pracowali latami. Nad swoim wielkim planem, swoim! Nie wiedząc, że każdy ich krok...

– Jaki to miało kryptonim?

Ale Książę nie daje się złapać. Patrzy na siedzącą po turecku na tapczanie, trzymającą się za kostki u nóg Conchitę – i chichoce.

– Zapomniałaś o lampie, moja droga! Takich pytań nie zadaje się bez pewnych akcesoriów. Lampa, świecąca prosto w oczy, przypiekanie stop...

Śmieją się oboje. Conchita poprawia szlafrok, przykrywa nim gołe udo. Nie, jednak nie zgodzi się z Księciem tak łatwo. Sukces władz? Eksterminacja elity „politycznych” bez naruszenia pocziwej fasady tej ślicznie pomalowanej ruiny, Europy? Zbiorowe wykonanie – raz jeszcze – kary śmierci, tak pochopnie wyrzuconej z kodeksów, tak lekkomyślnie potępionej? Nonsens! Jaki to sukces? Samolot, wiozący więźniów...

– I zakładników, dobrowolnych zakładników – dodaje Książę. – Tych tam biskupów. To było chytne.

– ... i zakładników... rozbija się nad Morzem Śródziemnym. Co za pech! Co za nieszczęście! W tej sytuacji zrozpaczone i przerażone władze decydują się na ryzyko i na użycie grup specjalnych dla odbicia porwanych pasażerów. Bo pasażerowie zginęliby, na pewno by zginęli, gdyby podano porywaczom tę wiadomość. Nie uwierzyliby w przypadek. I krew niewinnych...

– No, jasne. Coś ci w tym nie gra? Całkiem dobry plan! Gdyby nie ten drobiazg, że akcje komandosów odbyły się przed katastrofą... Ot, drobna niezgodność w czasie! Szkoda też, że podczas akcji w Algierze cały ten porwany samolot z niewinnymi pasażerami eksplodował. Za dużo efektów pirotechnicznych. Ale sam plan był dobry.

– Dobry? Bardziej śmierdzącej sprawy...
– Co parę lat jest taka śmierdząca sprawa. I zaraz się o niej zapomina.
– Tak czy owak – mówi Conchita, przeczesując palcami włosy – to wszystko śmierdzi jak diabli. Już się duszę od tego smrodu. Chciałabym...

Przymyka oczy; nie kończy. Ale Księżę zgaduje natychmiast, co chciała powiedzieć, błędnie zgaduje, taki już jest.

– Chciałabyś żyć z dala od tego wszystkiego. Na wsi, wśród drzew. Pić mleko prosto od krowy, jeść jabłka z własnego sadu. Nie czytać gazet. Nocami słyszeć szczekanie psów, o świcie pianie koguta. Patrzyć na gwiazdy, przewidywać pogodę po kierunku dymu z komina i po kolorze księżycy...

Conchita śmieje się cicho, zaskoczona.

– Jak ty mnie znasz!

– Siebie znam. A zresztą, to nietrudno zgadnąć. Sad pełen jabłek, gwiazdy i pianie koguta. Brałaś w tym udział? W organizacji tej afery?

– Teraz ty zapomniałeś o lampie. I o elektrowstrząsach. Dla kogo pracujesz?

– A ty?

Znowu się śmieją. Dom pod gwiazdami już został zapomniany. Wróciła gra, wieczna gra.

– Ale wiedziałaś, że się szykuje, prawda? I kto tym kręci?

– Sprzedam ci jedno nazwisko. Sperling.

– Sprzedasz? Jakbym nie wiedział, kto i kiedy kupił Sperlinga! Mogę ci podać datę!

– Och, chciałam ci to dać za darmo. Na przynętę. No, i jak, Księżę? Dla kogo pracujesz? Dla tych, co Sperling? Czy dla kogo innego?

Księżę nie odpowiada na jej uśmiech.

– To się robi, ale nie mówi się o tym. – Kładzie rękę na obnażonym kolanie Conchity. – Ça se fait, mais ca ne se dit pas.

CZĘŚĆ SZÓSTA

KONTRA

1

Komisarz policji z trzaskiem otworzył okno, wychylił się do połowy ciała i krzyknął triumfalnie w dwudziesty wiek:

– Bonnot załatwiony!

Policjanci obstawiający ulicę zerwali czapki z głów i rzucili je w powietrze.

Anarchista Bonnot leżał skulony, z rewolwerem w dłoni, z dziurą w głowie.

Wyciągnąć ich. Szybciej. Z małego, hotelowego pokoiku, trzasnąwszy drzwiami, które uderzają o ścianę, odskakują i zamierają rozwarłe; ciemność wybucha z nich, toczy się wielkimi kłębami, korytarzem, po schodach, na ulicę. Liebknechta już wywlekli; teraz ją. Upadła; ciągną ją za ręce, za głowę, szybciej. Noga zahaczyła o coś, w czymś się zakleszczyła, zsunięty z niej pantofel został na korytarzu, kopnięty, odrzucony pod ścianę; kobietę w jednym pantoflu wloką dalej, potem stawiają, popychają; stąpa niepewnie, kulejąc, macając grunt stopą w samej pończosze. Na opuszczonym nawet przez krzyk korytarzu leży przewrócony pantofel na wysokim obcasie, leży tam jeszcze wtedy, gdy głowa wywleczonej zmieniła się już w krwawą miazgę, pogruhotana kolbami; potem dopiero ktoś do niego podejdzie, podniesie, rozejrzy się za drugim i, nie znalazłszy, rzuci go, zniechęcony, do kosza. Rewolucja niemiecka skończona.

Komisarz policji wciąż krzyczy z otwartego przed sekundą okna w dwudziesty wiek. Załatwiliśmy Bonnota, Bonnot nie istnieje!

Dziecko, które urodziło się podczas tego krzyku, dawno już osiwało, wyłysiało, straciło zęby, szykuje się na śmierć. Dziecko, które urodziło się w chwili, gdy kopnięty pantofel na wysokim obcasie odbijał się od ściany hotelowego korytarza, ma wnuki.

Schwyтали ją. Ciągną przez tłum czekających reporterów, w błyski fleszów, w burzę z błyskawicami. Jeden z policjantów unosi jej spódnicę, drugi wpycha kolano między uda, dwaj inni prawie wyłamując jej szczęki odsłaniają twarz, podsuwają pod obiektywy i flesze: macie ją, waszą drugą Rose! Największe polowanie na człowieka dobiegło końca.

Jakiś pokój. Od progu uderzenia, jedno po drugim, na odlew. Krzyki. Ktoś biegnie do niej z maską nasyconą eterem. Cienkie, przenikliwe wycie. Mokry dotyk, duszący zapach. Przebudzenie. Leży nago, w górze błyskają flesze. – To straszne – mówi pod drzwiami dziennikarz do policjanta. – Kryminalnych tak nie traktujecie. To już przesada.

– Przesada? – woła policjant. – Z ludźmi postępujemy jak z ludźmi, ale ze świniami jak ze świniami. A wie pan, co się robi ze swinią. Szlachtuje się ją!

Pokazuje to gestem, zadowolony, spocony, drżący z podniecenia. Otwarte przed chwilą okno jeszcze drży, jeszcze nie zamarło. Cichy brzęk szyb w powietrzu.

– Załatwiony!!!

Nigdy naprawdę nie wierzyłeś, że to może spotkać i ciebie. A właściwie czemu nie?

Nagły huk w nocy, huk wyrrywający ze snu. Krzysztof Paliwoda podrywa się, półprzytomny. Jest ciemno. Nie wie, co się stało. Czyjeś szybkie, ciężkie kroki, szarpnięcie klamki. Obcy ludzie w pokoju, ręka chwytająca obudzonego za ramię, ściągnająca go z łóżka razem z kołdrą, ciskająca na podłogę. Krzyk matki. Dlaczego to nie miałyby się zdarzyć? Dlaczego nie tobie?

Zapalono światło.

Nic już nie będzie tak jak przedtem. Nigdy.

Stoją nad tobą. Te ich szeroko rozstawione nogi, te ciężkie buciory. Ta ciemność w wyceLOWANYCH w ciebie lufach. Drgające wargi, odsłonięte zęby. Ten ich krzyk bez spółgłosek. Uuu-ooo-eee. Uuu-ooo-aaa. Zdarta klisza! Trudno to traktować poważnie, zbyt wiele razy się zdarzyło. Ale po raz pierwszy – tobie! Po raz pierwszy tobie!

Wieczorem wyłączyłeś telewizor. Wziąłeś prysznic. Czytałeś w łóżku Gardnera. Spokojny, sobotni wieczór. Drugi dzień Kongresu Kultury Polskiej. Plik nie przeczytanych jeszcze czasopism czekający na stole. Przeczytasz jutro. Na razie przejrzałeś tylko gdański „Czas”, zamieścili tam robotnicze wiersze z grudnia 1970, sprzed jedenastu lat, dokładnie jedenastu, to znów jest grudzień, trzynastego grudnia, feralna data, tygodniowa prasa wyszła z tą datą, trzynastego. Na zdjęciu ten wielki pochód sprzed jedenastu lat, z zabitym Jankiem Wiśniewskim niesionym na wyrwanych z futryny drzwiach, z zastrzelonym przez milicję Jankiem Wiśniewskim. Pod zdjęciem – wiersze z tamtej, przed-przed-ostatniej rewolty. Teraz wolno je drukować. „Lecz gdy zawołali: chleba daj nam Polsko / Przysłała im władza milicję i wojsko. / Zaciśnięte pięści wzniesli ponad głowy / Stoczniovec i doker żądali rozmowy. / Zamiast odpowiedzi do tłumu się strzela. / Umiera stoczniovec na rękach dokera”. To już nie robi wrażenia, to historia. Jesteśmy wolni. Głodni, ale wolni. Biedni, ale wolni. W całonocnych kolejkach, w ciemnych i zimnych mieszkaniach, bez chleba, którego znów „nie dowieźli”, ale wolni, wolni, wolni! Już **prawie** wolni. W ciągu szesnastu miesięcy, które upłynęły od ostatniej rewolty, pierwszej zwycięskiej, powstała potężna organizacja: razem z wsią dziesięć milionów ludzi! Skądże: dwanaście! trzynaście! W lutym wolne wybory. Władza może w nich liczyć na jeden procent głosów, nie więcej. Sama to badała, sprawdzała. Gdyby nie sąsiedzi, nie ich wojsko na granicy, ich wojsko tutaj, ich groźby, dawno by jej już nie było, tej władzy. Cóż, poczekamy do lutego. Sejm nie dopuści do przyznania rządowi nadzwyczajnych uprawnień, to jest pewne. A przez cały ten czas ani kropli krwi, nie przelaliśmy ani kropli krwi! Świat na nas patrzy. Nie pomoże, ale patrzy, patrzy. **Tamten** grudzień ze strzałami, czołgami, z trupami na ulicach, to historia. Czyta się o tym bez przejęcia. Tak dawno! „Kiedy strajkujący w pochodach ruszyli / pałki, gazy, czołgi przeciw nim rzucili / i krew się polala, chwala władzy, chwala...” Historia! Dziś obraduje Komisja Krajowa, **nasza** Komisja Krajowa. Nie, Sejm nie uchwali. Wolność, już niedługo wolność. Chleb także. Bo, kiedy odblokujemy wreszcie te pękające od ukrywanej przez rząd żywności magazyny... Rząd topi kawę, zakupuje konserwy, pali stosy jedzenia, zwała je na wysypiskach śmieci, co chwila ujawniają się wykonawcy tych rozkazów, co chwila wybucha skandal, trafia do **prawie wolnej** prasy, ale nikt jeszcze nie został ukarany, a rząd robi swoje: patrzcie, do czego doprowadziła was wolność, do głodu, kobiety z dziećmi w marszach głodowych, przeciwko rządowi, ale już niedługo – tak myśli rząd – już niedługo wściekłość głodnych zwróci się przeciw rebeliantom; głupcy, co za głupcy. Wkrótce odblokujemy całe to żarcie, wkrótce przyjdzie pomoc z całego świata, a my ją przejmujemy, nie pozwolimy spalić, utopić, zakopać, chleb i wolność przyjdą jednocześnie. Szesnaście miesięcy od tamtej bramy, całej w kwiatach! Szesnaście miesięcy męki. Szesnaście miesięcy triumfu. Już wkrótce. Jutro niedziela. Przeczytasz tygodniki. Obej-

rzysz telewizję. Skończysz artykuł dla związkowej gazety. Może nie wyłączą światła. Z tą myślą zasypiasz.

I budzi cię ten huk. Wyważanie drzwi. Czyżby dzwonili, a ty ich nie słyszałeś? Ależ skąd, niemożliwe. Wyważyli drzwi od razu, nie bawiąc się w dzwonienie, w pukanie. Wpadli tu z wycelowaną bronią. Ach, nie, to niemożliwe. To film, nie rzeczywistość. Ciągłe nie wierzysz. Paliwoda Krzysztof? Syn Piotra? Jazda.

W piżamie przy mundurowych. Przy ich ciepłych kurtkach, ciepłych czapkach, wysokich butach. Przy ich pasach i pistoletach. Jak śmieszny, goły robak przy skorpionach. Trzech mundurowych, jeden cywil. No, zbieraj się, prędzej! Nie pozwalają się ubrać. Kozuch na piżamę, to wystarczy. I buty na gołe nogi, nie wolno ci zawiązać sznurowadeł, depczesz po nich. Ręce. Zatrząskują na nich kajdanki, oszaleli. Czy nie nadmiar efektów? Matka krzyczy. Pyta, jakim prawem. Na jakiej podstawie. Akurat, raczą jej odpowiedzieć! A jednak. Cywil rzuca mimochodem, przez zęby: „Od północy obowiązuje w Polsce stan wojenny”. I jazda.

Odwracasz się jeszcze na schodach. Przytomniejąc nagle, wołasz do matki, stojącej w drzwiach, płaczącej: „Mamo, nie denerwuj się! To się wyjaśni. Ja wrócę! Zawiadam...” – i dostajesz kolbą w plecy tak, że staczasz się z paru stopni, nie łapią cię, nie możesz się podnieść w tych kajdanach. Za wszystkimi drzwiami słychać szepty, ruchy, popłoch sąsiadów. „Akurat, wyjaśni się!” – woła cywil. „Zawiadam! Nikogo już pani nie zawiadomi!” I podnosi go szarpnięciem za kark, jak kota. Jazda.

Już na ulicy. Czujesz mróz, przelotnie, jak niewiele znaczącą informację. Ile stopni? Chyba dwadzieścia! Goła głowa, gołe ręce, nogi we fruujących na lodowatym wietrze nogawkach piżamy, stopy w nie zawiązanych półbutach, skute przeguby. Idiota, zrobili z ciebie idiotę. Nagle parcie na mocz. Tego tylko brakowało! Ludzie wychylają się z ciemnych okien, tłoczą się na ciemnych balkonach. Tylko jedno okno jest oświetlone, twoje. Otwarte z trzaskiem. Brzęk szyby. „Bóg! Niech cię Bóg strzeże!” I znak krzyża w powietrzu. Matka. Coś podobnego, matka. Ta ateistka. Nad nim, obojętnym. Znak krzyża i to wołanie o Bogu, do Boga. Śnieg po kolana. Został w nim lewy but, wyciągnąłeś ze śniegowej przyzmy bosą stopę, krzyczysz. Śmiech. Włazić tu. Szybciej. Jazda.

W ostatniej chwili wpada za tobą twój własny but, oblepiony śniegiem. Podnieśli go jednak. Zatrzaśnięte drzwiczki. Dwóch mundurowych po obu stronach. Chybocząc się na siedzeniu, bosą stopą łowisz swój but, obracasz go, próbując wsunąć nogę do środka, zajęcie na całą drogę. Nie pomogą ci przecież.

Wysiadać. Ostrożnie, robisz to jak najostrożniej. Żeby nie pogubić butów. Żeby się nie przewrócić. Stąpasz jak żuraw, kurcząc i rozkurczając palce u nóg. To jakieś wielkie podwórce. Prostopadłościanny identycznych bloków i mur dokoła. Koszary? Pałą się ostre światła, widać w nich zwały szarego śniegu i niezdarnie poruszające się ludzkie sylwetki. Unoszą ręce, kiedy się do nich zbliżasz, pozdrawiają cię brzęczeniem kajdan. Co za spotkanie.

Tu masz zostać.

Zostawili cię, odeszli.

Jak długo tu jesteś? Godzinę, dwie? Miesiąc? Rok?

Ciągłe jest noc. Ciągłe świecą gwiazdy. Ciągłe ta sama noc! Jeszcze nie zaczęło świtać!

Wciąż zwożą nowych. Zajeżdżają tymi klatkami na kołach, wyrzucają ich na śnieg, skutych i nie skutych. Zaczyna brakować miejsca. Tłoczą się jak na wiecu. Och, wałnąć by w nich wszystkich salwą z tych okien, z tych okien w czerwonym murze, ze wszystkich stron, a potem zgarnąć tylko poszarpane mięso, szmaty, czerwony śnieg – i po wszystkim. Takie to proste. Na wszystkich takich podwórzach i placach, jak kraj długi i szeroki, na komendę, w tej samej chwili: paf! I święty spokój. I triumfalna mowa zwycięzcy na tle sztandaru. I w jakiejś sali, wśród marmurów, pod kryształowymi żyrandolami, dobrze odżywieni panowie w ciemnych garniturach, w białych koszulach, w starannie zawiązanych krawatach, podniosą się na komendę z wyścielanych szkarłatnym aksamitem foteli, żeby zaśpiewać chórem: Wyklęty

powstań ludu ziemi, powstańcie, których dręczy głód! Och, będą to śpiewać jeszcze setki razy, tysiące razy, ten swój hymn: hymn sytych, hymn władców! Tak samo jak naprawdę wyklęci, naprawdę głodni, daleko stąd, obłąkani, oszukani głupcy, świat wyszedł z wiązań, dlatego nie uduśiłem tej chilijskiej idiotki? A kolor jego jest czerwony, bo na nim robotników krew! O, tak. Wciąż się do niego modlą, wyklęci i głodni głupcy, wdychają zapach krwi pomordowanych i oczy im błyszczą ze szczęścia, Estravadosa też zabito na tle tej szmaty unurzanej we krwi, szaleńcy, wszędzie szaleńcy! Sam sobie jestem winien. W co ja wierzyłem, komu współczułem? Biedacy, słusznie im współczułem. Człowieku, co ty robisz, nie wolno płakać na takim zimnie, łzy zamarzną, nie wolno! Już dosyć, spokój. Krzysztof drepcze w kółko z pochyloną, wtuloną w ramiona głową. Już dobrze, trzymaj się. Jeżeli tylko przeżyjemy...

– Dokąd nas stąd zawiozą, jak myślicie?

– Na stadion! – odpowiada pokręcony przez artretyzm stary onkolog; i po co go brali?

– Jak w Chile, na stadion! Wcale nie żartuję, najlepsze miejsce.

– A nie na Sybir?

– Niech się pan nie śmieje, panie profesorze. Sybir nie taki zły. Mój dziadek...

– Ach, wtedy to był inny Sybir!

– Zimą to podobno pół biedy. Ale latem, te muszki...

Ktoś kaszle. „Infekcja” – mówi starszek. – „Wirus syberyjski! Będziemy tu mieli epidemię”. Śmieją się. Tupią. „W każdym razie coś muszą z nami zrobić. Nie mogą nas tu **wiecznie** trzymać”. Znow śmiech. „Nie mogą? Naprawdę?”

Już dzień: od kiedy? Wyniesiono im kocioł zimnej, zbożowej kawy. I chleb. Nareszcie rozkuwają tych, których przywieziono w kajdankach: nie będą ich przecież karmić jak niemowlęta! Pierwsze, co się robi: sięgnięcie do rozporzków, do płonących z bólu pod pancerzami zamarznętego moczu genitaliów. Najgorsze, to jest najgorsze. Bo nie mogli inaczej, w tych żelastwach. Spodnie od piżamy przemoczone – na takim mrozie! – przemoczone i zamarznęte, sztywne od lodu. Wspaniałe. Takie poniżenie. To oni umieją: poniżać. A ci, którzy wytrzymali do tej pory, nie mogą się odlać, już nie mogą. O tym nie pisano. Nigdzie. Ten mróz, i wszystko. Nie mogą.

Bez snu, na stojąco. Lepiej nie siadać na śniegu. Więc stoją, chodzą.

Kogo nie ma? Z biegiem godzin zaczyna się to stawać coraz ważniejsze: kogo nie ma? Kogo nie złapali? Ach, nie bądźcie dziećmi. Czy to jedyne miejsce? Jak kraj długi i szeroki, wszędzie jest to samo. Na pewno.

Krzysztof drepcze w kółko z pochyloną, wtuloną w ramiona głową. Bola go przeguby, pali całe ciało. Zastanawia się przelotnie, czemu nie zabrano go najpierw na komisariat. Ci, z którymi rozmawiał, byli najpierw w komisariacie, na Wilczej, dwa kroki od jego domu, tam ułatwiano wstępne formalności. Cały KOR tam zwożono, sztuka po sztuce. Och, ci trzymali się twardo. Kiedy zjawiał się ktoś nowy, podnosili ręce i wygrywali mu kajdankami muzyczkę powitalną. Mazur kajdaniarski! Słowo daję, widziałem to... „A gdzie oni teraz są? – Kto to może wiedzieć! – Myśli pan, że ich już... – Cicho, do diabła! Po co o tym mówić?” Krzysztof mija rozmawiających, przytupuje. Co za wiatr! „Gdyby nie wiatr, nie czułoby się tak mrozu. Pamięta pan, panie Andrzeju, u Dostojewskiego tego chłopca z zamarznąłą brodą?” Krzysztof drepcze w kółko, pociera jedną nogę o drugą, jak dobrze mieć wreszcie zawiązane buty: trudno uwierzyć, z czego człowiek potrafi się cieszyć, to niesłychane! Myśleć o czymś. O czym ma myśleć? Mechanicznie, coś mechanicznego. Jakie to wiersze wczoraj czytał? Wczoraj! O Jezusie, wczoraj! W innej epoce. Co jeszcze pamięta? Jak to szło? „Nie strzelać! / Ja chcę żyć! / Ja o chleb. / O chleb? / Kulę w łeb / Białoogwardyjski sukinsyn. / Kolbą w krzyż / Pałą w łeb / Butem w krok / W oczach mrok / W ustach krew / Krwawy strzep...” Nie wie, co dalej. I tak dużo pamięta. Ciekawe, co jeszcze było w tych pismach, których nie zdążył przeczytać –

ostatnich wolnych! **Prawie** wolnych. Kto by pomyślał. Jeszcze wczoraj żyłeś w raju, człowieku, i nie miałeś o tym pojęcia. O, znów kogoś wiozą.

Wszyscy mówią to samo. Wszyscy, których nie wzięli w nocy.

– Wstałem koło dziewiątej i włączyłem telewizor. Nie było programu, a powinien być, pomyślałem, że jakaś awaria, włączyłem radio, a tam...

A tam – co? Pytają o to tych spóźnionych, tych z dziennego grzybobrań. Co w radio? Ach, nic. Generał-premier. Gada jakieś bzdury, te same, co zawsze, więc myślę, że to jakiś przegląd wydarzeń tygodnia, że powtarzają jego ostatnią mowę; przestawiam na drugi program, a drugiego nie ma. Albo: włączam radio, a tam hymn, słucham, co dalej, i słyszę, że nadadzą teraz komunikat Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, „która ukonstytuowała się dzisiejszej nocy”, i jakby we mnie grom strzelił. Pędzę do telefonu, a telefony wyłączone. Albo: wsiadam do samochodu i jadę na Kongres Kultury, a tam drzwi zamknięte, pod drzwiami gromada delegatów, i mówią o tym, kogo wzięli w nocy. Latam po mieście, ostrzegam ludzi, wracam do domu, i proszę: już są po mnie. Albo nawet: budzą mnie w nocy jakieś krzyki, podchodzę do okna i widzę, że kogoś wywlekają z domu, widzę budę milicyjną, ale czy mogłem się domyślić, co to było? Postąłem i wróciłem do łóżka, a rano... – Ależ to mnie pan musiał widzieć, panie dziekanie, mnie! O której to było? Tuż przed trzecią. – Tuż przed trzecią mnie zabrali! I tak dalej, i tak dalej.

Junta wydała obwieszczenie, mówią nowi. Rozklejono je w nocy na murach. Wszystkie prawa obywatelskie bezterminowo zawieszono. Za wszystko – prawie za wszystko – kara śmierci. Ścisłej mówiąc, absolutna dowolność w karaniu, rozpiętość mniej więcej od ustnej nagany po szubienicę. Jesteśmy internowani. Profilaktycznie. Jako potencjalne niebezpieczeństwo. Oczywiście, że też bezterminowo! Może na tydzień, a może na trzydzieści lat. Bez sprawy, bez uzasadnienia, bez sądu. Chytre!

– A Wałęsa? Czy mają Wałęsę?

– Tak, mają, go. Zgarnęli całą Komisję Krajową. Chyba prosto z obrad.

Znowu jadą. Kolejny transport? Plac jest już pełen ludzi, ani szpilki wetknąć!

Nie, tym razem klatki na kołach są puste. Zaczynają ich wywozić.

Jego jeszcze nie.

Jeden ze stojących w kolejce do załadunku. Dopiero teraz go poznał! Tadeusz. Ten ze stoczni, ten z chorągiewkami w żrenicach, wróg śmiertelny *Tanga Milonga*. Jeszcze wczoraj – nie, dwa dni temu – skakali sobie do oczu. Tadeusz poszedł swoją drogą. Przystał do PRAWDZIWYCH POLAKÓW, nazwa mówi sama za siebie, endeckie popłuczyny. I rozbił robotę w Związku. W takich czasach, wobec takiego zagrożenia, paraliżować działalność Prezydium! Tydzień temu pożarli się na ulicy o sprawę reaktywizacji PPS-u. Tadeusz był przeciw, jasne. Zabiłby go wtedy. Teraz rzuciłby mu się na szyję. Woła, woła głośno jego imię. Tadeusz odwraca się, rozpoznaje go, uśmiecha się. I już wepchnęli go do tej niebieskiej budy. Silnik wciąż pracuje, wciąż warczy. Odjeżdżają.

Niedługo przyjadą i po mnie.

– Najzwyklejsza w świecie walka klas – mruży Krzysztof nieprzytomnie i głupio, jak gdyby siedział z Conchitą na tarasie kawiarni „Le Dôme”. – Wiener miał rację, psiakrew, Wiener miał rację! „A świat po kilku stuleciach omdlenia jęknie cicho i wolniutko poczołga się naprzód”. Tak pisał Wiener? Świat! My! Jak długo tak można? Nie bronić się, ciągle się nie bronić! Obława! Obława! Na całym świecie obława! Ach, głupcy!

Czyżby krzyczał? Od jak dawna? Poczul tylko, że głos, wyszarpywany z gardła, zdarł się nagle na wietrze, pękł i zachrypiał zgrzytliwie jak zepsuty silnik. Jakieś cienie otaczają go, patrzą na niego.

– Proszę: ten chyba zwariował – mówi jeden z cieni. – Szybko!

Matka Krzysztofa Paliwody wychodzi z domu. Idzie ostrożnie, ślizgając się po oblodzonym chodniku. Mija ją patrol wojskowy, jeden facet z przodu, trzech za nim, bagnety na karabinach; chce splunąć, ale brak jej śliny. A zabraliby ją może, gdyby to zrobiła, ją też. Tym lepiej. Ludzie są ponurzy, milczą. Wszyscy milczą. Cała ulica. Wszystkie ulice. Wsiada do tramwaju, jedzie, wysiada, znów idzie. Ten lód na chodnikach. Z katedry słychać śpiew. Wchodzi. ALLELUJA! ALLELUJA! Prawda, to przecież trzecia niedziela Adwentu. Ale żeby w takiej chwili... Kler! Księża! I ona, ona, która tej nocy wołała z otwartego na mróz okna: „Niech cię Bóg strzeże!”, krzywi pogardliwie usta. Kler, kościół, Bóg! To wszystko też cię zawiedzie. Tu także nie ma nadziei. Nigdzie nie ma nadziei. Boże, Boże, czemuś nas opuścił? I matka Krzysztofa Paliwody pada na kolana. Tego właśnie potrzeba człowiekowi w takiej chwili. Paść na kolana. A potem... Wszyscy dokoła robią to samo, z ulgą, czuje to: z ulgą. Klękają. Manifestacyjnie. Klęcząc, czekając na sygnał, na zew. *BOŻE, COŚ POLSKĘ*. To już drży w gardłach. Są gotowi wybuchnąć tym śpiewem, a potem... Potem – wszystko. Cokolwiek. Tylko dajcie im sygnał. Ale skąd, nie będzie sygnału. Niczego nie będzie. RADUJMY SIĘ! – woła biskup; tak, to chyba biskup, są przecież w katedrze i jest niedziela, trzecia niedziela Adwentu, msza pontyfikalna; przypomina to sobie mgliście, ateistka, do wczoraj – ateistka; nie widzi dobrze z daleka. Jak on może, jak może? RADUJMY SIĘ! No, zrobił przerywę. Zwykłym, ludzkim głosem powiedział: – „Dziwnie brzmią takie słowa w dniu, w którym należałoby raczej płakać”. Tłum drgnął. Uniósł głowy. Czekają. Nie doczeka się. Głos biskupa znów zagrział, poprzednim tonem: A JEDNAK POWIADAM WAM: RADUJMY SIĘ, BOWIEM PAN JEST BLISKO! A dalej już wszystko zgodnie z rytuałem. Jak gdyby nic się nie stało. ALLELUJA. Wierzę w Boga jedyne... Nikt tego nie podejmuje, kościół milczy. Tylko wątle głosy kleryków. Tłum czekał na co innego, nie doczekał się. Tłum wstaje. Jeden po drugim, gęsiego, ludzie opuszczają katedrę. Matka Krzysztofa Paliwody także.

Na murach siady zdartych plakatów. Wydrapany gwoździem, nie do końca zatarty, stary napis: KATYŃ POMŚCIMY. Lód pod nogami. Pryzmy burego, skutego lodem śniegu. Nad głową, tuż nad głową – takie same pryzmy chmur. Niebo się wali, niebo spada na ciebie. Powolne, ciężkie dreptanie przez pusty plac. Zza rogu ulicy wyjeżdżają właśnie czołgi.

Stają się, patrzy. Ktoś płacze głośno. Czołgi się zatrzymały. Wyskakują z nich – nie, tylko z jednego – żołnierze z bagnetami. Nie ma słońca, bagnety nie błyszczą. Szare, szare jak wszystko. Żołnierze omietli stojących wrogim spojrzeniem. Przeszli obok, jak na paradzie. Nikt się nie cofnął. Patrzy się na nich, patrzy. Za plecami ten głośny płacz. Nie urywa się, nie cichnie.

Dalej, na murze, nowe białe płachty z czarnymi pajakami liter. OBWIESZCZENIE. Nikt do nich nie podchodzi, nikt ich nie czyta. Jakiś starszy pan zbliżył się, popatrzył, odwrócił. Ludzie mijają go obojętnie i pełni potępienia. Tego się nie czyta, głupcze! Nie zniżymy się do czytania. Starszy pan odchodzi czym prędzej, z miną winowajcy. Nie zorientował się, przeprasza. Mówi nawet do matki Krzysztofa Paliwody, najbliższej:

– Hitler się kłania! Tylko listy zakładników pod tym brakuje, proszę pani.

– A powinna być – odpowiada matka Krzysztofa Paliwody. I, po raz pierwszy, po raz pierwszy: – Syna mi zabrali dziś w nocy.

Starszy pan nie wie, co odpowiedzieć. Zmieształ się do reszty. Zdejmuje czapkę. – Zbrodniarze – bełkocze. – Zbrodniarze, – Trzeba mu ułatwić sytuację, odejść. Więc się odchodzi.

Dokąd teraz?

Iza otwiera jej drzwi. Jest w domu! Stara przyjaciółka, tylko do niej można było pójść, nigdzie indziej. Jej syna zabito. W sześćdziesiątym ósmym, po demonstracjach studenckich, usunięto go z uniwersytetu i wzięto do wojska. Potem przyszło zawiadomienie. Zginął pod-

czas manewrów, nieszczęśliwy przypadek, to się zdarza. Iza nigdy się z tego nie podźwignęła. Nie można było z nią rozmawiać, to przerastało ludzkie siły. Tak się pławić w cierpieniu. Czemu nie starała się zapomnieć? Wszyscy mieli jej to za złe: jakim prawem nie starała się zapomnieć?! Iza otwiera jej drzwi, chudziutka, niemłoda, z gładkimi brązowymi włosami. Cała ściana za nią jest oblepiona zdjęciami jej syna. Jedna z tych rzeczy, których nie można było znieść – dawniej, wtedy. Dziecko ze złotymi loczkami. Uczeń. Wyrostek. Z matką, z kolegami, sam. Grający w piłkę. Z kotem Archimedesem. Na łące. W przedszkolu. W szkole. Na studiach. Aż po ostatnie zdjęcie, z wojska. Cały oddział. Jemu też kazano ustawić się do zdjęcia. Stoi więc, patrząc ponuro w bok, wystrzyżony, blady. Tuż przed śmiercią. Tylko z Izą można teraz rozmawiać, z nikim innym.

– **Mojego** syna wywieźli dziś w nocy – mówi, i widzi ten błysk w oczach Izy, błysk radości, błysk triumfu. Nie ma jej tego za złe, rozumie. Znalazła siostrę w nieszczęściu. Zaraz zresztą obejmuje ją ramieniem, sadza w fotelu, przynosi kawę. Dobra, troskliwa. Należą teraz do jednego klanu. Napij się. Opowiedz.

Ze smakiem nalewki orzechowej w ustach, z miękkością fotela pod plecami, opowiada.

Iza słucha jej uważnie, wciąż z tym samym radosnym błyskiem w oczach. Ale przecież nie o to chodzi, nie o to. Co mam zrobić? Co ty byś zrobiła?

Oczy Izy wreszcie przygasają. Co by zrobiła? A cóż można zrobić? Przetrwąć, przeczekać.

– Trwać? Czekać? – zdumiewa się matka Krzysztofa Paliwody. – Przecież ja nie pytam o sprawę Krzysia, nie tylko! To podłość, czekać! To zdrada!

– Ach – odpowiada Iza ponuro. – Tak uważasz?

– Krzyś mówił... – i matka krztusi się nagle tymi słowami, coś jej przerywa, zamrznęta kula łez zatykająca gardło, już, przełknęła ją, już – Krzyś mówił, że polityka to tylko niecierpliwość. I że niecierpliwość zawsze jest zjawiskiem politycznym. Kto nie może znieść czekania choćby na odpowiedź z urzędu, na telefon, na list, ten już jest nasz.

– „Nasz”! To znaczy czyj?

– Krzyś mówił, że system naszych władz, ta powolność, ta zwłoka we wszystkim, jest klęską in spe. Że rząd, tolerujący fakt, że list z jednej ulicy na drugą idzie tydzień, równie dobrze mógłby rozdawać opozycji zasiłki na kupno broni. A to przecież cały system! Na list z sąsiedniej ulicy czeka się tydzień, na depezę dwa dni, na odpowiedź z urzędu rok, na ukazanie się książki pięć lat, na przydział spółdzielczego mieszkania dwadzieścia. ONI uważają, że tak być powinno, tak się pokazuje społeczeństwu, gdzie jest jego miejsce. I zacierają ręce z uciechy. Ale sami kręcą dla siebie stryczek. Bo jeśli ma się czekać tak długo, to równie dobrze można nie czekać wcale. I przychodzi niecierpliwość. A niecierpliwość to rewolucja.

– Co w końcu: rewolucja czy polityka?

– Polityka słabych. Polityka uciemiężonych. Czyli terroryzm albo rewolucja, zależnie od okoliczności. Mnie się wydaje, że on miał rację.

– Ach!

Iza macha lekceważąco ręką.

– Nonsens. Ludzie przywykają, i tylko na to grają ci z góry, i mają rację.

– Przywykają? W Polsce?! Spójrz, ile zrywów, ile buntów, ile powstań, ciągła walka... Przywykają? A 1956, a 1968, a 1970, 1980? Przywykają?

– Jeśli się buntują, to się im skuwa mordę i znów każe czekać.

Władza nie umie postępować inaczej. A ludzie przywykają, bo też nie umieją inaczej.

– Znów się zbuntują! Znów będą walczyć!

– To niegroźne. – Iza nieoczekiwanie chichocze. – Och, moja droga, nic nie może być lepiej, nic się nie może zmienić na lepsze, nigdy, kto tego nie wie, jest głupcem. A kto wie...

– No? Kto wie...

– Kto wie, ten się przystosuje. Nawet w piekle można żyć wygodnie, jeśli się człowiek przystosuje. Bo piekła nie wysadzisz w powietrze. Nie zlikwidujesz go. A świat, to piekło. Potępiony walczący z piekłem! Dobre sobie! Jacy wy jesteście śmieszni! Jacy śmieszni!

Iza śmieje się do łez, łzy płyną strumieniami po jej szarej twarzy. Matka Krzysztofa Paliwody już się ubiera. Nasuwa czapkę na czoło, okręca szyję szalikiem. Po co w ogóle przychodziła do tej wariatki?

Raz jeszcze wybucha, już w drzwiach.

– Więc po co ktokolwiek ma „trwać”? – pyta. – Po co ma czekać? Na co tu można czekać. Boże miłosierny?!

Iza nachyla się do niej, jakby ją chciała pocałować. Ale tylko szepcze:

– Powiedziałam, co czuję. Co myślę. Ale ja nie będę czekać. Zobaczysz, że nie będę. Trzaśnięcie drzwi. Koniec.

Nazajutrz w całym kraju wybucha strajk – wszyscy to mówią, wszyscy to wiedzą – powszechny. Kraj próbuje się bronić. Na ślepo, z zawiązanymi oczami. Miasto zostało odcięte od miasta, wieś od wsi. Jeszcze przed puczem zlikwidowano łączność, cywilną łączność, działa tylko wojskowa. Dobra robota. Wyłączono telefony i teleksy, nie wolno opuszczać miejsca zamieszkania, korespondentów zagranicznych poddano cenzurze, radio i telewizja głoszą chwałę przywróconego ładu i porządku: tak, dobra robota.

Nie wiadomo, kto się jeszcze broni, a kogo już pokonano. Matka Krzysztofa Paliwody chodzi po mieście. Od strony jednej z fabryk słychać strzały. Na drugą jadą czołgi, ławą, bez końca. Musi to zobaczyć, z daleka, zza muru czołgów. Między czołgami a fabryką barykada z tramwajów, z autobusów. Dalej ustawiono beczki z benzyną: to fabryka samochodów, niejedno tu można podpalić. Na beczkach stoją kobiety. Krzyczą: „Strzelajcie! Spalcie razem z nami!” Ludzie płaczą. Też krzyczą. A przecież to z góry przegrane – myśli matka Krzysztofa Paliwody – kto ma wojsko i policję, ten ma władzę. Krzysiu, biedaku.

Idzie Krakowskim Przedmieściem. Słyszy hałas, krzyki. Ktoś zatrzymuje ludzi, przemknęła się obok niego, już jest dalej. Pod pomnikiem Kopernika, tuż przy pałacu Akademii Nauk. Nad pałacem powiewa polska flaga. Jest i napis – jaki? Nie zdążyła przeczytać. Zajeżdżają wozy pancerne, dalej, dalej, odsunąć się. Kogoś wyprowadzają. Ach, uczonych! Tych szacownych uczonych! Protestowali, teraz zapłacą. Jasne. Jasne. Kogoś niemal ciągną po ziemi. Ależ to stary człowiek! Ledwo żyje. Bez palta, nie dali mu się ubrać. W szarym garniturze, tak nieskazitelnie zaprasowanym, z rozkiem chusteczki w kieszonce; wypadła mu tylko spinka z mankietu, mankiet jest rozdarty. Tłum widzów kłębi się na placu obok, pod domami, na jezdniach. Faluje. Huczy. Nagle wyrывa się z niego krzyk: GE-STA-PO! GE-STA-PO! Wtedy matka Krzysztofa Paliwody widzi tę, dla której tu dzisiaj przyszła, chcąc dokończyć pochopnie urwaną rozmowę: widzi Izę. Małą, wątłą, postarzałą czytelniczkę rosyjskich wierszy, adiunkta Akademii Nauk, żalobnicę, fiksatkę. Ciągną ją. Ale zdołała podnieść na moment skute kajdankami ręce, potrząsnąć nimi wysoko, jak w pozdrowieniu. Z uśmiechem. Z triumfalnym uśmiechem. Czy to do niej? Czy ją zauważyła? Nie wiadomo, nie wiadomo. FA-SZYS-CI! GE-STA-PO! Jeden ruch **tamtych** wystarczył. Zwrócili się w stronę krzyczących, i to jak! Ciałami, tarczami, pięściami, butami, pałami, murem: potęga. Jak ich odrzucili! Jednym ciosem. Depczą po kimś. Błyska flesz, jakaś dziewczyna fotografuje, już są przy niej, podała aparat do tyłu, przemknął z rąk do rąk, nie znajdują go. Budy z aresztantami odjeżdżają, już odjeżdżają. Ale wysłuchajcie ich, ludzie! Wysłuchajcie! „Uprowadźcie profesora Tarkowskiego! Uprowadźcie profesora Robaka! Pen-Club uprowadzić!” I karteczki, sypią się jakieś karteczki, z nazwiskami, z adresami: uprowadźcie ich, przyjdą po nich! Matka Krzysztofa Paliwody rzuca się w stronę bielejącego w brudnym śniegu świstka, przygniótł go but zomowca, cofnął się, chwycić teraz ten lepki, zabłocony strzępek... Nie zdążyła go podnieść, but oparł się o jej rękę, nadepnął. Krzyk, krzyk bólu. I już po wszystkim. Stoi, wolna. W puchnącej,

obolałej ręce, którą dusi rękawiczka, trzyma jeszcze ten świstek, ten strzępek. Drugą ręką, lewą, odwija go z wysiłkiem na parapecie przed witryną sklepu z bielizną – na próżno. Starty na proszek, przemoczony, nic się z niego nie odczyta. Czyjeś życie. Czyjaś wolność. To było na tym papierku i przepadło. Nie ocalisz tego człowieka.

Matka Krzysztofa Paliwody siedzi przed telewizorem. Po raz pierwszy mówią o zabitych. Przy zajmowaniu strajkującej kopalni „Wujek” użyto broni. Zginęło siedmiu górników, podobno siedmiu. Może teraz inni nabiorą rozumu i przerwą z góry przegraną walkę. Co za satysfakcja w głosie przebranego w mundur spikera, co za frajda! Patrzy się na to, słucha się. To nic nie znaczy.

Ten sam dzień? Inny? Stoi przy kościele Świętej Anny, półprzytomna i otumaniona jak zawsze od tamtej nocy. Tłum wypełnia ulicę. Czołgi, czołgi. Wyjeżdżają z Miodowej. Zastawiają plac. Miasto cuchnie gazem łzawiącym. Matka Krzysztofa Paliwody przycisnęła chusteczkę do nosa i ust. Stoi. Widzi uciekających. Są tuż przy niej. Wpadają do kościoła. Chłopcy, dziewczyny. Studenci. Tam się chcą schronić. Ale tamci pędzą za nimi. Tamci, zomowcy. Wywlekają. Biją.

Tuż obok. To się dzieje tuż obok. O krok. Ta dziewczyna. Drobną, szczupłą. Rzuca się na olbrzymiego zomowca, na jego hełm i maskę, tarczę i pistolet, pas i buciory, na ten kawał mięsa i żelaza, na ten głąz kipiący narkotykiem, oszalała, o Boże, nigdy czegoś podobnego, nigdy... To ona go atakuje, to maleństwo! Gołymi pięściami. Z dzikim wyciem, którego nie zapomnisz do śmierci. Rzuca się na niego, żeby go rozszarpać, ten dzieciak. I gdyby mu nie dano przed akcją narkotyków, może i dokonałaby tego. Gdyby atakowała człowieka, nie maszynę. Maszyna już ją powaliła. Kopie, deptuje, wdeptuje w ziemię, ta mała nie ma już twarzy, krwawa miazga, co on z nią robi? zabił ją, zabił! A jeśli nie, tym gorzej dla niej. Ta miazga! Ta krwawa miazga! Matka Krzysztofa Paliwody nie rusza się z miejsca. Wszystko jedno.

Wcześniej? Później? Pochód ze sztandarem. Sami mężczyźni. Śpiewają. *BOŻE COŚ POLSKĘ – PRZEZ TAK LICZNE WIEKI – OTACZAŁ BLASKIEM – POTĘGI I CHWAŁY...* Już ich mają. Zamknęli ulicę. Z dwóch stron. Już. Przemieścili się. Już z czterech. Pochód jest w środku, tamci zacieśniają teraz szeregi. Zgnieść go. Zgnieść pochód. *PRZED TWE OLTARZE ZANOSIM BŁAGANIE.* Kolejki pod sklepami poruszyły się, zadrżały. Te niekończące się kolejki. Wzdłuż wszystkich domów. Kolejki mają teraz przed sobą szerokie, żelazne plecy zomowców. Jeszcze słyhać śpiew. *OJCZYZNĘ WOLNA RACZ NAM WRÓCIĆ PANIE!* Zaraz ich zgniotą. Nie, tym razem nie! Kolejki ruszyły. Wieczne, szare, polskie kolejki przed sklepami. Tłum czekających. Czekających, więc apolitycznych, cierpliwych, więc reakcyjnych, tak mówił Krzyś. *FASZYŚCI.* Czekający podjęli ten okrzyk, powtórzyli. Czekający na chleb, na mleko, na zupy w proszku, na mięso, na wódkę, na zapalki. *FA-SZYŚ-CI! GE-STA-PO!* Kolejki ruszyły do przodu, rezygnując z chleba, mleka, mięsa, zapolinając o nich. Prosto na te plecy, na te potężne plecy. Hurmem, masą. Tłum kobiet, starców, kalek. *GE-STA-PO! GE-STA-PO!* Tamci oglądają się. Nareszcie niepewni. Wzięci w dwa ognie. Oblegający i obleżeni zarazem. *JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA PÓKI MY ŻYJEMY.* Zbrojni poruszyli się, rozsunęli. *FA-SZYS-CI! FA-SZYS-CI.* Uciekają. Zobaczcie, uciekają. Wycofują się. Wzięci w dwa ognie wycofują się. Do swoich wozów. O Boże, coś Polskę. Jest ciemno. Mroźny wiatr. Sztandar rozwinął się w świetle latarni. *OJCZYZNĘ WOLNĄ. OJCZYZNĘ WOLNĄ.* Uciekajcie. Teraz już uciekajcie. Szybciej. Ludzie! Szybciej!

Kościół Świętego Marcina. Wchodzi się od strony klasztoru. Przez podwórze, na lewo. Z paczką. Paliwoda Krzysztof, nie wiecie, gdzie jest Paliwoda Krzysztof? Zabranego trzynastego,

w nocy. Żadnych wiadomości... Chłopak w kraciastej koszuli uspokaja, pociesza. Znajdą. Mają już pierwsze listy. Lada moment dostaną o wiele pełniejsze. Poszukają. Doręcą. Zawiadomią, kiedy tylko będą mogli. Matka Krzysztofa Paliwody opiera się o ladę, za którą zakonnica układa pudła, pakunki, worki. Pierwsze miejsce, w którym się czuje nadzieję... Chłopak w kraciastej koszuli wciąż coś do niej mówi. Zorganizowali się pierwszego dnia, robią co mogą, zrobią, co mogą! Wszędzie da się znaleźć jakąś szczelinę. TAMCI nie poszli jednak na walkę z Kościołem. Na razie nie. Właśnie dzięki temu możemy... Przepraszam.

I podchodzi do siwego mężczyzny w okularach, niosącego dwie niezgrabne paki: dla najbardziej potrzebujących, państwo sami rozstrzygną... Tuż za nim weszła jakaś dziewczuszka, piętnastoletnia może: chce zrobić paczkę, ale nie wie, co im jest najpotrzebniejsze. Zakonnica zajęła się siwym panem, a chłopak tłumaczy: ciepła odzież, przede wszystkim ciepła odzież. Część z nich trzymają w blaszanych hangarach na lotnisku, w taki mróz!

Matka Krzysztofa Paliwody odwróciła się. Zadrżała.

– Och! – woła dziewczyna – rzeczywiście! To mi nawet nie przyszło do głowy, myślałam o czekoladzie i cukierkach, chciałam wykupić kartkowy przydział i posłać... i upiec ciasto. W ogóle nie pomyślałam...

– Ciepła odzież i cebula. To przede wszystkim. Niektórzy potrzebują lekarstw, ale to...

– A papierosy? Proszę pana? Chyba im się przydadzą papierosy?

– Chyba tak. Na pewno.

– A list? Można dołączyć list?

– Nie wiemy. Tego jeszcze nie wiemy. Można próbować.

Jeszcze jakiś dzień. Ten sam? Może i ten sam. Radio chrypi resztkami baterii, walczy resztkami baterii (których się już nie wymieni) z potężnymi zagłuszaczami, falujące głosy ludzkie to wydobywają się z tego huk, to znów w nim giną. Wolna Europa, czegoż to słuchać w takich czasach, jeśli nie Wolnej Europy? POMOST - TELEFON DO KRAJU. W związku z odcięciem Polski od świata uruchomili informację radiową. Polacy, których pucz wojskowy zaskoczył za granicą, przekazują po kilka zdań do swoich bliskich w kraju. Matka Krzysztofa Paliwody siedzi i słucha, bezmyślnie, bez potrzeby. Strzępy, strzępy.

... ojciec zmarł w Monachium szesnastego grudnia...

... spokojnego Nowego Roku. Niech was ma w opiece Matka Boska Częstochowska...

... idee „Solidarności” zwyciężą. Zostańcie z Bogiem...

... wysłałem trzy paczki żywnościowe, dowiadujcie się na Dworcu Głównym...

... to także przetrwamy. Trzymaj się, moje biedne dziecko...

... szczęśliwego Nowego Roku i doczekania wolnej Polski...

... mam, zrób wszystko, żeby córeczka jak najprędzej była z nami...

... wytrwania życzą Staszek, Jola, Kazik i Helenka. Niech was Bóg strzeże!

... nafta musi być czyszczona, jedna łyżka na czczo, powtarzam, jedna łyżka na czczo...

... niech wiara i nadzieja cię nie opuszczają!

... pozdrawiam kolegów z zakładowej „Solidarności”. Trzymajcie się, cały świat jest z nami...

... do syna, służącego w jednostce milicji... wracam siódmego stycznia. Jeżeli się dowiem, że miałeś coś wspólnego z tym zabijaniem i biciem górników, do końca życia nie chcę cię widzieć na oczy. Ojciec.

... całym sercem z „Solidarnością”...

... błagam o znak życia. Nie mogę siedzieć beczynnym, nie wiedząc, czy nie potrzebujecie pomocy. Zaklinam wszystkich, którzy tego słuchają: przekażcie to dzieciom moim...

... niech rok 1982 przyniesie wam wolność i pokój. Dbajcie o wasze zdrowie, bo będziecie potrzebni w niepodległej Polsce...

... Pani Jasnogórska nie opuści naszej biednej ojczyzny...

... żadnych wiadomości od was, umieram z niepokoju...
... dziecko, uważajcie na dziecko!
... lekarstwo dla teściowej wysłałem...
... trzy paczki wysłałem...
... dwie paczki wysyłam...
... Jezus Chrystus i Święta Jego Rodzicielka...

I teraz dopiero zaczyna płakać. Przy tym, co jej nie dotyczy, co jej nie dotyczy! A więc i nie nad sobą. Po raz pierwszy, odkąd to się stało – czyli od kiedy? Od jak dawna? Nie wie już, nie pamięta.

4

Zabrali wreszcie i jego. Plac pustoszeje.

Ostatnie spojrzenie na zdeptyany śnieg. Na grupki czekających. Buda już pełna. Opuszczono kratę, przekreślono klucz. W przedsionku, między kratą a drzwiami, siada dwóch zbrojnych. I jazda. Jaką drogą? Może jednak przez miasto? Niech nas usłyszą! Więc śpiew. *JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA – PÓKI MY ŻYJEMY*. Zbrojni podrywają się, grożą. A więc tym głośniej. Gdy pieśń się kończy, przed podjęciem następnej brodaty pisarz krzyczy do zbrojnych tubalnym głosem proroka, patriarchy: „Czy wy wiecie, kogo wiecie, nieuki? Elitę narodu wiecie! Elitę narodu!” No, tego nie przełkną. Przyjrzeni mu się bacznie, zapamiętali. Kto by się tym teraz przejmował? Patriarcha intonuje Pierwszą brygadę. Śpiewają. *NA STOS – RZUCILIŚMY – SWÓJ ŻYCIA LOS, NA STOS, NA STOS!* Którędy ich wiozą? Ulicami? Boczną drogą? Lasem? Wszędzie ktoś może usłyszeć, choćby jeden człowiek, choćby przechodzące dziecko, więc śpiewajmy. Dla nich też, dla tych z kamienia, dla tych, których nic nie wzruszy, dla siedzących w przedsionku z bronią między rozsuniętymi kolanami. *INACZEJ SIĘ DZIŚ ZAPATRUJĄ – I TRAFIĆ CHCĄ DO NASZYCH DUSZ. – I MÓWIĄ, ŻE NAS JUŻ SZANUJĄ – LECZ WŁAŚNIE CZAS ODWETU JUŻ!* Na wyrost, na wyrost. Bo kiedy to będzie? Ale będzie. Przyjdzie. Czy się tego nie boją? Czy wcale nie czują strachu, ci zbrojni? Bo odwet, jeżeli teraz przyjdzie, po takiej zdradzie... „Zdychałbym ze strachu na ich miejscu” – myśli Krzysztof Paliwoda. Cóż, może i zdychają ze strachu. Może ich bezwzględność to właśnie strach. Na razie – tym gorzej.

Zatrzymali się. Zgrzyt klucza. Eskorta otwiera kratę. „Wychodzić!” Nie jechali długo. Muszą być gdzieś pod Warszawą. „Oczywiście, Białoleka!” – woła facet z Patronatu: wylapano Patronat, no, ci teraz zapłacą! Po tym wszystkim, co wyciągnęli w ciągu ostatniego roku, roku prawie-wolności, na temat więzień... Białoleka. Większość jej nie zna, ale wierzy na słowo. Prawie nie patrzą. Śpiew nie zdołał ich rozgrzać. Ledwo się ruszają. Byle do cel. Byle dostać się wreszcie do cel, paść na prycze, przykryć się czymś, zasnąć.

Ale długo się jeszcze nie zaśnie. Kancelaria, korytarze, spisy, zapisy, rubryka po lewej, rubryka po prawej, zabierają okulary, zabierają obrączki. Domagam-się-umieszczenia-mnie-z-politycznymi, grymas, chichot. W-Polsce-nie-ma-politycznych, znów korytarz, w lewo, w prawo, w prawo, w lewo, prosto. Zatkany kibel nie cuchnie, jest zbyt zimno. Otwarte okna, te małe okienka osłonięte kratami – jak dawno otwarte? Dość dawno w każdym razie, żeby zlikwidować różnicę temperatury między podwórzem a celą: lodówka! Facet z Patronatu, powołując się na jakiś tam paragraf – och, oni są obkuci jak starzy przestępcy, ci z Patronatu – żąda zamknięcia okien i ogrzania celi, a na razie przeniesienia ich w cieplejsze miejsce; odpowiada mu wzruszenie ramion. W celi stoi sześć piętrowych prycz, a ich jest dwunastu. Ktoś pyta Krzysztofa, czy woli spać na dole czy na górze; woli na dole. W kożuchu, a jakże. Z siennika coś się sypie; kurz i pył włożą do nosa, pod powieki. Koca nie ma. Niczego poza

dziurawym, wypełnionym zresztą szmatami a nie słomą „siennikiem”. Krzysztof próbuje go unieść, przykryć się nim; próbuje chociaż schować stopy w jego dziurach. Nic mu to nie daje. Nie rozgrzeje się nigdy. Bryła lodu. Całe szczęście, że i myśli też ma zamrożone. Gdyby czuł cokolwiek prócz tego, że mu zimno, jakże byłby nieszczęśliwy! Wyobraża sobie swoje serce, ciemnoczerwone i ciężkie od lodu, widzi swój oszroniony mózg, wyciągnięty z głębi zamrażalnika, trzęsie się. Tak bardzo chciał zasnąć, i nie zaśnie. Nigdy już nie zaśnie!

Potem w celi rozlega się huczący głośnik. Jedyne, zmilitaryzowany program radiowy: widzisz, szczęściarzu, nie będziesz go pozbawiony.

Potem wyprowadzają na korytarz. Dają miski, łyżki, kubki. Do misek nakładają trochę zimnych, zdrewniałych, słonych kartofli; do kubków wlewają mętny, błotnisty płyn, też zimny: to kawa.

Potem dają koce.

Potem przenoszą do innej celi. Zamykają okna. Kaloryfery zaczynają słabiutko grzać.

Wolno leżeć na pryczy. Cały dzień, jeśli się chce. Jedyne wyższość nad kryminalnymi!

– Przecież on jest chory! – mówi ktoś, dotykając czoła Krzysztofa. – Trzeba zawiadomić lekarza.

Lekarz nie przychodzi. Nikt nie przychodzi.

Gorączka. Dreszcze. Półpłynny, rozdygotany mur między nim a resztą świata. Za murem przesuwały się cienie. To ci z celi. Nie wie, kto; nie wie, z kim go zamknięto. Słyszy krzyk kogoś, wspiętego do kraty: „Piętnastka! Piętnastka! Daj Michnika do lipa!” i stłumioną, daleką odpowiedź: „Tu nie ma Michnika!”, i śmiech innych: „Ach, wy z Patronatu!”; słyszy wieczorne wystukiwanie wiadomości przez ścianę (to znów ten z Patronatu, fachowiec), i jęklive toczenie się po korytarzu pchanego przez dwóch kryminalnych wózka z jedzeniem; słyszy nocne skrzypienie śniegu pod nogami strażnika, i szczerzenie psów, i jakiś jęk w powietrzu, jęk powietrza; celę oświetlają palące się na podwórzu jarzeniówki, a ten ból w plecach, w sercu, między zębami, w gardle, w głowie, ten ból rozbity na setki śrub wkręconych w ciało, to śmierć, i żal mu siebie, że jest wobec niej, wobec śmierci, tak bezbronny. Rozlazły, opuchnięty od środka mięksiz ciała. Wstaje mimo to, robi co mu każą, pije gorzki roztwór zbożowej kawy, nawet je trochę, je czasem, na pewno coś je. Może dlatego nie przychodzi lekarz. A przecież on umiera! Przecież umiera!

Chciałby wiedzieć, z kim go zamknięto. Chciałby rozumieć, co mówią ci, z którymi go zamknięto. Chciałby sam coś powiedzieć. Nie może, nie potrafi.

Słyszy śpiew. To tamci śpiewają. Dlaczego?

On też śpiewa.

Nie jest z nim tak źle. To tylko przeziębienie. Gorączka, dreszcze. Z takich rzeczy się wychodzi, nawet bez łapiducha, nawet bez lekarstw. Tak pewnie myślą tamci z celi. A przecież wzywają lekarza. Codziennie żądają przysłania do niego lekarza, słyszy to, jest im wdzięczny. I zdumiewa się ich naiwnością. Że też mogą wierzyć w przyjście lekarza! On wie, że nikt nie przyjdzie. Musi to sam zwalczyć – jeśli chce. Więc walczy. Walczy.

Siódmego dnia – dowie się o tym potem, stracił poczucie czasu – a więc siódmego dnia STANU WOJENNEGO, siódmego dnia INTERNOWANIA, wywołują go nagle z celi. Jest już wieczór.

Prowadzą go przed jakieś biurko. Dziwiają się jego sztywnej od brudu piżamie, ubolewają. Czemu nie ubrał się ciepło, wychodząc z domu? Czemu rodzina nie doniosła ubrania? Ma przecież jakąś rodzinę, prawda? Matkę? To dziwne, że matka nic mu nie przyniosła, że nie zrobiła paczki, to przecież wolno. Cóż, tak czy owak, w piżamie nie pojedzie. W taki mróz! Znajdzie się coś dla niego. Przynoszą cudze, cywilne spodnie, podkoszulek, sweter, skarpety. Wkłada to wszystko na swoją piżamę. A na wierzch kożuch. Nie odzywa się. Tamci też szybko kończą z uprzejmościami. Wychodzą.

Bez kajdan. Po prostu, między dwoma cywilami. Trzeci czeka za kierownicą obtłuczonej, szarej „Syreny”. Kazał wsiąść, częstują papierosami. Bierze i zaraz żałuje. Nie palił od tamtej nocy i nie czuł potrzeby, nie brakowało mu tego. Samochód rusza. Jest ciemno. Nie wie, dokąd go wiozą. Nie pyta. „Ręce się panu trzęsą” – mówi jeden z cywilów. – „I czego się pan tak boi? **Jeszcze** się pan boi?” Wzrusza ramionami. „Strasznie zdenerwowany” – informuje jeden cywil drugiego: jak o ekspozycji w gablotce! Bawi go to, szalenie go bawi: aż chichocze. „Spójrz na jego ręce! Trzęsą się. No, mam rację, czy nie?” Krzysztof milczy. Nie będzie im mówił o gorączce, o chorobie. Niech ich szlag trafi! „Jest pan wierzący?” – pyta gadatliwy cywil. – „Tak” – odpowiada Krzysztof, sam nie wiedząc, czemu; cywil gwizdże cicho. „No, no! Naprawdę wierzący? Katolik?” – „Nie praktykujący. Ale wierzący, katolik, tak”. Cywil milknie. Jest ciasno. Jadą, stają. To jakaś ulica: skoro jechali krótko, więc chyba w Warszawie. Wielkie gmaszysko ze światłami przy bramie, z budką strażniczą. Ależ tak. Rakowiecka. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Innych tu nie wozili. Innych nigdzie nie wozili. Nie zabierali z celi. Wchodzą: on i dwaj cywile. Tamci legitymują się dwukrotnie, przy budce strażniczej i przy biurku, stojącym w hallu, tuż za drzwiami. W gmachu jest pusto i cicho. Idą do windy. Gadatliwy cywil naciska guzik i wskazuje na gładką, kamienną posadzkę. „Tam pod spodem” – mówi – „są nasze kazamaty. Tam właśnie torturujemy i tak dalej. Słyszał pan chyba o kazamatach na Rakowieckiej?” Ni to żartem, ni serio; jak przez cały czas. Czekają na odpowiedź. Krzysztof Paliwoda milczy. „Słyszał pan?” – powtarza cywil głośno, z naciskiem. „Nie pamiętam”. Winda już jest, wsiadają, jadą na górę. Nie wie, na które piętro. Drugi cywil otwiera jakieś zamknięte na klucz drzwi. Biurko pod oknem, stolik tuż przy drzwiach, wieszak, szafka, krzesło. Ciągłe ta cisza. Drugi cywil znikł; pierwszy zostaje sam na sam z Krzysztofem. Proponuje zdjęcie kożucha, ale nie nalega. Sadza go przy tym małym stoliku, plecami do drzwi. Sam siada naprzeciwko. Kładzie między nimi paczkę papierosów – tych właśnie, które Krzysztof zawsze palił. Przygląda mu się kpiąco.

– No, i po co to panu było? – pyta. – To internowanie, te nieprzyjemności? Mógł pan tego wszystkiego uniknąć.

Krzysztof milczy. Mężczyzna jest w jego wieku: tak ich dobierają, słyszał o tym. Trochę już łysieje od czoła. Podłużna, nijaka twarz, sweter z golfem. Czego on chce?

– Wie pan oczywiście, o czym mówię?

Krzysztof potrząsa głową.

– Nie? Naprawdę nie? Pan ma interesujące nas znajomości zagraniczne. Mój kolega rozmawiał o tym z panem... ale pan nie zachował się wobec niego zbyt grzecznie. Potem warunki nie sprzyjały dalszym naciskom z naszej strony, trzeba było poczekać. Więc poczekaliśmy. No i doczekaliśmy się, prawda? Doczekaliśmy się sprzyjających warunków?

Pochyliła się do przodu, czekając na odpowiedź. Ma wąskie, brązowe oczy o ciężkich powiekach, mętne oczy, bez głębi.

– Nie sądzę – mówi Krzysztof, splatając ręce na kolanach i starając się opanować to przekłete drżenie.

– Niiie-e? Pan mnie chyba nie rozumie?

– Doskonale rozumiem.

– I nie zgadza się pan ze mną? No, no! – mężczyzna uśmiecha się nagle, odsłaniając górne zęby. Po czym wraca do poprzedniego tonu, ciepłego, poufalego. – Szkoda, że mój kolega wzbudził wtedy w panu taką niechęć. Gdyby nie to, mógłby się pan spokojnie bawić w tę „Solidarność”, w te strajki, w te ekspertyzy! Nas to nie interesuje. Słyszysz mnie pan? Nas to nie interesuje! Nas interesują wyłącznie pana kontakty zagraniczne. Czy to jest jasne?

Krzysztof kiwa niepewnie głową.

– No właśnie! Ma pan duży atut... z takim atutem tylko dureń miewa przykrości. Dziwne, że nie przypomniał pan sobie o tym zaraz po zatrzymaniu. Kolega podał panu sposoby kontaktowania się z nami, podał nazwisko, które trzeba wymienić. Wystarczyłoby, żeby pan się

na to nazwisko powołał. Wolał pan sterczeć na zimnie, w bransoletkach? Wolał się pan trząść w Białolece?

– Nawet nie pamiętam tego nazwiska.

– Nie pa-mię-ta pan?

Rozmówca Krzysztofa nie wierzy; a przecież to prawda. Kiedyś, przed wiekami, przy odbieraniu paszportu, facet ze Służby Bezpieczeństwa – tak się przynajmniej przedstawił – wetknął mu w rękę kartkę z jakimiś nazwiskami i telefonami. Mówił mu też, że może o każdej porze dnia i nocy zadzwonić do Komendy Głównej i prosić o skontaktowanie go z kimś tam, a każdy oficer dyżurny z miejsca, natychmiast... Nie wiadomo, co z miejsca, co natychmiast, ci ludzie zawsze mówią tak mgliście. Krzysztof przepisał wszystko do kalendarzyka, ale kalendarzyk chyba wyrzucił na Nowy Rok, a kartkę zgubił. Szukał jej nawet, sądził, że mogłaby się przydać ludziom z „Solidarności”, ale kto by ją znalazł wśród tych szpargałów? Musiała gdzieś przepaść.

– Kapitan Pa-wlu-czuk. Nie pamięta pan tego nazwiska?

Owszem. Teraz sobie przypomina. No i co z tego? Czy w ich branży naprawdę niczego nie mówi się jasno i wprost?

Łysawy wzdycha. No, już dobrze.

– Jasno i wprost? Dobrze, będzie jasno i wprost. Chce pan wyjść z więzienia? Dostać paszport? Mieć możliwości swobodnych wyjazdów, dokąd pan tylko zechce? W zamian za wykonywanie drobnych, naprawdę drobnych poruczeń w kontaktach z pańskimi... znajomymi?

„Swobodnych wyjazdów”, tyle tylko usłyszał Krzysztof przez wypełniającą jego głowę drżącą watę gorączki. To musi być podstęp. Czy są aż tak głupi, żeby wierzyć, że wróci, że wróciłby, gdyby go raz wypuścili? Cóż, może ryzykują. Muszą czasem ryzykować. Jeżeli jest dla nich aż tak cenny... Ale czemu, na litość boską?

– Z jakimi znajomymi?

Łysawy znowu wzdycha.

– Z Michaelem Bernardem dobrze wymawiam?... doradcą obecnego prezydenta Francji, wie pan chyba, że jest jego doradcą. Z Conchitą Estravados i jej przyjaciółmi, z panem Sperlingiem, no i ze wszystkimi tymi terrorystami.

– Nie rozumiem, po co to wam potrzebne.

– I nie musi pan rozumieć.

– Muszę.

– Stawia pan żądania? W swojej sytuacji? Tak się panu podoba w Białolece? Cóż, bywają gorsze warunki. O wiele gorsze. I gorsze sytuacje niż internowanie. Chce pan mieć proces o szpiegostwo? Chce pan?

Krzysztof nieoczekiwanie zaczyna się śmiać. Głośnym, drewnianym śmiechem. Łysy wstaje, podnosi sweter, poprawia wetknięty za pasek od spodni pistolet – i wychodzi. Krzysztof śmieje się jeszcze przez chwilę w pustym pokoju. Ociera łzawiące oczy.

Potem zapala kolejnego papierosa. Czeka.

Łysawy wraca z drugim mężczyzną, o wiele starszym, siwym. Ten drugi siada na środku pokoju, patrzy na Krzysztofa przez grube szkła okularów; przejmuje przesłuchanie.

– Kiedy został pan zwolennikiem terroryzmu?

Krzysztof wzrusza ramionami. Szaleńcy.

– Zjawił się pan w Stoczni Gdańskiej prosto po rozmowach z przywódcami międzynarodowego terroryzmu. Przywiózł pan instrukcje. Jakie?

– Co za bzdury!

– Miesiąc temu był pan w Pradze Czeskiej. Kto panu przysłał zaproszenie? Zna pan chociaż tego człowieka?

Milczenie. Ale teraz nie pewne, teraz przestraszone.

– Na lotnisku w Pradze czekał na pana Rolf Sperling. O czym pan z nim rozmawiał? Kto w tych rozmowach uczestniczył? Znał pan przedtem Sperlinga?

– Korespondowałem z nim – wyjaśnia Krzysztof. – Sperling był adwokatem dziewczyny, która... z którą... no, Moniki. Conchita nas skontaktowała. Chciałem się dowiedzieć czegoś o Monice. Porozmawiać o niej z kimś, kto ją znał. Więc kiedy Sperling miał być w Pradze, tak blisko...

– Chciał pan z nim tak po prostu, prywatnie porozmawiać? Tak?

– Tak.

– Dostyc tych kłamstw! – krzyczy nagle stary. – Za co panu przysyłano pieniądze? Trzy wpłaty na pańskie konto... od Conchity Estravados, Rolfa Sperlinga i od... – łysawy usłużnie podsuwa kartkę – od Hildegard Braun z Monachium. Trzy wpłaty: Paryż, Londyn, Monachium. Za co?

– Nie za co, tylko na co. Na podróż. Conchita chciała, żebym do niej przyjechał. To wszystko od niej. Wysyłały trzy osoby, ale to od niej.

– Kim jest ta Hildegard Braun?

– Nie wiem. Chyba jakąś znajomą Conchity.

– Czemu Conchita posługiwała się różnymi nazwiskami? Mogła sama przysyłać panu pieniądze.

– Nie wiem, nie wiem! Musiało jej tak być wygodniej.

– Jaka jest pańska definicja terroryzmu?

– Nie interesują mnie definicje terroryzmu.

– Tylko praktyka, tak? Jakie instrukcje przekazywali pańscy znajomi polskim kontrrewolucjonistom?

– Jakim kontrrewolucjonistom? Jakie instrukcje? Niech pan skończy z tymi bzdurami!

– Mam wierzyć, że utrzymywał pan z tamtymi ludźmi kontakty czysto prywatne?

– Oczywiście, że tak! Interesowali mnie. Byłem ich ciekaw. Wydawało mi się, że mają rację. Ale po pierwszym spotkaniu z nimi i po powrocie do Polski zmieniłem zdanie. Uznałem, że to my mamy rację.

– Jacy „my”?

– Polacy. „Solidarność”. Ale to nie był powód, żeby przestać nawet odpowiadać tamtym na listy! Lubiłem ich. Conchitę lubiłem. Aż do czasu, kiedy...

Milknie. Tamtych zresztą nie interesuje to „kiedy”.

– Więc pana zdaniem nie było żadnego związku między zachodnim terroryzmem, zachodnim lewactwem a polską kontrrewolucją? Tak?

– Jaką kontrrewolucją?!

– Macie w celach głośniki. Wie pan, co się stało w kopalni „Wujek”. Czy to jest terroryzm, czy nie?

Krzysztof na chwilę głupieje. Nie spodziewał się pytania aż tak absurdalnego. Kopalnia „Wujek”? To tam, gdzie przy tłumieniu strajku ZOMO zastrzeliło siedmiu górników. Czy ten człowiek jest przy zdrowych zmysłach?

– Terroryzm? – pyta. – Nie rozumiem... czyj terroryzm? Górników czy ZOMO?

Stary daje znak. Łysawy wstaje i, nad stolikiem, dwukrotnie uderza Krzysztofa w twarz.

Gdyby nie siedział na krześle, wciśniętym między stół a ścianę, zwałiby się na ziemię. Kark mięknie mu nagle, nie może już utrzymać głowy, głowa zwisła bezwładnie, światło zgasło, zrobiło się ciemno.

Kiedy pokój wraca na swoje miejsce, łysawy siedzi znów naprzeciwko. Uśmiecha się.

– Teraz będzie pan z nami rozsądnie rozmawiał?

Krzysztof ostrożnie porusza głową. Jak wahadłem, z boku na bok.

– O nie. Teraz już na pewno nie.

Patrzają na niego przez chwilę.

– Dobrze.

5

Tym razem wiozą go samego. Dwaj zbrojni przyglądają mu się przez kraty jak niebezpiecznemu zwierzęciu. Nie wracają do Białoleki. Jadą dalej. Nie wiadomo dokąd.

Najważniejsze, że gorączka minęła. Od tamtej rozmowy w pustym, nocnym gmachu – ile to godzin temu? cztery, pięć? – od tamtej rozmowy minęła gorączka, ustąpiła choroba. Po raz pierwszy od tygodnia jest całkiem przytomny.

Zaproponowano mu zatem, żeby został szpiclem. A on odmówił z pogardą, z nienawiści, ze wstrętu, ze strachu – ale nie z przyczyn moralnych, nie ma się co oszukiwać. Nie przez lojalność ani którąkolwiek z tych pięknych rzeczy, opiewanych przez idealistów. Bo nienawidzi przecież ludzi, których miał szpiegować, wydawać, sypać: nienawidzi ich z całego serca, życzy im wszystkiego, co najgorsze. „Od czasu, kiedy”. Od trzech tygodni. Pięknie się zbiegło, pięknie ułożyło! Nienawidzi ich mniej więcej od trzech tygodni.

*

Któregoś dnia odezwał się telefon. Dzwoniła Conchita. Mówiła szybko, zwięźle, rozmowy międzypaństwowe drogo kosztują, liczy się każda sekunda. Czy chciałby dowiedzieć się czegoś o Monice? Porozmawiać z kimś, kto dobrze znał Monikę? Jej адвокат, Sperling, będzie 27 listopada w Pradze. Tam chyba Krzysztof może pojechać bez trudu?

Dowiedziawszy się, że granica polsko-czechosłowacka jest zamknięta, że wszystkie kraje socjalistyczne zamknęły granice przed polską zarazą, Conchita klnie w słuchawkę. Więc wyjazd niemożliwy? Możliwy tylko na zaproszenie obywatela czechosłowackiego. To się załatwia na milicji. Taki formularz, trzeba go wypełnić, a milicja przystawia pieczęć. Ach, głupstwo! Ależ to dziecinada! Jeszcze jutro ktoś z Pragi załatwi te... te idiotyzmy. I wysłać ci to ekspresem, tak? W porządku. Pojedziesz, Chris? Ja nie mogę się ruszyć z Paryża, naprawdę nie mogę. Ale Rolf... to znaczy Sperling... przekaże ci wiadomości ode mnie. Ciągłe ci nie dają paszportu? Ale odmowy też nie było? Jeżeli jakoś to w końcu załatwisz, przyjedziesz na święta, dobrze? Przyjedziesz? A Sperling opowie ci wszystko o Monice, wiem, że chcesz wiedzieć. Całuję cię, Chris. Bardzo mocno całuję. Tęsknię za tobą. Wysyłam list. Całuję.

Przyszło zaproszenie. A potem Krzysztof Paliwoda wsiadł w samolot i poleciał do Pragi. Na seans wspomnień o zmarłej księżniczce, o zmarłej NARZECZONEJ. Romantyczny dureń! I wszystko się skończyło. Poleciał po emetyk. Wyrzygać z siebie złudzenia. Późno; ale lepiej późno niż nigdy.

Rolf Sperling czeka na lotnisku. Wysoki. chudy, szpakowaty, taki sam, jak na zdjęciu w prasie. Łatwo go poznać. Obejmują się na powitanie jak dwaj mężowie stanu. Cieszę się, ja też się cieszę, słyszałem od Conchity... Ruszają na parking. Na ich widok ze srebrnego „Golfa” wysiada dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. Sperling dokonuje prezentacji.

To jest Karel. A to Hana.

Mężczyznę wymienił najpierw, Krzysztof zauważa to przelotnie, bez podejrzeń. Jacyś czeccy znajomi, zapewne podwiozą ich do hotelu. Mężczyzna jest gładko ogolony, ubrany w prochowiec, nijaki. Kobieta młoda, jasnowłosa, ładna.

Karel siada za kierownicą, Hana obok niego, oni ze Sperlingiem z tyłu. Sperling gada bez przerwy. O sytuacji w Polsce – straszne! straszne! O Conchicie. Doczekać się nie może spotkania z Krzysztofem. Znów o sytuacji w Polsce: czy naprawdę jest taki głód, tak wszystkiego brakuje, nawet towarów na kartki? Niech Krzysztof kupuje tutaj wszystko, czego mu potrzeba. On, Sperling, da mu trochę pieniędzy. Tylko się nie wzdragać! Tylko się nie wzdragać! Conchita prosiła... no i wszyscy.

– Ależ – protestuje Krzysztof – i tak nie mógłbym niczego przewieźć. Są nowe zakazy celne, zakazy wywozu do Polski. Obejmują praktycznie wszystko. Wszystko, czego u nas brakuje. Żywność, odzież, papierosy. Nawet zapałki. Nawet papier toaletowy!

– Tak, to prawda – potwierdza Karel. – Mamy bardzo ostre zakazy. Ale pana one nie będą dotyczyć. Załatwię z celnikami. Chyba że po stronie polskiej są z kolei zakazy wwozu?

– Ależ skąd!

– To stronę czeską ma pan załatwioną. Proszę o tym nie myśleć. Nie będzie kontroli.

Nie powiedział, że ma znajomego celnika; nie powiedział niczego, co by pozostawiało cień wątpliwości, że jest jakąś tutejszą szychą. Tak właśnie myśli Krzysztof: „Tutejszą szychą”. Ale nie zastanawia się nad tym.

Jadą dziwnie długo. Szosa jest zupełnie pusta, po obu stronach las. Krzysztof mówi jakiś banał o odległości lotnisk od miast: dotarcie z lotniska do centrum miasta trwa dłużej niż przelot z kraju do kraju, co za paradoks! Czy daleko jeszcze do Pragi?

– Ależ my nie jedziemy do Pragi! – woła Sperling. – Jedziemy do Usti nad Łabą. Nie powiedziałem tego?

Do Usti, prawie nad niemiecką granicę. Zabawne. To przypomina porwanie. Ale czemu nie, chętnie zobaczy Usti nad Łabą.

W którymś miejscu skręcają do lasu. Sperling wysiada i zaraz znika, jakby się rozplątał w powietrzu. Krzysztof kręci głową, rozgląda się. „Dokąd on poszedł?” – „Zrobić siusiu”, wyjaśnia Karel: och, oczywiście. Co za głupek ze mnie! Czekają. Sperling wraca. Znow wyjeżdżają na szosę, zawracają, od skrzyżowania ruszają inną drogą. Jak w szpiegowskim filmie. Hana krzyczy nagle, wyciąga rękę z rozczapierzonymi palcami, przesłania nią oczy. To wiewiórka, wiewiórka przebiegła, tuż przed nimi. Nie przejechali jej. Uspokój się, dziewczyno! Sperling nagle ożywiony, zaczyna opowiadać, jak poznał Hanę. W londyńskim ZOO! Drapała jelenia po obolałych rogach, nikomu by to na myśl nie przyszło. I mówiła do niego po angielsku, „bo to angielski jeleń”, wyobraża pan sobie? Potem zauważyłem, że zwierzęta na nią patrzą. Na nikogo nie patrzą, a na nią tak, wyodrębniają ją z tłumu, coś niesłychanego, czarownica! Ona ma niezwykły, telepatyczny kontakt ze zwierzętami, ta Hana.

– Już nie.

Po raz pierwszy usłyszał jej głos, ciepły, gardłowy, smutny. Chciałby zobaczyć teraz jej twarz. Żałuje, że nie zwrócił uwagi na jej twarz od razu, wtedy, kiedy ich sobie przedstawił. Teraz widzi tylko jej puszyste, lekko poruszające się w przeciągu włosy, widzi je tuż przed sobą. Sperling mówi coś o Londynie, o tym, jak bardzo lubi Londyn, wspaniałe miasto! Conchita go nie rozumie, przywykła do Paryża. I nagle, ni stąd, ni z owad, pada pytanie: – Michael Bernard? Nie kontaktuje się pan już z Michaeliem Bernardem?

Jednocześnie samochód zwalnia bez powodu. Karel zeszywniał za kierownicą, jak gdyby chciał, nie odwracając głowy, usłyszeć dokładnie każde słowo odpowiedzi. I Krzysztof rozumie – pojął to w ułamku sekundy, w jednym błysku – rozumie, że po to właśnie został tu ściągnięty. Żeby można było zadać mu to pytanie. Pozornie bez nacisku; a jednak jest nacisk. Inny ton. Błysk w oczach Sperlinga. Znieruchomiał kark Karela, pisk opon.

– Nie – mówi Krzysztof. – Napisałem raz do niego, ale mi nie odpowiedział.

– On teraz jest figurą we Francji, wie pan o tym? – Krzysztof nie wie, ale kiwa głową. – Po zwycięstwie socjalistów został doradcą prezydenta. Człowiekiem do specjalnych poruczeń.

Krzysztof znow kiwa głową. Możliwe.

– Tak, to zrozumiałe, że pan do niego więcej nie pisał. W takiej sytuacji to on powinien był napisać... korona by mu z głowy nie spadła. Co pan o nim myśli?

Znow napięcie. Plecy Karela stają się jeszcze sztywniejsze, ręce mocniej ściskają kierownicę.

– Nie podobał mi się.

– On podobno odegrał dość dwuznaczną rolę w sprawie Estravadosa. Różnie o tym mówią. A pan co myśli?

– Cóż, zastanawiałem się nad tym – odpowiada Krzysztof. – I wydaje mi się, że tak. Nawet jeśli odrzucić rzeczy niepewne, plotki, jego własne gadanie po pijanemu. Jeśli sam go nie zabił, to w każdym razie był wśród zabójców. Jeżeli nie zabił, to na pewno zgubił. Tak myślę.

– A teraz? – pyta Sperling. – Jego rola teraz? Co o tym sądzisz?... Och, przepraszam, ale może tak będziej prościej, przejdźmy na „ty”.

– Dobrze. Jego rola teraz? Cóż, na pewno jest wtyczką, ale czyją? Słyszałem na przykład od ludzi związanych z OWP... z Organizacją Wyzwolenia Palestyny...

Sperling drży z niecierpliwości. To widać.

– ... o jego podwójnych kontaktach. Z Palestyńczykami i z ludźmi popierającymi ruch syjonistyczny, ludźmi z bardzo wysoka, tymi, którzy są teraz w rządzie. Tamci z OWP brali to za jego czysto prywatne przyjaźnie, które ich złościły, nie było żadnych podejrzeń czy zarzutów, nic podobnego, Bernard był ich bożyszczem, nie tylko ich zresztą.

– Myślisz, że infiltrował środowiska związane z OWP?

– Jasne.

Co go to obchodzi? Co go obchodzą Palestyńczycy? Ale tych tutaj obchodzą, to widać, przykład dwulicowości tego demona, Michaela Bernarda, został wybrany trafnie. Sperling i Karel lekko, niezauważalnie zmieniają temat. Cóż, Krzysztof i tak wie, nie ma wątpliwości: tylko po to go tu ściągnęli. Z inicjatywy Conchity: dlaczego? Kto może wiedzieć o Michaelu Bernardzie więcej niż Conchita? Czy opowiadała komukolwiek o tym pijackim wyznaniu? Czy wyznanie zdarzyło się w ogóle? A jeśli tak – czy było prawdziwe? Nie wie, nie wie; nikt nie może tego wiedzieć.

Nie ma człowieka, który by znał całą prawdę – o tej sprawie albo o jakiegokolwiek innej. Rozparty w samochodzie, który wiezie go do Usti nad Łabą, Krzysztof uświadamia to sobie po raz pierwszy. Szpiedzy, szpiedzy, ci ludzie to szpiedzy, szpicle, szperacze, obojętne, jak ich nazwać, i samo ich istnienie skłania do wiary w Boga; ich istnienie, na którym opiera się świat! Jeżeli są szpiedzy na ziemi, musi być i Bóg na niebie; Boże, wybac mi moją ślepotę. Ktoś przecież musi znać prawdę! Prawdę, którą oni – niezliczone pionki krzyżujących się wywiadów – gmatwają, ukrywają, deformują, rozdzierają na strzępki, nie mogące się już nigdy, w niczyich rękach złożyć w całość. Świat podarty, świat rozszarpany! A nitki wyprute ze świata zostały zawleczone do krecich jam, nor, podziemnych korytarzy zagubiły się tam, zetlały, niszczały. Nikt ich nie odnajdzie, nikt nie odtworzy wzoru, osnowy świata, zbyt wiele kretów walczyło ze sobą, rozrywając osnowę, dzieląc ją, chowając. Rozszarpany! Długi dreszcz przechodzi po grzbiecie człowieka, wiezionego do Usti nad Łabą przez sam środek rozszarpanego świata, człowieka ściskającego w spoczonej dłoni parę nitek, które on sam ze świata wypruł. I chmury osnuwają się nisko nad ziemię, zsyłając ciemność. Rozszarpany!

Usti nad Łabą. Stojąc z papierosem przy oknie hotelowego pokoju po raz pierwszy widzi przed sobą otchłań. Widzi, jak ziemia rozstępuje mu się pod nogami. Nie podejrzewał tego. Każdy z milionowego bractwa szpiclów, każdy z tych niewidzialnych, z tych podziemnych, wybuchnąłby teraz śmiechem, żaden by mu nie uwierzył. Nie podejrzewał? Więc czego szukał w świecie polityki: czystości, wzniosłości? Ależ tak, tylko tego. Słyszy ich huczący śmiech. I nie zdziwił się nawet tymi zaproszeniami od nieznajomych, tymi rękami ochoczo wyciągającymi się do niego; nie zdziwił się istnieniem ludzi PŁACĄCYCH za niego, dających mu PIENIĄDZE? Ależ nie, oczywiście, że nie. Czyż pragnienie poznawania istot myślących i czujących podobnie nie jest naturalne? Czy nie jest naturalne, że mający pieniądze dzielą się nimi z podobnymi do siebie? Znów ten huczący śmiech. Nadal upierasz się, że niczego nie podejrzewałeś? Nie wiedziałeś, że tylko my, tylko MY robimy coś podobnego? I do Stoczni też wszedłeś, jak się wchodzi w coś kryształowo czystego, też bez podejrzeń! Stoi

przy oknie patrząc w listopadowe niebo nad Usti, i widzi otchłań. Ale nie czuje strachu. Jeszcze nie. Zrozumie, co się tu dzieje, i wywinie się z tego. Dotąd się udawało. Spadał na cztery łapy z każdego dachu, zawsze. Życie intelektualne Krzysztofa Paliwody! Jego poznawanie świata! Czemu miałbyś się bać poznawania świata, głupcze? A przecież już wie. To nie jest dziecinna zabawa. To taniec nad przepaścią. Autorze „Mojej utopii” i „Eseju o rzeźniach”, sympatyku Nowej Lewicy, inicjatorze RPI, entuzjasto „Solidarności”, ślepy szczeniaku, widzisz przepaść? Widzisz wreszcie przepaść?

Rolf Sperling przychodzi do jego pokoju z butelką koniaku i tuzinem butelek coca-coli, wody mineralnej, toniku. Mieli przecież pogadać o Monice: trudno to robić przy restauracyjnym stole! Kiedy się sadowią, kiedy Sperling rozlewa koniak, Krzysztof pyta nagle:

– Jak on się właściwie nazywa, ten Karel?

Ręka Sperlinga drgnęła, koniak chlapanął na przykrywające stolik szkło.

– Dlaczego pytasz?

Jego wrogie, podejrzliwe spojrzenie! Spojrzenie, w którym jest niebezpieczeństwo!

Krzysztof zdziwił się tylko, nie za bardzo. Siedząc wygodnie w fotelu, z odchyłoną do tyłu głową, mówi:

– Nie wiem po prostu, czy nie dosłyszałem jego nazwiska na lotnisku, czy może w ogóle go nie powiedział. A to głupio, tak nie pamiętać. Wzrok Sperlinga łagodnieje; podejrzenia go opuściły.

– Nie, nie słyszałeś jego nazwiska... tak lepiej. Lepiej za dużo nie wiedzieć. „Karel” wystarczy.

Krzysztof potakuje obojętnie. Skoro tak... Oczywiście, że „Karel” wystarczy. O Hanę nie warto w ogóle pytać, odpowiedź byłaby ta sama. Więc nie pyta.

Sperling ma mówić o Monice. Ale mówi o Polsce. Wydaje się, że szczerze. Rozsadza go oburzenie. Jego oczy fanatyka płoną. Kontrrewolucja! Biedny Krzysztof, żyje w kraju mało, że zrujnowanym i głodującym, ale ogarniętym kontrrewolucją! Czy z tym przynajmniej walczy? Czy działa? Krzysztof protestuje. Kłóci się z nim. Kontrrewolucja? Czyli walka z rewolucją, tak? Z jaką rewolucją? Zasypuje Sperlinga słowami. Opisuje mu swój kraj zanim wybuchło to, co nazwał kontrrewolucją. No? Co to było? Jak by to nazwał?

– Ach – mówi Sperling lekko – to były zwykłe trudności początkowego okresu budowy socjalizmu.

Krzysztof zapala się, protestuje. Skądże! On mówi o faktach, a Sperling odpowiada sloganem z jakiejś idiotycznej broszury. Na miłosierdzie boskie, czy wszyscy muszą ulegać pozorom, wierzyć etykietkom? Czy cały świat składa się z ludzi o zatkanym nosach, karmionych cebulą i pewnych, że jedzą jabłka? Bolszewizm nie jest socjalizmem! Leninizm nie ma nic wspólnego z marksizmem... nic poza tym, że jego twórca odwołał się do marksizmu, aby zwiększyć swoje szansę w walce o władzę. Przejął legendę, przejął marzenie uciemiężonych, udając, że je właśnie chce spełnić. We własny sposób, to znaczy robiąc z marzenia jego przeciwnictwo. Ale ponieważ wygrał, uwierzono mu. Nie my, my byliśmy za blisko... ale wy na Zachodzie uwierzyliście! Uwierzyliście w ten absurd, marksizm-leninizm! Czemu nie w żółwio-górze, czemu nie w oceano-wielbłąda, w męsko-żeńskość, w cokolwiek? Lenin był wielkim, genialnym politykiem. Na swój sposób odrodził upadającą Rosję. I tyle. To wszystko. Wszystko! Reszta jest kłamstwem, reszta jest frazesem!

– Chcesz powiedzieć – pyta niepewnie Sperling – że „Solidarność” odwołuje się do Marksa, odrzucając Lenina?

– Skądże! Nic takiego nie chcę powiedzieć. W Polsce od lat narastała nienawiść do wszystkiego, co lewicowe... spowodowana tym, że najeźdźcy, zaborcy, wrogowie gadali bez przerwy o swojej lewicowości. Musimy być ich niewolnikami, bo bez nich nie utrzymałby się u nas jedyny słuszny i sprawiedliwy ustrój... słowem, musimy być ich niewolnikami dla własnego dobra. Chwileczkę! W tym rzecz, że oni zawsze to uzasadniali w ten sposób! W osiem-

nastym wieku też odebrali nam wolność i nawet formalną państwowość, żeby ratować nasz USTRÓJ... bo zachodziły w nim zmiany analogiczne do Rewolucji Francuskiej. Wtedy też szło o ratowanie jedyne go słusznego USTROJU!

– Nie słyszałem o tym – mówi Sperling. – Nie znam waszej historii.

– Szkoda. Bo to tłumaczy, czemu stary slogan u nas nie działa. Powtarzają go od dwustu lat! USTRÓJ się zmienia, slogan nie.

– W każdym razie przyznałeś, że „Solidarność” jest ruchem prawicowym.

— Wcale nie. Mówiłem, że w Polsce panuje wywołana warunkami nienawiść do formalnej lewicowości. Do pewnych słów, określeń, symbolów. I tylko do tego. To także mogłoby ustąpić, gdybyśmy byli niezależni od ZSRR... ale nie wcześniej!

Sperling patrzy na niego z obrzydzeniem, zdumieniem, prawie nienawiścią.

– Nie mogę tego spokojnie słuchać – oświadcza. – Przyznajesz, że ta wasza „Solidarność” jest antysowiecka. Otóż my... mówię o sobie, o Niemcach zbliżonych do RAF, o Włochach zbliżonych do Czerwonych Brygad i tak dalej... my jesteśmy teraz bardzo proowieccy.

– Od kiedy?

– No, przynajmniej od roku. Tak, od roku. Cała strategia ruchu polega w tej chwili na przeciwstawianiu się NATO. Zamachy na szefów NATO, organizacja masowych wystąpień przeciwko NATO i Ameryce, wrogom ZSRR. Marsze pokoju. Propaganda przeciwko zbrojeniom Zachodu. I tak dalej.

– Słowem, po prostu realizowanie sowieckiej polityki zagranicznej? Wybieracie kasztany z ognia?

– A wy chcecie unieważnienia Jałty! Szaleństwo! Zupełne szaleństwo!

– Czy to szaleństwo, chceć dobra dla własnego kraju?

– Dobra? Dobrem ma być przejście pod wpływy Ameryki?

– Jeśli już tak na to patrzeć... Ameryka jest lepsza choćby dlatego, że jest dalej.

Sperling nie chce nic o tym słyszeć. Poczzerwieniał.

– Zdumiewasz mnie – mówi. – Czytałem twoje listy do Moniki. Inaczej sobie ciebie wyobrażałem. I spotykam nacjonalistę... Zresztą nie mówmy o tym.

Wręcza Krzysztofowi kartonową teczkę. Teczka jest pełna odbitek kserograficznych. Pознаł pismo Moniki: to jej zapiski, listy, fragmenty jakiejś sztuki teatralnej. Wszystko, co znaleziono w celi. Chciał się czegoś o niej dowiedzieć: niech to weźmie, dowie się. On, Sperling nie ma już siły dłużej z nim rozmawiać.

– Akceptować wpływy amerykańskie! – mówi w drzwiach, znów obładowany butelkami, które zabiera z powrotem. – To niesłychane! Ja jestem tak antyamerykański, że... dam ci przykład: nigdy nie kupuję bananów United Fruit Company! Zawsze wybieram inne!

Znika, zostawiając Krzysztofa z szeroko otwartymi, jak u zdumionego sześciolatka, ustami. Boże Wszechmogący! Ten dowód własnego męczeństwa, własnej nieskazitelności, który dał mu Sperling, ależ nikt by w to nie uwierzył, nikt! On sam prawie nie wierzy. A potem widzi przez chwilę swój kraj, pełen niekończących się kolejek – po wszystko: po buty, papierosy, chleb, mięso, pieluchy, baterie, żarówki, ocet, ryż, proszek do prania, żyletki, margarynę – po wszystko, po wszystko. Kolejki, stojące tak całymi nocami. Czasem nawet dłużej. Po dwie doby. Często na próżno. Widzi ludzi, chwalcących się swoim bezprzykładnym szczęściem: dziś, wczoraj, przed tygodniem zdobyli makaron! zapalki! musztardę! pół roku temu przechodzili koło sklepu w momencie, gdy przywieziono do niego sześć poduszek i byli na piątym miejscu! I ten człowiek, ten człowiek, który może nawet wybierać... Chryste Panie! „A ja jestem tak antysowiecki, że nigdy nie jem astrachańskiego kawioru, zawsze wybieram irański”, myśli Krzysztof: tak powinien był odpowiedzieć! Ale czy Sperling by to zrozumiał? Syn fabrykanta, przechadzający się z marksistowską broszurą w kieszeni i gardzący robotnikami za ich brak świadomości klasowej: taki właśnie jest Sperling, może wszyscy oni są tacy, panicze! Właśnie w ten sposób nami gardzą: nami, proletariatem świata. Jak milioner żebra-

kiem: on już wie, że pieniądze nie dają szczęścia, a ten konający z głodu nędzarz nie wie; co za trywialność, co za ślepotą! Krzysztof trzęsie się z absurdalnej wściekłości. Nienawidzi Sperlinga. Nienawidzi świata, w którym można jak gdyby nigdy nic kupić banany, mało tego: w którym można wybierać między różnymi gatunkami bananów; Chryste. Wysadziłby ten świat w powietrze, gdyby mógł. Nie chce nawet zajrzeć do zapisków Moniki; nie teraz. Jej także teraz nienawidzi.

Pożegnalna kolacja. Jutro wracają samochodem do Pragi. Wsiądzie do samolotu, wróci do domu. I nareszcie odetchnie.

Na chwilę zostają przy oświetlonym świecami stoliku sami z Haną, z tajemniczą Haną, której prawie w ciągu tych dwóch dni nie widywał, która nie powiedziała przez ten czas więcej niż pięć zdań. Haną podnosi głowę, patrzy na niego uważnie, w napięciu. Jakby chciała mu powiedzieć coś najważniejszego. Decyduje się wreszcie. Pochylona do przodu, pyta cicho:

– Czy pan chociaż wie, co tu jest grane?

– I tak, i nie – odpowiada Krzysztof niepewnie. Haną waha się jeszcze. Karel i Sperling już wracają. W ostatniej chwili dziewczyna mówi:

– Niech pan będzie ostrożny.

„Be careful”. Dlaczego? Dlaczego ma być ostrożny? „Be careful”. Dobrze, posłucha jej – w pewnym stopniu. Na ile umie.

Karel zamówił szampana. Jest ożywiony, pogodny. Sperling patrzy na niego jak uczeń na mistrza, jak żołnierz na dowódcę. Nie ma wątpliwości, kto tu rządzi, kto wydaje rozkazy. Rozmawiają o Polsce. Ilekroć Sperling wyrywa się z czymś zacierzewanym i fanatycznym, czymś w swoim stylu, tylekroć jest gaszony przez szefa. Wreszcie milknie zupełnie. Patrzy tylko na Karela pokornymi, psimi oczami. Haną obojętnie obraca przed sobą kieliszek, przygląda mu się pod światło: wydaje się, że w ogóle nie słucha. Karel – w olśniewająco białej koszuli, w ciemnym garniturze – ignorując tę nieważną parę świadków, prowadzi lekką, światową rozmowę z Krzysztofem Paliwodą.

– A wasze wojsko? – pyta, dolewając mu szampana. – Jakie są nastroje w polskim wojsku?

Idiotyczne pytanie. Skąd **on** może to wiedzieć? A jednak odpowiada. („Be careful. Be careful”).

– W wojsku? Ależ... podobne, jak w całym społeczeństwie. Większość popiera „Solidarność”, tego jestem pewny. Większość chce zmian. Ale jakie to ma znaczenie? Wojsko wykonuje rozkazy, „nastroje” się nie liczą.

– I jak to się skończy, pana zdaniem?

– Cóż... jeżeli nie będzie interwencji...

– Pan używa słowa „interwencja”. Czy słusznie? Gdyby wojska Układu Warszawskiego wkroczyły do Polski, czymże by to było, jeśli nie braterską pomocą?

– Tak – mówi Krzysztof („Be careful!”) – oczywiście.

– Co pan myśli o Stalinie?

Zaskakujący zwrot. Żrenice Karela kurczą się. A zatem...

– Wielki polityk – odpowiada Krzysztof szczerze – i rozdarty człowiek. Jego młodość była gwałtowna, egzaltowana... młodość terrorysty... a całe dalsze życie, po rewolucji, było grzebaniem tej młodości. Robespierre, który samego siebie złożył do grobu! Ta niewiara w cokolwiek, ten bezgraniczny cynizm, to widzenie wszędzie tylko brudów i podłości. Czyli to, co się uważa za cechy dobrego polityka, prawda? Nie mogę zapomnieć pewnego jego zdania: „W polityce nie ma, nie było i nigdy nie będzie sentymentów”.

– Pan źle zrozumiał to zdanie – prostuje Karel tonem aktywisty partyjnego, tonem absolwenta wieczorowych kursów marksizmu-leninizmu. – Stalin mówił, że nie może być sentymentów wobec **wroga klasowego**.

– Nie. Mówił tyle, bez dodatków. Powtarzał to zdanie wiele razy, w różnych okolicznościach. Mówił je także tym, którzy go uwielbiali i okazywali to uwielbienie: żeby ich ostudzić. Dużo na ten temat czytałem, słyszałem. To jest klucz do całego „stalinizmu”. Skutki zabijania własnej młodości! Takie są skutki! Bo to przecież nie było prawdziwe zdanie, to był błąd. Fatalny błąd. Jeżeli wykluczy się z polityki „sentymenty”, wpada się w daltonizm, przestaje się widzieć ogromną część rzeczywistości. Traci się z oczu i możliwość zwiększenia własnej siły, i zagrożenie... przede wszystkim zagrożenie!

Karel przygląda się Krzysztofowi uważnie. Ocenia go. Nad czymś się zastanawia.

– Coś panu powiem. W pańskim kraju nie będzie „interwencji”, chyba w razie ostateczności. Natomiast w najbliższych dniach Jaruzelski sam to załatwi. Długo się to kotłowało, trzeba było wielu ludzi usunąć, wiele przygotować... ale teraz wreszcie pole jest oczyszczone. Jaruzelski skupił całą władzę w swoim ręku, jest teraz premierem, pierwszym sekretarzem i ministrem obrony, przedłużył służbę wojskową o trzy miesiące, jeszcze przedtem puścił na kraj swoje „wojskowe grupy operacyjne”, swoje szpice... musicie mieć niesłychaną sympatię do waszego wojska, jeżeli nie widzicie, co to znaczy! Będzie stan wyjątkowy, rozwiązanie „Solidarności”, aresztowanie przywódców, przywrócenie porządku. Co pan na to?

Krzysztof wzrusza ramionami.

– Może to będzie dobre.

Karel sięga po butelkę, nalewa wszystkim. Ożywił się.

– A więc... za zwycięstwo polskich patriotów!

Za to można wypić. Oczywiście! Co innego rozumieją przez to słowo, zupełnie co innego. Za zwycięstwo polskich patriotów. Piją wszyscy czworo – troje szpiegów i jedno tępe, ciemne narzędzie: na razie, tylko na razie. Bo czy mógłby nie skończyć tym samym, co oni? Troje szpiegów i jeden szpieg in spe, jeden prawie-szpieg, jeden zadatek na szpiega. Wszędzie i zawsze jest to samo. Polityka jest grą. Ping-pongiem szpiclów. Niczym więcej. W polityce nie ma, nie było i nigdy nie będzie sentymentów.

*

Czy rzeczywiście? Kołysząc się i chybocząc w pustej „suce” milicyjnej, Krzysztof Paliwoda leniwie zadaje sobie to pytanie, najważniejsze.

Nie wierzył w to, co zapowiedział mu Karel. Dlaczego? Bo wierzył w „sentymenty”. Nie on jeden. To, o czym mówił Karel, nie było objawieniem. Od tygodni nadchodziły wiadomości z góry: generał w czarnych okularach i żelaznym gorsecie przygotowuje stan wojenny. Ma być wprowadzony w czwartym dniu po objęciu przez niego władzy w partii, tak uzgodniono z Rosjanami. Nie został wprowadzony w czwartym dniu. A więc znowu uniki, znowu gra na zwłokę: generał robi to od wielu miesięcy. Nie poderżnie przecież gardła własnej ojczyźnie! Nawet po to, zwłaszcza po to, żeby nie zrobił tego kto inny: co za argument! Jedyne usprawiedliwienie zdrajców. Jeżeli to gardło musi zostać podcięte, czy nie lepiej, żebyśmy sami to zrobili? Nie, nie wierzono w zdradę; wierzono w sentymenty. Miliony ludzi! Dużo to o nich mówi. Aż przyszła noc, kiedy sentymenty zabito.

Przymyka oczy. Drzemie. Siedmiodniowe niemowlę, człowiek urodzony trzynastego grudnia. Teraz już wie wszystko, tak myśli. Wyrzygał złudzenia. Może nawet w końcu zostanie szpiclem. Trzydzieści jeden lat życia płodowego przygotowywało go do tej decyzji, jedynej! W polityce nie ma, nie było i nigdy nie będzie sentymentów. W polityce – więc wszędzie, więc nigdzie, nie ma przecież niczego poza nią. Zawsze tak myślał. Kołysze się. Drzemie. Nie ma! Nie było! Nigdy! Nie będzie! Ma łzy pod powiekami. Nie pozwoli im wypłynąć, tylko tyle. Nie ma! Nie było! Nie będzie! Dwaj zbrojni patrzą na niego w milczeniu.

Nie jest już sam: Po drodze załadowano do wozu dwunastu innych. Tych dwunastu zasy-pało go pytaniami. Skąd jest? Skąd go wiozą? Ach, jest z Warszawy! Był w Białoleńcu!

Teraz mówią o sobie, przekrzykując się, jeden przez drugiego. Wszystkich ich wzięli w nocy trzynastego grudnia. W Krakowie, w Poznaniu, w Zabrze. Jednego w Gdańsku. Wpa-kowali do obozów, do więzień. Z jednymi rozmawiali wczoraj, przedwczoraj, kazali im pod-pisywać jakieś bzdury, występować z „Solidarności”, z innymi nikt nie rozmawiał. W każdym razie wszystkich ich w końcu zabrano z miejsc, w których byli, wieziono w niewiadomym kierunku, zrobiono przesiadkę. I oto są tutaj. Co dalej? Czy ktoś się orientuje, co dalej?

Wóz przejechał kawałek i znów się zatrzymał. Spodziewają się dalszej partii internowa-nych, nasłuchują, czekają. Ale nikt nie otwiera kraty. Zewnętrzne drzwi, tak. Widać za nimi las. Mrok przed późnym, zimowym świtem, i las. I czarne sylwetki na tle lasu. Z bronią. Szum drzew i cisza. Niezrozumiała cisza.

Wszyscy milczą. Struchleli. Nagle któryś mówi nieswoim, śmiesznie zdławionym głosem:

– Pytaliście, co dalej?

– Palmiry – mówi siwy mężczyzna, siedzący obok Krzysztofa. – Znacie Palmiry?

– Zdrowaś Mario, łaskiś pełna. Pan z Tobą... – zaczyna bełkotać młody chłopak z dołkiem w brodzie; ktoś nim potrząsa.

– Uspokój się, mały! Nie pokazuj im, że się boisz! – I po chwili dodaje: – Na modlitwę powinno ci jeszcze starczyć czasu... jak nas wyciągną.

Siedzą więc w milczeniu. Nasłuchują. Na tle lasu kołyszają się długie, żółte światła. Gasną. Słychać manewrujące samochody, coś ciężkiego, ciągniętego po ziemi...

– Karabiny maszynowe? – pyta siwy. – Tych w Palmirach załatwili z maszynowych.

– Ale jeszcze nie przyszli z gipsem – odzywa się ktoś, kogo Krzysztof nie widzi. – Powin-ni nam zagipsować usta. Żeby bez okrzyków...

– Przestań!

Jeszcze parę minut. Potem nagle drzwi się zatrząskują. Jeszcze trochę hałasu – i samochód rusza naprzód. Chłopak, który się modlił, siedzi z opadającą szczęką.

– Chcieli tylko nastraszyć?! – pyta po chwili.

Jadą dalej. Bez końca. Po tym, co zaszło w lesie, nie chce im się rozmawiać. Drzemią. Sa-mochód znów staje. Jakies zgrzyty na zewnątrz. Rusza wolniutko. Parę metrów. Staje. Znów zgrzyty, uderzenie o metal, krótkie wycie psa. Drzwi się otwierają. Zbrojni w przedsiönku ani drgnęli – jak przedtem, w lesie. To oni mają wysiąść. Więźniowie. Tylko więźniowie.

Jest już dzień. Szare, pochmurne niebo, szare zwały śniegu. Dwuszeręg ludzi z pistoletami, z psami. Mamy iść środkiem. Psy wyciągają pyski, łapią nasz zapach, warczą. Za nami – mur. I druty kolczaste. I brama jak w Oświęcimiu. Ach, te wycieczki szkolne, kiedy to z lizakami w kieszeniach, parami, popędzani przez przewodnika, zwiedzali Oświęcim! ARBEIT MACHT FREI! – mówi siwy. Oglądają się odruchowo. Czy nad bramą nie ma tego napisu? Nie ma. W dwuszeregu. Szybko.

Siwy rusza pierwszy, inni za nim. Nie okazać strachu. Psi oddech parzy im nogi. Miejsca, w które wycelowano pistolety, drgają.

Cela śmierdzi. Więziennym smrodem, który Krzysztof poznał w Białoleńcu, ale o wiele sil-niejszym. To ta wilgoć. I zatkany jak w Białoleńcu, jak chyba wszędzie, obrzydliwy kibel. Ktoś chce prosić o otwarcie okna, o przewietrzenie. Zagłuszają go, krzyczą. „Od smrodu jeszcze nikt nie umarł, a od zimna cała armia Napoleona!” Cztery dwupiętrowe łóżka, ciasno. Będzie się miało tuż nad głową sąsiada albo sufit. Krzysztof czym prędzej zajmuje najwyższą prycę: nie ma tu więcej miejsca niż gdzie indziej, ale szczury będą mieć dłuższą drogę. Tam, w Bia-łoleńcu, były szczury. Koce śmierdzą inaczej niż cała cela, innym smrodem. Mokry. brudny

sufit jest tuż: trzeba tu leżeć na wznak, trzeba tu leżeć jak w trumnie, trudno się poruszyć. Od razu zaczyna mu brakować powietrza, dusi się. Tego bał się najbardziej, gdy czytał o Oświęcimiu, to mu się wydawało najstraszniejsze. Brak miejsca, brak powietrza! Te purycze, jedna nad drugą, jedna tuż przy drugiej – i ta mała, żelazna szafka, w której zamykano skazanych na śmierć, w której konali stojąc z przykurczonymi nogami, z pochylonymi głowami. Myślał o tym ze zgrozą, przez całe życie; no, i doczekał się. Przyszło. Każdy dostanie swój Oświęcim! Każdy!

Siwy – jego sąsiad, jak się okazuje (wpakowano tu wszystkich z transportu z wyjątkiem jednego) – osłupiał. Stoi bezradnie w przejściu rozgląda się z przerażeniem. Nie może oddychać tym smrodem, mdli go. No nie, bez przesady! W Białoleścu było trochę lepiej, ale tylko trochę. Gdzie **ten** był do tej pory, jeżeli nie przywykł nawet do smrodu? Kapuś?

– Gdzie pan był dotąd? – pyta Krzysztof, i, nie czekając na odpowiedź, radzi cicho: – Proszę zająć miejsce na górze, dopóki wolne.

Zawsze bezpieczniej... ze względu na szczury.

– Szczury?

Siwy znalazł się na górze szybciej, niż można by przypuszczać w najśmielszych marzeniach. Już jest obok Krzysztofa, na sąsiedniej pryczy. Inni debatują nad kibelem, awanturują się, tracą czas.

– Gdzie pan był przedtem? – powtarza Krzysztof.

– W Drawsku Pomorskim – odpowiada siwy. – Od razu trzynastego zawieziono mnie do Drawska. Nie rozumiem, czemu zostałem przeniesiony. Niczego tu nie rozumiem. Do zwykłego więzienia? My przecież jesteśmy internowani, na Boga, **internowani**, nie uwięzieni! W Drawsku...

– No?

– To jakaś baza lotnicza – mówi siwy – czy może ośrodek szkoleniowy dla lotników, nie wiem. Tam mieliśmy tapczany, po trzy w pokoju.

– Tap-cza-ny?

– Tak. I te... obrazki na ścianach... i swobodę poruszania się w obrębie piętra... i spacer. Piękna okolica, czyste powietrze. Oczywiście, wszyscy byli najpierw w rozpacz, ale... Zorganizowaliśmy zaraz samokształcenie. Wykłady. Siedział ze mną profesor od gazów ciekłych... w życiu nie myślałem, że tyle się dowiem o gazach ciekłych i że tak wszystko rozumiem! I wykłady z astronomii mieliśmy, i z mechaniki ciała stałego... A dzisiaj, tak, dzisiaj ja miałem mówić o historii Legionów... bo jestem historykiem. Nie wiem, co im się stało, czemu mnie nagle przenieśli...

– A za co pana wzięli? Skąd pan jest?

– Wydałem broszurkę o wojnie dwudziestego roku... poza cenzurą, oczywiście. I parę szkiców, legalnie, w biuletynach „Solidarności”. Bo kto inny by mi to wydrukował? Radziszewski jestem, Sylwester Radziszewski, profesor. z Gdańska. Ja...

– Paliwoda Krzysztof. Z Warszawy. Jestem prawnikiem. Byłem jednym z „ekspertów”, wie pan. Jeszcze w Stoczni. A potem trochę publikowałem w pismach Regionu.

Policzki zaczynają go palić, czuje to. Jakby był kłamcą. Gdyby mógł zacząć wszystko od nowa, gdyby rozumiał, że każdy jego list, wysłany za granicę, jest zdradą, że wyjazd do Pragi jest zdradą, że wszystko to może być użyte przeciwko sprawie, w którą uwierzył; gdyby rozumiał! A teraz? Szpiclem! Chcą, żeby został szpiclem, dlatego tu jest! No, powiedz to, powiedz, a nikt ci nie będzie ufał, tak już jest. Wystarczy otrzeć się o sprawę tak cuchnącą, a zawsze już będzie się włókł za tobą smród.

Ach, właśnie! Smród!

Debatujący wokół kibla wezwali strażnika. Dlaczego kibel jest zatkany? – To go przetkajcie. – Nie my go zapchaliśmy, nie my będziemy przetykać.

– Jak wam przeszkadza, że zatkany, to przetkajcie. Nikt inny tego nie zrobi.

Ktoś już się złamał. Co tam, przetka. Dajcie narzędzia, to przetka. Krzysztof nasłuchuje z ciekawością. Zna już ten dialog.

– Narzędzia? – Strażnik śmieje się głośno. – Jakie narzędzia? Człowieku, to ty jeszcze nie wiesz, jak się to w więźniu robi? Rasią! Własną rasią!

Oczywiście. W Białoleńcu było to samo. Ale profesor Radziszewski nie posiada się z oburzenia.

– W Drawsku nie był zatkany? – pyta leniwie Krzysztof.

– W Drawsku była toaleta! I łazienka! Przecież my jesteśmy internowani, pan jako prawnik powinien wiedzieć...

– Nie ma przepisu, że skazani muszą gołymi rękami czyścić zatkane kible. W ogóle nie ma przepisów tak szczegółowych... szczegóły to praktyka! To polityka!

– Ale jakie to niskie! Jakie to małe!

Profesor śmieje Krzysztofa swoim wzniosłym tonem. Niskie, małe! Wykopalisko ancien-régime'u!

Młody człowiek, ten, który zaczął się modlić w lesie – i on jest w celi? – rozgląda się za czym innym.

– Warn też zabrali opaski? – pyta. – No, te żałobne! Po 17 grudnia!

Ach, tak.

Krzysztof przypomina sobie: z okresu swojego drżenia, swojej gorączki. Swojej półprzytomności.

Słuchali w Białoleńcu rządowej szczekaczki, radzi, że jest chociaż ona. A ci, którzy umieli jej słuchać, skakali z radości: cały kraj się broni, cały kraj walczy, strajk generalny, zrobili jednak strajk generalny! Z miejsca! O tym nie było ani słowa; ale tym doświadczonym wystarczyło wysłuchać porannego komunikatu Państwowej Dyspozycji Mocy, tego nudnego szyfru, żeby wiedzieć. „Który stopień zasilania? **Który?** Ależ to znaczy, że przemysł w ogóle nie pobiera energii, że przemysł stoi! Strajk generalny!” A potem, w czwartek, podano wiadomość o „pierwszych ofiarach” – pierwszych ofiarach zbrodniczych machinacji kontrewolucji, oczywiście. Górnicy z „Wujka”, manipulowani przez Wrogie Siły, zaatakowali wkraczające do kopalni jednostki ZOMO: kilofami, łańcuchami, siekierami. ZOMO w obronie własnej użyło broni palnej. Siedmiu górników zginęło. Siedmiu! Nikt nie wierzył tej liczbie. Rozpacz. Ale podniecona, gniewna rozpacz. Widzicie, w jakiej determinacji są ludzie? Jeżeli to prawda, że kilofami, siekierami... to oznacza tak wielką nienawiść, że ONI już jej nie zdławią. Nigdy. Bój to ICH będzie ostatni! A potem śpiew. I myśl o tamtych sprzed Powstania Styczniowego, o pięciu zabitych, po których włożyła żałobę cała Polska. Cała Polska w czerni! Zamiast biżuterii – druciane krzyżyki, ołowiane bransoletki w kształcie kajdan, broszki udające korony cierniowe. Cały naród! To trzeba powtórzyć. Trzeba zacząć od siebie. Żałobne opaski, zaraz żałobne opaski... Ale z czego je zrobić?

– Z czego je zrobić? – zastanawia się głośno chłopak z dołkiem w brodzie. – Nie ma któryś z was czegoś czarnego?

Nie, nikt. Tam, w Białoleńcu, jeden miał czarny podkoszulek. Zębami powypruwał poprzeczne nitki, dzieląc go na pasy. Potem się to ucinało trzonkiem łyżki, rwało, przegryzało. Zrobili opaski. Sam nie zauważył, kiedy mu to zdarli. Przy tym przebijaniu przed jazdą do Warszawy, tak myśli, ale w pierwszej chwili naprawdę nie zauważył.

Chłopak już coś wymyślił. Niech tylko zajrzy strażnik.

Kiedy strażnik zagląda, chłopak prosi go o pastę do butów: to chyba nie jest zakazane? Jeśli pozwolili im zachować własne buty, to chyba wolno je wyczyścić? Brudne, że strach! Krzysztof patrzy i dziwi się. Bo strażnik zgodził się od razu. Pasta do butów? Tak, to można. Czemu nie? Buty powinni wyczyścić... w ogóle, porządek ma być. Koce w kostkę i tak dalej. Buty wyczyszczone i wieczorem wystawione na korytarz. Ubrania też na korytarz, złożone w kostkę. I tak co wieczór. Daje im pastę, czarną. I szczotkę też. Chłopak natychmiast bierze się

do roboty. Z każdego koca trzeba uciąć pasek... to świństwo tak przegniło, że chyba trzonkiem łyżki da się odkroić. A potem posmarujemy tym szuwaksem i zawiążemy na ramionach. No, do roboty.

Wszyscy się podporządkowują. Nie idzie to łatwo, ale chłopak jest zręczny i pomaga. Działal w Patronacie, tak mówi. Napatrzył się na niejedno, dużo wie o mamrach. Swoją drogą, trzeba by tu z miejsca założyć Komitet Samoobrony Internowanych... ale to potem. Najpierw opaski.

Schodzi im na tym czas prawie do kolacji. Ręce mają wysmarowane pastą; te paskudztwa z kibla niewiele już zaszkożądą. I Krzysztof zgłasza się na ochotnika: spróbuje przetkać kibel. Byle mu się potem dano umyć. Ale okazuje się to niemożliwe. – „Bo co zrobisz, człowieku, z tym, co stąd wyciągniesz?” – pyta chłopak. – „Zwalisz na podłogę? Żadnych narzędzi, to żadnych narzędzi. Śmietniczki ci nie dadzą. Nie mówię już o wiadrze. O wodzie do umycia tego wszystkiego. Daj spokój, to metoda. Oni nie chcą żebyś to uporządkował. W końcu będą musieli coś zrobić... no, ale to w końcu! Poczekaj. Nie ma innej rady”. Cóż, chłopak wie chyba, co mówi. I Krzysztof rezygnuje.

O dziewiątej z daleka i z bliska, z różnych stron, słychać śpiew. Tłoczą się wszyscy przy wysokim, zakratowanym okienku. W innych celach, w innych blokach śpiewają. *Jeszcze Polska nie zginęła*. Przyłączają się natychmiast. Jutro o dziewiątej już będą wiedzieć.

Noc. Krzysztof leży na swojej pryczy, okręcony śmierzącym zubożonym o kilkucentymetrowy pasek kocem. Ciemność wywołuje strach, paniczny strach. Nie pozwala widzieć robactwa: widział je w dzień, widział białe, ślepe robaki łażące po wilgotnych ścianach (nie karaluchy, jak w Białolece – tych nie zauważył), i małe, szybkie robaki srebrzyste, i jeszcze jakieś. Teraz są może na nim, na jego ciele, na włosach. Wierci się, drapie. Podrywa się nagle, drżąc z obrzydzenia, i uderza głową o sufit. Jeszcze ta ciasnota. Brak mu powietrza. Czuje ukąszenia. Chwyta to, co go gryzło, po kształcie rozpoznaje pluskwę, rozgnięta ją paznokciami, i natychmiast, bezskutecznie, znów tłukąc się o sufit i mało co nie spadając z wąskiej pryczy, rzuca się ku następnej pracującej skrzętnie tuż nad jego kostką u nogi. Za późno. Po policzku pełnie mu coś oślizgłego; strąca to, ledwo powstrzymując się od krzyku. Czy za godzinę, za dwie godziny, jutro zdoła się od niego powstrzymać, czy zabiorą go stąd w kaftanie bezpieczeństwa? Teraz czuje coś na włosach, a może mu się zdaje, już nie wie. Gdyby był szpiclem, uniknąłby tego. Przebiega mu ta myśl przez głowę i zaraz znika. O tym nie będzie myślał.

A jednak myśli coraz częściej. Z każdym mijającym dniem coraz częściej.

Co pół godziny strażnik zapala światło i przygląda im się przez judasza. Co pół godziny otwiera się oczy i przyłapuje na sobie zaskoczony, rozzuchwalony ciemnością i rozbiegające się teraz w popłochu robactwo. Na sobie, na ścianie. Całe ciało w czerwonych, piekących plamkach, w czerwonych, piekących bąblach. Ogromny pająk, zduszony na twarzy. Rozpryskujące się między paznokciami, opite krwią pluskwy. Ci z dolnych prycz podnoszą bunt: nie będą wystawiać butów na korytarz, czym mają się bronić przed szczurami? I krótki triumf: wiedział, przewidział szczury, schronił się na górze, jest chytry. Ale szczury docierają i na górę. Wspinają się jak akrobaci. Któryś ugryzł go w nogę: jątrzy się to paskudnie, jątrzy i boli. I ten strach, ten wieczny strach. Że też mógł bać się karabinów maszynowych, wtedy, w lesie! Śmierci – a nie tego! Zastanawia się, czy pętla z koca zdołałaby go udźwignąć: koc jest tak przegniły, że łatwo go pociąć i związać w rodzaj sznura, wie o tym po robieniu żałobnych opasek; a jednocześnie właśnie ta łatwość grozi zerwaniem się pętli. I do czego ją przywiązać? Ach, głupstwo, nie musi wisieć, może spróbować zadzierzgnięcia, to prostsze. Na pryczy, na leżąco. Tylko czy mu się uda?

Spacery. Przez pół godziny trzeba dreptać w kółko po zaśnieżonym podwórzu. Jeden za drugim, bez słowa. Psy ich pilnują. Dobrze wytresowane: nie znoszą ich. Jakże ich te psy nie znoszą! W kółko, w kółko. Krzysztof przypomina sobie swoje dawne listy do Moniki, głupie listy uprzywilejowanego. Te cytaty z Wilde’a. Błaznów defilada. Co mógł wiedzieć, on, który

nigdy nie siedział? Kręcą się w kółko, w kółko, w kółko. Otoczeni pięcioma rzędami ogrodzeń z drutu kolczastego; w środku, między drutami, są psy. Idiocyzm. Idiocyzm. „Między pierwszym a drugim rzędem” – szepcze chłopak z Patronatu – „jest fotokomórka: Auschwitz wysiada!” Strażnicy chcą im zedrzyć żałobne opaski. Więc murem, stanąć murem, jeden przy drugim, bronić. I hymn. Więzienia drżą od śpiewu, żyją śpiewem. Jakby to było najważniejsze, jakby nic ważniejszego nie istniało.

Przez cały czas ten żarzący się punkt w mózgu, to miejsce bolesne i napięte: to polityka, myśli sobie mętnie, ubawiony. Już się od tego nie uwolni, cokolwiek z nim będzie. Czy zostanie szpiclem, czy bohaterem. Tak czy owak, został wprawiony w ruch, którego nic nie powstrzyma. Tamtej grudniowej nocy ostatecznie zmieniono go w pocisk i wystrzelono. Nie zatrzyma się, choćby chciał najbardziej.

Świat jest pełen ludzi, których nie wystrzelono. Ani to ich wina, ani zasługa. Może. Może. Co oni teraz robią? Chryste. Wszyscy ci ludzie, żyjący poza polityką. Co robią? Nie myślą o więzieniach, o niezliczonych więzieniach, okrywających świat. Muszą wiedzieć, że coś takiego istnieje, ale nie myślą o tym, nie myślą; jak mogą nie myśleć? Dwa światy, ani w jednym punkcie nie stykające się ze sobą. Przymykając oczy, wyężdżając całą swą zdolność współodczuwania, Krzysztof próbuje sobie wyobrazić ten drugi świat, i widzi tylko jedno: jakieś mgliste postacie, zajądające żółciutką jajecznicę. Mgliste, zupełnie mgliste! Tylko jajecznicza jest wyraźna. Ale on musi przecież zrozumieć tych ludzi, musi ich zobaczyć! Jego los – los wystrzelonego pocisku – zależy przecież od nich. Mgła, mgła. Ci, którym myśl o więzieniach ani na chwilę nie odebrała spokoju. I o krzywdach, i egzekucjach, i rozwianych sztandarach; i o tych z zagipsowanymi ustami, i o tych krzyczących w ostatniej chwili życia to jedyne, najważniejsze zdanie; o tych z podręczników historii, z pieśni, z wierszy – i z małych, gazetowych notatek. SKAZANO. WYKONANO. SZEŚĆ OFIAR ŚMIERTELNYCH. Chryste, czym oni żyją, ci, których to nic nie obchodzi? A przecież takich jest większość! Jakim cudem? Chryste! Kończy się miesiąc, w którym zrabowano ci ojczyznę, miesiąc przegranej wojny, miesiąc przegranej rewolucji, spotykasz ich wychodzących ze sklepu, wysiadających z autobusu, wracających do domu, mówisz: „Cóż to był za straszny miesiąc!”, a oni odpowiadają zdumieni: „Ależ skąd, była zupełnie dobra pogoda. W zeszłym roku o tej porze...” – zna to przecież, zna! Tacy są; jak ich zrozumieć, jak pojąć? Już szpiclom jest bliższy! Policjantom, wybijającym zęby podczas przesłuchań!

Więzienie śpiewa. Więzienie żyje pieśnią. Jakby naprawdę nic już oprócz niej nie zostało.

Śpiew odstrasza szczury. Pozwala znieść robactwo. I upływ czasu także. Wszystko pozwala jakoś znieść.

*Boże nasz. Boże nasz. Boże nasz,
jak ten strajk, jak ten strajk długo trwa!*

Śpiewają to w celi, i znów czuje wzruszenie – ale jak daleką drogę przeszedł od tamtego chmurnego dnia nad brzegiem morza, w twierdzy buntowników, jak obcy jest tamtemu głupcowi. Głupcowi! Kim on był wtedy, co wiedział? Jeszcze go nie umieszczono w magazynku, jeszcze nie wystrzelono. Jeszcze mógł się cofnąć. Teraz już nie. Siedząc na dolnej pryczy, dotykając własnych zarośniętych policzków, podśpiewuje wraz z innymi: *Boże nasz. Boże nasz. Boże nasz*, i na chwilę przestaje czuć ból odmrożeń i ukąszeń, ból w całej tej złachmanionej skórze, i smród, i zaduch. I głód tytoniu. *Stoczniovcy Gdyni, stoczniovcy Gdańska – Idźcie do domu, skończona walka. – Świat się dowiedział, nic nie powiedział – Janek Wiśniewski padł. Szlagier Polski Podziemnej!* Śpiewają go, oczywiście; jak mogliby go nie śpiewać? I dopóki śpiewają, są sobie bliscy; dopóki śpiewają, mogą ze sobą wytrzymać. Bo potem...

Potem różnie bywa.

Nie tylko podczas śpiewu, pomylił się; nie tylko wtedy są sobie bliscy. Także w takich chwilach, jak ta.

Szczekaczka nadała sprawozdanie z konferencji prasowej rzecznika rządu. Wszyscy pytają o internowanych. Rzecznik odpowiada głosem tak rozbawionym, tak kpi i sypie żarcikami, że sam jego ton poderwał wszystkich na nogi. Nie mogą tego słuchać. Ale muszą słuchać, muszą wysłuchać do końca. Rzecznik nie rozumie tej ekscytacji internowanymi. Jest ich niewielu i żyją w komfortowych warunkach. Umieszczono ich w domach wczasowych i sanatoriach. Mogą czytać prasę i książki, prowadzić swobodną korespondencję, widywać rodziny. Podczas gdy prasa zachodnia rozpowszechnia na ich temat kłamstwa tak absurdałne, że się na śmiech zbiera! Że ich jakoby trzymano na mrozie, pod gołym niebem, że szerzy się wśród nich gangrena – tak, dobrze państwo słyszą, gangrena! skąd ten absurdałny pomysł? – (Ktoś na sali wybucha ochoczym śmiechem) – i tyfus, tak, tyfus! Że są nękanie, gnębienie! Ciekawe, skąd te wiadomości. O, proszę, inna gazeta zachodnia, i znów te bzdury o gangrenie, co ich opętało? Internowani żyją w pełnym komforcie, żadne ich prawa obywatelskie nie zostały ograniczone – z wyjątkiem, chwilowo, prawa do wolności.

Ledwie wysłuchali tego wszystkiego, rzucają się do drzwi. Nie oni jedni. Cały blok aż dudni od walenia w te obite blachą drzwi pięściami, od kopniaków. Ci, którzy się nie dopchali, rzucają się do okien, krzyczą przez kraty. Więzienie wyje, woła, łomocze pięściami; więzienie oszalało.

Nadbiegają strażnicy. Są przerażeni, to widać. Grożą, ale ze strachem. Cofają się przed tym podnieconym, półprzytomnym krzykiem. A więc, żyjemy w pełnym komforcie, tak? Przynieście mi natychmiast prasę! I książki! Drugi tom Kronik Szekspira! Tuchaczewskiego o wojnie dwudziestego roku, właśnie to czytałem! Usunąć kibel! Żądamy łazienki! Z gorącą wodą, z prysznicem! Chcę się ogolić! Szampon do mycia włosów! Ja piję tylko prawdziwą kawę, z cukrem, słyszycie? Z CUKREM! Ograniczono tylko moje prawo do wolności, nie prawo do cukru! Oddajcie mi okulary! obrączkę! medalik! zegarek! długopis! Wypuścić nas na korytarz, mamy prawo do kontaktu z innymi celami! A msza w niedzielę? A spowiednik? Kapelan? Kiedy było ostatnie widzenie? Czemu nas nie zawiadomiono? Gdzie papier do pisania? Stół, krzesła, koperty? Niektórzy śmieją się histerycznie, wołając to wszystko; inni nie. Może nawet nie zdają sobie sprawy, że to kpina. Podciągają nogawki, zrzucają buty, pokazują swoje odmrożone nogi, odmrożone ręce, to nie gangrena, skąd, ale wierzą, wierzą święcie, że niektórzy mogli i tego się nabawić na tamtym mrozie. Czy wiecie, jak to boli, dranie? Jak rwie, jak piecze, jak swędzi? Maści na nasze odmrożenia! Nie trzymano nas na zimnie, tak? Nic nam się nie stało? O, patrzcie, skóra pozłaziła z łydek, otwarły się rany! Od odmrożeń! Świetny powód do śmiechu!

Strażnicy coś bełkoczą, coś obiecują. Biegną do szefa. Kąpiel? Właśnie miała być kąpiel... ale nie mamy tu tak dobrych warunków, żeby... Widzenia? W niedzielę będzie widzenie! I paczki od rodzin! Jutro rozdawnictwo paczek! Ludzie, uspokójcie się!

Prowadzą ich pod niemrawo ciurkający prysznic. „Jak w Auschwitzu, przed gazem!” Znów te żarciki. Ale zawsze to ulga, zawsze choć tyle uzyskali. Woda spływająca na ich odmrożone, swędzące, pokąsane ciała. Szybkie przepianie bielizny. Kiedy wracają do cel, okazuje się, że kibel został przetkany, no, chociaż tyle. A lura, którą dostają do kolacji, tym razem jest osłodzona. Poczucie triumfu zaraz ich uspokaja. Można to było przewidzieć.

Zaczynają się paczki. Krzysztof nie dostaje żadnej.

Przychodzą listy od rodzin. Do niego nie ma listów.

Pierwsze widzenie. Do niego nikt nie przyjechał.

Towarzyszy z celi wzywają na przesłuchania. Jego nie. Po powrocie mówią, że obiecuje się im wolność w zamian za podpisanie jakiegoś idiotycznego zobowiązania. „Deklaracji lojalności”, tak to nazywają. Mają się podpisać pod jakimś głupim zdankiem, że nie podejmą działalności skierowanej przeciwko porządkowi prawnemu PRL. Oburzają się. Boją się, że może to być równoznaczne z przyznaniem się do prowadzenia takiej działalności przedtem, a więc i z procesem. Z drugiej strony podpisane pod przymusem nie ma żadnej mocy prawnej.

Dyskutują o tym. Rozważają za i przeciw. Postanawiają nie podpisywać. Jednak nie. Nigdy. Potem w ciągu dwóch dni wszyscy znikają: po prostu nie wracają z przesłuchań. I Krzysztof Paliwoda zostaje sam.

Nie wyprowadzają go już na spacer. Nie widuje nikogo. Doznaje drobnej, cichej satysfakcji na myśl o tym, że zawodzi zapewne czyjeś oczekiwania, nie protestując i o nic nie prosząc. Jakby nie zauważył. Milczy. Leży na pryczy, słucha szczekaczki, je, co mu dadzą. Pełen jakiejś uskrzydłonej zaciekleści. Ależ on wie wszystko o Isolationsfortung, wszystko! I jego, specjalistę, chcą tym złamać? Gdybyż to chociaż był totentrakt ze Stammheim! Ale nie stosują wobec niego tortury ciszy, skądże, to by wymagało techniki, środków, pieniędzy. Ma radio, ma odgłosy zza ścian, z podwórza. I co go to wszystko obchodzi?

Jak inni, wtłoczeni w takie same warunki, przypomina sobie wiersze, recytuje, deklamuje. Jak inni, gimnastykuje się. Chodzi po celi. Liczy kroki. Szaleje z wściekłości; to pomaga. Jakże ta wściekłość pomaga! Mogą niczego nie zmienić, ma tej wściekłości na trzy, na pięć, na dziesięć lat: przeniesie go ona przez te lata nietkniętego, lekkiego jak piórko. Chichocze cicho. Jego **ty** chcieli złamać, jego, samotnika? W gruncie rzeczy czuje się teraz lepiej niż przedtem, niż z ludźmi. Boi się tylko o matkę, ale co zmieni jego lęk? Zapewne na to także liczą: niech sobie liczą. Trzęsie się z nienawiści do nich. Teraz już im nie ustąpi. Teraz nie ulegnie. Z jednego powodu: gdyby uległ, stałby się ich współnikiem; sto razy lepiej być ofiarą!

Oczywiście, wie, co w końcu nastąpi. Naiwność tych ludzi! Czy rzeczywiście przypuszczają, że nie zna ich planu, że nie wie, jak się to skończy? Postraszyli go, pomęczyli – i lada dzień ponowią swoją ofertę. Jeżeli okaże się, że nie został wystarczająco „zmiękczone”, zafundują mu następny etap, gorszy od tego, i znów ponowią ofertę. Mogą też przejść do innych „środków nacisku”, wyobraża to sobie, ale wściekłość unicestwia lęk, niech przychodzą, niech próbują!

Któregoś dnia wywołują go wreszcie z celi. Prowadzą przez puste podwórze. Ziemia jest rozmiękła, błotnista. Odwilż. Ile to czasu trwało? Dwa miesiące? Tak, nieco ponad dwa. Od-dycha chłodnym, wilgotnym powietrzem. Patrzy na chmury, płynące ku wschodowi. Każą mu wsiąść do „budy”, ustawionej przed bramą – ARBEIT MACHT FREI! Wsiada. Zamykają kratę, potem drzwi. Dwóch mundurowych czuwa, tak samo, jak wtedy. Że też chce się im bawić w takie rzeczy dla niego jednego! Jaką wartość w końcu dla nich przedstawia? Wartość potencjalnego szpiega? Czy naprawdę ludzą się, że szpieg pozyskany w ten sposób przyda się do czegoś? Że nie wykorzysta każdej możliwości, żeby działać przeciwko nim? Gestapo. Parszywe Gestapo! Nie skuli mu rąk, jedno dobre. Brama się otwiera, ruszają, przystają, znów ruszają. A potem jazda już bez postojów, równo. Gdyby miał zegarek, wiedziałby, ile godzin, ale co go to w końcu obchodzi?

Nie dziwi się, kiedy go wyprowadzają. Jest znów w Warszawie, przed gmachem na Rakowieckiej. Oczywiście. Gdzie miałby być? Znowu noc, ich ulubiona pora. Sowy! Znowu mija budkę strażniczą, przechodzi ukośnie przez podwórze, znów biurko za drzwiami, po prawej stronie, i kamienna posadzka, i winda, i pusty korytarz, i pusty pokój z wieszakiem po prawej, z biurkiem i telefonem pod oknem, ze stolikiem i dwoma krzesłami w kącie. Siada, czeka.

Przychodzą tamci dwaj – łysawy i jego szef. Szef siada w głębi, łysawy naprzeciwko. Herbaty, kawy? „Kawy” – odpowiada Krzysztof obojętnie. Bierze papierosa z podsunętej mu paczki. Wie, po co go częstują, wie też, że lepiej nie narażać się na udawkę wachania dymu wydmuchiwanego przez innych, przyglądania się, jak inni palą. Nie spodziewał się tylko aż takiej rozkoszy, aż takiego szczęścia przy pierwszym zaciągnięciu się. Chyba tego po nim nie znać, tak sądzi. Czeka na pierwsze zdanie, na ICH pierwsze zdanie.

– Bardzo panu współczujemy z powodu matki – mówi łysawy. Tego się nie spodziewał. Drgnął. Ale zaraz się uspokaja. Stara sztuczka. Milczy.

– Wie pan, oczywiście, co się stało?

Krzysztof wzrusza ramionami. Skąd mam wiedzieć?

– Trzeba było złożyć podanie – sugeruje życzliwie Łysawy. – W wypadkach losowych zwalnia się internowanych... na parę dni. Czemu pan nie złożył podania?

Teraz powinien wybuchnąć, że o niczym nie wie, o możliwości zwolnień w wypadkach losowych także, pytać, czy umarła, krzyżeć coś o bezprawiu, rozplakać się może? Akurat. Zaskakając ręce na kolanie, Krzysztof pyta:

– O co wam, u diabła, chodzi? Ciągłe o tę „współpracę”? No, to mówcie do rzeczy. Co będzie z tego miał?

Zaskoczył ich. Prawie tak samo, jak siebie. Wymieniają spojrzenia. Łysawy bezradnie zwrócił się do szefa o pomoc, szef coś mu szepnął.

– Lubi pan jasne stawianie sprawy, tak? – pyta Łysawy. – Co pan będzie z tego miał? No, przede wszystkim wolność.

Krzysztof krzywi się.

– Zapominacie o jednym. Internowanie jest mi bardzo na rękę. To daje człowiekowi świetną pozycję w środowisku.

– Co pan może o tym wiedzieć? Przez cały czas był pan odcięty od świata.

– Znam środowisko. Poza tym wiadomo, dzięki czemu niektórzy wychodzą wcześniej. Co podpisywali i tak dalej. Nie. Rozumiem, po co jestem wam potrzebny na wolności... ale mnie samemu internowanie odpowiada. To może mi potem procentować przez całe lata. Za stosunkowo niewielką cenę zostać bohaterem... Nie, to nie jest oferta zbijająca z nóg.

– Chce pan otrzymywać wynagrodzenie?

– Nie, nie chcę.

– Więc co... mówiliśmy już poprzednim razem, co panu oferujemy. Wolność, gwarancję bezpieczeństwa, możliwość wyjazdów.

– Mnie chodzi o co innego. Nie chcę zmieniać mojego trybu życia.

Oczy Łysawego błysnęły radośnie.

– Ależ skąd, nigdy! Nikt by czegoś takiego nie wymagał! Oczywiście, będzie pan żył jak przedtem. Tyle że podczas pobytu za granicą zada pan swoim znajomym kilka pytań, które panu podamy. Właśnie o to nam chodzi, żeby pan nie był żadnym zawodowcem. Ci ludzie bezpieczniaka – tak powiedział – rozpoznają po pięciu minutach. Jakiś radar. Więc do pewnych spraw trzeba używać osób zupełnie spoza branży. Amatorów.

– Czy możecie mi to zagwarantować? Że chodzi tylko o tę jedną sprawę... o moich zagranicznych znajomych... i że nie zaczną się naciski, żebym robił coś podobnego w kraju?

– Tak! Tak! Oczywiście, że tak! Niech się pan nie obawia, informatorów na kraj mamy dosyć. Nasi ludzie byli w Stoczni, byli delegatami na zjazd „Solidarności”, byli zresztą wszędzie. Są wszędzie. Natomiast kontakty takie, jak pańskie...

„Gwarancje!” – myśli Krzysztof Paliwoda. Ich gwarancje! Ustna obietnica, nic więcej. Ale zawsze będzie mógł się na nią powołać, żeby odmówić dalszych świadczeń, chociaż tyle. Podnosi do ust szklankę, którą przed nim postawiono, upija łyk kawy. Kawa jest mocna, pachnąca, dobra. Ręką o czarnych, połamanych paznokciach sięga po kolejnego papierosa. Nie wie, co mówi. Nie wie, gdzie się podziela jego uskrzydłona wściekłość. Rozumie tylko, że z nimi nie wygra. Ich ludzie są wszędzie? Wierzy w to. Wie, że są wszędzie. Byli z nim w celi, kiedy hodował w sobie uskrzydloną wściekłość; byli z nim w lesie, w którym zapalono reflektory; i na podwórzu przed koszarami, i w Stoczni, i w Usti nad Łabą, i w Paryżu: wszędzie. Patrzy na ich twarze w jasnym, jaskrawym świetle. Nie wytrzyma „następnego etapu”, nie wytrzyma „innych środków nacieku”, a oni wiedzą dobrze, że nie wytrzyma: po co przeciągać? Jeżeli ulegnie, jeszcze tej nocy wyjdzie stąd jako człowiek wolny. W otoczeniu szpiclów wróci do mieszkania z założonym (na pewno!) podsłuchem, i szpicel będzie czekał na jego wyjście: taka będzie jego wolność, ale przecież i ona jest wolnością. Za oknami dyszy

miasto, słycać jego oddech: oddech półtora miliona wolnych ludzi. Niedługo znów stanie się jednym z nich.

– Więc zgadza się pan?

– Tak.

Jeszcze słyszy to słowo, to nieoczekiwane słowo: słyszy, jak drży ono w powietrzu. „SzeF” wstaje i wychodzi, dając podwładnemu jakiś znak. Podwładny zmienia natychmiast ton. Staje się poufały, prawie koleżeński, prawie serdeczny. Wyjmuje z szuflady bloczek liniowanego papieru, odrywa kartkę, kładzie ją przed Krzysztofem.

– Proszę pisać. „Zobowiązanie. Zobowiązuję się do utrzymywania w tajemnicy treści rozmowy z funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa MSW w dniu...”, i data. I podpis. Gotowe?

Podaje drugą kartkę.

– Proszę pisać. „Oświadczenie. Oświadczam, że podejmuję współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa MSW. Moje raporty będę podpisywał pseudonimem”... no, jaki pan weźmie pseudonim?

Krzysztof patrzy na niego tępo. Sądził, że podejmuje współpracę z wywiadem, a nie ze Służbą Bezpieczeństwa; ale może wszystko u nich podpisuje się w ten sam sposób. Pseudonim? Jaki pseudonim?

Łysawy pomaga mu czym prędzej.

– Ma pan jakiegoś wroga?

– A jakże, kto by nie miał wroga.

– Niech pan wpisze jego nazwisko.

„Moje raporty będę podpisywał pseudonimem Maciejewski” – pisze Krzysztof. Data, podpis, załatwione.

– No, i widzi pan! – cieszy się łysawy, chowając obie kartki. – Nie będzie pan żałował. Zraz załatwię, co trzeba... uchylenie decyzji o internowaniu, zwrot dowodu, zwrot pańskich rzeczy... i odwieziemy pana do domu. Napisze pan raport o pańskich zagranicznych znajomościach... nazwiska, adresy, krótkie charakterystyki, charakterystyki osób, które pan poznał dzięki nim, przebieg znajomości, możliwości ponownego nawiązania kontaktu. To spotkanie ze Sperlingiem w Pradze niech pan dokładnie opisz. Zwięźle, rzeczowo, ale ze szczegółami. Aha, to ważne: niech pan nie pisze w pierwszej osobie, jako pan. To ma być w formie donosu na pana, zrobionego przez tego Maciejewskiego. „Wiadomo mi, że Paliwoda to czy tamto”, rozumie pan. I spotkamy się... dwa tygodnie panu wystarczą?

– Trzy. Ja nie wiem w ogóle, jaką sytuację teraz zastanę... muszę...

– Dobrze, więc za trzy tygodnie, we wtorek, o dwunastej, w kawiarni „Ali-Baba”, róg Miodowej i Koziej. No, to się wreszcie dogadaliśmy. Idę wszystko załatwić.

Gładząc się po żołądku nagle coś zauważa, przypomina sobie. Ubawiony własnym roztrągnięciem, podchodzi szybko do biurka, wyciąga pistolet, wsuwa go za pasek od spodni i wybiega. A zatem pistolet był tu przez cały czas? W otwartym biurku, prawie pod ręką?

Krzysztof pali jednego papierosa po drugim. Teraz dopiero czuje strach. Co się stało z matką? Jeszcze jeden bluff, czy prawda? Mdli go. Nie będzie przecież wymiotował – tutaj, przy nich!. Został szpiclem. Ach, ale podpisane pod przymusem jest przecież nieważne. I może da się to jakoś odkręcić. Może zmieni się sytuacja. Grunt, to wyjść na wolność. Trzeba było od razu. Drżą mu nogi. Czy zdoła wstać, czy będzie mógł iść normalnie?

Łysawy wraca. Przynosi Krzysztofowi jego dowód, portfel, jakiś paperek. Pyta, skąd brał dotąd kartki żywnościowe. Ach, z Zarządu Regionu! Dobrze. Jutro koło drugiej ma się zgłosić w swojej komendzie milicji. Z zaświadczeniem, które tam dostanie, iść do rady narodowej. Tam będzie odbierał kartki. Samochód już czeka, mogą iść.

Wstając, Krzysztof wciąż się waha, czy zapytać. Wreszcie robi to, w chwili, gdy jest odwrócony do tamtego plecami. Ale głos ma inny, cudzy. Zduszony głos. Co właściwie jest z jego matką?

– Zawał – informuje łysawy. – Myślał pan, że to my, żeby postraszyć? Nie, naprawdę zawał. Ale już po niebezpieczeństwie. Leży na Spartańskiej, może ją pan jutro odwiedzić. A za parę dni, tak myślę, zabrać do domu. Sam pan widzi, podjął pan słuszną decyzję. Przyda się pan tutaj, na miejscu... nie w obozie! No, idziemy.

Wychodzą. Winda, hali, podwórze, ulica. Szary, ochlapany, dwudrzwiowy samochód. Wsiadają. Jadą. Za dużo papierosów, może dlatego tak go mdli. Duszno. Miasto jest ciemne, martwe. Ach, godzina policyjna! Tak wygląda miasto po wprowadzeniu godziny policyjnej! Pierwszy raz widzi je takim. I pierwszy raz przejeżdża przez nie jako szpicel.

Nareszcie przed domem. Powraca dziwaczne uczucie z dzieciństwa, później nieobecne: uczucie obcości. Wszystko tak ostro widziane, tak oddalone, tak dziwnie pachnące. Przez tyle czasu istniało bez niego. W ostatniej chwili przeraził się: jak wejdzie do mieszkania bez kluczy? Ale łysawy ma klucze. Wszystko przewidział. Ściskają sobie ręce. Nareszcie. Wchodzi do bramy.

Ledwo zdążył dostać się na klatkę schodową. Zaraz za drzwiami mdłości zginają go w pół. Wymiotuje gorzko, paskudnie, żółcią. Upodlony jak jeszcze nigdy w życiu. Na dnie upodlenia. Świeżo pozyskany szpicel rzyga na schodach swojego domu, domu zhańbionego samą jego obecnością, tak teraz myśli, tak czuje; domu, który powinien odepchnąć go wszystkimi ścianami, stopniami, drzwiami, uderzyć go z całej siły, zmiażdżyć, wyrzucić. Szpicel, ściervo, szmata. Dotknął dna. Fale wymiotów przychodzą jedna za drugą, zabije go to, zabije. Aż wreszcie mija. Zarośnięty, brudny, pokąsany przez robactwo, zarzygany, w cudzych spodniach, w cudzym swetrze, Krzysztof Paliwoda wspina się na swoje piętro, pod drzwi swojego pustego mieszkania.

7

– No i niech mi pan powie szczerze: czy pan jakoś odczuwa ten „stan wojenny”?

Krzysztof Paliwoda siedzi ze „swoim” ubekiem, tym łysawym, w restauracji hotelu „Victoria”. Wypił już dwa aperitify; jest ładny, słoneczny dzień; na wykąpanym, wyleczonym ciele spoczywają czysta koszula, czysta bielizna, ulubiony krawat, porządny garnitur; twarz jest świeżo ogolona i przetarta wodą kolońską z zagranicznej paczki – jakże to dalekie od obozów dla internowanych! Łysawy nie pije, jest na służbie; rachunek także zostanie zapłacony z funduszków „służbowych”; mało to Krzysztofa wzrusza.

– No, jak? Bo ludzie reagują tak histerycznie, że czasem sam siebie pytam: a może ja mam jakieś skrzywienie zawodowe? Więc niech pan mi powie: czy panu osobiście, na co dzień, ten „stan wojenny” jakoś przeszkadza!

– Nie – odpowiada Krzysztof grzecznie. – Szczerze mówiąc... rzeczywiście nie.

– Właśnie! I pan to mówi! Żonę też pytałem, też jest zadowolona. Więc o co im chodzi, tym z opozycji? Konspiracja, pochody, zamieszki uliczne, co krok powielacz, co dwa kroki drukarnia, nawet radiostacje sobie zafundowali... tego się nie spodziewaliśmy! Liczono się ze znacznie większym oporem na początku, z wieloma ofiarami... ale potem miał być spokój i powrót zaufania. A tu nic podobnego! Jak w gnieździe os. Aha, przyniósł pan swoje wypracowanie?

Krzysztof sięga do kieszeni i podaje łysawemu złożoną na pół niebieską kopertę z kolejnym raportem. Z kolejnym uzupełnieniem do tamtego, pierwszego raportu, przekazanego w głównym punkcie kontaktowym szpiclów i konfidentów, w obskurnej kawiarni „Ali-Baba”. Tym razem informuje o nie słabnącym (jak wynika z otrzymywanych listów) zainteresowaniu wywiadu, w służbie którego pozostaje Rolf Sperling, możliwością dotarcia przez niego, Krzysztofa, do Michaela Bernarda, a zatem, pośrednio, do prezydenta Francji – i odpowiada na pytania. Czy zetknął się ze środowiskami emigracyjnymi na Zachodzie? Nie. Czy wie coś

na temat ich kontaktów – to ich ukochane, magiczne słowo, „kontakty”! – z lewakami? Nie. Emigrant-lewak, cóż to za bzdura! Tylko w bezpieczniackiej głowie mogło się coś podobnego wylęgnąć. „Proszę podać wszystkie polskie kontakty Paliwody. Co to za kontakty?” O, nie. Odmawia odpowiedzi. To pytanie jest sprzeczne z umową. Mają podsłuch, mają wywiadowców, mogą go śledzić; nie będzie ułatwiał im roboty. Łysawy kiwa głową i niedbale chowa kopertę. Zaczął właśnie opowiadać o sobie. Pracował kiedyś nad człowiekiem, który wysadził w powietrze pomnik Lenina.

– Ciężkie to było! Co tu będę przed panem ukrywał: chłopcy z milicji porządnie go pobili. Nogi miał w wielu miejscach połamane i tak dalej. No i ział nienawiścią, w ogóle nie chciał współpracować. Pracowałem nad nim przez cztery miesiące po sześć godzin dziennie. Cholernie uparty! Ale, ale. Zna pan ten dowcip? Siedzi sobie milicjant przy biurku, na biurku ma magnetofon. Nagle dzwoni telefon. Milicjant wysłuchuje polecenia, po czym łapie pałkę i rozbija magnetofon w puch. Jakie polecenie otrzymał milicjant?

– Nie wiem – odpowiada Krzysztof.

– „Przesłuchać taśmę”.

Śmieją się obaj. Krzysztof kiwa parokrotnie głową: no, no. Świetny dowcip! Łysawy wraca do swego opowiadania.

– Wie pan, co to jest tygrysowa? Cela z kratą: w środku celi jest klatka, w klatce przyśrubowany taboret, na nim siedzi więzień w samych slipach. I wie pan, że ten facet uciekł z tygrysowy? Podstępnie zdobył kawałek żelaza. Tarł nim o beton, wyszlifował, zrobił śrubokręt. Wydostał się, napadł strażnika, włożył jego ubranie i wyszedł. I to nie z byle jakiego więzienia, ze Strzelców! Kto tam był, ten wie, co to jest. Cóż, w końcu go ujęto. Ależ ten nienawidził naszych chłopców! Wie pan, po ujęciu złożył skargę, że strzelano do niego, celując w głowę. Skąd mógł to wiedzieć? A on uciekając uważał, jak lecą kule. Leciąły koło głowy. Cholerny typ.

Piją zupę. Łysawy się rozkrochmalił, opowiada o zamachach. Potem znów sypie dowcipami: a ten pan zna? Cóż, Krzysztof też może opowiedzieć jakiś dowcip.

– Czy pan wie, jak udzielić pierwszej pomocy zomowcowi?

– Nie wiem – mówi łysawy, zaciekawiony i z góry uśmiechnięty.

– No i bardzo dobrze.

Uśmiech znika.

W przerwie między zupą a drugim daniem przechodzą do spraw zasadniczych. W resorcie postanowiono nie sprawdzać tożsamości Karela i Hany. Ukryje się przed Czechami, że wiemy cokolwiek. O, Czesi to chytne bestie! Enerdowcy też. Ale żeby wciągać naszych obywateli do swojej gry... Swoją drogą wie pan, że pana główni znajomi mają zakaz wjazdu do wszystkich krajów socjalistycznych? A jednak bywają w Czechosłowacji i NRD... nie bez powodu.

– Zamiast bywać w Moskwie – wtrąca Krzysztof.

– Ta-ak. Zapewne o to chodzi. Nawiasem mówiąc, gdyby córka Estravadosa albo ten Sperling chcieli pana odwiedzić, dostaną polskie wize. Wolimy, oczywiście, żeby zrobili to z lipnymi paszportami... ale i tak dostaną wize. To, żeby pan wiedział.

Kelner podjeżdża do stolika z wózkiem, zastawionym drugim daniem. Manipuluje patelniami, garnuszkami, talerzami; wreszcie stawia przed nimi porcje pstrąga w otoczeniu frytek i jarzyn. Kiedy to robi, łysawy podziwia boazerie na ścianach. Właśnie coś podobnego zakłada u siebie w domu. W przedpokoju i kuchni. Sufity będą licowane drewnem, a poza tym – boazeria. Ma taki segmencik. Ładny segmencik. Krzysztof sam kiedyś zobaczy. Zaprosi go, kiedy się lepiej poznają.

– Czy to kosztowna rzecz? – pyta Krzysztof.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie mam pojęcia.

Kelner odszedł. Atakując swego pstrąga łysawy omawia najbliższy wyjazd Krzysztofa, do Conchity, do Francji. Ładnie to namotali, z depeszą Krzysztofa, że odmówiono mu paszportu, ale będzie się odwoływał, z listem sugerującym cieniusiętko, że załatwia na podkładkę zaświadczenie lekarskie, poświadczane przez znajomych z Ministerstwa Zdrowia... niech się TAM nie zdziwią, że tak łatwo udało mu się wyjechać. Teraz może już planować termin. Ale łysawy uprzedza: zaczyna się ryzykowna gra! Czy Krzysztof lubi ryzyko?

– Od czasu do czasu.

– Francja to ciężki kraj. Już paru naszych agentów znaleziono rozjechanych samochodami. „Wypadek drogowy”, tak się to załatwia. No, i będzie się tam krzyżować ładne parę wywiadów. Mocodawcy Sperlinga zrobią, co się da, żeby panu ułatwić kontakt z Bernardem, cholernie im na tym zależy, a oni umieją to robić. Tylko jedna rzecz. Pan wróci, prawda? Takich, którzy nie wracali, też znajdowano rozjechanych samochodami.

– Nie zamierzam nie wracać.

– Oczywiście. Przecież nie zostawiłby pan starej matki, w dodatku chorej, wiedząc, że biedaczka nigdy nie dostałaby w tej sytuacji zgody na wyjazd. Natomiast potem... potem, gdyby pan chciał wyjechać na stałe, zabierając matkę, wystarczy poprosić. Będzie zgoda.

Krzysztof nabiera ziarnka groszku na widelec. Akurat, już wierzy! Myśli o matce, przez sześć tygodni wydeptującej na próżno drogi do władzy i opozycji, wysyłającej pięć paczek, z których żadna do niego nie dotarła, czekającej w długiej kolejce do więzienia, w którym już go nie było, dowiadującej się, że dawno został zwolniony i że ślad po nim zaginął... Powraca do niego blady, niewyraźny cień dawnej wściekłości. Miała szczęście, że TAMTO stało się z nią właśnie przed więzieniem, przy ludziach: gdyby zachorowała w domu, musiałaby umrzeć. Przy wyłączonych telefonach, sama, odcięta od świata, musiałaby umrzeć. Myśli o matce, wiedzącej już – powiedział jej – dzięki czemu wyszedł na wolność, o matce, nie mogącej mu tego wybaczyć. Udaje tylko, że wybaczyła. Nawet w jej oczach jest zhańbiony. Podpisał! Mogąc być bohaterem, mogąc być męczennikiem, podpisał! „Oświadczam, że podejmuję współpracę...” I to z kim, z kim!

Łysawy kończy pstrąga. Tyle na teraz, szczegółowe instrukcje w ostatniej chwili. Można porozmawiać o sytuacji ogólnej.

Odkąd ogłoszono, że internowani mogą swobodnie emigrować, tłumy ludzi błagają, żeby ich internowano. Naiwni! Jasne przecież, że nie wystarczy być internowanym, żeby dostać paszport, tak się mówi tylko dla picu. Zamierzamy puścić tylko niektóre osoby, wierchuszkę „Solidarności”. Jeżeli złożą podania o wyjazd... Ale ani im się śni. W ogóle nikt nie składa. Z tych ważniejszych nikt. Cóż, skoro tak, będą procesy. Pożąłują, że nie prosili o pozwolenie na emigrację.

Kelner przynosi kawę.

Łysawy ma osobistą prośbę do Krzysztofa. Taki inteligentny człowiek. Otóż on robi doktorat z terroryzmu. I, psia krewo, już przy definicji się rozkłada. Za chińskiego boga nie może znaleźć dobrej definicji terroryzmu. A już w polskich warunkach... Na przykład te porwania samolotów, sporo ich było, czy to terroryzm?

– Skądże – mówi Krzysztof. – Te porwania nie były zjawiskiem politycznym. Nie kierowała nimi żadna organizacja. Po prostu, przy trudnościach z wyjazdem ludzie chwyтали się jedynej możliwości, żeby uciec. Więc, bywało, porywali samoloty. Ale porwanie „terrorystyczne” wyglądałoby inaczej. O, na przykład tak: grupa ludzi uprowadza samolot, biorąc pasażerów na zakładników. I oznajmia, że ich zwolni, jeśli władze zwolnią internowanych. Wymiana. Rozumie pan?

W oczach łysawego pojawił się blask. Odsuwa od siebie filiżankę.

– Ależ to genialne! – woła. – Wymiana! Mamy sposób na naszą wierchuszkę! Wyrzucamy ich poza granice Polski na żądanie porywaczy, ich kompanów... dla ratowania życia niewin-

nych zakładników. Kobiet, dzieci. O, pan ma głowę! Trzeba było tak od razu... zamiast dawać im możliwość dobrowolnej emigracji. Nie, to jest pomysł!

Widać po nim, że już w duchu pisze raport dla zwierzchników, że już marzą mu się awans i premia. Krzysztof przez chwilę żałuje, że cokolwiek powiedział, ale zaraz się pociesza. Na to za późno. Nie trzeba było rozgłaszać na wszystkie strony świata marzeń o deportacji politycznych.

– Nie chciałby pan pracować w policji? – pyta nagle łysawy. – Może ma pan rację, pa-skudna robota. Ale jakąś pracę warto by wziąć. Oczywiście z pracą przymusową nie będzie pan miał kłopotów... podpada pan pod paragraf, ale pana ciągać nie będą. Tylko... jak pan wyżyje? Ceny podwyższone trzy-cztery razy i więcej, prasy prawie nie ma, chałtur nie ma, zaczyna się bezrobocie... jak pan wyżyje? Znaleźlibyśmy dla pana coś dobrego. Sprawy kontaktów z zagranicą w Ministerstwie Kultury naprawdę pana nie interesują? Byłby pan szefem. To jeszcze aktualne. A może jakaś gazeta, którą będziemy wznawiać? Wymienia się całe redakcje, poszedłby pan od razu na kierownika działu, po roku wyżej. Albo...

– Dziękuję – mówi Krzysztof. – Chcę być wolny.

– W nędzy, ale wolny?

– Znalazłem sobie to zastępstwo w poradni przeciwalkoholowej, wie pan. Cztery godziny dziennie po trzy razy w tygodniu.

– Ależ to grosze!

– Mnie wystarcza.

Łysawy nie nalega. Idzie szukać kelnera. Krzysztof przymyka oczy. Przez chwilę jest znów w pokoju na Rakowieckiej. Bity, bity przez tamtego! Przez człowieka, przed którym teraz się czołga, do którego się uśmiecha! Znów mięknie mu kark, światło gaśnie, zapada ciemność.

Wciąż siedzi przy stoliku. To była chwila, mgnienie. Widzi swoje dłonie na białym obrusie. Jeżeli istnieje piekło – myśli głupio – już zostałem na wieki potępiony. Ta myśl przynosi ulgę. Za to, co teraz robi, zapłaci nie tylko zmarnowanym życiem; zapłaci wiecznością, czy to wystarczy?! Czy to dobra cena? Pomyślcie o niej, zanim spluniecie z pogardy dla tchórza! Zna swoje dalsze losy; tym gorzej. Dość wiele czytał, żeby je znać. Byli już tacy jak on, wielu takich jak on. Ulegali. Łudzili się. Bali się. Dawali się przekonać. Myśleli, że szpiegostwo jest czym innym, niż torturowanie chorych, bezbronnych i skutych, niż robienie rewizji w mieszkaniach, niż czatowanie na rogach ulic; sam fakt, że to się dzieje w Buenos Aires, Paryżu, Pekinie miał wystarczać. Jakby to nie był ten sam resort! Myśleli, że odejdą po oddaniu TAMTYM jednej przysługi, po wykonaniu jednego zadania. Potem skakali z okien, odkręcali gaz, podcinali sobie żyły. Jego czeka to samo. Wie, na jaką drogę wszedł, wie, co jest na jej końcu. Ofiara sprzymierzyła się z katem; i cóż spodziewa się przez to osiągnąć? Czy wszystko nie jest z góry przesądzone?

– Jeżeli kamień upadnie na jajko – biada jajku. Jeżeli jajko upadnie na kamień – biada jajku.

Powtórzył to perskie przysłowie bezwiednie i bezgłośnie, poruszając niemymi ustami za uniesioną ku twarzy ręką.

– Nad czym się pan tak zamyślił? Idziemy?

Owszem. Mogą iść.

Rozstali się przed drzwiami. Krzysztof idzie powoli przez wielki, zalany słońcem plac. Z lewej ma Grób Nieznanego Żołnierza. Po raz ostatni był tu 11 listopada, w dniu nielegalnego, zakazanego święta, święta niepodległości. Tuż przed swoją polityczną defloracją! Uśmiecha się przy tej myśli. Stał przy samym grobie. Pamięta wypełniające cały plac, śpiewające tłumy, i swój głos wśród innych głosów, i śnieg, sypiący ukośnie z gąbczastego nieba, lśniący w światłach reflektorów nad zbliżającymi się wolno sztandarami: ostatnie święto! Te tłumy –

czego szukające? Sentymentów. Znow się uśmiecha. Szukające tego, czego nie ma, nie było i nie będzie! „A jednak ona istnieje, was biorę na świadków, dusze wrażliwe i czyste...” Istniała. Ależ tak, wtedy istniała.

Wszystkie pokolenia! Wszystkie zeszyły się wtedy na to nielegalne, zakazane, wrogie – szukanie sentymentów. Zgrzybiali starcy, po raz pierwszy od czterdziestu dwóch lat mogący jawnie, publicznie, na środku ulicy zaśpiewać swoją *Pieśń o wodzu miłym*: pamięta to, pamięta. Formowanie się pochodu, daleko od tego placu, od tego celu, i te starcze głosy, intonujące *Jedzie, jedzie na kasztance, siwy strzelca strój – siwy strzelca strój*, i pierwsze ukłucie wzruszenia, współczucia, nie wie już czego: wie tylko, że je wtedy poczuł. A kiedy pochód ruszył, za tamtymi, odchodzącymi, pojawiło się kolejne pokolenie, szło pod rozwiniętym transparentem z napisem ARMIA KRAJOWA: sponiewierane, wyklęte, najpierw prześladowane, potem ledwie tolerowane resztki wojennego ruchu oporu – i drugi tłum, stojący na chodnikach, tłum świadków, zdejmował czapki z głów, klaskał, krzyczał, wybiegał na jezdnię... „Hurra! Nareszcie! Nareszcie! Niech żyje Armia Krajowa!” Wielu idących płakało; wielu patrzących także. Dalej – sztandary „Solidarności”, bez końca, bez końca. Wszystkie pokolenia! Dzieci też. Pamięta ten naiwny, dziecinny głosik odczytujący przy grobie DEKLARACJĘ: „Chcemy, żeby już nikt nie musiał wracać ze szkoły z płaczem!”: oczywiście, że pamięta. Biedacy. Biedacy, wierzący, że istnieje ta Czula, Przemozna, Nieodparta, Męka i Radość Wielkich Serc; cóż, może i wtedy istniała.

Pamięta, oczywiście, że pamięta. *OTO DZIŚ DZIEŃ KRWI I CHWAŁY – OBY DNIEM WSKRZESZENIA BYŁ!* Z gęstej ciemności wciąż sypie się śnieg. A kiedy przed północą tłum się rozchodzi, na placu zostaje ogromny, świecący krzyż, ułożony z kwiatów, otoczony zniczami. Kobiety w czerni modlą się przy nim głośno: „Wolną, niepodzielną, niepodległą... Wysłuchaj nas, Święta Boża Rodzicielko!” I gardło mu się ścisnęło. Sentymenty! Te głupie sentymenty!

Idzie teraz przez ten sam plac, w słońcu. Nie ma już wolności. Wtedy była nadzieja, nic więcej; kto by pomyślał, że nadzieja wolności znaczy aż tak wiele? Jest syty, bezpieczny, porządnie ubrany. Myśli o ludziach, dostających w tej chwili kubek błotnistego roztworu zbożowej kawy z utopionym karaluchem, ludziach z obozów. Ludziach, którzy nie są zdrajcami, jak on. Cokolwiek mówi tamten, tamten, który go bił, w cokolwiek on sam aż nazbyt jest skłonny uwierzyć, nie mogą być zdrajcami, wtyczkami, szpiclami; nie wszyscy; nie większość. A choćby tam był tylko jeden sprawiedliwy (jest ich więcej, to wie, za to oddałby głowę) – to kim w takim razie jest on, zdrajca w służbie wrogów? I jakim bohaterstwem mógłby okupić kolejne raporty w niebieskich kopertach, przekazywane do rąk zbrodniarza? Tak właśnie myśli, drżąc z bezsilności: zbrodniarza! Słuchał przecież jego opowiadań o biciu, o torturach, o „przeszukiwaniu” i „przesłuchiwaniu”; dowiadywał się od niego, co naprawdę znaczą te słowa! I uśmiechał się. Uśmiechał się; jak, czym ma to okupić?

Wie tylko jedno: że główny powód, który go skłonił – o ironio – do podpisania tamtego świstka, znikł. Nadzieja wyjazdu, pokusa emigracji. Cokolwiek nastąpi, zostanie tutaj, w kraju. Żeby walczyć, kiedy tylko będzie mógł. Żeby wspierać, żeby udzielać pomocy (może i pod osłoną tamtego podpisu, pod lekką, mglistą osłoną chwilowej bezkarności) – kiedy tylko będzie mógł. Sentymenty, to właśnie sentymenty! Te, których w polityce nie było, nie ma i nie będzie!

Jest teraz przy końcu placu; zaraz wejdzie pod zacienione arkady. Ogląda się. Jeszcze raz widzi tamtą noc, reflektory, sypiący śnieg, sztandary na zimnym wietrze, śpiewający tłum. *KTO PRZEŻYJE, WOLNYM BĘDZIE – KTO UMIERA, WOLNYM JUŻ!* Oby tak było. Oby tak było. Oszuka tamtych, wprowadzi ich w błąd, wywiedzie na manowce, padnie na kolana przed tymi czystymi, tymi sprawiedliwymi, ucałuje ziemię, którą zhańbił, posypie głowę popiołem. Kiedy przyjdzie wolność... A jakże! Wolność! Więc kiedy przyjdzie...

Wtedy następuje ta chwila. Sekunda rozpaczliwej, przesywającej całe ciało tęsknoty za całą więzienną. Za wolnością. Wolność jest w więzieniu, nie tutaj. Kiedy mu to napisała Monika, nie wierzył. Piękne słowa! Paradoxy! Teraz nie musi wierzyć, teraz wie. Wyrzekł się wolności, żeby zostać szpiclem! Niewolnikiem. Ścierwem, szmatą. Wolność, światło, nieśmiertelność – wszystko poświęcił złudzeniu!

– Do diabła! – mówi półgłosem, wciąż odwrócony, wciąż wpatrzony w tamtą, błyszczącą do słońca stronę, ogolony, syty, porządnie ubrany – i obolały do prawdziwej, prawdziwszej niż cokolwiek w jego życiu tęsknoty za półmrokiem, zaduchem, głodem i brudem, za szczurami i robactwem, za smrodem i zimnem (i za jednością, i za pieśnią, i za buntem, i za głosem recytującym w nocy: „O wiosno! kto cię wówczas widział w naszym kraju...”, i za postrzępioną czarną opaską na rękawie cuchnącej, twardej jak pancierz pizamy). – Do diabła! Ależ się dałem nabrać!

CZEŚĆ SIÓDMA

WALC

1

Sala jest prostokątna, mroczna, o ścianach pomalowanych na stalowy kolor, wypełniona rzędami tanich, kinowych krzeseł. Dopiero co pociąg wjeżdżał na szary, poranny dworzec, samolot lądował przy dźwiękach huczącej przez głośniki piosenki, agenci wysłuchiwali w kawiarniach i restauracjach ostatnich instrukcji, nie przestając obierać z ości pieczonych na ruszcie ryb, mieszać cukru w filiżance, kawałkiem irchy przecierać szkieł w zdjętych na chwilę okularach. Tu jest spokój.

Na salę wchodzi David Sinclair, szpakowaty, łysawy, z rękami w kieszeniach granatowego swetra. Rozgląda się. Młodzi Niemcy, ustawieni nerwowym szpalerem po obu stronach przejścia, zaczynają szeptać, trącając się łokciami. „Ależ nie” – tłumaczy prawie głośno jeden z nich – „to nie jest ten Włoch, to kto inny”. David Sinclair słyszy to i uśmiecha się jak męczennik. Ale oto zjawia się szczupła, ruda dziewczyna w narzuconym na ramiona czerwonym płaszczu – naprawdę dziewczyna, cztery lata temu wyglądała jak matrona, a teraz odmłodziła, i to jak! – zjawia się i nikt już nie patrzy na Davida Sinclaira. Rude włosy przy czerwonym płaszczu powinny razić, ale nic podobnego, wcale nie rażą; zwisają, proste i gładkie, po obu stronach nagiej, nie umalowanej twarzy: jak dawniej, jak w czasach Wielkiej Legendy. Martha!

Kilkoro młodych Niemców wymawia półgłosem jej imię. Brodaty chłopak ośmiela się nawet, kiedy go mija, zawołać – ani to pora, ani miejsce na okrzyki – „Niech żyje Irlandia!”, a Martha Doherty-Jones z uśmiechem, rutynowym gestem gwiazdy wieców podnosi wysoko lewą rękę z dwoma palcami ułożonymi w kształt litery V. Dobry gest. Zrywają się oklaski, okrzyk brodacza zostaje podjęty przez wszystkich, narasta i unosi się jak fala, żeby powitać i unieść na swym grzbiecie grupę nowo wchodzących.

Nowo wchodzący zatrzymują się, przeczekują. Wreszcie zostają zauważeni. ESTRAVADOS! Ktoś robi zdjęcie i błysk flesza wydobywa jaskrawą jak na plakacie, jak na ekranie, twarz Estravadosa: tak wyglądałby w więzieniu, tak wyglądałby jako kobieta. Ostrzyżone tuż przy skórze czarne włosy gładkim, zamszowym pokrowcem osłaniają podłużną czaszkę. Błada twarz Estravadosa, szeroko otwarte oczy, oczy Estravadosa. „Jego córka” – szepczą do siebie młodzi Niemcy. – „Mówię ci, że tak, widziałem ją: to jego córka”. Conchita nie bawi się w gesty Marthy Doherty, to nie jej styl. Niedbale macha ręką i rusza przed siebie, otoczona przez trzech mężczyzn: jednego młodzi Niemcy poznają, to Rolf Sperling, któżby inny, w zeszyły piątek tłumy oklaskiwały jego przemówienie atakujące wyścig zbrojeń, ale tamci? Zarośnięte dziwadło w czarnych okularach i jakiś wysoki, gładko ogolony, przystojny facet, wyglądający normalnie, ale nikomu nie znany. Z kim włączy się CÓRKA ESTRAVADOSA, kto jej towarzyszy? Szpaler szepcze, trąca się łokciami, daje znaki. Robi to jeszcze wtedy, gdy i Conchita, i jej kumple zajęli miejsca w trzecim rzędzie: wszyscy jesteśmy równi, ale

niektórzy są równiejsi, i dla tych równiejszych właśnie zarezerwowano najlepsze miejsca; normalne.

Za lichą, płócienną kurtyną zadrukowaną nagłówkami z gazet ktoś potrząsa rozczulająco anachronicznym, ręcznym dzwonkiem: nie można już mieć wątpliwości, że jest się w miejscu elitarnym i awangardowym. Ręczny dzwonek, Boże drogi! Niektórzy kiwiają głowami z uznaniem. Szpaler się rozpada, młodzi Niemcy szybko zajmują miejsca; te gorsze, te przeznaczone dla równych. Równiejsi nadal schodzą się bez pośpiechu, rozglądają, witają. Conchita Estravados zapala papierosa i ci, którzy sądzili dotąd, że TU PALIĆ NIE WOLNO, z ulgą sięgają do kieszeni, trzaskają zapalniczkami, grzechoczą pudełkami zapalek. Ona wie lepiej.

– O Jezu! – mruczy Conchita, szturchając łokciami swoich towarzyszy: Księcia po lewej, Krzysztofa Paliwodę po prawej. – O Jezu! Widzicie tę pindę, co teraz wchodzi? Wiecie, kto to jest?

Oglądają się. Nie tylko oni. Pół sali się ogląda.

Wysoka, chuda blondynka w ogromnych okularach, w fioletowej pelerynie zsuwanej właśnie z ramion, przeciska się do wolnego miejsca parę rzędów dalej.

– Wiecie, kto to jest? Wdowa po moim dobroczyńcy. Po Laventure. Ta jego Minou.

Krzysztof przypomina sobie coś niewyraźnego, coś przysłoniętego mgłą: jakiś dawny artykuł o śmierci Laventure'a, ilustrowany. Było tam zdjęcie młodziutkiej, pulchnej, rozczochranej dziewczyny w szortach, trzymającej na smyczy pięć ratlerków: wdowy. Zapamiętał to zdjęcie, trudno je było zapomnieć. Przechylony do tyłu, patrzy teraz na te gładko przyczesane włosy, na twarz kościstą i surową, na światło odbijające się w szklach okularów, na płaską, wąziutką sylwetkę – a Conchita szepcze mu do ucha: „O Jezu! To ścierwo!”

– Dlaczego? – pyta Krzysztof, podczas gdy Minou ostrożnie siada, świecącą od pierścionków ręką przyglądając swoje i tak przylizane włosy.

– Daj spokój, przecież ją znam. Ścierwo, mówię ci, ścierwo.

– Co ona teraz robi?

– Wyszła za jakiegoś businessmana. A nie, już się z nim rozwiodła. Kto ją tu zaprosił? No wiesz, to świństwo! Spójrz tylko na te jej okulary od Diora!

– Od Diora? – dziwi się Krzysztof.

– Przecież się na tym znam. Geez! A ten? Słowo daję, miało go nie być! Przecież nie kłamałam!

Na salę wkracza majestatycznie Michael Bernard. „Pan minister przyszedł!” – mówi głośno ktoś w czwartym rzędzie. – „Pan minister przyszedł, a tu nie przygotowano łoży rządowej!” Zrywają się gwizdy, nieliczne zresztą i niemrawe. I oklaski: równie niemrawe. „To już ostatnie tygodnie jego ministrowania” – mówi ten ktoś dobrze poinformowany w czwartym rzędzie. – „I co z tego? Pytam cię: i co z tego?”

Michael Bernard wyłysiał. Ale wąsy ma takie, jak dawniej: długie, wyszczotkowane, połykliwe. Jest z nim jakaś czarnulka. Krzysztof Paliwoda odruchowo pochyła głowę, chowa twarz: sam nie wie, czemu, ale wolałby nie zostać rozpoznany.

– Ależ to Mickey! – woła Martha Doherty, siedząca w drugim rzędzie przy samym przejściu. – Hej, Mickey!

Michael Bernard zbliża się bez pośpiechu. Całuje Marthę w oba policzki, łaskocząc ją wąsami. Potem wita się z Conchita. Krzysztof nie wie, czy go poznał: pewnie tak. Dziewczyna, z którą jest, to Włoszka, dziennikarka z Turynu: tyle wyjaśnił i rusza do pierwszego rzędu. „Z Turynu” – szepcze Conchita – „no, pewnie, skąd by, jeśli nie z Turynu? Stary Mickey reaktywuje teraz Czerwone Brygady, proszę, proszę!” Z Conchita nigdy nie wiadomo, do jakiego stopnia żartuje, więc Krzysztof najpierw chichocze, a potem ciężko wzdycha. Jakiś godny starzec kłania mu się, drepcząc niepewnie w przejściu przy tych pierwszych, tych elitarnych rzędach; Krzysztof odkłania się i dopiero po chwili (starzec ruszył już w głąb sali, ku miejscom dla równych) uświadamia sobie, kto to był: Wiener, nikt inny, oczywiście, że Wiener!

„Pour épater la classe ouvrière”, RPI, niespełniony sen o RPI; jak mógł nie poznać Wienera? Ale też skąd **ten** się tutaj wziął? Dzwonek za kurtyną znów rozbrzęczał się wniebogłosy, pora siadać, pora się uspokoić. Sala jest już pełna dymu; ochrypli starczy głos – nie jest to głos Wienera, skądże – protestuje głośno przeciw paleniu, młodzi Niemcy gwizdzą. Oburzony starszek – Raymond Krivitzky, nikt inny – przepycha się do trzeciego rzędu, siada obok Krzysztofa, na krześle zajętym dla niego plikiem gazet, i nachyla się w stronę Conchity.

– To wszystko pani wina – chrypi. – Dlaczego pani pali? Podusimy się wszyscy! A ci durnie biorą z pani przykład!

Conchita wznosi oczy ku niebu i rzuca parzący już zresztą jej palce niedopalek na podłogę; przydeptuje go nogą. Awangarda to awangarda! Dzwonek rozklekotał się po raz trzeci, światło przygasa.

Księżę czym prędzej bierze ją za rękę: nieszczęsny potomek białych emigrantów reaguje na ciemność jak na jakiś sygnał z przedpotopowych, przedrewolucyjnych czasów, czasów, w których ludzie migdalili się po ciemku; Conchitę zawsze to śmieszy. Pies Pawłowa! Prince Pavloff!

– Prince Pavloff! – mówi ironicznie, nie odbierając mu zresztą ręki. Ale zaraz dodaje już serio, ciszej, z ustami tuż przy jego uchu: – Do diabła, co za spęd szpiclów i prowokatorów! I zwykłych świń! Rozejrzałeś się po sali?

– Spęd duchów, Conchita – odpowiada Księżę.

– A ty ciągle swoje! Dlaczego duchów?

– Nawet świnię są tu w swojej formie spektralnej – mądrzy się Księżę i chichocze. – Jak sobie wyobrażasz ducha świni? Co, Conchita? Moim zdaniem musi fosforyzować.

– A to niby czemu?

– Tak to widzę. Fosforyzować!

Na zadrukowanej kurtynie pojawia się świetlny napis. Dwie daty połączone grubą, poprzeczną kreską. 1891–1984.

2

Tak, jest rok 1984, rok Orwella, rok wielkiej eksplozji, na którą wszyscy czekają, z lekkiem, z nadzieją, obojętnie: dlaczego właściwie? Rok, w którym COŚ musi się stać. Od początku świata czeka się na rok, w którym wreszcie COŚ się stanie, i tyle już razy nadzieja się spełniała, czemu nie teraz? Jest dopiero styczeń. Jeszcze tyle miesięcy. Tyle czasu. Zło osiągnęło apogeum – od początku świata naiwni sądzą, że zło osiągnęło apogeum – a więc COŚ musi nastąpić. Cała nie istniejąca RPI Krzysztofa Paliwody na to czeka, i nie tylko ona. Jak kiedyś chrześcijanie na rok tysięczny, rok końca świata i Sądu Ostatecznego, każda data jest dobra, każdy symbol jest dobry. Krzysztof Paliwoda nie czeka na nic.

W Monachium przesiadka do Stuttgartu. Wojna jest Pokojem, Niewolnictwo Wolnością, Głupota Potęgą. Monachijskie lotnisko. Wielki Brat patrzy. Stąd do Stuttgartu. Data nie ma znaczenia, głupi symbol. Muzyka przez głośniki. 1984. Trzynaście lat po Kongresie! Lot. Chmury. Stuttgart.

– Chris!

Jak echo. Jak echo tego, co w Paryżu, przed czterema laty. Tyle tylko, że teraz jest to głos kobiety, głos Conchity. Krzysztof Paliwoda odwraca się szybko. Co ona ze sobą zrobiła?

Obcięła po prostu włosy, ostrzygła je przy samej skórze, okropność. Nieoczekiwanie stała się podobna do ojca, ale kobieta nie powinna być podobna do mężczyzny, konserwatysta ukryty w Krzysztofie nie jest w stanie znieść takiego podobieństwa: jakby go oszukała, jakby go zdradziła. Patrzy na nią z żalem, którego ona nie rozumie.

Czarny zamsz włosów, obciętych brzytwą tuż przy głowie, czarny mech, podkreślający kształt czaszki. Szara, podniszczona kurtka, spodnie, sportowe buty na miękkich, grubych podeszwach.

– Witaj.

Ich trzecie spotkanie: drugie od czasu jego zdrady. Przykładnie całują się w policzki. Samochód czeka przed lotniskiem. Samochód, a w nim Księżę: pamiętasz go, Chris? – „Ciagle z nim jesteś? – O, tak, ciagle. Wyjechaliśmy po Krivitzky’ego, jego samolot był godzinę temu, przegryźliśmy coś na miejscu i poczekaliśmy na ciebie. Wszyscy tu są, Chris, dosłownie wszyscy!”

– Kto konkretnie?

– No... wszyscy. Kordelierzy, jakobini, żyrondyści, Wandea... widzisz, używam twoich porównań. Podobno nawet Martha Doherty ma przyjechać, wyobrazasz sobie? Ten zabytek!

– Słowem, prawie drugi Kongres?

– O, nie, to na pewno nie. Spęd towarzyski, nic więcej. Krótszy, niż myśleliśmy. Obejrzymy dzisiaj próbę generalną, ale premiery nie będzie, to już pewne.

Wychodząc na chłodny wiatr, Krzysztof czuje coś dziwnego: aż ugięły się pod nim kolana. Wiatr z cmentarza. Huragan z cmentarza! Zakręcił się, uderzył wprost w niego, ze świstem, z hukiem, z zapachem trupów. Wiatr, który wyciska łzy z oczu i unosi w górę, aż pod gwiazdy. To trwa tylko chwilę, mgnienie.

Już. Idzie obok krótko ostrzyżonej, pewnej siebie kobiety, pytając spokojnie:

– Nie będzie premiery?

Conchita zasypuje go słowami. To i tak cud, że odbędzie się generalna. Śmiechu warte. Reżyser dostał wymówienie, będą protesty, ale co one dadzą? Bezrobotny nie będzie, to zdolny facet, ten Baier, już go proszą do Lyonu, tam pojedzie na początek, ale... Dochodzą do samochodu, białego BMW ochlapanego błotem, drzwiczki są już otwarte, wynurza się z nich właśnie wysoki, zarośnięty mężczyzna: Księżę.

– Co za spęd duchów, prawda, Hamlecie? Gdzie twój całun?

I sięga po jego torbę. Z nim również Krzysztof widzi się po raz trzeci, drugi od czasu zdrady; od ostatniego spotkania zdziwaczał jeszcze bardziej. Wygląda jak przebrany w grubych, ciemnych okularach, z brodą i wąsami, z podniesionym kołnierzem. Jakby się przed kimś ukrywał – gdyby nie to, że trudno byłoby ukrywać się w sposób bardziej zwracający uwagę.

Wsiadają. Księżę sadowi się za kierownicą, Conchita obok niego. Z tyłu czeka siwy, pomarszczony starzec – jakże ten się zmienił! był tylko szpakowaty! – Raymond Krivitzky, nikt inny. Tak, Księżę ma rację, zanosi się na spęd duchów.

– Podwieziemy Raymonda do hotelu – mówi Conchita – i jedziemy wszyscy razem na Plieningerstrasse, do Sperlinga. My z Księciem też się zatrzymamy u Sperlinga, wiesz? Ma tylko trzy pokoje, normalne, w bloku... jeden zachował dla siebie, jeden dał nam z Księciem, a jeden jest dla ciebie. On cię bardzo lubi, ten Sperling.

– Zdumiewasz mnie.

– Cóż, kiedy tylko zaplanowano ten SPEKTAKL, zaraz pomyślałam, że trzeba ciebie prosić. Koniecznie. Choćby przez pamięć Moniki. I okazało się, że Sperling już dawno o tym pomyślał i puścił maszynę w ruch. Wszystkie te, pozał się Boże, certyfikaty, zobowiązania, rezerwacje, dewizy. Czy to nie dowód, że cię lubi?

Wyklepała to wszystko głosem tak drwiącym, że odpowiedź jest niepotrzebna. Nie, nie rozumie Conchity. Nigdy jej nie zrozumie.

Myśląc to, podnosi palec do ust i delikatnie, ruchem, który przeszedł w nawyk, obmacuje dwie zgorzkniałe bruzdy koło ust. Siad po tych dwóch latach. Nie są głębokie. Nie przy każdym oświetleniu, nie pod każdym kątem je widać: on sam, goląc się, nie dostrzega ich w łazienkowym lustrze. Ale są. Czuje je pod palcami. Siad po tych dwóch latach.

– Chris, mówię do ciebie.

– Tak?

– Czy Monika pisała ci kiedyś o tej sztuce? Czy wiedziałeś, że oni ją tam wspólnie piszą, zanim Sperling dał ci odbitki?

– Myślisz, że to falsyfikat? Prowokacja? Nie. Wiedziałem. Pisała mi o tym.

– A skąd im to w ogóle przyszło do głowy? Nie mieli nic lepszego do roboty, niż pisać w mamrze sztukę teatralną?

Krzysztof znów opukuje czubkami palców okolice ust.

– To był pomysł Moniki. Teatr, jej niespełnione powołanie! Ale inni to przyjęli. Rozumiesz, teatr ma swoje rygory. To może być dobry sposób na uporządkowanie swoich poglądów: przedstawić je w formie scenicznej.

– Poglądów?

– Poglądów czy problemów. Przerobić Wariacje Goldbergowskie na walca. – I Krzysztof uśmiecha się.

– Ależ to przecież jakaś ramota. O Komunie Paryskiej, tak?

– To nie jest o Komunie Paryskiej.

– No, ale wzięli tamte realia, czy nie?

– Wzięli sytuację. Ale ta sama sytuacja powtarza się bodaj od początku świata. Uciemienieni walczą z ciemężycielami, czysta słabość z brudną siłą. Oczywiście, czysta słabość przegrywa. Albo wygrywa paćkając się od stóp do głów. I sama staje się brudną siłą. I wszystko zaczyna się na nowo.

– A jakże – warczy Raymond Krivitzky, i Krzysztof, po raz pierwszy słysząc ten zdarty głos, o mało nie podskakuje z wrażenia. – Za chwilę usłyszymy, że Chrystus był pierwszym socjalistą. Nie żałuj sobie, chłopcze, banałów nigdy za wiele.

– Stary zrzęda!

– Nie, Conchita, to jest stek banałów. Po tej ich sztuce też spodziewam się najgorszego. Jestem stary. I po diabła dożyłem starości? Żeby zobaczyć kompletną degrengoladę...

– Rok 1984, staruszku. Wszystko według planu. Miała być degrengolada i jest degrengolada.

– Niech mi pani tylko nie wyskakuje z Orwellem! – irytuje się Krivitzky. – Ten szmirus! Głupia, płaska, banalna książeczka... a tu co drugi człowiek obnosi się z nią jak z Ewangelią. Skąd się to wzięło? Ta idiotyczna moda?

– Rozgłos rodzi rozgłos, staruszku. Zero, o którym jest głośno, przestaje być zerem. Na czym innym opiera się strategia terroryzmu?

Krivitzky z rezygnacją macha ręką. Nie każdy znosi ton Conchity, tę jej wieczną kpinę ze wszystkich i wszystkiego. Samochód zresztą zatrzymał się właśnie przed hotelem. Książkę wyciąga z bagażnika walizkę Krivitzky'ego; wejdzie z nim na chwilę i zaraz wraca.

Conchita przykłęka na przednim siedzeniu i opiera podbródek na złożonych ramionach.

– Nareszcie sami! – mówi z patosem; ale to nie brzmi śmiesznie.

Sięgnęła po papierosa. „Zapalisz?”

– Chętnie.

– Co w Polsce?

Krzysztof wzrusza ramionami.

– W Polsce, czyli nigdzie. Daj spokój.

– Strasznie sflaczałeś, człowieku. Czy nie pora na następną tabletkę? Na czym jesteś? Patrzy na nią w zdumieniu, nie rozumiejąc.

– Na jakich jesteś prochach? Czym się rajcujesz, no? Chyba jasno mówię? Co bierzesz?

– Amfetaminę.

– A! – Conchita kiwa głową ze zrozumieniem. – Klasycznie. To dobry jesteś. Mnie takie środki nie wystarczają. Wszystkie te benzedryny i inne takie. Ja jestem na takich prochach dla

sportowców, mówię ci, coś ekstra! Oczywiście, wykańczają człowieka w pięć lat, ale jaka różnica, co cię wykończy?

– Dlaczego to robisz? – pyta Krzysztof ze śmiesznie ściśniętym gardłem. Teraz ona jest zdumiona.

– Jak to dlaczego? A ty? W naszym fachu...

Przygląda się przez chwilę jego pobladłej twarzy, znieruchomiałym oczom, lekko drżącym wargom. Potem kładzie rękę na jego ramieniu.

– Daj spokój, kotku. Wiem wszystko. Nawet czytałam to, co o mnie pisałeś w swoich raportach. Tłumaczenia czytałam. Jesteś złoty człowiek, Chris: jak ty się gimnastykowałeś, żeby napisać jak najmniej! Ile pomijałeś, jak kręciłeś! Naprawdę jestem ci wdzięczna. Wzruszyłeś mnie. Ja też ci oddałam pewną przysługę...

Księżę wraca. Krzysztof zdążył jeszcze tylko wykrztusić: „Porozmawiamy później, sami. Dobrze?” Conchita skinęła głową. I już jadą dalej. Do Sperlinga, na Plieningerstrasse.

3

Wszystkie te mieszkania są do siebie podobne. Niezależnie od południka i równoleżnika. Tylko czas je łączy, inne parametry nie mają znaczenia. Mieszkanie roku 1984.

Czyste, jasne, nieduże. Cienkie mury, niskie sufity. Maślano żółte klepki podłogi. Meble też wszędzie są do siebie podobne, muszą przecież mieścić się w tych wnętrzach, muszą do nich pasować. Półki z jasnego drewna, niskie tapczany. Tylko parę szczegółów określa długość i szerokość geograficzną. Wielki porcelanowy kosz, pełen porcelanowych owoców. Haftowane krzyżykami serwetki. Fotografie rodzinne w ramkach z muszelek. Brak jedynie masek z sentencjami. GDZIE KUCHARZEK SZEŚĆ, TAM NIE MA CO JEŚĆ, albo KTO RANO WSTAJE, TEMU PAN BÓG DAJE: aż się prosi o coś takiego. Sperling może udawać obywatela świata, ale jest Niemcem do szpiku kości. Niemieckim mieszcuchem. Koszmar. Koszmar.

Sperling dostrzega coś w ich spojrzeniach, ale interpretuje to zupełnie na odwrót.

– Rzadko używam tego mieszkania – tłumaczy. – Na ogół siedzę w Londynie. Przypomina hotel, wiem. Tylko parę drobiazgów mam naprawdę własnych, ładnych. – I z czułością gładzi starannie odkurzone, porcelanowe jabłka w porcelanowym koszu.

Conchita, Księżę i Krzysztof Paliwoda nie patrzą na siebie.

– Pokażę ci twój pokój, Chris.

Kiedy otwiera drzwi, Krzysztof staje twarzą w twarz z Estravadosem. To tylko plakat, ten stary, słynny plakat. Ten ze słowami: KTOŚ MUSI ZACZAĆ. Biedny, sentymentalny Sperling. To już nic nie znaczy! Patrząc na plakat, Krzysztof po raz pierwszy czuje tak wyraźnie, że stara legenda wypaliła się do końca, a wiatr rozwiął popioły; i że wszystko, z czym był związany człowiek z plakatu, wszystko, w co wierzył, za co zginął, spotkał ten sam los. Popiół rozwiany na wietrze! Wystarczyło trzynastu lat. Trzyście lat, wieczność!

And those, who saw buffaloes, are gone.

Ten plakat, tapczan i lampka nocna z okropnym abażurem z różowej koronki ozdobionej sztucznymi różami: cały Sperling, myśli Krzysztof, cały Sperling. Plakat i abażur. Tego nie można wymyślić. To nie jest inscenizacja, to dusza. Widzisz w tej chwili czyjaś dusza!

Tak się na to zapatrzył, że dopiero po chwili uświadamia sobie obecność Sperlinga. Conchita z Księciem gdzieś znikli, drzwi są zamknięte. Sperling stoi obok. Jest szary. Oczy ma podkrążone, dół twarzy rozlazły, drgający, niepewny. A temu co się stało, na Boga? Mógłby wyciągnąć w tej chwili nóż albo pistolet: tak by chyba wyglądał na moment przed sięgnięciem po broń, przed wykonaniem WYROKU. Galareta, gotowa na wszystko galareta. Krzysztof czeka. Nie czuje lęku. Patrzy na prawą dłoń Sperlinga, dygoczącą i miękką; podbije

ją bez trudu, obezwładni bez trudu tę roztrzęsioną meduzę. Cofnął się o krok. Wciąż śledzi rękę Sperlinga, wznoszącą się w górę – do gardła, do wysokiego golfowego kołnierza ciemnego swetra. Ręka szarpie kołnierz, usta głośno łapią oddech. Ależ facet po prostu źle się poczuł! Musi mu nawalać serce; a może też zapomniał wziąć kolejną, rajcującą tabletkę. Skąd ta głupia myśl o nożu, pistolecie, skrytobójstwie? Idiotyzm. Niewiarygodny idiotyzm. – Nie zapytałem tamtych dwojga – mówi wreszcie Sperling. – Nie zapytałem, czy są głodni. Jest tu taka mała Weinstube. Niedaleko. Chcesz jeść?

Krzysztof potrząsa głową. Jadł coś w samolocie. Niedawno. W każdym razie za wcześniej na powtórkę.

Sperling kiwa głową. Nie wie, jak przejść do tematu, o to mu chodzi, teraz to widać. Chce o coś zapytać. Krzysztof spręża się cały w oczekiwaniu. No?

– Pamiętasz Hanę? – pyta wreszcie Sperling, i znów głośno, ze świstem oddycha.

Be careful. Jakby usłyszał jednocześnie tamten głos, tamte słowa. Ostrożnie. Kiwa głową, nic więcej.

– Naprawdę ją pamiętasz? Zwróciłeś na nią uwagę? Hana. Czeszka. Usti nad Łabą. Naprawdę pamiętasz?

Wzruszenie ramion. Dość tego.

– Hana nie żyje – mówi Sperling, robiąc wreszcie użytek ze swej dygoczącej prawej dłoni: oparł ją o ramię Krzysztofa. – Dzisiaj się dowiedziałem. Mówię tobie, bo ty jeden się z nią zetknąłeś. Inni nie. Wiesz, jak umarła?

Sperling znów sięga do kołnierza, obsuwa go w dół, przesuwa wskazującym palcem w poprzek szyi.

– Poderżnęła sobie gardło. Możesz sobie wyobrazić? Możesz sobie wyobrazić?

Cóż, bywa. Wspomnienie milczącej blondynki, która krzyknęła na widok przebiegającej przed samochodem wiewiórki, a potem powiedziała mu nad płomykiem świecy: „Be careful”, nie jest dość wyraźne, żeby słowa Sperlinga miały nim wstrząsnąć. Ludzie podcinają sobie gardła. Brutalny sposób rozstawania się z życiem, ale zdarza się, bywa. Ze Sperlingiem jest może inaczej, sypiał z nią w końcu. W Usti zajmowali ten sam pokój. Może się w niej kochał, to też się zdarza.

– Powiedz mi jedno – mówi Sperling, chwytając nagle Krzysztofa za ramiona. Wygląda jak obłąkany. Ma krople potu na czole. – Powiedz mi, ty jesteś **stamtąd**, powiedz mi: czy to mógł zrobić kto inny?

Krzysztof strząsa z siebie rękę Sperlinga.

– O co ci chodzi? Jakie „stamtąd”? Co ja mogę wiedzieć?

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi! Odpowiedz! Słyszałeś? Odpowiedz.

– Nie – mówi Krzysztof, patrząc na Sperlinga z nienawiścią, której sam nie rozumie. – Raczej nie. U nas wyrzuca się ludzi przez okna. Czesi lubią też duszenie. Rosjanie wolą truciznę i wypadki samochodowe. O podcinaniu gardeł nie słyszałem.

Sperling odsuwa się od niego wreszcie. Przestaje dyszeć mu w twarz. Ostrożnie, wolno siada na tapczanie.

– Co ty powiedziałeś?

– Słyszałeś dobrze. Bezpieka wypchnęłaby ją przez okno, zrzuciła ze schodów albo udusiła i upozorowała powieszenie. Więc samobójstwo. A czemu je popełniła, to ty możesz wiedzieć, nie ja.

Sperling siedzi pochylony, patrząc na czubki swoich butów. Poci się coraz bardziej. Potem zaczyna coś belkotać. Zdania i słowa bez związku. Londyńskie ZOO przed czterema laty. Dziewczyna w szarym płaszczku szepcze do zamkniętego w klatce jelenia. Zapewnia go szeptem, mamrotaniem, łagodnym ruchem palców, że już nie boli, że już nic nie boli, że wszystko będzie dobrze, że już nigdy cierpienia, że już nigdy rany, oh my poor thing, my baby, my poor baby... a potem idzie samotnie wśród klatek i zwierzęta odwracają za nią głowy,

patrz na nią! Na nikogo, nigdy; tylko na nią. Mówi coś do nich, cicho i bezdźwięcznie. Staje przed nimi nieruchoma, bez uśmiechu. Przyglądają się sobie przez kraty, ona i zwierzęta. Nigdy! A potem upuszcza rękawiczki. On, Sperling, korzysta z okazji. Więźniowie? Oczywiście, Hana zrobi wszystko, co może pomóc w uwolnieniu więźniów. Jakichkolwiek więźniów! Rozumiesz to? Pytam ją: a w sprawie Hessa, wiesz, tego starucha Hessa, co to był kiedyś szefem partii nazistowskiej i dostał dożywocie, i miał wtedy za sobą już trzydzieści pięć lat totalnej izolacji, jedyny więzień w całej twierdzy... a ona mówi, że w sprawie Hessa byłaby gotowa nawet podpalić się żywcem na jakimś placu, wyobrażasz sobie? Myślałem, że trafiłem na jakąś cholerną faszystkę, ale nic podobnego. Po prostu kompletnie apolityczna. Nie mogła znieść myśli o człowieku, który przez trzydzieści pięć lat...

– Tak, rozumiem.

– Rozumiesz coś takiego?! Bo ja nigdy, ja bym nazistów i różnych takich na strzepy... Ale to była cudowna dziewczyna. I ja... No, a potem wciągnęło się ją do polityki.

Krzysztof patrzy pytająco. Wyobraża sobie, jak się to odbyło, o co chodzi, ale wolałby usłyszeć coś konkretnego. Stara się coś wyłowić z bełkotu Sperlinga. Rozumie, że już wtedy, w londyńskim ZOO, WIELKI BRAT PATRZYŁ. Powrót Hany do Pragi. Już tam na nią czekali. Bezpieka. Przystąpiła, podpisała. Była dobrym KONTAKTEM. Sperling oficjalnie jeździł do niej. Do swojej dziewczyny. Czeszki. W końcu zdarza się, że ktoś się zakocha w cudzoziemce, i co, ma jej więcej nie zobaczyć? Jeszcze do wielu innych rzeczy można było wykorzystać Hanę, on sam tak uważał, próbował ją wychować politycznie, i rzeczywiście, Hana w oczach zmieniała się na lepsze, ale jednocześnie coś się z nią działo dziwnego. Chwilami traktowała go jak wroga. Raz zaczęła pleść jakieś kontrrewolucyjne bzdury, pewnie żeby go wypróbować, tak sobie to potem wytłumaczył. A przy ich ostatnim spotkaniu...

Atak hysterii. W hotelowym pokoju. Nazwała go mordercą, mordercą, swoim mordercą. Tortury. Twierdziła, że grozili jej torturami, a jej siostrzyczka... ona miała małą siostrzyczkę, wychowywała ją właściwie, matka nie żyła, a ojciec sobie poszedł... że grozili śmiercią jej siostrzyczki, tak powiedziała. Robi się takie rzeczy. Niestety, zbrodniców seksualnych się nie wypłeni, ciągle się zdarzają takie historie, mała dziewczynka znika z przedszkola, ze szkoły, z podwórka, a potem znajduje się ją gdzieś, zgwałconą i zamordowaną. No i Hana podpisała, podpisała, po tym podpisała! Mówi mu to wszystko w hotelowym pokoju, białe ściany, łagodny krąg światła od kremowego klosza nocnej lampki, rozebrane łóżka lśnią czystą pościelą, a Hana prawie krzyczy te nonsensy, te absurdy, i nagle mówi zupełnie innym głosem, bardzo spokojnym, prosto do tej nocnej lampki: „Słyszysz, ty, co przesłuchujesz taśmę? Masz może dziecko? I jeszcze się nie boisz, że któregoś dnia znajdziesz je z wykłutymi oczami? Na twoim miejscu wzięłabym to pod uwagę, słyszysz? A jak już cię to spotka, przypomnij sobie, co robiłeś innym. I to, co teraz mówię, też sobie przypomnij. Raz na tysiąc lat i w waszej branży słucha się dobrej rady!”

On, Sperling, patrzył na nią osłupiały. Obłąd, oczywiście. Coś psychicznego. Patrzył, jak wrywa lampkę z kontaktu i wystawia ją na korytarz, pamięta to, jej postać w różowym szlafroku na tle prostokąta drzwi, jej jasne włosy, śliczna dziewczyna, chyba nigdy nie była taka śliczna, jak wtedy. Wróciła. Zapaliła papierosa. Sperling nacisnął kontakt, włączył górne światło, machnęła ręką, wszystko jedno, podsłuch i tak pewnie tu jeszcze jest. Podsłuch? Któż miałby ich podsłuchiwać, tu, w hotelu? Nie odpowiedziała mu nawet, spojrzała tylko na niego i pyta, czy mógłby torturować i zamordować dziecko. Czteroletnie, sześćoletnie, jak woli. Tego już było za wiele! A Hana pyta, dlaczego w takim razie przestaje z ludźmi, którzy to robią. Zerwał się z miejsca. Zarzucać socjalistycznej służbie bezpieczeństwa... trzeba by wezwać po ciebie karetkę, to obłąd! „Nie robią tego, tak? – pyta wtedy Hana ze słodziutkim uśmiechem na tej kredowej twarzy. – „Tylko tak się chwala? Tylko straszą? No, może w ostateczności, jak się trafi taki twardziel, co to nawet na torturach nie zgadza się składać raportów o rozkładzie dnia właściciela kiosku z gazetami naprzeciwko swojego domu... tylko w

ostateczności porwą mu dzieciaka, skatują, zgwałcą, pokroją na kawałki, i facet zmądrzeje, i siądzie do skrobania donosów. Kiosk-został-otwarty-o-siódmej-czterdzieści-osiem. O-siódmej-pięćdziesiąt-jeden-przyszedł-pierwszy-klient. Tak? Tak?”

A potem przyszło najgorsze, potem zdarzyło się coś takiego, że on, Sperling, nie mógł już patrzeć na Hanę. Nazajutrz opowiedział o tym komuś... opowiedział Karelowi, nie mógł inaczej. Wiesz, co to było? Sięgnęła po swoją torebkę i wyjęła z niej taką małą książeczkę. Oficjalne wydawnictwo, dość stare. O kontrrewolucji węgierskiej z 1956. Prawie same zdjęcia. Jak linczowano na ulicach Budapesztu funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa. Koszmarne zdjęcia, znasz je, Chris? Te czarne, zmasakrowane twarze. Wisielcy na latarniach, na drzewach, ludzie powieszani za nogi i jeszcze torturowani, opluwani, bici, i ten rozszalały tłum, i trupy na chodnikach, trupy, na które rzucano partyjne broszury, zdjęcia Lenina, nadpalone czerwone flagi...

– Hana mi to pokazuje – mówi Sperling – ja nie mogę wprost patrzeć, odwracam głowę, na sam widok robi mi się słabo, a ona się uśmiecha. I to jak! Z rozkoszą, wiesz, z rozkoszą. Mówi: „Kiedy to zobaczyłam po raz pierwszy, dostałam torsji, gorączki, odchorowałam to. A teraz skrećam się z zazdrości, że nie przeżyłam czegoś podobnego, że nie byłam w tamtym tłumie. Chciałabym, żeby i tu się to stało. I być wtedy na ulicy, i zobaczyć nagle Karela czy innych, których znam, i móc krzyknąć: To ubek, znam go, to ubek!, i widzieć, jak ich łapią, rozszarpują, linczują, i własnym pilnikiem do paznokci wykluwać im oczy, tego jednego pragnę, za to oddałabym wieczność!”

Krzysztof siedzi na krześle naprzeciwko Sperlinga. Dopala kolejnego papierosa. Słucha.

– To było coś niepojętego! – mówi Sperling, wyłamując palce u rąk. – Nie mogłem pojąć, co się stało. Byłem w jednym pokoju z wrogiem, ze śmiertelnym wrogiem. A tym wrogiem była słodka blondynka o błękitnych oczach, która... której... Pamiętałem ten jej szept: „It doesn't hurt more, poor little thing, it doesn't hurt more...”, pamiętałem, jak uważała, żeby nie rozdeptać mrówki, jak rozprostowywała jakiś zgnieciony kwiatek... a teraz siedziała na łóżku w różowym szlafrocisku, z pilnikiem w ręku, i trzymała ten pilnik tak, że... tak, że... Co się z nią stało? Pomijam poglądy, sam charakter. Najłagodniejsza istota na świecie! Znowu się uśmiechnęła. Powiedziała: „Właśnie. Zastanów się, jacy oni są, jeżeli nawet mnie doprowadzili do takiej nienawiści. Albo nie zastanawiaj się, i tak ci nic nie pomoże”. Tak to było. I...

– I, oczywiście, czym prędzej złożyłeś meldunek – kończy Krzysztof. Pochylony do przodu, zaczyna klaskać. – Brawo, Sperling! Udało ci się! Jesteś mordercą!

Widząc, że Sperling wstaje, zaciskając pięści, natychmiast przestaje klaskać.

– Żartowałem. Oczywiście, że żartowałem! Po co bezpieka miałaby jej podcinać gardło? Zamiast wyrzucić przez okno albo powiesić, jak się to zwykle robi? Chyba że dla odsunięcia podejrzeń, ale to zbyt subtelne. Nie trap się tym. Samobójstwo, jasne, że to samobójstwo.

Za drzwiami słychać głos Conchity:

– Jesteście tam? Sperling, czy można wziąć piwo z lodówki?

4

Trawniki, które wystarczy strzyć przez kilkaset lat, aby już potem nie przysparzały kłopotów. Rude włosy ułożone przez fryzjera. Prawa ręka, dotykająca napęczniałego dzieckiem brzucha. Wspomnienia! Teraz już się nie podniesie ta ręka, już niczego nie dotknie. Zwisa bezwładnie wzdłuż boku, martwa. Po tym nieszczęsnym zamachu.

Maitha Doherty powoli, trochę sztywno – ręka jest najbardziej widoczną pozostałością zamachu, ale całą ją nieźle poharatał ten kretyn, który do niej strzelał – przechodzi przez hall hotelowy. W oszklonym kącie koło recepcji można kupić nie tylko papierosy i temu podobne, ale i – jakże by inaczej? – książkę roku, tanie, kieszonkowe wydanie. George Orwell, „1984”.

Nigdy tego naprawdę nie czytała. Przerzuciła tylko. Kiedy to było? Ach, jeszcze w szkole! I zapamiętała, oczywiście, tylko jedno: romans. W koszmarnym totalitarnym społeczeństwie roku 1984, w systemie bezustannej inwigilacji, bezgranicznego śledzenia, w świecie, który stał się gigantycznym Super-Szpiclem, pokorny szary obywatel, sprasowany na płask, daje się oczarować, porwać, uwieść rudej anarchistce. Kontestatorce. Buntownicze. Grzesznie i tajemniczo spotykają się w jakimś obskurnym pokoiku, do którego dziewczyna przemycała PRAWDZIWA KAWĘ, perfumy i szminek. Raj! Naprawdę raj! Tam właśnie, w brudnym, wolnym, pachnącym kawą i perfumami raj, zostają wyśledzeni i schwytani. Dziewczyna zginie. On sam ją wyda, zdradzi, wyrzeknie się jej, mało tego – pokocha swoją niewolę. Dziewczyna miała na imię Julia, tak. I na pewno była ruda.

– Martha! Nie pamiętasz mnie?

Jakiś podstarzały Amerykanin szczerzy do niej swoje amerykańskie zęby. Skąd miałyby go pamiętać? Przypomina więc sam, lekko obrażony: trzynaście lat temu, na Kongresie... David Sinclair, nie pamięta Davida Sinclaira? Skoro on ją od razu poznał... Nie mówi mu nawet, że dla niego to było łatwe. Jej zdjęcia przez cały czas pojawiały się w gazetach, a kto dziś pamięta o Davidzie Sinclairze? Przypomina sobie teraz, że z nim spała, i wpada w złość: nie powinien był do niej podchodzić! Co za chamstwo!

On też będzie na premierze. To znaczy na próbie generalnej. Załatwił sobie zaproszenie. Był akurat w Stuttgarcie i zadzwonił do teatru. To jakby spotkanie z czasami młodości, prawda? Z latami, w których się chciało przebudować świat? Kretyn.

Kiedy zaczyna coś bredzić o kieliszeczku na pamiątkę przeszłości, odwraca się do niego plecami. I staje twarzą w twarz z Raymondem Krivitzkym.

– Martha! I pani tutaj? Będzie pani dziś wieczorem w teatrze?

Korzysta z okazji, żeby lewą ręką wziąć go pod ramię, żeby z nim odejść; ale nie tak łatwo pozbyć się Davida Sinclaira. Mógłby nosić na piersi wielką jak słonecznik blachę z napisem CIA, myśli gniewnie Martha, nic by to nie zmieniło. Przyczepił się do nich. Idzie z drugiej strony Marthy, wciąż bredząc o kieliszeczku, o chwilce rozmowy kiedy mu rzuca, nie odwracając głowy, że czeka na kilku znajomych, którzy odwiozą ją do teatru, staje się jeszcze bardziej namolny: a kto to będzie? chętnie z nimi pogada; mogą razem wypić ten kieliszeczek... Krivitzky pyta oschle, kim jest ten facet, a ona odpowiada: „Taki z CIA”, i to wreszcie Sinclaira uspokaja. Jakby go wmurowało w ziemię. Szczęka mu opadła. Pełny knock-out. Wchodząc z Krivitzkym do windy, Martha czuje nawet wyrzuty sumienia: w końcu nie ma pewności, kiedy można mieć taką pewność? Czasem, rzadko. Co do siebie – i prawie nikogo więcej. Sinclair może być źle wychowany, ale czysty jak kryształ. Zresztą, cóż ją to obchodzi.

Naprawdę czeka na kogoś. Na Sperlinga, „tę małą Estravados”, i dwóch ich znajomych. Dzwonili niedawno. Krivitzky też na nich czeka, nie wie co prawda, jak się pomieszczą w samochodzie, ale ma na nich czekać. Tak się umówili. Więc czemu nie w pokoju Marthy?

Dobrze. Idą do pokoju Marthy.

Krivitzky siada natychmiast w fotelu i wyciąga z kieszeni mały, kolorowy tomik w miękkiej okładce. Cóż by, jeśli nie „1984”? „Kupiłem to w kiosku na dole” – tłumaczy – „chciałem sobie przypomnieć”.

Dobrze, niech czyta. Niech sobie czyta o Ministerstwie Miłości, śledzącym, przesłuchującym i torturującym, o Ministerstwie Obfitości, obcinającym przydziały kartkowe, i o Ministerstwie Prawdy robiącym propagandę. Że też takie rzeczy zawsze człowieka biorą! Wystarczy, żebyś zelżył świat, a świat rozpląca się ze szczęścia i padnie przed tobą na kolana.

Nieprawda. Myśli bzdury. Idiotka.

Podchodzi do okna. Rozpłascza nos i czoło o szybę.

Raymond Krivitzky na chwilę podnosi na nią wzrok. Biedaczka. Udało jej się z tą ręką! A pan Jones z miejsca ją rzucił, typowe. Kto by nie rzucił leżącej na wyciągu kobiety, nie mającej szans na odzyskanie władzy w prawej ręce? Każdy by to zrobił, każdy. Tysiąc mężczyzn

na tysiąc. Z wyjątkiem, oczywiście, jego, Krivitzky'ego, wiecznego wyjątku od każdej trywialnej reguły. Zatem pan Jones ją rzucił. Nie złamało jej to, wręcz przeciwnie: tak też bywa.

Krivitzky wraca do swej lektury. Rok 1984 jest rokiem trzech mocarstw: Estazji, Eurazji i Oceanii. Ale we wszystkich włada ten sam, nieistniejący może, bohater: Wielki Brat. No, jasne. Supermocarstwo kretów. BIG BROTHER IS WATCHING YOU! krety wszystkich krajów, łączcie się! Połączyły się. Połączyły się. Patrzą na nich teraz – na Krivitzky'ego i Marthę – śledzą każdy ruch, słyszą każde słowo. Tak, WIELKI BRAT jest prawdziwy. On jeden. Prawda czasów, prawda świata.

Krivitzky czyta, Martha stoi z twarzą przy szybie. Nie odwraca się nawet wtedy, gdy goście – ich goście – pukają do drzwi, wchodzą, siadają. Dopiero po chwili. Co ona tam zobaczyła, za oknem?

5

– But no one is innocent they did not kill!

Kiedy to krzyknęła – klęcząc na środku sceny, z jasnymi włosami potrząśnięciem głowy odrzuconymi do tyłu, i znów, gdy pochyliła się gwałtownie, prawie uderzając czołem o deski, opadającymi do przodu jak świetlisty obłok – kiedy to krzyknęła, ręce Marthy odruchowo uniosły się do oklasków, zderzyły wnętrzami dłoni i opadły, zawstydzone, na kolana. Sala milczała, salą to nie wstrząsnęło, i w osłupieniu, że tylko ją jedną te słowa uderzyły w twarz jak wielki kamień, dla pozostałych nic nie znacząc, zupełnie nic, Martha uświadomiła sobie, że przecież – nie trwało to dłużej niż dwie sekundy – że przecież nie dla wszystkich: ktoś w pobliżu także zaklaskał i umilkł czym prędzej, nie znajdując wsparcia. Zdażyła jeszcze zauważyć, kto to był: mężczyzna w okularach, siedzący w poprzednim rzędzie, dwa miejsca na prawo od niej.

Pan Jones.

Dziewięć lat temu.

Co za naiwność, wiecznie ta sama, nieustępliwe złudzenie ludzi z papieru: człowiek, którego wzruszyło to samo zdanie, jest moim bratem. Jest moją miłością. Czemu nie człowiek, który tak samo jak ja lubi hamburgery? To byłoby bezpieczniejsze, rozsądniejsze, miałyby sens, tak patrzą na to ludzie z mięsa, wieczni wrogowie nas, papierowych... „But no one is innocent they did not kill!”, zawołała Maggie do Quentina w sztuce Arthura Millera, a Martha Doherty i mężczyzna w okularach, siedzący w poprzednim rzędzie, zaczęli klaskać.

Bo nie jest niewinnym nikt, kogo ONI nie zabili.

Wszystko, co było potem między nią a panem Jonesem, wynikło z tego jednego zdania.

I ze zmęczenia, oczywiście. I z niewiary. Od tego zdania, się zaczęło, a przecież nie minęło parę miesięcy, i zaprzeczyli mu oboje. Życiem, które wybrali. Ucieczką od niewinności. Od niewinności, która jest śmiercią. Jak panicznie przed nią uciekali! I co im z tego przyszło? Co jej z tego przyszło?

Teraz jest niewinna. Zabili ją. I niech szlag trafi pana Jonesa. Ale to boli.

Nie, nie zabili. Okaleczyli tylko. Einmal ist keinmal. Pierwsze koty za płoty. Poczekajmy na drugą próbę. Jeśli już mamy rozumieć to zdanie dosłownie.

Czyjaś dłoń na jej ramieniu.

– Martha, nie słyszysz nas? Przyszliśmy!

Głos tego prowokatora, sługusa, szpicla. Głos Sperlinga.

Odkleja czoło od ciemności, która podpłynęła pod okno. Palcami lewej ręki przeczesuje włosy.

– Przepraszam. Zamyśliłam się.

6

Mają jeszcze trochę czasu. W pokoju jest barek-lodówka, wypełniony samymi próbkami, małe buteleczki, każda starcza akurat na jednego drinka. Można zadzwonić i zamówić coś dla wszystkich, ale po co? Książę miesza sobie gin z martini, Sperling bierze wódkę, Krzysztof jakieś czerwone wytrawne, Krivitzky koniak, Conchita cherry brandy, Martha coca colę. W barku są jeszcze orzeszki i słone ciasteczka: doskonałe.

– Wybaczcie mi – mówi Martha, siadając na kanapie z grymasem bólu: przesunęła zdrową ręką wzdłuż krzyża. – Posiedzę chwilę spokojnie.

– Boli?

– Aha. Paskudnie oberwałam. Wsiadałam właśnie do samochodu, wiecie. I nagle ten ogień: nie wiedziałam, skąd.

– Nie złapali tego, co strzelał? – pyta Krzysztof, idiotycznie, takie rzeczy należy wiedzieć, i wiedziałby, gdyby ci dranie z bezpieki dopuścili go do zachodniej prasy, tyle razy o tym mówił, prosił nawet na piśmie: skądże, nie zgodzili się. Ma być ciemny jak tabaka w rogu. Odcięty od informacji, kipiący ignorancją i dobrą wolą SYMPATYK z za żelaznej kurtyny. Takim go chcą i takim go mają. Żałuje, że pytał.

– Nie, skąd?

– Oczywiście – basuje natychmiast Sperling. – Kto by go szukał? Angielscy imperialiści! Lokaje Amerykanów! Kogo mieli szukać? Siebie?

Martha zatrzymuje na Sperlingu długie, ironiczne spojrzenie. A więc to nie byli Anglicy. Krzysztof wpatruje się czujnie w twarz Marthy. Wie, kto do niej strzelał, to widać. I patrzy tak... patrzy tak, jakby to był Sperling!

Och, nie on sam, oczywiście.

Piją. Mówią coś o sztuce, którą dziś mają zobaczyć. Sztuce pomordowanych, którą będą oglądać mordercy. Kto z obecnych jest ich mordercą? Sperling? Na pewno. Conchita, Książę? Możliwe. Krivitzky? Kto go wie, kto wie, kim jest Krivitzky. Krzysztof Paliwoda? Ręka, trzymająca kieliszek, drży, parę kropel czerwonego wina chlusta na palce. Mało kto jest mordercą świadomym, oddanym, fanatycznym, mordercą-idealistą jak Sperling czy Michael Bernard. Większość nie wie, kogo i kiedy zabija. Krzysztof przymyka oczy. To on naprowadził szpiclów na podziemną drukarnię w Warszawie. I na człowieka, który był w drukarni, człowieka z listów gończych. Nieświadomie, a jakże. Chciał okupić swoją winę! Wtedy, na zalanym słońcem placu przysięgał, że okupi swoją winę. Że, korzystając z pozornej bezkarności, że, uśpiwszy ich czujność... Pięknie ją uśpił! Dureń. Dureń.

„– I po co to panu było? – zapytano go wtedy, zarośniętego, chorego, trzęsącego się od gorączki. – Mógł się pan bezkarnie bawić w tę Solidarność, w te strajki, ekspertyzy... Nas interesują tylko pańskie kontakty zagraniczne! Wyłącznie!”

Idiota. Nie zrozumiał, że trzeba to zdanie odwrócić. Mógł się bezkarnie bawić w swoje zagraniczne wojaże, w podniecające spotkania z niemieckimi, francuskimi, włoskimi sługami Wielkiego Brata, w tę idiotyczną ciuciubabkę. Ich interesowała wyłącznie „Solidarność”. Udawali, że robią z niego międzynarodowego szpiega, aby bez trudu, prościutko, dojść przez niego do wrogów Wielkiego Brata. Przewidzieli trafnie. Dał się nabrać. Ludzi, którzy wpadli przez niego, nie zabito; i co z tego?

Pozwolono mu się bawić. Jak pajacowi na sznurku. Sznurek jest krótki, jego koniec znajduje się w pewnych rękach.

Pajac porusza się. Sznurek drgnął. Pajac słucha. Zdumiony. O czym ona mówi?

O tym, jak wróciła do polityki.

Bobby Sands. Wróciła do polityki, kiedy zginął Bobby Sands.

Zachłystując się, urywanymi zdaniami, Martha próbuje opowiedzieć o śmierci Bobby'ego Sandsa. Pierwszego z dziewięciu, którzy umarli z głodu w więzieniu Maze – wtedy gdy oni, w Polsce, upajali się swoją prawie-wolnością. I gdy Sperling organizował nową, posłuszną, sprawną niemiecką siatkę usług dla Wielkiego Brata. I gdy kto inny robił to samo we Włoszech. Krzysztof Paliwoda sumuje to szybko, żeby wiedzieć, żeby wiedzieć. Wykańczano wtedy planowo, etapami Niemców, Włochów, Irlandczyków, Polaków. Wielkie porządki. I wtedy właśnie Martha Doherty, szczęśliwa mieszcza, wróciła do polityki.

– Wiecie, zabrali mu książki – mówi Martha. – Żeby go zniszczyć. Bo on tym tylko żył, czytaniem. Zabili mu okna blachą. Pozbawili światła, świata, wszystkiego. A przecież rząd im obiecał, obiecał, już pięć lat wcześniej, prawa politycznych. Więc podjęli głodówkę. Żądali tych praw. Znęcano się nad nim, bez przerwy. Strażnicy przynosili żarcie, ważąc co do grama czy aby jednak czegoś nie uszczknął... i lżyli, lżyli. Mówili mu, że ludzie o nim zapomnieli. Że na manifestację w jego obronie zeszło się sto osób. Że zdechnie bez powodu. Karano go. Bo przecież naruszył dyscyplinę, nie jedząc. Więc za karę pełna izolacja. Żadnych wizyt, niczego. Krucyfiksem rył napisy na ścianach. Trząsał się z zimna, okręcony kocem. Głowa pękała z bólu, oczy pękały z bólu, ślepy...

– Och, znamy to przecież – mówi Sperling; i wszyscy myślą to samo, wszyscy to znają. Czy w ich krajach, czy z ich ludźmi było inaczej?

– Ale Bobby'ego właśnie wtedy wybrano do parlamentu! – woła Martha. – Właśnie wtedy umarł poseł z okręgu, ludzie zgłosili Bobby'ego, i Bobby wygrał. Nie chcieli mu nawet pokazać w mamrze depesz z gratulacjami... a całe worki ich przyszły, całe worki! I od tej pory to już nie był zwykły dwudziestoparoletni terrorysta, ale deputowany, poseł! Pomyślcie! Deputowany do brytyjskiego parlamentu konał w więzieniu Maze. Mdlął. Budziły go bóle. Był tak odwodniony, że schodziła mu skóra. Przy najłżejszym dotknięciu naskórek odpadał całymi płatami. Plecy, łokcie, to już było samo mięso, krwawiące mięso... Nie widział, prawie nie słyszał. Stracił już trzydzieści jeden kilo. Kiedy go przenieśli do szpitala w ostatnich chwilach, tylko po to, żeby tam skonał, po raz pierwszy od dawna miał dzienne światło. Okna. Gdyby jeszcze mógł widzieć... Okna pełne nieba, wyobraźcie sobie! Nieba, obłoków... Gdyby jeszcze mógł widzieć! Ale głodni tracą wzrok. I dzwonów też chyba nie słyszał, wszystkich dzwonów Belfastu, które były jednocześnie, dla niego. Przed pochodem, wielkim pochodem solidarności...

Martha ma łzy w oczach, naprawdę! Krzysztof Paliwoda nie odrywa od niej wzroku. Wie teraz, jest tego pewien, dałby za to głowę: ona jest CZYSTA. Więc co tutaj robi wśród nich, kretów?

– A w nocy, kiedy umarł, odezwały się werble – mówi Martha. – Ludzie wybiegli na ulice. Siadali na chodnikach i tłukli pokrywkami, walili w garnki, o Boże, w co popadło, to byłoby śmieszne, gdyby nie było... gdyby nie było... Zapalili pochodnie. I bili w te swoje werble, i śpiewali, i dzwoniły dzwony we wszystkich kościołach. Wielka msza żałobna za Bobby'ego, na ulicach Belfastu. Byłam wtedy w Belfaście. Ja też wybiegłam. Płonął jakiś samochód, usiadłam na ziemi, niedaleko, wśród ludzi, i płakałam głośno, jakiś chłopak tłukł rytmicznie o chodnik pokrywą od kosza na śmieci, on też płakał... a to czarne niebo nad nami, to straszne niebo!

Conchita odstawia swój kieliszek.

– Mówiłaś o tych oknach zabitych blachą – zaczyna, ale Martha nie słucha.

– A w kilka dni później umarł Francis. Potem trzecia śmierć, czwarta, piąta, szósta... ósma, dziewiąta... I nic, nic! Bo walka za ojczyznę nie jest sprawą polityczną, to zbrodnia pospolita. Więc nic. Ludzie z IRA przychodzili zamaskowani na pogrzeby i strzelali w to cholerne niebo... oddawali honory wojskowe tym, którzy umarli z głodu w Maze!

Kogóż ona chce przelicytować?

Wszyscy mamy swoich męczenników.

Ale ona jest CZYSTA, inni nie. Więc milczą. Przez chwilę milczą.

Potem patrzą na zegarki. Pora już iść.

7

Sala jest prawie pełna. Za lichą kurtyną po raz trzeci rozchybotał się ręczny dzwonek. Na proscenium wychodzi facet w średnim wieku, reżyser, Ludwig Baier, i zaczyna słowo wstępne.

– To, co za chwilę zobaczycie – mówi Baier – będzie próbą generalną, premierą i ostatnim przedstawieniem jednocześnie. Sztuka powstała, jak wiecie, w więzieniu. Jej autorami była grupa więźniów politycznych, którzy już nie żyją.

– Wiemy, wiemy – krzyczy jeden z młodych Niemców.

– Zaczynajcie wreszcie!

– Autorzy wzięli realia 1891 roku, żeby pokazać sytuację modelową. Dwaj starcy, intelektualści, nawet obaj ułomni. Czterdzieści lat temu pierwszy znalazł się u władzy, drugi w opozycji. Pierwszy robił karierę, drugi był prześladowany, więziony, zsyłany. Pierwszy zbijał majątek, drugi przymierał głodem. W tym samym momencie obaj, rozczarowani, wycofali się z polityki, i w tym samym momencie do niej powrócili. Pierwszy znajdzie się wśród oblegających, a potem masakrujących zbuntowane miasto-twierdzę, drugi będzie wśród buntowników. Tyle tylko, że pierwszemu prawica da dyktaturę i dzięki temu zwycięży...

– Co, zwycięży? – woła Księżę łamaną niemieczyzną, unosząc się z krzesła. – To ja tu nie mam po co siedzieć! Czemu zdradzasz zakończenie?

– Zakończenie jest chyba każdemu znane – odpowiada Baier, nieco speszony. – Przecież wszyscy wiedzą, że Komuna Paryska upadła.

– Mów za siebie, Baier! Ja tam nigdy w życiu nie zaglądałem na ostatnią stronę kryminału.

– A więc – kontynuuje Baier, odzyskując trochę pewności siebie – mamy po obu stronach barykady ludzi tego samego formatu, bardzo do siebie podobnych, Thiersa i Delescluze'a. Dwóch intelektualistów. Prawica daje swojemu władzę absolutną. Lewica swojego niszczy. Prawica docenia intelekt, lewica nim gardzi. Czy nie właśnie dlatego...

Teraz już rozlegają się gwizdy. Sala ma dosyć gadania Baiera, chce widzieć sztukę. Won!

Baier urywa w pół słowa. Znika. Światło przygasa. Kurtyna idzie w górę.

8

Ale czy można teraz oglądać podobną sztukę? Czy można patrzeć na przeszłość i widzieć terażniejszość? Nonsens. Umierają z nudów. Solennie, z szacunkiem, z najwyższą czcią umierają z nudów. Chociaż sztuka jest dobrze napisana, dobrze grana – biedna Monika, czy warto było gnić w Stammheim, a potem ginać w rozerwanym na kawałki samolocie? Mogła zająć się tą swoją wielką miłością, teatrem, i żyć do tej pory, z kontem w banku i dobrą renomą. Tak, młodość, młodość! W młodości człowiek goni jak dureń za CZYNEM, a potem nawet pies z kulawą nogą po nim nie zapłacze.

Niski, czerwony, wydobyty reflektorem z ciemności człowiek – to Thiers, „karzeł” Thiers, późniejszy Kat Paryża – wymachując pięściami, ociekając potem, przekrzykuje wycie rozwścieczonego parlamentu. „Obrażajcie mnie... Znieważajcie mnie... Gotów jestem znieść wszystko, byle ocalić te tysiące istnień, które wy dzisiaj...” ZDRAJ-CA! – skandują deputowani, zagłuszając go ostatecznie. – ZDRAJ-CA! Krzysztof Paliwoda rozgląda się dokoła. Zna tekst, wykonanie mniej go obchodzi. Monika. Myśli przelotnie o Monice, ślęczącej nad tym wszystkim w swojej celi – Thiers stoi właśnie na tle mapy z jednym płonącym punktem, z jednym światełkiem, stoi pod napisem SAINT PETERSBOURG i rozmawia z carem Wszechrosji, próbuje ratować pokój – myśli więc o Monice, o jej celi, ale niczego już przy tej myśli nie czuje, niczego. „Ach, kolektyw, kolektyw!” – mówi car w odpowiedzi na ofertę utworzenia koalicji antypruskiej. – „Ten wasz kult kolektywu!” Na sali po raz pierwszy roz-

lega się śmiech. Krzysztof znów się rozgląda. Spęd duchów. Tak powiedział Książę. Nie, nie tylko duchów. Ci brodaci młodzieńcy o błyszczących oczach, te przejęte dziewczyny. Kolejna zmiana w sztafecie. Teraz z kolei oni WIERZA: czy każdy musi przez to przejść? Przez bezsens tej wiary? Żeby odpaść z biegu, roztyć się, uspokoić, spokojnie rozczarować – albo stać się tym, czym stali się on, Michael Bernard, Conchita, Sperling, Książę i tylu innych? Szpiclami, mordercami, zdrajcami, władzą, przyszłą władzą, możliwą władzą, całym tym łańcem?

*

Sperling siedzi z przymkniętymi oczami. Ta sztuka ze swoim pseudoobiektywizmem, ze swoją rozpaczą, ze swoim widzeniem po drugiej stronie barykady wielkości, sumienia, idei, ze swoją rehabilitacją Kata-Paryża-Krwawego-Karła-Thiersa (nikt się dotąd na to nie odważył! nikt! – a rehabilitacja jest pierwsza klasa, co za aktora Baier obsadził w tej roli!), cóż, ta sztuka wykończy wreszcie przemawiającą do romantycznych zapaleńców legendę Estravadosa i jego następców, pięknych terrorystów, samotnie przeciwstawiających się światu. Wykończy ją politycznie. Tak przynajmniej uważa IWAN IWANOWICZ, i nie ma powodu, żeby mu nie wierzyć. Ludzie potrzebują siły, potrzebują monolitu. Znajdą to w IWANIE IWANOWICZU. Ze sceny dobiega gniewny, obraźliwy głos młodego lewaka, zaczepiającego w lokalu Komuny – bo mamy już Komunę – siwego kuternogę w czarnym surducie, Deles-cluze'a. „– Jak to? Pójdzie pan ręką w rękę z klasą robotniczą? I serce panu nie pęknie?” Sperling odrobinę rozchyła powieki. Kuternoga chce lewaka ominąć; tamten zatrzymuje go, chwyta za rękaw. „– Trudno to panu przyjdzie, co? – Owszem, trudno”. Chwila zaskoczony ciszy. „– Co za szczerłość! Może pan jeszcze powie, dlaczego? – Przeraza mnie ciemnota robotników. Ich niewiedza. Brutalność. – Ach, tak? Więc czemu...? – Bo chcę sprawiedliwości”. Po raz pierwszy ktoś na widowni niepewnie zaklaskał. Inni syczą gniewnie. Tak, na tej sali jest elita Niezależnej Lewicy, Skrajnej Lewicy, Nowej Lewicy, Niemoskiewskiej Lewicy, elita rzeczywistości i elita in spe, a obie wydadzą dziś wyrok przygotowany już dawno w Moskwie: tak, wydadzą wyrok! I odetną się, i potępią, silniej, słabiej, wszystko jedno. I nie będzie już tak, aby ktoś, kogo przeraza Wielki Brat – czy klasa robotnicza, to przecież synonimy – mógł dalej działać. Jedność, jedność. Jedność opozycyjna, zbuntowana, zbrodnicza, do której dążył nieboszczyk Estravados – czy jedność karna, pokorna i ufna pod skrzydłami Wielkiego Brata? Ta druga, tylko ta druga! On, Sperling, na swoją skromną miarę dokłada wszelkich starań, żeby ta druga. Znów przymyka oczy. Usta krzywią mu się boleśnie, nie wie o tym.

Myśli o czasie swoich Błędów i Wypaczeń, o czasie, w którym nie otulały go opiekuńcze skrzydła wszytkowiedzącej potęgi. O swoim zachwyconym drzeniu przed szybą w sali widzeń w Stammheim, o buntownikach za szybą. Trzeba ich było usunąć, wie o tym. Odciać się od nich. W imię Społeczeństwa Bez Wyzysku oraz Internacjonalizmu Proletariackiego. Wielkie litery kłębią się w głowie Sperlinga. Ach, ten spokój, ten błogosławiony spokój, odkąd podpisał cyrograf i oddał duszę na wieki wieków potędze z kremłowskiego zamku, potędze wprawiającej w ruch świat marionetek! Co się teraz dzieje z tym jego spokojem? Z ekstazą miłości do kremłowskiego zamku? Myśli o rozerwanych na strzepy ciałach ludzi, których widywał za grubą szybą w więziennej rozmównicy. O rozciętej, krwawiącej szyi Hany. Ach, głupstwo, głupstwo. Są wyższe racje. Cóż on może o nich wiedzieć, on, pionek, on, skromny sługa potęgi zbrojnej w bomby, mogące unicestwić planetę, w rakiety i czołgi, w tajne kartoteki i ostre noże, i w nieskończone imperium szpiclów obejmujące obie półkule – a wszystko to w imię najświętszych świętości, w imię wyzwolenia uciśnionych, sprawiedliwości i powszechnego szczęścia? Czyż nie są obłąkani ci, którzy pragnąc tego samego, działają bez tej potęgi, wbrew niej, przeciw niej? Sperling uspokaja się, raz jeszcze się uspokaja. Serce zaczyna mu bić wolniej, ceglaste wypieki znikają z policzków. Tego tylko brakowało, żeby jeszcze raz zaczął wątpić! W swoim wieku!

*

Profesor Wiener pochylił się lekko do przodu. Nasłuchuje pilnie. Oto dowód siły jego – Wienera – myśli, jego – Wienera – idei! Słowa, które padają teraz ze sceny, są autentyczne, zna je; ale czy nie jest dowodem jego – Wienera – sukcesu, że terroryści ze Stammheun umieścili je w swojej Pracy Szkoleniowej, w swojej sztuce? Noc przed ucieczką prawnicowego rządu do Wersalu; buntownicy pozostaną sami w swojej twierdzy. Potajemne spotkanie Thiersa z Delescluzem. Dwa lustrzane odbicia, dwaj intelektualści w świecie polityki, rozmawiają w półmroku, przy świecach.

– Widzi pan – mówi Thiers, ten skryba, który **właśnie dlatego**, że jest skrybą, utopi wkrótce Paryż we krwi, i dobrze zrobi, zrobi jedyne, co można, dla ocalenia tych, którzy dali mu władzę, zrobi to mimo ich protestów, oszołomienia, nienawiści, nie-skryba nie byłby tak zdecydowany ani tak okrutny – widzi pan, całe życie poświęciłem studiom nad historią. Jeżeli jestem politykiem, to tylko dzięki nim. Same detale techniczne... cóż to za materiał! Ile problemów, niuansów! Czyta się choćby, że ktoś dokonał wielkich rzeczy... jak to, sam? Kto inny wyrządził wiele zła: przepraszam, on czy jego czasy? Dwa identyczne czyny nigdy nie są identycznymi czynami. Epoka! To się liczy: epoka!

Kuternoga w czarnym surducie, przeciwnik mówiącego (zginie wkrótce dlatego, że jest jego przeciwnikiem), kiwa głową: on też to wie. On też tak uważa.

– Historia nie jest wiecznym dramatem – zapewnia Thiers. – Tak by się wydawało, kiedy się czyta tych durniów, udających historyków. Nic podobnego! Te okresy ciszy przed każdą burzą, ich się nie zauważa! Te długie przerwy między kryzysami! Gromadzą się ludzie, pieniądze, kumulują się warunki. A potem... Właśnie dlatego mówię: jedna kropla krwi, przelana dwa lata wcześniej, może być większą zbrodnią niż oceany krwi w dwa lata później!

Profesor Wiener szuka wzrokiem głowy człowieka, który zmałił jego spokój, zaraził go nadzieją wielkości, i wycofał się, i zrezygnował. Siedzi tam, z przodu, obok małej Estravados. Profesor Wiener przypomina sobie swój zachwyt, kiedy ten dzikus z azjatyckich stepów – żartuje, oczywiście, wie dobrze, że Polska nie ma nic wspólnego z azjatyckimi stepami – zjawiał się u niego ze swą zuchwałością, ignorującą wszelkie przeszkody, z góry wiążące ręce ludziom doświadczonej; ten Kałmuk, ten Rogożyn, ten Mazurek Chopina ze swoim planem: RPI, przejście lewicowego terroryzmu, światowy bunt inteligencji, jej walka – jej wojna – o własne prawa! Tylko najzuchwalsze plany mają szansę powodzenia, tyle Wiener wie: dlaczego ten człowiek się wycofał? Niczym kuternoga w czarnym surducie, kuśtykający właśnie po scenie, poszedł ręką w rękę z Klasą Robotniczą, z tym przeklętym Hunem historii, z uciśnioną (i słusznie!) ciemnotą, ze swoim uciemionym narodem: oszalał. Oszalał. Oszukał Wienera, wyparł się samego siebie, wrócił w wydeptane koleiny beznadziejności. Wiener patrzy na jego nieruchomą głowę z rozżaleniem bliskim płaczu: jak na syna marnotrawnego.

*

Michael Bernard zasnął na chwilę i zaraz się obudził, przestraszony. Tego tylko brakuje, żeby ktoś to zauważył! Przeciągając palcami po powiekach, zastanawia się; ile czasu zostało do przerwy. Na scenie akcja terrorystyczna w pełnym rozkwicie, Komuna wzięła 48 zakładników z arcybiskupem Paryża na czele, kuternoga Delescluze jest przeciw: to nic przecież nie da, ściągnie tylko na nich niepotrzebne odium. Zna przeciwnika. Wie, że nie będzie wymiany tych czterdziestu ośmiu na jednego, na **ich** człowieka, na uwięzionego Blancqui. Michael Bernard myśli o swojej córce, i od razu czuje gdzieś w głębi ciała rozczulone drżenie. Kocha ją. A ci ze sceny, i ci, którzy o nich pisali, i oni wszyscy – kogo oni kochali? Blancqui? Es-

travadosa? Cóż, sam kiedyś kochał Estravadosa: skąd to się bierze w człowieku? Wersal. Thiersa otoczyło trzech podnieconych elegancików, ziejących oburzeniem.

„... wziąć na siebie krew arcybiskupa Paryża? – Pan się posuwa zbyt daleko! – Nie daliśmy panu takich prerogatyw! – Występuje pan przeciw Kościołowi? – Pan się przyłącza do komunardów! – Ci ludzie nam wierzą! Wierzą, że nie zostawimy ich bez pomocy! – Czy pan nie ma dla nich litości? Jaka republikę pan nam szykuje? Jaka demokrację?” Michael Bernard uśmiecha się. Tak, tak to się mniej więcej odbywa. Trochę teatralnego przejawskawienia, ale tak się to odbywa. Zawsze znajdują się na górze sentymentalni dumie, gotowi ugiąć się przed szantażem. Litość, honor. Nie skazemy tych niewinnych ludzi na śmierć! Jeżeli ich zabiją, będziemy współnikami morderców! Tak, tak się to odbywa. Michael zastanawia się, z kim najpierw powinien porozmawiać w przerwie. Jak to strategicznie ułożyć. Po to w końcu przyjechał, on, sława, on, którego obecność tutaj – tak demokratyczna – może niektórym wydawać się pozbawiona sensu...

„Naród panu tego nie przebaczy!” – krzyczy jeden z wersalczyków, a stary Thiers odpowiada gniewnie:

– Niczego innego się po narodzie nie spodziewam! Gdybyście choć trochę znali historię, wiedzielibyście, że tak było zawsze. Jedyną nagrodą za wypełnienie obowiązku jest własna satysfakcja... na wdzięczność nie ma co liczyć. I nie liczę! Ale wypełnię mój obowiązek. W tym nikt mi nie przeszkodzi!

Już odchodząc, zatrzymuje się nagle z cynicznym uśmiechem.

– A co do arcybiskupa, to martwy przyda nam się bardziej niż żywy!

Dobrze powiedziane, myśli Michael Bernard, dobrze powiedziane. Czy to autentyk, czy też ci ze Stammheim włożyli po prostu te słowa w usta Thiersa? Tak czy owak, dobrze powiedziane. Sala aż wstrzymała oddech.

*

Raymond Krivitzky też się zdrzemnął. Przyśnił mu się Estravados, ten biedny, naiwny, Estravados, wśród braw wchodzący na podium. Miał szczęście, nie umarł za późno. On umrze za późno. Wyschnięty, pozbawiony wiary. Człowiek, który przegrał, i nawet tego nie żałuje, wszystko mu jedno.

Sąsiad trącił go w łokieć. Krivitzky podrywa się raptownie. Gdzie on jest? Ach, tak, w teatrze. Proszę, proszę, scena łózkowa. Thiers w nocnej koszuli i szlafmocy, jego młoda żonczka w różowych koronkach. Kłóć się zresztą jak najęci. Mała wstawiała się za arcybiskupem, o ile można zrozumieć.

*

Conchita nie drzemie, skądże, ani jej to w głowie: niech żyje farmakologia! Mała tableteczka utrzymuje człowieka w świetnym stanie – aż do pory na następną tableteczkę. Nawet w zbyt świetnym stanie. Chce jej się chichotać, tego tylko brakowało. Cała sala zachowuje się jak w kościele. A stary Thiers, siedząc w wielkim łożu małżeńskim, wrzeszczy na swoją młodą, głupiutką żonę: proszę, proszę! Gdyby Thiers kochał żonę, czy odesłałby buntownikom ich bóstwo, ich wymownego wodza, ich teoretyka i dyktatora w... jak oni to powiedzieli? „W eleganckiej paczuszce, z pachnącym bilecikiem”. A wtedy – co? Czy Komuna mogłaby zwyciężyć? Czy rewolucja mogłaby rozciągnąć się na całą Francję? Czemu nie, rok 1789 też wydawał się nieprawdopodobny. No, ale Thiers nie kochał żony, tylko teściową. Zabawne! Conchita jednak chichocze. Księżę i Krzysztof Paliwoda odwracają ku niej głowy. Conchita wyciąga obie ręce i chwyta ich dłonie, zaciska na nich palce, żeby powstrzymać się od śmiechu. Stary Thiers pozostał wierny wymogom swego prestiżu. Jeżeli mężczyzną stać na młodą żo-

nę, musi sobie kupić młodą żonę, nawet jeśli sto razy woli jej matkę. „– Twoja matka mnie rozumie!” – wrzeszczy stary Thiers na swą płaczącą z zazdrości blondyneczkę. – „Do twojej matki nie schodzi się banda szubrawców, żeby przeforsować swoje interesy! Bo wiedzą, że nic nie uzyskają! Twoja matka...” A rozkoszna, głupiutka Eliza piszczy: „– Wiem, że zawsze wolałeś mamę ode mnie! Cały Paryż o tym wiedział! Myślisz, że było mi przyjemnie, kiedy pan Balzac nas opisał? Przyjemnie?!” Nareszcie kawał dobrego teatru. Dlaczego ludzie upierają się, żeby pisać o rzeczach **wielkich**? O polityce, wojnie, śmierci? Kiedy i tak nie wymyślą nic smakowitszego niż to: małżeństwo kłócące się w łóżku, trójkąt miłosny... Prawdziwe życie! Co za idiotka z tej Moniki Weber, po co brała się do strzelania i rzucania bomb? A właściwie miała rację, i tak by się nie przebiła. Łatwiej zdobyć sławę strzelając w odpowiednim kierunku niż pisząc najświetniejsze sztuki teatralne, o, niesprawiedliwy świecie! Conchita zagryza usta, żeby się nie śmiać. Przedobrzyła z tymi tabletkami. Zupełnie roztrzęsiona. Do diabła!

Teściowa Thiersa wkracza z godnością do małżeńskiej sypialni. W szlafroku, w czepeczku. Tak, dobry teatr! Thiers skarży się na swoją niegrzeczną żonę, mamusia ją gani: zamiast być dumną ze swego męża, dorzuca jeszcze jeden kamień do tych wszystkich, którymi go obrzucają wrogowie... A w dodatku nie przygotowała mu na noc wody do picia, dobra żona! „Chwileczkę, panie Thiers, zaraz przyniosę. – Ależ niech się pani nie trudzi, ja sam...” Conchita wyrywa rękę Krzysztofowi Paliwodzie i przyciska nią mocno usta: ach, dom na wsi, mleko prosto od krowy, gwiazdy na niebie, o Boże, tak żyć nie można! Nerwy nie wytrzymują. Koniec zabawy. Thiers pije wodę, którą mu przyniosła jego najdroższa teściowa, i z uczuciem całuje ją w rękę. „– Dziękuję, kochana. Bez pani, bez pani pomocy, załamałbym się już dawno. – Dobranoc, panie Thiers. Niech się pan nie przejmuję. Im człowiek jest większy, tym więcej ma wrogów. Dobranoc”.

Światło gaśnie nagle. Kurtyna spada.

Koniec pierwszego aktu.

9

Zdezorientowany tłum kłębi się po kularach. Wszyscy spodziewali się czego innego, wszyscy bez wyjątku.

Conchita zostawiła gdzieś Księcia, ciągnie za sobą Krzysztofa. „Chodź, teraz pogadamy. Za kulisami. Jedyna okazja, u Sperlinga ściany mają uszy”. Ale po drodze co chwila na kogoś wpadają. Choćby na Minou, wdowę po Laventure, na te Niegdysiejsze Śniegi: gdzie się podział pulchny podłotek z rozczochraną czupryną? Jest teraz chuda jaka zapalka, woskowa jak świeca, gładka jak lodowisko. Światło załamuje się w szklach jej wielkich okularów, zniekształcając oczy, jasne i zimne.

– Jak wam się podobało? – pyta.

Conchita wzrusza ramionami. „A pani?”

– Niemcy to durnie – odpowiada Minou równym, martwym głosem. – Ta cała szopka z zakazem premiery! To przecież pierwsza rehabilitacja Thiersa, z jaką się spotkałam. Thiersa, czyli skrajnej prawicy. Niemcy mogliby patrzeć na niego i widzieć swojego Hitlera, i napaść się. A inni... Przepraszam, pan jest Polakiem?

Skąd ona to wie? Krzysztof kiwa głową.

– A pan chyba rozumie teraz lepiej tego waszego generała... Żariuzelski, tak? Niech pan sobie tylko wyobrazi Thiersa w czarnych okularach, a tych z Komuny w koszulkach z napisem So-li-da-ri-té. I widzi pan głupotę tych drugich, a rozum pierwszych. I rację pierwszych! To zawsze ta sama historia, zawsze ta sama...

– Taka pani prawicowa? – pyta zaczepnie Conchita. – Więc czego pani tu szuka?

– Dostałam zaproszenie – odpowiada Minou tym samym oziębłym, irytującym tonem. – To chyba nie katakumby z pierwszymi chrześcijanami? I nie wiec?

Conchita ciągnie Krzysztofa dalej. Ale on zatrzymuje się jeszcze, musi zadać to pytanie, tylko jedno:

– Jest pani przeciwko nam? Przeciwko Polakom?

Minou wzrusza ramionami.

– Zachciało wam się robić rewolucję, co? Równość, wolność i braterstwo? Tyle że bez czerwonych sztandarów, bo KREML z nich zrobił swój symbol? A co to za różnica? Jesteście tym samym, co ci cholerni terroryści... i oni wszyscy. Lewicowa rebelia! KREML jest w porządku, KREML i BIAŁY DOM to dwa rywalizujące koncerny, nic więcej. Strajkujący przeciw jednemu koncernowi są obiektywnie wrogami i tego drugiego, to chyba jasne? Wszystkich was należałoby rozstrzelać... Polaków, Irlandczyków... tak samo, jak te grupki tu, u nas. I wreszcie byłby porządek.

– Brawo, Minou! – woła Conchita. – Niech żyje porządek! Ordnung muss sein! Ucz się, Chris, rzadko się spotyka szczerych ludzi. A Minou jest szczerą. Aż miło posłuchać. Ach, Chris, czemu cię jeszcze nie rozstrzelano?

Krzysztof krzywi się. Conchita wie najlepiej, czemu go nie „rozstrzelano”. Gdyby mógł teraz uciec. Uciec, nie zauważony. Stąd i zewsząd, na zawsze. Nie zniesie tego dłużej. Nie zniesie tej gry. Koniec, koniec, widzi ich wszystkich po raz ostatni w życiu. Wie, że tak jest. Nigdy więcej nie odpisze na żaden list, nigdy więcej nie wyjedzie z kraju, choćby Ministerstwo Miłości podkładało mu paszport pod drzwi z bukietami kwiatów – a tego nie robi, jasne. Ach, zaszyć się gdzieś na wsi, dym z komina, drzewa, gwiazdy, mleko od własnej krowy, jabłka z własnego sadu, Boże, jeżeli istniejesz, wyzwól mnie od tych ludzi! Wybacz mi moje grzechy i ocal mnie, ocal!

Sam nie wie, kiedy znalazł się z Conchita za kulisami. Przechodzą przez scenę, ciemną i pachnącą trocinami, nad ich głowami porusza się jakaś maszyna, korytarz, schody, korytarz, Conchita kogoś zatrzymuje – tak, to reżyser, to Baier – a potem wprowadza Krzysztofa do pustej garderoby. Ciasno tu. Siadają na dwóch krzeselkach, odwracają je tylko, żeby widzieć siebie, a nie odbicia w lustrze do charakteryzacji, ale i tak odbicia im towarzyszą, nie mogą się ich pozbyć, szturchają je niemal łokciami, opartymi o blat, na którym stoi pełna niedopałków popielniczka obok zmiętego niedbale, wymazanego szminką ręcznika. „– Nikt tu nie przyjdzie?” – pyta Krzysztof, a Conchita zapewnia, że nikt. Podobno. „– Chcesz oglądać drugi akt, Chris? Znasz go w końcu z czytania, możemy tu posiedzieć, możemy się spóźnić”. „– Nie muszę oglądać drugiego aktu”.

I dobrze.

– Co ja ci chciałam powiedzieć? – zaczyna Conchita, jakby rzeczywiście nie wiedziała, głupi początek. – Aha. Jest tu jeden facet, emigrant od was, działacz „Solidarności”. Mam was skontaktować. Chcesz?

– Pracownik Ministerstwa Miłości?

– Co?... Ach, nie, czysty facet. O ile to można wiedzieć.

Krzysztof uśmiecha się.

– Nie. Wolę się z nim nie zobaczyć. Z żadnym Polakiem!

– Ostatnim razem, w Paryżu, widywałeś się z Polakami. Gadałeś z nimi, aż ci się uszy trzęsły.

– I źle się to skończyło. Ty chyba wiesz, jak się skończyło. A temu twojemu o co chodzi? Mam iść w Polsce pod określony adres, przekazać zlecenie? W czyim imieniu? Uczciwych ludzi, czy Ministerstwa Miłości? Prawdziwe zlecenie czy prowokacja? Zresztą i tak na jedno wychodzi. Jestem trefny. Jedyne, co mogę jeszcze zrobić uczciwego, to nic nie robić.

– Przekażesz w Warszawie, że nie spotkałeś żadnego Polaka? Że nikt się z tobą nie kontaktował, nie prosił o pośrednictwo? Tak?

– A ty przekazesz coś wręcz przeciwnego. Że pośredniczyłaś w kontakcie, a ja, zdrajca, odmówiłem. Tak?

– Daj spokój.

Conchita zapala papierosa. Krzysztof patrzy na nią, podwójną, na dwie krótko ostrzyżone głowy, jedną en face, drugą z profilu, jedną prawdziwą, a drugą w lustrze.

– Na ile ty frontów grasz, Conchita? Dwa to chyba dla ciebie za mało. Trzy? Cztery?

– I co by ci z tego przyszło, gdybyś wiedział? Tak czy owak, możesz mi ufać. W rozsądnych granicach. Ja też nie przekażę nigdy i nikomu więcej na twój temat, niż będę musiała... uff, co za zdanie! Mam do ciebie sentyment. Zresztą... Ach, wierz mi albo nie, taka jest prawda!

Gdzieś w oddali rozlega się znów ręczny dzwonek. Jednocześnie w garderobie odzywa się głośnik. Wszyscy na scenę czy coś takiego. Za chwilę pójdzie przez ten głośnik cały drugi akt. Na szczęście dźwięk nie jest zbyt donośny, można rozmawiać.

– W porządku. Proponowałam ci spotkanie z tym facetem, a ty obawiałeś się prowokacji i odmówiłeś. Albo nie zdołałam ci tego zaproponować. Albo jeszcze inaczej. Masz dość biologiczne poczucie przyzwoitości, co Chris? Nie wolno szkodzić rodakom?

– To nie jest tylko „biologiczne”.

– Nie. Oczywiście, że nie. Ja tego nie znam... kim ja w końcu jestem? Hiszpanką, Argentyńską? Francuzką? Bzdura! Ale rozumiem, rozumiem.

Milczą przez chwilę. Drugi akt już się zaczął, słychać go przez głośniki, Paryż płonie, hekatomba coraz bliżej, akcja terrorystyczna nie wychodzi, ktoś krzyczy do kuternogi Delescluze'a: „Do robienia rewolucji trzeba nie tylko głowy, ale i mięśni”, i, sądząc po huku, odrzuca go chyba na ścianę, tak zresztą było w tekście. Tymczasem prawica żąda od swojego wodza tylko „głowy”, i ma rację: wątek RPI w całej swojej krasie. Gdyby to go jeszcze obchodziło! Gdyby go cokolwiek obchodziło!

Wymuje z kieszeni papierową torebkę z tabletkami. Łyka jedną pod aprobująco ironicznym spojrzeniem Conchity. Jeszcze żyje! Do diabła, jeszcze żyje, a póki żyje – może coś zrobić, coś naprawić, nic się nie skończyło, zobaczymy! Wszyscy zobaczą! Oddycha głęboko. Jest za wcześnie na działanie tabletki, a przecież już czuje jej skuteczność, wmawia ją sobie, prostuje plecy, lęk, złość, pragnienie, wszystko to naraz! Jak pisał Brecht? Krzysztof przypomina sobie: miał dziewiętnaście lat i zawiódł się na dziewczynie. W rozpacz – jakiej rozpacz! nie potrafi już, mimo wszystko nie potrafi odczuwać podobnej – poszedł do wydzielonej biblioteki. O szyby waliła ulewa, było mrocznie, pusto, zapalono neonowe światła. Drżał cały. Dokąd iść? Co zrobić? Pod samochód – czy pęta na szyję, czy żyłką po żyłach, która wersja jest najlepsza? Wlókł się wzdłuż półek. Sięgnął po pierwszą z brzegu książkę, otworzył ją. I zobaczył ten wiersz. „Kto jeszcze żyje, niechaj nie mówi: nigdy. Co pewne, nie jest pewne. Jakim jest, nie pozostanie. Bowiem pokonani dzisiaj będą zwycięzcami jutrzejszymi, a „nigdy” zmieni się w: „dziś jeszcze!” Któż by nie uwierzył w znak? W skinienie Boga?

A przecież dziewczyna go nie pokochała.

Jeszcze raz głęboko oddycha.

– Conchita – mówi.

– No?

– Czyim człowiekiem był twój ojciec?

Jest zaskoczona. Conchita zaskoczona, to warto było zobaczyć.

– Jak to?

– Kto za nim stał? Kto go finansował? Kto tym wszystkim kręcił? Moskwa, Pekin, Hawana? A może po prostu CIA, może Intelligence Service? No, kto?

Conchita wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Ktoś na pewno... ale nie wiem, kto. Dobrze to zrobili, nikt nie wie.

– Więc może nikt? Może to było czyste?

– Czyste?! – Conchita chichocze. – No nie, Chris, jesteś chyba dość mądry, żeby... Czyste! Człowieku, widziałeś ruch, którym nikt nie kręcił? Żadna wielka siła, żadne państwo, zaprzyjaźnione albo wrogie? Cóż, tak już jest. W polityce nie ma luzaków.

Kolejna teoria, kolejne bon mot. Krzysztof też sięga po papierosa.

– Jesteś tego pewna?

– Też pytanie!

– Że każdy działacz polityczny jest na czyichś usługach?

– Jasne. W polityce nie ma luzaków, mówiłam ci. Za każdym, kto działa, zaczynają się kręcić. Nie trzeba ich samemu szukać. Wystarczy zwrócić na siebie choć trochę uwagi, a już się zjawiają: Moskwa, Pekin, Hawana, Waszyngton! Przejąć tego człowieka. Dadzą broń, drukarnie, wszystko. A jak ktoś spróbuje odmawiać, to go wykończą.

Tabletka działa. Naprawdę działa. Krzysztof dawno nie czuł się tak świetnie. Conchita. Dziewiętnastowieczny koń dorożkarski z klapkami na oczach! Co ona wie? Co oni wszyscy wiedzą? Szkapy dorożkarskie, krety! Znów sięga do kieszeni. Wyjmuje portfel. Z portfela – naklejony na kawałku tekturki stary dowcip z „Puncha”. Imponująca płatanina mostów, tunele, wielopoziomowych autostrad. U jej stóp dwie małe jak mrówki ludzkie postacie. Jedna mówi do drugiej. „Mówię panu, że wszystko obszedłem i posprawdzałem tysiące razy. To prowadzi donikąd”.

Conchita śmieje się krótko.

– Czemu to nosisz w portfelu?

– Bo to jest jak o... o Ministerstwie Miłości. Wydaje wam się, że coś wiecie! Wydaje wam się, że te wszystkie matactwa dokądś prowadzą! Donikąd, rozumiesz? Donikąd!

– Słowa, słowa, słowa – odpowiada Conchita lekko. I sięga do szufladki pod blatem. Wyciąga ją. W szufladce są szminki, jakaś tłusta maź w szklanym słoiku, ściereczki, kolorowe waciki. – O! Umaluję się tym. Posuń się, Chris.

Czemu nie. Odsuwa się. Jest zakłopotana, zna ją na tyle, żeby to wiedzieć. Ale dlaczego? Co on powiedział? Ogólnik, zwykły ogólnik. Chyba że zrozumiała to inaczej, konkretnie. Jako aluzję, że on, Krzysztof, wie o wiele więcej, niż jej się zdaje. Że została wystawiona do wiatru, ona i ci, dla których pracuje. Że kręcą się w kółko. Ach, tak! Powie jej jeszcze coś.

– Wiesz, że gąsienice idą zawsze za przewodniczką? Otóż jest taka sztuczka. Ustawia się przewodniczkę za ostatnią gąsienicą w szeregu. I wszystkie zaczynają chodzić w kółko. Dopóki nie padną martwe. Słyszałaś o tym?

– Paskudne – odpowiada Conchita, nie odrywając wzroku od lustra. Namalowała już sobie trójkąciki bordo w zewnętrznych kącikach oczu. I pracuje dalej.

Przez głośnik płynie scena przekupywania Delescluze’a przez prawicę. Podobała mu się ta scena w czytaniu, chętnie jej posłucha.

Słuchając, widzi ją taką, jaka była na piśmie. W rękopisie Moniki. Obojętnie, kto ją pierwotnie układał, Monika czy kto inny. Widzi to: kuternoga Delescluze, prowadzony światłem punktowca, wraca po gorącym dniu do domu. Zdejmuje kapelusz, całuje siostrę. Krzysztof to widzi.

DELESCLUZE: Jestem wykończony... Co się stało, kochanie?

SIOSTRA: Ktoś czeka na ciebie.

DELESCLUZE: Kto?

BARTHÉLEMY (wychodzi z cienia, przykłada palec do ust): To ja, Barthélemy.

DELESCLUZE: Pan tutaj? Ale skąd... skąd się pan wziął w Paryżu? Przecież...?

BARTHÉLEMY: Musimy porozmawiać. Nie przyszedłbym tu nigdy, gdybym nie miał pewności, że pan jest... człowiekiem honoru. Czy jestem u pana bezpieczny?

DELESCLUZE: Oczywiście... (Zdejmuje płaszcz, szalik, rzuca je wraz z kapeluszem na stół, siada.) O co właściwie chodzi?

BARTHÉLEMY: Przedostałem się do Paryża tylko po to, żeby porozmawiać z panem, Delescluze. Ryzykuję życie, byle tylko z panem porozmawiać. Przybywam... przybywam na osobiste polecenie pana Thiersa.

DELESCLUZE: Ach, tak!

BARTHÉLEMY: Krótko mówiąc, Delescluze, pan Thiers gotów jest spełnić wszystkie pańskie warunki, o ile pan tylko zgodzi się powrócić na stronę legalnego rządu. Warunki, których nie otrzymałby nikt inny z tego waszego... kierownictwa: Delescluze, niech pan to zrozumie, zanim mi pan przerwie! Przede wszystkim gwarancja pełnej nietykalności. Pieniądze, jeśli pan chce... proszę tylko określić sumę. W milionach! Nie, niech mi pan nie przerywa. Thiers gwarantuje wprowadzenie pana z powrotem do legalnego parlamentu, więcej: do rządu! Zdaje pan sobie sprawę, że czegoś podobnego nie zaproponowano by nikomu więcej... z tej bandy. Jest pan jedynym człowiekiem tutaj, którego szanujemy. Niech pan mi da skończyć! Wy dwaj, Thiers i pan, poświęciliście życie walce o republikę... i walka ta trwa nadal. Tyle że pan stanął na straconej pozycji. Pańskie życie jest potrzebne republice. Jeżeli przejdzie pan na stronę rządu, będzie pan mógł jej służyć. Tutaj... pozostając tutaj, gubi pan ją tylko, i siebie razem z nią. Niech pan to zrozumie, Delescluze! Chodzi o republikę. A więc?

DELESCLUZE: Jesteście tak pewni naszej klęski?

BARTHÉLEMY: Tak samo jak pan!

DELESCLUZE: Ja nie jestem jej pewien. Nawet gdybym pozostał zupełnie sam z tym, w co wierzę, sam przeciw światu... nie wierzyłbym w klęskę.

BARTHÉLEMY: Proszę się zastanowić! Mamy dobre informacje... wiemy, jak pan jest tu traktowany. Sam w tej bandzie nieuków i bandytów! Niewiele pan tu znaczy. Nigdy ktoś taki jak pan nie będzie wiele znaczył dla takich ludzi... i **dlatego właśnie** ich klęska jest nieuchronna! Powtarzam panu słowa pana Thiersa. Nieuchronna!

DELESCLUZE (powoli, na tle głośnego szmeru widowni): Nie uważacie jej widać za nieuchronną, skoro przedostał się pan tutaj z tą... propozycją.^

BARTHÉLEMY: Przeciwnie. Klęska jest nieuchronna. Jeżeli sądzimy, że pańska obecność tutaj może ją nieco opóźnić, to znaczy to tylko jedno: zwiększy pan liczbę ofiar. Kiedy wkroczymy do Paryża... a wkroczymy tu niedługo, wie pan o tym równie dobrze jak ja... wszyscy zostaną wykończeni, od szczytu do dołu... pan Thiers zamierza umyć Paryż we krwi tak, żeby coś podobnego nie zdołało się odrodzić. Jesteście osaczeni. Na co pan liczy? Na dyktaturę? Nie dadzą jej panu, są za głupi. A zresztą... teraz już byłoby za późno. Należało to zrobić choć parę dni wcześniej. Teraz i pan jest bezsilny, Delescluze. A jednak chcemy pana ratować – i pozyskać. Ratować i pozyskać! Tu chodzi o republikę...

DELESCLUZE: Jeśli pan myśli, że w moim wieku poszedłbym na kompromis... Za mało mi zostało życia! Jeżeli się nie uda, zginę na schodach Ratusza.

BARTHÉLEMY: To pana ostatnie słowo?

DELESCLUZE: (poważnie): Proszę przekazać panu Thiersowi wyrazy mojego najwyższego szacunku. Niech pan o tym nie zapomni.

BARTHÉLEMY: Nie zapomnę.

*

W głośniku rozlegają się ogłuszające gwizdy. Szkoda jednak, że nie byli na sali. Krzysztof nie rozumie tej reakcji; Conchita też odwraca się od lustra, zdziwiona. A sala gwizdże, wyje, tupie.

– Ci im się stało?

Conchita nasłuchuje, żeby się upewnić.

– Wiesz... zaczęli szumieć przy tezie sztuki... bo to chyba jej teza, nie? Że klęska lewicy jest nieuchronna dopóki nie zaczniesz ją kierować Sentymentalny Mózg. Dobrze to określi-

łam? Tym w końcu był ich Delescluze! Intelktualistą o czystych rękach. Czyli Sentymentalnym Mózgiem.

– Ale na końcu? Te gwizdy na końcu?

– Bo ja wiem? To ci młodzi durnie, chyba oni. Najwyższy szacunek dla przeciwnika! Szlag ich musiał trafić! Może ich zresztą drażni, że facet w ogóle miał taką propozycję... to zieloniutki szczypiorek, ci młodzi, nie ludzie! My wiemy, że tak się to załatwia, co, Chris? Z waszym Wałęsą też pewnie tak samo rozmawiano?

– Pewnie tak samo.

– A ten przyjął ofertę spokojniutko i grzecznie. Odmówił, ale z szacunkiem. Nie doniósł na drania, nie kazał go aresztować. Honor, mój drogi Chris, to słowo niemodne. Zresztą... szacunek dla Thiersa! A więc i dla tych panień, które niedługo będą parasolkami wydłubywać oczy związanym jeńcom. Za co? Za to, że Paryż ośmielił się legalnie wybrać niewłaściwą władzę! No, przestali gwizdać. Spójrz na mnie, Chris.

Patrzy na nią. Coś podobnego!

Twarz ma błyszcząca i złotą. Usta i trójkącki przy oczach w kolorze bordo. Czarne powieki. No, no!

– Jak wyglądam?

– Jak dzieło sztuki. Ale czy zwykły, skromny ssak powinien być dziełem sztuki?

– Nie jestem „zwykłym, skromnym ssakiem”.

– Chcesz tak wyjść do ludzi? Zdziwią się.

– To niech się zdziwią.

Conchita sięga znów po papierosa. Częstuje Krzysztofa.

– A więc, Chris? Mów, co masz do powiedzenia. Nie zostało nam dużo czasu.

Do powiedzenia! Szumnie to brzmi.

– Pytałem cię o twojego ojca.

– Dlaczego?

– Nie rozumiesz? Przecież jeżeli on był czysty... jeżeli jakimś cudem był czysty...

– To co wtedy?

– To my jesteśmy na wieki potępieni! Nie rozumiesz tego? Nigdy o tym nie myślisz?

Nieruchoma, złota, cudacznie wymalowana twarz Conchity, maska Conchity. I szybkie słowa:

– On nie był „czysty”. Nie mógł być czysty! Nikt nie jest czysty, nikt, kto się liczy, nigdy!

– Nigdy? A Chrystus? Kto kręcił Chrystusem? Czyim agentem był Chrystus?

– Czyim? – pyta drwiąco Conchita, podnosząc papierosa do bordowych ust. – Ależ nic łatwiejszego, niż odpowiedzieć! Kto się wtedy żał z Rzymem? Sprawdź to, a będziesz wiedział, czyim agentem był Chrystus. Agentem wrogów Rzymu. To przecież jasne jak słońce!

– Bzdury! Sama wiesz, że to bzdury.

Conchita w milczeniu, powoli potrząsa głową.

– A ja w to ciągle wierzę – mówi Krzysztof. – To, że do wszystkiego, co czyste, doczepiają się szpicle, prowokatorzy, gracze, to o niczym nie świadczy. Ja wierzę, rozumiesz...

– Wolna wola. Ja nie muszę wierzyć albo nie wierzyć. Ja wiem. I ty wiesz, po co się zgrywasz? Słynne słowiańskie sumienie? Lubisz się męczyć?

Z głośnika dobiegają suche trzaski. Salwa. To ginie Delescluze.

– Chodźmy, Chris. Zaraz się skończy. Jeżeli nie chcesz mi naprawdę nic więcej powiedzieć...

– Chcę. Ale nie wiem jeszcze, czy powiem.

– Zastanów się szybko. Chodź.

I znów przez miękko wysłane korytarze, potem schodami, i na dół. Ale nie wracają na salę. Nie warto robić zamieszania. Popatrzą zza kulis. Zaraz się przecież skończy.

Dwaj zarośnięci mężczyźni z karabinami siedzą przy barykadzie, na tle tandetnie płonącego miasta, w jarmarcznym, czerwonym świetle: to Varlin i Vallés. „– No, to już koniec” – mówi Varlin. – „Tak, rozedrą nas na strzępy, a strzępy unurzają w błocie. Wszystkich wykończą, wszystkich wymordują. Ale kiedyś historia powie o nas, że ocaliliśmy republikę!” Vallés, ten inteligent, patrzy na niego z pogardliwym współczuciem. „– Jaki ty jesteś naiwny, Varlin! Niewiarygodnie naiwny!”

Sala po raz pierwszy jednomyślnie i spontanicznie zaczyna klaskać; ale ucisza ją natychmiast snop światła skierowany na środek sceny i pojawiająca się w głębi tablica z napisem

ROZSTRZELANIE ZAKŁADNIKÓW

Krzysztof i Conchita muszą się odsunąć. Na scenę wpływa tłum statystów. Zbrojni prowadzą zakładników. Rozlega się ryk, ze wszystkich stron zbiegają się ludzie, napierają. Vallés i Varlin też biegną w tę stronę. „– Odsuńcie się!” – krzyczy Vallés. – „Odsuńcie!” Ale tłum napiera coraz bardziej. Tłum, który poniósł klęskę, tłum pokonany. ZABIĆ ICH! – ROZSZARPAĆ! – ZABIJCIE ICH – DOPUŚCIE MNIE! – POZWÓLCIE MI PRZEJŚĆ!

Vallés przedziera się między ludźmi, zaklina. „– Zatrzymajcie się! Nie róbcie tego! To hańba!” Varlin krzyczy coś o Komitecie, tutaj wciąż rządzi Komitet, niechże eskorta działa, niech coś robi! Vallés zatrzymuje jakiegoś starca: „– Szybciej, proszę mi pomóc! Za chwilę ich zabiją!”

„– Niech zabiją!” – woła starzec. „– Pozwólcie mi przejść! Mają rację! Niech ich zabiją! Ilu ich jest?”

„– Sześćdziesięciu”.

Starzec zdejmuje z ramienia karabin.

„– Sześćdziesięciu? Świetnie! Tego mi właśnie było trzeba! Dopiero co widziałem, jak wersalczyki rozstrzelali sześćdziesięciu ludzi. Obiecali im przedtem, że ich zostawią przy życiu. Odsuń się!”

„– Proszę posłuchać” – błaga Varlin; ale starzec odpycha go brutalnie.

„– Idź do czorta, albo cię zastrzelę!”

Padają pierwsze strzały. Starzec też strzela, ponad głowami stojących przed nim. Rozlegają się krzyki, jęki, czyjeś nagle, urwane wycie.

„– Jak strzelacie, dumie?” – pyta czyjś wściekły głos. „– Jak strzelacie? Zabiliście jednego z naszych!”

„– Zabili naszego!”

Tłum nie uspokaja się. Nadal słychać strzały.

Varlin rzuca się między strzelających, przedziera się ku zakładnikom. „– Ratujcie ich! Ratujcie tych nieszczęsnych!”

„– Zatluc tego krzykacza!”

Jakieś ręce go chwytają; a jednocześnie rozlegają się głosy wołające: „– To Varlin – Varlin! – On zastąpił Delescluze’a!”

„– Wynoś się stąd, Varlin. Spieprzaj!”

„– Wyprowadźcie ich tam, do celi. Tam ich zastrzelicie!”

„– Tu się wszyscy powybijamy wzajemnie”.

„– Wyprowadźcie ich!”

„– Ty, popchnij ich trochę!”

„– Szybciej!”

Zakładnicy zostają wypchnięci na lewo. Natychmiast rozlegają się strzały, cała kanonada. Tłum na scenie słucha. Potem strzały urywają się. Słychać cicho granego walca.

Ludzie rozglądają się w milczeniu, zaskoczeni, zmęczeni, ociekający potem. Ktoś mówi:

„– To Prusacy, tam, obok”.

Pełne światło. Walc grany fortissimo, przez orkiestrę: słychać już, że to przeróbka *Międzynarodówki*, taneczna przeróbka. *Międzynarodówki* na trzy czwarte, pogodna, grzmiąca.

Na scenę wpadają, wirując w walcu Thiers ze swoją teściową, a za nimi – Boże drogi! co za pomysł! – Delescluze (już nie kuleje) z siostrą, okrwawiony Vallés z blondyneczką Thiersa, i pary, których w sztuce nie było, pary w strojach coraz bardziej współczesnych, z początku dwudziestego wieku, z Ery Jazzu, z lat trzydziestych, kobiety mają suknie do ziemi i kapelusze ze strusimi piórami, i kloszowe spódnice do pół łydki, i przejrzyste krótkie sukienki, i mini odsłaniające całe uda, są pary w wyblakłych dżinsach i w podkoszulkach z twarzą Estravadosa, mężczyźni noszą cylindry i meloniki, kaszkiety i berety baskijskie, i grzywy długich włosów, przez które prześwitują kolczyki; tańczy urzędnik w płaszczu w jodelkę, nie rozstający się z wciśniętą pod pachę teczką, i marynarz z „Potiomkina” i dyplomata w smokingu z wielkimi literami CD na plecach, i – ależ tak - polski zomowiec z pałą przy pasku i karabinem na plecach, i policjant z dziewczuszką jak z „Casino de Paris”, w czarnych siatkowych rajstopach, z gołymi piersiami i ogonem z piór... zresztą, kogo tu nie ma?! Światło staje się kolorowe, migoczące, niczym w cyrku nad tańczącymi wlatują czerwone baloniki, feeria, feeria! Co za muzyka do tańca, nikt by się tego nie spodziewał! Leciutka, beztroska, wesoła! Nie cichnie, kiedy tańczących zaczyna przesłaniać opadająca kurtyna: nie cichnie i potem.

Conchita patrzy na to szeroko otwartymi oczami, znieruchomiała. „Tiens!” – mówi wreszcie, i mała Monika Weber, to nieszczęsne, spartaczone istnienie, mała Monika Weber musiała w tej chwili poczuć za grobem drgnienie triumfu. Potem Conchita ujmuje rękę Krzysztofa. „Chodźmy już” – mówi.

10

– No i co? – pyta podniecony Sperling, sadowiac się na tylnym siedzeniu samochodu.

– Ładna melodia – odpowiada Księżę, przekręcając kluczyk w stacyjce, i nuci kawałek tego walca: – Ta ra, pam pam, ta ra ra ra ra... Ale czy warto było dorabiać pod nią taki długi tekst? Tego się nie gada, to się tańczy!

Conchita siedzi obok niego, wtulając cudacznie wymalowaną twarz w podniesiony kołnierz kurtki.

– A jednak to historia, prehistoria! – mówi. – Po co było brać się za tak zaśniedziałą temat? Co **my** mamy z tym wspólnego? Poza tym, oczywiście, że wciąż tańczymy tego walca. – I śmieje się cicho.

– Wciąż tańczymy tego walca – mówi Księżę z marząco przymkniętymi oczami. – Ale kto dziś tańczy walca, kotku? Pomijając bale dworskie...

– Jedziemy już? Jedziemy oglądać Stammheim?

– Mała, sentymentalna wycieczka... Poczekaj, chcę rozgrzać silnik.

Sperling wierci się z tyłu, obok Krzysztofa Paliwody. Wyraźnie czeka na inne słowa; nie doczeka się.

– Wariacje Goldbergowskie przerobione na walca – rzuca jeszcze Księżę. – Czemu akurat na walca? Słuchaj, Hamlecie, ty erudyto: czy ta ostatnia scena, przed finałem, jest autentyczna? Naprawdę po zlinczowaniu zakładników, kiedy ucichły strzały, usłyszano walca granego u stojących tuż pod miastem Prusaków?

– Naprawdę.

– Coś takiego! Wyobraźnia nigdy nie dorówna rzeczywistości, co, Hamlecie? Sztuka historii, życie polityce? Ach, Hamlecie! Nie miałem pojęcia, że oni to wiedzieli, te przygłupki ze Stammheim. Zawsze ich uważałem za przygłupki. A tymczasem...

– Co wiedzieli? – pyta Sperling agresywnie.

– O zdradzie. Że zdawali sobie z niej sprawę.

– O jakiej zdradzie? – pyta Sperling jeszcze bardziej zaczepnie.

– Stary, daj spokój. Popraw lepiej całun, przekrzywił się. Jak ty fosforyzujesz, Sperling! Jak ty fosforyzujesz!

Sperling nie rozumie. Pozostali uśmiechają się sztucznie.

– Wszyscy fosforyzują – mówi Conchita. Ale Księżę szerokim ruchem ręki pokazuje tłum, płynący mokrą od deszczu ulicą, pełen pośpiechu, cichy, mroczny.

– Oni nie.

Krzysztof Paliwoda głośno łapie oddech. Ruszają.

11

Noc. To już noc. Spływająca rozmazanymi strugami neonów po szybach samochodu. Strugi neonów w strugach deszczu.

Bębnienie po dachu.

Syk mokrego asfaltu pod oponami.

Milczenie.

Dość już powiedzieli.

A potem Księżę nagle hamuje. Sperling go zatrzymał, Sperling wyciąga rękę.

– To Stammheim.

Krzysztof przyciska twarz do szyby. Nie, tak nic nie widać. Otwiera drzwiczki. Prostuje się w ulewie.

– Podobne do stoczni gdańskiej – mówi. Pierwsze słowa, jakie przyszły mu na myśl. Tamci patrzą na niego ze zdziwieniem.

Rozmieszczenie budynków, o to mu tylko chodzi. Ich rozrzucenie w przestrzeni. I jakieś niewyraźne doznanie: tak samo stał kiedyś, przed czterema laty, przed czymś zamkniętym i niedostępnym, tak samo czekał na ulicy... I szum morza był taki sam, jak tutaj szum deszczu.

– Tam dalej – mówi Sperling – w najwyższym budynku są więźniowie. I w takim niższym, obok. Nie widać, ale...

– Czego tu szukacie?

To policjanci. Z pistoletami gotowymi do strzału. Sperling wzdycha ciężko.

– Turyści zagraniczni oglądają największą atrakcję miasta – tłumaczy. A Księżę dodaje czym prędzej swą łamaną niemiecką:

– Interesują nas zabytki. I duchy. W Anglii zwiedzałem wszystkie zabytki, w których pokazują się duchy.

– Dokumenty. Szybko.

Pokazują dokumenty. Wyjmując je ostrożnie, powoli, niepewnymi rękami. Z boku błyska flesz, ktoś ich fotografuje.

Kiedy pozwalają im odjechać, Krzysztof prawie przykleka na tylnym siedzeniu, wpatrując się przez szybę, przez strużki deszczu, w coś, co już przed nim umyka, czego nie zdążył nawet zobaczyć, mrok, reflektory, które go rozgarniają, wyłaniające się z tego mroku zarysy kształtów, równe linie dachów, masywny pion jakiejś ściany... To białe światło, łowiące cień, złudę, upiora – na murze? na podwórzu? w siatce drutów kolczastych? To białe światło, które przez tyle nocy...

– Tak – mówi Księżę, zatrzymując się pod czerwonym światłem. – Pełno tu duchów.

Powtarza się.

Wracając, muszą jeszcze raz przejechać ulicą obok teatru. Z daleka słyszą wycie syren policyjnych, gwizdki, potem także rozkazy i ostrzeżenia, buczące niewyraźnie przez megafony. Co się tam dzieje? Manifestacja?

– A my tak szybko odjechaliśmy – rozpacza Conchita. – Straciliśmy całą zabawę!

Udaje im się podjechać dość blisko. Wyskakują z samochodu. Nie, to nie manifestacja. Coś się stało. Ludzie tłoczą się wokół jednego miejsca, tuż przed wyjściem. Ludzie patrzą w dół. Z wozu policyjnego – tak, to wóz policyjny, nie karetka – wychodzą dwaj mundurowi z noszami. Donośny głos nadal nawołuje do rozejścia. W środku zbitego tłumu, tak samo jak przed Stammheim, błyskają flesze: ktoś robi zdjęcia.

Sperling rzuca się pierwszy, jak taran przebija się między ludźmi, rozpycha ich łokciami; za nim prześlizgują się Krzysztof i Conchita. Już. Są w pierwszej linii. Przed nimi, na mokrym chodniku, leży coś nieruchomego, przykrytego plandeką; ale właśnie teraz, w tej samej chwili, mężczyzna w cywilu odrzuca plandekę, a drugi – ROZEJŚĆ SIĘ! OSTATNI RAZ OSTRZEGAM: ROZEJŚĆ SIĘ! – zaczyna obrysowywać nieruchomy kształt białą kreską. Martha?!

– Zabili Marthę! – krzyczy Sperling i pochyla się gwałtownie: ciało leżące na wznak, rozpięty czerwony płaszcz, na jasnej bluzce wielka, ciemna plama, czarna plama, taka się teraz wydaje, ale kolejny błysk flesza ujawnia jej prawdziwy kolor, otwarte usta odsłaniają zęby, otwarte oczy patrzą nieruchomo w górę, te oczy pływają w padającym wciąż deszczu, deszcz wypełnia usta, woda zbiera się na wyszczerzonych zębach, Conchita z całych sił przyciska ramię Krzysztofa. ROZEJŚĆ SIĘ!, policja sięga do pałek i ludzie rozbiegają się w popłochu, żeby zaraz potem zacząć wracać. Sperling zatrzymał się przed oświetloną wystawą sklepu z butami. Płacze! Ależ tak, Sperling płacze! Krztusi się, szlocha. Bełkocze coś niewyraźnego, i ten widok wstrząsa Krzysztofem bardziej, niż widok martwego ciała na chodniku, ciała zamordowanego: Sperling płacze?

– No, załamał się – mówi Conchita, wciąż trzymając Krzysztofa za ramię: deszcz rozmazał trochę jej idiotyczny makijaż, ale i tak trudno go znieść w takiej chwili. – To musiało przyjsć. To jak reakcja insulinowa.

Znów jest pewna siebie, znów cyniczna. Ciągnie Krzysztofa do samochodu, widzieli dosyć. „Po co on to obrysowuje?”, zdumiewa się tępotą policjanta, „deszcz i tak zaraz mu zmyje tę jego krechę”. – „Może to coś wyjątkowo trwałego”. – „Jeszcze lepiej! Nowa ozdoba ulicy, kontury zwłok Marthy Doherty!” Krzysztof jej nienawidzi: teraz jej nienawidzi, a ona wie o tym. Jak gdyby się nic nie stało, wciąga go do samochodu. Dawno nie było takiej ulewy! Książę gdzieś zniknął, pewnie też porwała go ciekawość. Nie wyjął nawet kluczyków ze stacyjki.

Siadają z przodu, patrząc na kłębiący się ciągle tłum. Conchita przekręca kluczyk, silnik zaczyna chodzić na wolnych obrotach, wycieraczki przesuwają się z cichym świstem, rozgarniając krople deszczu. Zamieszanie jest tak wielkie, że chyba nikt nie wlepi im mandatu za niewłaściwe parkowanie, Conchita mówi coś takiego, a Krzysztof milczy, wyteższa wzrok, patrzy. Już ją niosą. Martwe ciało na noszach, ciało przykryte plandeką. Kto to zrobił, dlaczego? Nie warto pytać. I tak się nie dowiesz. To mogłeś być ty. Jeden nieostrożny krok, a ciebie właśnie, ciebie właśnie niesiono by teraz w deszczu do policyjnej karetki. Albo Conchitę. Wyjmuje chusteczkę, przeciera parującą od wewnątrz szybę, pochyla się do przodu. Jeszcze dzisiaj, kilka godzin temu, tak niedawno! Co ona mówiła? „Płonął jakiś samochód, usiadłam na ziemi i płakałam głośno, jakiś chłopak tłukł rytmicznie w chodnik pokrywą od kosza na śmieci, on też płakał... a to czarne niebo nad nami, to straszne niebo!” I wtedy „wróciła do polityki”. Wybrała śmierć. Biedna wariatka. CZYSTA. Ona też była CZYSTA. A więc, „wracając do polityki”, wybrała śmierć; przyjęła z góry tę kulę, która ją trafiła na ulicy w Stuttgar-

cie, w oświetlonym prostokącie otwartych drzwi teatru, na tle tego prostokąta, wyraźną jak cel na dziecięcej strzelnicy, w czerwonym płaszczu, w świetle... czy chociaż wiedziała, co wybiera? Czy wiedziała?

– Conchita – mówi Krzysztof. – Teraz ci powiem.

– Tylko szybko. Już ją wnoszą do wozu. Tamci zaraz wrócą. Mów.

– Potrzebna mi broń.

Odwróciła ku niemu nieruchomą, rozmazaną maskę twarzy. Patrzy pytająco. Czeka.

– To prywatna prośba Jeden pistolet i amunicja. Dla mnie. Albo jeden granat. Ufam ci, słyszysz? Nie wiem, komu o tym powiesz. Proszę cię, błagam: nie mów nikomu. Nie mów IM. Potrzebuję tego dla siebie, tylko dla siebie. Pomóż mi. Nie jesteś maszyną, jesteś człowiekiem! Pomóż mi.

– Dla siebie? - pyta Conchita, ciągle zwrócona ku niemu tą martwą maską. – A co, w Polsce nie ma handlu bronią? Wszędzie jest. Kto jej potrzebuje, ten kupi.

– To nie takie proste. Nie umiem. Nie mam dojść. Nie chcę zostawić śladów.

– Nie przewieziesz tego przez granicę.

– Dlatego właśnie cię proszę: pomóż mi. Nie wiem, jak. Ty chyba wiesz.

– Co chcesz z tym zrobić?

– Usunąć jednego człowieka. On jest uzbrojony. Jest sprawny. Ostrożny. Nie uda mi się go udusić. Uderzyć z tyłu skarpetką pełną kamieni, pończochą z piaskiem... byłbym gotów i na to, ale nie uda się. Muszę mieć broń.

– Kto to jest?

Krzysztof czuje rękę Conchity na swojej. Nieoczekiwanie nabiera ufności. Nie, ona go nie wyda. A gdyby nawet... czy nie wszystko jedno?

– Człowiek z SECURITÉ. Ten, który mnie bił po twarzy w noc przewrotu. Który mnie przesłuchiwał. Który... z którym... mój stały kontakt, mój dyspozytor. Mówię ci wszystko, widzisz. Więc ten człowiek.

Uśmiecha się wreszcie.

– Durniu – mówi łagodnie – taki pionek? Ależ on wykonuje po prostu rozkazy! Ktoś stoi nad nim, a nad tamtym kto inny, i jeszcze ktoś, a kończy się to gdzieś w przestrzeni międzygwiazdnej! Ten twój dowcip z „Puncha” mówi prawdę. To-prowadzi-do-nikąd!

– Właśnie dlatego. Nie będę szukać w przestrzeni międzygwiazdnej. Jego znam. Wiem, że zasługuje na śmierć. Jeżeli to zrobię...

– Oczyścisz się, co?

– Nie o to chodzi. Ja **muszę** to zrobić! Jestem szmata, wiem. Jeżeli to zrobię, będę trochę czystsza szmata. Na nic więcej nie mogę liczyć. Zresztą mniejsza o to, dlaczego, mniejsza o to! Sam nie umiem wytłumaczyć. Wiem tylko, że muszę to zrobić, nic więcej.

– Już się rozchodzą.

Krzysztof odwraca wzrok od twarzy Conchity. Tak, tłum rzędnie. Ostatni wóz policyjny odjeżdża na sygnale. W głębi ulicy widać dwie zmierzające w ich stronę sylwetki.

– Księżę i Sperling wracają. O.K., Chris. Nie mówmy o tym więcej. Ani słowa więcej. Zgoda?

– Ale...

– Załatwię ci to. W swoim czasie. Moja sprawa, jak. A teraz milcz.

– Conchita.

Sperling i Księżę są już obok samochodu. Conchita obejmuje Krzysztofa i krótko, szybko całuje go w usta.

– Powodzenia – mówi.

Zimowy dzień w Warszawie.

Tego dnia Krzysztof Paliwoda po raz pierwszy czuje się stary.

Nie może znieść swojego odbicia w lustrze, przy goleniu; odwraca twarz tak gwałtownie, że kaleczy sobie policzek. Krótkie, nabrzmiewające czerwonymi kropelkami nacięcie.

W mieszkaniu jest ciemno, trzeba zapalić lampy. Brunatne, mokre chmury ocierają się brzuchami o jezdnię. Samochody toną w przymarzniętych zaspach. Tam, gdzie chodzą ludzie, utworzyło się lepkie błoto.

Zbiec szybko do sklepu, a potem już nie wychodzić. Usiąść w wygodnym fotelu, pod lampą, plecami do okna. Czytać. Mieć to wreszcie za sobą!

Matka źle się czuje. Okropne. Wszystko to jest okropne.

Kupić chleb i mleko. Nic więcej. Zaraz wróci.

Ale nigdzie nie ma pieczywa, nigdzie nie ma mleka.

Krzysztof Paliwoda szybko obchodzi ulice. Brunatne chmury dotykają obwisłymi, wilgotnymi brzuchami jego głowy. Stopy ślizgają się po lodowatej skorupie, by już po chwili z chlupotem zagłębiać się w błoto. Gdyby zjawił się autobus, można by pojechać parę przystanków dalej, gdzieś, gdzie są większe szanse. Ale w ciągu kwadransa żaden autobus nie nadjeżdża, a lodowaty wiatr oddziela już w ciele mięso od kości: lepiej ruszyć dalej pieszo, w końcu sklepy są tu rozmieszczone gęsto, co kilkadziesiąt metrów. Szukaj dalej. Szukaj.

Przed siódmym z kolei stoi długa kolejka. Nie: nawet dwie kolejki. Z lewej, aż do rogu ulicy, normalna. Z prawej, na długość trzech budynków, kolejka uprzywilejowanych: tych, którzy mają prawo kupować bez kolejki. Kaleki o kulach i bez kuł, ślepy w czarnych okularach, kobiety w ciąży, kobiety z niemowlętami na rękach. Niemowlęta płaczą z zimna, kołysane pospiesznie, uspokajane gniewnym szeptem. Tu mają zaraz przywieźć chleb. A mleko? Podobno i mleko. Kto wie. Może i mleko.

Krzysztof staje na końcu kolejki normalnej i czeka.

Oczy zachodzące łzami.

Rozdęte, przepuklinowe brzuchy chmur.

Wiatr niesie ze sobą niewidoczne, ostre igiełki: wbijają się w twarz. Kolejka uprzywilejowanych ma szczęście: stoi plecami do wiatru.

Niektórzy przytupują. Tańczą, żeby się rozgrzać, niezgrabnym, ciężkim tańcem niedźwiedzi. Inni stoją bez ruchu, zbyt zmaltretowani, żeby się poruszyć. Podnieśli kołnierze, ręce wsunęli do kieszeni, odwrócili głowy. Milczą. Przywykli.

Milczą. Milczą.

A potem to gwałtowne drgnienie. Wyprostowanie pleców, uniesienie głów. Kolejka zafalowała. Oczy błyszczą. Już. Zaraz. Nareszcie. Przy krawężniku zatrzymuje się ciężarówka dostawcza. Zaczynają coś wnosić do środka. Paki. Skrzynie.

Jeden z konwojentów zatrzymuje się w drzwiach, mówi coś do stojących. Krzysztof nie słyszy: jest zbyt daleko. Ale kolejka nagle pęka, rozpada się, rozchodzi. Te sine, zeszywniałe z mrozu wargi rozciągają się w śmiechu.

Przywieziono ocet i majonez. Dostawy chleba dziś nie będzie. Kiedy w dwie godziny później Krzysztof Paliwoda wraca z innej dzielnicy, z chlebem – mleka nie dostał – musi minąć pracujących na środku jezdni więźniów. Ubrani w pomarańczowe, jaskrawe kubraki, tak, żeby z daleka zwracać uwagę, w małych czapczkach na wystrzyżonych głowach, naprawiają szyny. Strażnicy stoją przy nich, za nimi, wśród nich, rozstawiwszy szeroko nogi w wysokich butach, przesunawszy pistolety z bioder na brzuchy; do dolnych warg przykleili gwizdki; ostrzegają.

Krzysztof odwraca od nich wzrok i robi kilka kroków.

Nagły krzyk. Tupot nóg. Mija go w pędzie mały chłopiec, za nim drugi, tuż za drugim strażnik. Krzysztof uskoczył w ostatniej chwili, przywarł plecami do muru. Pierwszy chłopiec zdołał wpaść do bramy, drugi zawadził o krawężnik i upadł. Nie zdołał się już podnieść.

Strażnik go kopie. Ciężki bucior unosi się i wali miarowo w powalone ukosem dziecinne ciało. Milczenie, znowu milczenie. Chłopiec nie krzyczy, osłania głowę rękami, nic więcej. Tamten kopie. Jakby chciał zrobić z niego miazgę. Stalowe, wąskie, nieprzytomne z wściekłości oczy. I ten rozkołysany but. I pistolet w ręku: gonił tych dwóch malców z wyciągniętym pistoletem! Teraz dopiero Krzysztof to zauważa. Więźniowie stanęli bez ruchu. Patrzą na to, co się dzieje. Z nienawiścią. W milczeniu. Oni także! Patrzą, patrzą. Więźniowie i Krzysztof Paliwoda, przyciśnięty do muru, z bochenkiem zmarzniętego chleba podniesionym na wysokość serca, osłaniającym serce jak tarcza; i jakaś kobieta w głębi ulicy. Patrzą. Patrzą.

Raptem chłopiec podrywa się, jak wróbel wyfruwa spod uniesionego raz jeszcze buciora. Potykając się, ślaniając na rozmiękłych nogach, zgięty w pół dociera do bramy. Strażnik go nie goni. Wtyka pistolet za pas i powoli, dumnie zawraca do swoich więźniów.

Krzysztof Paliwoda też rusza z miejsca. Lewą ręką wciąż przyciska do serca bochenek chleba, prawą sięgnął w dół, tam, gdzie spoczywa, okryty kozuchem, błogosławiony ciężar, kawał metalu znaczący tyle, co wolność, pistolet. On też ma pistolet! Zapomniał o nim przed chwilą, tym lepiej, byłby szaleńcem, gdyby go użył. Ten ciężar, ten ciężar w kieszeni spodni. Nie rozstaje się z nim. Czekaj. Och, oni zapłacą! Krzysztof zagryza wargi. Błędny rycerz z tarczą zamarzniętego chleba i z tym ciężkim, metalowym kawałkiem wolności pod prawą dłonią. CZŁOWIEK MAJĄCY BROŃ JEST ZAWSZE PANEM CZŁOWIEKA, KTÓRY JEJ NIE MA. Kto to powiedział? A dwaj ludzie mający broń są sobie równi. Ten unoszący się i opadający but, ten but walący w ciało dziecka, i oczy więźniów, którzy na to patrzyli, ich oczy, ich oczy. Ktoś za to zapłaci. Choćby cały świat padł na kolana przed tym butem, jest przecież on, szpicel, ścierwo, szmata, on i kawał metalu w jego kieszeni – a zatem ktoś za to zapłaci. Bo ten kawał metalu wystrzeli. Musi wystrzelić!

Wystrzeli – myśli niewyraźnie Krzysztof. – Przysięgam. Już niedługo.

Raz jeszcze przysięga, drżąc, nieskładnie, mokrym brzuchom chmur, ostrym igielkom niesionym przez wiatr, butowi walącemu w ciało leżącego chłopca, oczom więźniów, błotu chlupoczącemu pod nogami, powietrzu rozrywanych gwizdkami strażników, gorączce, roztańczonej pod skórą, w głębi ciała. Potykając się co krok, z pochyloną głową, wlecze się w stronę domu.

W nocy, w nocy po tym dniu budzi go dzwonek do drzwi. Gwałtowny, długi, natarczywy.

Wstaje z wysiłkiem, otumaniony, osłabły, jak owinięty w watę. Przechodząc przez przedpokój, zatacza się. Oczy mu się kleją, powieki palą. Ziewając, otwiera drzwi. I do środka wpada Monika.

Tak, wpada. Jak ktoś ścigany. Ciężko oddycha. Ma potargane włosy, wypieki. Na rękach trzyma niemowlę. Zatrzaszkuje drzwi plecami. „Zamknij” – mówi. – „Zamknij!”

Nie zdążył się zdziwić. Jakby to, co się stało, było zupełnie naturalne. Jakby nie mogło być inaczej.

Do pokoju. Szybciej.

Monika kładzie niemowlę na fotelu. Patrzy na niego szeroko otwartymi, przerażonymi oczami.

– Pomóż mi, Chris – mówi. – Ocal mnie. Ukryj mnie jakoś.

W tej samej chwili rozlega się huk. Już są. Walą do drzwi kolbami, kopiać butami, Monika garbi się nagle, kurczy. Wszystko stracone.

– Co to za dziecko? – pyta Krzysztof; a ona odpowiada:

– Wyrwałam je jakiejś kobiecie.

Zaraz użyją łomu. Zaraz tu będą.

– Otworzę im – mówi Krzysztof. – Weź to dziecko. Spróbuję cię uratować.

Ma ich przed sobą. Mundury, wiele mundurów, błysk pistoletów błysk uniesionych granatów... I Monika z dzieckiem na ręku. Stała naprzeciw nich. Też ma pistolet: przyłożyła go dziecku do skroni. Twarz ma wykrzywioną. Krzyczy.

– Zabiję je! Jeszcze krok, a zabiję! Zabiję!

Krzysztof wysuwa się przed nią, staje na progu, odgradza ją własnym ciałem od zneruchomiałych na moment, niepewnych policjantów: od tego, jak mocno, jak przekonująco będzie krzyczał, zależy wszystko.

– Poczekajcie! Poczekajcie za drzwiami, ja ją skłonię, żeby się poddała, musi się poddać, nie ma innego wyjścia, nie bierzcie krwi tego dziecka na sumienie, czekajcie za drzwiami, ja ją wyprowadzę! Sama do was wyjdzie! Czekajcie za drzwiami!

Cofnęli się. Pozwolili zatrzasnąć je sobie przed nosem, te drzwi. Przekonał ich. Przekonał. Teraz szybko.

Rzuca się do telefonu. Numer sąsiadów zza ściany. To ja, Krzysztof.

Prosi ich, żeby otwarli okno. To obok balkonu. I żeby pozwolili przejść przez swoje mieszkanie pewnej kobiecie. Od tego zależy życie niewinnego dziecka! On, Krzysztof, wszystko im potem wytłumaczy. Znają go przecież. Od urodzenia go znają!

Teraz pędzi do łazienki. Wyciąga zza wanny starą deskę do prasowania. Monika już odłożyła dziecko, biegnie za nim. Są na balkonie. Krzysztof opiera deskę o parapet otwartego okna sąsiadów. Trzyma za drugi koniec.

– Przejdź po tym. Z ich mieszkania wychodzi się na inną klatkę schodową. Z tamtej klatki – na podwórze. Nie do bramy, jak od nas. Może obstawili tylko bramę. Rozumiesz? Z podwórza – innymi podwórzami, ciągle w prawo. Nie wychodząc na ulicę. Kiedy będziesz dostatecznie daleko, szukaj tego adresu. Tam ci pomogą.

I powtarza jej ten adres: pani Piątek, Wspólna 23. Pani Piątek, Wspólna 23. Tam ci pomogą. Słyszysz?

Już. Na czworakach przeszła po desce do tamtego mieszkania. Teraz cisza. Długa, długa cisza. Udało się.

Zostawili go w domu. Zostawili na wolności. Ciemność. Przewraca się na drugi bok, naciągając kołdrę na głowę. Siedzi w kącie pokoju, zaciskając ręce na poręczach fotela, pełen lęku o nią, o Monikę. Może zostawili go, bo chcą przez niego dotrzeć do niej? Ich sprawa. On jej już więcej nie zobaczy.

Nie złapią. Poszli, poszli wreszcie.

Dzwonek telefonu.

Podnosi słuchawkę.

Daleki, zachrypnięty głos.

– Dziękuję.

To Monika. A więc wszystko w porządku, wszystko w porządku. Pani Piątek, Wspólna 23. Udało się.

Znów przerwa. Znów nie wie, co było potem. A ciągle jest ta sama noc, ta sama mroźna noc, tyle tylko, że idzie teraz ulicą obok Rolfa Sperlinga, szpicla jak on sam, szpicla, zdrajcy, szmaty, idzie pod wiatr, wiatr niesie śnieg, twardy zmarznięty śnieg, połyskujący w świetle latarń – i nagle coś sobie uświadamia, coś takiego, że musi się zatrzymać. Sperling zatrzymuje się także. Patrzy pytająco.

– Ona nie żyje! – bełkocze Krzysztof. – Rolf, teraz sobie przypomniałem: przecież ona nie żyje! Monika. Od czterech lat nie żyje. Więc jak mogła szukać u mnie schronienia?

Sperling odwraca się i, nie czekając na niego, rusza przed siebie, prosto w zadymkę. Ale można jeszcze usłyszeć to, co powiedział:

– W taką noc jak ta nawet upiory marzną.

